



SIOSTRA BURZY

— SIEDEM SIÓSTR —

LUCINDA RILEY

O książce

NASTROJOWA, PEŁNA MAGII SAGA RODZINNA

Sześć siostr. Choć urodziły się na różnych kontynentach, wychowały się w bajecznej posiadłości Atlantis na prywatnym półwyspie Jeziora Genewskiego. Adoptywny ojciec, nazywany przez nie Pa Saltem, nadał im imiona mitycznych Plejad.

Każda ułożyła sobie życie po swojemu i rzadko mają okazję spotkać się wszystkie razem. Do domu ściąga je niespodziewana śmierć ojca, który zostawił każdej list i wskazówki mogące im pomóc w odkryciu własnych korzeni. I w odnalezieniu odpowiedzi na pytanie, co się stało z siódmą siostrą.

ALLY

Długo będzie sobie wyrzucać to, że kiedy ojciec umierał, spędzała upojne chwile z ukochanym.

Intryguje ją wprawdzie zagadka związana z jej pochodzeniem, ale na razie musi się skupić na regatach żeglarskich, na których wystartuje u boku swojego mężczyzny. W najczarniejszej godzinie podąży jednak za wskazówkami Pa Salta i pozna historię fascynującej kobiety, która żyła przed ponad wiekiem.

Historię Anny Landvik, dziewczyny z norweskiej wsi, mającej niebiański głos, który znali tylko ludzie z miejscowego kościoła i... krowy na pastwisku. Dopóki nie odkrył jej „łowca talentów” i nie zabrał do Christianii – dzisiejszego Oslo – by zaśpiewała na premierze Peer Gynta z muzyką Edwarda Griega.

Im więcej Ally dowiaduje się o Annie, tym bardziej desperacko chce odkryć własne korzenie. Zwłaszcza że ma ku temu nowy powód.

SIOSTRA BURZY

— SIEDEM SIÓSTR —

LUCINDA RILEY



Z angielskiego przełożyły
Marzenna Rączkowska
Maria Pstrągowska



Wydanie elektroniczne

LUCINDA RILEY

Lucinda Riley urodziła się w Irlandii. We wczesnej młodości pracowała jako aktorka filmowa, teatralna i telewizyjna, a w wieku 24 lat napisała swoją pierwszą powieść. Międzynarodową sławę przyniosła jej wydana w 2011 roku powieść *Dom orchidei*, która została przetłumaczona na 34 języki i sprzedana w ponad 8 milionach egzemplarzy. Powieści autorstwa Lucindy - m.in. *Dziewczyna na klifie*, *Tajemnice zamku* i *Róża Północy* – wielokrotnie znajdowały się na szczytach list bestsellerów „New York Timesa” i „Sunday Timesa”.

Szczególne miejsce w twórczości Lucindy Riley zajmuje inspirowany mitem o Plejadach cykl *Siedem Sióstr*, który otwiera książka pod tym samym tytułem. Zarówno ona, jak i druga powieść – *Siostra Burzy* – stały się europejskimi bestsellerami numer 1, a prawa do kilkusezonowego serialu kupuje hollywoodzka firma producencka.

Lucinda mieszka z mężem i czwórką dzieci na wybrzeżu North Norfolk w Wielkiej Brytanii oraz w West Cork w Irlandii.

Kiedy nie pisze, podróżuje lub opiekuje się dziećmi. Uwielbia też, z kieliszkiem wina w dłoni, czytać książki, których nie napisała.

LUCINDARILEY.COM

Tej autorki

DOM ORCHIDEI

DZIEWCZYNA NA KLIFIE

TAJEMNICE ZAMKU

RÓŻA PÓŁNOCY

Cykl SIEDEM SIÓSTR

SIEDEM SIÓSTR

SIOSTRA BURZY

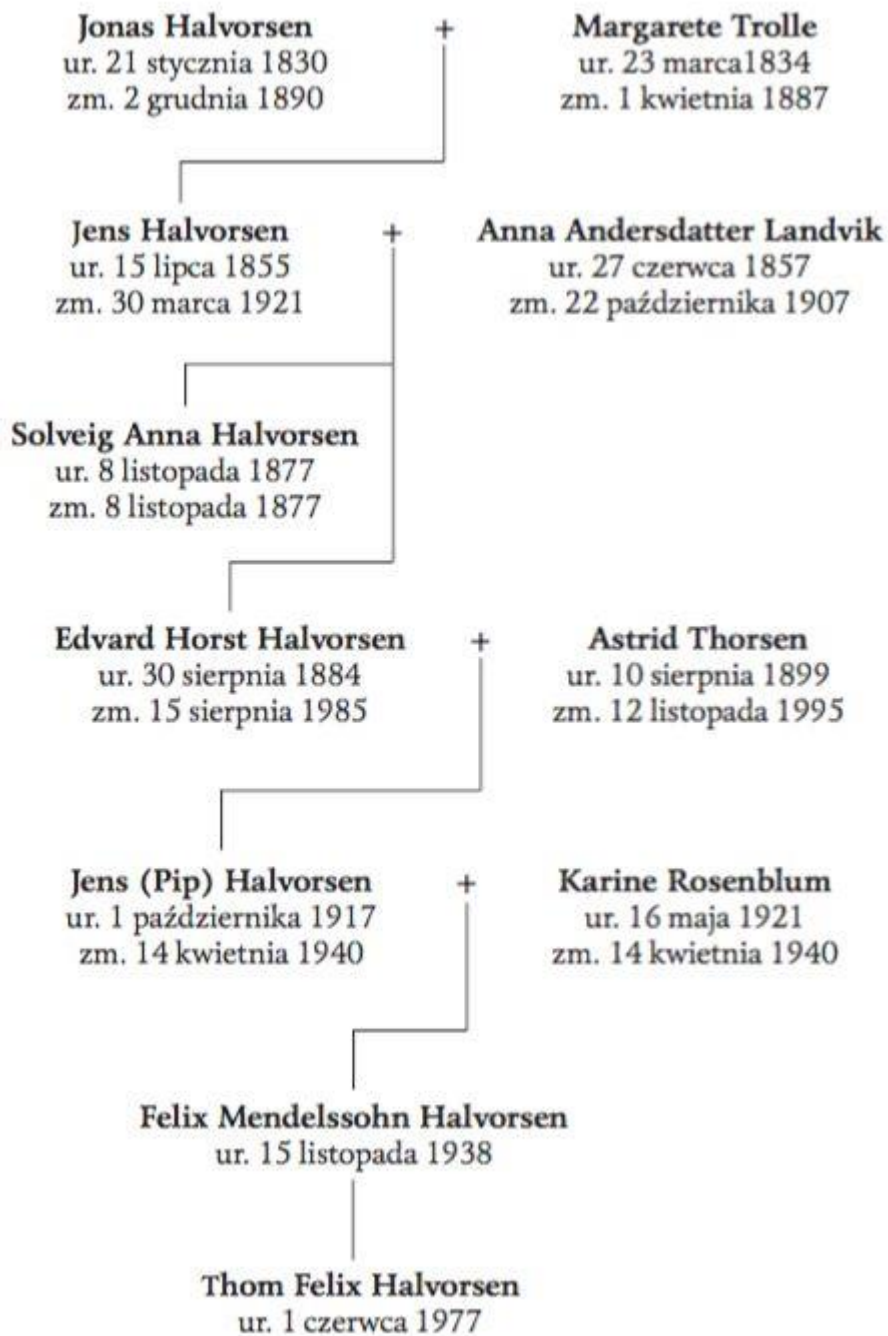
Dla Susan Moss, mojej duchowej siostry

*Nie będę pełził wzdłuż brzegu, lecz popłynę
Na pełne morze, jak mi gwiazdy wskażą.*

George Eliot, *Miasteczko Middlemarch*,
Przełożyła Anna Przedpełska-Trzeciakowska



Drzewo rodowe Halvorsenów



Dramatis personae

ATLANTIS

Pa Salt – adopcyjny ojciec sióstr

Marina (mama) – opiekunka sióstr

Claudia – gospodyni w Atlantis

Georg Hoffman – prawnik Pa Salta

Christian – szyper

SIOSTRY D'APLIÈSE

Maja

Ally (Alkione)

Star (Asterope)

CeCe (Celaeno)

Tiggy (Tajgete)

Elektra

Merope (nieodnaleziona)

Ally

Czerwiec 2007

Poranek



Morze Egejskie

Zawsze będę dokładnie pamiętać, gdzie dowiedziałam się o śmierci ojca i co wtedy robiłam.

Leżałam naga w słońcu na pokładzie *Neptuna*, a na moim brzuchu spoczywała opiekuńcza dłoń Theo. Przed sobą mieliśmy łuk połyskującej złotym piaskiem opustoszałej plaży, która wtuliła się między skały zatoczki na wyspie. Krystalicznie czysta, turkusowa woda leniwie układała się w fale, które rozbijając się o brzeg, tworzyły piankę jak w cappuccino.

Cisza, pomyślałam. Jak w moim sercu.

Poprzedniego wieczoru o zachodzie słońca zarzuciliśmy kotwicę w zatoczce niewielkiej greckiej wyspy Macheres, a potem, brodząc w wodzie i niosąc dwie lodówki turystyczne, doszliśmy do plaży. Jedna była pełna świeżych cefali i sardynek, które Theo złowił w ciągu dnia, a druga – wina i wody. Dysząc z wysiłku, postawiłam swoją na piasku, a Theo czule pocałował mnie w nos.

– Jesteśmy rozbitkami na naszej własnej bezludnej wyspie – powiedział i szeroko rozpostarł ramiona, wskazując idylliczną scenerię. – Pójdę po chrust, to upieczemy ryby.

Patrzyłam, jak odwraca się ode mnie i idzie w stronę skał tworzących półokrąg wokół zatoczki. W ich rozpadlinach tu i ówdzie rosły suche krzaki. Theo był światowej klasy żeglarzem, ale po jego delikatnej posturze nie było widać koniecznej do tego siły. W porównaniu z mężczyznami, z którymi żeglowałam podczas zawodów – z prężącymi się pod skórą mięśniami i klatkami piersiowymi rozbudowanymi jak u Tarzana – był drobny. Pierwszym, co u niego zauważyłam, było to, że leciutko utykał. Potem opowiedział mi, że w dzieciństwie spadł z drzewa, złamał nogę w kostce i źle mu się zrosła.

– Jest to chyba jeszcze jeden powód, dla którego moim przeznaczeniem stało się życie na wodzie – dodał. – Na łodzi nie widać tego tak jak na lądzie.

Upiekliśmy ryby, a potem kochaliśmy się pod gwiazdami. Następny dzień miał być naszym ostatnim wspólnym dniem na jachcie. Zanim uznałam, że absolutnie najwyższy czas nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym i włączyć telefon – w wyniku czego dowiedziałam się, że moje życie rozbiło się na milion kawałeczków – leżałam przy Theo w poczuciu idealnego spokoju, przypominając sobie, jak w surrealistycznym śnie, wydarzenia, które zawiodły nas w to piękne miejsce...

*

Po raz pierwszy zobaczyłam go rok temu na regatach Heinekena na

karaimskiej wyspie Sint Maarten. Zwycięska załoga świętowała swój sukces uroczystą kolacją. Zaintrygowało mnie, że ich kapitanem jest Theo Falys-Kings. W świecie żeglarskim stał się celebrytą, bo od pięciu lat nie było kapitana, który doprowadziłby do zwycięstwa więcej drużyn.

– Nie jest ani trochę taki, jak sobie wyobrażałam – bąknęłam pod nosem do Roba Bellamy’ego, starego kumpla, z którym pływałam w reprezentacji Szwajcarii. – W tych okularach z rogowymi oprawkami wygląda na geeka – dodałam, widząc, że Falys-Kings wstaje, by przejść do innego stolika. – I jakoś dziwnie chodzi.

– To prawda, że nie pasuje do stereotypu żeglarza osiłka – zgodził się ze mną Rob. – Ale to absolutny geniusz. Na wodzie włącza mu się szósty zmysł. Nie ma kapitana, któremu bardziej bym zaufał podczas sztormu.

Tego samego wieczoru Rob przedstawił mi Theo. Kiedy słynny kapitan podawał mi rękę, zauważyłam zamyślenie w jego zielonych oczach z piwnymi cętkami.

– Więc to ty jesteś tą słynną Al D’Aplièse? – Miał brytyjski akcent i ciepły, spokojny głos.

– Koniec zdania się zgadza – odparłam zawstydzona jego komplementem. – Ale słynny to jesteś ty. – Staralam się, jak mogłam, nie odwracać wzroku od jego przenikliwych oczu. Nagle zobaczyłam, że wyraźnie próbuje stłumić śmiech.

– Co tak cię rozbawiło?

– Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się kogoś takiego jak ty.

– Nie rozumiem?

Uwagę Theo odwrócił fotograf, który chciał zrobić zdjęcie grupowe, więc nie dowiedziałam się, o co mu chodziło.

Później widywałam go na różnych imprezach organizowanych z okazji regat, w których braliśmy udział. Miał w sobie jakąś nieokreśloną energię i tak miły uśmiech, że choć pozornie był bardzo powściągliwy, ludzie do niego lgnęli. Na oficjalne spotkania, w ramach ukłonu w stronę etykiety i sponsorów wyścigu, wkładał przeważnie bawełniane spodnie i pogniecioną lnianą marynarkę, ale stare noszone na pokładzie buty i nieokiełznane ciemne włosy i tak sprawiały, że wyglądał, jakby przed chwilą zszedł z jachtu.

W czasie pierwszych przypadkowych spotkań miałam wrażenie, że tańczymy wokół siebie. Nasze oczy często się spotykały, ale nie podejmował próby dokończenia tamtej pierwszej rozmowy. Dopiero sześć tygodni temu, kiedy moja załoga zwyciężyła w regatach u wybrzeży Antigu i obchodziliśmy to podczas Balu Lorda Nelsona na zakończenie tygodnia zawodów, poklepał mnie po ramieniu.

– Dobra robota – powiedział.

– Dziękuję. – Cieszyłam się, że wreszcie zwyciężyliśmy z jego drużyną.

– W tym sezonie słyszałem o tobie wiele dobrego, Al. Nie miałabyś ochoty przyłączyć się do mojej załogi na czerwcowych regatach po Cykladach?

Miejsce na tych regatach zaproponował mi już ktoś inny, ale jeszcze się nie zadeklarowałam. Theo zauważył, że się waham.

– Jesteś już zajęta?

– Tylko wstępnie.

– W takim razie dam ci swoją wizytówkę. Zastanów się i odpowiedz mi do końca tygodnia. Przydałby mi się na pokładzie ktoś taki jak ty.

– Dziękuję. – W myślach już przestałam się wahać. Kto by odrzucił propozycję aktualnego „króla mórz”, bo tak o nim mówiono? – A tak w ogóle – zatrzymałam go, gdy zbierał się, żeby ode mnie odejść – to dlaczego, kiedy ostatnio rozmawialiśmy, powiedziałeś, że nie spodziewałeś się kogoś takiego jak ja?

Zatrzymał się na chwilę i zmierzył mnie wzrokiem.

– Nie znałem cię osobiście, ale słyszałem rozmowy o twoich umiejętnościach żeglarskich. No i jak już mówiłem, nie spodziewałem się kogoś takiego. Dobranoc, Al.

W drodze do swojego pokoju w małym pensjonacie nad zatoką St John's roztrząsałam w myślach tę rozmowę. Napawając się nocnym powietrzem, zastanawiałam się, dlaczego Theo aż tak mnie zafascynował. Kolorowe fasady domów skąpane były w ciepłych światłach latarni ulicznych. Z dala dochodziły leniwe odgłosy rozmów ludzi siedzących w barach i kawiarniach. Podniecona zwycięstwem w regatach i propozycją Theo Falys-Kingsa, nie zwracałam jednak na to wszystko uwagi.

Kiedy tylko przekroczyłam próg pokoju, natychmiast podeszłam do komputera i napisałam do Theo maila, w którym poinformowałam go, że przyjmuję jego ofertę. Zanim wcisnęłam WYŚLIJ, wzięłam prysznic, a potem jeszcze raz przeczytałam swoje słowa i stwierdziłam, że wyszłam na tak nadgorliwą, że aż się zarumieniłam. Postanowiłam zachować wiadomość w mailach roboczych i wysłać za kilka dni, a potem wyciągnęłam się na łóżku i naprężyłam ręce, aby pozbyć się bólu po zawodach.

– Wiesz co, Al – mruknęłam do siebie z uśmiechem. – To dopiero będą ciekawe regaty.

Mail wysłałam zgodnie z planem, a Theo natychmiast się ze mną skontaktował. Odpisał, że bardzo się cieszy, że przyłączę się do jego załogi.

Dwa tygodnie temu po raz pierwszy znalazłam się – nie wiadomo dlaczego strasznie zdenerwowana – na przeznaczonym dla naszej drużyny jachcie *Hanse 540*, przycumowanym w porcie Naksos. Mieliśmy zacząć trening do regat po Cykladach.

Te zawody nie były specjalnym wyzwaniem. Uczestniczyli w nich zarówno poważni, zawodowi gracze, jak i weekendowi entuzjaści. Wszystkich zagrzewała do boju perspektywa ośmiu cudownych dni żeglowania wśród jednych

z najpiękniejszych wysp na świecie. Należeliśmy do załóg z największym doświadczeniem, więc mieliśmy dużą szansę na zwycięstwo.

Drużyny Theo służyły z młodego wieku uczestników. Rob Bellamy i ja mieliśmy po trzydzieści lat, należeliśmy więc na jachcie do starszyny, zarówno jeśli chodzi o wiek, jak i doświadczenie. Słyszałam, że Theo najchętniej zatrudnia utalentowanych młodych żeglarzy, którzy nie nabrali jeszcze złych nawyków. Razem z nami załoga liczyła sześciu członków: pozostali – krzepki Anglik Guy, wyluzowany Australijczyk Tim i Mick, pół-Niemiec pół-Grek, który znał wody Morza Egejskiego równie dobrze jak własną kieszeń – byli tuż po dwudziestce.

Chociaż tak paliłam się do pracy z Theo, decyzji o niej nie podjęłam pochopnie. Zrobiłam, co mogłam, aby zebrać informacje o zagadkowym „królu mórz” z internetu i rozmów z ludźmi, którzy z nim już pływali.

Ustaliłam, że pochodzi z Wielkiej Brytanii i studiował w Oksfordzie, co wyjaśniało jego arystokratyczny akcent. Z internetu dowiedziałam się jednak, że ma amerykańskie obywatelstwo i wielokrotnie doprowadził do zwycięstwa reprezentację żeglarską uniwersytetu Yale. Ktoś z moich znajomych słyszał, że pochodzi z bogatej rodziny, ktoś inny mówił, że mieszka na łodzi.

„Perfekcjonista”, „lubi rządzić”, „trudno go zadowolić”, „pracoholik”, „mizogin”... – zebrałam też i takie komentarze. Ostatni pochodził od koleżanki żeglarki, która utrzymywała, że kiedy należała do jego załogi, była lekceważona i źle traktowana. Szczerze mówiąc, po tym, co od niej usłyszałam, przez chwilę się zastanawiałam. Ale przytłaczająca większość opinii mniej więcej się pokrywała.

„Absolutnie najlepszy kapitan, u którego pracowałem”.

Już pierwszego dnia na pokładzie zrozumiałam, dlaczego Theo cieszy się takim szacunkiem wśród żeglarzy. Byłam przyzwyczajona do wrzaskliwych przełożonych, którzy wydawali instrukcje podniesionym głosem i kogo się dało, obrzucali obelgami jak humorzaści szefowie kuchni. Powściągliwość Theo była dla mnie czymś nowym. Przy wydawaniu poleceń mówił bardzo niewiele; głównie obserwował nas z daleka. Na koniec dnia robił odprawę i spokojnym, zrównoważonym głosem wyjaśniał, jakie mamy mocne i słabe strony. Spostrzegłam, że nic nie umyka jego uwadze, a ponieważ miał charyzmę, uważnie wsłuchiwalismy się w każde jego słowo.

– A tak w ogóle, Guy, żebyś więcej nie widział, że podczas ćwiczeń do zawodów po kryjomu palisz papierosy – powiedział kiedyś z lekkim uśmiechem na sam koniec odprawy.

Guy zarumienił się aż po cebulki jasnych włosów.

– Facet ma chyba oczy z tyłu głowy – mruknął do mnie w drodze z jachtu do naszych pokoi, gdzie mieliśmy wziąć prysznic i przebrać się do kolacji.

Pierwszego wieczoru wyruszyłam z pensjonatu razem z resztą załogi zadowolona, że zdecydowałam się do nich dołączyć. Szliśmy wzdłuż portu

w Naksos. Nad krętymi uliczkami i białymi domami miasteczka górował podświetlony zamek. Restauracje pękały w szwach od żeglarzy i turystów, którzy raczyli się świeżymi owocami morza i szklanka za szklanką wypijali morze ouzo. Znaleźliśmy małą rodzinną knajpkę w bocznej ulicy. Siedzieliśmy wprawdzie na rozklekotanych drewnianych krzesłach, każdy talerz był z innej parafii, ale podano nam idealne domowe jedzenie. A po całym dniu na morzu wszyscy mieliśmy wilcze apetyty. Byłam tak głodna, że chłopaki aż wybałuszyły oczy ze zdziwienia, obserwując, jak pochłaniam musakę i dokładam sobie ryżu.

– Co się tak gapicie? Nigdy nie widzieliście kobiety przy jedzeniu? – spytałam i nachyliłam się, żeby sięgnąć po następny kawałek pity.

Theo rzadko dołączał się do naszych wygłupów, rzucając jakieś suche spostrzeżenie i zaraz po kolacji szedł do siebie. Nie chciał uczestniczyć w rajdach po barach. Ja też wkrótce odłączałam się od reszty. Po latach uprawiania profesjonalnego żeglarstwa nie miałam ochoty przyglądać się temu, co mężczyźni wyrabiają po zapadnięciu zmroku.

Pod wnikliwym – zielonym – okiem Theo w ciągu kilku dni udało nam się zgrać ze sobą i szybko stworzyliśmy sprawny zespół. Coraz bardziej podziwiałam jego metody zarządzania grupą. Trzeciego wieczoru w Naksos byłam szczególnie zmęczona po ciężkim dniu pod palącym słońcem Morza Egejskiego, więc wstałam od stołu pierwsza.

– Cześć, chłopaki – rzuciłam. – Ja już idę.

– Ja też – powiedział Theo. – Dobranoc, chłopaki. Proszę, żeby jutro nikt nie przychodził na kacu – dodał i wyszedł za mną z restauracji. – Mogę ci potowarzyszyć? – zapytał, kiedy dogonił mnie na ulicy.

– Jasne. – Nagle poczułam się spięta; po raz pierwszy byliśmy sami.

Wracaliśmy do pensjonatu wąskimi brukowanymi uliczkami. Księżyc oświetlał białe domki o pomalowanych na niebiesko drzwiach i okiennicach. Za wszelką cenę starałam się podtrzymać rozmowę, ale Theo od czasu do czasu rzucał tylko „tak” lub „nie” i jego małomówność zaczynała mnie irytować.

Gdy doszliśmy do holu pensjonatu, nagle odwrócił się w moją stronę.

– Masz niezwykły instynkt do żeglarstwa, Al. Większość kolegów zapędzasz w kozi róg. Kto cię uczył?

– Ojciec – odpowiedziałam, zdziwiona komplementem. – Od dziecka pływałam z nim żaglówkami po Jeziorze Genewskim.

– Jesteś z Genewy! To wyjaśnia twój francuski akcent.

Przygotowałam się na typowe słowa w stylu: „Powiedz coś seksownego po francusku”, które w tym momencie rozmowy padały z ust większości mężczyzn, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Twój ojciec musiał być nadzwyczajnym żeglarzem: świetnie cię wyszkolił.

– Dziękuję. – Rozbroił mnie.

– Jak się czujesz jako jedyna kobieta na pokładzie? Zresztą pewnie nie jest to dla ciebie nic niezwykłego – dodał pośpiesznie.

– Szczerze mówiąc, wcale o tym nie myślę.

Przyglądał mi się uważnie zza okularów w rogowych oprawkach.

– Naprawdę? Wybacz, że to mówię, ale, moim zdaniem, myślisz. Czasem mam wrażenie, że starasz się, by nikt nie zwrócił uwagi na to, że jesteś kobietą, i właśnie wtedy popełniasz błędy. Proponowałbym, żebyś bardziej się rozluźniła i po prostu była sobą. No, ale dobranoc. – Uśmiechnął się przelotnie i ruszył po wyłożonych białymi kafelkami schodach do swojego pokoju.

Tej nocy, leżąc w wąskim łóżku, czułam, jak drapie mnie wykrochmalona biała pościel, a policzki pieką z powodu jego krytycznej uwagi. Czy to moja wina, że kobiety nadal stanowią rzadkość albo, jak niewątpliwie powiedzieliby niektórzy koledzy z załogi – nowość na pokładach profesjonalnych zespołów na regatach? A ten Theo Falys-Kings, za kogo właściwie się uważa? Znalazł się domorosły psycholog analizujący ludzi, którzy wcale tego nie potrzebują!

Zawsze wydawało mi się, że dobrze sobie radzę jako kobieta w środowisku zdominowanym przez mężczyzn i potrafię dzielnie brać na klatę ich przyjacielskie docinki i komentarze na temat mojej kobiecości. W pracy zbudowałam wokół siebie nieprzenikniony mur i wypracowałam dwie osobowości: w domu Ally, w pracy Al. Owszem, bywało trudno, ale nauczyłam się trzymać język za zębami, zwłaszcza kiedy uwagi miały wyraźnie seksistowski wydźwięk, jak komentarze na temat zachowań blondynek. Chcąc uniknąć takich uwag, zawsze dokładnie odgarniałam z twarzy złotorude loki i mocno wiązałam je w koński ogon. Poza tym w ogóle się nie malowałam; nie używałam żadnych kosmetyków do podkreślenia oczu czy zatuszowania piegów. No i pracowałam równie ciężko jak mężczyźni z załogi – a być może, doszłam do wniosku w poczuciu krzywdy – ciężiej.

Z oburzenia nie mogłam spać i nagle przypomniałam sobie, jak ojciec mówił, że ludzi przeważnie najbardziej irytują te uwagi na ich temat, w których jest ziarno prawdy. W miarę upływu nieprzespanych godzin zaczęłam przyznawać przed sobą, że Theo pewnie ma rację. Nie jestem sobą.

Następnego wieczoru znowu wracaliśmy razem do pensjonatu. Choć nie był człowiekiem pokaźnej postury, tak strasznie się go bałam, że w rozmowie z nim zacinałam się na prostych słowach. Usiłowałam mu wytłumaczyć, że ja na jachcie i ja w życiu prywatnym to dwie różne osoby.

– Mój ojciec – zaczął, wysłuchawszy mnie – którego opinie nie zawsze szanuję, słusznie zauważył kiedyś, że kobiety mogłyby rządzić światem, gdyby tylko skorzystały ze swoich atutów, zamiast usiłować być mężczyznami. Może tak właśnie powinnaś postępować.

– Mężczyźni łatwo to powiedzieć! Ale czy twój ojciec pracował kiedyś w środowisku kompletnie zdominowanym przez kobiety? I czy w takiej sytuacji

byłby sobą? – odparowałam zirytowana, że mnie poucza.

– Masz rację – przyznał Theo. – W każdym razie, może byłoby mi trochę łatwiej, gdybym mówił do ciebie Ally. To imię znacznie lepiej do ciebie pasuje niż Al. Miałabyś coś przeciwko temu?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, nagle zatrzymał się w malowniczym porcie, gdzie małe kutry rybackie delikatnie kołysały się między większymi jachtami i motorówkami, a spokojne fale z delikatnym pluskiem rozbijały się o ich kadłuby. Podniósł wzrok w stronę nieba, a jego nozdrza wyraźnie się rozszerzyły, gdy wciągał powietrze. Sprawdzał, jaką pogodę przyniesie nam poranek. Coś takiego widziałam tylko u starych marynarzy. Zachichotałam, bo wyobraziłam go sobie jako siwego wilka morskiego.

Zdziwiony, odwrócił się do mnie z uśmiechem.

– Co cię tak rozśmieszyło?

– Nic takiego. A wracając do twojego pytania: jeśli tak ci bardziej pasuje, to proszę, możesz do mnie mówić Ally.

– Dziękuję. A teraz idziemy się wyspać. Na jutro zaplanowałam ciężki dzień.

Tej nocy znów nie mogłam zasnąć; powtarzałam w myślach naszą rozmowę. Ja, która zwykle śpię jak kamień, zwłaszcza podczas przygotowań do regat lub zawodów.

Rada Theo, zamiast mi pomóc, sprawiła, że przez następne kilka dni robiłam mnóstwo głupich błędów. Czułam się jak żółtodziób, a nie zawodowa żeglarka, choć przecież nią byłam. Karciałam się za to surowo, a koledzy dobrodusznie się ze mnie nabijali. Z ust Theo nie padło jednak ani słowo krytyki.

Piątej nocy poczułam się straszliwie zawstydzona tą nietypową dla mnie kiepską formą, więc nawet nie poszłam z resztą załogi na kolację. Usiadłam na tarasie pensjonatu i jadłam chleb, ser feta i oliwki, które dostałam od miłej właścicielki domu. Smutki topiłam w tanim winie, które co chwilę mi dolewała. Po kilku kieliszkach poczułam mdłości i zaczęłam się nad sobą litować. Właśnie chwyciłam się do stolika, żeby iść spać, kiedy na tarasie pojawił się Theo.

– Nic ci nie jest? – zapytał, poprawiając okulary na nosie, aby lepiej mi się przyjrzeć.

Spojrzałam na niego z ukosa, ale nie wiadomo dlaczego jego postać rozmazała mi się przed oczami.

– Nie – odpowiedziałam i szybko usiadłam z powrotem, ponieważ nagle wszystko zaczęło się przede mną chwiać.

– Martwiliśmy się o ciebie, że nie przyszłaś na kolację. Na pewno nie jesteś chora?

– Skąd! – Poczułam, jak do gardła podchodzi mi gorzka żółć. – Nic mi nie jest.

– Jeśli źle się czujesz, możesz mi to powiedzieć. Na pewno nic ci z tego

powodu nie zrobię. Mogę się przysiąc?

Milczałam. Tak naprawdę nie byłam w stanie wykrztusić słowa, ponieważ usiłowałam opanować mdłości. A on i tak już usiadł na plastikowym krzesełku naprzeciwko mnie.

– Więc co takiego się dzieje?

– Nic – wykrztusiłam jakoś.

– Ally, jesteś zielona na twarzy. Na pewno nie jesteś chora?

– Hm... przepraszam.

Ledwie to powiedziałam, słaniając się, wstałam na nogi i w ostatniej chwili dotarłam do brzegu tarasu, po czym zwymiotowałam na znajdujący się poniżej chodnik.

– Biedactwo. – Poczułam, jak w talii mocno obejmują mnie jego dłonie. – Oczywiście, że jesteś chora. Pomogę ci dojść do pokoju. Który masz numer?

– Ale... nic mi nie jest – mruknęłam bez sensu, straszliwie przerażona tym, co się przed chwilą stało. I to przy Theo Falys-Kingsie, któremu, nie wiadomo dlaczego, tak bardzo chciałam zaimponować. Chyba nie mogło już być gorzej.

– Chodź. – Przerzucił sobie moje bezwładne ramię przez bark i właściwie wyniósł mnie z tarasu odprowadzany zde gustowanymi spojrzeniami innych gości.

Kiedy znalazłam się w pokoju, wymiotowałam jeszcze kilka razy, ale teraz przynajmniej do toalety. Za każdym razem, gdy wracałam do pokoju, Theo czekał na mnie w pogotowiu, by pomóc mi dojść do łóżka.

– Naprawdę rano wszystko będzie dobrze – wyjęczałam.

– Od dwóch godzin to mówisz między jednym a drugim pawiem – zauważył pragmatycznie i chłodnym, wilgotnym ręcznikiem wytarł mi z czoła lepki pot.

– Idź spać, Theo – burknęłam nieprzytomnie. – Naprawdę jest już dobrze. Muszę się tylko wyspać.

– Zaraz sobie pójdę.

– Dziękuję, że tak się mną zaopiekowałeś – szepnęłam, kiedy oczy mi się zamykały.

– Nie ma za co, Ally.

I nagle, unosząc się gdzieś między snem a jawą, uśmiechnęłam się i stało się coś dziwnego.

– Chyba cię kocham – usłyszałam swój głos, zanim zatopiłam się w niebycie.

Następnego ranka obudziłam się w lepszej formie, choć wciąż byłam osłabiona. Wychodząc z łóżka, potknęłam się o Theo, który wziął zapasową poduszkę i mocno spał skulony na podłodze. Zamknęłam za sobą drzwi łazienki, opadłam na brzeg wanny i przypomniały mi się słowa, które jak mi się wydawało... Chryste Panie... czy naprawdę wczoraj je wypowiedziałam?

Chyba cię kocham.

Co mi przyszło do głowy? A może tylko przyśniło mi się, że je powiedziałam. Przecież byłam chora i mogłam mieć halucynacje.

– O Boże, mam nadzieję, że tak było – jęknęłam, opierając głowę na dłoniach. Ale... jeśli tego nie powiedziałam, to dlaczego tak wyraźnie pamiętam te słowa? Bredziłam, ale on mógł pomyśleć, że mówiłam poważnie.

W końcu, strasznie zawstydzona, wyszłam z łazienki i zobaczyłam, że Theo zbiera się do wyjścia. Nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy. Powiedział tylko, że idzie do swojego pokoju wziąć prysznic i wróci po mnie za dziesięć minut i zejdziemy na śniadanie.

– Lepiej idź sam, Theo. Boję się cokolwiek jeść.

– Przecież musisz coś zjeść, Ally. Jeśli dalej będziesz wymiotować, to, niestety, nie wpuszczę cię na łódź do czasu, aż wyzdrowiejesz. Znasz regulamin.

– Okay – zgodziłam się z miną nieszczęśnicy.

Kiedy odszedł, z całego serca żałowałam, że nie mogę po prostu stać się niewidzialna. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie pragnęłam przenieść się w jakieś inne miejsce.

Piętnaście minut później wyszliśmy razem na taras. Inni członkowie załogi patrzyli na nas od stołu z minami, które mówiły wszystko. Chętnie bym im dowaliła.

– Ally ma chory żołądek – oznajmił Theo, kiedy usiedliśmy. – Ale po tobie, Rob, też widać, że niezbyt się wyspałeś.

Koledzy zaczęli śmiać się z Roba, a on, trochę zawstydzony, wzruszył ramionami. Tymczasem Theo zaczął spokojnie tłumaczyć, jakie ćwiczenia zaplanował na ten dzień.

Nie odzywałam się, zadowolona, że tak szybko zmienił temat, ale wiedziałam, co przyszło do głowy pozostałym. Ironia sytuacji polegała na tym, że kompletnie się mylili. Przysięgłam sobie kiedyś, że nigdy nie będę spała z kolegą z załogi; wiedziałam, jak w tym małym światku żeglarskim może do kobiety przylgnąć etykieta. No, a teraz, choć byłam Bogu ducha winna, przylepiono mi ją.

Dobre było chociaż to, że po śniadaniu nie zwymiotowałam i Theo pozwolił mi wejść na pokład. Od tej chwili starałam się, jak mogłam, udowodnić wszystkim, a zwłaszcza jemu, że ani trochę mi na nim nie zależy. Podczas ćwiczeń trzymałam się od niego tak daleko, jak tylko na to pozwalał wspólny pobyt na niewielkim jachcie, i odpowiadałam mu monosylabami. Wieczorami, po kolacji, gdy on wstawał, by wrócić do pensjonatu, zaciskałam zęby i zostawałam z resztą załogi.

No bo przecież wcale go nie kocham, mówiłam do siebie. I chciałam, żeby inni też się o tym przekonali. Im bardziej jednak starałam się udowodnić każdemu dokoła, że nie zależy mi na Theo Falys-Kingsie, tym bardziej uświadamiałam sobie, że w głębi duszy wcale nie jestem co do tego przekonana. Przyłapywałam się na spoglądaniu w jego stronę, kiedy wydawało mi się, że na mnie nie patrzy.

Podziwiałam jego spokojne metody zarządzania załogą i wnikliwe uwagi, które sprawiały, że coraz lepiej nam się współpracowało. Zauważyłam, że choć jest stosunkowo drobny, ma jędrne, umięśnione ciało. I nieustannie udawał, że jest najsprawniejszy i najsilniejszy z nas wszystkich.

Za każdym razem, kiedy mój zdradziecki umysł błędził wokół jego fizyczności, z całej siły starałam się go powściągnąć. Niestety, Theo często chodził bez koszuli, więc wcale mi tego nie ułatwiał. To prawda, że w ciągu dnia było bardzo gorąco, ale czy naprawdę musiał półnogi studiować mapy?

– Potrzebujesz czegoś, Ally? – zapytał mnie kiedyś, gdy odwrócił się i zauważył, że się na niego gapię.

Nie pamiętam nawet, co mu odburknęłam, odwracając się od niego z buraczkową ze wstydu twarzą.

Użyło mi, że nigdy nie wracał do moich słów z tamtej nocy, i zaczęłam nabierać przekonania, że naprawdę mi się to przyśniło. Wiedziałam jednak, że stało się ze mną coś nieodwracalnego. Coś, nad czym po raz pierwszy w życiu w ogóle nie panowałam. Nie dość, że przestałam dobrze sypiać, to straciłam swój zwykle wysmienity apetyt. Kiedy udawało mi się na trochę zasnąć, nękały mnie sny o Theo, i to takie, że po przebudzeniu rumieniłam się ze wstydu. Zachowywałam się wobec niego beznadziejnie. Jako nastolatka czytywałam romanse, potem wolałam ostre kryminały – ale najwyraźniej przeczytałam tych pierwszych wystarczająco dużo, by teraz – po zanalizowaniu własnych objawów – postawić jednoznaczną diagnozę: zadurzyłam się po uszy w Theo Falys-Kingsie.

Wieczorem po ostatnim dniu szkolenia, kiedy zjedliśmy kolację, wstał od stołu i powiedział nam, że znakomicie się spisaliśmy i, jego zdaniem, mamy dużą szansę na zwycięstwo w nadchodzących regatach. Po toście już szykowałam się do odejścia, kiedy zatrzymał mnie wzrokiem.

– Chciałbym coś z tobą omówić, Ally. Zgodnie z przepisami, ktoś spośród załogi musi odpowiadać za pierwszą pomoc. To nic takiego, tylko biurokratyczne przepisy. Trzeba po prostu podpisać kilka formularzy. Mogłabyś to zrobić? – Wskazał plastikową teczkę, którą trzymał w ręce, i kiwnięciem głowy zaprosił mnie do pustego stolika.

– Nie mam bladego pojęcia o pierwszej pomocy. To, że jestem kobietą, nie oznacza jeszcze, że będę lepszą pielęgniarką niż chłopaki – broniłam się, gdy usiedliśmy przy stoliku oddalonym od reszty. – Poproś Toma albo kogoś innego.

– Ally, proszę cię, bądź cicho. Zależało mi tylko na tym, żeby porozmawiać z tobą na osobności. Popatrz. – Wyjął z plastikowej teczki puste kartki. – Nie chcę, żeby wyciągali nie wiadomo jakie wnioski, i chodzi mi głównie o ciebie. A chciałbym porozmawiać z tobą o tym, co powiedziałaś tamtej nocy, kiedy byłaś chora... Bo widzisz... tak się składa, że ja być może czuję to samo do ciebie...

Gdy przerwał, z niedowierzaniem podniosłam wzrok, żeby sprawdzić, czy

się ze mnie nie nabija, ale on udawał, że sprawdza, czy wszystkie papiery są w porządku.

– Mam pewien pomysł, który może nam pomóc zorientować się w tym, co oboje czujemy – dodał. – Jutro biorę swój prywatny jacht i znikam na długi weekend. Chciałbym, żebyś popłynęła ze mną. – W końcu podniósł na mnie wzrok. – Zgodzisz się?

Usta otwierały mi się i zamykały. Zapewne świetnie naśladowałam w ten sposób złotą rybkę, ale najzwyczajniej nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Rany, Ally. Po prostu powiedz „tak”. Przepraszam za kiepskie porównanie, ale jedziemy na jednym wózku, a raczej płyniemy tą samą łódką. Oboje dobrze wiemy, że między nami iskrzy, i to od pierwszego spotkania rok temu. Szczerze mówiąc, po tym, co o tobie słyszałem, spodziewałem się jakiegoś umięśnionego babochłopa. A tymczasem zobaczyłem dziewczynę z pięknymi niebieskimi oczami i wspaniałymi rudymi włosami. Całkiem mnie to rozbroiło.

– Ojej... – Po prostu zabrakło mi słów.

– A więc... – Theo odchrząknął i zorientowałam się, że jest równie zdenerwowany jak ja. – Popłynijmy i róbmy to, co lubimy najbardziej: spędźmy trochę czasu na wodzie, tak żeby to, co jest między nami, miało szansę się rozwinąć. W najgorszym wypadku spędzisz czas na świetnej łodzi. Jest bardzo wygodna. I szybka.

– A czy na pokładzie... będzie ktoś oprócz nas? – zapytałam, kiedy w końcu odzyskałam głos.

– Nie.

– Ty będziesz kapitanem, a ja załogą?

– Tak, ale obiecuję, że nie zmuszę cię do łożenia po takielunku i nie będziesz musiała całą noc siedzieć w bocianim gnieździe. – Uśmiechnął się do mnie, a jego zielone oczy były pełne ciepła. – No, powiedz, że ze mną popłyniesz, Ally.

– Okay – zgodziłam się.

– To dobrze. A teraz, podpisz się o tutaj... żeby przypieczętować umowę. – Palcem wskazał miejsce na pustej kartce.

Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że nadal się do mnie uśmiecha. W końcu odwzajemniłam jego uśmiech. Podpisałam się i oddałam mu kartkę. Przyjrzał jej się z udawaną powagą, a potem włożył do plastikowej teczki.

– W takim razie, sprawa załatwiona. – Podniósł głos, żeby usłyszeli go inni członkowie załogi, którzy niewątpliwie wyteżyli swoje gumowe uszy. – Do zobaczenia w porcie jutro o dwunastej. Wyjaśnię ci twoje nowe obowiązki.

Puścił do mnie oko i statecznym krokiem podeszliśmy do reszty. Starłam się, by nie było po mnie widać, że w środku aż buzuje we mnie z podniecenia.

Prawdę mówiąc, ani Theo, ani ja nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać, kiedy wyruszyliśmy z Naksos na jego *Neptunie*, eleganckim, dużym jachcie motorowym firmy Sunseeker. Był o dobre sześć metrów dłuższy od *Hanse'a*, na którym mieliśmy płynąć w regatach. Przyzwyczaiłam się do gnieźdzenia w ciasnocie na pokładach różnych łodzi, tymczasem tutaj byliśmy tylko we dwójkę, więc przestrzeń wydawała się tym większa. Główna kajuta była luksusowym apartamentem, wykładanym tekowym drewnem. Kiedy zobaczyłam w niej duże małżeńskie łóżce, aż się wzdrygnęłam – przypomniało mi się, w jakich okolicznościach spaliśmy w tym samym pokoju.

– Kupiłem tę łódź bardzo tanio kilka lat temu, kiedy jej właściciel zbankrutował – wyjaśnił, wyprowadzając jacht z portu w Naksos. – Od tamtej pory przynajmniej mam dach nad głową.

– Mieszkasz na niej? – zdziwiłam się.

– Jeśli mam dłuższą przerwę, przenoszę się do domu mamy w Londynie, ale przez miniony rok tak rzadko miałem przerwy między rejsami i zawodami, że mieszkałem na niej. Ostatnio dojrzałem jednak do tego, żeby mieć własny dom na łodzi. Nawet kupiłem go, ale jest w nim mnóstwo roboty i Bóg wie, kiedy będę miał czas go wyremontować.

Byłam przyzwyczajona do *Tytana*, czyli superjachtu ojca, z jego wyrafinowaną nawigacją komputerową, więc dzieliliśmy się z Theo „prowadzeniem” *Neptuna*, jak to ujął, jakby to była jazda samochodem. Pierwszego ranka trudno mi było się przestawić; kiedy trenowaliśmy do zawodów, wytworzyły się między nami określone relacje i teraz, jeśli Theo prosił, żebym coś zrobiła, ledwie się powstrzymywałam, żeby nie odpowiedzieć: „Tak, kapitanie!”.

Panowało między nami wyczuwalne napięcie. Żadne nie wiedziało, jak przejść od stosunków, które łączyły nas w pracy, do czegoś bardziej intymnego. Rozmowa się nie kleiła. Cały czas zastanawiałam się, co powiedzieć w tej dziwnej sytuacji, i w rezultacie gadałam bez sensu o niczym. Theo prawie się nie odzywał. Kiedy w porze lunchu nadszedł czas, by zarzucić kotwicę, zaczynałam już myśleć, że ta wycieczka okazała się jedną wielką katastrofą.

Z wdzięcznością zobaczyłam, że do sałatki wyjął butelkę schłodzonego prowansalskiego różowego wina. Nigdy dużo nie piłam, a już na pewno nie na morzu, ale jakoś udało nam się szybko opróżnić tę butelkę. Chcąc przerwać jego niezręczne milczenie, zaczęłam rozmawiać o żeglarstwie. Omówiliśmy strategię na regatach po Cykladach i zastanawialiśmy się wspólnie, jak bardzo będą się od nich różniły zawody w nadchodzących igrzyskach olimpijskich w Pekinie. Ostateczna decyzja, czy zostanę zakwalifikowana do drużyny Szwajcarii, miała zapaść pod koniec lata, natomiast Theo już wiedział, że będzie w reprezentacji Ameryki.

– Więc masz amerykańskie obywatelstwo? – spytałam. – Mówisz jak Anglik.

– Ojciec jest Amerykaninem, a matka Angielką. Byłem w szkole z internatem w Hampshire, potem studiowałem w Oksfordzie, a później w Yale. Zawsze byłem kujonem.

– Co studiowałeś?

– Filologię klasyczną w Oksfordzie, a w Yale zrobiłem magisterkę z psychologii. W Yale dostałem się do uczelnianej drużyny żeglarskiej i po jakimś czasie zostałem jej kapitanem. To dosyć hermetyczne środowisko. A jak było z tobą?

– Studiowałam w Conservatoire de Musique w Genewie... gram na flecie. – Uśmiechnęłam się szeroko i zmieniłam temat: – Teraz wszystko już rozumiem.

– Co?

– Dlaczego tak lubisz analizować ludzi. A połowa twoich sukcesów wynika z dobrej współpracy z załogą. Zwłaszcza ze mną – dodałam, bo alkohol dodał mi odwagi. – Twoje komentarze naprawdę bardzo mi pomogły, chociaż początkowo wcale mi się nie podobały.

– Miło mi to słyszeć. – Komplement wyraźnie go onieśmielił; Theo wyglądał, jakby chciał ukryć głowę w ramionach.

– Rodzice wspierali cię w żeglarstwie? – spytałam.

– Mama tak, ale ojciec... Rozstali się, gdy miałem dwanaście lat, a kilka lat później w paskudny sposób się rozwiedli. Po rozwodzie tata wrócił do Stanów. Kiedy byłem młodszy, mieszkalem u niego podczas wakacji, ale zawsze albo był w pracy, albo dokądś wyjeżdżał, więc zatrudniał dla mnie opiekunki. Kilka razy odwiedził mnie, kiedy byłem w Yale, żeby zobaczyć, jak sobie radzę na regatach, ale nie mogę powiedzieć, żebym dobrze go znał. Wychowywała mnie głównie mama i muszę się przyznać, że udzieliła mi się jej niechęć do taty. A tak w ogóle, to chciałbym posłuchać, jak grasz na flecie. – Nagle zmienił temat i nareszcie spojrzął mi w oczy. Na chwilę zielone tęczęwki spotkały się z niebieskimi, ale szybko znów odwrócił wzrok, nerwowo przesuając się na krześle.

Byłam sfrustrowana, że moje próby rozluźnienia atmosfery najwyraźniej zawiodły, więc zamilkłam. Gdy znieśliśmy brudne naczynia do kambuza, skoczyłam z burty jachtu do morza i zaczęłam energicznie pływać, by oczyścić mózg z wina.

– Może przed wyruszeniem w dalszą drogę pójdziemy na górny pokład i skorzystamy ze słońca? – zaproponował, gdy pojawiłam się z powrotem na pokładzie.

– Okay – zgodziłam się, choć czułam, że moja jasna, piegowata skóra i tak dostała już za dużo słońca. Normalnie przed wyjściem na słońce smarowałam się kremem z silnym filtrem, ale wyglądałam potem, jakbym pomalowała się na białą,

co nie przydawało mi atrakcyjności. Właśnie dlatego rano użyłam kremu ze słabszym filtrem, ale powoli zaczynałam myśleć, że może nie warto było ryzykować poparzenia. Theo wyjął z lodówki turystycznej dwie butelki wody i przeszliśmy na wygodny słoneczny taras na dziobie statku. Rozsiadliśmy się obok siebie na luksusowych, miękko wyściełanych leżankach. Ukradkiem spoglądałam na jego ciało. Było tak blisko, że nie mogłam opanować dzikiego bicia serca. Pomyślałam, że jeśli wkrótce czegoś nie zrobi, zapomnę, że jestem damą, i po prostu się na niego rzucę. Odwróciłam głowę, żeby odgonić od siebie sprośne myśli.

– Opowiedz mi o swoich siostrach i o waszym domu nad Jeziorem Genewskim – poprosił.

– Jest... no...

Mózg miałam otumaniony pożądaniem i alkoholem, więc ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, był długi wywód na temat mojej skomplikowanej sytuacji rodzinnej.

– Mogę opowiedzieć ci o tym później? – spytałam, odwracając się od niego.
– Chyba zaczynam przysypiać.

– Pewnie.

Poczułam, że leciutko dotyka palcami moich pleców.

– Tak? – Odwróciłam się i podniosłam na niego wzrok, a gardło tak mi się zacisnęło, że nie mogłam oddychać z oczekiwania, co zrobi.

– Spalisz sobie ramiona.

– Aaa, no tak... – burknęłam. – W takim razie pójdę na dół i usiądę sobie w cieniu.

– Iść z tobą?

Nie odpowiedziałam; wstałam, wzruszając ramionami, i zaczęłam się przeciskać przez wąską część pokładu prowadzącą na rufę. Nagle chwycił mnie za rękę.

– O co chodzi, Ally?

– O nic. A co?

– Jesteś taka... spięta.

– Hm... Ty też – odparowałam.

– Naprawdę?

– Owszem – odburknęłam.

Poszedł za mną po schodach na rufę i ciężko usiadł na ławce w cieniu.

– Przepraszam cię – powiedział. – Nigdy w tym nie byłem dobry.

– W czym?

– No wiesz. W zalotach. Nie umiem tego robić. To znaczy... szanuję cię i lubię i nie chciałem, żebyś miała wrażenie, że zabrałem cię tu na bara-bara. Żebyś myślała, że chodzi mi tylko o to. Bo przecież i tak jesteś przewrażliwiona na

punkcie bycia kobietą w środowisku opanowanym przez mężczyzn, więc...

– Na miłość boską, Theo, wcale nie jestem!

– Naprawdę? – Z niedowierzaniem przewrócił oczami. – Szczerze mówiąc, w dzisiejszych czasach my, faceci, ciągle się boimy, że zostaniemy oskarżeni o molestowanie seksualne, nawet jeśli tylko z podziwem spojrzymy na kobietę. Zdarzyło mi się coś takiego, kiedy miałem wśród załogi żeglarke.

– Naprawdę? – Udałam zdziwienie.

– Powiedziałem coś w rodzaju: „Cześć, Jo, fajnie, że będziesz z nami na pokładzie, trochę rozruszasz chłopaków”. I od tej pory miałem u niej przechlapane.

Wybałuszyłam na niego oczy.

– Nie wierzę, że tak powiedziałeś!

– Chodziło mi o to, że będziemy się przy niej bardziej starać. Jako żeglarka miała fantastyczną opinię. Ale z jakiegoś powodu źle to odebrała.

– Ciekawe z jakiego? – rzuciłam z przekąsem.

– Też nie potrafiłem tego zrozumieć.

– Nie usłyszałeś ironii w moim głosie? Ja świetnie rozumiem, dlaczego się obraziła. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie komentarze muszą znosić żeglarzki. Nic dziwnego, że była na tym punkcie przewrażliwiona.

– Właśnie dlatego okropnie się denerwowałem, że będziesz z nami na pokładzie. Zwłaszcza że tak bardzo mi się podobałaś.

– Ale ja jestem przecież kompletnie inna, pamiętasz? Krytykowałeś mnie za to, że usiłuję być mężczyzną i nie wykorzystuję swoich atutów!

– Masz rację. – Uśmiechnął się szeroko. – A teraz, kiedy jesteśmy tu sami...

– Theo! – przerwałam mu. – To, co mówisz, zakrawa na absurd! Moim zdaniem, to ty masz problem, nie ja! – odwarknęłam, bo powoli ogarniała mnie rozpacz. – Zaprosiłeś mnie na łódkę i zgodziłam się tu być z własnej, nieprzymuszonej woli!

– Tak, tylko że, szczerze mówiąc, to wszystko... – Popatrzył na mnie z powagą. – Jesteś dla mnie bardzo ważna. Wybacz, że zachowuję się jak idiota, ale już tak dawno do nikogo się nie... zalecałem. Nie chcę tego schrzanić.

Serce mi zmiękło.

– Prześnij wszystko analizować i trochę się rozluźnij. Może wtedy i mnie uda się wyluzować.

– Spróbuję.

– Ale teraz – spojrzałam na swoje spalone ramiona – naprawdę zaczynam przypominać przejrzałego pomidora, więc schodzę na dół, żeby trochę odpocząć od słońca. Jeśli chcesz, jak najbardziej zapraszam cię do towarzystwa. – Wstałam i ruszyłam do schodów. – I obiecuję, że nie pozwę cię za molestowanie seksualne, a właściwie może nawet chciałabym, żebyś mnie trochę pomolestował...

Zniknęłam na dole, chichocząc w duchu z otwartości swojego zaproszenia

i zastanawiając się, czy na nie zareaguje. Kiedy weszłam do kajuty i położyłam się na łóżku, poczułam, że jestem silna. W pracy Theo może i był moim szefem, ale w relacjach osobistych, jakkolwiek miałyby się rozwinąć, na pewno będę się domagała pełnej równości.

Pięć minut później Theo pokazał się w drzwiach i zaczął się tłumaczyć ze swojego bezsensownego zachowania. W końcu kazałam mu się zamknąć i przyjść do mnie do łóżka.

Potem wszystko układało się już dobrze. Z dnia na dzień coraz wyraźniej zdawaliśmy sobie sprawę, że to, co rodzi się między nami, to coś więcej niż seks, i w końcu bez reszty oddaliśmy się radości z tego, że się nawzajem odnaleźliśmy.

Zbliżyliśmy się do siebie szybciej, niż to zazwyczaj bywa, ponieważ znaliśmy już mocne i słabe strony swoich charakterów, chociaż muszę przyznać, że tych drugich prawie nie dostrzegaliśmy. Po prostu celebrowaliśmy to rodzące się uczucie i wydawaliśmy się sobie nawzajem wspaniali. Kochaliśmy się, piliśmy wino i jedliśmy ryby, które Theo łowił z rufy jachtu, podczas gdy ja leniwie wylegiwałam się na jego kolanach i czytałam książkę. Byliśmy tylko we dwójkę na spokojnym morzu, więc ogarnęło nas uczucie, że istniejemy gdzieś poza czasem i nie potrzebujemy niczego oprócz siebie.

Drugiej nocy położyłam się w ramionach Theo pod gwiazdami na tarasie do opalania i opowiedziałam mu o Pa Saltie i moich siostrach. Jak każdy, Theo z fascynacją słuchał historii o moim dziwnym, magicznym dzieciństwie.

– Popraw mnie, jeśli coś źle zrozumiałem – poprosił. – Twój ojciec, którego najstarsza z was nazwała Pa Salt, przywiózł cię i twoje pięć siostr z podróży po świecie. Coś jak magnesy, które ludzie przyczepiają do lodówek?

– W skrócie można tak to ująć, chociaż, moim zdaniem, jestem nieco cenniejsza od magnezu.

– O tym się jeszcze przekonamy – powiedział, delikatnie skubiąc moje ucho.
– Sam się wami zajmował?

– Nie. Miałyśmy Marinę, na którą zawsze mówiłyśmy mama. Tata zatrudnił ją jako opiekunkę, kiedy adoptował najstarszą z sióstr, Maję. Marina jest właściwie naszą mamą i uwielbiamy ją. Pochodzi z Francji i między innymi dlatego wszystkie dorastałyśmy, mówiąc po francusku, pomijając już to, że jest to jeden z urzędowych języków Szwajcarii. Pa obsesyjnie pragnął, żebyśmy były dwujęzyczne, więc sam mówił do nas po angielsku.

– Świetnie się spisał. Gdyby nie twój cudowny francuski akcent, w życiu bym nie zgadł, że nie jest to twój ojczysty język. – Theo przytulił mnie i pocałował w głowę. – Czy ojciec powiedział, dlaczego was adoptował?

– Kiedy zapytałam o to mamę, odparła, że zwyczajnie czuł się samotny, a miał mnóstwo pieniędzy, którymi chciał się z kimś podzielić. My, dziewczynki, nigdy nie drażyłyśmy tej sprawy, po prostu przyjęłyśmy za oczywiste, że tak sobie

razem żyjemy. To typowe podejście wszystkich dzieci. Wystarczała nam świadomość, że jesteśmy rodziną.

– Ta historia przypomina bajkę. Bogaty dobroczyńca, który adoptuje sześć sierot. Ale dlaczego same dziewczynki?

– Żartowałyśmy, że może kiedy zaczął nas nazywać imionami gwiazd z gromady Siedmiu Sióstr, adoptowanie chłopca zburzyłoby porządek. – Roześmiałam się. – Ale tak naprawdę, żadna z nas nie ma pojęcia.

– Więc masz na imię Alkione i jesteś drugą siostrą? Trochę trudniej to wymówić niż Al – drażnił się ze mną.

– Tak, ale nikt tak do mnie nie mówi, tylko mama, kiedy jest na mnie zła. – Skrzywiłam się. – I nie waż się tak do mnie zwracać!

– Bardzo mi się podoba to imię. Moim zdaniem, pasuje do ciebie. Ale dlaczego jest was tylko sześć, choć powinno być siedem, żeby zgadzało się z mitem?

– Nie mam bladego pojęcia. Ostatnia siostra, która nazywałaby się Merope, po prostu do nas nie dotarła.

– To dość smutne.

– Tak, chociaż jeśli weźmiemy pod uwagę, jak koszmarna była moja szósta siostra, Elektra, kiedy tata przywiózł ją do Atlantis, to nie sądzę, żeby któraś z nas miała ochotę na następne wrzaskliwe niemowlę w rodzinie.

– Elektra? – Theo natychmiast skojarzył to imię. – Ale chyba nie ta słynna supermodelka?

– Właśnie ta – odpowiedziałam ostrożnie.

Odwrocił się w moją stronę w osłupieniu. Rzadko, a właściwie nigdy, nie mówiłam ludziom, że Elektra jest moją siostrą, ponieważ prowadziło to do niekończących się pytań. W końcu jej twarz była jedną z najczęściej fotografowanych na świecie.

– Coś takiego! A pozostałe siostry? – zapytał.

Bardzo się ucieszyłam, że już więcej nie pytał o Elektrę.

– Najstarsza to Maja. Jest z zawodu tłumaczką; ma po tacie talent do języków. Straciłam już rachubę, ile ich zna. Jeśli uważasz, że Elektra jest piękna, to powinieneś zobaczyć Maję. Ja jestem tylko piegowatym rudzielcem, ale ona ma przepiękną, ciemną karnację i czarne włosy. Wygląda jak egzotyczna latynoska diwa. Ale jej osobowość wcale nie pasuje do wyglądu. Prowadzi niemal pustelnicze życie; nawet nie wyprowadziła się jeszcze z Atlantis. Mówi, że chce się opiekować tatą, choć wszystkie uważamy, że przed czymś się chowa... – Westchnęłam mimowolnie. – Tylko że nie wiem przed czym. Na pewno coś się stało, kiedy była na studiach. Kompletnie się wtedy zmieniła. Jako dziecko uwielbiałam ją i nadal tak jest, choć mam wrażenie, że od kilku lat bardzo się ode mnie odsunęła. Prawdę mówiąc, wszystkie się od siebie oddaliłyśmy, ale kiedyś

byłyśmy ze sobą bardzo blisko.

– Jeśli człowiek zamyka się w swoim wnętrzu, zazwyczaj nie dopuszcza do siebie innych. Wiesz, o co mi chodzi – mruknął Theo.

– Co za głęboka myśl! – Szturchnęłam go z uśmiechem. – Ale tak, właśnie tak z nią jest.

– A następna siostra?

– Ma na imię Star i jest ode mnie o trzy lata młodsza. Ona i CeCe, którą tata przywiózł zaledwie trzy miesiące po niej, są jak papużki nierozłączki, jakby ktoś je ze sobą skleił. Po studiach obie wałęsały się po całym świecie. Pracowały w Europie i na Dalekim Wschodzie, ale teraz podobno chcą osiąść w Londynie, żeby CeCe mogła zapisać się na kurs przygotowawczy na Akademię Sztuk Pięknych. Gdybyś mnie zapytał o osobowość Star albo o jej talenty i ambicje, to, niestety, nie umiałabym ci odpowiedzieć. Prawie się nie odzywa i pozwala, żeby CeCe mówiła za nie obie. A ta ma bardzo silną osobowość, podobnie jak Elektra. Pewnie nietrudno sobie wyobrazić, że bywają między nimi spięcia. Elektra kipi energią, tak jak na to wskazuje jej imię, ale, moim zdaniem, jest niezwykle wrażliwa.

– Nie ma co, twoje siostry nadają się na fascynujące studium psychologiczne – skomentował Theo. – Która jest następna?

– Tiggy. Jest absolutnym skarbem. Skończyła biologię i przez jakiś czas pracowała naukowo w Servion, w zoo, ale potem wyjechała w szkockie góry i pracuje w rezerwacie jeleni. Jest trochę... – szukałam odpowiedniego słowa – nie z tej ziemi i ma dziwne przekonania. Czasem odnoszę wrażenie, że unosi się gdzieś między niebem a ziemią. Niestety, w dzieciństwie bezlitośnie z niej drwiłyśmy, kiedy mówiła, że słyszy głosy albo że w ogrodzie widziała na drzewie anioła.

– To znaczy, że ty w takie rzeczy nie wierzysz?

– Trzymam się ziemi. A może raczej wody – dodałam z szerokim uśmiechem. – Z natury jestem bardzo praktyczna i pewnie dlatego siostry zawsze uważały mnie za liderkę naszej małej bandy. Co nie znaczy, że odrzucam to, czego nie znam... albo nie rozumiem. A ty?

– Hm... Nigdy wprawdzie nie widziałem anioła, tak jak twoja siostra, ale zawsze czułem, że jestem pod ochroną. Zwłaszcza kiedy żeglowałem. Przeżyłem parę niebezpiecznych sytuacji, ale na razie, odpukać w niemalowane drewno, udawało mi się wychodzić z nich bez szwanku. Może Posejdon wspiera mnie, jeśli już mamy się trzymać mitologii.

– I niech tak zostanie – mruknęłam z przekonaniem.

– No to teraz opowiedz mi o swoim niezwykłym ojcu. – Theo zaczął delikatnie gładzić mnie po głowie. – Czym się zajmuje?

– Szczerze mówiąc, żadna z nas nie jest tego pewna. Ale cokolwiek to jest, na pewno bardzo dobrze mu idzie. Jego jacht, *Tytan*, to benetti. – Staralam się

wyrazić bogactwo taty językiem, który Theo na pewno zrozumie.

– Wow! W porównaniu z nim moja łajba to jak ponton dla dzieci – zażartował. – Widzę, że jesteś przebraną księżniczką.

– Prawdą jest, że żyliśmy w luksusie, ale tata koniecznie chciał, aby każda z nas sama na siebie zarabiała. Kiedy dorosłyśmy, nigdy nie dawał nam pieniędzy, chyba że na naukę.

– Rozsądny człowiek. Jesteś z nim blisko?

– Bardzo. Jest... dla mnie całym światem... zresztą dla nas wszystkich. Na pewno każda z nas uważa, że ma z nim jakieś szczególne relacje, ale ponieważ mnie łączyła z nim pasja do żeglarstwa, spędziliśmy mnóstwo czasu tylko we dwójkę. Nauczył mnie nie tylko żeglarstwa. Jest najlepszym, najmądrzejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałam.

– A więc jesteś córeczką tatusia. Trudno mi będzie z nim konkurować. – Theo przesunął dłoń z moich włosów w dół i zaczął gładzić szyję.

– Dosyć o mnie – uciełam. – Teraz chcę się dowiedzieć czegoś o tobie.

– Później, Ally, później... Nawet nie wiesz, jak na mnie działa ten twój francuski akcent. Mógłbym słuchać cię całą noc. – Uniósł się na łokciu, nachylił się, żeby pocałować mnie w usta, a potem już zamilkliśmy.

Następnego dnia rano właśnie postanowiliśmy pożeglować na Mykonos po zakupy, kiedy Theo zawołał mnie do siebie na mostek.

– Wiesz co? – zapytał zadowolony z siebie, kiedy schodziłam z górnego pokładu.

– Słucham?

– Właśnie rozmawiałem przez radio z moim kumplem, też żeglarzem. Nazywa się Andy i jest w tej okolicy swoim katamaranem. Zaproponował, żebyśmy spotkali się na drinka w zatoce na Delos. Zażartował, że na pewno go znajdzie, bo obok niego stoi przycumowany wielki jacht, *Tytan*.

– *Tytan*?! – wykrzyknęłam. – Jesteś pewny?

– Andy mówił, że to benetti, a wątpię, żeby jacht twojego ojca miał duplikat. Mówił też, że wcześniej w pobliżu pojawił się jeszcze jeden pływający pałac i poczuł taką klaustrofobię, że przeniósł się kilka mil dalej, za zakręt. Może przed spotkaniem z Andym wpadniemy na filiżankę herbaty z twoim ojcem? – zapytał.

– Jestem w szoku – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Tata nic nie mówił, że planuje wycieczkę na Cyklady, chociaż Morze Egejskie jest jego ulubionym miejscem do żeglowania.

– Myślę, że raczej nie spodziewał się ciebie aż tak blisko. Dla pewności możesz jeszcze sprawdzić przez lornetkę, czy to na pewno jacht twojego ojca, a kiedy trochę się zbliżymy, zawiadomimy kapitana przez radio, że do nich płyniemy. Najedlibyśmy się niezłego wstydu, gdyby to nie był jacht twojego ojca i przerwalibyśmy zabawę jakiemuś rosyjskiemu oligarsze na łodzi pełnej wódki i prostytutek. A tak w ogóle, to twój ojciec wypożycza czasem *Tytana*?

– Nigdy – odpowiedziałam stanowczo.

– W takim razie weź lornetkę i idź dalej odpoczywać na górze, a twój wierny kapitan przejmie ster. Pokaż mi podniesiony kciuk, kiedy zobaczysz *Tytana*, wtedy wysłę przez radio wiadomość, że do nich płyniemy.

Weszłam z powrotem na górny pokład i w napięciu czekałam, aż na horyzoncie pokaże się *Tytan*. Zastanawiałam się, jak odbiorę spotkanie mężczyzny, którego kocham najbardziej na świecie, z tym, którego z każdym dniem kocham coraz bardziej. Starłam się przypomnieć sobie, czy tata poznał któregoś z moich poprzednich chłopaków. Być może przedstawiłam mu kogoś, z kim flirtowałam w czasie studiów, ale to wszystko. Tak naprawdę jeszcze nigdy nie związałam się z nikim, kto byłby dla mnie na tyle ważny, żebym chciała przedstawić go tacie albo siostrze.

Aż do teraz...

Dwadzieścia minut później zobaczyłam znajomy kształt, więc skierowałam na niego lornetkę. Tak, z całą pewnością był to jacht taty. Zapukałam w okno

mostka kapitańskiego i pokazałam Theo uniesiony kciuk. Skinął głową i podniósł słuchawkę radia.

Wróciłam do kajuty, uczesałam rozwiane włosy i ściągnęłam je w schludny kucyk. Włożyłam T-shirt i szorty. Nagle poczułam przyływ radości, że tym razem to ja mam możliwość zaskoczyć czymś ojca. Kiedy wróciłam do Theo, zapytałam, czy kapitan ojca, Hans, już się odezwał.

– Nie. Zaraz znów wyślę mu wiadomość, ale jeśli nie odpowie, chyba będziemy musieli ich zaskoczyć i pojawić się bez zapowiedzi. To ciekawe... – Theo podniósł lornetkę, by przypatrzeć się jachtowi w pobliżu *Tytana*. – Wiem, do kogo należy ten drugi. To *Olympus*, jego właścicielem jest potentat telekomunikacyjny Kreeg Eszu. Jego firma, Lightning Communications, sponsorowała mnie kilka razy podczas regat, więc spotykałem go tu czy tam.

– Naprawdę? – Byłam pod wrażeniem. Na swój sposób Kreeg Eszu był równie słynny jak Elektra. – Jaki on jest?

– Jak by to ująć? Powiedziałbym, że niespecjalnie go polubiłem. Kiedyś siedziałem obok niego przy kolacji i cały wieczór mówił tylko o sobie i o swoich sukcesach. Jego syn Zed jest jeszcze gorszy: niedojrzały, rozpuszczony facet, który uważa, że dzięki pieniądзом ojca wszystko ujdzie mu na sucho. – W oczach Theo pojawił się bardzo u niego rzadki gniew.

Stałam się czujna. Nie po raz pierwszy usłyszałam o Zedzie Eszu z ust kogoś bliskiego.

– Naprawdę jest taki okropny?

– Naprawdę. Mam koleżankę, która miała z nim do czynienia. Potraktował ją koszmarnie. W każdym razie – Theo ponownie podniósł do oczu lornetkę – chyba powinniśmy jeszcze raz odezwać się przez radio do *Tytana*. Wygląda, jakby miał odpływać. Może ty to zrób, Ally? Jeśli odsłucha cię twój ojciec albo jego kapitan, powinni rozpoznać twój głos.

Odezwałam się do nich przez radio, ale nie było odpowiedzi. Zobaczyłam, że *Tytan* nabiera prędkości i coraz bardziej się od nas oddala.

– Spróbujemy go dogonić? – zapytał Theo.

– Pójdę po komórkę i zadzwonię bezpośrednio do taty – powiedziałam.

– A ja tymczasem wycisnę z *Neptuna* jeszcze parę węzłów. Prawie na pewno są za daleko, żebym ich dogonił, ale jeszcze nigdy nie goniłem takiego jachtu, a to może być zabawne.

Zostawiłam Theo, żeby bawił się w kotka i myszkę z jachtem taty, i zeszłam na dół do kajuty. W pewnej chwili tak zwiększył szybkość, że musiałam się przytrzymać framugi drzwi. Przeczesałam plecak w poszukiwaniu komórki i spróbowałam ją włączyć, ale zobaczyłam tylko ciemny ekran patrzący na mnie jak zaniedbane zwierzątko, które zapomniałam nakarmić. Znów przetrząsnęłam plecak, tym razem w poszukiwaniu ładowarki, a potem jeszcze amerykańskiej

przejściówki, aby skorzystać z kontaktu koło łóżka. Wszystko podłączyłam i błagałam komórkę, żeby jak najszybciej wróciła do życia.

Gdy poszłam na mostek, Theo zwolnił już i płynął z prawie normalną prędkością.

– Nie mamy szans go dogonić, nawet na najwyższych obrotach. *Tytan* płynie z pełną mocą. Zadzwońiłaś do ojca?

– Nie. Dopiero ładuje mi się komórka.

– Weź moją.

Podał mi swoją komórkę i wstukałam numer Pa Salta. Natychmiast włączyła się poczta głosowa, więc zostawiłam tacie wiadomość, w której wyjaśniłam sytuację. I poprosiłam, żeby jak najszybciej oddzwonił.

– Wygląda na to, że tata od ciebie ucieka – dociął mi Theo. – Może nie chce, żeby ktoś go teraz widział. Skontaktuję się przez radio z Andym i powiem mu, że popłyniemy prosto do niego.

Theo pewnie poznał po mojej minie, jaka jestem zdezorientowana, bo wziął mnie w ramiona i przytulił.

– Przecież żartowałem, kochanie. Pamiętaj, że to otwarta linia radiowa i na *Tytanie* mogli nas nie usłyszeć. Mnie też to się zdarzało. Szkoda, że od razu nie zadzwoniłaś do ojca z komórki.

– Tak – rzuciłam. Ale kiedy już znacznie spokojniej płynęliśmy w stronę Delos na spotkanie ze znajomym Theo, myślałam o tym, że po swoich długich wyprawach z tatą dobrze wiem, jak bardzo pilnował, żeby radio cały czas było włączone, a Hans zawsze czujnie nasłuchiwał, czy nie ma jakichś wiadomości dla *Tytana*.

Z perspektywy czasu wiem, że całe popołudnie byłam niespokojna. Być może przeczuwałam, że stało się coś złego.

*

Następnego dnia rano obudziłam się w ramionach Theo w pięknej bezludnej zatoczce wyspy Macheres. Z ciężkim sercem przypominałam sobie, że po południu wracamy do Naksos. Theo już zaczął omawiać ze mną plany przygotowań do zawodów, które miały się odbyć za kilka dni. Wyglądało na to, że nasza idylla – przynajmniej na razie – się kończy.

Leżałam naga na górnym pokładzie obok Theo i powoli wychodziłam z rozmarzenia. Starłam się zmusić umysł, żeby się zrestartował i wyszedł z cudownego kokonu bycia tylko z Theo. Moja komórka zdążyła się naładować, więc podniosłam się, żeby ją przynieść.

– Dokąd idziesz? – Theo złapał mnie za rękę i przytrzymał.

– Po telefon. Powinam w końcu wysłuchać wiadomości.

– Ale zaraz wracaj, dobrze?

Za chwilę byłam z powrotem, lecz Theo jeszcze przez godzinę nie dał mi możliwości, żebym ją włączyła.

Byłam pewna, że mam jakieś wiadomości od znajomych i od rodziny. Ale kiedy delikatnie odsuwałam jego dłoń z mojego brzucha, zauważyłam, że SMS-ów jest znacznie więcej, niż się spodziewałam. I kilka wiadomości nagranych na pocztę głosową.

Wszystkie SMS-y były od moich sióstr.

Ally, proszę, zadzwoń do mnie jak najszybciej. Całuję, Maja.

Ally, tu CeCe. Usiłujemy cię zlokalizować. Czy możesz natychmiast zadzwonić do mamy albo którejs z nas?

Ally. Tutaj Tiggy. Nie wiemy, gdzie jesteś, ale musimy z tobą porozmawiać.

Tekst Elektry przyprawił mnie o dreszcze:

O mój Boże, Ally! Prawda, że to straszne? Wprost niewiarygodne. Lecę do domu z LA.

Wstałam i przeszłam na dziób jachtu. Najwyraźniej wydarzyło się coś złego. Drżącymi palcami wybrałam pocztę głosową i czekałam, aż usłyszę, dlaczego wszystkie moje siostry tak pilnie chcą się ze mną skontaktować.

Najpierw odsłuchiłam najnowsze wiadomości, więc już po chwili wiedziałam.

„Cześć, tu znowu CeCe. Wszystkie boimy się powiedzieć ci o tym, ale musisz natychmiast wracać do domu. Przepraszam, że to ja przekazuję ci złą wiadomość, ale umarł Pa Salt. Strasznie mi przykro... Proszę, zadzwoń jak najszybciej”.

CeCe pewnie myślała, że skończyła już rozmowę, bo nagle, jeszcze przed sygnałem, usłyszałam szloch.

Niewidzącym wzrokiem patrzyłam w dal i myślałam, że przecież dopiero wczoraj widziałam przez lornetkę *Tytana*. To jakieś nieporozumienie, pocieszałam się, lecz po chwili odsłuchiłam wzywającą mnie do domu wiadomość od Mariny, a potem to samo powtórzyły Maja, Tiggy i Elektra...

– O Boże, Boże...

Przytrzymałam się poręczy, żeby nie upaść, a telefon wyślizgnął mi się z dłoni i ze stukotem wylądował na pokładzie. Pochyliłam głowę, bo miałam uczucie, jakby uszła ze mnie cała krew, i bałam się, że za chwilę zemdleję. Ciężko dysząc, opadłam na pokład i schowałam głowę w dłoniach.

– To nie może być prawda, to niemożliwe... – jęczałam.

– Co ci jest, kochanie? – Obok mnie pojawił się nadal nagi Theo. Kucnął, ujął moją twarz i obrócił w swoją stronę. – Co się stało?

Jedyne, co byłam w stanie zrobić, to wskazać telefon.

– Zła wiadomość? – zapytał, podnosząc go ze zmartwioną miną.

Kiwnęłam głową.

– Ally, wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. Chodź do cienia, przyniosę ci szklankę wody.

Nadal trzymając komórkę, podniósł mnie z pokładu, pomógł mi zejść na dół i posadził na skórzanej ławie w kajucie. Pamiętam, że przez głowę przemknęło mi, że nie pierwszy raz widzi mnie tak bezsilną.

Pospiesznie włożył szorty, a mnie przyniósł któryś ze swoich T-shirtów. Delikatnie wciągnął go na moje bezwładne jak u kukły ciało, a potem wcisnął mi w dłoń duży kieliszek brandy i szklankę wody. Ręce tak mi się trzęsły, że musiałam go poprosić, by wybrał pocztę głosową, bo chciałam odsłuchać resztę wiadomości. Pijąc brandy, plułam i krztusiłam się, ale rozgrzała mi żołądek i pomogła się uspokoić.

– Proszę – powiedział, podając mi komórkę.

W odrętwieniu ponownie odsłuchiłam wiadomość od CeCe i wszystkie pozostałe, w tym trzy od Mai i jedną od Mariny. Na koniec usłyszałam nieznaną mi głos Georga Hoffmana, który jak mgliście pamiętałam, był prawnikiem taty. Było jeszcze pięć głuchych wiadomości od osób, które najwyraźniej nie wiedziały, co powiedzieć, więc wyłączyły telefon.

Theo nie spuszczał ze mnie wzroku, dopóki nie położyłam komórki na siedzeniu obok siebie.

– Pa Salt nie żyje – szepnęłam cicho i na bardzo długo wlepiłam wzrok w przestrzeń.

– Jezu! Jak to się stało?

– Nie wiem.

– Jesteś tego całkiem pewna?

– Tak. Choć tylko CeCe miała odwagę wypowiedzieć te słowa... Nie rozumiem, jak to możliwe... Przecież wczoraj widzieliśmy jego jacht...

– Niestety, nie potrafię ci tego wytłumaczyć, kochanie. Ale najlepsze, co możesz zrobić, to natychmiast zadzwonić do domu – powiedział i przesunął telefon w moją stronę.

– Nie mogę.

– Rozumiem. Chcesz, żebym ja to zrobił? Jeśli podasz mi numer, to...

– NIE! – krzyknęłam. – Nie! Po prostu muszę jechać do domu. I to już! – Wstałam, rozejrzałam się bezsilnie, a potem podniosłam wzrok na niebo, jakby nagle miał się nade mną ukazać helikopter, który zaniósłby mnie w miejsce, gdzie jak najszybciej powinnam się znaleźć.

– Słuchaj, muszę na chwilę wejść do internetu i zadzwonić w parę miejsc, ale zaraz wrócę – powiedział Theo i zniknął na mostku, a ja siedziałam nieruchomo jak katatoniczka.

Mój ojciec... Pa Salt... nie żyje? Roześmiałam się z wściekłości, bo tak niedorzeczne mi się to wydało. Był niezniszczalny, wszechmocny, żył...

– Proszę, nie! – nagle zadrżałam i poczułam mrowienie w dłoniach i stopach, jakbym była w zaśnieżonych Alpach, a nie w słońcu Morza Egejskiego.

– No więc tak – zaczął Theo, gdy wrócił z mostka. – Na lot o drugiej trzydzieści z Naksos do Aten już nie zdążysz, więc musimy dopłynąć do Aten. Jutro z samego rana jest lot do Genewy. Zarezerwowałam ci miejsce, bo zostało ich już tylko kilka.

– Więc nie dam rady jeszcze dzisiaj być w domu?

– Jest już wpół do drugiej, Ally, a płynąc do Aten jachtem, musimy pokonać szmat drogi. No, a potem czeka cię jeszcze lot do Genewy. Jeśli przez większość drogi uda nam się płynąć z maksymalną prędkością, przed zachodem słońca powinniśmy dotrzeć do portu. Nawet ja nie mam ochoty wprowadzać łodzi do tak zatłoczonego portu jak Pireus po ciemku.

– Oczywiście – odpowiedziałam tępo, zastanawiając się, jak dam radę przetrzymać bezkresne godziny podróży do domu.

– Idę, bo musimy już ruszać. Chcesz posiedzieć koło mnie?

– Za chwilę.

Pięć minut później usłyszałam rytmiczny szcęk podnoszenia kotwicy hydraulicznej i cichutkie mruczenie przywracanego do życia silnika. Wstałam, przeszłam na rufę i oparłam się o reling. Patrzyłam, jak odpływamy z wyspy, którą wczoraj uważałam za raj, a teraz na zawsze zapamiętam jako miejsce, w którym dowiedziałam się o śmierci ojca. Jacht zaczął nabierać prędkości, a mnie zrobiło się niedobrze z powodu szoku i poczucia winy. Przez kilka ostatnich dni byłam totalną egoistką. Myślałam tylko o sobie i o szczęściu, jakie mnie spotkało.

A kiedy ja leżałam w ramionach Theo, mój ojciec leżał gdzie indziej i umierał. Jak ja to sobie kiedykolwiek wybaczę?

*

Theo dotrzymał słowa i o zachodzie słońca dobiliśmy do portu w Pireusie. Koszmarną podróż przetrzymałam na mostku kapitańskim, leżąc na kolanach Theo. Jedną ręką delikatnie gładził mnie po włosach, a drugą bezpiecznie sterował jachtem po wzburzonym morzu. Kiedy staliśmy już na cumie, zszedł do kambuza i zrobił spaghetti, którym nakarmił mnie jak dziecko.

– Powinnaś się położyć – powiedział. Widziałam, że jest wyczerpany godzinami skupienia. – Jutro musimy wstać o czwartej, żebyś zdążyła na samolot.

Zdawałam sobie sprawę, że jeśli powiem, że dzisiaj się nie kładę, uprze się, żeby mi towarzyszyć, więc się zgodziłam. Przygotowana na długą bezsenność, pozwoliłam, by sprowadził mnie na dół. Pomógł mi położyć się do łóżka i ukołysał w swoich ciepłych ramionach.

– Kocham cię, Ally. Teraz już mi się tak nie wydaje. Wiem na pewno.

Wpatrywałam się w ciemność. Od czasu, gdy otrzymałam tę straszną

wiadomość, nie uroniłam ani jednej łzy, ale teraz nagle poczułam, że mam mokre oczy.

– Przysięgam, że nie mówię tego tylko po to, żeby cię pocieszyć. I tak miałem ci to dzisiaj w nocy powiedzieć – dodał.

– Ja też cię kocham – szepnęłam.

– Naprawdę?

– Tak.

– Jeśli mówisz serio, to cieszę się bardziej, niż gdybym wygrał tegoroczne regaty Fastnet. A teraz postaraj się zasnąć.

I o dziwo, podtrzymywana uściskiem Theo i jego miłosnym wyznaniem, zasnęłam.

*

Następnego ranka w żółtym tempie przedzieraliśmy się przez straszne ateńskie korki, które tworzyły się już od wschodu słońca. Kątem oka widziałam, jak Theo dyskretnie zerka na zegarek. Przeważnie to ja musiałam pilnować kolegów, żeby wszędzie zdążyli, ale teraz cieszyłam się, że wziął to na siebie.

Odprawiłam się czterdzieści minut przed odlotem, kiedy zamykano już stanowisko.

– Ally, na pewno dasz sobie radę? – spytał Theo. – Na pewno nie chcesz, żebym poleciał z tobą do Genewy?

– Nie martw się. Nic mi nie będzie – zapewniłam go, idąc w stronę hali odlotów.

– Gdybym tylko mógł ci w czymś pomóc, od razu daj mi znać.

Doszliśmy do końca wijącej się między barierkami kolejki ludzi czekających na kontrolę bezpieczeństwa.

– Dziękuję ci za wszystko – powiedziałam, odwracając się do Theo. – Zachowywał się nadzwyczajnie.

– Nic takiego nie zrobiłem. – Nagle przyciągnął mnie do siebie. – Ale koniecznie pamiętaj, że cię kocham.

– Dobrze – szepnęłam. Udało mi się nawet leciutko uśmiechnąć.

– Jeśli byś poczuła, że trudno ci być dzielną, po prostu zadzwoń do mnie albo wyślij SMS-a.

– Jasne.

– A tak w ogóle – dodał, wypuszczając mnie z uścisku – w tych okolicznościach świetnie cię zrozumieć, jeśli nie będziesz mogła wziąć udziału w regatach.

– Jak najszybciej dam ci znać.

– Bez ciebie przegramy. – Uśmiechnął się szeroko. – Jesteś najlepsza ze wszystkich członków załogi. Do widzenia, kochanie.

– Do widzenia.

Stałam w kolejce i dałam się pochłonać masie ludzi, którzy krok za krokiem zbliżali się do kontroli. Już miałam położyć plecak na tacy do prześwietlenia, ale jeszcze raz się odwróciłam.

Nadal stał tam, gdzie go zostawiłam.

– Kocham cię – powiedział bezgłośnie, wolno poruszając ustami. Przesłał mi w powietrzu całusa i pomachał ręką, a potem odszedł.

Czekając w hali odlotów, czułam, jak nagle pęka nierzeczywista bańka miłości, która otaczała mnie przez ostatnie kilka dni. Żołądek zacisnął mi się z potwornego strachu przed tym, co mnie czeka. Wyjęłam komórkę i zadzwoniłam do Christiana, młodego szypra naszej rodzinnej motorówki. Zostawiłam mu wiadomość z prośbą, żeby o dziesiątej czekał na mnie przy prywatnej przystani w Genewie i zabrał mnie do domu mojego dzieciństwa. Poprosiłam go także, by nie mówił, że przylatuję, ani moim siostrą, ani mamie, bo sama się z nimi skontaktuję.

Ale kiedy znalazłam się już na pokładzie samolotu i próbowałam się do tego zmusić, stwierdziłam, że nie jestem w stanie. Powstrzymywała mnie straszna perspektywa następnych kilku godzin w samotności ze świadomością, że ktoś z moich bliskich potwierdził wiadomość. Samolot zaczął kołować po pasie startowym i kiedy koła oderwały się od ziemi i unieśliśmy się ku wschodzącemu nad Atenami słońcu, oparłam gorący policzek o chłodną szybę, bo wpadałam w coraz większą panikę. Aby zająć czymś myśli, nieprzytomnie zerknęłam na pierwszą stronę „International Herald Tribune”, którą podała mi stewardesa. Już miałam odłożyć gazetę, kiedy w oczy rzucił mi się nagłówek:

CIAŁO MILIARDERA WYRZUCONE PRZEZ MORZE

NA GRECKĄ WYSPE

Było także zdjęcie w miarę znajomej twarzy wraz z podpisem:

Na plaży Morza Egejskiego odnaleziono martwego Kreega Eszu

Zszokowana wlepiłam wzrok w nagłówek. Przecież Theo mówił mi, że jacht Eszu, *Olympus*, stał na cumie tuż obok *Tytana* w zatoce Delos...

Nie zareagowałam, gdy gazeta spadła na podłogę, i kompletnie załamana patrzyłam przez okno. Niczego już nie rozumiałam. Naprawdę niczego...

Prawie trzy godziny później, kiedy samolot zaczął schodzić do lądowania nad Genewą, serce biło mi tak mocno, że z trudem łapałam oddech. Wracalam do domu. Zazwyczaj było to związane z radością i przyjemnym podnieceniem, ponieważ czekał tam na mnie człowiek, którego kochałam najbardziej na świecie, i z otwartymi ramionami przyjmował mnie w naszym własnym magicznym

świecie. Wiedziałam jednak, że tym razem mnie nie przywita. I już nigdy go nie będzie.

– Czy chciałaby pani prowadzić, mademoiselle Ally? – Christian wskazał na miejsce przy sterze. Zwykle siadałam tam i prowadziłam łódź po spokojnych wodach Jeziora Genewskiego.

– Nie dzisiaj, Christian – powiedziałam, a on z powagą kiwnął głową. Jego ponura mina potwierdzała, że wiadomość, którą otrzymałam, jest prawdą. Uruchomił silnik, a ja osunęłam się na jedno z tylnych siedzeń. Zrozpaczona opuściłam głowę; przypominałam sobie, jak Pa Salt, kiedy byłam mała, wziął mnie na kolana i po raz pierwszy pozwolił mi sterować. A za kilka minut nie tylko będę musiała zmierzyć się z rzeczywistością, ale wytłumaczyć siostrom, dlaczego nie odbierałam od nich wiadomości i dlaczego się nie odezwałam, kiedy już je odsłuchałam. Zbliżając się do Atlantis, zastanawiałam się, jaki jest ten Bóg, skoro tak nagle strącił mnie ze szczytów szczęścia w otchłań rozpacz.

Z perspektywy jeziora wszystko, co znajdowało się za nienagannie wypielegnowanym żywopłotem, który osłaniał zameczek przed wścibskimi oczami gapiów, wyglądało tak jak zawsze. Gdy Christian podpłynął do pomostu i bezpiecznie przycumował łódź do pachołka, pomyślałam, że na pewno nastąpiła jakaś pomyłka. Tata lada chwila mnie przywita. Musi tu być...

Nie minęło kilka sekund, a zobaczyłam, że po trawie idą w moją stronę Star i CeCe. Wkrótce pojawiła się również Tiggy. Usłyszałam, że wykrzykuje coś zza otwartych drzwi zameczku, a potem biegnie za starszymi siostrami. Pognałam im na spotkanie, ale ich zrozpaczone miny tak mnie przeraziły, że zrobiło mi się miękko w kolanach i w końcu się zatrzymałam. Ally, jesteś tu przywódczynią, musisz wziąć się w garść, nakazałam sobie.

– Ally, och, Ally. Tak się cieszę, że jesteś. – Pierwsza dotarła do mnie Tiggy. Stałam nieruchomo na trawie i usiłowałam wyglądać na spokojną. Zarzuciła mi ramiona na szyję i mocno mnie uścisnęła. – Czekamy na ciebie od dwóch dni!

Następna była przy mnie CeCe, a potem jej cień, Star, która w milczeniu dołączyła się do uścisku Tiggy. Chwilę stałyśmy we trzy, obejmując się.

W końcu odsunęłam się od nich – zauważyłam, że wszystkie mają w oczach łzy – i w ciszy ruszyłyśmy do domu.

Widok zameczku był dla mnie bolesny. Pa Salt nazywał go swoim prywatnym królestwem. Budynek pochodził z osiemnastego wieku i naprawdę wyglądał jak z bajki. Miał cztery wieżyczki i pomalowaną na różowo fasadę. Stał na prywatnym półwyspie, otoczony wspaniałymi ogrodami. Zawsze czułam się tu bezpiecznie – ale bez taty dom ział pustką.

Kiedy dotarłyśmy do tarasu, z pawilonu obok zameczku wyszła moja najstarsza siostra, Maja. Od razu zauważyłam ból na jej pięknej twarzy, ale na mój widok chyba odmalowała się na niej ulga.

– Ally! – zawołała i wybiegła mi na spotkanie.

– Maju... – zdołałam się odezwać, kiedy już mnie wyściskała. – To straszne, prawda?

– Okropne... Ale skąd się dowiedziałas? Od dwóch dni staramy się z tobą skontaktować.

– Chodźmy do środka, to wszystko wam wyjaśnię.

Weszłam do zameczku pierwsza, Maja została za nami. Była najstarsza i jeśli któraś z nas miała jakiś kłopot, zwracała się do niej, by pogadać w cztery oczy, ale kiedy byliśmy w grupie, to ja zawsze przejmowałam dowodzenie. Czułam, że Maja chce, żeby tak było również teraz.

Mama już czekała na nas przy wejściu. W milczeniu przytuliła mnie w ciepłym uścisku. Zatopiłam się w jej opiekuńczych ramionach i mocno do niej przylgnęłam. Poczułam ulgę, gdy zaproponowała, żebyśmy przeszły do kuchni. Byłam po długiej podróży i miałam wielką ochotę na kawę.

Kiedy nasza gosposia Claudia parzyła kawę w dużej kafetierze, do kuchni weszła Elektra. Choć miała na sobie zwykłe szorty i T-shirt, wyglądała olśniewająco; jej długie, ciemne ręce i nogi poruszały się z niewymuszoną elegancją.

– Ally – przywitała mnie cichutko. Z bliska zobaczyłam, że wygląda na bardzo zmęczoną, jakby ktoś zrobił w niej dziurkę i wyssał cały ogień z jej niewiarygodnie pięknych, bursztynowych oczu. Objęła mnie na chwilę i ścisnęła mi ramię.

Przyjrzałam się każdej z siostr i pomyślałam o tym, jak rzadko spotykałyśmy się ostatnio wszystkie w jednym miejscu. Tylko że powód tego spotkania sprawił, że serce podskoczyło mi do gardła. W końcu dowiem się, jak umarł tata, ale najpierw muszę im powiedzieć, gdzie byłam, co widziałam i dlaczego aż tak długo trwało, zanim dotarłam do domu.

– No więc tak – zaczęłam i odetchnęłam głęboko. – Opowiem wam, co się stało, ponieważ, szczerze mówiąc, sama nadal tego nie rozumiem.

Gdy rozsiadłyśmy się dookoła stołu, zauważyłam, że mama stanęła z boku, więc wskazałam jej krzesło.

– Mamo, ty też powinnaś to usłyszeć. Może coś nam wyjaśnisz.

Usiadła, a ja starałam się zebrać myśli, żeby opowiedzieć im, jak przez lornetkę zobaczyłam *Tytana*.

– Byłam na Morzu Egejskim i trenowałam przed regatami po Cykladach, które są w przyszłym tygodniu. Znajomy z załogi zaproponował, żebym długi weekend spędziła z nim na jego jachcie motorowym. Pogoda była fantastyczna, więc cieszyliśmy się, że dla odmiany możemy po prostu odpoczywać na wodzie.

– A czyj był ten jacht? – spytała, tak jak to przewidziałam, Elektra.

– Już mówiłam: znajomego – odparłam wymijająco. Bardzo chciałam

opowiedzieć siostram o Theo, ale nie był to odpowiedni moment. – W każdym razie, kilka dni temu ten znajomy powiedział, że jego kumpel, też żeglarz, powiadomił go przez radio, że niedaleko wybrzeża Delos zauważył *Tytana*...

Myślami wróciłam do tej chwili, upiłam łyk kawy i postarałam się dokładnie opowiedzieć, jak wysyłaliśmy do *Tytana* wiadomości radiowe, ale nie było na nie odpowiedzi, i jak bardzo się dziwiłam, kiedy jacht taty zaczął przed nami uciekać. Wszystkie z zapartym tchem słuchały mojej opowieści. Zobaczyłam, że mama i Maja wymieniają smutne spojrzenia. Potem wzięłam głęboki oddech i powiedziałam, że w okolicy był tak słaby zasięg, że dopiero wczoraj dotarły do mnie ich wiadomości. Nienawidziłam siebie za to kłamstwo, ale nie byłam w stanie się przyznać, że po prostu wyłączyłam komórkę. Nie wspomniałam też o *Olympusie*, drugim jachcie, który widzieliśmy w zatoce.

– Może któraś z was mi wyjaśni, co tu się właściwie dzieje? – poprosiłam na koniec. – I dlaczego jacht taty był przy wybrzeżu Grecji, kiedy on już... nie żył?

Wszystkie zwróciłyśmy się w stronę Mai.

– Trzy dni temu Pa Salt miał zawał serca – odezwała się, a ja widziałam, jak ostrożnie waży słowa. – Nikt nie był w stanie mu pomóc.

Wiadomość o tym, jak umarł, usłyszana z ust najstarszej siostry, nadała jego śmierci wymiar ostateczności. Usiłowałam powstrzymać łzy, a ona mówiła dalej:

– Jego ciało zabrano helikopterem na *Tytana*. Ojciec pragnął na zawsze spocząć w oceanie i nie chciał denerwować nas pogrzebem.

Siedziałam ze wzrokiem przykutym do Mai i powoli docierała do mnie straszna prawda.

– O mój Boże – wyszeptałam w końcu. – Być może niechcący byłam świadkiem jego pogrzebu. Nic dziwnego, że jacht tak szybko się od nas oddalił.

Dłużej nie miałam siły udawać spokojnej i silnej. Ukryłam twarz w dłoniach i oddychałam głęboko, żeby opanować ogarniającą mnie panikę. Siostry zebrały się dookoła, żeby mnie pocieszyć. Nie byłam przyzwyczajona do okazywania przy nich emocji, więc przepraszałam je w kółko niczym automat, próbując się uspokoić.

– Przeżyłaś straszny szok, kiedy się o wszystkim dowiedziałaś. Bardzo nam przykro – łagodnie odezwała się Tiggy.

– Dziękuję – wykrztusiłam, a potem zaczęłam pleść jakieś banały o tym, jak tata kiedyś mi powiedział, że chciałby być pochowany w morzu. Co za bezsensowny zbieg okoliczności, że natknęłam się na *Tytana* podczas ostatniej podróży Pa Salta! Myśl o tym przyprawiła mnie o zawroty głowy. Poczułam, że natychmiast muszę wyjść na powietrze. – Słuchajcie – odezwałam się tak spokojnie, jak tylko mogłam. – Bardzo byście się na mnie obrażyły, gdybym chwilę pobyła sama?

Wszystkie uznały, że to dobry pomysł, więc wyszłam z kuchni żegnana ich

ciepłymi wyrazami wsparcia.

Stanęłam w holu i rozpaczliwie rozejrzałam się, usiłując znaleźć miejsce, które da mi ukojenie, ale zdawałam sobie sprawę, że wszędzie, gdzie się zwrócę, będę odczuwać brak taty i nic tego nie zmieni.

Niepewnym krokiem wyszłam za ciężkie dębowe drzwi. Chciałam tylko znaleźć się na powietrzu, aby pozbyć się uciskającego mi klatkę piersiową uczucia paniki.

Ciało automatycznie zaprowadziło mnie na przystań, gdzie z ulgą zobaczyłam przycumowaną do pomostu żaglówkę *Laser*. Weszłam na pokład, podniosłam żagle i zluzowałam liny.

Gdy oddaliłam się od brzegu, poczułam, że jest dobry wiatr, więc postawiłam spinaker i pożegłowałam po jeziorze najszybciej, jak się dało. W końcu się zmęczyłam i zarzuciłam kotwicę w zatoczce osłoniętej półwyspem.

Czekałam, aż przez głowę znów popłyną mi myśli. Może znajdę wtedy jakiś sens w tym, czego właśnie się dowiedziałam. W tej chwili miałam w niej taki mętlik, że patrzyłam tylko w dal na wodę i nie myślałam absolutnie o niczym. Pragnęłam znaleźć coś, czego mogłabym się uchwycić, żeby zrozumieć. Nie potrafiłam połączyć faktów w sensowną całość. Widziałam z daleka coś, co najwyraźniej musiało być pogrzebem ojca... Ale dlaczego właśnie ja to zobaczyłam? Czy był po temu jakiś powód? Czy to tylko przypadek?

Serce stopniowo się uspokoiło, a w końcu zaczął funkcjonować także i mózg. Powoli docierała do mnie naga prawda. Pa Salt odszedł i prawdopodobnie nie ma w tym żadnego sensu. I jeśli ja, wieczna optymistka, mam to przetrwać, muszę zaakceptować fakty. Niestety, wszystkie moje dotychczasowe sposoby wydstawiania się z trudnych sytuacji teraz na nic się nie przydawały. W obliczu żaloby i zwątpienia stały się pustymi banałami. Zrozumiałam, że nie jestem w stanie nic wymyślić, bo już nigdy nic nie ukoi mojego bólu z powodu tego, że ojciec opuścił mnie bez pożegnania.

Długo siedziałam na rufie łodzi ze świadomością, że właśnie mija następny dzień na ziemi, na której nie ma taty. Zastanawiałam się, jak ukoić straszliwe poczucie winy, że wybrałam własne szczęście, kiedy on i siostry tak bardzo mnie potrzebowali. W najważniejszej chwili wszystkich zawiodłam. Podniosłam wzrok na niebo, a po policzkach popłynęły mi łzy i poprosiłam Pa Salta o wybaczenie.

Potem łyknęłam trochę wody i położyłam się na rufie. Owiewała mnie lekka bryza, a delikatne kołysanie łodzi jak zawsze bardzo mnie uspokoiło; nawet na chwilę się zdrzemnęłam.

Mamy tylko chwile, Ally. Nigdy o tym nie zapominaj.

Obudziłam się z myślą, że było to jedno z ulubionych powiedzeń taty. Nadal rumieniłam się ze wstydu na myśl o tym, co robiłam z Theo, kiedy on umierał. Zobaczyłam to jako ostre przeciwstawienie początku i końca życia – i tłumaczyłam

sobie, że ani dla taty, ani dla reszty świata nie miałyby znaczenia, gdybym zamiast tego piła herbatę albo spała jak kamień. Poza tym, byłam przekonana, że tata bardziej niż ktokolwiek inny cieszyłby się, że znalazłam kogoś takiego jak Theo.

Kiedy wróciłam do Atlantis, czułam się już nieco spokojniejsza. Mimo to gnębiło mnie, że opowiadając siostrze, jak zobaczyłam jacht ojca, o czymś nie wspomniałam. Musiałam z kimś się tym podzielić, żeby spróbować poskładać to w jakąś sensowną całość.

Jak we wszystkich dużych rodzinach, także w naszej jedni są sobie bliżsi niż inni. Maja i ja byłyśmy najstarsze, postanowiłam więc właśnie jej powiedzieć o tym, co zobaczyłam.

Przycumowałam żaglówkę do pomostu i wróciłam do zameczku. Ciężar na piersi już mi nieco zelżał. Na trawniku podbiegła do mnie zdyszana Marina. Przywitałam ją smutnym uśmiechem.

– Pływałaś na *Laserze*, Ally?

– Tak. Musiałam się trochę przewietrzyć.

– Dziewczęta wybrały się na mały rejs po jeziorze – poinformowała mnie.

– Wszystkie?

– Oprócz Mai. Zamknęła się w pawilonie, bo musi trochę popracować.

Wymieniłyśmy między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Chociaż widziałam, jak bardzo mama cierpiała z powodu śmierci taty, kochałam ją za to, że zawsze na pierwszym miejscu stawia nasze zmartwienia i troski. Najwyraźniej martwiła się o Maję. Zawsze podejrzewałam, że to ona jest jej ulubienicą.

– Właśnie chciałam z nią pogadać – powiedziałam.

– W takim razie przekaż jej, że niedługo zjawi się tu prawnik waszego ojca, Georg Hoffman. Najpierw chce porozmawiać ze mną, chociaż nie mam pojęcia o czym. Więc niech Maja przyjdzie do zameczku za jakąś godzinę. Ty oczywiście też.

– Dobrze.

Mama czule uścisnęła mi rękę i wróciła do domu.

Kiedy dotarłam do pawilonu, leciutko zapukałam do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Wiedziałam, że Maja nigdy nie zamyka drzwi na klucz, więc weszłam do środka i zawołałam ją. Spała na kanapie w salonie. Jej idealnie piękne rysy rozluźniły się, a błyszczące ciemne włosy rozsypały się w tak przemyślny wzór, jakby ktoś ułożył je do zdjęcia. Kiedy do niej podeszłam, zerwała się zażenowana.

– Przepraszam, że cię obudziłam.

– Nie szkodzi – rzuciła, rumieniąc się.

– Mama powiedziała, że reszta dziewcząt wypłynęła na jezioro, więc pomyślałam, że przyjdę porozmawiać z tobą. Masz coś przeciwko temu?

– Ależ skąd.

Najwyraźniej bardzo mocno zasnęła, więc aby dać jej czas dojść do siebie, zaproponowałam, że zrobię herbatę. Kiedy usiadłyśmy z parującymi filiżankami, zobaczyłam, że drżą mi ręce, i uznałam, że chyba potrzebuję czegoś mocniejszego, żeby jej opowiedzieć, co widziałam.

– W lodówce jest białe wino – powiedziała Maja z wyrozumiałym uśmiechem i poszła do kuchni po kieliszek wina dla mnie.

Upiłam łyk i zebrałam siły, żeby jej powiedzieć, że dwa dni temu obok jachtu Pa Salta widziałam jacht Kreega Eszu. Ku mojemu zdziwieniu, Maja zbladła i choć sama byłam zszokowana, że *Olympus* znalazł się tak blisko *Tytana*, zwłaszcza kiedy dowiedziałam się, co się na nim działo, Maja była tym znacznie bardziej wstrząśnięta, niż się spodziewałam. Obserwowałam, jak stara się uspokoić, a potem usiłuje zlekceważyć to, co ode mnie usłyszała, i trochę mnie pocieszyć.

– Ally, bardzo cię proszę, zapomnij, że tam był ten drugi jacht. To nie ma znaczenia. Właściwie dobrze, że wiemy, gdzie ojciec postanowił zostać pochowany. Może w lecie popłyniemy tam razem i złożymy na wodzie wieniec, tak jak zaproponowała Tiggy.

– Najgorzej, że mam straszne poczucie winy! – odezwałam się nagle, bo nie mogłam już dłużej wytrzymać.

– Dlaczego?

– Bo... przez te kilka dni na jachcie przeżyłam coś pięknego. Byłam szczęśliwa, szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu. No i prawda jest taka, że nie chciałam, żeby ktokolwiek do mnie dzwonił, więc wyłączyłam telefon. A w tym czasie tata umierał! Akurat, kiedy mnie potrzebował, byłam niedostępna!

– Ally, Ally... – Maja usiadła przy mnie i odgarnęła mi włosy z twarzy, a potem objęła mnie i leciutko pokołysała w ramionach. – Naprawdę uważam, że tata chciał, żeby tak było. Zwróć uwagę na to, że tu mieszkam, a nawet ja wyfrunęłam z gniazda, kiedy to się stało. Z tego, co mówiła mama, wynika, że nic nie dało się zrobić. Musimy w to wierzyć.

– Wiem. Ale mam wrażenie, że jest tyle rzeczy, o które chciałam go zapytać, tyle mu powiedzieć, a teraz już go nie ma.

– Chyba wszystkie tak to odczuwamy. Przynajmniej mamy siebie nawzajem.

– Tak, to prawda. Dziękuję ci, Maju. Czy to nie dziwne, że w ciągu kilku godzin życie może zostać postawione na głowie?

– Tak – zgodziła się ze mną i po chwili dodała: – Kiedyś chciałabym się dowiedzieć, dlaczego byłaś taka szczęśliwa.

Pomyślałam o Theo i od razu zrobiło mi się lżej na duszy.

– Przyjdzie taka chwila, że ci opowiem. Obiecuję. Ale jeszcze nie teraz. A tobie jak się żyje, Maju?

– W porządku. – Wzruszyła ramionami. – Nadal jestem w szoku, jak wszyscy.

– Oczywiście. Zawiadamianie nas na pewno nie było łatwe. Przepraszam, że mnie nie było, żeby ci pomóc.

– Ale już przyjechałaś i dzięki temu możemy przynajmniej spotkać się z Georgiem Hoffmanem, a potem jakoś poukładamy sobie życie.

– No tak. – Spojrzałam na zegarek. – Zapomniałam ci powiedzieć, że mama prosiła, żebyśmy gdzieś za godzinę były w zameczku. Lada chwila przyplynie Georg Hoffman, ale podobno najpierw chce porozmawiać z Mariną. Więc skoro musimy czekać, to czy mogę jeszcze prosić o kieliszek wina?

O siódmej wieczorem poszliśmy obie z Mają do zameczku na spotkanie z Georgiem Hoffmanem. Nasze siostry już jakiś czas czekały w wieczornym słońcu na tarasie; były bardzo napięte i niecierpliwe. Elektra jak zwykle skrywała nerwowość za sarkastycznymi uwagami na temat upodobania taty do teatralnych inscenizacji i tajemnic. Wreszcie pojawiła się Marina z Georgiem: wysokim, siwowłosym mężczyzną w nieskazitelnie eleganckim, ciemnoszarym garniturze. Typowy dobry szwajcarski prawnik.

– Przepraszam, że to trwało tak długo, dziewczęta, ale musiałem coś zorganizować – powiedział. – Chciałbym wam wszystkim złożyć kondolencje. – Każdej z nas po kolei podał rękę. – Czy mogę usiąść?

Maja wskazała mu krzesło obok siebie i Georg usiadł. Wyczułam, że jest spięty; cały czas okręcał wokół nadgarstka swój drogi, ale dyskretny zegarek. Marina przeprosiła wszystkich i wróciła do zameczku, zostawiając nas same z prawnikiem.

– No cóż, dziewczęta – zaczął. – Bardzo mi przykro, że nasze pierwsze spotkanie odbywa się w tak tragicznych okolicznościach. Oczywiście mam wrażenie, że każdą z was bardzo dobrze znam z opowieści ojca. Po pierwsze, muszę wam powiedzieć, że was wszystkie bardzo kochał. – Zauważyłam, że na jego twarzy pojawiły się szczerze emocje. – Nie tylko kochał, był niezmiernie dumny z tego, kim jesteście. Rozmawiałem z nim tuż przed jego... odejściem i prosił, żebym wam to przekazał.

Miło popatrzył po kolei na każdą z nas, a potem położył na stole teczkę.

– Przed wszystkim musimy omówić sprawę finansów. Pragnę was zapewnić, że w pewnym zakresie będziecie zabezpieczone do końca życia. Niemniej jednak ojciec był niezłomny w swoim postanowieniu, że nie powinnyście prowadzić życia leniwych księżniczek. Tak więc każda z was dostanie comiesięczną pensję, która wystarczy na zabezpieczenie podstawowych potrzeb, ale nie pozwoli jej na życie w luksusie. W rozmowie ze mną ojciec stanowczo podkreślał, że na zbytki każda musi zarobić sama, tak jak on w przeszłości. Majątek waszego ojca znajdzie się w funduszu powierniczym, którym, zgodnie z jego życzeniem, będę miał zaszczyt zarządzać. Od mojej decyzji będzie zależało, czy przyznać dodatkową pomoc finansową, jeśli któraś z was przyjdzie do mnie z jakąś propozycją bądź kłopotem.

Żadna z nas nic nie powiedziała. Słuchałyśmy w skupieniu.

– Zameczek wejdzie w skład funduszu powierniczego. Zarówno Claudia, jak i Marina zgodziły się tu zostać i opiekować się nim. W dniu śmierci ostatniej siostry fundusz powierniczy zostanie rozwiązany, a Atlantis będzie można sprzedać. Dochód ze sprzedaży zostanie rozdzielony między wszystkie dzieci,

które może będziecie miały. Jeśli ich nie będzie, pieniądze zostaną przekazane organizacji charytatywnej, którą wyznaczył wasz ojciec. Uważam, że bardzo mądrze to wymyślił – skomentował Georg, nareszcie rezygnując z prawniczych formalności. – Zapewnił, że dopóki żyjecie, będziecie mogły korzystać z rodzinnego domu i zawsze mieć świadomość, że jest bezpieczne miejsce, do którego możecie wrócić. Ale oczywiście największym życzeniem ojca było, aby każda z was wyfrunęła z gniazda i sama uwiła dla siebie przyszłość.

Wymieniłyśmy spojrzenia, zastanawiając się, jakie to wniesie zmiany do naszego życia. Pomyślałam, że na moją przyszłość finansową nie będzie to miało wpływu. Zawsze byłam niezależna i ciężko pracowałam na wszystko, co mam. A moje przeznaczenie... Pomyślałam o Theo i o tym, co miałam nadzieję dalej z nim dzielić.

– Jest jeszcze coś, co ojciec wam zostawił, ale żeby to zobaczyć, muszę poprosić, żebyście poszły ze mną. Proszę, tędy.

Poszłyśmy za nim, niepewne, dokąd chce nas zabrać. Poprowadził nas przez park nieco w bok od zameczku, aż doszłyśmy do tajemnego ogródka Pa Salta ukrytego za idealnie przyciętym cisowym żywopłotem. Przywitała nas feeria kolorów lawendy, lubczyku i aksamitek, które latem zawsze przyciągały motyle. Ulubiona ławeczka taty stała w altance oplecionej krzakami białych róż, które także i dzisiaj leniwie zwisały nad miejscem, gdzie powinien siedzieć. Kiedy byłyśmy małe, uwielbiał przyglądać się naszej zabawie na kamienistej plaży między ogrodem a jeziorem. Ja nieudolnie usiłowałam wiosłować w małej zielonej kanadyjce, którą podarował mi na szóste urodziny.

– Jesteśmy na miejscu. Oto, co chciałem wam pokazać – powiedział Georg i wyrywając mnie z rozmarzenia, wskazał na środek tarasu, gdzie pojawiła się niezwykle rzeźba.

Stała na cokole, który sięgał mi mniej więcej do biodra. Zebrałyśmy się dookoła niej, aby dokładnie ją obejrzyć. Pośrodku skomplikowanej konstrukcji znajdowała się przeszyta strzałą złota kula obudowana misternie ułożonymi metalowymi obręczami. Zauważyłam, że na kuli są delikatnie wyryte kontynenty i oceany, więc zrozumiałam, że to globus, a grot strzały wskazuje Gwiazdę Północną. Większa metalowa obręcz okalała równik, na którym wyryto dwanaście astrologicznych znaków zodiaku. Wyglądało to jak stary przyrząd do nawigacji, ale co tata chciał w ten sposób wyrazić?

– Sfera armilarna – odpowiedział Georg na pytanie CeCe, co to takiego. Następnie wytłumaczył nam, że sfery armilarne istniały przez tysiące lat. Starożytni Grecy używali ich, by określić położenie gwiazd i porę dnia.

Kiedy już rozumiałam, do czego służy ten starożytny przyrząd, zachwyciłam się jego czystym pięknem. Wszystkie wzdychałyśmy z zachwytem, aż przerwała nam zniecierpliwiona Elektra.

– Tak, ale jaki to ma związek z nami?

– Nie zostałem upoważniony, aby to wyjaśniać – przeprosił nas Georg. – Chociaż jeśli przyjrzyście jej się dokładniej, zobaczycie, że na obręczach, które przed chwilą pokazywałem, znajdują się wasze imiona.

I rzeczywiście. Wyraźnie było widać elegancko wygrawerowane litery.

– O, jest twoje imię, Maju. – Wskazałam je palcem. – Dalej widzę jakieś liczby, które wyglądają na współrzędne geograficzne – dodałam, po czym znalazłam swoje imię i też dokładnie przyjrzałam się cyfrom. – Tak, to są na pewno współrzędne.

Obok nich były jeszcze inne napisy. Maja stwierdziła, że są w grece, i obiecała, że później je przetłumaczy.

– No dobrze, bardzo ładna ta rzeźba i stoi na tarasie. Ale w sumie jakie to ma znaczenie? – CeCe zaczęła tracić cierpliwość.

– Jeszcze raz powtarzam: nie mogę wam tego powiedzieć – odparł Georg. – A teraz zgodnie z instrukcjami waszego ojca Marina przygotowała szampana na głównym tarasie. Ojciec chciał, żebyście wzniosły toast na cześć jego odejścia. A potem każdej z was dam od niego kopertę. Mam nadzieję, że znajdziecie w niej znacznie lepsze wyjaśnienie niż to, którym ja jestem wam w stanie służyć.

Zachodziłam w głowę, jakie miejsca mogły oznaczać współrzędne, gdy wraz z innymi wróciłam na taras. Wszystkie głównie milczałyśmy, usiłując zgadnąć, co ojciec chciał nam przekazać. Mama nalewała szampana, a ja zastanawiałam się, jak wiele z dzisiejszego scenariusza znała już przedtem. Jej twarz była jednak nieprzenikniona.

Georg wznosił kieliszek.

– Uczcijmy wspólnie niezwykle życie waszego ojca. Powiem tylko tyle: właśnie taki chciał mieć pogrzeb: pragnął, aby wszystkie jego córki zebrały się w Atlantis, w domu, który miał zaszczyt przez tyle lat z wami dzielić.

– Za Pa Salta – powiedziałyśmy, wznosząc kieliszki.

W milczeniu piłyśmy szampana, każda pochłonięta swoimi myślami. Ja rozważałam wszystko, co zobaczyłyśmy, i rozpaczliwie pragnęłam jakiegoś wyjaśnienia.

Czułyśmy się nieswojo, ale łyknęłyśmy nieco szampana. Spojrzałam w niebo, a potem na jezioro i na góry za wodą i powiedziałam tacie, że go kocham.

– Więc kiedy dostaniemy te listy? – zapytałam w końcu.

– Zaraz po nie pójdę. – Georg wstał od stołu.

– To na pewno najdziwniejsza stypa, w jakiej kiedykolwiek brałam udział – odezwała się CeCe.

– Mogę prosić o więcej szampana? – zapytałam Marinę. Zaczęłyśmy zasypywać się nawzajem pytaniami, a Tiggy cichutko łkała.

– Tak bardzo chciałabym, żeby tu był i wszystko sam nam wyjaśnił –

szepnęła.

– Ale go nie ma. – Ocknęłam się i zmobilizowałam wszystkie siły, bo uświadomiłam sobie, że poddajemy się smutkowi i rozpaczy. – Ja tam czuję, że wszystko jest tak, jak trzeba. Tata postarał się, żebyśmy przeszły przez to straszne doświadczenie tak łagodnie, jak to tylko możliwe. A teraz musimy się nawzajem wspierać.

Wszystkie siostry kiwnęły głowami na znak, że się ze mną zgadzają, nawet Elektra. Ucisnęła dłoń Tiggy. Tymczasem wrócił Georg i położył na stole sześć grubych kremowych kopert z welinowego papieru.

– Te listy dostałem mniej więcej sześć tygodni temu z poleceniem, że gdyby wasz ojciec umarł, każdej z was mam wręczyć kopertę – oznajmił.

– Czy mamy je otworzyć teraz, czy potem, w samotności? – zapytałam.

– Ojciec nie postawił tu żadnych warunków – wyjaśnił Georg. – Powiedział tylko, żeby każda z was otworzyła swoją kopertę, kiedy poczuje, że jest do tego gotowa i może zrobić to w spokoju.

Popatrzyłam na siostry i zobaczyłam, że każda woli otworzyć list w samotności.

– A więc moja praca jest na dziś skończona – oświadczył prawnik i skinął głową. Dał nam po wizytówce i powiedział, że zawsze jest do naszej dyspozycji. – Chociaż znając waszego ojca, jestem pewny, że przewidział, czego każdej z was potrzeba. A teraz na mnie już czas. Jeszcze raz składam wam, dziewczęta, kondolencje.

Zrozumiałam, że przekazanie nam tajemniczego przesłania ojca musiało być dla niego bardzo trudne. Byłam zadowolona, że Maja podziękowała mu w imieniu nas wszystkich.

– Do widzenia. Jeśli byście mnie potrzebowały, wiecie, gdzie jestem. – Uśmiechnął się z powagą i opuścił taras.

Od stołu wstała także Marina.

– Chyba dobrze by nam zrobiło, gdybyśmy coś zjadły. Powiem Claudii, żeby kolację przyniosła tutaj – powiedziała i zniknęła wewnątrz domu.

Cały dzień nawet przez chwilę nie myślałam o jedzeniu. W tym momencie również bardziej mnie interesowało to, co chciał nam przekazać ojciec.

– Mogłabyś wrócić do sfery armilarnej, Maju, i przetłumaczyć napisy, które są na niej wyryte? – poprosiłam.

– Oczywiście – powiedziała. Tymczasem Marina i Claudia wróciły z talerzami i sztuccami. – Zaraz po kolacji.

Elektra zmierzyła wzrokiem nakrycie i wstała.

– Mam nadzieję, że się nie obrazicie, ale nie jestem głodna.

– Głodna jesteś, Star? – spytała CeCe, gdy Elektra zniknęła.

Star mocno ścisnęła swoją kopertę.

– Chyba powinniśmy coś zjeść – odpowiedziała cicho.

Tak nakazywał rozsądek. Kiedy dostałyśmy jedzenie, wmusiłyśmy w siebie domową pizzę i sałatę. Potem jedna po drugiej siostry pomału opuszczały taras, aż zostałam sama z najstarszą z sióstr.

– Nie obrazisz się, Maju, jeśli i ja sobie pójdę? Jestem strasznie zmęczona.

– Ależ skąd – odpowiedziała. – Ostatnia dowiedziałaś się o wszystkim i nie zdążyłaś otrząsnąć się z szoku.

– Pewnie tak. – Wstałam i delikatnie pocałowałam ją w policzek. – Dobranoc, kochana.

– Dobranoc.

Miałam wyrzuty sumienia, że zostawiłam ją przy stole, ale podobnie jak pozostałe siostry, musiałam trochę побыć sama. W dodatku list, który trzymałam w rękach, jakby parzył mnie w palce. Zastanawiałam się długo, gdzie znajdę spokojne, odosobnione miejsce, i doszłam do wniosku, że największe pocieszenie przyniesie mi mój pokój dziecięcy, więc wspięłam się po schodach na drugie piętro.

Wszystkie nasze sypialnie były na najwyższej kondygnacji zameczku. Kiedy byłyśmy małe, czasem bawiłyśmy się tam z Mają, udając, że jesteśmy księżniczkami uwięzionymi w wieży.

Mój pokój był jasny i prosto urządzony, ze ścianami w kolorze magnolii i biało-niebieskimi zasłonami w oknach. Tiggy powiedziała kiedyś, że wygląda jak kajuta na starym statku. Okrągłe lustro obramowane było kołem ratunkowym z napisem *SS Ally*. Wiele lat temu dostałam je pod choinkę w prezencie od Star i CeCe.

Usiadłam na łóżku, popatrzyłam na kopertę i zastanawiałam się, czy siostry otwierają swoje listy od razu, czy też boją się, co w nich może być. W moim wyczułam coś wypukłego, co przesunęło się, kiedy go podniosłam. Zawsze jako pierwsza z sióstr otwierałam prezenty gwiazdkowe i urodzinowe. Teraz poczułam tę samą niecierpliwość co przy prezentach. Rozdarłam kopertę, wyjęłam kartkę grubego papieru i aż podskoczyłam z zaskoczenia, kiedy wypadł z niej na koldrę mały twardy przedmiot. Była to brązowa żabka.

Podniosłam ją i przez chwilę uważnie się jej przypatrywałam. Poczułam się głupio, bo w pierwszej chwili pomyślałam, że jest żywa. Miała żółto nakrapiane plecy i miłe wyraziste oczy. Przesunęłam palcami po powierzchni figurki. Nie miałam najmniejszego pojęcia, dlaczego Pa Salt włożył ją do mojego listu. Nie mogłam sobie przypomnieć, by dla mnie albo dla niego żaby miały jakieś szczególne znaczenie. Być może jest to jeden z ulubionych żarcików Pa Salta, który wyjaśni w liście.

Podniosłam kartkę, rozłożyłam ją i zaczęłam czytać.

Atlantis

Jezioro Genewskie

Szwajcaria

Najdroższa Ally

Kiedy zaczynam pisać ten list, wyobrażam sobie Ciebie – moją piękną, energiczną drugą córkę. Zapewne najpierw skwapliwie pochłoniesz słowo za słowem, aby jak najszybciej dojść do końca, a potem będziesz musiała jeszcze raz powoli przeczytać ten list.

W każdym razie już wiesz, że odszedłem. Dla każdej z Was wiadomość o tym niewątpliwie oznaczała szok. Wiem jednak, że jako największa optymistka spośród sióstr, której pozytywne nastawienie i radość życia udzielały się także i mnie, będziesz mnie oplakiwać, a potem jak zwykle pozbierasz się i pójdziesz swoją drogą. Tak właśnie powinno być.

Ze wszystkich moich córek jesteś chyba najbardziej do mnie podobna. Mogę tylko powiedzieć, że zawsze byłem z Ciebie niezwykle dumny. Mam nadzieję i modlę się o to, żebyś taka pozostała, nawet kiedy mnie już nie będzie, by Cię chronić. Najpotężniejszy wróg człowieka to strach, a to, że jesteś go pozbawiona, trzeba uznać za ogromny dar od Boga. Proszę, nie trać tego skarbu, najdroższa Ally, nawet w żałobie.

Piszę do Ciebie nie tylko dlatego, żeby się z Tobą pożegnać. Jakiś czas temu uznałem, że każdej z Was powinienem dać wskazówki na temat waszego pochodzenia. Nie chodzi mi o to, żebyście natychmiast wszystko rzuciły i zaczęły szukać swoich korzeni, ale nigdy nie wiemy, co się wydarzy w przyszłości. Kiedyś być może będziecie musiały – albo chciały – się tego dowiedzieć.

Już widziałaś sferę armilarną z wyrytymi na obręczach współrzędnymi. Wskazują one miejsce, z którego dobrze będzie rozpocząć poszukiwania. Oprócz tego w moim gabinecie na półce jest książka napisana przez dawno zmarłego Jensa Halvorsena. Wiele z niej się dowiesz, a po lekturze podejmiesz decyzję, czy chcesz szukać dalej. Jeśli tak, to jesteś na tyle zaradna, że będziesz wiedziała, jak to zrobić.

Kochana córeczko, urodziłaś się z wieloma talentami. Czasem miałem wrażenie, że jest ich zbyt dużo, a nadmiar bywa równie trudny jak brak czegoś. Obawiam się, że w ferworze naszej wspólnej pasji związanej z morzem wpłynąłem

na Ciebie, kiedy miałaś przed sobą jeszcze inną ścieżkę rozwoju. Jesteś przecież bardzo utalentowanym muzykiem. Uwielbiałem słuchać, jak grasz na flecie. Wybacz mi, jeśli tak było, ale wiedz, że nasze wspólne wyprawy po jeziorze to najszczęśliwsze chwile w całym moim życiu. Dziękuję Ci więc za nie z głębi serca.

Do listu dołączyłem coś, co należy do najcenniejszych przedmiotów, jakie posiadam. Nawet jeśli postanowisz nie odkrywać swojej przeszłości, traktuj tę żabkę jak skarb, a kiedyś może przekaz swoim dzieciom.

Najdroższa Ally, jestem przekonany, że nawet po szoku, jaki przeżyłaś, zanim zabrałaś się do czytania tego listu, Twój wrodzony optymizm i wielka wytrwałość pomogą Ci osiągnąć wszystko, czego pragniesz, z kim tylko zechcesz. Proszę, nie trać ani sekundy swego życia.

Będę nad Tobą czuwał.

Twój kochający ojciec

Pa Salt

Tata dobrze zgadł, że będę musiała przeczytać ten list dwa razy. Za pierwszym razem przez niego przegalopowałam. Wiedziałam, że w nadchodzących dniach i latach przeczytam go jeszcze po stokroć.

Położyłam się na łóżku z żabką w dłoni. Nadal nie byłam ani trochę mądrzejsza, jaki związek ze mną ma ta figurka, ale rozmyślałam o tym, co tata napisał w liście. Postanowiłam porozmawiać o tym z Theo, bo wierzyłam, że ukochany pomoże mi zrozumieć więcej. Instynktownie sięgnęłam do torebki po telefon, żeby zobaczyć, czy coś do mnie napisał, ale przypomniało mi się, że rano, po przyjeździe, zostawiłam go w kuchni, żeby się naładował.

Szłam cichutko korytarzem, bo nie chciałam przeszkadzać siostrom. Przechodząc obok pokoju Elektry, zobaczyłam, że drzwi są otwarte na oścież. Ostrożnie zajrzałam do środka, obawiając się, że śpi, ale siedziała na brzegu łóżka, odwrócona plecami do mnie, i piła coś z butelki. Najpierw pomyślałam, że to woda, ale kiedy wzięła jeszcze jeden łyk, zdałam sobie sprawę, że pije wódkę. Zobaczyłam jeszcze, jak zakręca butelkę i wsuwa ją pod łóżko.

Wycofałam się za drzwi, na palcach dotarłam do schodów i ruszyłam po schodach. Zaniepokoiłam się tym, co zobaczyłam. Elektra miała największą z nas wszystkich obsesję na punkcie własnego zdrowia, zdziwiłam się więc, że o tej porze pije alkohol. Ale może w tym trudnym, smutnym czasie żadnej z nas nie obowiązywały normalne reguły.

Instynktownie zatrzymałam się na pierwszym piętrze i zamiast zejść na parter, skierowałam się do gabinetu taty. Nagle rozpaczliwie zapragnęłam, żeby był blisko mnie.

Niepewnym pchnięciem otworzyłam drzwi. W oczach zakręciły mi się łzy, gdy mój wzrok padł na jednoosobowe drewniane łóżko, na którym ojciec najprawdopodobniej oddał ducha. Jego pokój całkowicie różnił się od reszty zamczku. Był urządzony bardzo funkcjonalnie i skromnie: na gołej podłodze z polerowanych desek stało proste drewniane łóżko, a obok niego zniszczona mahoniowa szafka nocna, na której znajdował się budzik. Pamiętałam, że kiedy tu przyszłam jako mała dziewczynka, zafascynował mnie ten budzik. Był na nim guziczek, który tata pozwolił mi przesuwając w dół i w górę, aby włączać lub wyłączać dzwonek. Za każdym razem, gdy budzik dzwonił, śmiałam się radośnie.

– Muszę go codziennie nakręcać, bo inaczej nie będzie cykał – powiedział tata i zabrał się do nakręcania.

Teraz budzik nie cykał.

Przeszłam przez pokój i usiadłam na łóżku. Pościel była nieskazitelnie gładka, niepognieciona, ale i tak wyciągnęłam rękę i pogłaskałam białą bawełnianą tkaninę na powłoczce poduszki, gdzie kiedyś kładł głowę.

Ciekawe, co się stało z jego starym zegarkiem Omega Seamaster? – zastanowiłam się. I z resztą jego rzeczy osobistych, jak to nazywają przedsiębiorcy pogrzebowi. Dobrze pamiętałam, jak ten zegarek wyglądał na jego ręce. Miał prostą, elegancką tarczę ze złotymi cyferkami i pasek, który nieco przetarł się przy czwartej dziurce. Kiedyś kupiłam mu na gwiazdkę nowy pasek, żeby go wymienił. Obiecał, że to zrobi, kiedy stary się w końcu przerwie, ale to nie nastąpiło.

Często zastanawialiśmy się z siostrami, dlaczego ojciec, który mógł sobie kupić, jaki tylko chciał zegarek i ubierać się u projektantów mody, zawsze nosił te same ubrania (albo takie miałyśmy wrażenie); w każdym razie, gdy nie żeglował, wkładał starą tweedową marynarkę, a do tego starannie uprasowaną, śnieżnobiałą koszulę i ciemne spodnie o idealnych jak w wojsku kantach. Na nogach nieodmiennie miał brogisy o błyszczących czubkach. Znów rozejrzałam się po pokoju, w którym stała jeszcze tylko niewielka mahoniowa szafa i komoda. Tata miał niewiele większe potrzeby niż asceta.

Popatrzyłam na ustawione na komodzie, oprawione w ramkę zdjęcie, na którym uwieczniono go ze wszystkimi córkami na *Tytanie*. Był już wtedy po siedemdziesiątce, ale wyglądał na znacznie młodszego – wysoki, mocno opalony, z szerokim uśmiechem. Opierał się o reling i spokojnie stał w otoczeniu córek. Potem przeniosłam wzrok na jedyny obrazek, który wisiał na ścianie, dokładnie naprzeciwko łóżka.

Wstałam i podeszłam, żeby przyjrzeć mu się dokładniej. Był to szkic węglem bardzo ładnej, młodej kobiety, pewnie tuż po dwudziestce. Po głębszej analizie

dostrzegłam w niej smutek. Jej rysy wydawały się niemal zbyt wyraziste na drobnej twarzy w kształcie serca. Ogromne oczy, pełne usta, a w obu policzkach dołeczki. Na dole widniał podpis, ale nie potrafiłam go odczytać.

– Kim jesteś? – zapytałam ją. – I kim był mój ojciec...?

Z westchnieniem wróciłam na łóżko taty, położyłam się i zwinęłam w kłębek. Łzy kapały mi z oczu i wsiąkały w poduszkę, która zachowała rześki, cytrynowy zapach jego ciała.

– Jestem tu, tato – szepnęłam. – Ale gdzie ty się podziałeś?

Rano obudziłam się na łóżku taty. Czułam się oszołomiona, ale oczyszczona. Nie pamiętałam nawet, kiedy zasnęłam, i nie miałam pojęcia, która jest godzina. Wstałam i podeszłam do okna, żeby wyjrzeć na dwór. Pomyślałam, że choć w sypialni taty brakuje luksusów, znakomicie nadrabia to widok, jaki roztacza się z okna. Był wspaniały dzień, słońce odbijało się od gładkiej tafli jeziora, które wydawało się ciągnąć w lewo i prawo w zamgloną nieskończoność. Patrząc przed siebie, widziałam bujną zielen zbocza góry, która stromo wznosiła się po przeciwnej stronie jeziora. Na kilka sekund znów poczułam magię Atlantis.

Weszłam po schodach do swojego pokoju, wzięłam prysznic, a potem pomyślałam o Theo. Na pewno się martwi, bo nawet nie dałam mu jeszcze znać, że dojechałam na miejsce. Szybko się ubrałam, chwyciłam laptop i zbiegłam po schodach do kuchni po komórkę, po którą nie doszłam wieczorem. Theo przysłał kilka wiadomości. Kiedy je czytałam, robiło mi się ciepło na sercu.

Tylko się melduję. Moc uścisków.

Dobranoc, kochanie. Jestem myślami przy tobie.

Nie chcę ci przeszkadzać. Zadzwoń do mnie albo napisz SMS-a. Tęsknię za tobą. Całusy.

SMS-y były bezpretensjonalne i pełne miłości. Nie prosił mnie nawet o szybką odpowiedź. Uśmiechnęłam się i odpisałam mu. Przypomniałam sobie list taty, jego słowa o tym, że mogę być, z kim zechcę.

Teraz chciałam być z Theo.

Przy blacie kuchennym stała Claudia i mieszała w misce rzadkie ciasto. Na powitanie zaproponowała mi kawę. Z wdzięcznością ją przyjąłam.

– Zeszłam na dół pierwsza? – zapytałam.

– Nie. Star i CeCe już popłynęły motorówką do Genewy.

– Co?! – zdziwiłam się, pijąc mocny, ciemny płyn. – A reszta jeszcze nie wstała?

– Jeśli wstały, to ja ich nie widziałam – odpowiedziała spokojnie, cały czas ubijając ciasto mocnymi, pewnymi rękami.

Wzięłam sobie croissanta z długiego stołu bogato zastawionego do śniadania.

– Prawda, że to cudownie, że wszystkie zostaniemy w Atlantis? Bałam się, że zameczek zostanie sprzedany.

– Tak, to prawda. Tak jest dobrze dla wszystkich. Będiesz coś jeszcze chciała? – zapytała Claudia, nalewając ciasto do formy, którą postawiła obok kuchenki.

– Nie, dziękuję.

Skinęła głową, zdjęła fartuch i wyszła z kuchni.

Przez całe nasze dzieciństwo Claudia była równie nieodłączną częścią Atlantis jak mama albo Pa Salt. Jej niemiecki akcent sprawiał, że wydawała się surowa, ale wszystkie wiedziałyśmy, jakie ma miękkie serce. Zdałam sobie nagle sprawę, jak niewiele wiemy o jej pochodzeniu. W dzieciństwie, a nawet kiedy byłyśmy już dorosłe, nigdy o nic nie pytałyśmy. Jak wszystko w zaczarowanym świecie naszego dzieciństwa, Claudia po prostu była jego częścią.

Po jedzeniu zaczęłam się zastanawiać nad współrzędnymi na sferze armilarnej. Pomyślałam, że zawarte w nich tajemnice mogą kompletnie zburzyć wszystko, co o sobie wiemy. Ta myśl nieco mnie przerażyła, ale Pa Salt z pewnością miał powody, by przekazać nam te współrzędne, musiałam więc wierzyć w mądrość jego decyzji. Teraz od każdej z nas zależało, czy podąży śladem jego wskazówek, czy nie.

Wyjęłam z kredensu pióro i notes, a potem tylnymi drzwiami wyszłam z kuchni. W pierwszej chwili musiałam zmrużyć oczy przed porannym słońcem. Rozkoszowałam się chłodnym powietrzem. Było jeszcze na tyle wcześnie, że idąc po trawie, czułam na stopach świeżą rosę. Ogród spowijała cudowna cisza. Tylko od czasu do czasu w powietrzu unosił się śpiew ptaka, a w tle słychać było delikatne pluskanie wody o brzeg jeziora.

Tą samą drogą co wczoraj wieczorem obeszłam dom i skierowałam się do ulubionego ogrodu taty. Z podziwem ogarnęłam wzrokiem rozliczne gatunki róż, które właśnie rozchylały pąki i przesycały poranne powietrze silnym zapachem.

Złota kula pośrodku sfery armilarnej błyszczała w słońcu, które już rzucało ostre cienie na kulę. Rękawem starłam rosę z obręczy z moim imieniem i palcem obrysowałam grecki cytat, zastanawiając się, jak dawno temu tata to zaplanował.

Po chwili zabrałam się do pracy i dokładnie zapisałam współrzędne każdej z sióstr. Starłam się nie zgadywać, jakie oznaczają miejsca, zwłaszcza moje. Potem zauważyłam coś jeszcze. Znów policzyłam obręcz i palcami trafiłam na siódmą. Widniało na niej tylko jedno słowo: *Merope*.

– Nasza zaginiona siódma siostra – szepnęłam, zastanawiając się, dlaczego tata postanowił dodać jej imię, skoro jest już za późno, aby mógł ją znaleźć. Tyle tajemnic, pomyślałam, wracając do domu. I nie ma nikogo, kto by je wyjaśnił.

Kiedy, wyposażona we współrzędne, znalazłam się z powrotem w kuchni, odpaliłam laptop, zjadłam następnego croissanta i sfrustrowana czekałam na połączenie z siecią, ale internet najwyraźniej postanowił wziąć sobie urlop. Wreszcie włączyła się przeglądarka i mogłam przeszukać strony poświęcone współrzędnym. Po namyśle postanowiłam skorzystać z Google Earth i szukać według starszeństwa, siebie zostawiając na koniec. Wpisałam współrzędne Mai. Z napięciem przyglądałam się, jak wirujący globus skupił się na jednym miejscu, stopniowo powiększał obraz, aż pokazał konkretne miejsce.

– Wow – rzuciłam pod nosem zafascynowana. – To działa.

Przez godzinę ćwiczyłam cierpliwość, ponieważ sygnał to uciekał, to wracał, ale kiedy do kuchni wróciła Claudia, żeby przygotować lunch, rozszyfrowałam już wszystkie współrzędne, oprócz moich.

– Coś takiego! – jęknęłam, kiedy w końcu przeczytałam swoje dane.

– Słucham? – odezwała się Claudia.

– Nieważne – odparłam i czym prędzej zapisałam wszystko w notatniku.

– Będziesz jadła lunch, Ally?

– Tak, chętnie. Dziękuję – odpowiedziałam w roztargnieniu, zaintrygowana tym, że miejscem, które wskazały moje współrzędne, było muzeum sztuki. Nie miało to najmniejszego sensu, ale podobnie było ze współrzędnymi pozostałych dziewcząt.

Podniosłam wzrok, kiedy do kuchni weszła Tiggy i obdarowała mnie słodkim uśmiechem.

– Tylko my we dwie przyszłyśmy na lunch?

– Na to wygląda.

– I tak nam będzie bardzo miło. – Zwiewnym krokiem podeszła do stołu.

Chociaż miała dziwne, uduchowione pomysły, to kiedy siadała naprzeciwko mnie, zazdrościłam jej wewnętrznego spokoju. Pochodził on z głębokiego przekonania, że – jak mawiała – w życiu chodzi o coś więcej niż o samo życie. Jej nieskazitelna cera i kasztanowe włosy miały w sobie świeżość szkockich gór, a łagodne brązowe oczy odzwierciedlały jej opanowanie.

– Jak się czujesz, Ally?

– Dobrze. A ty?

– Jakoś sobie dam radę, choć z trudem. No bo wiesz, czuję go przy sobie.

Jakby... – westchnęła i przeczesła palcami błyszczące loki – jakby wcale nie odszedł.

– Niestety, już go nie ma, Tiggy.

– Tak, ale czy tylko dlatego, że kogoś nie widzimy, musi to koniecznie znaczyć, że go nie ma?

– Według mnie, tak – rzuciłam. Nie byłam pewna, czy jestem w nastroju do wysłuchiwania ezoterycznych wywodów Tiggy. Ze stratą taty byłam w stanie poradzić sobie tylko w jeden sposób: poprzez jak najszybsze zaakceptowanie jej.

Naszą rozmowę przerwała Claudia, która postawiła na stole sałatkę Cezara.

– Wystarczy na lunch dla wszystkich, ale żadna już nie przyjdzie, możecie zjeść ją na kolację.

– Dziękuję. A tak w ogóle – powiedziałam, nakładając sobie sałatkę – to spisałam wszystkie współrzędne i dowiedziałam się, jak ich szukać w Google Earth. Chcesz swoje, Tiggy?

– Może kiedyś. Ale nie teraz. W końcu... jakie to ma znaczenie?

– Szczerze mówiąc, też nie wiem.

– No bo niezależnie od tego, skąd jestem, to opiekowali się mną Pa Salt i mama. To oni wychowali mnie na taką, jaka jestem. Ale może jednak je wezmę i jeśli poczuje potrzebę poznania miejsca, z którego pochodzę, będę mogła to zrobić. Chociaż właściwie... – Tiggy westchnęła i zobaczyłam, że się waha – nie chcę wiedzieć, że nie pochodzę stąd. Moim ojcem jest Pa Salt i zawsze nim będzie.

– Rozumiem. A tak z czystej ciekawości, gdzie, twoim zdaniem, jest Pa Salt?
– zapytałam, kiedy obie zaczęłyśmy jeść.

– Nie wiem, Ally, ale na pewno nie odszedł, co do tego nie mam wątpliwości.

– Jest w twoim świecie czy w moim?

– Co za różnica? Dla mnie żadna – wyjaśniła, zanim zdążyłam odpowiedzieć. – Jesteśmy tylko energią. Tak samo jak absolutnie wszystko, co nas otacza.

– Pewnie można to ująć i tak – odparłam i sama usłyszałam w swoim głosie cynizm. – Wiem, że ty w to wierzysz, Tiggy. Ale akurat teraz, kiedy niedawno pochowano ojca, takie myślenie mi nie odpowiada.

– Rozumiem. Ale życie toczy się dalej, i to nie tylko życie nas, ludzi, ale dla całej natury. Róża się rozwija, osiąga szczyt swego piękna, a potem umiera, a w jej miejsce na tym samym krzaku zakwita następna. – Spojrzała na mnie z lekkim uśmiechem. – Czuję, że mimo tego, co stało się z tatą, z tobą dzieje się teraz coś dobrego.

– Naprawdę? – Popatrzyłam na nią podejrzliwie.

– Tak. – Wyciągnęła rękę w moją stronę. – Ciesz się tym, póki możesz. Bo jak wiesz, nic nie trwa wiecznie.

– Tak – przyznałam, bo trafiła w mój słaby punkt. Zmieniłam temat. – A ty, jak się czujesz?

– Hm... dobrze – odparła zupełnie tak, jakby chciała zapewnić o tym nie tyle mnie, co siebie. – Po prostu żyję.

– Nadal lubisz się zajmować jeleniami w rezerwacie?

– Uwielbiam swoją pracę. Świetnie się w niej czuję, chociaż nie mam ani chwili dla siebie, bo brakuje nam personelu. Co oznacza, że jak najszybciej muszę tam wracać. Sprawdziłam loty i po południu wylatuję. Elektra jedzie ze mną na lotnisko.

– Tak szybko?

– No, przecież nie mamy tu już nic do roboty. Jestem pewna, że tata wolałby, żebyśmy normalnie żyły, zamiast snuć się bez sensu i nad sobą użalać.

– Masz rację. – Po raz pierwszy oderwałam się myślami od swojej rozpacz i wybiegłam w przyszłość. – Ja za kilka dni miałam wziąć udział w regatach po Cykladach.

– Więc zrób to – zachęciła mnie.

– Może i masz rację – bąknęłam.

– Muszę iść się pakować, a potem pożegnać się z Mają. Odczuje to najbardziej z nas wszystkich. Jest zrozpaczona.

– Wiem. Proszę, masz swoje współrzędne. – Podałam jej kartkę, na której je zapisałam.

– Dziękuję. – Tiggy wstała, ale przy kuchni zatrzymała się na chwilę i popatrzyła na mnie ciepło. – Gdybyś w najbliższych tygodniach mnie potrzebowała, to pamiętaj, że w razie czego zawsze jestem pod telefonem.

– Dzięki, Tiggy. Ty tak samo.

Pomogłam Claudii sprzątnąć naczynia, a potem wróciłam na górę do swojego pokoju, zastanawiając się, czy i ja nie powinnam wyjechać z Atlantis. Tiggy miała rację. Nic więcej nie mogłyśmy tu zrobić. Myśl o powrocie na jacht – nie wspominając już o ramionach Theo – skłoniła mnie do ponownego zejścia na dół z laptopem i sprawdzenia, czy w ciągu następnego dwudziestu czterech godzin są jakieś wolne miejsca w samolotach lecących do Aten. Kiedy weszłam do kuchni, zobaczyłam mamę, która w głębokim zamyśleniu stała przy oknie, odwrócona plecami. Usłyszała, jak wchodzę, i odwróciła się z uśmiechem, ale i tak zdążyłam zauważyć w jej oczach smutek.

– Dzień dobry, *chérie*. Jak się dzisiaj czujesz?

– Zastanawiam się, czy nie lecieć z powrotem do Aten, żeby wziąć udział w regatach po Cykladach, bo takie miałam plany. Ale martwię się, czy mogę tu zostawić ciebie i dziewczyny. Zwłaszcza Maję.

– Moim zdaniem te regaty to świetny pomysł, *chérie*. Ojciec na pewno by ci to doradził. Nie martw się o Maję. Ja z nią będę.

– Wiem. – Pomyślałam, że choć Marina nie jest naszą biologiczną mamą, trudno sobie wyobrazić troskliwszego i bardziej kochającego rodzica.

Wstałam, podeszłam do niej i mocno ją przytuliłam.

– Ale pamiętaj, że my też o tobie myślimy.

Weszłam na górę w poszukiwaniu Elektry, żeby przed wyjazdem dać jej współrzędne. Zapukałam do jej sypialni. Otworzyła mi, ale nie zaprosiła mnie do środka.

– Cześć, Ally. Nie mam czasu. Muszę się pakować.

– Przyniosłam ci tylko twoje współrzędne ze sfery armilarnej. Proszę.

– Nie chcę ich. Szczerze mówiąc, ojcu chyba odbiło. Jakby zza grobu wciągał nas w jakąś grę – burknęła ponuro.

– Chciał nam tylko przekazać, skąd pochodzimy, na wypadek gdyby nam się to przydało.

– To dlaczego nie zrobił tego tak jak większość normalnych ludzi? Mógł przecież spisać wszystkie fakty na kartce, zamiast zmuszać nas do jakichś genealogicznych ciuciubabek. Chryste, ależ on miał manię rządzenia!

– Proszę cię, Elektro! Pewnie nie chciał nam wszystkiego od razu wyjawiać, na wypadek gdybyśmy wołały tego nie wiedzieć. Zostawił nam dość informacji, żebyśmy mogły z nich skorzystać, jeśli zechcemy.

– Ja nie chcę – oświadczyła stanowczo.

– Dlaczego się na niego złościysz? – zapytałam łagodnie.

– Wcale się nie złościę... – Jej bursztynowe oczy błyszczały z bólu i frustracji. – No dobrze, złościę się. – Wzruszyła ramionami i pokręciła głową. – Nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Ale i tak to weź. – Podałam jej kopertę. Z doświadczenia wiedziałam, że nie ma co jej dłużej wypytywać. – Nic nie musisz z tym robić.

– Dzięki, Ally. Przepraszam.

– Nie ma za co. Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

– Tak, daję radę. Ale teraz muszę się już pakować. Pa, na razie – rzuciła i zamknęła mi drzwi przed nosem.

Odeszłam z przekonaniem, że skłamała.

*

Po południu Maja, Star, CeCe i ja poszłyśmy na pomost, żeby odprowadzić Elektrę i Tiggy. Maja dała im przetłumaczone cytaty.

– Ja i Star też chyba będziemy już wyjeżdżać – oznajmiła CeCe w drodze powrotnej do zameczku.

– Naprawdę? Nie możemy jeszcze trochę zostać? – jęknęła Star. Jak zwykle, w oczy rzucił mi się fizyczny kontrast między nimi. Star była wysoka i tak szczupła, że prawie na granicy wychudzenia, miała jasne włosy i śnieżnobiałą cerę, a CeCe była śniada i krępa.

– A po co? Taty nie ma, widziałyśmy się z prawnikiem, a przecież musimy jak najszybciej jechać do Londynu, żeby znaleźć mieszkanie.

– Masz rację – przyznała Star.

– Co będziesz robiła w Londynie, kiedy CeCe pójdzie na studia? – zapytałam.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziała Star, zerkając na CeCe.

– Przecież planowałaś zapisać się na kurs w Le Cordon Bleu – odpowiedziała za nią CeCe. – Znakomicie gotuje.

Kiedy odeszły szukać wieczornego lotu na Heathrow, wymieniliśmy z Mają zaniepokojone spojrzenia.

– Nic nie mów – szepnęła Maja, kiedy już ich nie było. – Wiem, co myślisz.

Wróciłyśmy na taras, rozmawiając o trudnej relacji Star i CeCe. Zawsze były nierozłączne. Miałam tylko nadzieję, że kiedy CeCe skupi się na studiach, może trochę się od siebie uniezależnić.

Zauważyłam, że Maja jest bardzo blada, i przypomniałam sobie, że nie jadła

lunchu. Kazałam jej usiąść na tarasie, poszłam do kuchni i poprosiłam Claudię, żeby przygotowała dla niej jakieś jedzenie. Claudia spojrzała na mnie ze zrozumieniem i wzięła się do robienia kanapek, a ja wróciłam do siostry.

– Maju, nie chcę być wścibska, ale czy otworzyłaś wczoraj swój list?

– Tak. A właściwie dzisiaj rano.

– Najwyraźniej cię zdenerwował.

– Najpierw tak, ale wszystko jest już dobrze. A ty?

Ton jej głosu nabrał ostrości, co znaczyło, że powinnam się wycofać.

– Tak, otworzyłam – odpowiedziałam. – Był piękny i rozpłakałam się, ale także podniósł mnie na duchu. Cały ranek szukałam w internecie współrzędnych. Teraz dokładnie wiem, skąd każda z nas pochodzi. A mówię ci, było parę niespodzianek – dodałam.

Claudia akurat przyniosła talerz z kanapkami i postawiła je na stole, po czym szybko się wycofała.

– Wiesz dokładnie, gdzie się urodziłyśmy? Gdzie ja się urodziłam? – zapytała Maja ostrożnie.

– Tak, a przynajmniej mam wskazówkę, gdzie tata nas znalazł – wyjaśniłam.

– Chcesz się tego dowiedzieć, Maju? Chyba że wolisz sama to sprawdzić.

– Nie wiem.

– Jedno jest pewne. Tata dużo podróżował – rzuciłam wyświechtany rodzinny żarcik.

– Więc wiesz, skąd jesteś? – powtórzyła.

– Tak, ale na razie nic z tego nie rozumiem.

– A pozostałe dziewczyny? Powiedziałaś im, że wiesz, gdzie się urodziły?

– Nie, ale wyjaśniłam im, jak odnaleźć współrzędne na Google Earth. Tobie też to wytłumaczyć? Czy po prostu powiedzieć ci, gdzie tata cię znalazł?

– W tej chwili naprawdę jeszcze nie wiem. – Maja opuściła wzrok i przymknęła swoje piękne oczy.

– W każdym razie łatwo je wyszukać.

– Pewnie zrobię to, kiedy będę gotowa – rzuciła.

Zaproponowałam, że zapiszę jej instrukcję, ale wątpiłam, czy kiedykolwiek znajdzie w sobie odwagę, żeby z niej skorzystać.

– A udało ci się przetłumaczyć te greckie napisy, które są wyrzeźbione na sferze armilarnej? – zapytałam.

– Tak. Mam już wszystkie.

– Bardzo chciałabym się dowiedzieć, co tata wybrał dla mnie. Możesz mi to zdradzić?

– Dokładnie nie pamiętam, ale mogę iść do pawilonu i ci to zapisać.

– Wspólnie jesteśmy w stanie przekazać siostronom informacje, dzięki którym, jeśli zechcą, mogą zbadać swoją przeszłość.

– Tak, ale jest chyba za wcześnie, żeby którakolwiek z nas to zrobiła.

– Może i tak. – Westchnęłam i pomyślałam o Theo i najbliższych tygodniach swojego życia. – Niedługo zaczynają się regaty po Cykladach, więc muszę jak najszybciej wyjechać, żeby dołączyć do mojej załogi. Szczerze mówiąc, po tym, co zobaczyłam kilka dni temu, powrót do żeglarstwa będzie dla mnie trudny.

– Wyobrażam to sobie. Ale na pewno dasz sobie radę – pocieszyła mnie Maja.

– Mam nadzieję. Przyznam ci się do czegoś: po raz pierwszy w mojej żeglarskiej karierze boję się przed zawodami.

Ulżyło mi, kiedy powiedziałam to na głos. Na razie, kiedy tylko pomyślałam o Cykladach, miałam przed oczami obraz taty w trumnie na dnie morza.

– Od lat wszystko poświęcałaś żeglarstwu, więc nie możesz teraz się zrażać – powiedziała mi siostra. – Zrób to dla taty. Nie chciałby, żebyś straciła pewność siebie.

– Masz rację. Ale czy ty dasz tu sobie sama radę?

– Jasne. Nie martw się o mnie. Mam mamę i pracę. Będzie dobrze.

Pomogłam Mai dokończyć kanapki i kazałam jej obiecać, że będzie ze mną w kontakcie. Zapytałam, czy nie miałyby ochoty latem popłynąć ze mną w rejs jachtem, chociaż wiedziałam, że raczej tego nie zrobi.

Na tarasie pojawiła się CeCe.

– Udało nam się zarezerwować dwa miejsca w samolocie na Heathrow. Christian za godzinę zabiera nas na lotnisko.

– W takim razie sprawdzę, czy jest jakiś lot do Aten i pojedę z wami. Maju, nie zapomnij zapisać mi tego cytatu, dobrze? – poprosiłam i poszłam po laptop.

W ostatniej chwili znalazłam wolne miejsce w samolocie do Aten i szybko się spakowałam. Rozejrzałam się po sypialni, żeby sprawdzić, czy niczego nie zostawiłam. Przypadkiem natknęłam się wzrokiem na flet, który spokojnie leżał sobie w futerale na półce. Od dawna go nie otwierałam. Pod wpływem impulsu i słów ojca z listu zdjęłam go i postanowiłam wziąć ze sobą. Theo mówił, że chciałby posłuchać, jak gram, więc może trochę poćwiczyć i coś mu zagram. Zeszłam na dół, żeby znaleźć mamę i pożegnać się z nią.

Mocno mnie przytuliła i serdecznie pocałowała w oba policzki.

– Uważaj na siebie, *chérie*, a kiedy tylko będziesz mogła, przyjedź mnie odwiedzić.

– Na pewno, mamo. Obiecuję – powiedziałam i po chwili szłam już z Mają w kierunku pomostu.

– Powodzenia w zawodach. – Podała mi kopertę z przetłumaczonym cytatem.

Uścisnęłam ją po raz ostatni i weszłam na pokład motorówki. CeCe i Star już na mnie czekały. Wszystkie machałyśmy Mai, gdy Christian odpływał od pomostu.

Kiedy znaleźliśmy się na jeziorze, przypomniało mi się, że tata zawsze powtarzał, żebyśmy nie oglądały się na przeszłość. Wiedziałam jednak, że na pewno będę wspominała to, co było i już minęło.

Odeszłam od CeCe i Star, żeby usiąść na rufie. W garści nadal ściszałam kopertę. Uznałam, że najlepszym miejscem na przeczytanie cytatu taty jest Jezioro Genewskie, po którym tyle razy żeglowaliśmy we dwójkę. Otworzyłam kopertę i wyjęłam z niej kartkę.

W chwilach słabości znajdziesz swą największą siłę.

Widok Atlantis coraz bardziej się oddalał, zamek zniknął za drzewami, a ja błagałam, aby słowa taty dały mi siłę do dalszego życia.

Theo dał mi znać SMS-em, że wyjedzie po mnie na lotnisko w Atenach. Zobaczyłam go od razu po wyjściu z hali przylotów.

– Martwiłem się o ciebie, kochanie – powiedział, obejmując mnie. – Jak się czujesz? Na pewno jesteś załamana. Biedactwo. Schudłaś – dodał, przesuwając dłonią po moich żebrach.

– Nic mi nie jest – odpowiedziałam stanowczo. Z rozkoszą wdychałam jego cudowny zapach.

Wziął ode mnie plecak i wyszliśmy w upalną duchotę lipcowej ateńskiej nocy.

Złapaliśmy taksówkę i usiedliśmy na lepkich plastikowych siedzeniach; wewnątrz śmierdziało starym dymem z papierosów. Jechaliśmy do hotelu w porcie Faliro, gdzie miały się rozpocząć zawody po Cykladach.

– Mówię poważnie: jeśli nie masz siły, damy sobie radę bez ciebie – powiedział podczas jazdy.

– Nie wiem, czy uznać to za komplement, czy za obelgę – odparowałam.

– Zdecydowanie za komplement. Przecież należysz do załogi. Ale nie chcę, żebyś czuła się pod presją... bo cię kocham.

Kocham cię. Za każdym razem, kiedy mówił to z taką naturalnością, przesywał mnie dreszcz. A teraz siedział tak blisko, trzymał mnie za rękę i nadal to powtarzał. Ja też go kochałam – za uczciwość, otwartość i prostolinijność. Na *Neptunie*, jeszcze zanim dowiedziałam się o śmierci Pa Salta, powiedział, że gdybym mu złamała serce, musiałby wstawić sobie nowe.

– Naprawdę chcę wziąć udział w tych regatach. Tata na pewno by mnie poparł. Chciałby, żebym wróciła na morze i do normalnego życia, zamiast siedzieć beczynnym i rozczulać się nad sobą. I, oczywiście, chciałby, żebyśmy wygrali.

– Ally... – Theo uściśnął mi dłoń. – Obiecuję, że zrobimy to dla niego.

*

Następnego ranka na pokładzie *Hanse'a* widać było, że resztę członków załogi również rozgrzewa pragnienie zwycięstwa. Wzruszyło mnie, że podczas ostatnich treningów każdy usiłuje mi we wszystkim pomagać. Regaty po Cykladach zapowiadały się na znacznie mniej uciążliwe niż większość tych, w których dotąd uczestniczyłam. W sumie miały trwać osiem dni, ale z dwudziestogodzinnym postojem, a po dotarciu do każdej kolejnej wyspy był przewidziany dzień przerwy.

Theo zauważył, że przywiozłam ze sobą flet.

– Weź go na pokład. Będiesz nam grała serenady i zagrzewała nas do boju – zaproponował.

Pierwszego dnia, kiedy sunęliśmy po wodzie przy pięknym zachodzie słońca, podniosłam instrument do ust. Uśmiechnęłam się do Theo, a potem zagrałam improwowaną wersję *Fantazji na tematy Thomasa Tallisa*, utworu rozslawionego przez epicki film *Pan i władca: na krańcu świata*. Kiedy wplywaliśmy do portu na Milos, Theo uśmiechał się do mnie zza steru, w milczeniu dając znać, że zrozumiał moją muzyczną aluzję.

Pierwszy etap zawodów zdecydowanie wygraliśmy. W drugim zdobyliśmy trzecie miejsce, a w trzecim drugie. W rezultacie walczyliśmy o zwycięstwo z załogą z Grecji. Przedostatnią noc zawodów spędziliśmy w porcie Finikas na Syros, idyllicznej greckiej wysepce, której mieszkańcy zgotowali w porcie przyjęcie dla wszystkich załóg. Po kolacji Theo zebrał nas wszystkich razem.

– Drodzy panowie i pani – powiedział – na pewno nie będziecie zadowoleni, że psuję wam zabawę, ale jako kapitan rozkazuję wszystkim położyć się wcześniej spać. Nasi konkurenci – kiwnął głową w stronę greckiej załogi, która na wpół pijana trzymała się za ramiona i szalała w tańcu Zorby do akompaniamentu buzuki – świetnie się bawią. My natomiast dobrze się wyśpimy, a rano obudzimy się wypoczęci i gotowi ich zniszczyć. Okay?

Tu i ówdzie dał się słyszeć jęk niezadowolenia, ale wszyscy posłusznie wrócili do swoich kajut i poszli spać.

Na jachcie byliśmy wszyscy tak blisko siebie, że musieliśmy opracować z Theo plan, dzięki któremu mogliśmy trochę pobyć ze sobą, nie budząc niczyich podejrzeń. Jako jedyna kobieta miałam własną ciasną kajutę na dziobie łodzi. Theo spał na ławce w kambuzie, która w dzień służyła za miejsce do siedzenia.

Czekałam, aż usłyszę, że wszyscy skorzystali już z maleńkiej łazienki z umywalką i toaletą, i kiedy na łodzi zapadała cisza, po kryjomu wspinałam się po ciemku na górę, gdzie ciepła dłoń przyciągała mnie do siebie. Przez pięć minut nerwowo się do siebie tuliliśmy, jak małolaty, które boją się, że przyłapią ich rodzice. Potem, aby mieć alibi na wypadek, gdyby ktoś usłyszał, że chodzę po jachcie, otwierałam lodówkę turystyczną w kambuzie, brałam butelkę wody, wracałam do swojej kajuty i głośno zamykałam drzwi. Byliśmy przekonani, że świetnie się maskujemy i nikt z załogi nie ma najmniejszego pojęcia, co się między nami dzieje. Kiedy tej nocy Theo mnie przytulił, czułam w jego pocałunkach szczególnie gorącą namiętność.

– Jezu – jęknął. – Mam nadzieję, że po regatach nie będziemy co najmniej przez dwadzieścia cztery godziny wychodzili z łóżka i nadrobimy to, co musiałem wycierpieć przez ostatnie dni.

– Tak jest, kapitanie. Co tylko zechcesz. Ale chyba nie wypada, żeby kapitan tak wcześniej zapędział do łóżka resztę załogi, skoro sam łamie własny rozkaz – szepnęłam mu do ucha i zabrałam jego dłoń z mojej piersi.

– Jak zwykle masz racje. Zniknij więc, nadobna Julio, z moich oczu, bo

przysięgam, że nie zdołam dłużej powściągnąć swej chuci.

Z chichotem ostatni raz go pocałowałam i wyslizgnęłam się z jego objęć.

– Kocham cię. Śpij dobrze.

– Też cię kocham – odpowiedziałam bezgłośnie.

*

Taktyka Theo, by zaprowadzić dyscyplinę, znów się opłaciła. Cały ostatni – sobotni – etap regat płynęliśmy łeb w łeb z Grekami, ale to my jako pierwsi minęliśmy metę w porcie Vouliagmeni, czemu towarzyszył strzał kończący regaty; grecka załoga dotarła do celu ponad pięć minut za nami. Theo triumfalnie oznajmił, że naszych konkurentów ostatecznie pokonało ouzo. Podczas ceremonii zamknięcia regat załoga włożyła mi na głowę wieniec z liści laurowych. Błyskały flesze aparatów i wszystkim spryskano szampanem. Kiedy podano mi butelkę, żebym z niej łyknęła, unosząc ją, spojrzałam w niebo i cichutko powiedziałam Saltowi, że to dla niego.

– Tęsknię za tobą – dodałam.

Po uroczystej kolacji, zanim odeszliśmy od stołu, Theo wziął mnie za rękę i pociągnął w górę, żebym wstała.

– Po pierwsze, chcę wznieść toast na cześć Ally. Chyba wszyscy przyznamy, że mimo trudnych okoliczności zachowała się nadzwyczajnie.

Chłopcy zaczęli klaskać, a mnie zakręciły się w oczach łzy, bo widziałam, że robią to szczerze.

– Po drugie, chciałbym, żebyście się zastanowili, czy chcecie dołączyć do mojej załogi w sierpniowych regatach Fastnet. Będę kapitanem *Tygrysicy*, na jej dziewiczym rejsie. Może ktoś z was słyszał o tym jachcie, który niedawno został wodowany. Widziałem go i jestem pewny, że może doprowadzić nas do następnego zwycięstwa. Co wy na to?

– *Tygrysica*? – rozochocił się Rob. – Ja płynę!

Reszta chłopaków dołączyła do niego z entuzjazmem.

– Ja też mogę? – zapytałam cichutko.

– Oczywiście, że tak. – Theo odwrócił się w moją stronę, objął mnie i pocałował w usta.

Znów rozległy się oklaski. Odsunęłam się od niego zaczerwieniona aż po cebulki włosów.

– A teraz ostatnia rzecz, jaką chciałem ogłosić. Ja i Ally jesteśmy parą. Więc jeśli komuś się to nie podoba, zapraszam na rozmowę.

Chłopcy zrobili znudzone miny.

– Nic nowego – rzucił Rob i westchnął.

– No właśnie, przecież już to wiemy – przytaknął mu Guy.

Oboje popatrzyliśmy na załogę z zaskoczeniem.

– Wiedzieliście? – spytał Theo.

– Wybacz, kapitanie, ale przecież przez kilka ostatnich dni razem mieszkaliśmy. Nikomu innemu nie była dana przyjemność dotykania tyłeczka Al, bo dostałby po łapach, nie mówiąc już o uściskach i całusach na dobranoc, więc niekoniecznie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić – wyjaśnił Rob. – Od dawna wszystko wiemy. Sorry.

– Ojej... – Theo nie był w stanie nic więcej wykrztusić, ale jeszcze mocniej mnie uściśnął.

– Wynajmijcie sobie pokój! – zawołał Guy, a reszta załogi zaczęła rzucać różne sprośne aluzje.

Theo jeszcze raz mnie pocałował. Myślałam, że ze wstydu zapadnę się pod ziemię, i w tym momencie dotarło do mnie, że miłość naprawdę potrafi być ślepa.

Zgodnie z radami „wynajęliśmy sobie pokój” w hotelu w Vouliagmeni. Theo dotrzymał słowa i przez dwadzieścia cztery godziny byliśmy tam bardzo zajęci. Ale nie tylko się kochaliśmy, omawialiśmy też plany na Fastnet i na później.

– Więc jesteś wolna i możesz dołączyć do załogi *Tygrysicy*?

– W tym roku tak. Zwykle w sierpniu płynęliśmy z Pa Saltem i z siostrami na nasze doroczne wakacje na *Tytanie*... – Z trudem przełknęłam ślinę i mówiłam dalej: – We wrześniu, jeśli zostanę zakwalifikowana do drużyny Szwajcarii, rozpocznę trening do olimpiady w Pekinie.

– Ja jestem w amerykańskiej drużynie.

– Na pewno będziecie dla nas ostrą konkurencją, ale przecież nie mogę pozwolić, żebyście wygrali – zażartowałam.

– No, nie wiem, moja droga, łatwo wam z nami nie pójdzie. – Theo próbował zrobić bardzo poważną minę, ale z marnym skutkiem. – A co masz zamiar zrobić przez najbliższe kilka dni? Ja wybieram się na zasłużone wakacje w moim rodzinnym letnim domu. Jest kilka godzin drogi jachtem stąd. A potem polecę na wyspę Wight, żeby przygotować się do Fastnetu. Pojedziesz ze mną?

– Na wakacje czy na przygotowania do Fastnetu?

– I tu, i tu. – Teraz na twarzy Theo naprawdę odmalowała się powaga. – Porozmawiajmy przez chwilę serio. Wiem, że jesteś doświadczoną żeglarką, ale Fastnet to zawody z całkiem innej bajki. W ostatnich, dwa lata temu, brałem udział jako członek załogi. Kiedy okrążaliśmy Fastnet Rock, mało brakowało, a stracilibyśmy jednego z naszych chłopaków, Matta... dosłownie zmiotło go z pokładu. Jest tam niebezpiecznie i – Theo głęboko westchnął – szczerze mówiąc, zaczynam się zastanawiać, czy to dobry pomysł, żebyś była w naszej załodze.

– Dlaczego? Bo jestem dziewczyną?

– Na miłość boską, Ally, przestań już z tym! Oczywiście, że nie dlatego. Bo cię kocham i nie potrafiłbym żyć, gdyby coś ci się stało. Może w najbliższych dniach jeszcze to przemyślimy, dobrze? Najlepiej przy drinku na tarasie z widokiem

na morze. Jutro rano musimy iść do portu i oddać *Hanse'a* właścicielowi. Niedaleko przycumowałem *Neptuna*, więc będziemy mogli od razu odpłynąć. Co ty na to?

– Tak naprawdę to pomyślałam, że powinnam wrócić do domu – powiedziałam. – Pobyć z mamą i z Mają.

– Zrozumiem cię, jeśli postanowisz tak zrobić. Chociaż jako egoista, wolałbym, żebyś popłynęła ze mną. Dla obojga z nas ten rok zapowiada się na zwariowany.

– Chciałabym z tobą popłynąć, ale najpierw muszę zadzwonić do mamy i upewnić się, że w domu jest wszystko dobrze, a potem zobaczymy.

– W takim razie zadzwoń, a ja wezmę prysznic. – Theo pocałował mnie w czubek głowy, a potem wyskoczył z łóżka i poszedł do łazienki.

Mama uspokoiła mnie, że w Atlantis wszystko jest w porządku, i powiedziała, że nie ma najmniejszej potrzeby, żebym przyjeżdżała.

– Zrób sobie wakacje, *chérie*. Maja postanowiła na trochę wyjechać, więc i tak jej tu nie ma.

– Naprawdę? A to dopiero! A ty? Nie czujesz się samotna? Obiecuję, że tym razem cały czas będę miała włączoną komórkę, więc gdyby cokolwiek się działo, dzwoń.

– Czuję się dobrze i nic mi nie będzie, *chérie* – odpowiedziała ze stoickim spokojem. – Najgorsze już się, niestety, wydarzyło.

Skończyłam rozmowę i nagle ogarnął mnie smutek, jak zawsze, kiedy pozwalałam sobie na to, by doganiała mnie myśl, że taty już nie ma. Ale Marina miała rację. Najgorsze już się wydarzyło. Jak nigdy przedtem żałowałam, że nie wyznaję religii, która ma określone rytuały, pozwalające radzić sobie z bezmiarem rozpacz po śmierci bliskich. Choć dotąd uważałam religie za przeżytek, teraz rozumiałam, że pomagają ludziom przetrwać najtrudniejsze chwile.

Następnego dnia rano wyrejestrowaliśmy się z Theo z hotelu i pieszo poszliśmy do portu.

Na pokładzie *Hanse'a* wzniesiliśmy toast z jej właścicielem dla uczczenia zwycięstwa. Był zachwycony i już omawiał z Theo plany na następne regaty. Potem, idąc wzdłuż portowego nabrzeża, dotarliśmy do *Neptuna*. Przed wypłynięciem Theo zaprogramował kurs na autopilocie, ale zdecydowanie odmówił zdradzenia mi, dokąd płyniemy. Kiedy wyprowadzał jacht z portu Vouliagmeni na otwarte morze, ja zajęłam się uzupełnieniem zapasów piwa, wody i wina w lodówkach. Płynęliśmy po spokojnej, niebieskawozielonej wodzie, lecz choć z całej siły starałam się skupić na pięknie krajobrazu, nie mogłam uciec od wspomnień i emocji, jakich doświadczyłam w czasie poprzedniego rejsu *Neptunem*. Przy okazji uzmysłowiłam sobie, jak Theo jest podobny do Pa Salta. Obaj uwielbiali tajemnice i obaj zdecydowanie lubili rządzić.

Właśnie się zastanawiałam, czy nie zakochałam się w kimś, kto ma mi zastąpić ojca, kiedy poczułam, że *Neptun* zwalnia, i usłyszałam szcęk opuszczanej kotwicy. Gdy Theo pojawił się obok mnie na pokładzie, postanowiłam nie dzielić się z nim swoimi ostatnimi przemyśleniami. Przy jego skłonnościach do psychoanalizy nie opędziłabym się od rozważań na ten temat.

Przy piwie i sałatce z fetą ze świeżymi oliwkami, którą kupiłam na straganie w porcie, nareszcie opowiedziałam Theo o sferze armilarnej, wygrawerowanych na niej cytatach i współrzędnych, a także o liście, zostawionym przez Pa Salta.

– Wygląda na to, że był dobrze przygotowany – skomentował, gdy skończyłam. – Musiał to wszystko nieźle zaplanować.

– O, tak. Właśnie takim był człowiekiem. Zawsze miał wszystko perfekcyjnie zorganizowane.

– Rozumiem go. Ja też spisałem testament i przygotowałem instrukcje dotyczące mojego pogrzebu. – Powiedział dokładnie to, o czym przed chwilą myślałam.

– Co ty mówisz?! – Wzdrygnęłam się.

– Przepraszam cię, Ally, ale ludzie morza muszą się liczyć z niebezpieczeństwem. Nigdy nic nie wiadomo.

– W każdym razie jestem pewna, że tata bardzo by cię polubił. – Spojrzałam na zegarek, żeby jak najszybciej zmienić temat. – Nie powinniśmy płynąć dalej do naszego tajemniczego celu?

– Tak, za chwilę, bo chcę, żebyśmy dobili o odpowiedniej porze. – Theo uśmiechnął się zagadkowo. – Masz ochotę popływać?

Trzy godziny później wiedziałam, dlaczego chciał poczekać. Przed nami rozciągał się niezwykle widok. Zachodzące słońce zalało głęboką pomarańczową łuną niebo nad maleńką wysepką i odbijało się od rozrzuconych wzdłuż wybrzeża białych domków.

– Prawda, że jest przepięknie? – szepnął. Trzymając jedną rękę na sterze, a drugą obejmując mnie w talii, wprowadził *Neptuna* do maleńkiego portu.

– Tak – odparłam, podziwiając, jak promienie słoneczne przenikają chmury. Przypominało to pęknięte żółtko, które powoli roztapia się w pianie z białka. – Mój tata zawsze mówił, że zachody słońca w Grecji są najpiękniejsze na świecie.

– I w tym także bym się z nim zgodził. – Theo delikatnie pocałował mnie w szyję.

Przypomniałam sobie swoje wcześniejsze przemyślenia i postanowiłam na czas trwania wakacji przestać wspominać, co Pa Salt lubił, a czego nie lubił.

– Powiesz mi już, gdzie jesteśmy? – zapytałam, kiedy znaleźliśmy się w porcie i śniady chłopak podbiegł, by złapać linę, którą mu rzuciłam, i przywiązać jacht do pomostu.

– Czy to ważne? Dowiesz się w odpowiednim czasie. Na razie możemy to

miejsce nazwać „Gdzieś”.

Sądziłam, że będziemy musieli wnosić plecaki po stromym zboczu, więc zdziwiłam się, kiedy Theo kazał mi je zostawić. Zamknął kajutę na klucz i zesliśmy z jachtu. Zapłacił młodemu człowiekowi parę euro za pomoc, po czym wziął mnie za rękę i poprowadził wzdłuż nabrzeża do rzędu motorowerów. Poszperał w kieszeni, żeby znaleźć klucz, i chwilę walczył z solidną kłódką, która spinała całą masę splecionych ze sobą ciężkich łańcuchów zabezpieczających jeden z motorowerów.

– Grecy to wspaniali ludzie, ale ich gospodarka kuleje, więc lepiej być przezornym – wyjaśnił. – Wolałbym uniknąć tego, że przyplwam tutaj i widzę, że brakuje obu kół. Wsiadaj.

Chwilę się wahałam, zanim to zrobiłam.

Nienawidziłam motorowerów. Kiedyś posłuchałam Pa Salta i między liceum a studiami wybrałam się z dwiema koleżankami, Marielle i H  l  ne, w podr  ż po   wiecie. Zacz  ty  śmy od Dalekiego Wschodu, zwiedziły  śmy Tajlandi  , Kambod  żę i Wietnam i wracaj  c do Europy, gdzie załatwi  łam sobie na lato prac   kelnerki na wyspie Kythnos, jechały  śmy przez Turcj   na wypo  życzonych motorowerach. W drodze z lotniska w Bodrum do Kalkanu Marielle   le oceni  ła niebezpieczny zakr  t serpentyny i rozbi  ła si  .

Nigdy nie zapomn  , jak znalaz  łam jej wygl  daj  ce na nie  zywe cia  o w kar  lowatych krzakach na zboczu g  ry, a potem sta  łam po  rodku drogi, rozpaczliwie czekaj  c, a   nadjedzie kt  s, kto nam pomo  ze.

Na drodze nikt si   nie pojawiał, wi  c w ko  ncu wyj  łam telefon i zadzwoni  łam do jedynej osoby, kt  ra mog  ła nam pomóc. Wyja  ni  łam Pa Saltowi, co si   sta  o i gdzie, a on kaza   mi si   nie martwi  c; powiedzia  ,   e pomoc ju   jest w drodze. W straszliwych nerwach czekały  śmy jeszcze p  o godziny, a   wyl  dowa   ko  o nas helikopter z pilotem i ratownikiem medycznym. Zabrali nas wszystkie do szpitala w Dalamanie. Marielle prze  ży  , cho  c mia  ła roztrzaskan   miednic   i trzy z  lamane   ebra. Po uderzeniu w g  ow   do dzisiaj ma powa  ne migreny.

Od czasu wypadku Marielle nawet nie zbli  y  lam si   do motoroweru, wi  c tego wieczoru, kiedy usiad  łam z ty  u za Theo,   o  dek zacisn  ł mi si   z przera  enia.

– Gotowa? – zapyta  .

– Ju   bardziej gotowa nie b  d   – mrukn  łam i obj  łam go w talii tak mocno, jakby moje r  ce by  y imad  em. Wyruszy  śmy pod g  r   w  skimi dr  żkami wyspy Gdzie  . Pomy  la  mam,   e gdyby Theo okaza   si   macho, kt  ry chce na dziewczynie zrobi  c wra  enie jazd   na   eb na szyj  , kaza  abym mu stan  c i zeskoczy  abym z motoroweru. Jecha   w miar   ostro  nie, mimo to mocno zaciska  łam powieki. W ko  ncu, kiedy mia  łam wra  enie,   e jedziemy ju   ca  w wieczno  c, chocia   tak naprawd   min  o pewnie z pi  tna  cie minut, poczu  łam,   e Theo hamuje,

motorower przechyla się na jedną stronę, a on bezpiecznie staje na twardym podłożu i wyłącza silnik.

– Już jesteśmy.

– To dobrze.

Otworzyłam oczy. Tak mi ulżyło, że aż zakręciło mi się w głowie. Skupiłam się już tylko na tym, żeby zejść z motoroweru.

– Czy nie jest tu pięknie? – odezwał się Theo. – Już widoki po drodze zapierają dech w piersiach, ale tutaj jest najpiękniej.

Całą drogę miałam zamknięte oczy, więc nic nie mogłam na ten temat powiedzieć. Wziął mnie za rękę i poprowadził przez ostrą suchą trawę. W dole zobaczyłam stare drzewa oliwne porozrzucane po zboczu stromo opadającym do morza. Kiwnęłam głową na znak, że się zgadzam.

– Dokąd idziemy? – zapytałam, kiedy prowadził mnie przez gaj oliwny. Nie widziałam przed nami żadnego budynku oprócz starej szopy, prawdopodobnie przeznaczonej dla kóz.

– Tam. – Wskazał na szopę i zwrócił się do mnie: – Nie ma to jak w domu. Wspaniale tu, prawda?

– Tak... no...

– Ally, jesteś strasznie blada. Dobrze się czujesz?

– Tak – zapewniłam go, kiedy w końcu dotarliśmy do szopy. Zastanawiałam się, któremu z nas brakuje piątej klepki. Skoro tak wygląda jego „dom”, to nawet jeśli będę musiała po ciemku iść pieszo na dół, na pewno to zrobię. Za nic w świecie nie zostanę tu na noc.

– Wiem, że na razie wygląda jak buda, ale kupiłem to niedawno. Chciałem, żebyś pierwsza zobaczyła moje włości, zwłaszcza o zachodzie słońca. Trzeba tu włożyć mnóstwo pracy, a greckie przepisy budowlane są bardzo surowe – powiedział, otwierając obłupane drewniane drzwi.

W środku panował półmrok, a przez ogromną dziurę w dachu zobaczyłam pierwsze gwiazdy. W powietrzu unosił się silny zapach kóz, co sprawiło, że mój i tak już zmaltretowany żołądek zaczął jeszcze bardziej protestować.

– Co ty na to? – dopytywał się Theo.

– Tak jak mówisz, widok jest przepiękny. – Stałam obok niego i słuchałam, jak opowiada, że zatrudnił architekta. Tutaj będzie kuchnia, tu ogromny salon, a za nim taras z widokiem na morze.

W pewnej chwili nie mogłam już wytrzymać zapachu kóz; nogi miałam jak z waty. Kręcąc głową, wyszłam na zewnątrz. Z trudem przebiegłam kawałek po nierównej suchej ziemi, dotarłam za róg szopy i zgięta wpół, zaczęłam wymiotować.

– Ally... co ci jest? Znowu jesteś chora?

Theo natychmiast znalazł się przy mnie i mocno mnie podtrzymał, a ja

żałośnie kręciłam głową.

– Nic takiego. Już dobrze. Tylko... tylko...

Usiadłam na trawie i rozbeczałam się jak mała dziewczynka. Opowiedziałam mu o wypadku na motorowerze, o tym, jak strasznie tęsknię za tatą i jak mi przykro, że znowu widzi mnie w tak kiepskiej formie.

– To ty mi wybacz – odparł. – To moja wina. Jesteś wyczerpana po regatach, przeżywasz traumę z powodu śmierci ojca... Tak świetnie udaje ci się grać twardzielkę, że nie przyszło mi do głowy, że powinienem się bardziej o ciebie zatroszczyć. I to ja, który szcycę się tym, że potrafię każdego rozszyfrować. Zadzwońię do znajomego i poproszę, żeby przyjechał tu samochodem i nas stąd zabrał.

Byłam zbyt zmęczona, żeby z nim się spierać. Usiadłam na trawie i patrzyłam, jak dzwoni z komórki. Słońce właśnie pogrążało się na krańcu morza. W miarę jak się uspokajałam, coraz bardziej zgadzałam się z Theo. Widok naprawdę był zachwycający.

Dziesięć minut później spokojnie jechałam z góry starym volvem prowadzonym przez równie starego człowieka. Theo przedstawił mi go jako Kreona. W połowie drogi w dół samochód skręcił w prawo i pojechał zakurzoną wyboistą drogą, która sprawiała wrażenie prowadzącej donikąd. Kiedy jednak dotarliśmy do jej końca, zobaczyłam gościnne światła przepięknego domu przycupniętego na krawędzi klifu.

– Czuj się jak u siebie, kochanie – powiedział Theo, wprowadzając mnie do przestronnego holu.

Po chwili pojawiła się ciemnooka kobieta w średnim wieku, serdecznie go objęła i powiedziała coś po grecku.

– Irene jest naszą gospodynią – wyjaśnił. – Pokaże ci twój pokój i naleje wody do wanny. Ja zjadę z Kreonem do portu i przywieziemy rzeczy, które zostawiliśmy na łodzi.

Okazało się, że wanna jest na tarasie, który podobnie jak resztę domu wykuto w nierównej, poszarpanej skale opadającej stromo do spienionego morza. Z rozkoszą siedziałam w bąbelkach pachnącej wody, a kiedy się rozgościłam w ślicznej przestronnej sypialni, poszłam obejrzeć dom. Ze stylowo umeblowanego salonu wychodziło się na ogromny główny taras, z którego rozciągał się zapierający dech w piersiach widok. Na tarasie był basen – tak wielki, że nie pogardziłby nim zawodnik klasy olimpijskiej. Przyszło mi do głowy, że ten wspaniały dom można porównać z Atlantis, tyle że był jakby zawieszony w powietrzu.

Opatuliłam się w miękki bawełniany szlafrok, który znalazłam na swoim łóżku, i usiadłam na wygodnie wyściełanym krześle na tarasie. Irene przyniosła butelkę białego wina w kubelku z lodem i dwa kieliszki.

Powoli piłam wino i wpatrywałam się w rozgwieżdżoną ciemność. Po kilku dniach żeglowania rozkoszowałam się otaczającym mnie luksusem. Przestałam się obawiać, że kiedy zabiorę Theo do Atlantis, nie będzie się tam czuł swobodnie. Zdarzało się, że gdy zapraszałam koleżanki z internatu do domu albo na *Tytana*, czuły się tak onieśmiałe naszym stylem życia, że nie miały odwagi się odezwać. A potem, w szkole, czułam w nich coś, co brałam za wrogość, i nasza przyjaźń na tym cierpiała.

Na szczęście z Theo takie problemy mi nie grożą. Jego rodzina najwyraźniej jest równie zamożna jak moja. Uznałam za ironię to, że i tak oboje spędzamy co najmniej trzy czwarte życia na twardych kojach w dusznych kajutach i uważamy się za szczęściarzy, jeśli z jedynej pryszniczicy w ciasnej łazience cieknie chociaż cienka strużka wody – nieważne, czy ciepłej, czy zimnej.

W pewnej chwili poczułam na ramieniu dłoń Theo, a po chwili pocałunek na policzku.

– Cześć, skarbie. Już ci lepiej?

– Znacznie lepiej. Dziękuję. Nie ma to jak ciepła kąpiel po kilkudniowych regatach.

– Owszem. – Nalał sobie kieliszek wina i usiadł naprzeciwko mnie. – Ja też za chwilę się wykąpię. Przepraszam cię. Wiem, że kiedy coś mnie porwie, całkiem się w tym zatracam. Ale tak bardzo chciałem ci pokazać swój nowy dom.

– Przecież nic się nie stało. Na pewno będzie cudowny, kiedy go wybudujesz.

– Nie tak wspaniały jak ten, ale przynajmniej będzie mój. A czasami – wzruszył ramionami – tylko to się liczy. Prawda?

– Szczerze mówiąc, nigdy nie myślałam o własnym domu. Tyle czasu spędzam na morzu, że kupowanie domu nie bardzo ma sens, skoro mogę po prostu jechać do Atlantis. A poza tym, my, żeglarze, tak mało zarabiamy, że na niewiele mnie stać.

– Dlatego kupiłem tę szopę, w której kiedyś trzymano kozy. Z drugiej strony, oboje zawsze mieliśmy zaplecze finansowe i nie musieliśmy się martwić, jeśli coś nam nie szło. Chociaż osobiście wolałbym głodować, niż żebrać u ojca. Przywileje mają swoją cenę, nie sądzisz?

– Pewnie tak, ale wątpię, żeby ktokolwiek się nad nami litował.

– Nie chodzi mi o to, że należy nam się współczucie. Tylko że dzisiejszy materialistyczny świat jest strasznie skupiony na pieniądzu, a moim zdaniem pieniądze nie wszystko rozwiązują. Popatrz na przykład na mojego ojca. Skonstruował układ scalony do komputerów, dzięki któremu w wieku trzydziestu pięciu lat, czyli mając tyle lat co ja teraz, został multimilionerem. Kiedy byłem dzieckiem, uwielbiał mi opowiadać, jak w moim wieku było mu ciężko i jak bardzo powinienem doceniać to, co mam. Oczywiście nie miałem takich doświadczeń jak

on, ponieważ dorastałem w bogactwie. Życie jakby zatoczyło pełne koło: on nie miał nic, i to go zmotywowało, a ja teoretycznie miałem wszystko, ale wpędził mnie w poczucie winy, że to mam. I właśnie dlatego usiłuję radzić sobie bez jego pomocy, ciągle jestem bez kasy i mam poczucie, że go zawiodłem. A ty? Masz podobne doświadczenia?

– Nie, choć na pewno tata nauczył nas cenić pieniądze. Zawsze mówił, że urodziłyśmy się, aby być sobą, i jedyne, co możemy zrobić, to na miarę swoich sił starać się jak najbardziej się rozwijać. Zawsze uważałam, że jest ze mnie dumny, zwłaszcza jeśli chodzi o żeglarsstwo. Niewątpliwie w pewnym stopniu dlatego, że była to nasza wspólna pasja. Ale w liście napisał mi coś dziwnego. Dał mi do zrozumienia, że zarzuciłam karierę muzyka i zostałam profesjonalną żeglarką, ponieważ chciałam go uszczęśliwić.

– To prawda?

– Raczej nie. Uwielbiałam i jedno, i drugie, ale dostałam ciekawe oferty żeglarskie i po prostu z nich skorzystałam. Życie czasem tak się po prostu układa, nie uważasz?

– Tak – zgodził się Theo i na chwilę się zamyślił. – Wiesz, odziedziczyłem coś po każdym z rodziców. Po ojcu smykałkę do techniki, po matce fascynację żeglarsstwem.

– Ja zostałam adoptowana, więc nie mam pojęcia, co dostałam w genach. Moje wychowanie polegało na nauce, a nie na pielęgnowaniu tradycji rodzinnych.

– Hm... Nie sądzisz, że byłoby ciekawe odkryć, czy geny miały udział w twoim rozwoju? Może kiedyś powinnaś skorzystać ze wskazówek ojca i dowiedzieć się, skąd pochodzisz. Można by z tego zrobić świetne studium antropologiczne.

– Pewnie tak – przyznałam, tłumiąc ziewnięcie. – Teraz jednak jestem zbyt zmęczona, żeby o tym myśleć. A ty pachniesz kozami. Najwyższy czas, żebyś się wykąpał.

– Masz rację. Po drodze powiem Irene, żeby podała kolację. Wrócę za jakieś dziesięć minut. – Pocałował mnie w nos i zniknął z tarasu.

Z czasem żarliwa namiętność, typowa dla początków związków, powoli się uspokoiła. Kilka leniwych dni na wyspie Gdzieś dało nam czas, by lepiej się poznać. Wyznałam mu rzeczy, których jeszcze nigdy nikomu nie wyjawiałam. Komuś innemu mogły się one wydawać nieważne, ale dla mnie były bardzo istotne. Theo zawsze słuchał mnie w skupieniu, a jego zielone oczy wpatrywały się we mnie z charakterystyczną dla niego intensywnością. Przy nim czułam się bardziej kochana niż kiedykolwiek przedtem. Interesował się zwłaszcza Pa Saltem i moimi siostrami, czyli naszym życiem w „luksusowym sierocińcu”, jak nazywał Atlantis.

Pewnego dusznego poranka, kiedy powietrze stało i oboje stwierdziliśmy, że na pewno będzie burza, przyszedł do mnie na taras. Odpoczywałam akurat na leżance w cieniu.

– Gdzie byłeś? – zapytałam.

– Niestety, musiałem wziąć udział w strasznie nudnej telekonferencji ze sponsorem w Fastnecie, kierownikiem grupy i właścicielem *Tygrysicy* – odparł, siadając przy mnie. – Oni zajmowali się dzieleniem włosa na czworo, a ja w tym czasie sobie gryzmoliłem.

– Co gryzmoliłeś?

– Układałaś kiedyś anagramy ze swojego imienia? Na przykład pisałaś je od tyłu? Bo ja właśnie to robiłem. Wyszło mi coś niedorzecznego – dodał z uśmiechem. – Oeht.

– Oczywiście, że to robiłam. Moje też wygląda głupio: Ylla.

– A robiłaś to kiedyś ze swoim nazwiskiem?

– Nie. – Zaczęłam się zastanawiać, do czego zmierza.

– Uwielbiam zabawy ze słowami, więc kiedy się nudziłem w czasie tej cholernej konferencji, bawiłem się twoim nazwiskiem.

– No i?

– Hm... wiem, że uważasz mnie za pedanta, który ma fisia na punkcie tajemnic, ale trochę znam mitologię grecką... no bo przecież studiowałem literaturę klasyczną w Oksfordzie, a poza tym w dzieciństwie spędzałem tu każde lato. Mogę ci pokazać, co odkryłem?

– Proszę.

Podał mi kartkę z gryzmołami.

– Widzisz, w co układa się D'Aplièse?

– Pleiades – odczytałam słowo pod moim nazwiskiem. Theo wyczarował je z D'Aplièse.

– Tak. Coś ci to mówi?

– Brzmi znajomo – przyznałam.

– To Plejady, grecka nazwa gwiazdozbioru Siedmiu Sióstr.
– Słucham? – Wlepiłam w niego wzrok, irracjonalnie czując, że muszę się bronić.

– Czy to nie zbyt duży zbieg okoliczności, że ty i twoje siostry macie imiona po siedmiu... a raczej sześciu słynnych gwiazdach, a wasze nazwisko jest anagramem greckiego słowa Pleiades? Twój ojciec też się tak nazywał?

Poczułam, że mam rozpalone policzki. Z całej siły usiłowałam sobie przypomnieć, czy ktokolwiek nazywał Pa Salta „D’Aplièse”. Nasi pracownicy w domu i załoga *Tytana* zwracali się do niego „proszę pana”, oprócz Mariny, która, tak jak my, mówiła na niego Pa Salt albo „wasz ojciec”. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek widziałam jakieś nazwisko na przesyłkach pocztowych do taty, ale pamiętałam tylko oficjalnie wyglądające listy i paczki z nazwami jego rozlicznych firm.

– Pewnie tak – odpowiedziałam w końcu.

– Przepraszam cię, Ally. – Theo widział, że poczułam się nieswojo. – Chciałem się tylko dowiedzieć, czy wymyślił to nazwisko dla córek, czy sam też tak się nazywał. Wielu ludzi dokonuje oficjalnej zmiany nazwiska. Tak naprawdę bardzo ładnie się nazywasz: Alkione Pleiades. A jeśli chodzi o samo Pa Salt, to...

– Przestań, Theo!

– Przepraszam, ale mnie to zafascynowało. Jestem przekonany, że twój ojciec był znacznie bardziej zagadkowym człowiekiem, niż wam się wydawało.

Przeprosiłam go i weszłam do domu. Czuję się zmieszana, że to wszystko dostrzegł – choć bawił się przecież tylko literami – a ja i moje siostry nigdy nie zwróciłyśmy na to uwagi. Chyba że one znały tę tajemnicę, ale nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat.

Kiedy wróciłam na taras, Theo już zrozumiał, że nie chcę o tym mówić, i nie wracał do swoich odkryć. Przy lunchu opowiedział mi więcej o swoich rodzicach i ich rozwodzie, któremu towarzyszyło wiele niesnasek. W czasie wakacji ciągle przenoszono go od matki w Anglii do ojca w Stanach. Jak to on, dogłębnie zanalizował sytuację i opowiedział mi o niej tak, jakby mówił nie o sobie. Czuję w nim jednak napięcie i podświadomą złość. Odniosłam wrażenie, że z powodu poczucia lojalności wobec matki patrzy na ojca niezbyt obiektywnie. Na razie nie czuję się jednak na tyle pewna, żeby mu to powiedzieć, choć uważałam, że z czasem powinnam to zrobić.

Jego odkrycie związane z moim imieniem i nazwiskiem tak wytrąciło mnie z równowagi, że w nocy nie mogłam zasnąć. Jeśli nasze nazwisko było anagramem wymyślonym przez tatę z powodu jego obsesji na punkcie gwiazd i mitu o Siedmiu Siostrach, to kim właściwie jesteśmy?

A co ważniejsze, kim był on?

Musiałam jednak zmierzyć się ze straszliwą prawdą, że już nigdy tego się nie

dowiem.

*

Następnego dnia pożyczyłam od Theo laptop i sprawdziłam w internecie Siedem Sióstr, czyli Plejady. Choć tata opowiadał nam o gwiazdach – zwłaszcza Mai, która spędziła z nim mnóstwo czasu w kopule obserwatorium na dachu Atlantis – mnie nigdy to specjalnie nie interesowało. Informacje, które przekazał mi w trakcie naszych wypraw żeglarskich, miały głównie znaczenie praktyczne. Pokazywał mi, jak posługiwać się gwiazdami w nawigacji morskiej. Opowiedział mi też, że Plejady od tysięcy lat były znane jako przewodniczki marynarzy. W końcu wyłączyłam komputer i pomyślałam, że powód, dla którego tata nazwał nas imionami Siedmiu Sióstr, jest kolejną tajemnicą. A zgłębianie jej jeszcze bardziej wytrąci mnie z równowagi.

Przy lunchu wyjaśniłam to Theo, a on się ze mną zgodził.

– Naprawdę cię przepraszam, Ally. Nie powinienem o tym w ogóle wspominać. Ważna jest teraźniejszość i przyszłość. I nieistotne jest, kim był twój ojciec, dla mnie liczy się tylko to, że kiedy cię adoptował, spełnił dobry uczynek. I chociaż bardzo chciałbym ci powiedzieć, co jeszcze odkryłem...

– Theo!

– Okay, okay – rzucił. – Rozumiem, że to nie jest odpowiednia chwila.

Miał rację. Ale późnym popołudniem – być może zgodnie z jego zamierzeniem – wyjęłam ze swojego kalendarza list taty i ponownie go przeczytałam. Pomyślałam, że kiedyś może ruszę za śladem, który mi zostawił. A przynajmniej znajdę wspomnianą przez niego książkę, która stoi na półce w jego gabinecie w Atlantis.

*

Nasze wakacje dobiegały końca. Miałam wrażenie, że Theo stał się częścią mnie. Czasem sobie to powtarzałam i nie mogłam uwierzyć, że to moje słowa. A jednak, chociaż brzmiało to bardzo romantycznie, naprawdę czułam, że znalazłam pokrewną duszę. Był moim dopełnieniem.

Zrozumiałam, jak przerażająca może być ta nowa sytuacja, kiedy ze swoim niewzruszonym spokojem omawiał logistykę wyjazdu z wyspy Gdzieś – wtedy już wiedziałam, że naprawdę nazywa się Anafi – i powrotu do rzeczywistości.

– Po pierwsze, muszę odwiedzić mamę w Londynie. Potem odbiorę *Tygrysicę* z Southampton i pożegluję ją na wyspę Wight. Przynajmniej trochę ją wyczuję. A ty, kochanie?

– Ja też powinnam na trochę pojechać do domu – powiedziałam. – Mama niby świetnie się trzyma, ale skoro nie ma przy niej Mai i taty, powinnam trochę z nią pobyc.

– Sprawdzalem już loty w internecie. Moze w weekend popłyniemy razem do Aten i polecisz stamtąd do Genewy. Znalazłem dla ciebie wolne miejsce w samolocie, który odlataje w porze lunchu, mniej więcej o tej samej godzinie co mój do Londynu.

– Świetnie. Dziękuję – odpowiedziałam szorstko. Nagle poczułam się bezradna. Bałam się zostać bez niego i niepokoiłam się o przyszłość, nawet o to, czy w ogóle będzie dla nas jakaś przyszłość po pobycie na Gdzieś.

– Co się stało, Ally?

– Nic takiego. Za dużo dzisiaj byłam na słońcu. Muszę się położyć. – Wstałam i chciałam opuścić taras, ale Theo chwycił mnie za rękę i zatrzymał.

– Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy, więc usiądź, proszę. – Stanowczo posadził mnie z powrotem na krzesło i pocałował w usta. – Musimy omówić nasze dalsze plany. Na przykład regaty Fastnet. Dużo o nich tutaj myślałem i chciałbym ci coś zaproponować.

– Słucham. – Nawet dla mnie zabrzmiało to prowokująco. Nie miałam ochoty na poznawanie jego planów związanych z tymi regatami.

– Chciałbym, żebyś ćwiczyła z resztą załogi. Ale musisz mi obiecać, że jeśli już podczas zawodów uznam, że pogoda jest zbyt niebezpieczna, żebyś była na pokładzie, albo z jakiegoś innego powodu w którymś momencie postanowię, że powinnaś zostać na brzegu, to mnie posłuchasz.

Kiwnęłam głową, choć dużo mnie to kosztowało.

– Tak jest, kapitanie.

– Nie żartuj, Ally. Mówię poważnie. Już raz ci tłumaczyłem, że nie przeżyłbym, gdyby coś ci się stało.

– Czy taka decyzja nie powinna należeć do mnie?

– Nie. Jestem kapitanem, a w dodatku twoim facetem, więc to ja decyduję.

– Ale mnie nie wolno będzie cię zatrzymać, jeśli uznam, że jest zbyt niebezpiecznie?

– Oczywiście, że nie! – Zdenerwowany pokręcił głową. – To ja podejmuję decyzje. Na dobre i na złe.

– A jeśli będę wiedziała, że na złe?

– To mi powiesz, ja wysłucham twojego ostrzeżenia, a potem podejmę decyzję.

– Dlaczego ja nie mogę decydować? To niesprawiedliwe.

– Ally, to zaczyna zakrawać na absurd. W ten sposób do niczego nie dojdziemy, a poza tym jestem pewny, że nic takiego się nie zdarzy. Chcę ci tylko powiedzieć, że masz mnie słuchać.

– Dobrze – zgodziłam się niechętnie. Po raz pierwszy byliśmy bliscy czegoś, co można by nazwać kłótnią, a tak niewiele czasu zostało nam w tym wspaniałym miejscu. Szkoda mi było tracić te ostatnie chwile na zaognianie sytuacji.

– Przede wszystkim – oczy Theo złagodniały, wyciągnął rękę i pogłaskał mnie po policzku – nie zapominajmy, że po regatach Fastnet mamy przed sobą jeszcze całe życie. Te ostatnie kilka tygodni były najszcześniejszym okresem w moim życiu. Ally... wiesz, że nie umiem rozmawiać o uczuciach, ale chciałbym, żebyśmy zawsze byli razem. Co o tym myślisz?

– Jestem za – mruknęłam. Trudno mi było w ciągu kilku sekund przejść od skrajnej irytacji do „bądźmy razem przez całe życie”. Mało brakowało, a spojrzałabym na papiery Theo, żeby zobaczyć, czy nie ma tam porządku naszej rozmowy z punktem: „Przedyskutować przyszłość z Ally”.

– Może uznasz, że jestem staroświecki, ale muszę ci to powiedzieć: wiem, że nigdy już nie spotkam kogoś takiego jak ty. Nie mamy już po dwadzieścia lat i oboje niejedno widzieliśmy, więc jestem pewny tego, co mówię. Byłbym zachwycony, gdybyś choćby jutro za mnie wyszła. Co ty na to?

Popatrzyłam na niego, usiłując zrozumieć, co do mnie mówi, ale nie było to łatwe.

– Czy to były oświadczenia w stylu Theo? – prychnęłam.

– No... tak... I co?

– Słyszę, co mówisz.

– I...?

– Szczerze mówiąc, Theo, trudno to uznać za scenę z *Romea i Julii*.

– Zgadza się. Jak wiesz, w wielkich słowach jestem do niczego. Chciałbym mieć to już za sobą i po prostu... żyć. A żyć chciałbym z tobą... to znaczy chciałbym cię poślubić – poprawił się.

– Nie musimy brać ślubu.

– Niby tak, tylko że jest to sprzeczne z moim tradycyjnym wychowaniem. Chcę z tobą być przez resztę swojego życia, a więc muszę się oficjalnie oświadczyć. Chciałbym, żebyś była panią Falys-Kings i żebym mógł o tobie mówić ludziom „moja żona”.

– Może nie będę chciała przyjąć twojego nazwiska. W dzisiejszych czasach kobiety często tak robią – odparowałam.

– To prawda – przytaknął spokojnie. – Ale dużo prościej jest mieć to samo nazwisko, nie uważasz? Przydaje się do rachunków bankowych i łatwiej dogadać się przez telefon z elektrykami, hydraulikami i...

– Theo?

– Tak?

– Na miłość boską, może byś już przestał?! Twój zmysł praktyczny bywa wkurzający, więc zanim tak daleko zabrniesz w swojej analizie, że nie dopuścisz mnie do głosu, żebym mogła się zgodzić, powiem od razu, że ja też mogłabym wyjść za ciebie choćby jutro.

– Naprawdę?

– Oczywiście. – W jego oczach zauważyłam coś, co mogło być łzami. Pod pewnymi względami byłam do niego podobna, więc doszłam do wniosku, że nawet ludzie, którzy wydają się bardzo pewni siebie, tracą grunt pod nogami, kiedy słyszą, że ktoś, kogo kochają, odwzajemnia to uczucie.

Przysunęłam się do niego i mocno go uściskałam.

– Czyż to nie wspaniałe? – Uśmiechnął się i ukradkiem otarł łzy.

– Oświadczyły były beznadziejne, ale tak, to wspaniałe.

– Hm... może znowu wydam ci się staroświecki, ale zrzuć to na karb mojego wychowania. Bardzo chciałbym, żebyśmy jutro poszli na zakupy i wybrali coś, co będzie znaczyć, że jesteśmy po słowie.

– Chodzi ci o zaręczyny? – spytałam, śmiejąc się. – Mówisz, jakbyś wyszedł prosto z książki Jane Austen, ale będzie mi bardzo miło.

– Dziękuję. – Podniósł wzrok na gwiazdy, pokręcił głową i spojrzał na mnie.

– Czy to nie cud?

– To znaczy co?

– Wszystko. Przez trzydzieści pięć lat żyłem na ziemi w samotności, a nagle, ni stąd, ni zowąd, pojawiłaś się ty. I nagle zrozumiałem.

– Co takiego?

Znow pokręcił głową i lekko wzruszył ramionami.

– Miłość.

*

Następnego ranka, tak jak Theo prosił, pojechaliśmy do „stolicy” wyspy o nazwie Chora, która tak naprawdę była zaspianą wsią złożoną z pomalowanych na biało domków przycupniętych na wzgórzu w okolicy południowego brzegu. Pochodziliśmy trochę po staromodnych wąskich uliczkach i znaleźliśmy kilka sklepów, w których obok żywności i artykułów gospodarstwa domowego sprzedawano ręcznie robioną biżuterię, a także małe targowisko z kilkoma straganami oferującymi świecidełka. Nigdy nie przepadałam za biżuterią, więc trudno mi było się zdecydować. Po półgodzinnym przymierzaniu pierścionków zauważyłam, że Theo zaczyna się niecierpliwić.

– Przecież musi być coś, co ci się spodoba? – poganiał mnie, kiedy zatrzymaliśmy się przy ostatnim straganie.

I rzeczywiście, coś wpadło mi w oko.

– Zgodziłbyś się, żeby nie był to pierścionek? – spytałam.

– W tej chwili może to być dla mnie nawet kolczyk do sutka, byle ci się podobało i bylebyśmy mogli iść na lunch. Umieram z głodu.

– Okay, więc poproszę o to.

Wskazałam na „złe oko”, tradycyjny grecki wisiołek z niebieskiego szkła na delikatnym srebrnym łańcuszku.

Sprzedawca wziął go z wystawy i położył sobie na dłoni, żebyśmy mogli lepiej się przyjrzeć, jednocześnie wskazując naklejkę z ceną. Theo zdjął okulary przeciwsłoneczne i wziął wisior między kciuk a palec wskazujący.

– Jest śliczny, skarbie, ale kosztuje piętnaście euro, więc daleko mu do pierścionka z brylantem.

– Podoba mi się. Marynarze noszą je, żeby odstraszyć sztormy. A w końcu moje imię oznacza opiekunkę żeglarzy.

– Wiem. Tylko nie jestem pewny, czy „złe oko” dobrze wróży w przypadku zaręczyn.

– Mnie się podoba, więc zanim oboje zwariujemy i nie kupimy niczego, proszę o to.

– Pod warunkiem, że obiecasz chronić również mnie.

– Oczywiście. – Objęłam go w tali.

– No dobrze. Ale ostrzegam cię, że dla zachowania tradycji być może będę musiał sprezentować ci coś bardziej... klasycznego.

Kilka minut później odchodziliśmy z targu z maleńkim talizmanem na mojej szyi.

– Właściwie – odezwał się Theo, kiedy szliśmy cichymi uliczkami w poszukiwaniu piwa i lunchu – wolę trzymać cię na łańcuchu za szyję, niż zaledwie za palec. Ale kiedyś będziemy musieli znaleźć prawdziwy pierścionek zaręczynowy. Tyle że, niestety, nie za bardzo mnie stać na coś od Tiffany’ego czy Cartiera.

– Ale z ciebie snob! – rzuciłam, kiedy usiedliśmy w cieniu przy stoliku na zewnątrz tawerny. – Zapamiętaj, że nie znoszę ekskluzywnych marek.

– Masz rację. Przepraszam, że wychodzi ze mnie wpojona mi w dzieciństwie mentalność rodem z ekskluzywnych country clubów na amerykańskim Wschodnim Wybrzeżu. A tak w ogóle, to co chcesz na lunch? – zapytał, biorąc do ręki plastikowe menu.

*

Następnego ranka niechętnie rozstałam się z Theo na ateńskim lotnisku i weszłam na pokład samolotu. Bez niego czułam się zagubiona. Od czasu do czasu odwracałam się do zdziwionego tym sąsiada, bo odruchowo chciałam coś powiedzieć do Theo, i dopiero wtedy przypominało mi się, że go nie ma. Sama przed sobą przyznałam, że źle znoszę nasze rozstanie.

Nie powiedziałam mamie, że przylatuję, bo chciałam jej zrobić miłą niespodziankę. W samolocie do Genewy przygotowywałam się, by jakoś odnaleźć się w Atlantis, które utraciło swoje serce. Targały mną sprzeczne emocje – od radości, że znalazłam miłość, po rozpacz z powodu straty, z którą będę musiała się zmierzyć, gdy dolecę. Tym razem nie będzie sióstr, które nieco by wypełniły

czarną dziurę po ojcu.

Kiedy przybyłam do Atlantis, po raz pierwszy w życiu nikt nie witał mnie na przystani, co jeszcze bardziej mnie przygnębiło. Nawet Claudii nie zastałam na jej posterunku w kuchni, chociaż na blacie stało moje ulubione cytrynowe ciasto biszkoptowe. Ukroiłam sobie duży kawałek i weszłam po schodach do swojego pokoju. Rzuciłam plecak na podłogę, usiadłam na łóżku i wlepiając wzrok w rozciągający się za oknem cudowny widok na jezioro, wsłuchiwałam się w irytującą ciszę.

W końcu wstałam i podeszłam do półki, żeby zdjąć statek w butelce, który Pa Salt dał mi na siódme rodziny. Przyglądałam się filigranowemu modelowi z drewna i płótna, z uśmiechem wspominając, jak męczyłam tatę pytaniami o to, w jaki sposób włożono go do środka przez cienką szyjkę butelki.

– To magia, Ally – szepnął tajemniczo. – Musimy w to wierzyć.

Rozpaczliwie pragnęłam poczuć go blisko siebie, więc wyciągnęłam z plecaka kalendarz i wzięłam do rąk jego list. Uważnie go przeczytałam i postanowiłam zejść na pierwsze piętro, by poszukać książki, którą mi polecił.

Stałam w drzwiach jego gabinetu i poczułam znajomy zapach cytrusów, świeżego powietrza i bezpieczeństwa.

– Ally! Przepraszam, że po ciebie nie wyszłam! Nie wiedziałam, że przyjeżdżasz. Co za cudowna niespodzianka!

– Mamo! – Odwróciłam się, żeby ją uściskać. – Co u ciebie? Mam kilka dni wolnego, więc postanowiłam sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Dobrze... – odpowiedziała nieco zbyt pośpiesznie. – A ty, *chérie*? Jak się czujesz?

Poczułam, jak oceniają mnie jej przenikliwe, mądre oczy.

– Przecież nigdy nie choruję.

– Doskonale wiesz, że nie pytałam o twoje zdrowie, Ally – odparła łagodnie.

– Byłam bardzo zajęta, co dobrze mi zrobiło. A tak w ogóle to wygraliśmy regaty. – Wymigałam się od pełnej odpowiedzi, bo nie byłam gotowa na zwierzenia dotyczące Theo i perspektywy naszego wspólnego szczęścia. Ten dom bez taty nie stwarzał po temu odpowiedniego nastroju.

– Maja jest w Atlantis, ale właśnie pojechała do Genewy. Tuż po wyjeździe... przyjaciela, którego przywiozła z Brazylii. Wkrótce wróci i na pewno będzie szczęśliwa na twój widok.

– Ja też się cieszę, że ją zobaczę. Nie mogę się doczekać opowieści o jej podróży.

– Może masz ochotę na herbatę. Chodź do kuchni i opowiedz mi o regatach.

– Chętnie. – Posłusznie wyszłam za mamą z gabinetu taty.

Może chodziło o to, że zjawiałam się bez zapowiedzi, ale wyczułam, że nie jest tak pogodna jak zawsze. Rozmawialiśmy o Mai i o Cykladach, a dwadzieścia

minut później usłyszałyśmy, że zbliża się motorówka. Wyszłam przywitać siostrę na pomoście.

– Niespodzianka! – krzyknęłam, rozpościerając ramiona.

– Ally! – zawołała zaskoczona Maja. – Co tu robisz?

– Tak się dziwnie składa, że to także mój dom – odpowiedziałam z uśmiechem. Wzięłyśmy się pod ręce i ruszyłyśmy w stronę zameczku.

– Wiem, ale nie spodziewałam się ciebie.

Postanowiłyśmy usiąść na tarasie. Przyniosłam z kuchni dzbanek domowej lemoniady przygotowanej przez Claudię, usiadłam i przyglądałam się Mai, słuchając jej opowieści o podróży do Brazylii. Pomyślałam, że od lat nie widziałam jej takiej ożywionej. Miała promienną cerę i błyszczące oczy. Najwyraźniej odkrycie własnej przeszłości – dzięki wskazówkom, które zostawił jej w liście Pa Salt – na nowo obudziło ją do życia.

– Ally, jest jeszcze coś, o czym muszę ci opowiedzieć – odezwała się po dłuższej chwili ciszy. – Pewnie powinnam była to zrobić dawno temu...

Dowiedziałam się o tym, co się wydarzyło, kiedy była na studiach, i wreszcie zrozumiałam, dlaczego od tamtej pory była taka wycofana. Kiedy jej słuchałam, do oczu napłynęły mi łzy. Przytuliłam ją mocno.

– To straszne, że musiałaś przez to przechodzić sama – powiedziałam. – Dlaczego nic mi nie zdradziłaś? Jestem twoją siostrą! Zawsze myślałam, że jesteśmy sobie bliskie. Zrobiłabym wszystko, żeby cię wesprzeć. Naprawdę.

– Wiem, Ally, ale miałaś wtedy tylko szesnaście lat. A poza tym, okropnie się wstydziałam.

Zapytałam ją, kim był ten straszny człowiek, który sprawił jej tyle bólu.

– Nie znasz go. Spotkaliśmy się na studiach. Nazywa się Zed.

– Zed Eszu?

– Tak. Może słyszałaś o nim w wiadomościach. Jego ojciec to ten miliarder, który popełnił samobójstwo.

– A jego jacht widziałam niedaleko jachtu Pa Salta tego dnia, kiedy dowiedziałam się, że tata zmarł. Pamiętasz? – Aż mnie przeszedł dreszcz.

– Wiesz, zakrawa to na ironię, ale to właśnie Zed, nawet o tym nie wiedząc, sprawił, że poleciałam do Rio. Bo wcześniej wahałam się, czy to zrobić. Po czternastu latach milczenia ni z tego, ni z owego zostawił mi wiadomość na poczcie głosowej, że przylatuje do Szwajcarii i chciałby się ze mną spotkać.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem.

– Chciał się z tobą spotkać?

– Tak. Powiedział, że słyszał o śmierci taty, i zaproponował, żebyśmy się razem wypłakali. Jeśli cokolwiek mogło mnie wypędzić ze Szwajcarii, to na pewno taka wiadomość.

Zapytałam, czy Zed wie, że urodziła dziecko.

– Nie. A gdyby nawet wiedział, pewnie i tak byłoby mu wszystko jedno.

– Dobrze, że się go pozbyłaś – rzuciłam ponuro.

– Znasz go?

– Nie osobiście. Mój... znajomy go zna. Tak czy owak – dodałam, zanim siostra mogła zadać mi więcej pytań – wygląda na to, że lot do Rio był najlepszą decyzją, jaką w życiu podjęłaś. Ale nic mi jeszcze nie powiedziałaś o tym przystojnym Brazylijczyku, którego tu wczoraj gościłaś. Mamie bardzo się spodobał. O niczym innym nie mówiła, kiedy przyjechałam. Podobno jest pisarzem.

Chwilę rozmawialiśmy o nim, a potem Maja zapytała o mnie. Postanowiłam, że to jej moment na opowiadanie o kimś, kogo znalazła po latach, więc powstrzymałam się przed zwierzeniami o Theo; mówiłam tylko o regatach Fastnet i o tym, czy zakwalifikuję się do drużyny olimpijskiej.

– Fantastycznie, Ally! Mam nadzieję, że będziesz mnie o wszystkim informowała na bieżąco!

– Jasne.

Na taras wyszła Marina.

– Maja, *chérie*, nie wiedziałam, że już wróciłaś do domu. Dopiero przed chwilą powiedziała mi o tym Claudia. Zobacz, co tu mam. Zapomniałam ci ją przekazać. – Podała mojej siostrze kopertę.

Kiedy Maja po charakterze pisma poznała, od kogo jest, rozbłysły jej oczy.

– Dziękuję ci, mamo.

– Zjecie kolację? – zapytała Marina.

– Jeśli jest co, to oczywiście. A ty, Maju? Zjesz ze mną? Ostatnio nieczęsto mamy okazję pogadać.

– Pewnie – powiedziała moja siostra, wstając. – A nie pogniewacie się, jeżeli na chwilę pójdę do pawilonu?

Obie z mamą spojrzałyśmy porozumiewawczo na nią i na list, który ścisnęła w dłoni.

– Na razie, *chérie* – rzuciła Marina.

Weszłam z nią do domu. Byłam ogromnie zdenerwowana tym, co powiedziała mi Maja. W pewnym sensie cieszyłam się, że wreszcie wyjaśniła mi, dlaczego tyle lat żyła w odosobnieniu i tak się od wszystkich oddaliła, skazując się na swego rodzaju wygnanie. Ale jej wyznanie, że Zed Eszu...

Oczywiście, że przy sześciu kompletnie różnych dziewczętach po domu krążyły plotki o chłopakach i o miłości, ale to zależało od charakteru danej siostry. Do tej pory Maja nie opowiadała absolutnie nic o swoim życiu prywatnym. Star i CeCe miały siebie nawzajem. Zostawały Elektra i Tiggy i obie często mi się zwierzały...

Poszłam na górę do swojego pokoju i zaczęłam niespokojnie po nim chodzić,

zastanawiając się nad moralnym aspektem bycia wtajemniczoną w sprawy ludzi, których kocham. Czy powinnam podzielić się swą wiedzą z innymi, czy też milczeć?

Maja otworzyła się przede mną po raz pierwszy od lat, więc uznałam, że to ona musi podjąć decyzję, czy chce wszystko opowiedzieć pozostałym siostrom. Moje wtrącanie się nie wniesie niczego dobrego. Kiedy już tak postanowiłam, sprawdziłam komórkę i uśmiechnęłam się na widok SMS-a od Theo.

Kochana Ally, tęsknię za Tobą. Banalne, lecz prawdziwe.

Natychmiast odpowiedziałam.

Ja też (jeszcze bardziej banalne).

Poszłam wziąć prysznic przed kolacją z Mają. Całą sobą pragnęłam podzielić się z nią wiadomością o swojej niedawno odnalezionej miłości, ale jeszcze raz powiedziałam sobie, że po tylu latach samotności siostry powinnam się skupić na jej miłości; ja ze swoją mogę poczekać na inną okazję.

Przy kolacji Maja oznajmiła, że nazajutrz wraca do Brazylii.

– Mamy tylko jedno życie, prawda, mamó? – zwróciła się do Mariny, promieniejąc z radości. Jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie.

– Tak – odpowiedziała mama. – Jeśli ostatnie tygodnie czegokolwiek nas nauczyły, to właśnie tego.

– Koniec życia w ukryciu! – Moja siostra uniosła kieliszek. – Nawet jeśli mi się nie uda, to przynajmniej spróbuję.

– Koniec życia w ukryciu! – z uśmiechem powtórzyłam toast.

Obie z Mariną przyglądałyśmy się, jak Maja odpływa z Atlantis. Machałyśmy jej i posyłałyśmy pocałunki.

– Tak się cieszę, że jest szczęśliwa. – Marina po kryjomu ocierała łzy, kiedy wracałyśmy do domu.

Usiadłyśmy przy herbacie i rozmawiałyśmy o trudnej przeszłości Mai i jej świetnie zapowiadającej się przyszłości. Ze słów mamy wynikało, że na temat Zeda Eszu ma podobne zdanie jak ja. Skończyłam herbatę i powiedziałam jej, że idę sprawdzić maile.

– Czy mogę skorzystać z gabinetu taty? – spytałam.

– Oczywiście. Pamiętaj, że teraz dom należy do ciebie i twoich siostr – cierpliwie przypomniła mi Marina.

Wzięłam laptop ze swojego pokoju, zeszłam na pierwsze piętro i otworzyłam drzwi do gabinetu ojca. Wyglądał tak jak zawsze. Wygodne stare meble pasowały do ścian wyłożonych dębową boazerią. Nieśmiało usiadłam w krześle Pa Salta i położyłam laptop na biurku z drewna orzecha włoskiego. Laptop włączał się bardzo powoli, więc obróciłam się na krześle, by przyjrzeć się bogactwu drobiazgów, które tata trzymał na półkach. Nie miały one ze sobą żadnego związku, więc zawsze zakładałam, że są to przedmioty, które spodobały mu się podczas jego licznych podróży. Po chwili przeniosłam wzrok na biblioteczkę sięgającą od podłogi po sufit. Zastanawiało mnie, gdzie może być książka, o której wspomniał w liście. Zauważyłam, że Dante stoi obok Dickensa, a Szekspir obok Sartre'a, z czego wynikało, że tomy ułożone są w porządku alfabetycznym. Zbiór taty był równie eklektyczny i zróżnicowany, jak jego charakter.

Po chwili humorzasty laptop postanowił mi powiedzieć, że skoro właśnie się otworzył, chce się zamknąć, więc w oczekiwaniu, aż się zresetuje, wstałam i podeszłam do odtwarzacza CD. Wszystkie namawiałyśmy ojca, żeby przestawił się na iPod, ale chociaż w gabinecie miał mnóstwo skomplikowanych komputerów i wszelkiej elektroniki, powiedział, że jest za stary na zmiany i woli dokładnie widzieć sprzęt, z którego odtwarza się muzyka. Zafascynowało mnie to, czego ostatnio słuchał; pokój nagle wypełnił się pięknymi dźwiękami otwierającymi *Poranek* Griega z suity *Peer Gynt*.

Oszołomiona falą wspomnień, stanęłam jak wryta. Był to ulubiony utwór orkiestrowy taty. Często prosił mnie, żebym zagrała mu jego początek na flecie. Stał się motywem przewodnim mojego dzieciństwa i przypominał mi nasze wspólne cudowne wschody słońca, kiedy Pa Salt brał mnie na jezioro i cierpliwie uczył żeglarstwa.

Tak bardzo za nim tęskniłam.

Ale tęskniłam jeszcze za kimś. Przepęlna nostalgią, w pokoju

wypełnionym wspaniałymi dźwiękami muzyki rozlegającej się z ukrytych głośników, instynktownie podniosłam słuchawkę telefonu, który stał na biurku ojca.

Przyłożyłam ją do ucha i już chciałam wybrać numer, gdy zdałam sobie sprawę, że linia jest zajęta; ktoś rozmawiał przez telefon z innego miejsca w domu. Kiedy usłyszałam dobrze mi znany, donośny głos człowieka, który od dzieciństwa był moją podporą, byłam tak zszokowana, że przerwałam rozmowę.

– Halo? – Sięgnęłam w stronę odtwarzacza CD, aby ściszyć muzykę i upewnić się, że to na pewno on.

Ale głos po drugiej stronie zmienił się w monotony sygnał i już go nie było.

Usiadłam i z trudem łapałam oddech, a potem wstałam, wyszłam na korytarz i zawołałam mamę. Moje krzyki sprowadziły z kuchni także Claudię. Wpadłam w histeryczny szloch i kiedy Marina pojawiła się na szczycie schodów, roztrzęsiona rzuciłam się w jej objęcia.

– Co się, na miłość boską, stało, *chérie*?

– Przed chwilą go słyszałam, mamó. Słyszałam go!

– Kogo, *chérie*?

– Pa Salta! Podniosłam słuchawkę telefonu, żeby wybrać numer, i usłyszałam jego głos. Boże. On nie umarł! Nie umarł!

– Ally... – Zobaczyłam, że mama karci wzrokiem Claudię. Objęła mnie i zaprowadziła do salonu. – Proszę cię, *chérie*, postaraj się uspokoić.

– Jak to możliwe? Instynktownie wiedziałam, że on nie umarł. To znaczy, że gdzieś jest i żyje. A ktoś z tego domu z nim rozmawiał... – Popatrzyłam na Marinę oskarżycielsko.

– Wiem, co usłyszałaś, ale można to wytłumaczyć w bardzo prosty sposób.

– Jak?

– Kilka minut temu zadzwonił telefon. Usłyszałam go, ale byłam za daleko, żeby odebrać, więc włączyła się poczta głosowa. Na pewno usłyszałaś głos nagrany przez ojca na poczcie głosowej.

– Przecież siedziałam tuż przed aparatem, a przed podniesieniem słuchawki nie słyszałam dzwonka!

– Miałaś bardzo głośno włączoną muzykę. Słyszałam ją aż u siebie na górze. Może zagłuszyła dzwonek.

– Na pewno nie rozmawiałaś z nim przez telefon? A może Claudia z nim rozmawiała?

– Ally, wiem, jak bardzo pragniesz, żebym powiedziała coś innego, ale, niestety, nie mogę tego zrobić. Jak chcesz, zadzwoń na nasz numer z komórki. Po czterech dzwonekach usłyszysz wiadomość nagraną przez ojca. Spróbuj to zrobić – poprosiła.

– Wierzę ci – powiedziałam. – Tylko... chciałam, żeby to był on. Chciałam,

żeby to wszystko było pomyłką.

– Każda z nas by tego chciała, Ally, ale ojciec oszedł i nikt z nas już go nie przywróci.

– Wiem. Przepraszam.

– Nie przepraszaj, *chérie*. Mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

– Nie – odparłam, wstając. – Pójdę zadzwonić, tak jak chciałam.

Marina uśmiechnęła się do mnie współczująco, a ja wróciłam do gabinetu Pa Salta, znów usiadłam przy biurku i dobrze przypatrzyłam się telefonowi. Podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer Theo. Teraz to jego komórka przełączyła się na pocztę głosową. Chciałam rozmawiać z nim, a nie z maszyną, więc gwałtownie odłożyłam słuchawkę, nie zostawiając wiadomości.

Po chwili przypomniało mi się, że miałam poszukać książki poleconej mi przez Pa Salta, wstałam więc i przejrzałam tytuły pod literą H. W ciągu kilku sekund znalazłam to, co chciałam, i zdjęłam książkę z półki.

Grieg, Solveig og Jeg

En biografi av Anna og Jens Halvorsen

Jens Halvorsen

Zrozumiałam tylko, że to czyjaś biografia. Położyłam książkę na biurku i usiadłam.

Wyglądała na starą; miała pożółkłe, kruche kartki. Wydano ją w 1907 roku – dokładnie sto lat temu. Jako muzyk od razu wiedziałam, o czym prawie na pewno pisał Jens Halvorsen. Solwejga była nieszczęsną bohaterką dramatu Ibsena. Śpiewała słynną pieśń do znanej muzyki, którą Edward Grieg skomponował do utworu Ibsena. Przewróciłam następną stronę i zobaczyłam, że jest tam przedmowa. Rozpoznałam w niej słowa *Grieg* i *Peer Gynt*. Niestety, to wszystko, co rozumiałam, ponieważ tekst był po norwesku, w ojczystym języku Griega i Ibsena.

Westchnęłam rozczarowana i przekartkowałam książkę. Znalazłam w niej kilka czarno-białych fotografii przedstawiających drobną kobietę w teatralnym kostiumie wieśniaczki. Pod pierwszym przeczytałam: *Anna Landvik som Solveig, September 1876*. Dziewczyna była bardzo młoda. Pod teatralnym makijażem dało się rozpoznać, że to prawie dziecko. Obejrzałam wszystkie zdjęcia. Przedstawiły ją w coraz starszym wieku, a na końcu umieszczono jej zdjęcie z samym Griegiem. Anna Landvik przy fortepianie, za którym stał oklaskujący ją Grieg.

Były też inne zdjęcia – na przykład autora książki, przystojnego młodzieńca pozującego obok Anny Landvik, która trzymała na kolanach małe dziecko. Strasznie mnie wkurzało, że z powodu bariery językowej nie mogę się dowiedzieć

wiele więcej, ale to jeszcze bardziej pobudziło moją ciekawość. Muszę dać tę książkę do tłumaczenia. Od razu pomyślałam, że może Maja zna kogoś, kto będzie mógł mi pomóc.

Zawsze kochałam muzykę, więc wzruszyła mnie możliwość, że moi przodkowie mogli mieć związek z wielkim kompozytorem, tak cenionym zarówno przeze mnie, jak i przez Pa Salta. Czy to dlatego tak uwielbiał suitę *Peer Gynt*? Może puszczał mi ją, ponieważ wiedział, że jest związana z moimi korzeniami.

Znów pograżyłam się w żalu po nim i w smutku, że tak wiele pytań zostanie bez odpowiedzi.

Z zamyślenia wyrwał mnie głos mamy. Stała w drzwiach.

– Wszystko dobrze, *chérie*?

– Jak najbardziej.

– Czytałaś?

– Tak. – Ochronnym ruchem zasłoniłam książkę.

– Na tarasie czeka na ciebie lunch.

– Dziękuję, mamo.

*

Usiadłyśmy przy sałatce z koziego sera i kieliszku chłodnego białego wina i jeszcze raz przeprosiłam mamę za swój histeryczny wybuch.

– Nic nie szkodzi – rzuciła. – Ale pomyślałam, że tyle mówiłyśmy o Mai, podczas gdy ty niewiele powiedziałaś o sobie. Jak ci się żyje, Ally? Czuję, że przydarzyło ci się coś dobrego. Jesteś tak samo odmieniona jak Maja.

– No bo widzisz, mamo, ja też kogoś poznałam.

– Tak mi się wydawało. – Marina się uśmiechnęła.

– Właśnie dlatego nie odbierałam wiadomości. Byłam z nim, kiedy tata umarł. To dlatego wyłączyłam telefon. – Poczulałam nagle, że muszę zrzucić to z serca. – Tak mi przykro, mamo. Mam straszne poczucie winy.

– Niepotrzebnie. Kto mógł wiedzieć, że tak się stanie?

– Prawdę mówiąc, czuję się jak na emocjonalnej karuzeli. Chyba nigdy w życiu nie byłam jednocześnie bardziej szczęśliwa i bardziej smutna. To dziwne uczucie. Mam wyrzuty sumienia, że jestem szczęśliwa.

– Szczerze wątpię, żeby ojciec miał do ciebie o to żal, *chérie*. A któż to skradł ci serce?

Opowiedziałam jej o wszystkim. Samo mówienie o Theo sprawiło, że poczułam się lepiej.

– Sądzisz, że to mężczyzna twojego życia? Nigdy przedtem nie słyszałam, żebyś tak o kimś mówiła.

– Chyba tak. Nawet mi się oświadczył.

– Coś takiego! – Marina spojrzała na mnie ze zdziwieniem. – I zgodziłaś się?

- Tak. Chociaż pewnie szybko się nie pobierzemy. Dał mi to. – Pociągnęłam za srebrny łańcuszek pod kołnierzykiem i pokazałam jej wisiołek ze „złym okiem”.
- Wiem, że stało się to zbyt szybko, ale czuję, że tak jest dobrze. Dla nas obojga. Nigdy za bardzo nie ciągnęło mnie do romansów, więc nawet mnie to zszokowało.
- Znam cię, Ally, więc wiem, że to musi być coś poważnego.
- On mi przypomina tatę. Szkoda, że Pa Salt nie pozna Theo. – Westchnęłam i wzięłam do ust trochę sałatki. – A zmieniając temat, czy, twoim zdaniem, tata naprawdę chciał, żebyśmy dowiedziały się, skąd pochodzimy?
- Chciał wam przekazać informacje, które to umożliwią, jeśli będziecie chciały. Decyzję musicie podjąć same.
- Mai to zdecydowanie pomogło. Badając przeszłość, odnalazła swoją przyszłość.
- To prawda.
- Ale ja swoją też chyba znalazłam, i to bez konieczności zagłębiania się w przeszłość. Kiedyś może do tego wrócę, ale nie teraz. Na razie chcę się cieszyć teraźniejszością i zobaczyć, dokąd mnie doprowadzi.
- To dobry plan. Mam nadzieję, że wkrótce przywieziesz tu Theo i będę mogła go poznać.
- Na pewno. – Uśmiechnęłam się na myśl o takim spotkaniu. – Obiecuję.

*

Po kilku dniach domowego jedzenia Claudii, regularnego snu i korzystania z cudownej lipcowej pogody poczułam się wypoczęta i spokojna. Codziennie po południu pływałam po jeziorze *Laserem* i cieszyłam się z tych leniwych wycieczek. Leżałam sobie na łodzi i pozwalałam się pochłonąć uczuciu do Theo. Na wodzie czułam się bliżej i niego, i taty. Powoli przyzwyczajałam się do straty Pa Salta i zaczynałam ją akceptować. Chociaż powiedziałam Marinie, że na razie nie będę badać swojego pochodzenia, napisałam maila do Mai z pytaniem, czy zna tłumacza z norweskiego. Odpisała, że nie, ale obiecała, że postara się kogoś znaleźć. Po kilku dniach podała mi dane kontaktowe do Magdaleny Jensen. Zadzzwoniłam do niej i zgodziła się przetłumaczyć książkę. Zrobiłam zdjęcia okładki i fotografii, na wypadek gdyby książka zginęła, porządnie ją zapakowałam i wysłałam ją Magdalenie FedExem.

Kiedy pakowałam plecak przed wyjazdem na trening do regat Fastnet, który miał się odbyć na leżącej u wybrzeży Anglii wyspie Wight, po kręgosłupie przeszedł mnie dreszcz na myśl o tym, co nas czeka. Prestiżowe regaty Fastnet były poważną imprezą żeglarską. Theo miał dowodzić dokładnie dobraną załogą dwudziestu doświadczonych żeglarzy. Nigdy dotąd nie stało przede mną tak wielkie wyzwanie. Będę musiała zebrać wszystkie siły, przyglądać się innym i wiele się nauczyć. Czułam się niezmiernie zaszczycona, że Theo mnie przyjął.

– Jesteś już gotowa? – zapytała mama, kiedy pojawiłam się w holu z plecakiem i fletem, bo Theo znów poprosił, żebym go zabrała. Lubił, kiedy grałam.

– Tak.

Przytuliła mnie i ucałowała. Poczułam, że spowija mnie spokój i bezpieczeństwo, bo tak działała na mnie mama.

– Uważaj na siebie, jak będziesz na morzu, dobrze, *chérie*? – poprosiła, kiedy szliśmy z domu na przystań.

– Nie martw się, mamę. Mam najlepszego kapitana na świecie. Theo mnie ochroni.

– W takim razie koniecznie go słuchaj. Wiem, że potrafisz być strasznie uparta.

– Oczywiście. – Uśmiechnęłam się z przekąsem. Naprawdę świetnie mnie znała.

– Odzywaj się do mnie, Ally! – zawołała i przyglądała się, jak Christian wrzuca na pokład liny i wskakuje na łódkę, a ja wyprowadzam ją z przystani.

– Dobrze, mamę!

Podczas gdy motorówka coraz szybciej płynęła po jeziorze, czułam, że naprawdę zmierzam ku swojej przyszłości.

– Cześć, Ally.

Ze zdziwieniem wlepiłam wzrok w Theo. Wokół mnie kłębił się tłum ludzi z całego świata, jak to na Heathrow.

– Co tu robisz?

– Co za pytanie?! Nie cieszysz się, że mnie widzisz? – Przez chwilę udawał, że jest obrażony, ale potem objął mnie czule na środku hali przylotów i mocno pocałował.

– Oczywiście, że się cieszę! – Roześmiałam się, kiedy musieliśmy zaczerpnąć powietrza. Pomyślałam, że często udaje mu się mnie zaskoczyć. – Ale sądziłam, że jesteś zajęty na *Tygrysicy*. No, chodź. – Wyswobodziłam się z jego uścisku. – Tarasujemy ludziom drogę.

Wyprowadził mnie z terminalu na postój taksówek.

– Wskakuj – powiedział i wydał kierowcy instrukcje.

– Chyba nie jedziemy taksówką aż do promu na wyspę Wight? – zapytałam, gdy ruszyliśmy. – To dość daleko.

– Oczywiście, że nie. Ale kiedy tam już będziemy, musimy w pełni skupić się na szkoleniu, więc pomyślałem, że miło będzie razem spędzić noc, zanim znowu zostanę twoim kapitanem, a ty będziesz tylko Al. – Mocno mnie przytulił. – Stęskniłem się za tobą, kochanie.

– Ja też. – W lusterku wstecznym zobaczyłam, że taksówkarz krzywo się uśmiecha.

Ku mojemu kompletnemu zaskoczeniu i wielkiej radości, taksówka stanęła przed hotelem Claridge's, w którym Theo zarezerwował dla nas pokój. Spędziliśmy cudowne popołudnie i wieczór, nadrabiając stracony czas. Zanim wyłączyłam w nocy światło, popatrzyłam, jak śpi obok mnie, i nie mogłam się oderwać od tego widoku. Byłam całkowicie przekonana, że moje miejsce jest przy nim, gdziekolwiek by się znalazł.

*

– Zanim pojedziemy pociągiem do Southampton, musimy kogoś odwiedzić – powiedział Theo, kiedy następnego dnia jedliśmy w łóżku śniadanie.

– Kogo?

– Moją mamę. Mówiłem ci, że mieszka w Londynie. Bardzo chce cię poznać. Wezmę prysznic, a ty będziesz, niestety, też musiała ruszyć swój śliczny tyłeczek z łóżka.

Przejęta tym, że poznam kobietę, która – jak wszystko na to wskazywało – zostanie moją teściową, wstałam i zaczęłam przeszukiwać swoje rzeczy. Nie wzięłam ze sobą nic bardziej eleganckiego niż dzinsy, sportowe buty i bluzy

spakowane na wieczory poza łodzią. Na co dzień będę od stóp do głów ubrana w ciuchy z goreteksu, które co prawda świetnie chronią przed złą pogodą, ale są zdecydowanie mało seksowne.

Poszłam do łazienki, żeby w torbie z przyborami toaletowymi poszukać kosmetyków do makijażu – od wielkiego dzwonu używałam tuszu do rzęs i szminki – ale stwierdziłam, że pewnie zostawiłam je w Atlantis.

– Nie mam nawet czym się umalować – poskarżyłam się Theo.

– Ally, przecież kocham cię taką, jaka jesteś – powiedział, wychodząc z zaparowanej kabiny prysznicowej. – Nie znoszę kobiet, które za mocno się malują. A teraz weź szybciotko prysznic. Trochę nam się śpieszy.

Czterdzieści minut później przebyliśmy uliczny labirynt dzielnicy, która – jak poinformował mnie Theo – nazywa się Chelsea, i taksówka stanęła przed ładnym białym domem. Do drzwi frontowych prowadziły trzy marmurowe schodki, a po ich obu stronach stały kamienne donice z bujnie rozrośniętymi pachnącymi gardeniami.

– Jesteśmy! – Theo wbiegł po schodkach, wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. – Mamo?! – zawołał, kiedy weszliśmy do wąskiego przedpokoju. Poszłam za nim do przestronnej kuchni, którą zdominowały rustykalny dębowy stół i ogromny walijski kredens pełen kolorowych naczyń.

– Jestem na dworze, kochanie! – dobiegł zza otwartych przeszklonych drzwi dźwięczny kobiecy głos.

Wyszliśmy na kamienny taras i zobaczyliśmy szczupłą kobietę o ciemno blond włosach związanych w krótki kucyk. Pracowała w małym otoczonym murem ogródku pełnym kwiatów.

– Mama dorastała na angielskiej prowincji, więc teraz usiłuje ją odtworzyć w centrum Londynu – szepnęła do mnie, patrząc na nią z miłością.

Kobieta podniosła wzrok i przywitała nas pięknym uśmiechem.

– Cześć, kochanie. Cześć, Ally.

Kiedy do mnie podeszła, zauważyłam, że jej chabrowe oczy przeszywają mnie z taką samą przenikliwością jak oczy jej syna. Wydała mi się bardzo piękna – z rysami delikatnymi jak u lalki i typowo angielską, nieskazitelną, jasną cerą.

– Mam wrażenie, że znam cię już od dawna, tyle o tobie słyszałam – powiedziała i serdecznie ucałowała mnie w oba policzki.

– Cześć, mamó. – Theo uściśnął matkę. – Ładnie wyglądasz.

– Naprawdę? Dzisiaj rano liczyłam sobie w lustrze siwe włosy. – Westchnęła teatralnie. – Niestety, wszyscy się starzejemy. Co wam przynieść do picia?

– Może kawę... – Theo spojrzał na mnie pytająco.

– Chętnie – rzuciłam. – A tak w ogóle, to jak twoja mama ma na imię? – szepnęłam do niego, kiedy wchodziliśmy za gospodynią do domu. – Chyba nie jestem jeszcze na etapie mówienia do niej „mamo”.

– Ojej, przepraszam. Ma na imię Celia. – Theo uściśnął moją dłoń. – Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście.

Przy kawie Celia rozpytywała o mnie, a kiedy powiedziałam jej o śmierci Pa Salta, serdecznie mnie pocieszała.

– Dziecko chyba nigdy nie jest w stanie w pełni pogodzić się ze stratą rodzica, zwłaszcza córka, która kocha ojca. Pamiętam, że po śmierci mojego byłam kompletnie załamana. Można najwyżej mieć nadzieję, że kiedyś człowiek będzie w stanie to zaakceptować. A w twoim przypadku, Ally, to jest jeszcze bardzo świeże. Mam nadzieję, że mój syn za bardzo cię nie zamęcza – dodała, mierząc wzrokiem Theo.

– Ależ skąd. Szczerze mówiąc, znacznie bardziej męczące jest bezczynne uzalanie się nad sobą. Lepiej czymś się zająć.

– Tak naprawdę bardzo mi ulży, gdy skończą się te regaty. Może kiedy będziecie mieli własne dzieci, zrozumiecie, jak bardzo się denerwuję podczas każdego zawodów, w których Theo bierze udział.

– Mamo, już dwa razy startowałem w Fastnecie i wiem, co robię – zaprotestował Theo.

– On naprawdę jest wspaniałym kapitanem, Celio – wtrąciłam się. – Załoga wszystko dla niego zrobi.

– Na pewno. Jestem z niego bardzo dumna, ale czasem żałuję, że nie wybrał zawodu księgowego, maklera giełdowego albo jakiegoś innego, który nie byłby tak niebezpieczny.

– Przecież zwykle aż tak się nie denerwujesz, mamo. Tyle razy już mówiliśmy, że równie dobrze mógłbym jutro wpaść pod autobus. A poza tym, to ty nauczyłaś mnie żeglować. – Poufale szturchnął ją w bok.

– Przepraszam, już przestaję. Ale, jak już mówiłam, pewnie to starość sprawia, że do głowy przychodzą mi różne myśli. A właśnie... Odzywał się do ciebie ostatnio ojciec? – zapytała Celia z nutą gorczy w głosie.

Theo chwilę milczał.

– Tak – odparł w końcu. – Przesłał mi maila z wiadomością, że jest w swoim domu na Karaibach.

– Sam? – Uniosła pięknie zarysowaną brew.

– Nie mam pojęcia. I nawet mnie to nie obchodzi – odezwał się stanowczo Theo i żeby zmienić temat, zapytał matkę, czy w sierpniu wyjeżdża za granicę.

W milczeniu słuchałam, jak omawiają jej plany na tygodniową wycieczkę do południowej Francji i wyjazd na kilka dni do Włoch pod koniec miesiąca. Rozmawiali ze sobą tak swobodnie, że od razu było widać, jak bardzo się kochają.

Mniej więcej po godzinie Theo dopił resztę drugiej kawy i z niechęcią spojrzął na zegarek.

– Niestety, będziemy już musieli jechać, mamó.

– Naprawdę? Nie zostaniecie na mały lunch? Szybko zrobię jakąś sałatkę. To żaden problem.

– Nie możemy. O piątej mamy zebranie całej załogi na *Tygrysicy* i nie bardzo wypada, żeby kapitan się spóźnił. Chcemy zdążyć na pociąg o dwunastej trzydzieści ze stacji Waterloo. – Wstał. – Skoczę tylko do łazienki. Spotkajmy się w holu.

– Tak się cieszę, że cię poznałam, Ally – powiedziała Celia, kiedy Theo wyszedł z kuchni. – Nie będę udawać, że nie przejęłam się wiadomością o waszych zaręczynach. To mój jedynak, więc jest dla mnie wszystkim. Ale widzę, że świetnie do siebie pasujecie.

– Dziękuję, że tak mówisz. Jesteśmy bardzo szczęśliwi. – Uśmiechnęłam się. Wstałyśmy od stołu. W drodze do wyjścia Celia chwyciła mnie za ramię.

– Opiekuj się nim, dobrze? Nigdy nie umiał zachować ostrożności w niebezpiecznych sytuacjach.

– Postaram się – obiecałam.

– No bo... – Chciała coś dopowiedzieć, ale obok nas pojawił się Theo.

– Trzymaj się, mamó. Zadzwoń do ciebie, ale nie martw się, jeżeli nie będę się odzywał podczas regat.

– Spróbuję. – Jej głos się załamał. – I będę ci kibicować na mecie w Plymouth.

Odeszłam w stronę drzwi frontowych, bo nie chciałam im przeszkadzać w pożegnaniu, ale nie uszło mojej uwagi, że tak długo go przytula, jakby nie mogła znieść, że odjeżdża. W końcu Theo delikatnie wyswobodził się z jej objęć, a kiedy wychodziliśmy z domu, Celia pomachała nam z wymuszonym uśmiechem.

W pociągu do Southampton Theo był roztargniony i niezwykle cichy.

– Nic ci nie jest? – zapytałam, widząc, jak w zamyśleniu wygląda przez okno.

– Martwię się o mamę. Była dzisiaj jakaś nieswoja. Zazwyczaj nie jest taka ponura i żegna mnie krótkim uściskiem i z promiennym uśmiechem na twarzy.

– Widać, że cię uwielbia.

– A ja ją. Zawdzięczam jej wszystko, co osiągnęłam. Zawsze wspierała mnie w żeglarstwie. Może naprawdę się starzeje. – Wzruszył ramionami. – No i oczywiście chyba nigdy nie będzie w stanie zaakceptować rozvodu z ojcem.

– Myślisz, że nadal go kocha?

– Prawie na pewno, co niekoniecznie znaczy, że go lubi. No bo to chyba niemożliwe. Kiedy dowiedziała się o jego romansach, była kompletnie załamana. Tak ją to biedną upokorzyło, że choć ze złamanym sercem, musiała kazać mu odejść.

– To straszne.

– Hm... W głębi serca tata też nadal ją uwielbia. Każde z nich jest nieszczęśliwe z powodu rozstania, ale granica między miłością a nienawiścią bywa niewielka. Być może da się to porównać do życia z alkoholikiem. W którymś momencie trzeba dokonać wyboru między utraceniem ukochanej osoby a własnym zdrowiem psychicznym. To drugie nie jest w stanie uratować nas przed nami samymi, choćby nie wiem jak nas kochało, prawda?

– Tak.

Theo nagle chwycił mnie za rękę.

– Nigdy nie pozwól, żeby coś podobnego stało się z nami.

– Nie pozwolę – odpowiedziałam z mocą.

*

Jak zawsze przed regatami, następne dziesięć dni były wykańczające, pełne nerwowego napięcia, zwłaszcza że te zawody miały opinię jednych z najtrudniejszych i najbardziej wymagających na świecie. Zgodnie z przepisami członkowie załogi musieli w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy mieć za sobą w sumie trzysta mil przebytych na regatach. Pierwszego wieczoru Theo zebrał na *Tygrysicy* wszystkich dwudziestu członków załogi. Od razu zrozumiałam, że mam znacznie mniejsze doświadczenie niż większość z nich. Chociaż Theo był znany z tego, że promuje młodych, i dopuścił do wyścigu wszystkich członków załogi z regat po Cykladach, widać było, że nie ryzykuje, więc reszta zawodników stanowiła śmietankę międzynarodowego bractwa żeglarskiego.

Trasa regat była ciężka i niebezpieczna. Mieliśmy okrążyć południowe wybrzeże Anglii, potem przepłynąć się przez Morze Celtyckie do wysepki Fastnet Rock na południe od Irlandii i pożegłować z powrotem na metę w Plymouth. Z historii regat wiedzieliśmy, że szanse wielu jachtów nieraz przekreślały silne zachodnie i południowo-zachodnie wiatry, zdradzieckie prądy i osławiona nieprzewidywalna pogoda.

Codziennie wstawaliśmy o świcie i wiele godzin spędzaliśmy na wodzie. W kółko powtarzaliśmy najważniejsze manewry i sprawdzaliśmy granice możliwości zarówno załogi, jak i wspaniałego, supernowoczesnego jachtu. Podczas niektórych treningów widziałam, że Theo się denerwuje, jeśli ktoś z załogi nie chce współpracować z zespołem, ale ani razu nie dał się wytrącić z równowagi. Co wieczór przy kolacji omawialiśmy strategię i taktykę każdego etapu regat i bez końca je cyzelowaliśmy. Theo zawsze miał ostatnie słowo.

Oprócz ćwiczeń żeglarskich mieliśmy kilka pogłębionych szkoleń z zasad postępowania w razie niebezpieczeństwa i konieczności ewakuacji z wykorzystaniem wyrafinowanego sprzętu ratowniczego, który mieliśmy na pokładzie. Każdy z nas został wyposażony w nadajnik EPIRB, który trzeba było przymocować do kamizelki ratunkowej. Nawet przy nierozwiniętych żaglach

załoga niezmordowanie pracowała na jachcie. Pod bacznym okiem Theo pieczołowicie sprawdzaliśmy każdy szczegół: od kompletności wyposażenia, przez działanie wszystkich pomp i kołowrotów, po takielunek i zestaw ubrań żeglarskich. Do obowiązków Theo jako kapitana należało między innymi przydzielanie koi i ustalanie porządku wacht.

Był natchnionym przywódcą, więc w wieczór przed rozpoczęciem zawodów, dwunastego sierpnia, kiedy nadszedł czas na zagrzewającą do boju mowę kapitana, wśród załogi panowało wysokie morale. Wszyscy co do jednego nagrodzili go owacją na stojąco.

Byliśmy świetnie przygotowani, ale łyżką dziegciu w beczce miodu okazała się katastrofalna prognoza pogody.

– Muszę teraz iść na odprawę dla kapitanów w Royal Ocean Racing Club, kochanie – powiedział mi Theo i cmoknął mnie w biegu. Reszta załogi już się rozchodziła. – Idź do hotelu i weź długą, gorącą kąpiel, bo przez jakiś czas nie będziesz miała takiej możliwości.

Posłuchałam go. Staralam się nacieszyć luksusem gorącej wody. Niestety, kiedy później spojrzałam przez okno, zobaczyłam, że rozszalał się wiatr. Z rykiem miotał siedemdziesięcioma jachtami, które stały na kotwicach w porcie i wokół wyspy. Poczułam gwałtowny ucisk w żołądku, bo wyglądało to bardzo źle. Theo wrócił do pokoju z ponurą miną.

– Co słyhać? – zapytałam.

– Niestety, nic dobrego. Sama widzisz, że prognozy pogody są paskudne. Zastanawiają się nawet, czy nie będą musieli przełożyć jutrzejszego startu na później. Meteorolodzy ostrzegają przed silnym sztormem. Szczerze mówiąc, Ally, gorzej już być nie może.

Wyglądał na potwornie przygnębionego, więc podeszłam do niego i pomasaowałam mu barki.

– Pamiętaj, Theo, że to tylko zawody.

– Wiem, ale zwycięstwo w tak prestiżowych regatach byłoby ukoronowaniem mojej dotychczasowej kariery. Mam trzydzieści pięć lat, Ally. Nie mogę tego robić wiecznie. Do diabła! Dlaczego musi tak być akurat w tym roku?

– Zobaczmy, co przyniesie jutro. Synoptycy często się mylą.

– Zobacz, co się dzieje za oknem. – Wskazał pociemniałe niebo. – Zresztą masz rację, nic na to nie poradzę. Jutro o ósmej zadzwonią do wszystkich kapitanów i dadzą nam znać, czy zdecydowali się opóźnić start. No, teraz moja kolej na gorącą kąpiel. Lepiej wcześniej iść spać.

– Należę ci wody do wanny.

– Dzięki. I wiesz co, Ally?

– Tak?

Uśmiechnął się do mnie.

– Kocham cię.

*

Tak jak Theo się obawiał, początek regat odłożono – po raz pierwszy w ich osiemdziesięcioletniej historii. Załoga siedziała z nosem na kwintę przy lunchu w Royal London Yacht Club. Każdy patrzył w okno z nadzieją na cud. Następnego dnia rano znowu miała zapaść decyzja co do startu. Po lunchu powlekliśmy się z Theo do hotelu w porcie.

– W końcu się wypogodzi – uspokajałam go. – Jak zawsze.

– Sprawdziłem wszystkie możliwe strony internetowe, nie mówiąc już o tym, że osobiście skontaktowałem się z centrum meteorologicznym. Wszystko wskazuje na to, że na kilka następnych dni szykuje się potężny niż. Nawet jeśli uda nam się wystartować, będzie bardzo trudno ukończyć te regaty. Ale przynajmniej – nagle szeroko się do mnie uśmiechnął – mamy czas na jeszcze jedną kąpiel.

Tej niedzieli zjedliśmy kolację w hotelowej restauracji. Oboje byliśmy spięci i niespokojni. Theo pozwolił sobie nawet na kieliszek wina, choć zazwyczaj nie tykał alkoholu przed regatami. Wróciliśmy do pokoju nieco spokojniejsi. W nocy kochał się ze mną szczególnie namiętnie, a potem mocno mnie przytulił. Tuż przed zaśnięciem usłyszałam, jak mówi:

– Ally?

– Tak?

– Jeśli wszystko dobrze pójdzie, jutro wystartujemy. Będzie ciężko. Chcę ci tylko przypomnieć, co mi obiecałaś na wyspie Gdzieś. Jeśli każę ci zejść z łodzi, masz mnie posłuchać jako swego kapitana.

– Theo, ale...

– Mówię poważnie, Ally. Wpuszczę cię jutro na pokład tylko pod warunkiem, że przyrzekniesz mi posłuszeństwo.

– W takim razie, dobrze. – Wzruszyłam ramionami. – Jesteś moim kapitanem. Muszę cię słuchać.

– I zanim znów do tego wrócisz, nie chodzi mi o to, że jesteś kobietą albo że nie mam zaufania do twoich umiejętności, ale o to, że cię kocham.

– Wiem.

– To dobrze. Śpij spokojnie, skarbie.

*

Następnego dnia z samego rana dowiedzieliśmy się, że regaty Fastnet się rozpoczną – pełne dwadzieścia pięć godzin po zaplanowanym terminie. Theo skontaktował się z załogą i natychmiast wyruszył na jacht. Widziałam, że jest już skupiony i silny.

Godzinę później dołączyłam do niego i wraz z resztą załogi znalazłam się na

pokładzie *Tygrysicy*. Nawet w porcie wiatr niebezpiecznie miotał jachtami, a fale waliły w burty.

– Chryste, i pomyśleć, że mogłem teraz być kapitanem na luksusowym jachcie czarterowym i pływać po Karaibach – mruknął Rob, kiedy usłyszeliśmy wystrzał sygnalizujący początek regat i w napięciu czekaliśmy na swoją kolej, by opuścić port. Theo zebrał nas wszystkich na pokładzie, żeby zrobić zdjęcie na szczęście.

Kiedy w końcu przestał chronić nas port i wypłynęliśmy na pełne morze, nawet najbardziej doświadczeni żeglarze spośród nas nieco zzielenieli. W ciągu kilku sekund każdy z nas był przemoczony przez rozszalałe morze. Wicher przekształcił jego powierzchnię w nieujarzmione masy spienionej wody.

Przez następne burzliwe osiem godzin wiatr ciągle przybierał na sile, Theo był jednak spokojny i rzadko tracił równowagę. Niewzruszenie trwał za sterem, prawie bez przerwy wydając rozkazy, aby trzymać się kursu i zachować prędkość. Na zmianę to refowaliśmy żagle, to znów zwiększaliśmy ich powierzchnię i wciąż rozmawialiśmy o nieprzewidywalnej pogodzie. Wielokrotnie zaskakiwały nas zrywające się pozornie znikąd porywy szkwału dochodzące do czterdziestu węzłów. Cały czas zmagaliśmy się z zacinającym z ukosa silnym deszczem.

Pierwszego dnia zostałam jako jedna z dwóch osób oddelegowana do pracy w kambuzie. Chcieliśmy zagrzać zupę, ale zawiodła nawet kuchenka na kardanie, na której garnki miały podobno stać prosto. Nic dziwnego, bo łódź gwałtownie przechylała się na boki. Zupa porozbryzgiwała się na wszystkie strony i nas poparzyła. W końcu zdecydowaliśmy się na odgrzanie porcjowanych racji w mikrofalówce. Koledzy z załogi jedli na zmianę. Dygotali w swoich przemoczonych ubraniach, ale byli zbyt zmęczeni, aby zdjąć je do jedzenia. Patrzyli na mnie z wielką wdzięcznością, więc przypomniałam sobie, że podczas regat takie czynności jak przygotowywanie posiłków są równie ważne jak to, co dzieje się na pokładzie.

Theo był w ostatniej zmianie do jedzenia. Łapczywie pochłaniając swoją porcję, powiedział mi, że kilka jachtów już zdecydowało się schronić w pobliskich portach na południowym wybrzeżu Anglii.

– Kiedy opuścimy kanał i wypłyniemy na Morze Celtyckie, będzie jeszcze gorzej. Zwłaszcza w nocy – dodał, spoglądając na zegarek. Była prawie ósma wieczorem i robiło się już ciemno.

– A co na to reszta załogi? – zapytałam.

– Chcą płynąć dalej. Moim zdaniem, *Tygrysica* to wytrzyma.

W tej chwili oboje spadliśmy z ławek, bo jacht gwałtownie przechyliło na sterburtę. Zawylałam z bólu, ponieważ brzeg stolika mocno wbił mi się w brzuch. Tymczasem człowiek, który – jak szczerze wierzyłam – potrafi chodzić po wodzie, czyli Theo, z trudem gramolił się, by wstać z podłogi.

– Dobra, dosyć tego – rzucił, patrząc, jak zwijam się z bólu. – Sama mówiłaś: to tylko zawody. Zawijamy do portu.

Zanim byłam w stanie cokolwiek powiedzieć, przeskakiwał po dwa schodki, by wyjść na pokład.

Godzinę później Theo wprowadził nas do portu Weymouth. Mimo ubrań ochronnych ostatniej generacji wszyscy byliśmy przemoczeni do suchej nitki i kompletnie wyczerpani. Kiedy staliśmy już na kotwicy, zwinęliśmy żagle i sprawdziliśmy, czy są jakieś szkody, Theo zwołał wszystkich do głównej kajuty. Gdy przycupnęliśmy gdzie się dało w naszych pomarańczowych strojach, wyglądaliśmy jak półżywe homary w sieci rybackiej.

– Jest zbyt niebezpiecznie, żeby płynąć dalej. Nie chcę ryzykować waszego życia. Dobra wiadomość jest jednak taka, że prawie wszystkie pozostałe jachty też gdzieś się schroniły, więc być może będziemy jeszcze mieli jakąś szansę na zwycięstwo. Ally i Mick ugotują makaron, a tymczasem pozostali mogą wziąć prysznic, w ustalonej kolejności. Ruszamy ze wschodem słońca. Niech ktoś nastawi wodę na herbatę, to się rozgrzejemy. Rano będziemy musieli być w szczytowej formie.

Razem z Mickiem dowlekliśmy się do kambuza. Wrzuciliśmy makaron do wielkiego garnka i odgrzewaliśmy gotowy sos. Mick zrobił dla nas po kubku herbaty. Piłam ją z wdzięcznością, wyobrażając sobie, że ciepły płyn dociera aż do moich przemarzniętych palców u nóg.

– Chętnie chlapnąłbym sobie coś mocniejszego. – Mick się uśmiechnął. – Teraz rozumiesz już, dlaczego w dawnych czasach marynarze żyli rumem.

– Hej, Al, jesteś następna do prysznica! – zawołał Rob.

– E tam, mogę iść później.

– Wielkie dzięki – ucieszył się. – Pójdę za ciebie.

Moje wątpliwe zdolności kulinarne jeszcze nigdy dotąd nie zostały tak docenione jak tego wieczoru.

Kiedy zjedliśmy i pozmywaliśmy plastikowe miski, rozeszliśmy się, żeby póki się da, trochę się przespać. Łódź nie została zaprojektowana tak, by dwadzieścia osób spało na niej w tym samym czasie, więc kładliśmy się w lekkich śpiworach gdzie popadnie – na ławkach albo na podłodze.

Gdy stałam pod prysznicem, zastanawiałam się, czy po lodowatej wodzie – bo na koniec została tylko taka – poczuję się lepiej, czy gorzej. Kiedy wyszłam, zobaczyłam, że czeka na mnie Theo.

– Ally, muszę z tobą porozmawiać. – Wziął mnie za rękę i wyciągnął z prawie ciemnej, pełnej śpiących ciał kajuty do maleńkiego pomieszczenia zapchanego sprzętem nawigacyjnym, które nazywał swoim „biurem”. – Wierzysz, że cię kocham? – zaczął.

– Oczywiście.

– A wierzysz, że moim zdaniem znakomicie sprawdzasz się jako żeglarz?
– Nie wiem... – Lekko uśmiechnęłam się z niedowierzaniem. – Dlaczego pytasz?

– Ponieważ nie bierzesz dłużej udziału w tych regatach. Za kilka minut przyplynie po ciebie szalupa. Zarezerwowałam ci pokój ze śniadaniem w pensjonacie blisko portu. Przepraszam... Ale po prostu nie mogę...

– Czego nie możesz?

– Ryzykować. Prognoza jest przerażająca. Rozmawiałem z kilkoma kapitanami, którzy chcą się wycofać. Moim zdaniem *Tygrysica* da radę płynąć dalej, ale ty nie możesz na niej być. Rozumiesz?

– Nie. Dlaczego ja? Dlaczego nie ktoś inny? – zaprotestowałam.

– Proszę cię, kochanie. Przecież wiesz. A poza tym... – Zamilkł na chwilę. – Jeśli chcesz wiedzieć prawdę, to dużo trudniej jest mi się skupić na robocie, kiedy jesteś na pokładzie.

Patrzyłam na niego w osłupieniu.

– Proszę, pozwól mi zostać, Theo – błagałam.

– Nie tym razem. Nie, kochanie. Przed nami jeszcze mnóstwo wspólnych wyzwań. Wiele z nich nie będzie rozgrywało się na wodzie. Nie możemy ryzykować.

– Ale dlaczego ty płyniesz dalej, skoro martwisz się o moje bezpieczeństwo? Jeśli inne jachty się wycofują, to i my tak zrobimy. – W miarę jak docierało do mnie, co się dzieje, coraz bardziej narastała we mnie złość.

– Ponieważ te regaty są moim przeznaczeniem. Nie mogę nikogo zawieść. A teraz lepiej się pakuj. Lada chwila po ciebie przyplyną.

– A ja nie sprawiam nikomu zawodu? Na przykład tobie? – Chciałam na niego nakrzyczeć, ale wiedziałam, że tuż obok śpią koledzy z załogi. – Przecież mam cię chronić!

– Na pewno sprawisz mi zawód, jeśli będziesz się ze mną kłóciła – odfuknął.
– Zbieraj swoje rzeczy. I to już. To rozkaz kapitana. Proszę o posłuszeństwo.

– Tak jest, kapitanie – szepnęłam potulnie.

Musiałam zaakceptować porażkę. Ale kiedy ruszyłam po plecak, byłam – z najróżniejszych zawiłych powodów – po prostu wściekła na Theo. Wdrapałam się na pokład i zobaczyłam światła zbliżającej się od strony portu szalupy. Poszłam w stronę rufy, aby spuścić w dół drabinkę.

Miałam szczery zamiar odplłynąć bez słowa pożegnania. Złapałam faleń, który rzucił mi szyper szalupy, i przywiązałam go do knagi na pokładzie. Weszłam już na drabinkę, żeby zejść na dół, kiedy twarz oświetliła mi od góry latarka.

– Zatrzymasz się w pensjonacie Warwick – usłyszałam głos Theo.

– Dobrze – odpowiedziałam lakonicznie i rzuciłam plecak na rozchybotaną szalupę. Zrobiłam następny krok w dół, ale wtedy chwyciła mnie za ramię mocna

dłoń i pociągnęła z powrotem.

– Ally, na miłość boską. Kocham cię. Kocham... – wyszeptał i mocno mnie przytulił, tak że palce u nóg oderwały mi się od najwyższego szczebla drabinki. – Nigdy o tym nie zapomnij, dobrze?

Mimo złości serce mi zmiękło.

– Dobrze – powiedziałam. Wzięłam od niego latarkę i oświetliłam mu twarz, tak by wyryć ją sobie w pamięci. – Uważaj na siebie, kochanie – szepnęłam, a on niechętnie wypuścił mnie z ramion. Zeszłam po drabince w dół i kiedy wskoczyłam do szalupy, Theo oswobodził faleń.

Tej nocy nie mogłam zasnąć, chociaż byłam wyczerpana najcięższym dniem w całej mojej karierze żeglarskiej. W dodatku po przeszukaniu plecaka stwierdziłam, że w pośpiechu zostawiłam na jachcie komórkę. Wściekałam się na swoją głupotę, bo nie miałam bezpośredniej łączności z Theo. W zdenerwowaniu chodziłam po pokoju miotana między oburzeniem, że tak bezceremonialnie wysadził mnie na brzeg, a przeraźliwym strachem podsycanym widokiem pędzących za oknem chmur, ulewą szalejącą w porcie na dole i niesłabnącymi odgłosami targanego wichrem takielunku. Wiedziałam, jak ważne są te regaty dla Theo, ale bałam się, że pragnienie zwycięstwa przyćmi jego rozsądek i wiedzę żeglarską. Nagle zobaczyłam, czym naprawdę jest morze: ryczącą, niemożliwą do opanowania bestią, której niesamowita siła potrafi zrobić z ludzi bezbronne, unoszone na wodzie łupinki.

Wreszcie zaczął wstawać ponury świt. Zobaczyłam, że *Tygrysica* rusza z portu Weymouth i płynie, by znów zmierzyć się z otwartym morzem.

Zacisnęłam palce na zaręczynowym naszyjniku, bo nic więcej nie mogłam zrobić.

– Do widzenia, kochanie – szepnęłam, przyglądając się *Tygrysicy*, aż została z niej tylko kropeczka podrzucana na okrutnych falach.

Następne kilka godzin spędziłam w niebycie. W końcu stwierdziłam, że bez sensu samotnie cierpię w Weymouth, więc spakowałam plecak i pociągiem, a potem promem dotarłam do Cowes. Tam przynajmniej będę blisko Centrum Dowodzenia Fastnet i z pierwszej ręki dowiem się, co słytać, zamiast zdawać się na internet. Każda łódź miała na pokładzie GPS, choć przy złej pogodzie nie bardzo można było na nim polegać.

Trzy i pół godziny później wynajęłam pokój w tym samym hotelu, w którym podczas treningu mieszkałam z Theo. Od razu poszłam do prestiżowego klubu Royal Yacht Squadron, żeby czegoś się dowiedzieć. Z ciężkim sercem zobaczyłam beczynnie skupionych przy stolikach smutnych zawodników, którzy razem z nami zaczęli regaty.

Zauważyłam Pascala Lemaire'a, Francuza, z którym byłam kiedyś w załodze, więc podeszłam do niego.

– Cześć, Al – odezwał się zdziwiony. – Nie wiedziałem, że *Tygrysica* się wycofała.

– Bo się nie wycofała, przynajmniej o ile mi wiadomo. Wczoraj kapitan kazał mi wysiadać na brzeg. Uznał, że jest zbyt niebezpiecznie.

– I miał rację. Dziesiątki jachtów oficjalnie wycofano, a wiele czeka w porcie, aż uspokoi się pogoda. Nasz kapitan postanowił się wycofać. Dla takich małych jachtów jak nasz morze podczas takiego sztormu jest piekłem. Tylko parę razy widziałem podobną pogodę. Ale załoga *Tygrysicy* powinna sobie poradzić. W końcu twój chłopak dowodzi trzydziestometrowym jachtem najnowszej generacji – pocieszył mnie, kiedy w moich oczach zobaczył cierpienie. – Masz ochotę się napić? Właśnie gremialnie topimy tutaj smutki.

Przyjęłam zaproszenie i dołączyłam do grupy. Nieuchronnie zaczęliśmy porównywać obecną pogodę do tej, jaka panowała na zawodach w roku 1979. Fale przewróciły wtedy sto dwanaście jachtów, a życie straciło osiemnaście osób, w tym trzech ratowników. Przesiedziałam tam pół godziny, ale tak się denerwowałam o *Tygrysicę* i Theo, że przeprosiłam wszystkich, ubrałam się ciepło i wyszłam na deszcz, żeby dowiedzieć się czegoś w Centrum Zarządzania Regatami Fastnet mieszczącym się w pobliskim Royal Ocean Racing Club. Gdy tam dotarłam, zapytałam, czy wiedzą coś o *Tygrysicy*.

– Tak. Jest teraz kilka mil za Bishop Rock. Dobrze im idzie – powiedział mi operator po sprawdzeniu ekranu. – Jest czwarta, ale jeśli kolejne jachty dalej będą się wycofywać w tym tempie, ma szansę na wygraną walkowerem. – Westchnął ciężko.

Pocieszyłam się, że przynajmniej na razie wygląda na to, że Theo jest bezpieczny, więc wróciłam do Royal Yacht Squadron, zjadłam kanapkę i przyglądałam się, jak przybywa coraz więcej wyczerpanych, przemokniętych członków załóg.

Słyszałam, jak mówią, że wiatr znowu się wzmógł. Byłam jednak zbyt rozkojarzona, żeby z nimi rozmawiać, więc wróciłam do hotelu i – choć z przerwami – w końcu udało mi się kilka godzin przespać. Wreszcie się poddałam i o piątej rano wstałam. Kiedy weszłam do Centrum Zarządzania, właśnie przebijał się szary świt. W sali zapadła cisza.

– Co słychać?

Zobaczyłam, że operatorzy wymieniają między sobą nerwowe spojrzenia.

– Coś się stało? – Serce podskoczyło mi do gardła. – Co z *Tygrysicą*?

Znowu niema wymiana spojrzeń.

– Około wpół do czwartej odebraliśmy wołanie o pomoc. Mieli człowieka za burtą. Natychmiast wysłano helikopter morskiej służby ratowniczej. Czekamy na wiadomość.

– Wiecie, kto im wypadł? Co się stało?

– Przepraszam, ale na razie nic dokładnie nie wiemy. Idź, zrób sobie herbatę. Damy ci znać, jak będzie coś wiadomo.

Kiwnęłam głową i z całej siły starałam się opanować ogarniającą mnie histerię. *Tygrysica* była jednostką najnowszej generacji. Miała na pokładzie znakomity sprzęt komunikacyjny. Wiedziałam, że mnie okłamali. A jeśli tak, mogło to znaczyć tylko jedno.

Serce biło mi tak szybko, że czułam się, jakbym za chwilę miała zemdleć. Schroniłam się w damskiej toalecie, opadłam na sedes i z trudem łapałam powietrze. Może jednak się mylę, może nie wolno im nic mówić, dopóki nie mają pewności, co się stało. Ale ja w głębi duszy już wiedziałam.

Ciało Theo zabrano na ląd helikopterem. Prezes komitetu organizacyjnego regat był tak miły, że zaoferował mi samochód, abym mogła dojechać promem do Southampton, a potem, jeśli zechcę, dalej do szpitala, gdzie w kostnicy leżało ciało Theo.

– Na formularzu zgłoszeniowym jako najbliższe krewne podałem cię i swoją matkę. Bardzo mi przykro, ale pewnie będziesz musiała... hm... wypełnić odpowiednie papiery. Mam się skontaktować z panią Falys-Kings czy ty to zrobisz?

– Nie... nie wiem – odpowiedziałam drętwą.

– Może będzie lepiej, jeśli ja zadzwonię. Martwię się, żeby nie usłyszała o tym w radiu albo w telewizji. Niestety, o wypadku będą mówić na całym świecie. Tak mi przykro, Ally. Nie będę opowiadał ci banałów, że Theo robił to, co kochał. Jestem kompletnie załamany... Tak mi szkoda cię, jego żałogi i żeglarstwa.

Nie odpowiedziałam. Nie było na to słów.

– No tak... – Najwyraźniej nie miał pojęcia, co dalej ze mną zrobić. Siedziałam w jego biurze jak katatoniczka. – Chciałabyś, żebym teraz zabrał cię do hotelu? Może trochę odpoczniesz?

Wzruszyłam ramionami. Wiedziałam, że chce jak najlepiej, ale chyba już nigdy nie będę w stanie „odpocząć”.

– Dziękuję, nie trzeba. Pójdę sama.

– Gdybyś tylko czegoś potrzebowała, Ally, proszę, dzwoń. Masz numer mojej komórki, więc daj mi znać, czy chcesz ten samochód. Reszta żałogi płynie *Tygrysicą* z powrotem do Cowes. Jestem pewny, że będą chcieli z tobą porozmawiać i opowiedzieć ci, jak to się dokładnie stało... jeśli tylko masz siłę ich wysłuchać. A tymczasem zadzwonię do mamy Theo.

Bezmyślnie wlokłam się wzdłuż portowego nabrzeża do hotelu. Na chwilę przystanąłam, by popatrzeć na okrutne morze. Nagle zaczęłam je przeklinać, zawodzić jak *bahshee*, irlandzka zjawa zwiastująca śmierć w rodzinie, żądać wyjaśnienia, dlaczego zabrało mi najpierw ojca, a potem Theo.

W tej chwili przysięgłam sobie, że już nigdy nie wejdę na jacht.

Następne kilka godzin przeżyłam w próżni. Siedziałam w pokoju, o niczym nie myślałam, nic nie czułam, niczego nie rozumiałam.

Wiedziałam tylko, że nic mi nie zostało.

Nic.

Usłyszałam dzwonek telefonu stojącego przy moim łóżku i jak robot wstałam, żeby podnieść słuchawkę. Recepcjonistka powiedziała, że na dole czekają na mnie koledzy.

– Pan Rob Bellamy z trójką znajomych – poinformowała mnie.

Mimo odrętwienia wiedziałam, że choć sprawi mi to ból, muszę zobaczyć się z załogą i dowiedzieć się, jak umarł Theo. Powiedziałam recepcjonistce, że spotkam się z nimi w holu.

Na dole czekali na mnie Rob, Chris, Mick i Guy. Oni także byli w szoku. Z trudem podnosili na mnie wzrok, mrucząc pod nosem kondolencje.

– Zrobiliśmy, co się dało...

– Był taki odważny, że skoczył za Robem...

– To niczyja wina... tragiczny wypadek...

Kiwałam głową i zdobyłam się na to, żeby krótko odpowiedzieć na ich słowa współczucia. Ze wszystkich sił starałam się udawać, że jakoś funkcjonuję. W końcu Mick, Chris i Guy wstali, żeby odejść, Rob jednak chciał jeszcze zostać.

– Dziękuję, chłopaki – wykrztusiłam i żałośnie machnęłam im ręką na pożegnanie.

– Przepraszam cię, ale muszę się napić. – Rob dał znak kelnerce, która z czegoś się śmiała na swoim stanowisku w rogu sali. – A zanim dokładnie ci opowiem, co się stało, ty też lepiej się napij.

Kiedy już uzbiliśmy się w brandy, wziął głęboki oddech. Zobaczyłam, że w oczach ma łzy.

– Proszę cię, Rob, po prostu zacznij mówić – ponagliłam go.

– Staliśmy w miejscu... nie dało się płynąć, bo pogoda była tragiczna. Byłem na wachcie, na pokładzie dziobowym, a Theo przyszedł mnie zmienić. Akurat wypiąłem swoją uprząż z jumpsztagu, kiedy uderzyła mnie duża fala i zrzuciła z łodzi do morza. Podobno mnie znokautowała, więc na pewno bym utonął, ale Theo wzniósł alarm, zrzucił bojkę ratowniczą i sam wyskoczył za burtę. Ja nadal byłem nieprzytomny, ale chłopcy, którzy zjawili się na pokładzie, widzieli, jak Theo do mnie podpłynął, podholował mnie do boi i oparł wewnątrz koła. I w tym momencie przyszła następna wielka fala, która odciągnęła go ode mnie i pchnęła pod wodę. Potem całkiem stracili go z pola widzenia. Było ciemno, a morze szalało. Wiesz równie dobrze jak ja, że w takich warunkach nie da się nikogo dostrzec w wodzie. Gdyby tylko udało mu się utrzymać boi... – Rob stłumił szloch – może by przetrwał. Załoga wezwała przez radio helikopter ratowniczy. Znaleźli mnie dzięki światłu na bojce i wyciągnęli na pokład. Ale Theo... Jakąś godzinę później w końcu odnaleźli jego ciało dzięki sygnałowi z EPIRB. Chryste, Al, tak strasznie mi przykro. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Po raz pierwszy od otrzymania wiadomości o Theo coś poczułam. Położyłam rękę na dłoni Roba.

– Wiemy, jak niebezpieczne jest żeglarstwo, a Theo wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek – powiedziałam.

– Tak, ale gdybym w tej akurat chwili nie odpiął uprząży... eee, cholera! – zaklął i położył rękę na oczach, żeby je zasłonić. – Byliście dla siebie

przeznaczeni... i to moja wina, że nie będziecie razem. Pewnie mnie nienawidzisz!

Stracił nad sobą panowanie i zaczął szlochać. Jedyne, co byłem w stanie zrobić, to mechanicznie poklepać go po ramieniu. Najgorsze było to, że gdzieś w zakamarkach duszy naprawdę go nienawidziłam. Za to, że przeżył, a Theo nie.

– To nie twoja wina. Każdy kapitan by tak zrobił, Rob. Taki był i za to go kochałam. A wypadki po prostu się zdarzają... – Przygryzłam wargę, bo zabrakło mi słów pocieszenia.

– Wybacz mi, Ally, to nie ja powinienem tu siedzieć i ryczeć. – Rob, przepełniony poczuciem winy wycierał sobie oczy. – Musiałem ci powiedzieć, jak się czuję.

– Dziękuję. Jestem ci wdzięczna, że niczego przede mną nie ukrywasz. Dla ciebie to też nie jest łatwe.

Chwilę siedzieliśmy w ciszy, a potem Rob zaczął się szykować do odejścia.

– Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, dawaj znać. A tak w ogóle – sięgnął do kieszeni. – znalazłem to w kambuzie. Czy to twoja?

– Tak. Dziękuję. – Wzięłam od niego komórkę.

– Theo uratował mi życie – szepnęła. – Jest bohaterem. Przepraszam.

Przyglądałam się, jak zrozpaczony Rob wychodzi z hotelu, a kiedy zniknął, pomyślałam, że skoro spotkałam się już z załogą, nie mam co tu dłużej robić. Poza tym byłam pewna, że Celia będzie chciała zidentyfikować ciało syna. Zapragnęłam jak najszybciej opuścić to miejsce, które stało się dla mnie symbolem końca mojego życia. Zastanawiałam się tylko, dokąd jechać. Pewnie do domu, do Genewy. Ale tam z kolei ziało pustką po stracie ojca.

Nie było dla mnie schronienia.

Weszłam do pokoju i zaczęłam się bezmyślnie pakować. Tym razem wyłączyłam komórkę z zupełnie innego powodu niż wtedy, na jachcie z Theo. Byłam tak załamana, że nie miałam siły rozmawiać z rodziną o tym, co się stało. Poza tym, żadna z moich siostr nie wiedziała o naszym związku. Beztrosko zakładałam, że będzie jeszcze mnóstwo czasu, żeby im przedstawić Theo. Zналиśmy się tak krótko, że trudno byłoby mi wytłumaczyć dziewczynom, jaki był dla mnie ważny, a chociaż spędziliśmy ze sobą zaledwie kilka tygodni, czułam się tak, jakbyśmy byli ze sobą od zawsze.

Kiedy umarł Pa Salt, mogłam to przynajmniej uznać za coś naturalnego w cyklu życia. Poza tym, mój ból koła świadomość, że mam Theo, który daje mi nadzieję na nowy początek. Dopiero teraz naprawdę zrozumiałam, jak bardzo liczyłam na to, że wypełni w moim życiu pustkę po ojcu. Ale odszedł i on. Razem ze wszystkimi marzeniami o przyszłości. W ciągu kilku strasznych godzin morze brutalnie odebrało mi nie tylko Theo, ale moją życiową pasję.

Miałam już wyjść z pokoju z plecakiem, kiedy zadzwonił telefon na stoliku nocnym.

– Halo? – odezwałam się ostrożnie.
– Ally, mówi Celia. Prezes komitetu organizacyjnego regat powiedział mi, że zatrzymałaś się w hotelu New Holmwood.

– Dzień dobry.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Okropnie – mruknęłam, bo nie miałam już siły udawać, że jestem dzielna. Zakładałam, że przynajmniej przy niej nie jest to potrzebne. – A ty?

– Tak samo. Przed chwilą wróciłam ze szpitala.

Obie zamilkłyśmy. Dotarła do nas straszliwa ostateczność jej słów. Czułam, jak Celia walczy ze łzami.

– Zastanawiałam się właśnie, gdzie się teraz wybierasz.

– Sama nie wiem. Nie mam pomysłu.

– A może przyłyn promem do Southampton, a potem pojedziemy razem do Londynu. Mogłabyś przez kilka dni pobyć u mnie. Wypadek ściągnął na siebie uwagę mediów, więc szykuje się istny koszmar. Mogłybyśmy na trochę zaszyć się przed tym u mnie w domu. Co ty na to?

– Wspaniały pomysł. – Czując wielką ulgę, przełknęłam łzy, które pociekły mi z oczu.

– Masz mój numer telefonu, więc daj znać, kiedy dotrzesz do Southampton. Wyjdę po ciebie.

– Dobrze, Celio. Bardzo ci dziękuję.

Potem często myślałam, że gdyby nie zadzwoniła w tej najciemniejszej dla mnie chwili, być może, płynąc promem do Southampton, rzuciłabym się do wzburzonego morza za Theo.

Kiedy spotkałyśmy się na stacji i zobaczyłam jej bladą jak ściana twarz, którą częściowo zasłoniła ogromnymi czarnymi okularami przeciwsłonecznymi, rzuciłam się w jej ramiona, jakby była moją mamą. Długo stałyśmy przytulone – dwie kobiety, które prawie się nie znały – w pełni połączone bólem. Każda czuła, że ta druga jest jedyną osobą na świecie, która jest w stanie ją zrozumieć.

Gdy w Londynie wysiadłyśmy z pociągu na dworcu Waterloo, wzięłyśmy taksówkę i pojechałyśmy do ślicznego białego domu w Chelsea. Celia usmażyła dla nas omlety, bo obie dopiero teraz zdałyśmy sobie sprawę, że od usłyszenia strasznej wiadomości nic nie jadłyśmy. Nalała nam po dużym kieliszku wina. Był ciepły, spokojny sierpniowy wieczór, więc usiadłyśmy na tarasie.

– Muszę ci coś powiedzieć, Ally. Możesz to uznać za absurdalne, ale kiedy tu ostatnio byliście, już wiedziałam. Całowałam go na pożegnanie i czułam, że żegnam się z nim na zawsze.

– Wyczuł twój lęk. W pociągu do Southampton był bardzo nieswój.

– Z powodu moich przeczuć czy swoich własnych? Pamiętasz, że tuż przed wyjściem poszedł do łazienki? Kiedy zamknęłam za wami drzwi i wróciłam do

kuchni, na stole stał podparty list. Zaadresował go do mnie.

Przesunęła w moją stronę dużą kopertę, na której zobaczyłam wykaligrafowane słowo *Mama* z pięknymi, stylowymi zawijasami.

– Otworzyłam kopertę i w środku zobaczyłam jego nowy testament oraz list do mnie – oznajmiła Celia. – A także drugi, do ciebie.

– O Boże. – Podniosłam dłoń do ust.

– Swój przeczytałam, a twój nadal jest tutaj, oczywiście nieotwarty. Może na razie nie masz siły go czytać, ale muszę ci go dać, bo poprosił mnie o to w liście.

Z dużej koperty wyjęła nieco mniejszą i podała mi. Wzięłam ją drżącą dłonią.

– Nie rozumiem... – powiedziałam. – Skoro miał przeczucie, to dlaczego się nie wycofał, tak jak inni?

– Chyba obie wiemy dlaczego, Ally. Jako żeglarka dobrze wiesz, że za każdym razem, kiedy wchodzisz na pokład przed regatami, podejmujesz ryzyko. Pamiętasz, jak tamtego dnia Theo powiedział do nas, że równie dobrze może wpaść pod autobus? – Celia ze smutkiem wzruszyła ramionami. – Może czuł, że jego przeznaczeniem jest...

– Umrzeć w wieku trzydziestu pięciu lat? Chyba nie. Jeśli tak myślał, to jak mógł mnie pokochać? Poprosił, żebym za niego wyszła! Mieliśmy przed sobą całe życie. Nie! – Gwałtownie pokręciłam głową. – Nie mogę się z tym zgodzić.

– Oczywiście, że nie możesz, i przepraszam, że to powiedziałam, ale jakoś dziwnie mnie to pociesza. Trudno zrozumieć śmierć. Nikt z nas nie jest w stanie do końca zaakceptować śmiertelności tych, których kochamy. A jednak, oprócz tego, że każdy musi się urodzić, to śmierć jest jedynym, co mamy na tym świecie zapewnione.

Opuściłam wzrok na nieotwarty list.

– Może masz rację. – Westchnęłam z rezygnacją. – Dlaczego miałyby spisywać nowy testament albo zostawiać nam listy, gdyby nie miał przeczucia?

– Pamiętajmy, jaki on był: zawsze dobrze zorganizowany i skuteczny, nawet w obliczu śmierci.

Mimo woli obie się uśmiechnęłyśmy.

– Tak. Zupełnie jak mój ojciec. No to chyba powinnam przeczytać ten list.

– W swoim czasie. Muszę cię na chwilę przeprosić, Ally. Pójdę na górę i porządnie wymoczę się w wannie.

Celia wyszła, a ja wiedziałam, że nie chodziło jej o kąpiel, ale o to, żeby dać mi nieco czasu w samotności.

Łyknęłam trochę wina, odstawiłam kieliszek i trzęsącymi się palcami otworzyłam kopertę. Nie umknęło mojej uwadze, że oto po raz drugi w ciągu kilku tygodni czytam list kogoś, kto już nie żyje.

Ode mnie, z bliżej niekreślonego miejsca

(A właściwie z pociągu, w drodze z Southampton

po Ciebie na Heathrow)

Kochanie

To prawda, że ostatnio chodzą mi po głowie absurdalne myśli. Ale jak już wiesz, a moja mama to potwierdzi, jeśli coś można o mnie powiedzieć, to na pewno, że jestem dobrze zorganizowany. Od czasu, kiedy zacząłem startować w regatach, mama trzyma u siebie kopię mojego testamentu. Co nie znaczy, że mam wiele rzeczy, które mógłbym po sobie zostawić, ale moim zdaniem jasne przedstawienie swojej woli znacznie ułatwia sytuację ludzi, których się zostawia.

Odkąd weszłaś do mojego życia i stałaś się dla mnie pępkiem świata, osobą, z którą mam nadzieję spędzić resztę życia, wszystko się zmieniło. Na razie nasz związek jest nieoficjalny (do czasu, kiedy na dodatek do łańcuszka, który jużnosisz na szyi, włożę ci na palec obrączkę), więc wydaje mi się niezwykle ważne, żeby wszyscy wiedzieli, że jesteśmy ze sobą i jaka jest moja wola – przynajmniej jeśli chodzi o finanse – na wypadek gdyby cokolwiek się ze mną stało.

Jestem pewny, że bardzo się ucieszysz (ha!), jeśli przeczytasz, że zostawiam Ci moją szopę dla kóz na Gdzieś. Tej nocy, kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłaś, zauważyłem, że bardzo Ci się (nie)spodobała, ale ziemia, na której stoi, i pozwolenie na budowę ma wartość (Coś Gdzieś – jak Ci się podoba taka nazwa domu?). Chciałbym także dać Ci Neptuna, czyli mój obecny dom na morzu. Szczerze mówiąc, to jedyne znajdujące się w moim posiadaniu dobra materialne, które mają jakąś wartość. Oczywiście mam jeszcze motorower, ale chyba słusznie byś się obraziła, gdybym Ci go zostawił. Nie mogę też zapomnieć o skromnym funduszu powierniczym, który dostałem od mojego szczodrego ojca – wystarczy Ci przynajmniej na stałe dostawy nieco osobliwego czerwonego wina, które może będziesz chciała w przyszłości pić na Gdzieś.

Właśnie jedziemy po nierównych torach – więc przepraszam, że tak bazgrzę. Jestem pewny, że kiedy tylko wrócimy z regat, odbiorę ten list od mamy i przepiszę go na komputerze. Ale gdyby jakimś dziwnym trafem tak się nie stało, będę mógł przynajmniej odpoczywać w spokoju, wiedząc, że wszystko zostawiłem tak, jak chciałem.

A teraz, Ally, pewnie trochę się wzruszę, ale chciałbym Ci powiedzieć, że bardzo Cię kocham. Przez ten krótki czas, kiedy się znaliśmy, stałaś się dla mnie

wszystkim. Naprawdę jesteś wiatrem wiejącym w moje żagle (mam nadzieję, że doceniasz morskie porównanie). Nie mogę się doczekać naszego wspólnego życia: trzymać Cię, kiedy wymiotujesz, dyskutować na temat pochodzenia Twojego dziwnego nazwiska i wciąż dowiadywać się o Tobie różnych rzeczy – razem się zestarzeć i potracić zęby.

Ale gdybyś przypadkiem czytała ten list, popatrz na gwiazdy w górze i wiedz, że na Ciebie stamtąd patrzę. I przypuszczalnie piję piwo z Twoim tatą, słuchając opowieści o Twoich wybrykach z dzieciństwa.

Moja Ally – Alkione – nie masz pojęcia, ile mi dałaś radości.

Bądź SZCZĘŚLIWA! To Twój dar.

Calusy

Theo xxx

Siedziałam w zapadającym zmroku. Jednocześnie śmiałam się i płakałam. List tak dobrze odzwierciedlał charakter Theo, że złamał mi moje i tak już złamane serce.

Następnego dnia rano spotkałyśmy się z Celią przy śniadaniu. Poprzedniego wieczoru zaprowadziła mnie do mojego pokoju, ale nawet nie napomknęła o liście i byłam jej za to wdzięczna. Powiedziała mi, że musi wyjść do urzędu, żeby załatwić formalności związane ze śmiercią Theo i załatwić przewiezienie jego ciała do Londynu, a potem razem zastanowimy się nad datą pogrzebu.

– Wiesz, Ally... Theo coś jeszcze napisał w wiadomości, którą zostawił dla mnie. Prosił, żebyś na jego pogrzebie zagrała na flecie.

– Naprawdę? – Nie mogłam się nadziwić, że myślał nawet o takich drobiazgach.

– Tak. – Westchnęła głęboko. – Instrukcje na temat tego, jak chce być pochowany, wydał dawno temu. Chciał, żeby odprawić uroczyste nabożeństwo żałobne, a potem skremować jego ciało. No i uparł się, aby przy kremacji nikogo nie było. Prochy kazał rozrzucić w porcie Lymington, gdzie uczyłam go żeglowania. Dasz radę mu zagrać?

– Nie wiem...

– Mówił mi, że pięknie grasz na flecie. Nietrudno było się domyślić, że wybierze niezbyt konwencjonalny utwór. Chciał, żebyś zagrała *Jack's the Lad* z *Fantasia on British Sea Songs*. Na pewno to znasz.

– Oczywiście. Nie ma chyba żeglarza, który nie znałby przynajmniej jego

melodii, bo właściwie jest to przeróbka starego ludowego tańca żeglarskiego *Sailor's Hornpipe*.

Przypomniałam sobie początek utworu. Choć od lat go nie grałam, świetnie wszystko pamiętałam. Ta prośba Theo dokładnie pokazywała, co było dla niego ważne: miłość do żeglarstwa i wielka radość życia.

– Tak. Chętnie to zagram.

Potem, po raz pierwszy od jego śmierci, wybuchłam płaczem.

*

W ciągu następnych dni okopałyśmy się w domu, bo pod drzwiami biwakowały media. Żyłyśmy jak odludki. Wyszłyśmy tylko raz, żeby kupić coś do jedzenia i czarne sukienki na pogrzeb. Załatwianie przykrych formalności sprawiło, że nabrałam jeszcze większego szacunku dla Pa Salta, który nam tego oszczędził i sam urządził sobie ceremonię pochówku. Z każdym dniem coraz bardziej podziwiałam także Celię. Nie ulegało wątpliwości, że Theo był dla niej wszystkim, mimo to ani przez chwilę nie poczułam, że próbuje zawłaszczyć żałobę po nim wyłącznie dla siebie.

– Pewnie Theo nigdy ci o tym nie wspomniał, ale zawsze bardzo lubił kościół Świętej Trójcy przy Sloane Street. To niedaleko stąd. Chodził do podstawówki o rzut beretem od tego kościoła, więc był do niego przywiązany. Pamiętam, jak podczas wieczoru kolęd śpiewał tam solo *Away in a Manger*. Miał może osiem lat... – Uśmiechnęła się z miłością. – Jak myślisz, może nabożeństwo żałobne powinno się odbyć właśnie tam?

To, że we wszystkim pytała mnie o zdanie, nawet jeśli moje uwagi nie były potrzebne, było niewiarygodnie wzruszające. Znała Theo od urodzenia, a jednak wystarczyło jej klasy i empatii, żeby uznać i zrozumieć, co ja do niego czułam. I co on czuł do mnie.

– Zrób to, co uważasz za najlepsze, Celio. Naprawdę.

– Przychodzi ci do głowy ktoś, kogo powinniśmy zaprosić na pogrzeb?

– Oprócz tych, których już zaprosiłaś, czyli naszej załogi i ogólnie ludzi ze środowiska żeglarskiego, nikt nie wiedział, że jesteśmy parą – odparłam szczerze. – Więc chyba tego nie zrozumieli.

Ale ona wszystko rozumiała. Wielokrotnie spotykałyśmy się w kuchni o trzeciej nad ranem, kiedy ból był najdotkliwszy, siadałyśmy przy stole i bez końca rozmawiałyśmy o Theo, usiłując znaleźć w tym ukojenie. Wspominałyśmy najróżniejsze drobiazgi: Celia miała ich cały zapas z trzydziestu pięciu lat życia, a moje obejmowały zaledwie kilka tygodni. Dzięki niej lepiej poznałam Theo. Nigdy nie byłam zbyt zmęczona, by obejrzeć jeszcze jedno jego zdjęcie z dzieciństwa albo przeczytać pełen błędów ortograficznych list ze szkoły z internatem.

Choć zdawałam sobie sprawę z okrutnej prawdy, pocieszało mnie to, że z każdym wypowiedzianym o nim słowem podtrzymujemy pamięć o Theo. A to było najważniejsze.

– Jesteś gotowa? – zapytała Celia, kiedy samochód, którym jechałyśmy, zatrzymał się przed kościołem Świętej Trójcy. Kiwnęłam głową. Uścisnęłyśmy sobie dłonie, żeby się nawzajem wesprzeć. Minęłyśmy klikające aparaty fotograficzne i weszłyśmy do środka. Kościół był ogromny, ale tak przepelniony, że zostały jedynie stojące miejsca z tyłu. Na widok tyłu ludzi prawie się rozplakałam, choć wcześniej przysięgam sobie, że tego nie zrobię.

Theo czekał już na mnie przy ołtarzu. Ruszyłyśmy do niego z Celią przez środek kościoła. Z trudem przełknęłam ślinę; przemknęło mi przez głowę, że to, co się dzieje, jest straszliwą parodią ślubu, który mielibyśmy, gdyby żył.

Usiadłyśmy w pierwszej ławce i wkrótce rozpoczęło się nabożeństwo. Theo wybrał cały repertuar muzyczny na swoje pożegnanie. Po kazaniu pastora nadeszła kolej na mnie. Dołączyłam do stojącej z przodu małej orkiestry, którą udało się zebrać Celi: skrzypce, wiolonczela, dwa klarnety i obój. Pomodliłam się w myślach, a potem przyłożyłam flet do ust i zaczęłam grać. Po chwili dołączyła do mnie reszta zespołu. Tempo było coraz szybsze. Nagle zobaczyłam, że ludzie zaczynają się uśmiechać, a potem po kolei wstają i zaczynają wykonywać ruchy tradycyjnego tańca marynarzy – wyciągali przed siebie ręce i krzyżowali je przed sobą. Graliśmy coraz szybciej, jakby od tego zależało nasze życie, a zgromadzeni ludzie coraz szybciej podrygiwali w takt muzyki.

Kiedy skończyliśmy, wszyscy gremialnie wznieśli okrzyki i zaczęli klaskać. Był jeszcze bis, jak zawsze, kiedy grany jest ten utwór. Potem zabrałam flet i wróciłam na swoje miejsce w pierwszej ławce, obok Celi. Mocno uścisnęła mi dłoń.

– Dziękuję ci, kochanie. Bardzo ci dziękuję.

Tymczasem w kierunku trumny ruszył Rob. Wspiął się po kilku schodkach, stanął przed nią i poprawił mikrofon.

– Mama Theo, Celia, poprosiła, żebym powiedział kilka słów. Jak wszyscy wiecie, Theo stracił życie, ratując mnie. Nigdy nie będę w stanie podziękować mu za to, co dla mnie zrobił tamtej nocy, ale wiem, jak ogromnie cierpią z powodu jego utraty Celia i Ally, kobieta, którą kochał. My wszyscy, którzy kiedykolwiek z tobą pływaliśmy, przekazujemy ci, Theo, miłość, szacunek i wdzięczność. Byłeś najlepszy. A teraz coś dla ciebie, Ally... Theo chciał, żeby zagrać ci właśnie to.

Poczułam na dłoni dotyk Celi. Ktoś z chóru wstał i pięknie zaśpiewał *Somewhere z West Side Story*. Uśmiechnęłam się, bo zdałam sobie sprawę, że to był dowcip Theo. Tytuł piosenki był zrozumiały tylko dla nas dwojga – Gdzieś – ale jej słowa dogłębnie mnie wzruszyły. Kiedy utwór dobiegł końca, wstało ośmiu członków załogi z Fastnetu, w tym Rob. Wzięli trumnę na ramiona i skierowali się do wyjścia. Celia pociągnęła mnie za sobą i poprowadziłyśmy procesję żałobników

za trumną.

Wychodząc, zobaczyłam wśród zgromadzonych znajome twarze: w tłumie siedziały Star i CeCe. Kiedy je mijałam, uśmiechnęły się do mnie z miłością i współczuciem. Stałyśmy z Celią przy Sloane Street i patrzyłyśmy, jak trumna znika w karawanie, który miał ją zabrać w samotną podróż do krematorium. Kiedy odjechała, odwróciłam się do Celi i zapytałam ją, skąd moje siostry dowiedziały się o Theo.

– W liście do mnie Theo prosił, żebym skontaktowała się z Mariną, jeśli coś mu się stanie. Pomyślał, że twoje siostry powinny się dowiedzieć, bo możesz ich potrzebować.

Zebrani w kościele powoli wychodzili na zewnątrz i zatrzymywali się na chodniku, witali się, rozmawiali. Kilka osób – w większości znajomi żeglarze – ustawiło się w kolejce, by złożyć mi kondolencje. Dziwili się, że ukrywałam swój talent muzyczny. Rozejrzałam się i zauważyłam wysokiego mężczyznę w garniturze i ciemnych okularach, który stał nieco z boku. Wyglądał na tak nieszczęśliwego, że przeprosiłam grupkę znajomych i podeszłam do niego.

– Dzień dobry – powiedziałam. – Jestem Ally, dziewczyna Theo. Matka Theo zaprasza do siebie wszystkich, którzy mają ochotę wpaść, na drinka i małą przekąskę. To pięć minut spacerem stąd.

Odwrócił się do mnie. Okulary zasłaniały mu oczy, więc nie dało się z nich wyczytać żadnych uczuć.

– Wiem. Kiedyś tam mieszkałem.

Zrozumiałam, że to ojciec Theo.

– Cieszę się, że pana poznałam.

– Bardzo chciałbym tam iść, ale nie będę mile widziany. Przypuszczam, że wiesz dlaczego.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Zawstydzona, wbiłam wzrok w swoje stopy. Widać było, że jest kompletnie załamany. Cokolwiek zdarzyło się kiedyś między nim a żoną, teraz się nie liczyło; on też stracił syna.

– Szkoda – wykrztusiłam.

– Pewnie jesteś dziewczyną, którą Theo miał poślubić. Kilka tygodni temu napisał mi o tym w mailu. – Mówił z amerykańskim akcentem, który bardzo się różnił od arystokratycznej, brytyjskiej wymowy Theo. – Już sobie pójdę, ale weź, proszę, moją wizytówkę. Jeszcze kilka dni zostanę w Londynie i bardzo chciałbym porozmawiać z tobą o moim synu. Pewnie słyszałaś o mnie różne rzeczy, ale bardzo go kochałem. Wydajesz mi się na tyle bystra, by wiedzieć, że zawsze jest i druga strona medalu.

– Wiem, że jest – odpowiedziałam. Przypomniałam sobie, że Pa Salt powiedział mi kiedyś dokładnie to samo.

– Wracaj już do nich. Cieszę się, że cię poznałem. Do zobaczenia, Ally. –

Odwrócił się i wolno odszedł. Z każdej komórki jego ciała wзираła rozpacz.

Zobaczyłam, że CeCe i Star z szacunkiem czekają w pobliżu, aż skończę rozmowę. Podeszłam do nich i obie rzuciły mi się na szyję.

– O Boże, Ally! – powiedziała CeCe. – Od kiedy dowiedziałyśmy się o wypadku, cały czas wysyłamy ci wiadomości na komórkę! Strasznie nam przykro, prawda, Star?

– Tak. – Star kiwnęła głową. Zobaczyłam, że jest bliska łez. – Nabożeństwo było przepiękne.

– Dziękuję.

– I wspaniale było usłyszeć, jak grasz na flecie. Wcale nie straciłaś wprawy.

Zobaczyłam, że już macha do mnie Celia, wskazując duży czarny samochód, który czekał przy krawężniku.

– Muszę jechać z mamą Theo, ale może wpadniecie do niej do domu?

– Niestety, nie możemy – odparła CeCe. – Ale mieszkamy tuż za mostem, w Battersea. Jak poczujesz się trochę lepiej, może zadzwoń i wpadnij do nas, co?

– Serdecznie cię zapraszamy, Ally – dodała Star i jeszcze raz mnie uścisnęła.

– Wszystkie siostry przesyłają ci uściski. Uważaj na siebie.

– Postaram się. I jeszcze raz dziękuję, że przyszłyście. Nawet nie wiecie, jak bardzo jestem wam wdzięczna.

Nawet kiedy już siedziałam w samochodzie, odprowadzałam je wzrokiem. Ich obecność bardzo mnie wzruszyła.

– Masz bardzo miłe siostry – powiedziała Celia, gdy ruszyłyśmy. – Cudownie jest mieć rodzeństwo. Ja, niestety, podobnie jak Theo, jestem jedynaczką.

– Wszystko w porządku? – spytałam.

– Nie. Ale nabożeństwo było przepiękne i bardzo podniosło mnie na duchu. Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie ważne, że zagrałaś. – Na chwilę zamilkła, a potem ciężko westchnęła. – Zauważyłam, że rozmawiałaś z Peterem... ojcem Theo.

– Tak.

– Chyba schował się gdzieś z tyłu kościoła. Nie zauważyłam go, kiedy wchodziłam, bo poprosiłabym go, żeby usiadł z nami z przodu.

– Naprawdę?

– Oczywiście! Może przestaliśmy być przyjaciółmi, ale na pewno jest równie zrozpaczony jak ja. Pewnie powiedział, że nie przyjdzie do domu?

– Tak, ale przez kilka dni będzie w Londynie i chciałby się ze mną zobaczyć.

– To potwornie smutne, że nie mogliśmy być razem nawet na pogrzebie syna. W każdym razie – dodała, kiedy samochód podjeżdżał pod dom – jestem ci bardzo wdzięczna za wsparcie. Sama bym tego nie przetrwała. A teraz chodźmy przywitać się z gośćmi i uczcijmy życie naszego Theo.

*

Kilka dni później obudziłam się w wygodnym, nieco staromodnym pokoju gościnnym Celi. W oknach wisiały zasłony firmy Colefax and Fowler, z tym samym kwiatowym wzorem co narzuta, którą kładło się na łóżku po pościeleniu go; na ścianach była odpowiednio do nich dobrana, nieco już wyblakła tapeta w paski. Spojrzałam na zegar i stwierdziłam, że jest już prawie wpół do dziesiątej. Po nabożeństwie żałobnym wreszcie zaczęłam znowu sypiać, ale jakoś nienaturalnie mocno. Rano budziłam się, jakbym miała kaca albo wzięła tabletkę nasenną, którą proponowała mi Celia, ale odmawiałam. Choć twardo przesyślałam ponad dziesięć godzin, rano leżałam w przyćmionym świetle równie wyczerpana jak wieczorem, kiedy się kładłam. Rozmowy z Celią bardzo nas obie pocieszały, mimo to zdawałam sobie sprawę, że przecież nie możemy bez końca chować się przed światem. Zresztą następnego dnia ona miała jechać do Włoch. I choć w swojej dobroci zaproponowała, żebym jej towarzyszyła, wiedziałam, że muszę zacząć sobie radzić sama.

Główne pytanie brzmiało: gdzie się po tym wszystkim zwrócić?

Postanowiłam już, że skontaktuję się z trenerem szwajcarskiej drużyny narodowej i powiem mu, że nie będę mogła wziąć udziału w sprawdzianach kwalifikacyjnych do olimpiady. Chociaż Celia wielokrotnie mówiła mi, że nie mogę pozwolić, aby wypadek zrujnował mi przyszłość i zniszczył moją pasję do żeglarstwa, to za każdym razem, kiedy pomyślałam o powrocie na wodę, przeszywał mnie dreszcz. Może kiedyś to minie, ale na pewno nie dość szybko, aby zacząć wielomiesięczny intensywny trening przed najważniejszym wydarzeniem sportowym na świecie. Na obozie szkoleniowym byłoby zbyt wielu ludzi, którzy znali Theo, a chociaż rozmowy o nim z jego matką przynosiły mi wielką ulgę, to najmniejsza wzmianka, jaka padła z ust kogoś innego, sprawiała mi nieopisany ból.

Teraz, kiedy nie było przy mnie Theo i przestałam żeglować, nagle miałam przed sobą całkiem puste dni, bezkresną próżnię – i brak pomysłów, jak ją wypełnić.

Przyszło mi do głowy, że może jestem nową Mają w rodzinie, a moim przeznaczeniem jest powrót do Atlantis, aby tak jak ona pogrążyć się w samotnej żałobie. Skoro Maja odfrunęła, by rozpocząć nowe życie, bez problemu mogłam wrócić do domu i uwić sobie gniazdo w jej pawilonie.

Z ostatnich kilku tygodni rozumiałam jedno – dotąd żyłam jak w raju. Jeśli miałabym ocenić siebie i swoje wady z perspektywy tych strasznych wydarzeń, musiałabym przyznać, że kiedyś patrzyłam z góry na każdego, kogo uważałam za słabszego ode mnie. Nie rozumiałam, że można nie mieć siły się podnieść, otrząść z traumy i iść dalej. Teraz musiałam brutalnie przyznać, że dopóki człowiek sam nie doświadczy prawdziwego bólu i straty, nie może odczuwać empatii.

Rozpaczliwie pragnęłam zachować pozytywne nastawienie do życia. Mówiłam sobie, że to, co mnie spotkało, być może sprawi, że będę lepszym człowiekiem. Zainspirowana tą myślą, w końcu wyjęłam komórkę. Ze wstydem przyznałam, że nie włączyłam jej od śmierci Theo, a minęły już prawie dwa tygodnie. Zobaczyłam, że bateria się wyczerpała, więc włączyłam ją do ładowania. Tymczasem poszłam wziąć prysznic. Kiedy byłam w łazience, komórka ożyła, więc słyszałam sygnały nadchodzących wiadomości.

Wycierając się i ubierając, przygotowywałam się psychicznie do przejrzenia tego, co do mnie przyszło. SMS-ów było bez liku: od mamy i siostr oraz wielu innych ludzi, którzy dowiedzieli się o Theo. Ally, szkoda, że nie mogę być przy tobie. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak się czujesz, ale przesyłam ci dużo miłości – napisała Maja. Ally, usiłowałam się do ciebie dodzwonić, ale nie odbierasz telefonu. Mama powiedziała mi o wszystkim i jestem zrozpaczona. Gdybyś mnie potrzebowała, dzwoń o każdej porze dnia i nocy. Całusy, Tiggy.

Przeszłam do wiadomości głosowych. Zapewne większość z nich to kondolencje, z podobną treścią jak SMS-y. Odsłuchałam wszystkie, ale kiedy usłyszałam najstarszą, po prostu mnie zatkało. Połączenie było słabe, a głos przytłumiony, ale nie miałam wątpliwości: to Theo.

„Cześć, kochana. Póki mogę, dzwonię z telefonu satelitarnego. Utknęliśmy gdzieś na Morzu Celtyckim. Pogoda jest tak straszna, że nawet taki stary wyga jak ja nabawił się choroby morskiej. Wiem, że jesteś zła, że cię wysadziłem na brzeg, ale zanim spróbuję trochę się zdrzemnąć, chciałbym ci powiedzieć, że nie ma to absolutnie nic wspólnego z twoimi umiejętnościami żeglarskimi. Szczerze mówiąc, szkoda, że cię tu nie ma, bo jesteś lepsza niż dziesięciu facetów, których mam na pokładzie. Wiesz, że chodzi tylko o to, że cię kocham. Mam nadzieję, że nadal będziesz chciała ze mną gadać, kiedy wrócę! Dobranoc, kochanie. I jeszcze raz: bardzo cię kocham. Cześć”.

Zrezygnowałam z odsłuchania pozostałych wiadomości i w kółko puszczałam tylko tę, chłonąc każde słowo. Z zapisu godziny wiedziałam, że było to zaledwie godzinę przed tym, jak wyszedł na pokład i zobaczył falę zmiatającą do morza Roba, skoczył, żeby go ratować, i zginął. Nie miałam pojęcia, jak zachować wiadomość głosową na zawsze, ale musiałam się tego dowiedzieć.

– Też cię kocham – szepnęłam. Z tym wyznaniem wyparowała cała resztką żalu do niego za to, że odesłał mnie na ląd.

*

Przy śniadaniu Celia powiedziała mi, że idzie sobie jeszcze coś kupić przed wyjazdem do Włoch.

– Zdecydowałaś się, co dalej robić, Ally? Wiesz, że kiedy mnie nie będzie, jak najbardziej możesz tutaj zostać. Albo polec ze mną. Na pewno znalazłoby się

jedno miejsce w samolocie do Pizy.

– Dziękuję ci. Jesteś niezwykle miła, ale chyba wrócę do domu – powiedziałam, bo obawiałam się, że stanę się dla niej ciężarem.

– Zrób, jak uważasz, tylko daj mi znać.

Kiedy opuściła dom, poszłam na górę. Poczułam, że mam dość siły, by zadzwonić do CeCe i Star. Najpierw wybrałam numer CeCe, bo to ona zawsze wszystko załatwiała za obie. Odezwała się poczta głosowa, więc zadzwoniłam do Star.

– Ally?

– Cześć, Star. Co słychać?

– U mnie dobrze. Ale najważniejsze, jak ty dajesz sobie radę?

– W porządku. Mogę jutro do was wpaść?

– Będę sama, bo CeCe robi zdjęcia elektrowni Battersea. Potrzebuje ich jako inspiracji do jednego ze swoich projektów artystycznych. Chce zdążyć, zanim ją zrewitalizują.

– Więc może wpadnę do ciebie?

– Byłoby super.

– No to świetnie. O której ci pasuje?

– Jestem w domu cały dzień, ale może wpadnij na lunch.

– Dobra. Będę o pierwszej. Do jutra, Star.

Skończyłam rozmowę, rozsiadłam się na łóżku i nagle zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy będę ze Star dłużej niż kilka minut bez towarzystwa CeCe.

Wyjęłam z plecaka laptop, bo przypomniało mi się, że powinnam także sprawdzić maile. Postawiłam go na toalecie i włączyłam do prądu. Znowu było pełno kondolencji i jak zwykle spam, między innymi jakaś Tamara proponowała mi ukojenie w coraz dłuższe jesienne noce. Po chwili zobaczyłam jeszcze inne imię i nazwisko, które nie od razu rozpoznałam: Magdalena Jensen. W końcu przypomniało mi się, że to tłumaczka, która pracuje nad książką z biblioteki Pa Salta. Podziękowałam Bogu, że automatycznie tego nie skasowałam.

Od: Magdalenajensen1@trans.no

Do: Allygeneva@gmail.com

Temat: Grieg, Solveig og Jeg/Grieg, Solveig i ja

20 sierpnia 2007

Droga Pani D'Aplièse

Z przyjemnością tłumaczę Grieg, Solveig og Jeg. To fascynująca historia,

o której nigdy wcześniej u nas, w Norwegii, nie słyszałam. Przyszło mi do głowy, że może zechce Pani przeczytać to, co już zrobiłam, więc wysyłam w załączniku część do strony 200. Resztę powinnam mieć gotową za jakieś dziesięć dni.

Pozdrawiam serdecznie

Magdalena

Otworzyłam załącznik i przeczytałam pierwszą stronę. A potem drugą. Przy trzeciej przełączyłam laptop do kontaktu koło łóżka, żeby było mi wygodniej czytać...

Anna

Telemark, Norwegia
Sierpień 1875

Anna Andersdatter Landvik zatrzymała się, żeby poczekać na najstarszą krowę Rosę, która spokojnie schodziła w dół stromego zbocza. Jak zwykle reszta stada poszła paść się świeżą trawą i zostawiła ją w tyle.

– Zaśpiewaj jej, to do ciebie przyjdzie – radził Annie ojciec.

Zaśpiewała więc kilka taktów ulubionej piosenki Rosy, *Per Spelmann*. Czysta melodia wypłynęła z jej ust i rozbrzmiała w całej dolinie. Anna, wiedząc, że będzie musiała trochę poczekać, zanim Rosa do niej doczłapie, usiadła na szorstkiej trawie. Smukłe ciało dziewczyny odruchowo przyjęło pozycję, w której zwykle najlepiej jej się myślało: podciągnęła kolana pod brodę, a nogi objęła ramionami. Wdychała bezwietrzne, ciepłe popołudniowe powietrze, podziwiała widok i nuciała w rytm bzyczenia owadów, które latały nad łąką. Za górami, po drugiej stronie doliny, zachodziło słońce, a odbite w jeziorze promienie sprawiały, że woda lśniła jak roztopione różowawe złoto. Wkrótce słońce całkiem zajdzie, a wtedy szybko nadejdzie noc.

Anna, która codziennie wieczorem liczyła schodzące ze zbocza krowy, zauważyła, że od dwóch tygodni zmrok zapada coraz wcześniej. Przez wiele miesięcy było jasno aż do północy, wiedziała jednak, że gdy jesienią wróci do chatki, zastanie tam zapalone przez matkę lampy naftowe, a ojciec i młodszy z braci przyjadą, żeby pomóc im zamknąć letnie gospodarstwo, zaprowadzą bydło z powrotem do doliny i zaczną przygotowania do zimy. Te wydarzenia zwiastowały koniec skandynawskiego lata i nadejście pory roku, która dla Anny była niekończącą się ciemnością. Jaskrawozielone górskie zbocza wkrótce pokryje gruba warstwa białego śniegu, ona i matka opuszczą drewniany dom, w którym spędziły ciepłe miesiące, i wrócą na rodzinną farmę leżącą nieopodal niewielkiej wioski Heddal.

Rosa szła w jej kierunku, zatrzymując się od czasu do czasu, by wciągnąć w nozdrza zapach trawy, a Anna na zachętę zaśpiewała kolejne zwrotki piosenki. Anders, ojciec dziewczyny, uważał, że Rosa nie dożyje kolejnego lata. Nikt tak naprawdę nie wiedział, ile zwierzę ma lat, ale z pewnością przeżyła niewiele mniej wiosen niż osiemnastoletnia Anna. Na myśl, że Rosa nigdy więcej jej nie powita i nie spojrzy na nią swoimi rozumnymi, ciepłymi, bursztynowymi oczami, w oczach Anny pojawiły się łzy. A przygnębiona perspektywą długich ciemnych miesięcy, dziewczyna na dobre się rozplakała.

Przynajmniej po powrocie do gospodarstwa w Heddal zobaczą się ze swoim kotem i psem, Gerdy i Vivą, pomyślała, pośpiesznie ocierając łzy. Najbardziej na świecie lubiła zwinąć się w kłębek przy ciepłym palenisku i jeść chleb posmarowany ciepłą, słodką *gomme*, z mrużącą na jej kolanach Gerdy i z Vivą czekającą, żeby zlizać okruszki. Zdawała sobie jednak sprawę, że matka nie

pozwoli jej całą zimę siedzieć i bujać w obłokach.

– Pewnego dnia będziesz musiała zadbać o swój własny dom, *kjære*, a mnie w nim nie będzie, żeby wykarmić ciebie i twojego męża! – powtarzała Berit, jej matka.

Nieważne, co Anna robiła – ubijała masło, cerowała ubrania, karmiła kury czy wałkowała *lefse*, podpłomyki, które ojciec zjadał w ogromnych ilościach – ani trochę nie interesowały jej domowe obowiązki, a o karmieniu nieistniejącego męża w ogóle nie myślała. Choćby nie wiem jak się starała – szczerze mówiąc, nigdy nie starała się wystarczająco mocno – rezultaty jej kuchennych wysiłków były zazwyczaj niejadalne.

– Od lat przyrządzasz *gomme*, a nadal ci nie wychodzi – powiedziała przed tygodniem matka, wsypując do stojącej na kuchennym stole miski cukier i wlewając do niej dzbanek świeżego mleka. – Najwyższy czas, żebyś się nauczyła robić je porządnie.

Ale *gomme* Anny zawsze się warzyło i przypalało. „Zdrajca” – szeptała do Vivy, bo nawet ten głodny pies pilnujący gospodarstwa gardził przyrządzonym przez nią *gomme*.

Minęły cztery lata, od kiedy Anna skończyła szkołę, ale nadal tęskniła za każdym trzecim tygodniem miesiąca. Przyjeżdżała wtedy do nich Frøken Jacobsen, nauczycielka, która dzieliła swój czas pomiędzy wszystkie wioski regionu Telemark i uczyła ich przeróżnych ciekawostek. Anna wolała lekcje z Frøken Jacobsen od tych prowadzonych przez surowego pastora Ersleva, który kazał im recytować przed całą klasą wyuczone na pamięć fragmenty Biblii. Anna tego nie znosiła. Robiło jej się gorąco, gdy dukała niezrozumiałe słowa i czuła na sobie spojrzenia wszystkich uczniów.

Fru Erslev, żona pastora, była znacznie miłsza i cierpliwsza, gdy Anna uczyła się hymnów, które śpiewała w chórze kościelnym. Ostatnio dostawała wiele partii solowych. Śpiewanie sprawiało jej więcej przyjemności niż czytanie. Wystarczyło, że zamknęła oczy i otworzyła usta, a wydobywał się z nich przyjemny dla wszystkich dźwięk.

Czasami marzyła, że występuje przed wiernymi w dużym kościele w Christianii. Tylko śpiewając, czuła się wartościowa. Matka zawsze jednak przypominała jej, że – poza śpiewaniem krowom i dzieciom do snu – jej talent jest bezużyteczny. Wszystkie koleżanki z chóru były już zaręczone, zamężne lub cierpiały z powodu konsekwencji swojego zamążpójścia, czyli miały mdłości, tyły, a w końcu wydawały na świat drące się wniebogłosy czerwone dzieci i w końcu przestawały śpiewać.

Na ślubie starszego brata, Nilsa, musiała znosić uwagi i aluzje ze strony całej rodziny na temat swoich przyszłych zaślubin, ale ponieważ nikt nie pretendował do jej ręki, wszystko wskazywało na to, że kolejną zimę spędzi samotnie jako

gammeljomfruene, jak jej młodszy brat Knut nazywał mieszkające w wiosce stare panny.

– Daj Boże, żeby trafił ci się mąż, który nie będzie zwracał uwagi na to, co mu dajesz do jedzenia, i wystarczy mu wpatrywanie się w twoje piękne niebieskie oczy – droczył się z nią Anders.

Wiedziała, że wszyscy w jej rodzinie zastanawiają się, czy owym odważnym mężczyzną będzie Lars Trulssen, chłopak, który często miał okazję kosztować jej przypalonych potraw. Lars był jedynakiem mieszkającym z niedołącznym ojcem na pobliskiej farmie w Heddal. Stracił matkę w wieku sześciu lat, więc nieraz jadał kolację z Landvikami, a bracia Anny traktowali go jak członka rodziny. Gdy na dworze padał śnieg, Nils i Knut całe dni spędzali na wspólnej zabawie. Jej niespokojni i hałaśliwi bracia uwielbiali zakopywać się w śniegu; z dala widać było wtedy charakterystyczne złotorude włosy Landvików na tle białego krajobrazu. Tymczasem, ku ich przerażeniu, łagodny Lars wolał zostawać w domu z książką w ręce.

Nils, jako starszy syn, miał po ślubie zostać na gospodarstwie Landvików – tak było w zwyczaju. Niedługo potem zmarli jednak rodzice żony, co oznaczało, że odziedziczyła po nich gospodarstwo, więc ona i Nils musieli się przeprowadzić. Cała praca na farmie Landvików spadła na ojca, któremu pomagał młodszy syn Knut.

Anna spędzała dużo czasu z Larsem, który nadal regularnie ich odwiedzał. Zazwyczaj opowiadał książki, które aktualnie czytał, a ona musiała bardzo się skupiać, żeby usłyszeć jego cichy głos, gdy snuł fascynujące historie o różnych miejscach w dalekim świecie, znacznie bardziej pasjonujących niż Heddal.

– Właśnie skończyłem *Peer Gynta* – powiedział pewnego wieczoru. – To dramat, który przysłał mi z Christianii wuj. Według mnie jest najlepszym dziełem Ibsena.

Anna spuściła wzrok, by nie dać po sobie poznać, że nie ma pojęcia, kim jest Ibsen. Ale Lars, zamiast ją oceniać, opowiedział jej wszystko o najśłynniejszym żyjącym dramaturgu Norwegii, który pochodził ze Skien, nieopodal Heddal. Zdaniem Larsa Ibsen przyczynił się do rozpowszechnienia norweskiej literatury i kultury na całym świecie, więc chłopak przeczytał wszystkie jego dzieła. Anna miała wręcz wrażenie, że przeczytał wszystko, co kiedykolwiek zostało napisane. I wyznał jej, że marzy o tym, aby pewnego dnia również zostać pisarzem.

– Ale tu raczej nie mam na to szans – dodał i jego niebieskie oczy niespodziewanie spotkały się z jej wzrokiem. – Norwegia jest zbyt mała, a większość mieszkańców nie ma wykształcenia. Słyszałem, że w Ameryce, jeśli człowiek bardzo się postara, może zostać, kim tylko zechce...

Wiedziała, że Lars uczy się pisać i czytać po angielsku, żeby przygotować się na taką ewentualność. Pisał w tym języku wiersze i twierdził, że niebawem

wysła je do wydawców. Gdy tylko zaczynał o tym mówić, ścisnęło jej się serce, ponieważ wiedziała, że nigdy nie będzie go na to stać. Jego ojciec cierpiał na artretyzm i miał unieruchomione, zaciśnięte w pięści dłonie, więc farma, samodzielnie prowadzona przez Larsa, bardzo podupadała.

Gdy Larsa nie było przy stole, ojciec Anny często ubolewał, że gospodarstwo Trulssenów jest od lat pozostawione bez opieki, że świnie robią, co chcą, i tak zryły ziemię, że stała się bezużyteczna i jałowa.

– Po tych strasznych deszczach, które ostatnio padały, zrobiło się z niej bagno – ciągnął. – Ale ten chłopak żyje w świecie książek, zupełnie oderwany od rzeczywistości i nie dostrzega ani pól, ani obejścia.

Zeszłej zimy Anna bardzo się męczyła, próbując odczytać słowa nowego hymnu, którego poleciła jej się nauczyć Fru Erslev. Lars podniósł głowę znad książki i zaczął jej się przyglądać.

– Potrzebujesz pomocy? – spytał.

Oblała się rumieńcem, gdy zdała sobie sprawę, że duka na głos słowa, aby nauczyć się je poprawnie wymawiać. Chwilę zastanawiała się, czy chce, by Lars się do niej zbliżył, bo zawsze strasznie śmierdział świniami. W końcu nieśmiało pokiwała głową i chłopak usiadł obok niej. Wspólnie wypowiadali każde słowo, aż stwierdziła, że potrafi bez zatrzymywania przeczytać cały hymn.

– Dziękuję ci za pomoc – powiedziała.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł, rumieniąc się. – Jeśli chcesz, mogę ci pomóc w nauce czytania i pisania. Pod warunkiem, że obiecasz od czasu do czasu coś dla mnie zaśpiewać.

Zgodziła się, bo przez cztery lata od skończenia szkoły niewiele czytała i pisała, więc wyszła z wprawy. Od tej pory wieczorami często siedzieli razem przy kuchennym stole, z głowami obok siebie nad lekturą. Ku niezadowoleniu matki Anna całkowicie zarzuciła haftowanie. Od hymnów szybko przeszli do książek, które Lars przynosił z domu zawinięte w woskowany papier, by chronić ich cenne kartki przed wciąż padającym śniegiem lub deszczem. Po nauce Anna zamykała książki i śpiewała Larsowi.

Początkowo rodzice byli zaniepokojeni, że córka spędza zbyt dużo czasu z nosem w książkach, ale lubili, gdy im wieczorami czytała.

– Ja tam dużo szybciej uciekłabym przed tymi trollami – oznajmiła pewnego wieczoru, gdy siedzieli przy kominku i właśnie skończyła czytać na głos baśń *Trzy księżniczki ze śnieżnej krainy*.

– Ale jeden z trolli miał sześć głów – zauważył Knut.

– Z sześcioma głowami wolniej się biegnie. – Uśmiechnęła się szeroko.

Ćwiczyła również pisanie, a Lars chichotał, gdy ścisnęła ołówek tak mocno, aż bieleły jej knykcie.

– Nie martw się, ołówek ci nie ucieknie – mówił i przestawiał każdy jej palec

na właściwe miejsce, żeby trzymała go w odpowiedni sposób.

Pewnego wieczoru, gdy narzucił na ramiona płaszcz z wilczej skóry, aby ochronić się przed przeraźliwym mrozem, i otworzył drzwi, do środka wleciały płatki śniegu wielkości motyli. Jeden z nich spadł na nos Anny i Lars nieśmiało go wytarł. Gdy jego duża, szorstka ręka dotknęła jej skóry, natychmiast schował ją do kieszeni płaszcza.

– Dobranoc – szepnął i wyszedł w zimowy mrok. Zamknął za sobą drzwi, a leżące na podłodze płatki śniegu od razu się roztopiły.

*

Kiedy Rosa wreszcie do niej doczłapała, Anna wstała, pogłaskała krowę po aksamitnych uszach i pocałowała białą gwiazdkę na środku czoła. Z przykrością zauważyła siwe włosy wokół miękkiego różowego pyska zwierzęcia.

– Bądź tu jeszcze w przyszłym roku, proszę – szepnęła łagodnie dziewczyna. Z zadowoleniem patrzyła, jak Rosa powoli dołącza do pozostałych krow, które spokojnie pasły się na zboczu, i całe stado rusza w kierunku chaty. Idąc za nimi, myślała o tym, że nie jest jeszcze gotowa na zmianę. Pragnęła tylko co lato tu wracać i siedzieć na polach z Rosą. Rodzicom mogło się wydawać, że jest naiwna, ale ona doskonale wiedziała, jakie mają wobec niej plany. Wciąż miała przed oczami Larsa żegnającego się z nią przed nastaniem lata.

Gdy pożyczał jej dramat Ibsena *Peer Gynt*, delikatnie ujął jej dłoń. Zamarła w bezruchu. Jego dotyk oznaczał nowy rodzaj zażyłości, który burzył ich dotychczasową relację. Ujrzała w jego niebieskich oczach coś zupełnie nowego. W tej chwili stał się dla niej kimś obcym. Gdy tego wieczoru położyła się spać i przypomniała sobie jego spojrzenie, po plecach przeszły jej ciarki; doskonale wiedziała, co ono znaczyło.

Rodzice najwyraźniej znali zamiary Larsa.

– Jako posag Anny możemy kupić ziemię Trulssenów – podsłuchiwała, jak pewnej nocy mówił ojciec.

– Moglibyśmy znaleźć jej kogoś z lepszej rodziny – rzuciła ściszym głosem Berit. – Haakonssenowie z Bø nadal mają jednego syna do ożenku.

– Chciałbym ją mieć w pobliżu – odpowiedział stanowczo Anders. – Przez najbliższe trzy lata ziemia Trulssenów nie przyniesie nam żadnych dochodów. Ale kiedy odżyje, podwoi nasze plony. Uważam, że Lars jest dla Anny najlepszym kandydatem, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę jej... wady.

Te ostatnie słowa ją zabolowały. A im jawniej rodzice omawiali plany dotyczące jej ślubu z Larsem, tym bardziej była urażona. Zastanawiała się, dlaczego jej nie spytali, czy w ogóle chce za niego wychodzić. Ale nie zrobili tego, więc nie miała jak im powiedzieć, że mimo ogromnej sympatii do Larsa nie jest pewna, czy kiedykolwiek mogłaby go pokochać.

Niejednokrotnie zastanawiała się, jak by to było pocałować mężczyznę, co nie oznaczało, że chciałyby to zrobić. A ta czynność, którą należy wykonać, żeby mieć dzieci, była dla niej kompletną zagadką. Czasami w nocy słyszała jęki i odgłosy skrzypiącego łóżka z sypialni rodziców, ale gdy spytała o to Knuta, zachichotał i powiedział, że wszyscy w ten sposób zostali poczęci. Zupełnie jak wtedy, kiedy byk jest przyprowadzany do krowy... Anna wzdrygnęła się na samą myśl, ponieważ doskonale pamiętała ryczące stworzenie zmuszane do wskoczenia na samicę i wysiłki parobka, który musi „to” chwycić i pomóc bykowi włożyć w krowę, żeby za parę miesięcy mógł przyjść na świat cielaczek.

Chciałyby spytać matkę, czy u ludzi wygląda to podobnie, ale nigdy nie zebrała się na odwagę.

Na domiar złego w lecie zmierzyła się z lekturą dramatu *Peer Gynt*. Dużo o nim rozmyślała, ale nie mogła pojąć, dlaczego główna bohaterka imieniem Solwejga – taka sama wieśniaczka jak ona – zmarnowała całe życie na czekanie na tak okropnego łajdaka jak Peer. A gdy już wrócił, nie dość, że przyjęła go z powrotem, to jeszcze pocieszała tego zdrajcę i kłamcę.

– Zrobiłabym z jego głowy piłkę dla Vivy – wymamrotała, gdy była już blisko domu i podjęła stanowczą decyzję, że nigdy, przenigdy nie poślubi mężczyzny, którego nie kocha.

Doszła do końca ścieżki i zobaczyła ich solidną drewnianą chatkę. Od lat nic się w niej nie zmieniło. Na tle ciemnego świerkowego lasu dach pokryty darnią wyglądał niczym jasne, świeże pole. Aby pozbyć się zapachu krów, Anna umyła ręce wodą z beczki, która stała przy drzwiach wejściowych, i weszła do przytulnej izby służącej także jako kuchnia. Tak jak przewidywała, stały tam już zapalone lampy naftowe.

W pokoju znajdował się duży stół pokryty obrusem w kratę, rzeźbiony sosnowy kredens, opalany drewnem piec i ogromne palenisko z wiszącym nad nim wielkim żelaznym garnkiem, w którym gotowały z matką owsiankę na śniadanie i kolację, a na obiad mięso i warzywa. Z tyłu chatki znajdowała się część sypialniana: pokój rodziców, drugi Knuta i trzeci, maleńki, należący do niej.

Wzięła ze stołu lampę i przeszła po wytartej podłodze do swojego pokoju; był tak wąski, że ledwie mogła się tam wcisnąć, ponieważ rama łóżka sięgała aż do drzwi. Postawiła lampkę na szafce nocnej i zdjęła z głowy czepek. Kręcone złotorude włosy opadły jej na ramiona.

Podniosła zniszczone lustro, usiadła na łóżku i spojrzała na swoje odbicie. Wytarła brud z czoła, żeby schludnie prezentować się podczas kolacji. Przez chwilę przyglądała się swojej twarzy w popękanej tafli szkła. Nie uważała się za szczególnie urodziwą. Miała za mały nos w porównaniu z dużymi, niebieskimi oczami i pełnymi, kształtnymi ustami, a jedynym, co Anna lubiła w zimie, było to, że aż do następnej wiosny znikają piegi, którymi letnie słońce hojnie obsypało

grzbiet jej nosa i policzki.

Westchnęła i odłożyła lusterko. Wydostała się z pokoju i spojrzała na zegar w kuchni. Była już siódma, więc zaskoczyło ją, że nikogo nie ma w chacie, zwłaszcza że spodziewały się przybycia ojca i Knuta.

– Halo, jest tu ktoś?! – zawołała, ale nie otrzymała odpowiedzi, więc wyszła na dwór, gdzie zapadał już zmrok. Poszła na tyły chatki i zaskoczona zobaczyła, że przy postawionym na ziemi sosnowym stole siedzą jej rodzice, Knut i nieznajomy mężczyzna, którego twarz oświetlał blask lampy naftowej.

– A gdzie ty była, dziecko? – spytała matka i wstała od stołu.

– Tak jak prosiłaś, sprowadzałam krowy ze zbocza.

– Bardzo długo to trwało – zbesztala ją Berit.

– Szukałam Rosy. Inne krowy zostawiły ją daleko w tyle.

– No cóż, najważniejsze, że jakoś dotarłaś. – Matka odetchnęła z ulgą. – Ten pan przyjechał tu z twoim ojcem i bratem, żeby z tobą porozmawiać.

Anna spojrzała na nieznajomego ze zdumieniem, nie mając pojęcia, o co może chodzić. Nigdy wcześniej nikt nie przyjeżdżał, żeby z nią porozmawiać. Przyjrzała mu się dokładniej i zobaczyła, że nie jest ze wsi. Miał na sobie dopasowaną marynarkę z szerokimi klapami, jedwabny fular i flanelowe spodnie. Co prawda nogawki ochlapały mu się błotem, ale Anna wiedziała, że takie spodnie noszą zazwyczaj eleganccy ludzie z dużych miast. Mężczyzna miał sumiaste wąsy, których końce zakręcone były niczym rogi na głowie kozicy, a po rysach twarzy można było wywnioskować, że jest po pięćdziesiątce. Zauważyła, że on także jej się przygląda. Uśmiechnął się do niej z dużym uznaniem.

– Anno, podejdz i poznaj Herr Bayera. – Ojciec gestem polecił jej, aby podeszła, a gościowi nalał do blaszanego kubka domowego piwa z dużego dzbana.

Anna niepewnie zbliżyła się do gościa, a ten natychmiast wstał i wyciągnął do niej rękę. Podała mu dłoń, ale zamiast ją po prostu uścisnąć, ujął ją oburącz.

– Frøken Landvik, jestem zaszczycony, że mogę panią poznać.

– Naprawdę? – rzuciła zdumiona, że ktoś się z nią tak entuzjastycznie wita.

– Anno, zachowuj się! – upomniała ją matka.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział mężczyzna. – Jestem pewien, że pani córka nie miała nic złego na myśli. Jest po prostu zaskoczona. Zapewne niecodziennie zdarza się, aby ktoś obcy na nią czekał. Anno, usiądź, proszę, wyjaśnię ci, dlaczego tu jestem.

Rodzice i Knut przyglądali się całej sytuacji z wyczekiwaniem.

– Najpierw się przedstawię. Nazywam się Franz Bayer i wykładam historię Norwegii na Uniwersytecie w Christianii. Jestem także pianistą i nauczycielem muzyki. Ja i moi przyjaciele po fachu prawie każdego lata przyjeżdżamy do Telemark, aby prowadzić badania naukowe nad tradycjami i muzyką ludową, które dzięki mieszkańcom tych obszarów doskonale się zachowały. Szukamy także

młodych talentów, które by tę muzykę reprezentowały w stolicy kraju, Christianii. Po przybyciu do Heddal jak zwykle w pierwszej kolejności poszedłem do kościoła i poznałem żonę pastora, Fru Erslev. Dowiedziałem się, że prowadzi chór, więc spytałem ją, czy nie ma wśród swoich podopiecznych kogoś, kto wyróżnia się wyjątkowym głosem. I wtedy powiedziała mi o tobie. Sądziłem, że mieszkasz w sąsiedztwie, ale Fru Erslev wyjaśniła mi, że lato zawsze spędzasz tutaj, prawie dzień drogi furmanką od wsi. Na szczęście twój ojciec zapewnił mi transport. – Herr Bayer skinął w kierunku Andersa. – Moja droga, muszę przyznać, że zaniemówiłem, kiedy się dowiedziałem od Fru Erslev, gdzie przebywasz. Ale zapewniła mnie, że nie będę żałował czasu spędzonego w podróży. Powiedziała, że masz głos anioła. Tak więc – rozłożył ręce i szeroko się uśmiechnął – jestem. Twoi rodzice ugościli mnie, gdy na ciebie czekaliśmy.

Anna starała się pojąć to, co właśnie usłyszała. Zdała sobie sprawę, że stoi z rozdziawioną buzią, więc szybko ją zamknęła. Nie chciała, żeby obyty w świecie mieszkaniac dużego miasta pomyślał, że jest głupią wieśniaczką.

– Jestem zaszczycona, że odbył pan tę długą podróż tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć. – Wykonała najbardziej elegancki ukłon, na jaki ją było stać.

– Jeśli twoja nauczycielka śpiewu mówi prawdę, a twoi rodzice także uważają, że masz talent, to cała przyjemność jest po mojej stronie – odpowiedział Herr Bayer szarmancko. – A teraz, skoro już tu jesteś, to cieszę się, że możesz udowodnić, że mają rację. Z całego serca pragnę, żebyś dla mnie zaśpiewała, Anno.

– Oczywiście, że to zrobi – wtrącił Anders, widząc, że córka stoi niepewna i milczy. – Anno?

– Ale ja znam tylko piosenki ludowe i hymny kościelne.

– Zaśpiewaj *Per Spelmann* – zasugerowała matka.

– Na początek to wystarczy. – Herr Bayer skinął głową.

– Do tej pory śpiewałam to tylko krowom.

– W takim razie wyobraź sobie, że jestem twoją ulubioną krową i chcesz śpiewem przywołać mnie do domu – odpowiedział z rozbawieniem.

– Dobrze, proszę pana. Dam z siebie wszystko.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest na zboczu góry i próbuje śpiewem przywołać Rosę do domu. Wzięła głęboki oddech i zaczęła. Słowa same wypływały z jej ust, gdy śpiewała historię biednego skrzyпка, który sprzedał krowę, żeby odzyskać swój instrument. Kiedy ostatni czysty dźwięk rozpląnął się w powietrzu, otworzyła oczy.

Patrzyła niepewnie na Herr Bayera w oczekiwaniu, że ten coś powie. On jednak przyglądał się jej w milczeniu.

– To teraz zaśpiewaj hymn. Czy znasz *Herre Gud, dit dyre Navn og Ære?* – spytał.

Dziewczyna skinęła głową i znowu otworzyła usta, żeby zaśpiewać. Tym

razem, gdy skończyła, zobaczyła, że Herr Bayer wyciąga dużą chusteczkę i wyciera nią oczy.

– Młoda damo – głos łamał mu się pod wpływem emocji – to było wspaniałe i warte każdej godziny bólu pleców po dzisiejszej podróży.

– Musi pan tu zostać na noc – wtrąciła Berit. – Może pan spać w pokoju naszego syna Knuta, a on się prześpi na podłodze w kuchni.

– Moja droga, jestem pani bardzo wdzięczny i skorzystam z propozycji, ponieważ mamy jeszcze dużo do omówienia. Proszę mi wybaczyć, ale chciałbym spytać, czy znalazłby się kawałek chleba dla strudzonego wędrowca? Od śniadania nic jadłem.

– Najmocniej pana przepraszam. – Berit była przerażona, że w całym tym zamieszaniu zupełnie zapomniała o jedzeniu. – Zaraz coś przygotujemy z Anną.

– A ja w tym czasie porozmawiam z Herr Landvikiem, w jaki sposób możemy wypromować głos Anny, aby usłyszała go szersza publiczność.

Anna z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami posłusznie poszła za matką do kuchni.

– Co on o nas sobie pomyśli?! Że jesteśmy niegościnni albo biedni, bo nie częstujemy gościa posiłkiem! – wyrzucała sobie Berit. Wyłożyła na półmisek chleb, masło i plasterki wędzonej wieprzowiny. – Na pewno wróci do Christianii i opowie wszystkim znajomym, że historie o wieśniakach bez oglądy są prawdziwe.

– Ale, *mor*, on wygląda na miłego człowieka i na pewno niczego takiego nie zrobi. Jeśli poradzisz sobie w kuchni beze mnie, przyniosę więcej drewna.

– Dobrze, ale pośpiesz się, żebyś zdążyła nakryć do stołu.

– Tak, *mor* – odparła Anna i wyszła na dwór, niosąc wielki wiklinowy kosz. Załadowała go w całości polanami i spojrzała w kierunku jeziora i migoczących na zboczu świateł, które świadczyły o obecności innych ludzi. Serce nadal waliło jej w piersiach, tak bardzo poruszyło ją to, co zdarzyło się przed chwilą.

Nie miała jednak pojęcia, co to dla niej oznaczało. Słyszała historie o utalentowanych muzykach i śpiewakach pochodzących z Telemark, których profesorowie w rodzaju Herr Bayera zabrali do miasta. Próbowала się zastanowić, czy zgodziłaby się na wyjazd, gdyby złożył jej taką propozycję. Całe jej życiowe doświadczenie ograniczało się do pasienia krów i kilku wycieczek do Skien, więc nie miała pojęcia, z czym wiązałby się taki krok.

Usłyszała wołanie matki, więc odwróciła się i wróciła do domu.

*

Następnego ranka Anna jakiś czas wierciła się w łóżku, a przez chwilę, kiedy była pomiędzy snem a jawą, miała niejasną świadomość, że poprzedniego dnia zdarzyło się coś niewiarygodnego. Gdy w końcu przypomniała sobie, co to było,

wstała i zaczęła powoli ubierać się w swój codzienny strój – pantalony, koszulę, kremową bluzkę, czarną spódnicę i kolorową wyszywaną kamizelkę. Na głowę włożyła bawełniany czepek, pod który schowała włosy, a na koniec wzięła buty.

Wieczorem po kolacji zaśpiewała jeszcze dwie piosenki i jeden hymn, po czym matka wysłała ją do łóżka. Do tego czasu rozmawiali na różne tematy, poczynając od skomentowania nadzwyczaj dobrej pogody tego lata po przewidywania ojca dotyczące przyszłorocznych plonów. Potem, gdy leżała w swoim pokoju, nie słyszała nic przez cienkie drewniane ściany; rodzice i Herr Bayer musieli ściszyć głosy. Wywnioskowała więc, że rozmawiają o jej przyszłości. W pewnym momencie postanowiła uchylić drzwi, żeby ich podsłuchać.

– Martwię się, że gdy Anna wyjedzie do miasta, wszystkie obowiązki domowe spadną na moją żonę – powiedział ojciec.

– Może niezbyt dobrze radzi sobie z gotowaniem i sprzątaniami, ale jest bardzo pracowita i dobrze zajmuje się zwierzętami – dodała matka.

– Myślę, że w tej kwestii możemy dojść do porozumienia – uspokoił ich Herr Bayer. – Jestem przygotowany, żeby zrekompensować wam brak dodatkowej pary rąk do pracy.

Anna ze zdziwienia wstrzymała oddech, kiedy usłyszała, o jakiej mówią sumie. Nie udało jej się wychwycić z ich słów nic więcej, więc bezszelestnie zamknęła drzwi.

– Chcą mnie przehandlować jak krowę na targu – wyszeptała do siebie. Była zła i oburzona, że pieniądze są dla rodziców ważniejsze od niej. Mimo to poczuła też lekki dreszczyk podniecenia. Tej nocy długo nie mogła zasnąć.

Przy śniadaniu nad talerzami owsianki rozmawiali o Herr Bayerze, który nadal odsypiał podróż. Anna siedziała w milczeniu. Wyglądało na to, że wieczorne podekscytowanie opadło i rodzice zaczęli się zastanawiać, czy wysyłanie córki do miasta z obcym człowiekiem jest rozsądne.

– Możemy tylko wierzyć mu na słowo – wtrącił się Knut z goryczą w głosie. Był niezadowolony, ponieważ musiał oddać gościowi swoje łóżko. – Skąd możemy wiedzieć, że Annie nic z nim nie grozi?

– Przysłała go Fru Erslev, co oznacza, że na pewno jest szanowanym, bogobojnym człowiekiem – odparła Berit, szykując dla gościa dużą miskę owsianki z łyżką borówek na wierzchu.

– Najlepiej będzie, jeśli w przyszłym tygodniu, po powrocie do Heddal, porozmawiam z pastorem i jego żoną – zdecydował Anders, a żona mu przytaknęła.

– To znaczy, że musi dać nam czas do namysłu i odwiedzić nas ponownie – dodała.

Anna nie miała odwagi się odezwać. Wiedziała, że na szali waży się jej

przyszłość, ale sama nie miała pewności, w którą stronę chciałaby ją przechylić. Wymknęła się cichutko, zanim matka zdąży jej przydzielić pracę, ponieważ chciała spędzić ten dzień z krowami, by wszystko przemyśleć w ciszy i spokoju. Szła przed siebie, nucąc, i zastanawiała się, dlaczego Herr Bayer tak się nią interesuje, skoro w Christianii na pewno jest wiele lepszych od niej śpiewaczek. Zostało jej zaledwie kilka dni w górach, zanim na całą zimę zejdzie do Heddal. Gdy zdała sobie sprawę z tego, że w przyszłym roku może tu nie wrócić, ogarnęło ją przerażenie. Przytuliła i pocałowała Rosę, zamknęła oczy i zaśpiewała, żeby powstrzymać łzy.

*

Tydzień później, po powrocie do Heddal, Anders poszedł porozmawiać z pastorem Erslevem i jego żoną, a ci zapewnili go o prawości i kwalifikacjach profesora. Herr Bayer wziął już pod skrzydła niejedną młodą dziewczynę i ze wszystkich zrobił profesjonalne śpiewaczki. Fru Erslev zachwycała się zwłaszcza jedną z nich, ponieważ udało jej się dostać do chóru teatru Christiania.

Gdy wkrótce potem Herr Bayer odwiedził ich ponownie, Berit przygotowała na obiad pieczeń z najlepszego kawałka wieprzowiny. Po posiłku Anna została wysłana do swoich obowiązków – karmienia kurczaków i nalewania wody do koryta – ale kręciła się blisko okna kuchennego, pragnęła bowiem usłyszeć, o czym rozmawiają w środku. Nie była jednak w stanie wychwycić ani jednego słowa. W końcu przyszedł po nią Knut.

Zdjęła pelerynę i zobaczyła, że rodzice siedzą z Herr Bayerem niczym starzy znajomi i piją piwo zrobione przez ojca. Powitała ich radosnym uśmiechem i usiadła obok brata.

– Anno, twoi rodzice zgodzili się, żebyś wyjechała ze mną na rok do Christianii. Będę twoim mentorem i nauczycielem. Złożyłem obietnicę, że zaopiekuję się tobą *in loco parentis*. Co ty na to?

Patrzyła na niego w milczeniu. Nie chciała, żeby wyszło na jaw, że jest niedouczona, ponieważ nie miała pojęcia, co znaczy *in loco parentis*.

– Herr Bayer chciał powiedzieć, że zamieszkaż u niego, w jego domu w Christianii, a on będzie uczył cię śpiewu, przedstawi cię wpływowym osobistościom i będzie cię traktował jak własną córkę – wyjaśniła Berit i pokrzepiająco położyła rękę na kolanie córki.

Profesor, widząc zdumienie malujące się na twarzy dziewczyny, doszedł do wniosku, że musi jej wyjaśnić kilka kwestii.

– Zapewniłem już twoich rodziców, że warunki będą u mnie jak najbardziej stosowne. Mieszka u mnie gospodyni, Frøken Olsdatter, i zawsze będzie pod ręką, żeby się tobą opiekować i spełniać twoje potrzeby. Ponadto przedstawiłem twoim rodzicom rekomendacje z uniwersytetu i towarzystwa muzycznego w Christianii. Młoda damo, zapewniam cię, że nie musisz się niczego obawiać.

– Rozumiem. – Anna skupiła wzrok na kubku kawy, który podała jej matka, i powoli się z niego napiła.

– Czy zgadzasz się, Anno? – spytał Herr Bayer.

– Chyba... tak.

– Herr Bayer pokryje również wszelkie wydatki – dodał ojciec, żeby zachęcić Annę. – To dla ciebie ogromna szansa. Herr Bayer uważa, że masz wielki talent.

– To prawda – potwierdził profesor. – Masz najczystszy głos, jaki kiedykolwiek słyszałem. Odbierzesz nie tylko edukację muzyczną. Nauczysz się obcych języków i zatrudnię nauczycieli, przy których poprawisz umiejętność czytania i pisania.

– Proszę mi wybaczyć – Anna nie mogła się powstrzymać – ale doskonale radzę sobie zarówno z czytaniem, jak i pisaniem.

– To z pewnością ułatwi nam cały proces i będziemy mogli szybciej przejść do tego, co najistotniejsze, czyli do nauki śpiewu. A zatem, Anno, jaka jest twoja decyzja?

Pragnęła spytać go, dlaczego jest gotowy zapłacić jej rodzicom za to, że zadba zarówno o nią, jak i o jej głos, nie mówiąc już o tym, że przyjmie ją pod swój dach. Ale najwyraźniej nikt poza nią się nad tym nie zastanawiał, więc jej tym bardziej nie wypadało tym się martwić.

– Christiania jest tak daleko, a rok to bardzo dużo czasu... – powiedziała cichutko, gdyż dotarła do niej powaga tego, co jej zaproponowano. Wszystko, co do tej pory poznała, przestanie mieć znaczenie. Jest prostą dziewczyną z Heddal i mimo że jej życie i przyszłość wydawały się nijakie, to decyzja, którą tak niespodziewanie kazano jej podjąć, przerastała ją.

– Hm...

Cztery pary oczu spoczęły na jej twarzy.

– No bo ...

– Co? – spytali jednocześnie rodzice i Herr Bayer.

– Obiecujcie, że nie zjecie Rosy, jeśli zdechnie, kiedy mnie tu nie będzie – powiedziała i wybuchła płaczem.

Po wyjeździe Herr Bayera w domu Landvików zawrzało jak w ulu. Matka Anny uszyła torbę podróżną, aby dziewczyna miała w co spakować swój niewielki dobytek. Z należytą troską uprały i zacerowały dwie najlepsze spódnice, bluzki oraz bieliznę Anny, ponieważ Berit uznała, że wśród wyniosłych mieszczuchów jej córka nie może wyglądać jak zwykła wieśniaczka. Żona pastora, Fru Erslev, podarowała Annie nowiutką książeczkę do nabożeństwa o śnieżnobiałych kartkach i upomniła ją, aby codziennie odmawiała modlitwę dziękczynną i nie pozwoliła, by ktoś sprowadził ją na tak rozpowszechnioną w mieście złą drogę. Ustalono, że Anna dołączy w Drammen do pastora Ersleva, który wybierał się do Christianii na spotkanie z innymi duchownymi, więc przy okazji mógł odwiedzić dziewczynę do miasta.

Miała wrażenie, że nie ma nawet czasu, aby na chwilę usiąść i przemyśleć swoją decyzję. Za każdym razem, gdy dręczyły ją wątpliwości, starała się wyrzucić je z głowy. A na dodatek matka oznajmiła, że następnego dnia odwiedzi ją Lars. Serce Anny zaczęło mocniej bić, gdy przypomniała sobie potajemną rozmowę rodziców na temat ich małżeństwa. Czuła, że wszystkie decyzje, które mają jakikolwiek związek z jej przyszłością, podejmowane są za nią.

*

– Idzie Lars – oznajmiła matka następnego ranka, ale Anna już o tym wiedziała, ponieważ z niepokojem czekała na odgłos kroków na wrześnieowym błocie. – Otworzę drzwi, a ty przyjmij go w saloniku.

Anna przytaknęła. Wiedziała, że jest to pokój, który służy do poważnych rozmów. Znajdowała się w nim ława, czyli jedyny tapicerowany mebel w ich domu, przeszklona gablotka, gdzie matka poustawiała najróżniejsze naczynia i małe ozdoby, które uznała za godne wystawienia na pokaz. W przeszłości stały tam także trumny z ciałami jej dziadków. Kiedy odeszli z tego świata, były wystawiane w tym pomieszczeniu aż do pogrzebu. Gdy szła wąskim korytarzem, uzmysłowiła sobie, że za jej życia rzadko przebywał w tym pokoju ktoś, kto oddychał. Otworzyła drzwi i z wnętrza wydobył się zapach stęchlizny.

Rozmowa, którą właśnie miała odbyć, przypuszczalnie pasowała do tego poważnego otoczenia. W oczekiwaniu na Larsa zastanawiała się, gdzie powinna usiąść. W końcu usłyszała kroki w korytarzu i szybko zajęła miejsce na ławie, której tapicerka była prawie tak twarda jak sosnowe deski.

Usłyszała pukanie do drzwi i trudno jej było powstrzymać się od śmiechu. Nigdy wcześniej nikt nie prosił jej o pozwolenie na wejście do pokoju, który nie był jej sypialnią.

– Tak? – rzuciła.

W uchylonych drzwiach ukazała się okrągła twarz matki.

– Przyszedł Lars.

Anna obserwowała, jak wchodzi do pokoju. Postarał się i uczesał gęste blond włosy, włożył najlepszą kremową koszulę, przeznaczone tylko do kościoła czarne bryczesy i kamizelkę, której nigdy wcześniej nie widziała – ciemnogrnatową, według Anny doskonale pasującą do koloru jego oczu. Był całkiem przystojny, ale to samo myślała o swoim bracie, Knucie, a jego na pewno nie chciałyby poślubić.

Nie widzieli się od czasu, gdy Lars podarował jej *Peer Gynta*. Nerwowo przełykając ślinę na wspomnienie chwili, gdy trzymali się za rękę, wstała, żeby się przywitać.

– Witaj, Lars.

– Zrobić ci kawy, Lars? – spytała Berit, która nadal stała w drzwiach.

– N... nie, dziękuję, Fru Landvik.

– W takim razie zostawię was samych – powiedziała po chwili Berit.

– Może usiądziesz? – zaproponowała Anna, gdy matka wyszła z pokoju.

– Chętnie.

Anna siedziała sztywno na drugim końcu ławy, trzymając na kolanach splecione dłonie.

– Anno... – Lars odchrząknął. – Wiesz, dlaczego przyszedłem?

– Bo zawsze do nas przychodzisz...

Zaśmiał się, słysząc jej odpowiedź, co odrobinę rozładowało napięcie.

– Chyba masz rację. Jak minęło ci lato?

– Jak każde inne, na pewno nie gorzej.

– Ale z pewnością tym razem wydarzyło się coś niezwykłego.

– Masz na myśli Herr Bayera z Christianii?

– Tak. Fru Erslev mówi o tym każdemu, kogo spotka. Jest z ciebie bardzo dumna... tak samo jak ja – dodał. – Jesteś pewnie najstynniejszą osobą w całym Telemark. Oczywiście poza Herr Ibsenem. Zdecydowałaś się pojechać do miasta?

– *Far i mor* uważają, że to dla mnie świetna okazja. Mówią, że to zaszczyt, że taki człowiek jak Herr Bayer chce mnie wziąć pod swoje skrzydła.

– I mają rację. Ale ja chciałbym wiedzieć, czy ty chcesz jechać?

Anna się zawahała.

– Myślę, że nie mam wyjścia – odparła. – Byłoby niegrzecznie odmówić. Nie uważasz? Zwłaszcza że jechał cały dzień, żeby usłyszeć, jak śpiewam.

– Masz rację. – Oderwał od niej wzrok i spojrzał na ścianę z sosnowych belek, na której wisiał obraz przedstawiający jezioro Skisjøen. Zapadła długa cisza i Anna nie wiedziała, czy powinna ją przerywać. W końcu zrobił to Lars.

– Anno?

– Tak?

Wziął głęboki oddech i trzęsącą się dłonią kurczowo chwycił poręcz ławy.

– Zanim wyjechałaś do letniego domu, rozmawiałem z twoim ojcem o możliwości poproszenia cię... o rękę. Zgodziłem się sprzedać mu swoje rodzinne gospodarstwo, które będziemy oboje prowadzić. Wiedziałaś coś na ten temat?

– Podśluchiwałam, kiedy rodzice o tym rozmawiali – przyznała się.

– I co o tym myślałaś, zanim zjawił się Herr Bayer?

– Masz na myśli pomysł, żeby *far* kupić ziemię?

– Nie. – Lars uśmiechnął się ironicznie. – Chodzi mi o ślub ze mną.

– Szczerze mówiąc, nie przyszło mi do głowy, że chciałbyś się ze mną ożenić. Nigdy o tym nie wspominałeś.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Musiałaś zdawać sobie sprawę z tego, co do ciebie czuję. Zeszłej zimy byłem tu niemal co wieczór, żeby pomagać ci w nauce czytania.

– Byłeś tu zawsze, odkąd pamiętam. Jesteś dla mnie jak... brat.

W jego oczach pojawił się smutek.

– Kocham cię, Anno.

Spojrzała na niego zdumiona. Uważała, że jeśli chciałby się z nią ożenić, to dlatego, że byłoby to dla niego wygodne, zwłaszcza że biorąc pod uwagę jej ograniczone umiejętności dbania o dom, słaba z niej była partia. A przecież we wszystkich małżeństwach, które widziała w swoim krótkim życiu, właśnie to było najważniejsze. A teraz Lars jej mówi, że ją kocha... co przeczyło tej regule.

– Bardzo miło z twojej strony – bąknęła.

– Nie o to chodzi, żeby ci było miło, lecz o to... – Urwał. Był zagubiony i zdezorientowany.

Zapadła długa cisza i Anna doszła do wniosku, że ich wspólne posiłki byłyby niezwykle spokojne. Lars prawdopodobnie koncentrowałby się na jedzeniu, a to z pewnością nie służyłoby ich związkowi.

– Chciałbym wiedzieć, czy przyjąłabyś moje oświadczenia, gdyby Herr Bayer nie zaproponował ci wyjazdu do Christianii?

Zdawała sobie sprawę, że po tym, co zrobił dla niej zeszłej zimy, istnieje tylko jedna prawidłowa odpowiedź, zwłaszcza że bardzo go lubiła.

– Zgodziłabym się.

– Dziękuję. – Westchnął z ulgą. – Ustaliliśmy z twoim ojcem, że biorąc pod uwagę okoliczności, umowa na sprzedaż mojej ojcowizny zostanie sporządzona najszybciej, jak to możliwe. Poczekam rok, aż wrócisz z Christianii, i wtedy oficjalnie się oświadczę.

Ogarnęła ją panika. Lars źle ją zrozumiał. Gdyby ją spytał, czy go kocha, tak jak on kocha ją, z pewnością by zaprzeczyła.

– Zgadzasz się, Anno?

W saloniku znowu zapadła cisza. Dziewczyna próbowała pozbierać myśli.

– Mam nadzieję, że nauczysz się mnie kochać, tak jak ja kocham ciebie –

odezwał się w końcu Lars. – A może pewnego dnia pojedziemy do Ameryki i rozpoczniemy tam nowe życie – dodał cicho. – Mam coś dla ciebie, na znak nieoficjalnej obietnicy, którą sobie złożyliśmy. Na pewno bardziej przydatne niż pierścionek, przynajmniej na razie. – Sięgnął do kieszeni kamizelki, wyjął długie, wąskie drewniane pudełeczko i wręczył Annie.

– Dziękuję. – Delikatnie potarła palcami wypolerowane drewno i otworzyła pudełeczko. W środku znajdowało się najpiękniejsze pióro, jakie w życiu widziała. Wiedziała, że musiało kosztować majątek. Rączka była wyrzeźbiona z jasnego sosnowego drewna i idealnie pasowała do jej dłoni, a stalówka miała delikatne spiczaste zakończenie. Nawet jeśli nie kochała Larsa ani nie chciała go poślubić, ten prezent niezwykle ją wzruszył i sprawił, że łzy napłynęły jej do oczu. – To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek miałam.

– Będę na ciebie czekał. Może mogłabyś tym piórem pisać do mnie listy, w których będziesz opisywała swoje nowe życie w Christianii?

– Oczywiście.

– I zgodzisz się, żebyśmy się zaręczyli, gdy za rok wrócisz z Christianii?

Czuła, że Lars naprawdę ją kocha, spojrzała na piękne pióro i wiedziała, że nie może odpowiedzieć inaczej.

– Tak.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Tak się cieszę. Pójdziemy i wspólnie oznajmimy twoim rodzicom, że doszliśmy do porozumienia. – Wstał, wziął ją za rękę, po czym pochylił się i ją pocałował. – Musimy wierzyć, że Bóg będzie dla nas łaskawy.

*

Dwa dni później, gdy wstała wcześnie, by przygotować się do długiej podróży, wszelkie myśli na temat Larsa i tego, co wydarzy się za rok, poszły w niepamięć. Miała mdłości ze zdenerwowania i z trudem wmusiła w siebie naleśniki, które matka specjalnie dla niej przygotowała na śniadanie. W końcu ojciec oznajmił, że muszą się zbierać, i Anna wstała. Nogi miała jak z waty. Po raz ostatni rozejrzała się po przytulnej kuchni i nagle naszło ją pragnienie, żeby rozpakować torbę i wszystko odwołać.

– Nie martw się, *kjære* – powiedziała matka, głaszcząc Annę po długich, kręconych włosach, gdy przytulały się na pożegnanie. – Zanim się obejrzyysz, przyjedziesz do domu na Boże Narodzenie. Nie zapominaj tylko, żeby wieczorem się modlić, chodzić do kościoła i porządnie czesać włosy.

– *Mor*, przestań marudzić, bo nigdy nie wyjedzie – odezwał się oschle Knut i wziął siostrę w ramiona. – I nie zapominaj dobrze się bawić – wyszeptał do ucha siostry i otarł jej łzy z policzka.

Droga do Drammen, którą przebyła z ojcem wozem zaprzężonym w konia,

zajęła prawie cały dzień. Stąd miała wyruszyć z pastorem Erslevem w dalszą podróż pociągiem. Zatrzymali się na noc w skromnym zajeździe, w którym znajdowała się stajnia dla koni, i wstali o świcie, aby spokojnie dotrzeć na dworzec kolejowy i zdążyć na pociąg.

Pastor Erslev czekał na nich na peronie razem z innymi współtowarzyszami podróży. Gdy w końcu pociąg wtoczył się na stację, Annę przeraziły syczące kłęby pary, pisk hamulców i pasażerowie, którzy pośpiesznie starali się wejść do wagonów. Ojciec pomógł jej nieść ciężką torbę, kiedy szli za pastorem w kierunku pociągu.

– Boję się, *far* – wyszeptała.

– Moja kochana Anno, pamiętaj, że jeśli będziesz nieszczęśliwa, zawsze możesz wrócić wcześniej do domu – odezwał się łagodnie i pogłaskał ją po policzku. – Ale teraz musisz wsiąść do pociągu.

Weszli po schodkach i znaleźli dwa wolne miejsca. Gdy wkładał bagaż na półkę nad siedzeniami, konduktor zagwizdał i ojciec nachylił się nad córką, by pocałować ją na pożegnanie.

– Pamiętaj, żeby regularnie pisać do Larsa – powiedział. – Dzięki temu my również będziemy wiedzieli, co u ciebie słyszą. Nie zapominaj, że spotkał cię zaszczyt. Pokaż tym mieszcuchom, że dziewczyna ze wsi potrafi się zachować.

– Obiecuję, *far*.

– Dobrze z ciebie dziecko. Zobaczymy się na Boże Narodzenie. Niech Bóg ma cię w swojej opiece. Do widzenia.

– Proszę się nie martwić, dowiozę ją bezpiecznie do Herr Bayera – obiecał pastor Erslev i uścisnęli sobie z Andersem na pożegnanie dłonie.

Anna z trudem powstrzymywała łzy, kiedy ojciec szedł po peronie wzdłuż wagonów, a ona machała mu przez okno. Ale pociąg gwałtownie ruszył naprzód i twarz ojca wkrótce zniknęła w chmurze pary.

Pastor Erslev otworzył modlitewnik, Anna tymczasem rozejrzała się po wagonie i uznała, że w swoim tradycyjnym stroju bardzo się wyróżnia. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety mieli eleganckie ubrania i Anna uzmysłowiła sobie, kim jest: zwykłą wieśniaczką. Sięgnęła do kieszeni spódnicy i wyjęła list, który wczoraj podczas pożegnania podarował jej Lars. Kazał jej obiecać, że przeczyta go dopiero w podróży. Teraz zaczęła ostentacyjnie otwierać kopertę, tak aby wszyscy zobaczyli, że co prawda jest dziewczyną ze wsi, ale umie czytać.

Niezwykle staranne pismo Larsa stanowiło dla niej wyzwanie, ale postanowiła mu sprostać.

Stalsberg Våningshuset

Tindevegen

Heddal

18 września 1875

Kjære Anna

Chciałbym Ci powiedzieć, że jestem z Ciebie bardzo dumny. Skorzystaj z każdej możliwości, dzięki której wyszkolisz swój głos i dowiesz się więcej o świecie. Nie bój się tego i pamiętaj, że pod pięknymi ubraniami tych, których poznasz, są zwykli ludzie, tacy jak Ty czy ja.

Będę z utęsknieniem czekał na Ciebie i na dzień Twojego powrotu. Pisz do mnie, proszę, żebym wiedział, że dobrze Ci się wiedzie w Christianii. Wszyscy tutaj pragniemy znać każdy szczegół Twojego nowego życia.

Twój zawsze kochający i wierny

Lars

Starannie złożyła list i schowała go do kieszeni. Trudno jej było połączyć niezdarnego i cichego Larsa, którego znała, z elokwencją płynącą ze słów listu. Anna spojrzała na drzemiącego na przeciwległym siedzeniu pastora Ersleva, któremu niebezpiecznie zwisała z nosa mała kropelka, i poczuła nagły atak paniki na myśl o zbliżającym się małżeństwie. Na szczęście rok to bardzo dużo czasu i wiele może się jeszcze wydarzyć. Człowieka może porazić piorun albo może dostać zapalenia płuc i umrzeć. Gdy pociąg niespodziewanie przechylił się na prawą stronę, pomyślała, że ona też może umrzeć. Z tą myślą zamknęła oczy i postanowiła odpocząć.

*

– Dzień dobry, pastorze Erslev! Witam serdecznie w Christianii, moja droga Frøken Landvik. Pozwolisz, żebym zwracał się do ciebie po imieniu? – spytał Herr Bayer. – Zamieszkamy razem, więc tak będzie wygodniej.

– Oczywiście, proszę pana – odparła nieśmiało dziewczyna.

Wziął od Anny bagaż i pomógł jej wysiąść z pociągu.

– Jak wam minęła podróż, pastorze? – spytał starszego duchownego, który kuśtykał, idąc po tętniącym życiem peronie.

– W porządku, dziękuję. Chyba wywiązałem się już ze swojego zadania, a widzę, że oczekuje mnie pastor Eriksson – powiedział i pomachał niskiemu, łysemu mężczyźnie ubranemu w taką jak on togę. – Pozwól zatem, że cię pożegnam, Anno.

– Do widzenia, pastarze Erslev. – Patrzyła, jak ostatnia osoba, która łączyła ją ze znanym jej światem, wychodzi z dworca i znika na gwarnej ulicy, po której toczyły się powozy konne.

– Pojedziemy powozem – oznajmił profesor. – W ten sposób szybciej dotrzemy do domu. Zazwyczaj jeżdżę tramwajem, ale chyba jesteś zbyt zmęczona długą podróżą.

Poinformował woźnicę, dokąd jechać, i pomógł Annie wsiąść. Zajęła miejsce na ławie obitej miękkim, czerwonym materiałem, znacznie wygodniejszej niż ta, którą mieli w saloniku. Dziewczyna była podekscytowana podróżą w tak wystawnym stylu.

– Do mojego mieszkania nie jest daleko, a moja gospodyni już przygotowała kolację – powiedział Herr Bayer. – Pewnie jesteś bardzo głodna po podróży?

Anna mimo zmęczenia miała cichą nadzieję, że jazda powozem szybko się nie skończy. Odsunęła wyszywaną złotą nicią zasłonkę i ze zdumieniem patrzyła przez okno, zwłaszcza gdy jechali przez centrum miasta. Szerokie i ruchliwe ulice, wzdłuż których rosły drzewa, w niczym nie przypominały wyboistych wąskich dróg w Skien. Gdy mijali konny tramwaj, zauważyła, że pasażerowie ubrani są niezwykle wytwornie. Mężczyźni mieli na głowach błyszczące cylindry, a kobiety ekstrawaganckie kapelusze przyozdobione kwiatami i wstążkami. Anna z trudem stłumiła chichot, kiedy wyobraziła sobie, jak wyglądałyby w takim stroju.

– Oczywiście mamy wiele do omówienia – odezwał się profesor – ale zostało sporo czasu, zanim...

– Zanim co, proszę pana? – spytała.

– Zanim będziesz gotowa wystąpić przed szerszą widownią, młoda damo. Jesteśmy na miejscu. – Otworzył okno i polecił woźnicy, aby się zatrzymał.

Pomógł Annie wsiąść i wziął jej bagaż. Spojrzała na wysoką kamienicę z błyszczącymi oknami, która miała tyle pięter, jakby się wznosiła do samego nieba.

– Niestety, nie zainstalowano u nas jeszcze windy, bo to nowomodny wynalazek, więc musimy pójść schodami – poskarżył się, gdy weszli przez ogromne podwójne drzwi i stanęli w holu z marmurową podłogą, tak dużym, że odbijało się w nim echo. – Ale gdy docieram do mieszkania – dodał, kiedy zaczęli się wspinać po krętych schodach z lśniącymi mosiężnymi poręczami – przynajmniej mam poczucie, że zasłużyłem na kolację!

Dotarwszy na trzecie piętro, Anna uznała, że kosztowało ją to znacznie mniej wysiłku niż wspięcie się na górskie zbocze podczas deszczu. Herr Bayer poprowadził ją szerokim korytarzem i otworzył drzwi.

– Frøken Olsdatter, wróciłem i przywiozłem Annę! – zawołał.

Przeszli do dużego salonu, którego ściany pokryte były ciemnoczerwoną tapetą. Były tu największe okna, jakie w życiu widziała.

– Gdzie się podziewa ta kobieta? – narzekał profesor. – Przepraszę cię na chwilę, moja droga, pójdę jej poszukać. Usiądź i czuj się jak u siebie w domu.

Anna była zbyt spięta, żeby siedzieć bez ruchu, więc skorzystała z okazji, żeby rozejrzeć się po pokoju. Przy jednym z okien stał olbrzymi fortepian, a pod drugim duże mahoniowe biurko, na którym leżały sterty nut. Na środku salonu stała duża kanapa, o wiele elegantsza niż ta w domu Anny, a naprzeciw niej – dwa fotele pokryte dopasowanym do kanapy materiałem w brązowo-różowe paski; na stoliku z ciemnego drewna pomiędzy nimi piętrzyły się sterty książek i cała kolekcja pudełeczek na tabakę. Ściany ozdabiałały obrazy olejne przedstawiające wiejskie krajobrazy przypominające widoki, jakie Anna знаła z Heddal. Wisiało tam również wiele oprawionych w ramki certyfikatów i listów. Jeden z nich szczególnie zwrócił jej uwagę, więc podeszła bliżej, żeby mu się przyjrzeć.

Królewski Uniwersytet Fryderyka

nadaje doktorowi Franzowi Bjørnowi Bayerowi

honorowy tytuł profesora historii

16 lipca 1847

Pod tekstem znajdowały się czerwona pieczęć i podpis. Anna zastanawiała się, ile lat jej mentor musiał się uczyć, aby zdobyć taki tytuł.

– Mój Boże, jest zaledwie po piątej, a już robi się ciemno! – zawołał Herr Bayer, gdy wrócił do pokoju z wysoką, szczupłą kobietą. Anna oceniła, że jest ona prawdopodobnie w wieku jej matki. Miała na sobie ciemną wełnianą sukienkę bez dekoltu, która mimo eleganckiego kroju była prosta i bez żadnych ozdób, może poza pękiem kluczy zawieszonym na cienkim łańcuszku wokół pasa. Jasnokasztanowe włosy miała upięte w schludny kok na karku.

– Anno, przedstawiam ci moją gospodynię, Frøken Olsdatter.

– Bardzo miło mi panią poznać, Frøken Olsdatter. – Anna, tak jak ją uczono, ukloniła się, aby okazać szacunek starszej osobie.

– Mnie ciebie również, Anno. – Z ciepłych brązowych oczu kobiety biła serdeczność. – Jestem do twoich usług. Mów mi zawsze, jeśli będziesz czegoś potrzebowała albo kiedy będziesz miała z czymś kłopot.

Anna coś bąknęła. Była zdezorientowana. Czy ta pani w ładnej sukience naprawdę była służącą?

– Dziękuję.

– Proszę zapalić lampy, Frøken Olsdatter – polecił gospodyni Herr Bayer. – Nie jest ci zimno, Anno? Jeśli tak, to napalimy w piecu.

Zanim dziewczyna odpowiedziała, minęła minuta albo i dwie, ponieważ

znieruchomiła na widok tego, co zrobiła Frøken Olsdatter. Gospodyni opuściła na sznurze żyrandol, przekreśliła znajdującą się na środku mosiężną gałkę i przyłożyła do niej zapaloną świeczkę. Delikatne płomienie rozbłysły na ozdobnych ramionach żyrandola i wypełniły pokój jasnym, złotym światłem, a Frøken Olsdatter wciągnęła żyrandol z powrotem na górę. Następnie Anna spojrzała na piec, o którym wspomniał Herr Bayer. Był kremowy i zbudowany z jakiegoś ceramicznego materiału krytego glazurą. Szeroki komin sięgał aż do wykończonego ażurową kratką sufitu, a rzeźbiony gzyms zdobiły złocenia. W porównaniu z brzydkim paleniskiem z czarnego żelaza, które mieli w domu, nie był to piec, lecz dzieło sztuki.

– Dziękuję, Herr Bayer, ale jest mi ciepło.

– Frøken Olsdatter, proszę zanieść pelerynę i bagaż Anny do jej pokoju – polecił profesor.

Anna rozwiązała wstążkę, którą miała zawiązaną wokół szyi, a gospodyni zdjęła z niej pelerynę.

– Duże miasto pewnie trochę cię przeraża – wyszeptała, wieszając sobie okrycie Anny na ramieniu. – Ja czułam się tak samo, kiedy po raz pierwszy przyjechałam tu z Ålesund.

Z jej słów Anna od razu zrozumiała, że Frøken Olsdatter również pochodzi ze wsi, co oznaczało, że może liczyć na jej zrozumienie.

– Młoda damo, teraz usiadzemy i napijemy się herbaty. Oczywiście poczekamy, aż ją pani zrobi, Frøken Olsdatter.

– Zaraz przyniosę, Herr Bayer. – Gospodyni skinęła głową, wzięła torbę podróżną Anny i wyszła z salonu.

Profesor wskazał Annie krzesło, a sam usiadł naprzeciwko na kanapie.

– Mamy dużo do omówienia. A ponieważ szkoda marnować czasu, od razu opowiem ci o twoim nowym życiu w Christianii. Wspominałaś, że potrafisz biegle czytać i pisać, a to zaoszczędzi nam trochę czasu. Potrafisz również czytać nuty?

– Niestety, nie – przyznała Anna.

Sięgnął po oprawiony w skórę notes i lakierowane pióro, przy którym to, które Anna otrzymała od Larsa, wyglądało jak stary kawałek drewna. Zanurzył je w kałamarzu i zaczął pisać.

– Domyślam się, nie znasz również języków obcych?

– Nie.

Ponownie zapisał coś w notatniku.

– A byłaś kiedyś na koncercie? Mam na myśli występ muzyczny w teatrze lub sali koncertowej.

– Nie, proszę pana. Tylko w kościele.

– Musimy to zatem nadrobić najszybciej, jak to możliwe. Czy wiesz, co to jest opera?

– Myślę, że tak. Opera to takie przedstawienie, podczas którego zamiast mówić, opowiada się coś śpiewem.

– Świetnie! A jak ci idzie liczenie?

– Potrafię liczyć do stu – odpowiedziała z dumą.

Herr Bayer stłumił uśmiech.

– Na potrzeby muzyki to wystarczy – oznajmił. – Śpiewaczka musi potrafić liczyć takty. Umiesz grać na jakimś instrumencie?

– Mój ojciec ma skrzypce z Hardanger, na których uczyłam się podstaw gry.

– Wygląda na to, że jesteś utalentowaną młodą damą – powiedział usatysfakcjonowany. W tym momencie gospodyni weszła do pokoju z tacą. – Napijemy się herbaty, a później Frøken Olsdatter będzie tak uprzejma i pokaże ci twój pokój. O siódmej wspólnie zjemy kolację w jadalni.

Uwaga Anny skupiła się na dzbanku o dziwnym kształcie, z którego gospodyni nalewała herbatę o złocistej barwie.

– To darjeeling – wyjaśnił Herr Bayer.

Anna nie chciała wyjść na prostaczkę, więc naśladowując go, uniosła do ust delikatną porcelanową filiżankę. Smak był przyjemny, ale raczej nijaki w porównaniu z mocną kawą, którą parzyła jej matka.

– W pokoju znajdziesz trochę prostych ubrań, które na moje polecenie uszyła dla ciebie Frøken Olsdatter – powiedział. – Mogłem jedynie zgadywać, jaki nosisz rozmiar, ale kiedy patrzę na ciebie teraz, wydajesz mi się jeszcze drobniejsza, więc te stroje mogą wymagać drobnych poprawek – dodał. – Jak się już pewnie zorientowałaś, prawie nikt w Christianii nie ubiera się w tradycyjne norweskie stroje, chyba że w dni świąteczne.

– Jestem pewna, że to, co przygotowała dla mnie Frøken Olsdatter, będzie idealne, proszę pana – odpowiedziała grzecznie Anna.

– Moja droga, muszę przyznać, że jestem pod ogromnym wrażeniem twojego opanowania. Brałem pod swoje skrzydła również inne młode śpiewaczki ze wsi, więc rozumiem, jak duże zmiany zaszły w twoim życiu. Z przykrością musiałem stwierdzić, że wiele uciekło do domu jak myszy do nory. Mam przeczucie, że w twoim przypadku będzie inaczej. Frøken Olsdatter zaprowadzi cię teraz do twojego pokoju, żebyś mogła się rozpakować, a ja w tym czasie postaram się uporać z niekończącą się robotą papierkową z uniwersytetu. Spotkamy się o siódmej na kolacji.

– Jak pan sobie życzy.

Anna wstała i zobaczyła, że Frøken Olsdatter czeka już na nią przy drzwiach. Dygnęła przed profesorem i opuściła salon. Szła korytarzem za gospodynią, dopóki ta nie zatrzymała się przy drzwiach.

– To twój pokój, Anno – oznajmiła Frøken Olsdatter, otwierając je. – Mam nadzieję, że będziesz się tu dobrze czuć. Spódnice i bluzki, które ci uszyłam, wiszą

w szafie. Możesz je później przymierzyć i zobaczymy, czy wymagają przeróbek.

– Dziękuję. – Wzrok dziewczyny padł na olbrzymie łóżko z wyszywaną narzutą, dwa razy większe niż to, w którym spali jej rodzice. W jego nogach leżała nowiutka lniana koszula nocna.

– Rozpakowałam już część twoich rzeczy. Później chętnie pomogę ci zająć się resztą. Na stoliku nocnym postawiłam dzbanek z wodą, gdyby chciało ci się pić, a łazienka jest na końcu korytarza.

Słowo „łazienka” było dla Anny zupełnie obce, więc niepewnie spojrzała na Frøken Olsdatter.

– To pomieszczenie, w którym znajduje się toaleta i wanna. Zmarła żona Herr Bayera, Amerykanka, nalegała, żeby w domu były takie nowoczesne udogodnienia. – Gospodyni lekko uniosła brwi, ale Anna nie potrafiła odgadnąć, czy to znak aprobaty, czy wręcz przeciwnie. – Będziemy cię oczekiwać w jadalni o siódmej – dodała Frøken Olsdatter i szybko wyszła z pokoju.

Anna podeszła do szafy, otworzyła ją i zaniemówiła z wrażenia na widok swoich nowych ubrań – czterech ślicznych bawełnianych bluzek zapinanych przy szyi na małe perłowe guziki i dwóch wełnianych spódnic. Najwspanialsza jednak była suknia wizytowa z turniurą, uszyta z lśniącego zielonego materiału. Anna przypuszczała, że był to jedwab. Czując dreszcz podniecenia, zamknęła szafę i zgodnie ze wskazówkami Frøken Olsdatter poszła korytarzem do łazienki.

Gdy otworzyła drzwi, jej oczom ukazał się najcudowniejszy widok ze wszystkich, jakie widziała tego dnia. W rogu stała duża drewniana ławka, na której umieszczone było emaliowane siedzisko z dziurą w środku, a powyżej wisiało metalowe kółko na łańcuchu. Gdy delikatnie za nie pociągnęła, spłynęła woda i Anna zdała sobie sprawę, że jest to domowy wychodek. Na środku wyłożonej kafelkami podłogi stała głęboka, lśniąca, biała wanna. W porównaniu z nią, blaszana wanna, której czasem używali w Heddal, wyglądała jak coś, co nadawało się jedynie do wykąpania kozy.

Oszołomiona tym, co zobaczyła, Anna wróciła do swojego pokoju. Spojrzała na zegar i stwierdziła, że do kolacji zostało zaledwie pół godziny. Gdy szła w kierunku szafy, by wybrać któreś z nowych ubrań, spostrzegła, że na wytwornym stoliku pod oknem Frøken Olsdatter położyła papier listowy i jej pióro. Anna obiecała sobie, że w pierwszej wolnej chwili napisze list do Larsa i rodziców, w którym opowie im o wszystkim, co dziś zobaczyła, i zaczęła szykować się do swojego pierwszego wieczoru w Christianii.

Mieszkanie nr 4

St Olavs Gate 10

Christiania

24 września 1875

Kjære Lars, Mor, >Far i Knut

Wybaczcie mi, proszę, wszystkie błędy ortograficzne i gramatyczne, ale liczę na to, że zauważycie moje postępy w kaligrafii! Jestem tu pięć dni i muszę podzielić się z Wami wrażeniami z życia w mieście.

Mam nadzieję, że nie ocenicie mnie źle, że o tym wspominam, ale w mieszkaniu jest wychodek, a żeby pozbyć się nieczystości, wystarczy pociągnąć za łańcuch! Jest też wanna, która dwa razy w tygodniu napelniana jest dla mnie ciepłą wodą! Martwię się, czy Frøken Olsdatter, która jest tu gospodynią, oraz Herr Bayer nie pomyślą, że cierpię na jakąś chorobę, z powodu której godzinami leżę w wannie.

Mamy tutaj także lampę gazową, a w salonie piec, który wygląda jak duży ołtarz w kościele i daje tyle ciepła, że czasami robi mi się słabo. Frøken Olsdatter organizuje wszystko w ciągu dnia oraz przygotowuje i podaje nam posiłki. Dodatkowo codziennie rano przychodzi pokojówka, która sprząta mieszkanie, pierze i prasuje ubrania, więc muszę przyznać, że w porównaniu z obowiązkami, które miałam w domu, tu ledwie kiwam palcem.

Mieszkamy na trzecim piętrze, przy St Olavs Gate. Z okien rozciąga się wspaniały widok na park, do którego ludzie przychodzą na niedzielne spacerki. Ciężko tu znaleźć choćby skrawek ziemi, na którym nie ma ulicy lub domu, więc bardzo tęsknię za przyrodą, ale przynajmniej z okna mam widok na zieleni i kilka drzew, które szybko gubią liście z powodu zbliżającej się zimy.

Jeśli chodzi o naukę, uczę się grać na fortepianie. Herr Bayer okazuje mi dużo cierpliwości, a ja myślę, że jestem bardzo głupia. Moje małe palce nie grają nut tak, jak by on sobie tego życzył.

Opiszę Wam, jak wygląda mój dzień, żeby Wam było łatwiej wszystko

zrozumieć. O ósmej Frøken Olsdatter puka do drzwi i przynosi mi tacę ze śniadaniem. Muszę przyznać, że czuję się wtedy jak księżniczka. Piję herbatę, do smaku której powoli się przyzwyczajam, i jem świeży biały chleb, który, według Herr Bayera, jest teraz bardzo popularny we Francji i Anglii. Smaruję go konfiturą owocową ze słoiczka. Po śniadaniu ubieram się w stroje, które uszyła dla mnie Frøken Olsdatter. W porównaniu z tym, co do tej pory nosiłam, są bardzo nowoczesne. Przed dziewiątą idę do salonu na lekcję muzyki z Herr Bayerem. Przez godzinę uczy mnie grać na fortepianie, a później czytać nuty. Muszę się nauczyć, jaka nuta odpowiada któremu klawiszowi, i powoli, dzięki zdolnościom pedagogicznym Herr Bayera, zaczynam to wszystko pojmować. Po lekcji profesor wychodzi na uniwersytet, gdzie prowadzi wykłady, lub spotyka się z przyjaciółmi na obiad.

A dla mnie nastaje ta część dnia, którą lubię najbardziej, czyli obiad. Dzień po moim przyjeździe Frøken Olsdatter podała mi obiad w jadalni. Siedziałam sama przy tak wielkim stole, że czułam się przy nim jeszcze bardziej samotna (jego blat błyszczący tak, że widzę w nim swoje odbicie). Po posiłku wzięłam talerz i szklankę i zaniiosłam je do kuchni, ale Frøken Olsdatter była zszokowana i powiedziała, że zbieranie brudnych naczyń należy do jej obowiązków. Wtedy kątem oka zauważyłam coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam – ogromny żeliwny piec kuchenny. Frøken Olsdatter pokazała mi, że nie musi gotować obiadu na ogniu, tylko wystarczy, że postawi garnki na piecu i zapali gaz. Kuchnia tutaj w ogóle nie przypomina tej u nas, ale i tak poczułam się jak w domu, więc wybłagałam u Frøken Olsdatter, żeby w dni, kiedy Herr Bayer je obiad poza domem, pozwoliła mi jeść w kuchni. Od tamtej pory wspólnie spożywamy obiady w kuchni i rozmawiamy jak przyjaciółki. Jest bardzo miła i rozumie, że trudno mi w tym nowym dla mnie świecie. Po południu codziennie przez godzinę odpoczywam w swoim pokoju z książką, która ma na celu „poszerzyć moje horyzonty”. Teraz czytam (a przynajmniej się staram) sztuki angielskiego pisarza Williama Szekspira w norweskim tłumaczeniu. Jestem pewna, że o nim słyszeliście, mimo że od dawna nie żyje. Pierwsza sztuka, którą przeczytałam, opowiada o szkockim królu Makbecie i jest bardzo smutna, bo na końcu wszyscy giną!

Gdy Herr Bayer wraca z uniwersytetu, przy herbacie opowiada, jak mu minął dzień. W przyszłym tygodniu mamy pójść do teatru Christiania, żeby zobaczyć przedstawienie w wykonaniu Rosjan. Podobno podczas występu tylko tańczą. Nikt nie mówi ani nie śpiewa (a mężczyźni nie mają na sobie normalnych spodni, tylko pończochy jak kobiety!). Po herbacie wracam do pokoju i przebieram się w suknię wieczorową, którą uszyła mi Frøken Olsdatter. Szkoda, że nie możecie jej zobaczyć – jest bardzo piękna i nie przypomina niczego, co do tej pory miałam

na sobie. Podczas kolacji pijemy czerwone wino, które Herr Bayer przywiózł z Francji, i często jemy rybę w białym sosie, która jest podobno bardzo popularna w Christianii. Po kolacji Herr Bayer zapala cygaro, czyli tytoń zawinięty w suszony liść tytoniu, i pije brandy, a ja, już bardzo zmęczona, wracam do swojego pokoju. Przy łóżku stoi przygotowana szklanka gorącego mleka od krowy.

W niedzielę Frøken Olsdatter poszła ze mną do kościoła. Herr Bayer zapewnia, że następnym razem też pójdzie, ale tym razem nie miał czasu. Kościół jest wielkości katedry i były w nim setki ludzi. Widzicie zatem, że moje życie tutaj bardzo się różni od tego w Heddal. Mam wrażenie, że to wszystko jest snem i nic nie dzieje się naprawdę. I że nasz dom jest na drugim końcu świata.

Myślałam, że Herr Bayer ściągnął mnie do Christianii, żebym rozwijała swój talent, ale prawdę mówiąc, na razie śpiewam tylko coś, co on nazywa gamą i oznacza powtarzanie dźwięków po kolei, w górę i w dół i znowu w górę, bez słów.

Larsie, mój adres jest u góry listu i będę szczęśliwa, jeśli mi odpiszesz. Przepraszam za wszystkie kleksy z atramentu. To mój pierwszy i najdłuższy list w życiu, a napisanie go zajęło mi wiele godzin. Piszę oczywiście piórem, które dostałam od Ciebie. Zawsze leży na biurku, abym miała je w zasięgu wzroku.

Przekaż mamie, tacie i moim braciom, że bardzo za nimi tęsknię i liczę na to, że przeczytasz im ten list. Nie mogę napisać im kolejnego, ponieważ ten zajął mi strasznie dużo czasu, a poza tym oni nie radzą sobie z czytaniem.

Mam nadzieję, że u Ciebie i Twoich swiń wszystko w porządku.

Anna

Czytała list kilka razy, słowo po słowie. Była to już dwunasta wersja napisana w ciągu ostatnich kilku dni. Wszystkie poprzednie zaczynała i od razu wyrzucała. Wiedziała, że zapisała niektóre słowa tak, jak się je wymawia, i obawiała się, że mogą zawierać błędy. Pocieszała się jednak, że Lars na pewno woli otrzymać niedoskonały list niż nie dostać żadnego. A poza tym bardzo pragnęła opowiedzieć rodzinie o zmianach, jakie zaszły w jej życiu. Starannie go złożyła, wstała i przez chwilę przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze.

– Czy nadal jestem sobą? – spytała, ale nie otrzymała odpowiedzi, więc poszła do łazienki.

Gdy wieczorem leżała w łóżku, słyszała śmiech i głosy dochodzące z salonu. Herr Bayer przyjmował dzisiaj gości, więc nie jedli wspólnej kolacji przy

eleganckim stole w jadalni. Frøken Olsdatter, której przy chrzcie dano na imię Lise, przyniosła jej posiłek do pokoju.

– Moja droga, pozwól, że ci to wyjaśnię – rzekł Herr Bayer po tym, jak poinformował Annę, że nie zjedzą wspólnie kolacji. – Robisz ogromne postępy. Szczerze mówiąc, znacznie szybsze niż jakikolwiek inny uczeń, którego byłem muzycznym mentorem. Więc gdybym przedstawił cię gościom, z pewnością błagaliby cię, żebyś dla nich zaśpiewała, zwłaszcza że opowiadałem im o twoich możliwościach. Uważam jednak, że nie powinniśmy się tobą chwalić do czasu, aż będziesz całkowicie ukształtowana. Dopiero wtedy wyjdiesz z cienia, twój talent ujrzy światło dzienne i wystąpisz w blasku sławy.

Anna powoli przyzwyczajała się do skomplikowanych słów, których używał, mimo to zastanawiała się, co właściwie znaczy „całkowicie ukształtowana”. Czy oznacza to, że wyrosnie jej dodatkowa ręka? To z pewnością przydałoby się jej w nauce gry na fortepianie. A może dodatkowe palce u nóg, które ułatwiłyby utrzymanie odpowiedniej postawy. Tego popołudnia odwiedził ich reżyser teatralny, który zwrócił uwagę na nieprawidłową postawę Anny. Herr Bayer zatrudnił go, aby pracował z nią nad czymś, co nazwał „scenicznym wizerunkiem”, co miało jej się przydać, gdy zacznie występować w teatrze. Aby uzyskać pożądaną postawę i ją utrzymać, reżyser nakazał jej trzymać wysoko głowę i zaciskać palce stóp.

– I w tej pozycji czekasz, aż publiczność skończy bić brawa. Jedyne lekko się kłaniasz. W ten sposób – opuścił brodę na klatkę piersiową, a lewą rękę umieścił na prawym ramieniu – pokazujesz im wdzięczność za aplauz. Dopiero potem zaczynasz.

Przez następną godzinę kazał jej wchodzić i wychodzić z salonu, ćwicząc w kółko te same ruchy. Było to niezwykle monotonne i przygnębiające, ponieważ do tej pory uważała, że nawet jeśli nie potrafi gotować czy szyć, to umie przynajmniej po ludzku chodzić.

Przewróciła się w swoim wielkim łóżku na drugi bok i poczuła na policzku przyjemną, puchową poduszkę. Rozmyślała nad tym, czy uda jej się sprostać oczekiwaniom Herr Bayera.

Tak jak napisała w liście do Larsa, sądziła, że przyjechała tu, by szlifować swój talent wokalny. A tymczasem do tej pory nie zaśpiewała ani jednej piosenki. Oczywiście rozumiała, że musi się nauczyć wielu rzeczy, i była wdzięczna, że ma najmilszego i najbardziej cierpliwego nauczyciela, ale czasami czuła, że przestaje być sobą – zwykłą, niewykształconą i naiwną dziewczyną. Miała wrażenie, że znajduje się pomiędzy dwoma światami. Kiedy tu przyjechała, nie wiedziała o istnieniu lampy gazowej czy wychodka w domu, a już po tygodniu przyzwyczała się do bycia obsługiwana przez służącą, picia czerwonego wina do kolacji i jedzenia ryb...

– Mój Boże! – jęknęła głośno na myśl o codziennej rybie.

Być może Herr Bayer uważał, że jest zbyt głupia, aby odczytać jego intencje, ale ona szybko zrozumiała, że przywiózł ją do Christianii nie tylko po to, żeby uczyć ją śpiewu, ale także po to, by zrobić z niej damę, która może pokazać się w towarzystwie. W tym celu uczył ją różnych sztuczek, a ona czuła się wtedy jak zwierzęta na jarmarku w Heddal. Przypomniła jej się wieczór, kiedy Herr Bayer odwiedził ich w chacie przy wzgórzu. Przez całą noc wygłaszał pochwały na cześć norweskiej kultury regionalnej, więc teraz Anna tym bardziej nie mogła zrozumieć, dlaczego tak usilnie stara się ją zmienić.

– Nie jestem małąką na jarmarku – szepnęła stanowczym głosem i w końcu zapadła w twardy sen.

*

– Dobrze spałaś, moja droga? – spytał Herr Bayer pewnego mroźnego październikowego ranka, kiedy Anna jak zwykle stawiała się w salonie na lekcję.

– Bardzo dobrze, dziękuję.

– To znakomicie. Z radością muszę przyznać, że jesteś gotowa na kolejny krok. Dzisiaj zaczniemy śpiewać, dobrze?

– Dobrze, Herr Bayer – odpowiedziała. Na wspomnienie myśli sprzed kilku dni dopadło ją poczucie winy.

– Dobrze się czujesz, Anno? Pobladłaś.

– Wszystko w porządku.

– Całe szczęście. Nie traćmy już czasu. Zaśpiewaj *Per Spelmann*, tak jak tego dnia, gdy się poznaliśmy. Będę ci akompaniował na fortepianie.

Stała nieruchomo, zaskoczona tym nagłym zwrotem wydarzeń.

– Nie jesteś gotowa?

– Przepraszam. Oczywiście, że jestem.

– Więc zaśpiewaj.

Przez następne czterdzieści pięć minut Anna w kółko śpiewała piosenkę, którą znała od dziecka. Czasami Herr Bayer przestawał grać i niektóre dźwięki kazał jej śpiewać w sposób, który nazywał *vibrato*, na niektórych zatrzymywać się na dłużej; zwracał jej też uwagę, by pilnowała rytmu. Starła wykonywać wszystkie jego polecenia, ale było to niezwykle trudne, ponieważ przez ostatnich czternaście lat śpiewała tę piosenkę po swojemu.

Dokładnie o jedenastej zadzwonił dzwonek do drzwi. Anna usłyszała dochodzące z korytarza ciche głosy i do pokoju weszła Frøken Olsdatter, która prowadziła wytwornego, ciemnowłosego, choć łysiejącego już mężczyznę o orlim nosie. Herr Bayer wstał od fortepianu i poszedł się z nim przywitać.

– Herr Hennem, dziękuję, że znalazł pan czas. Przedstawiam panu Frøken Annę Landvik, o której opowiadałem.

Gość zwrócił się ku niej i uklonił.

– Frøken Landvik, Herr Bayer wychwalał pani głos pod niebiosa.

– A teraz będzie pan miał okazję go usłyszeć! – Herr Bayer wrócił do fortepianu. – Anno, zaśpiewaj tak, jak śpiewałaś mi pierwszego wieczoru w swoim domu.

Spojrzała na niego skonsternowana. Skoro chciał, aby zaśpiewała tak jak wtedy, to po co przez godzinę uczył ją śpiewać inaczej? Ale było za późno na pytania, ponieważ grał już pierwsze takty.

Kiedy skończyła, spojrzała wyczekująco na Herr Bayera, próbując wyczytać z jego twarzy, jak jej poszło. Nie wszystko z tego, co mówił, udało jej się zapamiętać, więc czuła w głowie straszny zamęt.

– Co pan sądzi, Johanie? – spytał profesor, wstając od instrumentu.

– Frøken Landvik śpiewa dokładnie tak, jak pan mówił, czyli doskonale. Z pewnością jej głos jest jeszcze surowy i nieukształtowany, ale może tak właśnie być powinno.

– Nie sądziłem, że zrobi tak szybkie postępy. Jak wspominałem, Anna przyjechała do Christianii niecały miesiąc temu i dopiero niedawno zacząłem pracować nad jej głosem.

Dziewczyna słuchała, jak rozmawiają o niej i jej umiejętnościach, i naprawdę czuła się „surowa”, jak mięso wieprzowe, które matka dopiero miała włożyć do garnka.

– Niedługo powinienem otrzymać ostateczną partyturę i natychmiast ją panu przyniosę, aby Frøken Landvik mogła się przygotować na spotkanie w teatrze z Herr Josephsonem. Muszę już iść. Frøken Landvik – gość skłonił przed nią głowę – wysłuchałem pani śpiewu z ogromną przyjemnością i jestem pewien, że niedługo wiele innych osób też będzie miało ku temu okazję. Dobrego dnia.

Patrzyła, jak Herr Hennem z rozwianymi połami płaszcza znika za drzwiami.

– Świetnie się spisałaś! – Herr Bayer podszedł do niej, ujął jej twarz i pocałował ją w oba policzki.

– Proszę pana, czy mogłabym się dowiedzieć, kim był ten człowiek?

– W tej chwili nie ma to żadnego znaczenia. Teraz musimy się skupić na tym, żeby odpowiednio cię przygotować.

– Do czego?

Ale Herr Bayer jej nie słuchał, tylko patrzył na zegar.

– Muszę już iść. Za pół godziny zaczynam wykład. Frøken Olsdatter! – zawołał – Proszę przynieść mój płaszcz!

Gdy przechodził obok Anny, jeszcze raz się uśmiechnął.

– Powinnaś teraz odpocząć, bo kiedy wrócę, musimy się wziąć do pracy.

*

Anna przez następne dwa tygodnie próbowała się dowiedzieć, kim jest Herr Hennem i nad czym właściwie pracują, ale Herr Bayer w irytujący sposób unikał tego tematu. Nie mogła pojąć, dlaczego każe jej śpiewać wszystkie piosenki ludowe, jakie знаła, a nie, tak jak zapowiadał jej rodzicom, arie operowe. Jaki jest pożytek z takiej muzyki w mieście? – rozmyślała żałośnie któregoś dnia, stojąc przy oknie, gdy jej mentor wyszedł na umówiony obiad. Przyglądając się wzorom na oknie, które rysował padający deszcz, poczuła nagłą potrzebę wyjścia na zewnątrz. W ciągu ostatniego miesiąca rzadko opuszczała mieszkanie, z wyjątkiem wyjść na niedzielne msze, i zaczynała się czuć jak zwierzę zamknięte w klatce. Być może Herr Bayer po prostu zapomniał, że wychowała się i całe życie mieszkała wśród przyrody. Tęskniła za świeżym powietrzem, pastwiskami na rodzinnej farmie i przestrzenią, która dawała jej nieograniczoną wolność...

– Żyję tu jak tresowane zwierzę – powiedziała na głos, mimo że nikogo nie było w pokoju.

Chwilę potem weszła Frøken Olsdatter z informacją, że obiad jest gotowy, i Anna poszła za nią do kuchni.

– Co się dzieje, *kjære*? Wyglądasz, jak śledek, którego ktoś właśnie złapał na wędkę – skomentowała Frøken Olsdatter, gdy usiadły przy stole i Anna popijała bulion rybny.

– Nic – odpowiedziała dziewczyna; nie chciała, by gospodyni wiedziała, w jakim jest nastroju. W końcu żyła w luksusowych warunkach i niczego jej nie brakowało.

Czuła na sobie bystry wzrok Frøken Olsdatter.

– Jutro muszę iść na targ po mięso i warzywa – oznajmiła gospodyni. – Nie miałabyś ochoty mi towarzyszyć?

– Ależ tak! O niczym innym nie marzę – odpowiedziała Anna. Była wzruszona, że kobieta dokładnie wyczuła, co jej dolega.

– Wezmę cię ze sobą, ale najpierw może przespacerujemy się po parku. Herr Bayer będzie na uniwersytecie od dziewiątej do dwunastej, a na później umówił się na obiad poza domem, więc mamy mnóstwo czasu. To będzie nasz mały sekret, dobrze?

– Dobrze. – Anna z ulgą pokiwała głową. – Dziękuję.

Od tej pory dwa razy w tygodniu chodziły na targ i czekała na te dni z ogromnym wytęsknieniem, prawie jak na niedzielę, kiedy szła do kościoła.

Pod koniec listopada zdała sobie sprawę, że mieszka w Christianii już od dwóch miesięcy. Narysowała sobie prowizoryczny kalendarz, na którym odliczała dni dzielące ją od wyjazdu do Heddal na święta Bożego Narodzenia. Na szczęście padający śnieg trochę poprawiał jej humor. Kobiety spacerujące w parku po przeciwnej stronie ulicy miały na sobie futrzane płaszcze i czapki, a ręce trzymały w mufkach z futra. Annie moda ta wydała się niedorzeczna, ponieważ gdyby ktoś

chciał podrapać się po nosie, musiałby wyjąć rękę, a wtedy mógłby odmrozić sobie palce.

W jej planie dnia niewiele się zmieniło, oprócz tego, że w zeszłym tygodniu Herr Bayer wręczył jej egzemplarz dramatu Ibsena *Peer Gynt* i kazał jej przeczytać.

– Już to czytałam – ucieszyła się.

– To nawet lepiej. Będzie ci łatwiej przeczytać go ponownie.

Pierwszego wieczoru odłożyła książkę na bok. Uznawszy, że to straszna strata czasu, zastanawiała się, po co Herr Bayer kazał jej czytać tę książkę, skoro zna zakończenie, ale następnego ranka spytał ją o pierwsze pięć stron. Niewiele pamiętała, więc postanowiła skłamać, że wieczorem bolała ją głowa i poszła wcześniej spać. Zrozumiała, że nie ma wyjścia i musi ponownie przeczytać *Peer Gynta*. Ze zdziwieniem stwierdziła, że czytanie przychodzi jej teraz znacznie łatwiej. Czasami zdarzało się, że nie potrafiła odczytać niektórych słów, ale wtedy Herr Bayer z przyjemnością jej pomagał. Nadal jednak pozostawało dla niej zagadką, jakie znaczenie ma ten dramat dla jej przyszłości w Christianii.

*

– *Kjære Anno*, wczoraj wieczorem nareszcie otrzymałem od Herr Hennuma nuty, na które czekałem! Natychmiast bierzemy się do pracy.

Mimo że Anna nadal nie miała pojęcia, co będzie śpiewała, widziała, że jej nauczyciel, siadając przy fortepianie, aż się trzęsie z podniecenia.

– Pomyśleć, że mamy w rękach własny egzemplarz! Anno, stań koło mnie.

Dziewczyna zrobiła to, o co ją poprosił, i z zainteresowaniem spojrzała na zapis nutowy.

– *Pieśń Solweigi* – wyszeptała.

– Tak, Anno. Jesteś pierwszą osobą, której dane będzie to zaśpiewać. Co ty na to?

Nauczyła się już, że na to często powtarzane przez Herr Bayera pytanie musi odpowiadać twierdząco.

– Jestem bardzo szczęśliwa.

– Wspaniale! Mieliśmy nadzieję, że sam Herr Grieg przyjedzie do Christianii, aby pomóc śpiewakom i orkiestrze w pracy nad jego nową kompozycją, ale, niestety, niedawno zmarli jego rodzice i nadal jest w żałobie. Nie czuł się więc na siłach, aby odbyć podróż z Bergen.

– Autorem tej pieśni jest Herr Grieg? – spytała Anna i zaniemówiła.

– Owszem. Herr Ibsen poprosił go o skomponowanie muzyki do inscenizacji *Peer Gynta*, której premiera odbędzie się w lutym w teatrze Christiania. Moja droga, zarówno Herr Hennem, człowiek, którego poznałaś kilka tygodni temu, szanowany dyrygent tutejszej orkiestry, jak i ja uważamy, że to właśnie ty

powinnaś zaśpiewać partię Solwejgi.

– Ja?

– Tak, ty, Anno.

– Ale... nigdy w życiu nie występowałam na scenie! Nie mówiąc już o najsłynniejszej scenie w Norwegii!

– I to, moje dziecko, jest w tym wszystkim najpiękniejsze. Poza tym Herr Josephson, dyrektor teatru i reżyser tego spektaklu, zatrudnił już do roli Solwejgi słynną aktorkę. Niestety, z tego, co mówił Herr Hennem, może i jest znakomita jako aktorka, ale gdy tylko otwiera usta, by zaśpiewać, wydaje dźwięki jak poparzony kot. Dlatego właśnie potrzebujemy kogoś o najczystszy głosie, kto będzie stał za kulisami i śpiewał, a madame Hansson będzie tylko ruszała ustami. Rozumiesz, moja droga?

Anna rozumiała, choć w głębi serca poczuła się rozczarowana, że nikt jej nie będzie widział, a aktorka z głosem poparzonego kota będzie udawała, że to ona. Jednakże już samo to, że dyrektor słynnego teatru Christiania miał na tyle dobre zdanie o głosie Anny, było dla niej ogromnym zaszczytem. Nie chciała wyjść na niewdzięczną.

– Dostaliśmy ogromną szansę – kontynuował Herr Bayer. – Oczywiście nie jest ostatecznie postanowione. Musisz wystąpić przed reżyserem sztuki, Herr Josephsonem, i przekonać go, że potrafisz oddać prawdziwego ducha Solwejgi. W twoim głosie musi być tyle emocji i siły, żeby w oczach widzów stanęły łzy. Herr Hennem wspominał mi, że ostatnią rzeczą, jaką usłyszy publiczność, zanim opadnie kurtyna, będzie twój głos. Herr Josephson zgodził się przesłuchać cię dwudziestego trzeciego grudnia po południu, tuż przed jego wyjazdem na święta. Wtedy podejmie decyzję.

– Ale ja dwudziestego pierwszego wyjeżdżam do Heddal! – zaprotestowała Anna; nie mogła się od tego powstrzymać. – A jeśli mam zostać tu do popołudnia dwudziestego trzeciego, nie zdążę wrócić do domu na święta, bo podróż trwa prawie dwa dni. Czy... Herr Josephson nie mógłby się z nami spotkać innego dnia?

– Anno, musisz zrozumieć, że on jest bardzo zajęty człowiekiem i fakt, że zgodził się poświęcić nam chwilę swojego cennego czasu, jest wielkim zaszczytem. Zdaję sobie sprawę, że spędzenie ze mną świąt nie będzie dla ciebie przyjemnością, ale pamiętaj, że taka szansa może odmienić twoją przyszłość. Przed tobą jeszcze wiele świąt Bożego Narodzenia z rodziną, ale tylko jedna jedyna okazja na zdobycie partii solowej w sztuce, w której po raz pierwszy swoje umiejętności łączą najwybitniejszy dramaturg i największy kompozytor Norwegii!

– Herr Bayer ze zdenerwowania kręcił głową, co rzadko mu się zdarzało. – Musisz spróbować zrozumieć, co to dla ciebie oznacza. A jeśli nie potrafisz, to proponuję, żebyś jak najszybciej wróciła do domu i śpiewała krowom, a nie przed publicznością teatru Christiania podczas premiery, która z pewnością przejdzie do

historii. Podejmujesz się tego czy nie?

Osiągnął swój cel, ponieważ tak, jak chciał, Anna poczuła się mała i ograniczona, więc spokojnie skinęła głową.

– Tak, proszę pana, oczywiście, że się tego podejmę.

Mimo to przepłakała całą noc. Nawet jeśli – jak twierdził Herr Bayer – „tworzyła historię”, to myśl o Bożym Narodzeniu z dala od rodziny była dla niej nie do zniesienia.

Christiania
16 stycznia 1876

– Jens! Żyjesz?

Jensa Halvorsena obudził dobiegający zza drzwi sypialni głos matki.

– Dora boi się, czy nie umarłeś we śnie, ponieważ od rana nie ma z tobą żadnego kontaktu!

Jens westchnął, wstał z łóżka i spojrzał w lustro. Nadal miał na sobie wczorajsze ubranie i wyglądał bardzo niechlujnie.

– Za dziesięć minut zejść na śniadanie! – odpowiedział przez drzwi.

– Już jest pora obiadowa. Przespałeś śniadanie!

– Zaraz przyjdę!

Jak co rano dokładnie przyjrzał się, czy wśród jego bujnych, kręconych włosów w kolorze mahoniu nie pojawił się siwy włos. Co prawda miał dopiero dwadzieścia lat i raczej nie powinien się tym martwić, ale ponieważ ojciec w wieku dwudziestu pięciu lat osiwił w ciągu jednej nocy – prawdopodobnie wskutek szoku, jaki wywołał w nim ślub z jego matką – Jens co rano budził się pełen obaw.

Zgodnie z obietnicą dziesięć minut później pojawił się w jadalni w czystym stroju, ucałował matkę w policzek i zajął miejsce przy stole. Młoda gospodyni, Dora, podała obiad.

– Wybacz, *mor*, że tak późno wstałem, ale rano okropnie bolała mnie głowa. Nadal niezbyt dobrze się czuję.

Złość, która do tej pory malowała się na twarzy Margarete Halvorsen, natychmiast zamieniła się we współczucie. Wyciągnęła rękę nad stołem i dotknęła czoła syna.

– Rzeczywiście jesteś rozpalony. Może masz gorączkę? Moje biedactwo... Dasz radę zjeść obiad przy stole, czy wolisz, aby Dora zniosła tacę do twojego pokoju?

– Zostanę tutaj, ale wybacz, jeśli nie zjem wiele.

Tak naprawdę Jens umierał z głodu. Poprzedniego wieczoru spotkał się z przyjaciółmi w barze, skąd przenieśli się do domu publicznego w porcie, gdzie bardzo przyjemnie zakończyli wieczór. Wypił zdecydowanie za dużo wódki kminkowej i nie pamiętał, jak wrócił powozem do domu ani tego, że wymiotował do rowu. Dora często zostawiała otwarte okno do jego pokoju, gdy długo nie wracał do domu. Wspinał się wtedy po drzewie, aby wejść niepostrzeżenie, ale tym razem gałęzie pokryte były marznącą warstwą śniegu, więc musiał podjąć wiele prób, zanim mu się udało. Także z tego niewiele pamiętał.

Tłumaczył sobie, że to, co powiedział matce, niezupełnie mija się z prawdą,

bo gdy Dora nieśmiało próbowała go budzić, rzeczywiście czuł się okropnie. Wiedział, że gdy zajdzie taka konieczność, Dora będzie go kryła, ponieważ potajemnie się w nim podkochiwała.

– Żałuję, że wczoraj nie było cię w domu – przerwała jego myśli matka. – Przyszedł na kolację mój dobry znajomy, Herr Hennem, dyrygent orkiestry Christianii. – Margarete była mecenasem sztuki i na realizację swoich pasji wydawała zarobione na piwie pieniądze męża.

– Miałaś udany wieczór?

– Oczywiście. Z pewnością wspominałam ci o tym, że Herr Grieg skomponował wspaniałą muzykę do genialnego dzieła Herr Ibsena *Peer Gynt*?

– Tak, *mor*, mówiłaś mi o tym.

– Premiera odbędzie się w lutym. Niestety, Herr Hennem zdradził mi, że obecny skład orkiestry nie spełnia oczekiwań ani Herr Griega, ani jego. Podobno kompozycje są bardzo skomplikowane i powinna je wykonywać pewna siebie i doświadczona orkiestra. Herr Hennem szuka więc utalentowanych muzyków, którzy potrafią grać na więcej niż jednym instrumencie. W związku z tym wspomniałam mu, że doskonale grasz na fortepianie, skrzypcach i flecie. Poleciał, abyś przyszedł do teatru na przesłuchanie.

Jens właśnie wziął do ust kawałek suma, specjalnie przywiezionego z zachodniego wybrzeża Norwegii.

– *Mor*, dobrze wiesz, że studiuje chemię na uniwersytecie, żeby przejąć rodzinny browar, i ojciec nigdy się na to nie zgodzi. Będzie wściekły, kiedy się dowie, że chcę przerwać studia, żeby grać w orkiestrze.

– Może ustąpi, jeśli zostanie postawiony przed faktem dokonany – powiedziała cicho.

– Chcesz, żebym kłamał? – Nagle Jens poczuł, że naprawdę robi mu się niedobrze.

– Chodzi mi tylko o to, że niedługo skończysz dwadzieścia jeden lat i staniesz się mężczyzną, a wtedy sam będziesz mógł o sobie decydować, nie licząc się ze zdaniem innych. W teatrze otrzymałbyś wynagrodzenie, z pewnością niewielkie, ale dające pewną niezależność finansową.

– Do moich urodzin zostało sześć miesięcy, *mor*, a do tego czasu jestem całkowicie zależny od ojca.

– Proszę cię, Jens... Herr Hennem przesłucha cię jutro o trzynastej trzydzieści w teatrze. Błagam cię, przynajmniej się z nim spotkaj. Nigdy nie wiadomo, co z tego wyjdzie.

– Źle się czuję. – Gwałtownie wstał z krzesła. – Wybacz, mamę, ale pójdę do swojego pokoju i położę się.

Margarete patrzyła, jak syn przechodzi przez jadalnię, otwiera drzwi i zatrząskuje je za sobą. Położyła dłonie na czole i poczuła, że zaczynają jej

pulsować skronie. Doskonale rozumiała, dlaczego Jens wyszedł, i westchnęła w poczuciu winy.

Kiedy był dzieckiem, siadała przy fortepianie, brała go na kolana i uczyła podstaw gry. Z nostalgią wspominała, jak małe, grubiutkie palce syna wędrują po klawiszach. Marzyła, aby jej jedyne dziecko odziedziczyło po niej talent muzyczny, którego sama nigdy w pełni nie wykorzystała z powodu małżeństwa z ojcem Jensa.

Jonas Halvorsen nie miał artystycznej duszy. Interesowała go jedynie suma pieniędzy na koncie Browaru Halvorsena. Od początku ich małżeństwa za wszelką cenę pragnął stłamsić jej zamiłowanie do muzyki, a najbardziej obawiał się tego, że żona zarazi nią ich jedyne go syna. Mimo to, gdy mąż wychodził do pracy, Margarete pracowała nad rozwijaniem talentu chłopca. Przed ukończeniem szóstego roku życia Jens bez problemu grał już sonaty, które stanowiłyby wyzwanie dla trzy razy starszych uczniów.

Gdy skończył dziesięć lat, postawiła się mężowi i zorganizowała recital, na który zaprosiła najwspanialsze osobistości ze środowiska muzycznego Christianii. Wszyscy, którzy słuchali gry chłopca, byli oczarowani i wróżyli mu świetlaną przyszłość.

– Powinien się uczyć, poszerzać swoją wiedzę i umiejętności w Konserwatorium w Lipsku – powiedział wtedy Johan Hennem, który w tamtym czasie został dyrygentem orkiestry Christianii. – Możliwości w Christianii są bardzo ograniczone – dodał. – Pani syn ma ogromny potencjał, wystarczy, że zostanie odpowiednio przygotowany.

Margarete przekazała to mężowi, lecz on tylko bezdusznie zarechotał.

– Moja droga żono. Wiem, jak bardzo pragniesz, żeby nasz syn został słynnym muzykiem, ale dobrze wiesz, że gdy Jens skończy dwadzieścia jeden lat, rozpocznie pracę w rodzinnej firmie. Nie po to ja i moi przodkowie budowaliśmy ją przez sto pięćdziesiąt lat, abym leżąc na łożu śmierci, sprzedał ją jednemu z moich konkurentów. Nie mam nic przeciwko temu, że będzie brzdąkać na tych swoich instrumentach, ale to na pewno nie jest odpowiednia praca dla mojego syna.

Nie zniechęciło jej to jednak. Przez kolejne lata uczyła syna gry na skrzypcach, flecie i oczywiście na fortepianie, ponieważ miała świadomość, że każdy muzyk, który chce wstąpić do orkiestry, powinien być biegły w grze na więcej niż jednym instrumencie. Uczyła go też włoskiego i niemieckiego, aby dzięki tym językom lepiej rozumiał arie operowe.

Ojciec Jensa konsekwentnie ignorował piękne dźwięki, które wydobywały się z pokoju muzycznego i wypełniały cały dom. Margarete zmuszała męża do słuchania tylko wtedy, kiedy ich syn grał na skrzypcach z Hardanger. Czasami prosiła chłopca, by po obiedzie zagrał dla ojca, i z przyjemnością patrzyła, jak na twarzy Jonasa nucącego ludową piosenkę (również dzięki kilku kieliszkom

dobrego francuskiego wina) pojawia się rozmarzony uśmiech.

Mimo obojętności męża na talent syna i wielokrotnie powtarzanych przez niego słów, że muzyka nie będzie przyszłością ich dziecka Margarete wierzyła, że kiedyś, gdy syn będzie starszy, znajdzie jakieś rozwiązanie. Ale mały chłopiec, który tak pilnie pracował na lekcjach muzyki, zaczął dorastać i to Jonas wziął go pod swoją opiekę. Zamiast uczestniczyć w dwugodzinnych lekcjach muzyki, Jens towarzyszył ojcu w browarze i obserwował go, jak nadzoruje produkcję i sprawdza dokumenty.

Sytuacja stała się klarowna trzy lata temu, gdy Jonas wysłał syna na uniwersytet, aby studiował chemię, która, według niego, powinna doskonale przygotować chłopaka do pracy w browarze. Margarete bezskutecznie błagała, aby pozwolił Jensowi uczyć się w Konserwatorium w Lipsku.

– Nie interesuje go ani chemia, ani robienie interesów, za to bardzo kocha muzykę! – przekonywała męża.

Jonas spojrzał na nią obojętnie.

– Do tej pory ci ulegałem, ale on nie jest już dzieckiem i musi zrozumieć, że spoczywa na nim ogromna odpowiedzialność – odparł. – Jako piąte pokolenie Halvorsenów będzie prowadził browar. Naprawdę liczyłaś, że się zgodzę na to, by nasz syn oddawał się jakimś muzycznym mrzonkom?! Semestr zaczyna się w październiku. Koniec tematu.

*

– Nie płacz, *mor* – powiedział Jens, gdy załamana matka przekazała mu wieści. – Zawsze wiedziałem, że tak będzie.

Tak jak przewidywała Margarete, Jens, zmuszony do rzucenia muzyki na rzecz przedmiotu, który go nie interesował, nie wkładał zbyt wiele wysiłku w naukę na uniwersytecie. Co gorsza, za sprawą wrodzonego radosnego usposobienia i beztroskiego podejścia do życia zaczął schodzić na złą drogę.

Margarete miała lekki sen i potrafił ją zbudzić nawet bardzo ciche dźwięki. Dzięki temu zdawała sobie sprawę, że syn czasami do wczesnych godzin porannych przebywa poza domem. Miał wielu przyjaciół, których przyciągał radością życia i urokiem osobistym. Był hojny do tego stopnia, że w połowie miesiąca przychodził do matki z prośbą o wsparcie, ponieważ całe otrzymane od ojca kieszonkowe wydał na prezenty lub pożyczki dla tego czy innego znajomego.

Często czuła od niego alkohol, więc podejrzewała, że część pieniędzy wydaje na libacje. Przypuszczała także, że w jego nocnych wypadach uczestniczą kobiety; w zeszłym tygodniu zauważyła ślad szminki na kołnierzyku. Rozumiała jednak i wiedziała z własnego doświadczenia, że mężczyźni, i młodszy, i starsi, mają swoje potrzeby i jest to częścią ich natury.

Według niej wytłumaczenie było bardzo proste. Przed Jensem roztaczała się

wizja przyszłości, której nie chciał, a bez ukochanej muzyki czuł się niespełniony, więc topił smutki w alkoholu.

Margarete wstała od stołu. Modliła się, by Jens zdecydował się na spotkanie z Herr Hennemem, ponieważ, według niej, tylko to mogło go ocalić.

*

W tym samym czasie Jens leżał na łóżku, a po jego głowie krążyły podobne myśli. Już dawno pogodził się z tym, że nie robi kariery muzycznej. Za kilka miesięcy skończy uniwersytet i rozpocznie pracę w browarze ojca.

Ta myśl go przeraziła.

Nie mógł zdecydować, któremu z rodziców współczuje bardziej. Ojcu, który stał się niewolnikiem kont bankowych i niekończących się intryg w odnoszącym sukcesy browarze, czy matce, która wniosła do ich związku arystokratyczny rodowód, ale była nieszczęśliwa i niezadowolona z życia. Jens doskonale wiedział, że małżeństwo rodziców było kontraktem zawartym dla obopólnych korzyści. Jego problem polegał na tym, że jako jedyny potomek często był traktowany jak pionek w ich grze. O tym, że nie zwycięży, przekonał się już dawno, więc ostatnio nawet się o to nie starał.

Dzisiaj jednak matka powiedziała coś, co obudziło jego nadzieje. Miała rację – był prawie pełnoletni. Może więc mógłby wrócić do chłopięcych marzeń, które tak bardzo chciał kiedyś zrealizować?

Gdy usłyszał, że matka wychodzi z domu, przemknął na dół i pod wpływem chwili wszedł do pokoju muzycznego, w którym Margarete nadal od czasu do czasu przyjmowała uczniów.

Usiadł przy pięknym fortepianie i od razu przyjął prawidłową postawę. Delikatnie uniósł drewniane wieko i zaczął palcami wędrować po klawiszach. Zdał sobie sprawę, że nie grał od dwóch lat. Zagrał swój ulubiony utwór – sonatę *Patetyczną* Beethovena. Pamiętał, że matka była niezwykle cierpliwą nauczycielką, a on z łatwością przyswoił sobie tę kompozycję.

– Musisz grać całym ciałem i włożyć w to całe serce i duszę – powiedziała pewnego razu. – Tym charakteryzuje się prawdziwy muzyk.

Jens całkowicie stracił poczucie czasu. A gdy muzyka wypełniła pokój, zapomniał o znienawidzonych trudnych wykładach z chemii i przerażającej przyszłości, która go czeka. Tak jak kiedyś, zupełnie się zatracił w cudownej muzyce.

Gdy rozległ się ostatni dźwięk, Jens płakał z radości, jaką sprawiało mu granie. Postanowił pójść na spotkanie z Herr Hennemem.

*

Następnego dnia o trzynastej trzydzieści Jens zajął miejsce przy innym

fortepianie, tym razem w opustoszałej fosie orkiestrowej teatru Christiania.

– Herr Halvorsen, ostatnio pana grę słyszałem dziesięć lat temu – powiedział dyrygent, Johan Hennem. – Pańska matka uważa, że stał się pan wybitny.

– Moja matka nie jest obiektywna.

– Wspominała również o tym, że nie podjął pan nauki w konserwatorium.

– Niestety nie, proszę pana. Od dwóch i pół roku studiuje chemię na uniwersytecie. – Jens od razu wyczuł, że zdaniem dyrygenta ich spotkanie jest stratą czasu. Prawdopodobnie Herr Hennem zgodził się z nim spotkać, aby oddać przysługę jego matce, która hojnie wspomagała finansowo sztukę. – Powiniennem dodać, że to mama uczyła mnie grać, choć było to wiele lat temu. Ale jak pan zapewne wie, jest bardzo szanowanym nauczycielem.

– To prawda. Pańska matka wspominała, że potrafi pan grać na czterech instrumentach. Który, w pana mniemaniu, jest tym głównym?

– Na pewno największą przyjemność sprawia mi gra na fortepianie, ale równie dobrze potrafię grać na skrzypcach, flecie oraz na skrzypcach z Hardanger.

– W kompozycji Herr Griega nie ma partii fortepianowej, ale szukamy drugiego skrzypka i flecisty. Proszę przestudiować partię na flet. – Hennem wręczył mu nuty. – Za chwilę wrócę i posłucham, jak pan gra. – Skinął głową i zniknął za drzwiami pod sceną.

Jens przejrzał nuty. *Preludium do IV aktu: Poranek*. Wyjął flet z futerału i go skręcił. Na zewnątrz temperatura spadła poniżej zera, a w teatrze było niemal równie zimno, więc energicznie potarł zdrętwiałe palce, by poprawić krążenie krwi. Przyłożył instrument do ust i zagrał pierwszych sześć nut...

– W porządku, Herr Halvorsen. Sprawdźmy, jak pan sobie radzi – dziarsko rzekł Johan Hennem, który po pięciu minutach wrócił do fosy orkiestrowej.

Jens za wszelką cenę pragnął mu zaimponować i udowodnić sobie, że podola zadaniu. Dziękował Bogu, że posiada umiejętność grania z nut *a vista*. Dzięki temu niejednokrotnie udawało mu się przekonać matkę, że ćwiczył intensywniej, niż było naprawdę. Zaczął grać i już po chwili urzekająca muzyka całkowicie go pochłonęła. Nigdy wcześniej nie słyszał czegoś tak niezwykłego. Gdy skończył, opuścił flet i spojrzał na Hennuma.

– Jak na pierwszy raz, było naprawdę nieźle. Teraz proszę wziąć to. – Dyrygent wręczył mu kolejne nuty. – To partia pierwszych skrzypiec. Zobaczmy, jak poradzi pan sobie z tym.

Jens wyjął skrzypce z futerału i je nastroił. Przejrzał nuty i cicho przećwiczył fragment, po czym zagrał.

– Świetnie, Herr Halvorsen – pochwalił go dyrygent. – Pańska matka nie myliła się co do pana talentu i muszę przyznać, że jestem zaskoczony. Znakomicie pan sobie radzi z graniem bez przygotowania, co bardzo przyda się w nadchodzących tygodniach, biorąc pod uwagę fakt, że zatrudniłem różnych

muzyków i nie będę miał czasu nikogo niańczyć. Zapewniam pana, że granie w orkiestrze to nie to samo co występy solowe. Zajmie panu trochę czasu zrozumienie tych różnic, a muszę pana ostrzec, że nie toleruję lenistwa u swoich muzyków. Zazwyczaj bronię się przed zatrudnianiem nowicjuszy, ale w tym przypadku nie mam innego wyjścia. Chciałbym, aby pan zaczął w ciągu tygodnia. Co pan na to?

Jens spojrzał na niego zaskoczony. Wyglądało na to, że dostał pracę, a był przecież pewien, że jego brak doświadczenia zaważy na decyzji dyrygenta. Z drugiej strony, wszyscy wiedzieli, że poziom orkiestry Christianii nie jest najwyższy; w mieście nie było porządnej szkoły muzycznej, a tym samym uzdolnionych ludzi, z których można było wybierać. Matka wspomniała, że grał w niej nawet dziesięcioletni chłopiec.

– Jestem zaszczycony, że będę grał w pańskiej orkiestrze podczas tak ważnej premiery – powiedział Jens.

– Zatem bardzo miło mi pana powitać w zespole, Herr Halvorsen. Ma pan zadatki na znakomitego muzyka. Ach, i jeszcze coś.... Nie sądzę, żeby miało to dla pana jakiegokolwiek znaczenie, ale musi pan wiedzieć, że zarobki są niewielkie, a próby w nadchodzących tygodniach będą długie i męczące. I jak pan już pewnie zauważył, warunki raczej nie sprzyjają pracy. Radzę panu ciepło się ubierać.

– Oczywiście, proszę pana.

– Wspominał pan, że studiuje na uniwersytecie. Zakładam, że praca w orkiestrze będzie na pierwszym miejscu?

– Oczywiście – odparł Jens, chociaż wiedział, co na ten temat miałby do powiedzenia jego ojciec. Doszedł jednak do wniosku, że to matka, skoro doprowadziła do tej sytuacji, będzie musiała się uporać ze sprzeciwem ojca. Otworzyła mu drogę do wolności, a on postanowił z niej skorzystać.

– Proszę przekazać matce, że jestem jej wdzięczny za to, że pana do mnie przysłała.

– Z pewnością to zrobię, proszę pana.

– Próby zaczynają się w przyszłym tygodniu. Widzimy się w poniedziałek rano o godzinie dziewiątej. A teraz muszę zająć się szukaniem porządnego fagocisty, którego mimo szczerych chęci nie potrafię znaleźć w tym opuszczonym przez Boga mieście. Do widzenia, Herr Halvorsen. Mam nadzieję, że sam trafi pan do wyjścia.

Jens patrzył, jak dyrygent opuszcza fosę orkiestrową. Zakręciło mu się w głowie od tej nagłej i niespodziewanej zmiany w życiu. Odwrócił się i spojrzał w kierunku ciemnej widowni. Wielokrotnie był tu z matką na koncertach i operach, ale teraz, gdy nagle usiadł na stołku przy fortepianie, był tak oszołomiony, że nie mógł się ruszyć. Wiedział, że ostatnio trochę się pogubił i żył z dnia na dzień przerażony tym, że po studiach czeka go przyszłość w browarze.

Kiedy jednak grał najnowsza, znakomitą kompozycję Herr Griega, czuł dawną iskrę radości. W dzieciństwie kładł się czasami na łóżku i wymyślał w głowie melodie, które następnego ranka grał na fortepianie. Nigdy ich nie zapisywał, ale tworzenie własnej muzyki inspirowało go najbardziej.

W bladym świetle fosy orkiestrowej Jens położył zmarznięte palce na klawiszach i wrócił myślami do melodii, które skomponował jako chłopiec. Jedna z nich, trochę podobna do najnowszej kompozycji Griega, przywodziła na myśl stare piosenki ludowe.

Jens zagrał ją z pamięci przy pustej widowni.

Stalsberg Våningshuset

Tindevegen

Heddal

14 lutego 1876

Kjære Anna

Dziękuję za Twój ostatni list. Jak zwykle relacja z Twojego życia w Christianii jest nie tylko szczegółowa, ale także zabawna. Dzięki temu, gdy ją czytam, uśmiech nie znika mi z ust. Zapewniam Cię, że piszesz coraz staranniej i za każdym razem popełniasz mniej błędów. Tu, w Heddal, nic się nie zmieniło. Boże Narodzenie spędziliśmy jak zwykle, chociaż byłoby przyjemniej, gdybyś mogła świętować je z nami. Nastął najzimniejszy i najciemniejszy okres w roku, więc można powiedzieć, że nie tylko zwierzęta, ale także ludzie zapadają w sen zimowy. Ostatnio było dużo śniegu i okazało się, że w naszym domu przecieka dach, więc zanim nadejdzie odwilż, muszę wymienić dach. W przeciwnym razie zrobi nam się tu jezioro, po którym będziemy mogli jeździć na łyżwach. Ojciec powiedział, że taka naprawa nie była przeprowadzana za jego życia, więc przynajmniej możemy powiedzieć, że dach dobrze nam służył. Knut obiecał mi pomóc wraz z nadejściem wiosny.

Zaczął się spotykać z dziewczyną o imieniu Sigrid ze wsi w pobliżu Skien. Jest urocza i piękna, chociaż trochę za spokojna, ale na szczęście Twój rodzice ją zaakceptowali, więc już tego lata usłyszymy dzwony kościelne. Modlę się, abyś mogła przyjechać na tę uroczystość.

Nie mogę uwierzyć, że bierzesz udział w premierze scenicznej mojego ulubionego dramatu Ibsena, do którego muzykę napisał sam Herr Grieg. Czy Herr Ibsen pojawił się już w teatrze? Na pewno przyjedzie sprawdzić, czy sztuka odpowiada jego oczekiwaniom, mimo że obecnie mieszka we Włoszech. Pewnie nie będziesz miała czasu na pisanie listów przed premierą. Zostało zaledwie dziesięć dni i na pewno masz wiele prób, więc życzę Tobie i Twojemu pięknemu głosowi powodzenia.

Twój wielbiciel

Lars

PS

Do listu dołączam jeden z moich wierszy, który wraz z wieloma innymi wysłałem do amerykańskiego wydawnictwa Scribner w Nowym Jorku. Przetłumaczyłem go dla Ciebie na norweski.

Anna przeczytała wiersz pod tytułem *Oda do srebrnej brzozy*. Nie miała pojęcia, co oznacza słowo *oda*, więc tylko rzuciła okiem na tekst i nie rozumiawszy wielu trudnych słów, położyła go obok talerza i wróciła do jedzenia śniadania. Chciałaby, aby jej życie rzeczywiście było tak ekscytujące, jak wyobrażał to sobie Lars. Dotychczas była w teatrze Christiania tylko dwukrotnie. Pierwszy raz tuż przed Bożym Narodzeniem, żeby wystąpić przed Herr Josephsonem. Podjął decyzję, że Anna zaśpiewa rolę Solwejgi, więc udała się tam po raz drugi, w zeszłym tygodniu, i zza kulis przyglądała się pierwszej próbie scenicznej aktorów, aby zrozumieć sztukę.

Wyszła z błędnego założenia, że takie wytworne miejsce jak teatr będzie ogrzewane, ale w kulisach panowały straszne przeciągi i gdy siedziała tam na stołku, przemarzła do szpiku kości. Niestety, po trzech aktach próbę przerwano, ponieważ aktor grający rolę Peera, Henrik Klausen, potknął się o niebieski materiał. Pod tkaniną kryło się dziesięciu chłopców poruszających się tak, by stworzyć iluzję wzburzonego morza, po którym podróżuje Peer. Henrik poważnie skręcił kostkę, a ponieważ próby nie mogły się odbywać bez głównego aktora, zostały zawieszono.

W efekcie Anna przeleżała w łóżku kolejne cztery dni z powodu strasznego przeziębienia, a Herr Bayer trząsł się nad jej zachrypniętym głosem jak stara kwoka.

– I pomyśleć, że został zaledwie tydzień! – jęczał. – Coś takiego nie mogło się wydarzyć w gorszym momencie. Musisz jeść jak najwięcej miodu, młoda damo. Miejmy nadzieję, że twoje struny głosowe wyleczą się na czas.

Dzisiaj rano po spożyciu solidnej dawki miodu niepewnie zaśpiewała kilka gam. Czuła się, jakby zaraz miały jej wyrosnąć skrzydła, a całe jej ciało pokryją żółto-brązowe paski, ale na szczęście Herr Bayer poczuł ulgę.

– Dzięki Bogu, twój głos wraca do normy. Niebawem przybędzie aktorka grająca Solwejgę, madame Thora Hansson, więc będziecie mogły przećwiczyć synchronizację. To niezwykle zaszczyt, że zgodziła się tu przyjechać ze względu na twoją chwilową niedyspozycję. Jest jedną z najsłynniejszych aktorek w Norwegii, a Herr Ibsen podobno ją uwielbia.

O dziesiątej trzydzieści Thora Hansson, w aksamitnym płaszczu na futrze,

pewnym krokiem wkroczyła do mieszkania. Wokół niej unosił się intensywny zapach francuskich perfum. Weszła do salonu, gdzie czekała na nią zdenerwowana Anna.

– Wybacz, że nie podejść bliżej, *kjære*, mimo że Herr Bayer twierdzi, że już nie zarażasz. Nie mogę sobie pozwolić na chorobę.

– Oczywiście, madame Hansson – odpowiedziała skromnie Anna i ukloniła się.

– Przynajmniej nie będę dzisiaj używała głosu. – Aktorka się uśmiechnęła. – Będę tylko otwierała i zamykała usta i starała się, żeby na mojej twarzy odmalowały się emocje odpowiadające pięknym pieśniom Herr Griega, podczas gdy to ty będziesz wydobywała z siebie cudowne dźwięki.

– Tak, madame.

Herr Bayer wszedł do pokoju i zaczął skakać wokół aktorki; Anna miała dzięki temu czas się jej przyjrzeć. W teatrze widziała ją tylko z daleka i sądziła, że jest dosyć stara. Ale gdy zobaczyła ją z bliska, zorientowała się, że się myliła – madame Hansson była zaledwie kilka lat starsza od niej. I była bardzo piękna – o delikatnych rysach twarzy i gęstych ciemnych włosach – tak wyrafinowana, że nawet w tradycyjnym ludowym stroju ciężko jej będzie przekonać widownię, że jest prostą wieśniaczką z gór.

Taką jak Anna...

– Możemy zaczynać? Anno, *poco a poco* – zakomenderował Herr Bayer. – Nie chcemy nadwreżyć twojego głosu podczas kuracji. Jeśli jest pani gotowa, madame Hansson, zaczniemy od *Pieśni Solwejgi*, a następnie przejdziemy do *Kotysanki Solwejgi*.

Przez resztę poranka kobiety ćwiczyły poniekąd w duecie, tylko że jedna z nich nie wydawała z siebie żadnych dźwięków. Kilka razy Anna wyczuwała frustrację aktorki, gdy nie udawało jej się otwierać ust w odpowiednich momentach. W pewnej chwili madame Hansson zaproponowała, by Anna wyszła z pokoju, żeby Herr Bayer mógł ocenić, czy widownia da się zwieść. Anna stała w pełnym przeciągów korytarzu, huczało jej w głowie i znowu bolało ją gardło. Wcale jej się to nie podobało. Musiała trzymać się tej samej długości dźwięków i przerw, aby Madame Hansson dokładnie wiedziała, kiedy otwierać i zamykać usta. W śpiewie Annie najbardziej podobało się różnorodne interpretowanie piosenek, niezależnie od tego, czy jej widownią byli ludzie, czy krowy. Zdecydowanie wolała to od śpiewania do drzwi, tak jak w tej chwili.

W końcu Herr Bayer klasnął w ręce.

– Doskonale! Mamy to, o co chodzi. Znakomicie pani sobie poradziła, madame Hansson. Anno, wróć do nas, proszę.

Gdy dziewczyna weszła do pokoju, aktorka zwróciła się do niej z uśmiechem:

– Myślę, że współpraca wyjdzie nam wspaniale. Obiecuj mi tylko, moja droga, że co wieczór będziesz śpiewała w ten sam sposób, dobrze?

– Oczywiście, madame Hansson.

– Anno, jesteś bardzo blada – zauważył Herr Bayer. – Ta próba bardzo cię wyczerpała. Idź do swojego pokoju odpocząć, a ja przekażę Frøken Olsdatter, żeby przyniosła ci obiad do pokoju. No i oczywiście miód, który ukoji ból gardła i przywróci pełnię głosu.

– Dobrze, Herr Bayer – odpowiedziała posłusznie.

– Dziękuję, Anno. Na pewno spotkamy się za kilka dni w teatrze. – Madame Hansson uśmiechnęła się do niej przyjaźnie.

Anna ponownie jej się ukloniła i poszła do swojego pokoju.

Mieszkanie nr 4

St Olavs Gate 10

Christiania

23 lutego 1876

Kjære Lars, Mor, Far i Knut

Piszę ten list w pośpiechu, bo dzisiaj mamy próbę generalną przed jutrzejszą premierą. Bardzo bym chciała, żebyście wszyscy uczestniczyli w tym wydarzeniu, ale rozumiem, że koszty przyjazdu są zbyt wysokie.

Z jednej strony jestem podekscytowana, a z drugiej – bardzo się denerwuję. Herr Bayer pokazał mi, że wszystkie gazety piszą o jutrzejszym spektaklu, krążą nawet plotki, że w loży królewskiej zasiądzie król z królową. Ja szczerze w to wątpię, ponieważ mieszkają w Szwecji i nawet dla nich byłaby to zbyt długa podróż tylko po to, żeby zobaczyć sztukę. W teatrze panuje bardzo napięta atmosfera. Reżyser, Herr Josephson, twierdzi, że poniesiemy klęskę, bo ani razu nie udało nam się zagrać całej sztuki od początku do końca. Co chwilę musieliśmy robić przerwy z powodu różnych usterek technicznych.

A Herr Hennem, dyrygent, którego bardzo lubię i który zawsze przed próbą jest niezwykle spokojny, w trakcie gry bez ustanku krzyczy na swoją orkiestrę za to, że nie liczą rytmu.

Czy uwierzycie, że z powodu tych przerw jeszcze ani razu nie udało mi się zaśpiewać Kołysanki Solwejgi w teatrze? Herr Hennem zapewnił mnie, że dzisiaj na pewno się to uda.

Tymczasem siedzę z dziećmi, które zostały zatrudnione do odgrywania małych postaci, takich jak trolle. Gdy po raz pierwszy zostałam zaprowadzona do ich garderoby, poczułam się urażona, ponieważ pozostałe kobiety zajmują inne pomieszczenie. Może nie wiedzą, ile mam lat? Ale teraz się z tego cieszę. Dzieci mnie rozśmieszają, a dla zabicia czasu gramy w karty.

Muszę już kończyć. Wychodzę do teatru. Choć robię to z przykrością, muszę Ci powiedzieć, Larsie, że Herr Ibsen jeszcze się nie pojawił.

Ściskam Was wszystkich bardzo mocno.

Anna

Wychodząc z mieszkania, Anna położyła list na srebrnej tacy w korytarzu.

*

Próba generalna trwała niemal cztery godziny. Jens, podobnie jak reszta orkiestry, był zmarznięty i rozdrażniony. Przez ostatnich kilka dni napięcie w fosie orkiestrowej sięgało zenitu. Herr Hennem kilkakrotnie zwracał mu uwagę, co w odczuciu Jensa było niesprawiedliwe, ponieważ widział, że siedzący obok niego Simen, starszawy pierwszy skrzypek, wciąż ucinął sobie drzemki. Zresztą Jens miał wrażenie, że jest jedynym członkiem zespołu poniżej pięćdziesiątego roku życia. Mimo to muzycy byli miłymi ludźmi i doceniał ich zabawne towarzystwo. Do tej pory udawało mu się przychodzić na próby na czas, choć czasami miał okropnego kaca. Wyglądało jednak na to, że pozostałym muzykom zdarzało się to równie często, więc doskonale do nich pasował. No, a poza tym podczas niekończących się przerw, w trakcie których Herr Josephson ustawiał aktorów na scenie, Jens mógł podziwiać piękne chórzystki.

Gdy otrzymał angaż w orkiestrze, niepohamowana radość jego matki niemal doprowadziła go do łez.

– Ale co powiemy ojcu? – spytał. – Wiesz, że muszę opuścić część wykładów, żeby chodzić na próby.

– Najlepiej będzie, jeśli na razie nie dowie się o nagłej... zmianie w twoim życiu. Niech myśli, że nadal studiujesz na uniwersytecie. Przez jakiś czas niczego nie będzie się domyślał.

Innymi słowy, matka boi się mu o tym powiedzieć, pomyślał Jens.

W tej chwili nie ma to żadnego znaczenia, przemknęło mu przez głowę, gdy stroił skrzypce. Już od dawna nie chciał pracować w browarze, a teraz decyzja była nieodwracalna. Mimo długich prób i ciętych uwag Henna był pewny, że radość,

jaka kiedyś sprawiała mu muzyka, wróciła. Kompozycja Herr Griega była pełna elementów silnie działających na wyobraźnię – od rytmicznego *W grocie Króla Gór* po *Taniec Anitry*, podczas którego zamykał oczy i wyczarowywał na skrzypcach klimat egzotycznego Maroka.

Ale nadal jego ulubionym fragmentem był *Poranek* na początku IV aktu, który tworzył muzyczne tło do fragmentu sztuki, w którym Peer budzi się o świcie w Afryce ze strasznym kacem i uświadamia sobie, że wszystko stracił. W tym momencie myśli Peera kierują się do ojczystej Norwegii i wschodzącego słońca nad fiordami. Jens mógł grać ten fragment bez końca.

Grał go na zmianę z drugim flecistą, który był prawdopodobnie od niego trzy razy starszy. Ale kiedy Hennem pojawił się w fosie i zastukał batutą w pulpit, żeby zwrócić na siebie ich uwagę, Jens zdał sobie sprawę, że niczego w życiu tak bardzo nie pragnął, jak zagrać ten utwór podczas premiery jako pierwszy flet.

– Czwarty akt – oznajmił dyrygent po tym, jak przerwa między aktami trwała ponad godzinę. – Bjarte Frafjord, ty zagrasz partię pierwszego fletu. Masz pięć minut – dodał i zanim zaczęli, poszedł porozmawiać z reżyserem, Herr Josephsonem.

Jens był rozczarowany. Skoro Bjarte gra dzisiaj partię pierwszego fletu, to wydawało się mało prawdopodobne, że Hennem zechce, aby to on, Jens, grał ją podczas jutrzejszej premiery.

Kilka minut później zjawił się Henrik Klausen, odtwórca roli Peer Gynta. Nachylił się nad fosą orkiestrą i udawał, że wymiotuje na muzyków, ponieważ w tej scenie dochodzi do siebie po strasznym kacu.

– Jak się dzisiaj macie, chłopcy? – zwrócił się do nich uprzejmie.

Wrócił Hennem i wziął do rąk batutę, czym wywołał ogólne poruszenie.

– Herr Josephson przekazał mi, że możemy przeciwżyć cały czwarty akt z nielicznymi przerwami i w końcu przejść do piątego aktu. Czy wszyscy są gotowi?

Hennem podniósł batutę i rozległ się dźwięk fletu Bjartego. Naprawdę nie jest tak dobry jak ja, pomyślał nadąsany Jens i umieścił pod brodą skrzypce.

Godzinę później, po rozwiązaniu małego problemu technicznego, zbliżali się do końca czwartego aktu. Jens spojrzał w górę na madame Hansson grającą rolę Solwejgi. Chociaż była w kostiumie wieśniaczki, zauważył, że jest niezwykle atrakcyjna, i miał nadzieję, że pozna ją podczas przyjęcia po premierze.

Gdy Herr Hennem po raz kolejny podniósł batutę i skrzypkowie rozpoczęli grać pierwsze, niezwykle wzruszające takty *Pieśni Solwejgi*, Jens szybko wrócił myślami do terażniejszości. Madame Hansson zaczęła śpiewać. Miała tak czysty, doskonały i działający na wyobraźnię głos, że Jens myślami znalazł się w chatce na wzgórzu, w której mieszkała zrozpaczona Solwejga. Nie miał pojęcia, że madame Hansson potrafi tak pięknie śpiewać. Miała najwspanialszy głos, jaki w życiu

słyszał. Słysząc w nim było świeży podmuch wiatru, młodość, a jednocześnie utracone nadzieje i marzenia...

Jens był tak pogrążony w zadumie, że wszedł odrobinę za późno i poczuł na sobie krytyczne spojrzenie dyrygenta. Na koniec sztuki salę wypełniła przejmująco smutna *Kołysanka*, śpiewana przez Solweję, gdy głowa zmęczonego Peera, który powrócił do niej niczym syn marnotrawny, spoczęła na kolanach dziewczyny. Interpretacja madame Hansson była tak doskonała, że Jens poczuł, jak włosy na karku stają mu dęba. Kiedy kilka minut później opadła kurtyna, pracownicy teatru, którzy zebrali się, aby posłuchać, spontanicznie zaczęli bić brawo.

– Słyszałeś to? – zwrócił się Jens do Simena, który już pakował skrzypce, gotowy opuścić fosę i pójść na drugą stronę ulicy do kawiarni Engebret, aby zdążyć przed zebraniem ostatnich zamówień. – Nie wiedziałem, że madame Hansson ma taki piękny głos.

– Jens, niech Bóg cię ma w swojej opiece! Rzeczywiście słyszeliśmy piękny śpiew, ale nie był to głos madame Hansson. Nie zauważyłeś, że tylko ruszała ustami? Ta kobieta nie potrafi śpiewać, więc musieli znaleźć kogoś, kto zrobi to za nią. Jestem pewny, że Herr Josephson ucieszy się, że ktoś uwierzył w jego sztuczkę. – Simen zaśmiał się, poklepał go po ramieniu i wyszedł.

– Kim ona jest?! – zawołał Jens do pleców skrzypka, który już zniknął pod sceną.

– Kierownictwo teatru twardo strzeże tajemnicy – odpowiedział tamten z oddali. – Nikt tego nie wie.

*

Właścicielka głosu, którym tak zachwycił się Jens Halvorsen, siedziała właśnie w powozie i jechała do mieszkania Herr Bayera. Czuła, że rzuca się w oczy w narodowym stroju – Herr Bayer kazał jej go wkładać na przedstawienia, żeby wyglądała jak pozostałe chórzystki – i cieszyła się, że nikt jej teraz nie widzi. Minął kolejny, długi i męczący dzień, więc była wdzięczna, gdy Frøken Olsdatter otworzyła jej drzwi i zabrała płaszcz.

– Anna, *kjære*, na pewno jesteś bardzo zmęczona. Ale opowiedz, jak ci poszło? – spytała gospodyni, prowadząc ją do pokoju.

– Naprawdę nie wiem. Kiedy opadła kurtyna, zrobiłam to, co mi kazał Herr Bayer. Opuściłam teatr, poszłam prosto do powozu i przyjechałam do domu. – Westchnęła. Pozwoliła, aby Frøken Olsdatter pomogła jej się rozebrać, i położyła się do łóżka.

– Herr Bayer powiedział, że jutro możesz dłużej pospać. Chce, żebyś była wyspana na premierę i miała wypoczęty głos. A teraz napij się ciepłego mleka z miodem. Stoi na szafce nocnej.

– Dziękuję – odpowiedziała dziewczyna i z wdzięcznością wzięła szklankę.

- Dobranoc, Anno.
- Dobranoc i dziękuję, Frøken Olsdatter.
- *

Johann Hennem pojawił się w fosie i klasnął w dłoń.

- Wszyscy są gotowi?

Troskliwie spojrział na orkiestrę. Jens zauważył, że dzisiejsza atmosfera w teatrze znacznie różni się od wczorajszej. Po pierwsze, wszyscy muzycy byli we frakach, a po drugie goście zajęli już swoje miejsca na widowni i z przejęciem oczekiwali rozpoczęcia przedstawienia. Kobiety zdjęły futra, pod którymi skrywały zachwycające suknie i biżuterię, która mieniła się w delikatnym świetle wiszącego pośrodku sufitu bogato zdobionego żyrandola.

– Panowie – przemówił Hennem – możemy czuć się wyróżnieni, ponieważ dzisiaj tworzymy historię. Mimo że Herr Grieg nie mógł przyjechać, pamiętajcie, że wszyscy pragniemy, aby był z nas dumny, i wykonamy jego utwór z maestrią, na jakie zasługuje. Jestem przekonany, że pewnego dnia opowiecie o tym przeżyciu swoim wnukom. Herr Halvorsen, wykona pan dzisiaj partię pierwszego fletu w *Poranku*. Mam nadzieję, że wszyscy są gotowi...

Stanął za pulpitem, aby dać znak publiczności, że przedstawienie za chwilę się rozpocznie. Widownia natychmiast zamilkła. Wszyscy wyczekiwali z zapartym tchem. Jens w myślach szybko odmówił modlitwę dziękczynną za to, że jego największe pragnienie zostało spełnione.

*

Żadna z osób znajdujących się podczas przedstawienia za kulisami nie mogła wiedzieć, co myśli publiczność. Anna powoli podeszła bliżej sceny, aby wykonać swój pierwszy utwór. Towarzyszył jej w tym Rude, chłopiec, który grał w scenach zbiorowych.

– Na sali cicho jak makiem zasiał, Frøken Anno. Obserwowałem z ukrycia widownię i wydaje mi się, że im się podoba.

Zajęła miejsce z boku sceny, gdzie zasłaniał ją fragment scenografii, a jednocześnie dobrze widziała madame Hansson. Nagle poczuła, że ogarnia ją paraliżujący strach. Mimo że nikt jej nie widział, a jej nazwisko w programie zostało wpisane na długiej liście chórzystów, doskonale wiedziała, że gdzieś wśród publiczności siedzi Herr Bayer razem z wieloma innymi ważnymi osobistościami Christianii.

Poczuła, że jej dłoń ściska mała rączka Rudego.

- Nie martw się, Frøken Anno, wszyscy zachwycamy się twoim śpiewem.

W końcu sobie poszedł i została sama. Patrzyła na madame Hansson i uważnie obserwowała umówione znaki. Kiedy orkiestra zaczęła grać pierwsze

takty *Pieśni Solwejgi*, Anna wzięła głęboki oddech, pomyślała o Rosie oraz swojej rodzinie w Heddal i zaczęła śpiewać.

Kiedy czterdzieści minut później kurtynę spuszczone, Anna nadal stała za kulisami, tuż po zaśpiewaniu *Kołysanki*. Publiczność milczała oszołomiona, a reszta obsady zebrała się na scenie przed kurtyną, gotowa na owacje. Anna nie została poproszona, aby uklonąć się przed publicznością, więc została na swoim miejscu. Gdy kurtyna ponownie się uniosła, gromkie brawa dochodzące z widowni niemal ją ogłuszyły. Publiczność tupiała nogami i głośno prosiła o bis.

– Madame Hansson, prosimy jeszcze raz zaśpiewać *Pieśń Solwejgi*! – usłyszała czyjąś prośbę, ale aktorka uprzejmie pokręciła głową i tylko elegancko pomachała w kierunku widowni. W końcu na scenę wyszedł Herr Josephson i przekazał przeprosiny od panów Ibsena i Griega za ich nieobecność, a aktorzy uklonili się po raz ostatni. Kurtyna na dobre opadła, a zespół powoli zaczął schodzić ze sceny. Wszyscy przechodzili obok Anny, ale ignorowali ją, żywo dyskutując o dzisiejszym wielkim sukcesie po wielu tygodniach pracy.

Poszła do swojej garderoby po płaszcz i pożegnała się z dziećmi, którym dumne matki pomagały się przebierać. Herr Bayer przekazał jej, że będzie na nią czekał powóz, do którego ma się udać bezpośrednio po przedstawieniu. Gdy szła korytarzem do wyjścia, wpadła na Herr Josephsona wychodzącego z garderoby madame Hansson.

– Zaśpiewałaś cudownie, Anno. Jestem przekonany, że wszyscy mieli łzy w oczach. Poradziłaś sobie znakomicie.

– Dziękuję, Herr Josephson.

– Bezpiecznej podróży do domu – dodał i lekko się uklonił, po czym odwrócił się i zapukał do garderoby Herr Klausena.

Anna udała się do wyjścia dla aktorów i niechętnie opuściła teatr.

*

– Która to dziewczyna śpiewała *Pieśń Solwejgi*? – spytał Jens, rozglądając się w tłumie przebywającym w foyer. – Jest gdzieś tutaj?

– Nie mam pojęcia. Nigdy jej nie widziałem – odparł wiolonczelista Isaac, który był już kompletnie pijany. – Ma głos anioła, ale może wyglądać jak czarownica.

Jens uparł się jednak, żeby się tego dowiedzieć, więc postanowił przycisnąć dyrygenta.

– Dobra robota, mój chłopcze. – Hennem poklepał go po ramieniu. Sukces najwyraźniej sprawił go w znakomity nastrój. – Cieszę się, że w ciebie uwierzyłem. Jeśli tylko trochę poćwiczysz i zdobędziesz doświadczenie, masz szansę na wspaniałą karierę.

– Bardzo panu dziękuję. Proszę mi powiedzieć, kim jest tajemnicza

dziewczyna, która tak pięknie dzisiaj śpiewała? Jest tutaj?

– Masz na myśli Annę? Jest naszą prawdziwą Solweją z gór. Ale nie sądzę, żeby została na przyjęciu. Znajduje się pod kuratelą Herr Bayera, który trzyma ją na krótkiej smyczy. Jest bardzo młoda i nie przywykła do życia w mieście. A więc sądzę, że twój Kopciuszek musiał pomknąć do domu przed północą.

– Szkoda. Chciałbym jej powiedzieć, jak głęboko wzruszył mnie jej głos. Ale jestem także wielbicielem talentu madame Hansson. – Jens nie chciał przepuścić takiej okazji. – Czy jest szansa, aby pan nas sobie przedstawił? Chciałbym jej pogratulować dzisiejszego występu.

– Oczywiście. Jestem pewny, że z przyjemnością pana pozna. Proszę pójść za mną.

Następnego ranka panna Kopciuszek piła w salonie kawę z Herr Bayerem. Profesor przeglądał „Dagbladet” i czytał Annie fragmenty recenzji wczorajszego przedstawienia, które w jego opinii mogły ją zainteresować.

– *Madame Hansson doskonale się sprawdziła w roli nieszczęśliwej wieśniaczki Solweigi, a jej czysty, ujmujący głos oczarował widownię.* I co ty na to?
– Herr Bayer spojrział na Annę.

Gdyby to jej nazwisko było wymienione w porannej gazecie, a dziennikarz wychwalał zalety jej głosu, rzeczywiście coś by to dla niej znaczyło. Było jednak inaczej i sama nie wiedziała, co ma na ten temat myśleć.

– Cieszę się, że docenili zarówno sztukę, jak i mój śpiew – wydusiła z siebie.

– Rzecz jasna krytycy najbardziej zachwycają się kompozycjami Herr Griega, który stworzył doskonałą ilustrację muzyczną wybitnego dramatu Herr Ibsena. Dziś wieczór nie ma przedstawienia, więc masz wolne. Nie ma co, zasłużyłaś na odpoczynek. Możesz być z siebie dumna, moja droga, bo zaśpiewałaś przepięknie. Niestety, ja nie mogę sobie pozwolić na przerwę, ponieważ mam zajęcia na uniwersytecie. – Wstał i ruszył do drzwi. – Kiedy wrócę, uczymy nasz sukces przy kolacji. Miłego dnia.

Gdy wyszedł z mieszkania, Anna skończyła pić letnią już kawę. Czowała się przygnębiona i dziwnie poirytowana. Wszystko, co działo się przez ostatnie miesiące, było przygotowaniem do wczorajszego wieczoru, a teraz – po premierze – niewiele się zmieniło. Sama nie wiedziała, czego właściwie oczekiwała, ale czuła, że coś powinno było się wydarzyć.

Zastanawiała się, czy kiedy zeszłego lata Herr Bayer przyjechał w góry, od początku wiedział, że do sztuki będzie potrzebna śpiewaczka widmo, i dlatego zabrał ją ze sobą do miasta. Zdawała sobie sprawę, że w teatrze celowo trzymają ją w ukryciu, aby publiczność myślała, że śpiewała madame Hansson.

Wzięła ze stołu jedną z gazet i zwróciła uwagę na wzmiankę o nieskazitelnym głosie aktorki.

– To ja śpiewałam – łkała. – Ja...

Nagle uszło z niej napięcie, które narastało tygodniami. Całkiem jakby ktoś wyciągnął z niej korek niczym z francuskiego szampana Herr Bayera. Padła na kanapę i zaczęła szlochać.

– Co się stało, *kjære*? – spytała Frøken Olsdatter, która bez uprzedzenia weszła do pokoju.

Anna spojrzała na nią z twarzą mokrą od łez.

– Nic – wymamrotała, pośpiesznie ocierając łzy z policzków.

– Pewnie jesteś zmęczona i nadal przeżywasz wczorajszy występ. W dodatku nie wyszałaś jeszcze całkiem z przeziębienia.

– Naprawdę nic mi nie jest. Dziękuję za troskę – odpowiedziała stanowczo dziewczyna.

– A może tęsknisz za rodziną?

– Tak. I za świeżym wiejskim powietrzem... Chyba chcę wrócić do domu, do Heddal – wyszeptała.

– Już dobrze, moje dziecko. Rozumiem. Ludzie, którzy przyjeżdżają ze wsi do miasta, zawsze czują to samo. A ty jesteś wyjątkowo samotna.

– A pani? Tęskni pani za swoją rodziną? – spytała Anna.

– Już nie, ponieważ nauczyłam się tu żyć, ale na początku byłam bardzo nieszczęśliwa. Moja pierwsza pracodawczyni była wyjątkowo podłą kobietą. Traktowała służbę gorzej niż psy. Dwa razy uciekłam, ale mnie znalazła i zabrała z powrotem. Później poznałam Herr Bayera, który przyszedł do nas na kolację. Może wyczuł, że jestem nieszczęśliwa, a może naprawdę potrzebował gospodyni, tak czy inaczej jeszcze tego samego wieczoru zaproponował mi posadę. Moja pracodawczyni nie stawiała oporu. Myślę, że cieszyła się, że wreszcie się mnie pozbędzie. I tak znalazłam się tutaj. Wiem, że Herr Bayer ma swoje dziwactwa, ale uwierz mi, Anno, to dobry i życzliwy człowiek.

– Wiem – odpowiedziała Anna. Poczowała się winna, że się nad sobą użala, podczas gdy Frøken Olsdatter na pewno miała dużo trudniejsze życie.

– Spróbuj się uspokoić i wszystko przemyśleć. Podczas służby w tym domu widziałam wiele protegowanych Herr Bayera, ale on jeszcze nigdy tak entuzjastycznie nie zaangażował się w rozwój czyjegoś talentu. Sam mi wczoraj powiedział, że wszyscy byli oczarowani twoim śpiewem.

– Ale prawie nikt nie wie, że to ja śpiewałam – cichutko bąknęła Anna.

– Teraz nie, musisz jednak uwierzyć, że pewnego dnia będą wiedzieli, kim jesteś. Jesteś bardzo młoda i spotkało cię niezwykle szczęście, że możesz brać udział w takim przedstawieniu. Najważniejsi ludzie w Christianii usłyszeli twój śpiew, ale powinnaś być cierpliwa i wierzyć, że Pan odpowiednio pokieruje twoim losem. Muszę już iść na targ. Chcesz pójść ze mną i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza?

– Z przyjemnością – odpowiedziała Anna i natychmiast wstała. – Dziękuję, że jest pani dla mnie taka dobra.

*

Niecałe cztery kilometry dalej mocno zdenerwowany Jens Halvorsen gorączkowo przechadzał się po swoim pokoju i słuchał podniesionych głosów dochodzących z salonu piętro niżej. Tajemnica, którą utrzymywali z matką przed ojcem, wyszła na jaw podczas dzisiejszego śniadania, kiedy Jonas przeczytał w porannej gazecie recenzję *Peer Gynta*. Recenzent tak oto wspaniałomyślnie skomentował premierę: „*Poranek*” na początku IV aktu to, według mnie,

najważniejszy fragment całego dzieła muzycznego Herr Griega. Jego fenomenalnie czarujące, niezapomniane początkowe takty dodatkowo zyskały dzięki znakomitej grze na flecie Jensa Halvorsena.

Wyraz twarzy Jonasa przypominał pozostawiony na kuchence miedziany czajnik, z którego kipi woda.

– Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję? – wybuchnął.

– Myślałam, że nie będzie to miało dla ciebie żadnego znaczenia – odpowiedziała Margarete. Jens już wiedział, że matka jest przygotowana na dantejskie sceny.

– Myślisz, że to nie ma dla mnie żadnego znaczenia? Przez cały czas wierzyłem, że mój syn pilnie studiuje na uniwersytecie, i nagle dowiaduję się z gazety, że tak naprawdę dorabia sobie na boku w orkiestrze Christianii. To prawdziwa zniewaga!

– Zapewniam cię, Jonasie, że opuścił zaledwie kilka wykładów.

– To wyjaśnij mi w takim razie, dlaczego wybitny krytyk pisze o tym, że *dyrygent orkiestry Christianii, Herr Johan Hennem, miesiącami dobierał odpowiednich muzyków, z którymi w pocie czoła pracował podczas licznych prób, aby jak najlepiej wykonać skomplikowane utwory Herr Griega.* Czy naprawdę chcesz mi wmówić, że nasz syn, którego nazwisko wymienione jest w każdej gazecie, nauczył się tych utworów w ciągu jednej nocy? Dobry Boże! – Jonas nerwowo pokręcił głową. – Macie mnie chyba za kompletnego idiotę! Wypraszam sobie takie traktowanie!

– Idź do swojego pokoju. Wiem, że musisz się uczyć – zwróciła się Margarete do syna.

– Dobrze, *mor.* – Jens czuł się winny, że zostawia matkę na pastwę gniewu ojca, ale, z drugiej strony, odetchnął z ulgą, że sam nie musi stawiać mu czoła. Ukłonił się obojgu i wyszedł.

Gdy nerwowo chodził po swoim pokoju i słuchał, jak ojciec wrzeszczy na matkę, doszedł do wniosku, że ukazanie się tych recenzji przyniosło mu pewną korzyść. Ojciec w końcu dowiedział się o jego dodatkowym zajęciu. Jens oczywiście chciałby, żeby ojciec potrafił się cieszyć, że talent jego syna został wyróżniony, ale trochę go rozumiał. Muzycy w Christianii zarabiali niewiele i nie mieli wysokiego statusu społecznego, więc Jonas miał prawo nie akceptować wyboru syna, zwłaszcza że od dawna przygotowywał dla niego ciepłą posadę w zarządzie rodzinnego Browaru Halvorsenów.

Poza wszystkim Jens był tak szczęśliwy, że nawet złość ojca nie była w stanie go złamać. Podjął już decyzję, że poświęci się muzyce, i w końcu czuł się spełniony. Zaprzyjaźnił się z muzykami, bo łączyło go z nimi poczucie humoru i zamiłowanie do picia, któremu folgowali co wieczór po pracy w kawiarni Engebret. W orkiestrze znalazł swoje miejsce na ziemi. Nie wspominając już

o tym, że pasowała mu swoboda obyczajów młodych artystek...

Zgodnie z obietnicą wczoraj Herr Hennem przedstawił mu madame Hansson. Gdy przyjęcie premierowe dobiegało końca, Jens zauważył, że aktorka mu się przygląda, więc zaproponował, że odprowadzi ją do domu. Thora okazała się znakomitą kochanką. Z jednej strony była doświadczona, a z drugiej – bardzo namiętna i niecierpliwa, więc wyszedł z jej mieszkania dopiero bladym świtem, myśląc o tym, że będzie musiał zakończyć romans ze śliczną chórzystką, Hilde Omvik, z którą spotykał się ostatnio. Nie chciał, by do madame Hansson dotarły krążące po teatrze plotki na temat jego frywolnego zachowania, a poza tym Hilde za tydzień wychodziła za mąż...

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Jens podszedł i je otworzył.

– Zrobiłam, co w mojej mocy, ale ojciec koniecznie chce się z tobą widzieć. I to już – powiedziała matka. Była blada i zmęczona.

– Dziękuję, *mor*.

– Porozmawiamy, kiedy ojciec wyjdzie do pracy. – Poklepała syna po ramieniu.

Gdy Jens zszedł na dół, Dora poinformowała go, że ojciec czeka na niego w salonie.

Westchnął ciężko. Wszystkie poważne sprawy w rodzinie Halvorsenów poruszane były właśnie w tym pomieszczeniu. Było równie chłodne i surowe, jak jego ojciec. Jens otworzył drzwi i wszedł do środka. Kominiek w salonie był jak zwykle zimny, a promienie słońca odbijające się od leżącego na dworze śniegu dawały jaskrawobiałe światło.

Stojący przy oknie Jonas odwrócił się, kiedy wszedł syn.

– Usiądź. – Wskazał na krzesło.

Jens wykonał polecenie. Starał się zachować wyraz twarzy, który wyrażałby coś pomiędzy skrucą a buntem.

– Po pierwsze – zaczął ojciec, gdy zasiadł naprzeciwko syna w wielkim skórzanym fotelu – chcę, byś wiedział, że cię nie winię. Całą odpowiedzialnością obarczam twoją matkę, która przekonała cię do tak nedorzecznego pomysłu. Ale w lipcu osiągniesz pełnoletniość, a jako dorosły człowiek musisz podejmować własne decyzje i w końcu wyrwać się z jej niewoli.

– Rozumiem.

– Ten wybryk w niczym nie zmieni naszych dotychczasowych planów – kontynuował Jonas. – W lecie skończysz studia i dołączysz do mnie w browarze. Będziemy razem pracowali, a pewnego dnia przejmiesz interes. Zostaniesz piątym Halvorsenem, który poprowadzi firmę założoną przez mojego prapradziadka. Twoja matka twierdzi, że nie zaniedbałeś studiów przez pracę w orkiestrze, ale ja w to wątpię. Masz coś do powiedzenia na ten temat, młody człowieku?

– Matka ma rację. Opuściłem zaledwie kilka wykładów – gładko skłamał

Jens.

– Najchętniej natychmiast zabrałbym cię z fosi orkiestrowej, ale obawiam się, że zrobienie tego po tym, jak zawarłeś umowę z Herr Hennemem, negatywnie wpłynęłoby na reputację naszej rodziny. W związku z tym nie mam wyjścia. Zdecydowaliśmy z matką, że będziesz grał w orkiestrze aż do zakończenia sezonu, czyli do przyszłego miesiąca. Masz zatem czas na zaakceptowanie swojej przyszłości.

– Rozumiem. – Jens patrzył, jak ojciec strzela palcami u rąk. Był to nawyk, który strasznie go denerwował.

– A więc mamy wszystko ustalone. Ostrzegam cię, że kiedy ta... zabawa się skończy, nigdy więcej nie zaakceptuję takiego zachowania. Chyba że zdecydujesz się na karierę profesjonalnego muzyka, ale wtedy nie dasz mi wyjścia. Będziesz musiał natychmiast opuścić ten dom i nie dam ci ani grosza. Nie po to mężczyźni w rodzinie Halvorsenów pracowali przez ponad sto pięćdziesiąt lat, aby jedyny spadkobierca zmarnował ich spuściznę dla brzdękolenia na skrzypcach.

Jens był zdeterminowany, aby nie pokazać ojcu, jak bardzo zszokowała go ta rozmowa.

– Tak, rozumiem.

– Idę do browaru. Jestem już ponad godzinę spóźniony, a muszę dawać dobry przykład pracownikom. Takiego zachowania będę wymagał również od ciebie, kiedy do mnie dołączysz. Miłego dnia, synu.

Jonas opuścił salon i zostawił go samego z myślami o przyszłości. Jens czuł, że nie da rady rozmawiać ani z matką, ani z nikim innym, wziął więc z korytarza łyżwy, włożył pelisę, czapkę i rękawiczki i wyszedł z domu, aby rozładować emocje.

*

Mieszkanie nr 4

St Olavs Gate 10

Christiania

10 marca 1876

Kjære Lars, Mor, Far i Knut

Dziękuję za Wasz ostatni list. Cieszę się, że według Was popelniam coraz mniej błędów. Co prawda ja wcale tak nie uważam, ale bardzo się staram. Minęły już dwa tygodnie od premiery Peer Gynta na deskach teatru Christiania (choć ja ani razu nie stanęłam na scenie). Według Herr Bayera w mieście wszędzie się o tym

mówi, a bilety zostały wyprzedane na cały sezon, więc ze względu na ogromną popularność być może przedstawienia zostaną wznowione.

Życie toczy się po staremu, poza tym, że Herr Bayer uczy mnie włoskich arii, które są dla mnie niezwykle trudne do opanowania. Raz w tygodniu przychodzi mnie uczyć profesjonalny śpiewak operowy, Günther, który jest Niemcem i ciężko mi go zrozumieć. Poza tym nieprzyjemnie pachnie brudnymi ubraniami i cały czas wciąga tabakę, która często wypada mu z nosa i ląduje na jego górnej wardze. Jest strasznie stary i chudy. Bardzo mi go szkoda.

Kiedy skończymy wystawiać Peer Gynta, pewnie będę robiła to, co zwykle, czyli uczyła się śpiewać. A poza tym będę siedziała w domu i jadła rybę. Kolejny sezon w teatrze rozpoczyna się po Wielkanocy. Krążą plotki, że Herr Ibsen przyjedzie z Włoch, aby obejrzeć przedstawienie. Poinformuję Cię, Larsie, jeśli się to wydarzy.

Podziękuj mor za kamizelki, które zrobiła dla mnie na drutach. Przydają mi się podczas tej długiej zimy. Nie mogę się doczekać wiosny i mam nadzieję, że niedługo Was odwiedzę.

Anna

Złożyła i zapieczętowała list, po czym głęboko westchnęła. Jej rodzina pewnie z niecierpliwością czekała na plotki z teatru, ale nic takiego nie mogła im napisać. Dzień po dniu siedziała zamknięta w mieszkaniu, a po wieczornych przedstawieniach musiała szybko wracać do domu, więc zwyczajnie brakowało jej tematów, które mogłaby poruszać w listach.

Podeszła do okna i spojrzała na niebo. Chociaż zrobiła się już czwarta po południu, nadal było jasno. Oznaczało to, że nareszcie idzie wiosna, po której nadejdzie lato... Anna oparła głowę o chłodną szybę, która oddzielała ją od świeżego powietrza. Nie mogła znieść myśli, że cieplejsze miesiące spędzi w zamknięciu. A mogłaby być w górach z Rosą.

*

Po wejściu do teatru Rude natychmiast udał się do fosy orkiestrowej, aby wypełnić swoje cowieczorne zadanie.

– Cześć, Rude, jak się masz? – spytał go Jens.
– W porządku, proszę pana. Ma pan dla mnie liścik do doręczenia?
– Oczywiście. Proszę. – Jens pochylił się, aby powiedzieć coś chłopcu na ucho. – Do rąk madame Hansson. – Położył na jego małej, lecz zachłannej dłoni

monetę oraz list.

– Dziękuję, proszę pana.

– Znakomicie – rzucił Jens, gdy Rude odwrócił się, aby odejść. – A tak swoją drogą, to kim była ta młoda dama, z którą wychodziłeś wczoraj wyjściem dla aktorów? Masz dziewczynę? – droczył się ze swoim posłańcem.

– Może i jest mojego wzrostu, ale ma osiemnaście lat, proszę pana. Za stara dla dwunastolatka – odpowiedział poważnie Rude. – Należy do obsady. Nazywa się Anna Landvik.

– Naprawdę? Nie rozpoznałem jej, ale było ciemno i widziałem tylko jej długie, rude włosy.

– Proszę pana, ona bierze udział w przedstawieniu, ale z pewnością nie widział jej pan na scenie. – Z miną pełną tajemniczego dramatyzmu Rude rozejrzał się i skinieniem przywołał Jensa, aby szepnąć mu coś do ucha. – Anna jest głosem Solweigi.

– Rozumiem. – Jens pokiwał głową z udawaną powagą. Fakt, że madame Hansson tylko rusza ustami, a śpiewa ktoś inny, był najgorzej skrywaną tajemnicą w teatrze, ale wszyscy musieli trzymać język za zębami, aby ta informacja nie wydostała się na zewnątrz.

– Prawda, że jest śliczna?

– Na pewno ma piękne włosy. Tyle tylko zdołałem zobaczyć.

– Bardzo mi jej szkoda. Trzymają w tajemnicy, że to ona tak pięknie śpiewa, a na dodatek umieścili ją w garderobie z dziećmi. – Właśnie rozległ się dzwonek informujący o tym, że przedstawienie rozpocznie się za pięć minut. – Dostarczę pana wiadomość.

Jens włożył chłopcu do ręki kolejną monetę.

– Przytrzymaj dzisiaj Frøken Landvik przy wyjściu, żebym mógł się przyjrzeć tej tajemniczej śpiewaczce.

– Chyba uda mi się to dla pana zrobić – zgodził się usatysfakcjonowany dodatkowym zarobkiem Rude i czmychnął niczym szczur.

– Jak zwykle pies na kobitki, co, Peer? – Wyglądało na to, że pierwszy skrzypek, Simen, nie jest aż tak głuchy, jak się wydawał, i podsłuchał fragment rozmowy. W fosie orkiestrowej żartowano, że figle Jensa z żeńską częścią zespołu mają wiele wspólnego z przygodami tytułowego bohatera.

– Niekoniecznie – odburknął Jens, bo w tym momencie w fosie pojawił się Hennem. Początkowo bawiło go to przezwisko, ale z czasem zaczęło go irytować.

– Chyba wiesz, że mam romans z madame Hansson.

– Może wypilem wczoraj za dużo porto, ale jestem pewny, że widziałem, jak wychodziłeś z Engebret u boku Jorid Skrovset.

– Myślę, że to jednak porto.

Hennem dał sygnał, że będą zaczynać, i Jens wziął do rąk flet.

Tego wieczoru po przedstawieniu Jens wyszedł drzwiami dla aktorów i czekał, aż Rude pojawi się z tajemniczą dziewczyną. Zazwyczaj w tym czasie siedział już w Engebret i czekał na Thore, która jeszcze musiała się przebrać i chwilę zabawić swoich adoratorów, po czym wsiadała samotnie do powozu, a on ukradkiem dosiadał się do niej kilka metrów dalej, aby nikt nie zobaczył ich razem.

Wiedział, że madame Hansson chce ukryć ich romans, ponieważ jako muzyk miał niski status społeczny. Czuł się prawie jak byle żigolak do wynajęcia, który ma zaspokajać jedynie fizyczne potrzeby kochanki. Miał żal do Thory, że nie jest dla niej wystarczająco dobry, aby zechciała pokazywać się z nim publicznie. Zwłaszcza że pochodził z jednej z najbardziej poważanych rodzin w Christianii i był dziedzicem imperium browarniczego Halvorsenów. Thora w kółko chwaliła się przed nim, że jadała kolacje z największymi osobistościami Europy, a Herr Ibsen wręcz ją ubóstwia i nazywa swoją żoną. Jens do tej pory tolerował to jej wywyższanie się, ponieważ w zaciszu sypialni wynagradzała mu całe to upokorzenie, ale miarka się przebrała.

W końcu przy wyjściu dla aktorów ujrzał dwie postacie. Zatrzymały się na chwilę na progu, gdzie delikatnie oświetlał je blask lampy gazowej z korytarza. W tym momencie Rude pokazał coś dziewczynie, a Jens skorzystał z okazji, by ukradkiem zerknąć na nią spod czapki.

Była delikatną, drobną kobietą o cudownych, niebieskich oczach, małym nosku i ustach jak pąki róży na twarzy w kształcie serca. Jej wspaniałe falowane, złotorude włosy opadały miękko na ramiona. Zwykle nieskory do pochwał, na jej widok prawie się rozplakał. Była niczym powiew świeżego górskiego powietrza; inne kobiety wyglądały przy niej jak wystrojone i wymalowane drewniane lalki.

Stał jak w transie, aż usłyszał jej delikatny głos, gdy zegnała się z Rudem; potem pomknęła niczym ulotna zjawa i wsiadła do czekającego na nią powozu.

Gdy powóz odjechał, bystre oczy Rudego od razu dostrzegły ukrywającego się w mroku Jensa.

– Udało się panu ją zobaczyć? Robiłem, co mogłem, ale nie dałem rady jej zatrzymać na dłużej. W garderobie czeka na mnie mama. Powiedziałem jej, że muszę dostarczyć wiadomość dla dozorczy.

– Tak, widziałem tę dziewczynę. Zawsze wychodzi od razu po przedstawieniu?

– Co wieczór, proszę pana.

– Muszę zatem się zastanowić, jak się z nią spotkać.

– Życzę panu powodzenia, ale ja już muszę iść. – Chłopiec przebierał nogami, jakby na coś czekał, więc w końcu Jens sięgnął do kieszeni i wręczył mu kolejną monetę.

– Dziękuję. Dobranoc, proszę pana.

Jens przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do Engebret. Zamówił wódkę

kminkową, usiadł na stołku przy barze i tępo wlepił wzrok przed siebie.

– Źle się czujesz, mój chłopcze? Jesteś strasznie blady. Może jeszcze jedna kolejka? – spytał go grający na talerzach orkiestrowych Einar, który właśnie wszedł do kawiarni. Jens podziwiał go za to, że potrafił wyjść w trakcie przedstawienia i licząc takty, pójść do Engebret. Wypijał piwo i nadal odliczając takty, wracał na swoje miejsce w fosie tuż przed swoją partią. Cała orkiestra czekała na wieczór, kiedy Einar się pomyli, ale wyglądało na to, że przez dziesięć lat zawsze udawało mu się wrócić na czas.

– Odpowiedź na oba twoje pytania brzmi tak – odparł Jens i do dna wypił zawartość kieliszka. Zastanawiał się, czy rzeczywiście nie cierpi na jakąś przypadłość, bo widok Anny Landvik zupełnie wyprowadził go z równowagi. Zdecydował, że dzisiaj madame Hansson wróci do swojego mieszkania sama.

– Frøken Anno, mam dla ciebie list – powiedział Rude do Anny, kiedy grali w karty. Spojrzał na nią zawiadliwie i ukradkiem przekazał jej złożoną karteczkę. Siedzieli w dziecięcej garderobie, gdzie panował gwar i rozgardiasz, ponieważ wszyscy szykowali się do wieczornego przedstawienia.

Zaczęła otwierać list, ale chłopiec zaprotestował.

– Nie tutaj. Otrzymałem instrukcję, że możesz go przeczytać, dopiero kiedy zostaniesz sama.

– Kto ci tak powiedział? – spytała zmieszana.

Rude spojrział na nią tajemniczo i pokręcił głową.

– Nie wolno mi tego zdradzić. Jestem tylko posłańcem.

– Dlaczego ktoś miałby do mnie pisać list?

– Dowiesz się, jak go przeczytasz.

Anna zmarszczyła surowo czoło.

– Powiedz mi – zażądała.

– Nie ma mowy.

– W takim razie nie będę z tobą grała w bezika.

– Trudno. I tak muszę się już szykować do wyjścia na scenę. – Chłopiec wzruszył ramionami, wstał i odszedł od stołu.

Z jednej strony Annę bawiły intrygi Rudego. Był jak małpka, która tylko czeka, aż ktoś będzie potrzebował przysługi, czy zechce wysłać za jego pośrednictwem list, a w zamian otrzyma pieniądze lub czekoladkę. Przypuszczała jednak, że wyrośnie na kanciarza lub szpiega, ponieważ znał wszystkie plotki, które krążyły w teatrze. Miała zatem pewność, że doskonale wie, kto jest nadawcą listu, a sądząc po brudnych odciskach palców wokół uszkodzonej pieczęci, być może nawet poznał jego zawartość. Postanowiła przeczytać list wieczorem w zaciszu swojego pokoju. Schowała go do kieszeni spódnicy, wstała i poszła przygotować się do wieczornego występu.

Teatr Christiania

15 marca 1876

Droga Frøken Landvik

Proszę mi wybaczyć niestosowność tego listu i sposób, w jaki został dostarczony, zwłaszcza że się nie znamy. Muszę wyznać, że zaniemówiłem, kiedy podczas próby generalnej po raz pierwszy usłyszałem Pani głos, i od tamtej pory każdego wieczoru zachwyam się nim na nowo. Może moglibyśmy się spotkać jutro przed spektaklem, aby poznać się oficjalnie? Na przykład o dziewiętnastej piętnaście przy wejściu dla aktorów?

Bardzo panią o to proszę.

Oddany wielbiciel

Przeczytała list ponownie, po czym schowała go do szafki nocnej. Zgasła lampę naftową i ułożyła się do snu. Doszła do wniosku, że najprawdopodobniej nadawcą jest jakiś starszy mężczyzna w typie Herr Bayera... a to nie zapowiadało nic ciekawego.

*

– Spotkasz się z nim dzisiaj? – spytał Rude z miną niewiniątka.

– Z kim?

– Dobrze wiesz.

– Nie wiem. A swoją drogą, skąd wiesz, że ktoś próbuje się ze mną umówić, hm? – Annę bawiło malujące się na twarzy chłopca przerażenie, kiedy zdał sobie sprawę, że przez nieuwagę się zdradził.

– Przysięgam, że jeśli nie powiesz mi, kto jest autorem listu, nigdy więcej nie zagram z tobą w karty.

– Frøken Anno, wybacz, ale nie mogę. – Rude spuścił głowę. – Przyrzekłem na własne życie, że nie zdradzę nadawcy.

– Cóż, jeśli nie możesz podać imienia, może przynajmniej odpowiesz na moje pytania „tak” lub „nie”?

– Dobrze.

– Czy liścik napisał mężczyzna?

– Tak.

– Czy ma mniej niż pięćdziesiąt lat?

– Tak.

– Mniej niż czterdzieści?

– Tak.

– Mniej niż trzydzieści?

– Frøken Anno, nie mam pewności, ile może mieć lat, ale myślę, że tak.

Zawsze coś, pomyślała.

– Czy jest stałym gościem teatru?

– Nie... chociaż... – Rude podrapał się w głowę. – W pewnym sensie tak. Na pewno codziennie słucha twojego śpiewu.

– A zatem jest członkiem zespołu?

– Tak, ale w innym sensie.

– Czy jest muzykiem?

– Frøken Anno, już za dużo ci zdradziłem. – Rude westchnął rozpaczliwie. –

Nic więcej nie powiem.

– W porządku, rozumiem – odparła Anna, usatysfakcjonowana powodzeniem swojego dochodzenia. Spojrzała na stary zegar na ścianie i niepewna, czy może mu wierzyć, spytała jedną z mam, która cichutko haftowała w rogu pokoju, czy wie, która może być godzina.

– Myślę, że jest prawie siódma, Frøken Landvik. Przed chwilą byłam na korytarzu i widziałam, że właśnie przyjechał Herr Josephson, który zawsze jest bardzo punktualny.

– Dziękuję. – Anna ponownie spojrzała na zegar i poczuła ulgę, że przynajmniej dzisiaj pokazuje mniej więcej dokładną godzinę. Czy powinna iść? Jeśli ten mężczyzna naprawdę ma mniej niż trzydzieści lat, istnieje ryzyko, że nie jest wielbicielem jej śpiewu, tylko ma nieczyste intencje. Anna się zarumieniła. Nie powinna mieć takich myśli, ale ekscytowało ją to, że mężczyzna jest młody i może mieć niestosowne zamiary.

Zegar odliczał kolejne sekundy, a po jej głowie krążyły sprzeczne myśli. O dziewiętnastej trzynaście postanowiła, że pójdzie. O dziewiętnastej czternaście, że jednak nie...

Dokładnie o dziewiętnastej piętnaście szła korytarzem w kierunku drzwi wejściowych, ale nikogo tam nie spotkała.

Halbert otworzył okienko portierni i spytał, czy może jej w czymś pomóc. Pokręciła głową, zawróciła i ruszyła w kierunku garderoby. Nagle ktoś otworzył drzwi i poczuła na plecach podmuch zimnego powietrza. Chwilę później jakaś dłoń delikatnie dotknęła jej ramienia.

– Frøken Landvik?

– Tak.

– Proszę wybaczyć mi drobne spóźnienie.

Anna odwróciła się i spojrzała prosto w głęboko osadzone, piwne oczy. Poczuła ucisk w żołądku, taki sam jak przed występami. Siedzący w budce Halbert miał ich za kompletnych idiotów, ponieważ stali oniemiałi i wpatrzni w siebie.

Młody mężczyzna był prawdopodobnie w wieku Anny; miał bardzo urodziwą twarz i kręcone włosy w kolorze mahoni. Był niewysoki, ale szerokie ramiona dodawały mu męskości. Anna niespodziewanie poczuła się tak, jakby nagle cała jej istota – ciało, umysł i emocje – przeniknęła do nieznanego. Było to najdziwniejsze uczucie w jej życiu, przez które prawie straciła równowagę.

– Dobrze się pani czuje, Frøken Landvik? Wygląda pani, jakby zobaczyła ducha.

– Tak, wszystko w porządku, dziękuję. Zrobiło mi się tylko trochę słabo.

Zadzwonił dzwonek, który informował zespół i orkiestrę, że pozostało dziesięć minut do rozpoczęcia przedstawienia.

– Proszę – powiedział półszepem, gdy zobaczył, że Halbert nadal przygląda

się badawczo tej niecodziennej sytuacji – nie mamy zbyt wiele czasu. Porozmawiajmy na zewnątrz w cztery oczy. Przynajmniej odetchnie pani świeżym powietrzem. – Objął dziewczynę i zauważył, że jej głowa idealnie wpasowuje mu się w ramię. Otworzył drzwi i wyszli na dwór. Była tak drobna, idealna i kobieca, że poczuł wobec niej instynkt opiekuńczy, a Anna na chwilę oparła się o niego tak, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Stali obok siebie na chodniku; nadal ją obejmował. Anna odetchnęła rześkim wieczornym powietrzem.

– Dlaczego chciał pan się ze mną spotkać? – spytała, gdy wreszcie dotarło do niej, że przebywanie tak blisko nieznanego mężczyzny jest bardzo niestosowne. Choć szczerze mówiąc, on nie wydawał jej się aż taki obcy...

– Tak naprawdę to sam nie jestem pewien. Najpierw oczarował mnie pani głos, ale potem zapłaciłem Rudemu, żeby zatrzymał panią na chwilę przy wyjściu, bo chciałem panią zobaczyć... Frøken Landvik, muszę już iść. Jeśli się spóźnię, Herr Hennum gotów jest mnie zabić. Kiedy znowu panią zobaczę?

– Nie wiem.

– Dzisiaj po przedstawieniu?

– Nie. Przyjeżdża po mnie powóz i od razu po występie jadę do domu.

– Jutro w ciągu dnia?

– Nie. – Przyłożyła dłonie do policzków, bo zaczęły ją piec, i to wcale nie od chłodnego powietrza. – Nie potrafię się teraz skupić. Poza tym...

– Co takiego?

– To jest bardzo niewłaściwe. Gdyby Herr Bayer wiedział, że się spotkaliśmy...

Zadzwoił kolejny dzwonek. Przedstawienie miało się rozpocząć za pięć minut.

– Błagam panią. Spotkajmy się tutaj jutro o szóstej. Proszę powiedzieć Herr Bayerowi, że musi pani wcześniej przyjechać na próbę.

– Czas na mnie. – Anna odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. Otworzyła je i weszła do środka. Kiedy Jens tracił ją już z pola widzenia, nagle zobaczył, jak jej małe palce chwytają za krawędź drzwi i z powrotem je otwierają.

– Czy mogę przynajmniej poznać pana imię?

– Proszę mi wybaczyć. Nazywam się Jens. Jens Halvorsen.

Oszołomiona Anna wróciła do garderoby i usiadła, żeby ochłonać. Kiedy udało jej się odzyskać spokój, postanowiła dowiedzieć się jak najwięcej na temat Jensa Halvorsena, zanim zdecyduje się na kolejne spotkanie. Tego wieczoru w trakcie przedstawienia spytała wszystkich, również tych, którym nie ufała, co wiedzą na jego temat.

Udało jej się dowiedzieć, że gra w orkiestrze na skrzypcach i flecie, a także, ku jej rozczarowaniu, o jego podbojach. Z powodu rozpustnego stylu życia zyskał

nawet przydomek „Peer”. Jedna z chórzystek potwierdziła, że był widywany zarówno z Hilde Omvik, jak i Jorid Skrovset, a co gorsza, krążyły plotki, że jest potajemnym kochankiem madame Hansson.

Kiedy miała zaśpiewać *Kotysankę*, była tak rozkojarzona, że dwukrotnie przeciągnęła dźwięki i madame Hansson zbyt szybko zamknęła usta. Nie odważyła się spojrzeć w dół na orkiestrę, w obawie, że go tam dostrzeże.

Nie mogę o nim myśleć, postanowiła z determinacją, kiedy wieczorem gasiła lampę przy łóżku. Wszystko wskazuje na to, że jest okropny i bezduszny. W głębi duszy pragnęła jednak, aby opowieści o jego występach nie wydawały jej się aż tak ekscytujące. A poza tym jestem zaręczona.

Mimo to następnego dnia musiała bardzo ze sobą walczyć, aby nie okłamać Herr Bayera, że jej próba zaczyna się wcześniej i nie zamówić powozu na tę godzinę. Przyjechała do teatru o tej porze co zwykle i zobaczyła, że przy wejściu nikogo nie ma. W duchu zganiła siebie za to, że poczuła się z tego powodu zawiedziona.

Kiedy weszła do garderoby, jak zwykle powitała ją grupa pracownicy haftujących matek i dzieci, które natychmiast do niej podbiegły, by sprawdzić, czy przyniosła im coś nowego do zabawy. Tylko jedno z nich trzymało się z boku. Kiedy przytulała pozostałe, spojrzała w wyjątkowo smutne oczy Rudego. Do wyjścia na scenę została wywołana pierwsza grupa. Rude jeszcze raz spojrzał na nią zawiedzionym wzrokiem i wyszedł z garderoby, aby zająć miejsce na scenie. Złapał ją podczas przerwy.

– Mój przyjaciel przekazał mi, że nie przyszedł na spotkanie. Był bardzo smutny i przesyła ci kolejny list.

Rude wyjął karteczkę i podał Annie, ale zbyła go machnięciem ręki.

– Powiedz mu, że nie jestem zainteresowana.

– Dlaczego?

– Po prostu nie jestem i już.

– Ale Frøken Anno, widziałem taki smutek w jego oczach, kiedy mówił mi, że się nie zjawiłaś.

– Rude, jesteś bardzo uzdolnionym chłopcem. Masz niezwykły talent aktorski i znakomicie potrafisz wyciągać pieniądze od dorosłych. Ale są sprawy, o których jeszcze nie masz pojęcia... – Anna otworzyła drzwi i wyszła z garderoby, ale chłopiec uparcie za nią podążał.

– Na przykład o czym?

– To są sprawy dorosłych – odpowiedziała, zmierzając szybko w kierunku kulis. Nie nadszedł jeszcze czas jej występu, ale za wszelką cenę chciała się uwolnić od nieustających pytań chłopca.

– Ja się znam na sprawach dorosłych, Frøken Anno. Wiem, że słyszałaś wiele plotek na temat swojego adoratora, od kiedy dowiedziałaś się, kto nim jest.

– Skoro wszystko na jego temat wiesz, to dlaczego tak usilnie namawiasz mnie, żebym się z nim spotkała? – Odwróciła się, zmuszając go do tego, żeby się zatrzymał. – On ma straszną reputację! A poza tym ja już mam narzeczonego, który pewnego dnia zostanie moim mężem.

– Cieszę się twoim szczęściem, ale mężczyzna, o którym mówimy, nie ma złych zamiarów. Przysięgam!

– Na miłość boską, dzieciaku! Zostaw mnie w spokoju!

– Dobrze, ale powinnaś się z nim spotkać, Frøken Anno. Sama wiesz, że w interesach nie ma miejsca na sentymenty, ale to wszystko, co ci powiedziałem dzisiaj, jest za darmo. Przynajmniej weź ten list.

Zanim zdążyła zaprotestować, wcisnął jej do ręki kawałek papieru i uciekł korytarzem. Stała za fragmentem scenografii, za którą była zupełnie niewidoczna, i słyszała, jak orkiestra przygotowuje się do drugiego aktu. Spojrzała na fosę i zobaczyła Jensa Halvorsena; właśnie zajął swoje miejsce i wyjmował flet z futerału. Przyglądała się mu z ukrycia, ale kiedy spojrzał w górę, przez jeden krótki moment ich spojrzenia się spotkały. Rozczarowanie, które wyczytała z jego twarzy, zupełnie wytrąciło ją z równowagi. Schowała się z powrotem za scenografię, po czym zupełnie oszołomiona podążyła w stronę garderoby. Po drodze minęła madame Hansson. Znajomy zapach francuskich perfum wypełnił cały korytarz. Aktorka ledwo ją poznała, a na myśl o jej tajemnym kochanku Anna poczuła, że jej serce robi się twarde jak z kamienia. Jens Halvorsen był zwykłym łajdakiem, który omamia kobiety i z pewnością sprowadziłby ją na złą drogę. Weszła do garderoby i obiecała dzieciom, że podczas kolejnej przerwy zagra z nimi w karty. Przecież musiała się czymś zająć.

Kiedy wieczorem wróciła do domu, od razu skierowała się do pustego salonu. Ze stoickim spokojem wyciągnęła z kieszeni list i nieotwarty wrzuciła wprost do ognia.

*

Przez kolejne dwa tygodnie Rude codziennie przynosił jej nowy list od Jensa Halvorsena, ale Anna każdy z nich tuż po przyjściu do domu wrzucała do ognia. A dzisiaj jeszcze bardziej umocniła się w swoim postanowieniu, kiedy wszyscy usłyszeli rozbrzmiewające w korytarzu głośne krzyki przy akompaniamencie tłuczonego szkła. Cały zespół miał pewność, że dochodzą z garderoby madame Hansson.

– O co chodzi? – spytała Rudego.

– Nie mogę ci powiedzieć – odpowiedział stanowczo i skrzyżował ręce na piersi.

– Oczywiście, że możesz. Wszystko mi mówisz. Zapłacę ci – zaproponowała.

– Nie powiem ci za żadne pieniądze. Da ci to błędne wyobrażenie.

– O czym?

Rude pokręcił głową i odszedł. Ale plotki krążyły po teatrze i jedna z chórzystek powiedziała jej, że madame Hansson dowiedziała się, że dwa tygodnie temu Jensa Halvorsena widziano z chórzystką Jorid. Nie zrobiło to na Annie wrażenia, bo już o tym wiedziała. Najwyraźniej madame Hansson była jedyną osobą w teatrze, która nie miała o tym pojęcia.

*

Kiedy Anna przybyła na pierwsze przedstawienie w kolejnym tygodniu, zobaczyła ogromny bukiet czerwonych róż w okienku portierni. Przeszła obok nich i skierowała się do garderoby.

– Frøken Landvik! – zawołał za nią portier Halbert.

– Tak?

– Te kwiaty są dla pani.

– Dla mnie?

– Tak, dla pani. Proszę je zabrać, bo nie ma tu miejsca.

Jej twarz przybrała kolor czerwonych róż. Odwróciła się i ruszyła w kierunku portierni.

– Frøken Landvik, wygląda na to, że ma pani wielbiciela. Ciekawe, kto nim jest? – Halbert uniósł brwi z dezaprobatą, ale Anna już tego nie dostrzegła z za ogromnego bukietu.

– Coś takiego... – powiedziała sama do siebie, idąc korytarzem prosto do zimnych, śmierdzących latryn, z których korzystały wszystkie kobiety w teatrze. – Co za tupet! Zwłaszcza że madame Hansson i Jorid Skrovset są w tym samym budynku. Z pewnością się mną bawi! – wyszeptła ze złością. Trzasnęła drzwiami i zamknęła się od środka. – Skoro madame Hansson odkryła już jego prawdziwe oblicze, wydaje mu się, że kilkoma kwiatkami może zawrócić w głowie prostej dziewczynie.

Przeczytała mały liścik doczepiony do bukietu.

Nie jestem taki, jak myślisz. Błagam Cię o jedną szansę.

– Ha! – Anna podała kartkę na drobne kawałeczki i wrzuciła je do toalety. W garderobie wszyscy zaczęli zadawać pytania o kwiaty, a Anna za wszelką cenę chciała ukryć źródło ich pochodzenia.

– Mój Boże! – zawołała jedna z matek, kiedy Anna weszła do garderoby. – Jakie piękne róże!

– Od kogo je dostałaś? – spytała inna.

W pokoju zapadła cisza. Wszyscy chcieli usłyszeć odpowiedź.

– Dostałam je – Anna z trudem przełknęła ślinę – od Larsa, mojego narzeczonego z Heddal.

Garderobę wypełniły okrzyki zachwytów.

– Czy jest jakaś specjalna okazja? Musi być, skoro wydał tyle pieniędzy.

– Są... moje urodziny – skłamała w akcie desperacji.

– Twoje urodziny?! – zapytali wszyscy chórem. – Dlaczego nic nie mówiłaś?!

Przez cały wieczór składano jej życzenia, ściskano ją i okazywano wyrazy sympatii. W tym czasie Rude stał z boku i uśmiechał się ironicznie, co Anna usilnie starała się ignorować.

*

– Anno, jak wiesz, sezon *Peer Gynta* dobiega końca. W związku z tym w czerwcu planuję zorganizować letnie spotkanie towarzyskie, na które zaproszę do nas najważniejsze osobistości Christianii, aby posłuchały, jak śpiewasz. W końcu będziemy mogli popracować nad twoją karierą, a najwspanialsze jest to, że nareszcie ujawnimy, do kogo naprawdę należy głos Solwejgi.

– Rozumiem. Dziękuję, Herr Bayer.

– Anno... – zmarszczył brwi, kiedy zobaczył jej minę – wyglądasz, jakbyś miała jakieś wątpliwości.

– Czuję się po prostu zmęczona, ale jestem bardzo wdzięczna za pana troskę.

– Zdaję sobie sprawę, że ostatnie miesiące były dla ciebie trudne, zapewniam cię jednak, że wielu moich znajomych ze środowisk muzycznych doskonale wie, do kogo należy piękny głos Solwejgi. Odpocznij. Jesteś bardzo blada.

– Dobrze, Herr Bayer.

Profesor przyglądał się, jak Anna wychodzi z pokoju. Doskonale rozumiał jej frustrację, ale nie mógł postąpić inaczej. Miał umowę z Ludvigiem Josephsonem i Johanem Hennemem, że pozostanie anonimowa. Ale wraz z końcem sezonu ten układ przestawał obowiązywać. Wszystkie wpływowe osoby należące do społeczności muzycznej Christianii z pewnością przyjmą jego zaproszenie, skuszeni możliwością poznania właścicielki tajemniczego, wielkiego głosu Solwejgi. Miał ambitne plany względem młodej Anny Landvik.

Tydzień po ostatnim przedstawieniu *Peer Gynta* Jens obudził się w podłym nastroju. Co prawda Hennem obiecał mu stały angaż w orkiestrze podczas gościnnych występów zespołów operowych i baletowych, ale jeszcze przez miesiąc, aż do rozpoczęcia nowego sezonu, nie mógł liczyć na zajęcie. Na uniwersytecie opuścił zbyt wiele wykładów, żeby móc przystąpić do egzaminów końcowych, i nie miał szans na zdobycie dyplomu.

W zeszłym tygodniu, przed przedostatnim spektaklem w sezonie, zebrał się na odwagę i pokazał Hennemowi swoje kompozycje, które godzinami spisywał w czasie, gdy powinien się uczyć. Dyrygent uznał je za niezbyt nowatorskie, ale niezłe jak na początkującego.

– Uważam, młody człowieku, że powinieneś wyjechać na studia muzyczne. Masz niewątpliwie talent, ale musisz nauczyć się „słyszeć”, jak zapisane przez ciebie dźwięki będą brzmiały rozpisane na różne instrumenty. Na przykład, czy ten fragment – Hennem wskazał nuty – będzie grany przez całą orkiestrę? Czy może... – zagrał na fortepianie cztery pierwsze takty, które przypominały *Poranek* Herr Griega – tylko na flecie? – Uśmiechnął się ironicznie, a Jens oblał się rumieńcem.

– Rozumiem, o co panu chodzi.

– A czy drugi pasaż powinien być zagrany przez skrzypce? A może wiolonczelę lub altówkę?

Dyrygent oddał Jensowi nuty i poklepał go po ramieniu.

– Jeśli poważnie myślisz o pójściu drogą Herr Griega i innych wybitnych kompozytorów, radzę ci nauczyć się, jak tworzyć muzykę zgodnie z wiedzą, jaką mamy na ten temat, tą, którą mamy w głowach, i tą podręcznikową.

– Ale tu, w Christianii, nie ma nikogo, kto mógłby mnie tego nauczyć – poskarżył się Jens.

– To prawda. Dlatego powinieneś wyjechać za granicę, tak jak to uczynili wszyscy znakomici skandynawscy muzycy i kompozytorzy. Na przykład do Lipska, jak Herr Grieg.

Jens odszedł, w duchu przeklinając swoją naiwność. Doskonale wiedział, że jeśli wybierze karierę muzyczną, a ojciec podtrzyma swoją groźbę i odetnie go od funduszy, nie będzie miał ani grosza, żeby opłacić chesne w konserwatorium. Zdał sobie również sprawę, że wrodzony talent przestał mu już wystarczać. Jeśli naprawdę chciał zostać kompozytorem, musi nauczyć się właściwych technik. Nadszedł czas, aby nad tym popracować.

Wszedł wejściem dla aktorów, karcąc się za to, że przez ostatnie trzy lata roztrwonil mnóstwo pieniędzy. Gdyby nie wydawał tyle na kobiety i alkohol, zbierałby kwotę, która wystarczyłaby na pokrycie kosztów związanych z nauką. Teraz z pewnością było już na to za późno. Zmarnował swoją szansę i mógł za to

winić wyłącznie siebie.

*

Jens postanowił, że kiedy *Peer Gynt* zniknie z programu teatru, zerwie z dotychczasowym trybem życia, ale obudził się z przeraźliwym bólem głowy. Poprzedniego wieczoru w desperacji skierował swoje kroki do Engerbret, żeby utopić smutki w alkoholu w towarzystwie pierwszego napotkanego muzyka.

W domu panowała cisza. Oznaczało to, że jest późny poranek, ojciec wyszedł do browaru, a matka z pewnością poszła na kawę z którąś z koleżanek. Rozpaczliwie potrzebował kawy, więc zadzwonił dzwonkiem po Dorę. Dziewczyna po chwili zapukała do drzwi, na jego znak weszła z obrażoną miną i położyła tacę na łóżku, robiąc przy tym niepotrzebny hałas.

– Która jest godzina? – spytał.

– Jedenasta trzydzieści, proszę pana. Czy mogę czymś jeszcze służyć?

Spojrzał na nią i wiedział, że dąsa się, bo nie poświęcał jej ostatnio wystarczająco dużo uwagi. Zastanawiał się, czy powinien postarać się ją udobruchać, aby ułatwić sobie życie, ale napił się kawy, pomyślał o Annie i doszedł do wniosku, że nie potrafi się do tego zmusić.

– Nie, dziękuję.

Odwrócił wzrok, by nie widzieć jej urażonej miny, wziął gazetę i udawał, że czyta, dopóki dziewczyna nie wyszła z pokoju. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, odłożył gazetę i ciężko westchnął. Wstydział się, że poprzedniego dnia się upił, ale brak perspektyw na przyszłość tak go przybił, że zwyczajnie próbował o wszystkim zapomnieć. Nie miał wątpliwości, że Anna Landvik przyłożyła się do jego podłego nastroju.

– Co z tobą? – spytał go wczoraj Simen. – Na pewno jak zwykle problemy z kobietami?

– Chodzi o dziewczynę, która śpiewała jako Solwejga. Nie mogę przestać o niej myśleć. Chyba po raz pierwszy w życiu jestem naprawdę zakochany.

Simen roześmiał się głośno.

– Nie widzisz, o co naprawdę chodzi? – rzucił.

– Nie! I nie rozumiem, co cię tak bawi?

– Jest jedyną dziewczyną, która odrzuciła twoje zaloty! I dlatego wydaje ci się, że się w niej zakochałeś! Być może oczarował cię jej niewinny wiejski urok, ale przecież ona nie pasuje do takiego wykształconego mieszczucha jak ty.

– Mylisz się! Kochałbym ją tak samo, gdyby była arystokratką. Ma najcudowniejszy głos, jaki w życiu słyszałem. I twarz anioła.

Simen spojrzał na pusty kieliszek młodszego kolegi.

– Zdecydowanie gadasz tak, bo się napiłeś. Zaufaj mi, przyjacielu. Cierpisz z powodu pierwszego w życiu odrzucenia, a nie miłości.

Teraz Jens popijał letnią kawę i zastanawiał się, czy Simen ma rację. Nadal nie mógł jednak zapomnieć o pięknej twarzy dziewczyny i jej niebiańskim głosie. A w obliczu obecnych dylematów wolałby nigdy nie poznać Anny Landvik. Ani nie usłyszeć jej śpiewu.

*

– Nasz wieczorek towarzyski odbędzie się piętnastego czerwca, w dniu urodzin Herr Griega – oznajmił Annie Herr Bayer, gdy spotkali się w salonie kilka dni po ostatnim spektaklu *Peer Gynta*. – Wyślę mu zaproszenie, aby mógł osobiście poznać swoją Solweję, chociaż wydaje mi się, że teraz przebywa zagranicą. Ułożymy program, który będzie zawierał zarówno jego pieśni ludowe, jak i utwory z *Peer Gynta*. Ponadto zaśpiewasz arię Violetty z *Traviaty* i jeden z hymnów, na przykład *Leid, Milde Ljos*. Chciałbym, żeby wszyscy usłyszeli, jaką masz skalę głosu.

– Czy to nie będzie kolidowało z moim wyjazdem? Nadal będę mogła pojechać do Heddal na ślub brata? – spytała Anna. Pomyślała, że jeśli niebawem nie będzie miała okazji pooddychać świeżym powietrzem, pewnie się udusi.

– Oczywiście, moja droga. Wyjedziesz do Heddal zaraz po przyjęciu i spędzisz tam całe lato. Od jutra poważnie zabieramy się do pracy. Mamy miesiąc na doprowadzenie twojego głosu do perfekcji.

Herr Bayer zatrudnił cały sztab nauczycieli, którzy mieli z nią pracować. Wrócił Günther, który szkolił ją w utworach operowych. Dyrygent chóru z katedry (z obgryzionymi paznokciami i świecąca, łysiejąca głowa) uczył ją, jak poprawnie zaśpiewać hymn, a z kolei Herr Bayer przez godzinę dziennie szkolił ją w technikach wokalnych. Krawcowa wzięła z niej miarę i uszyła stroje idealnie pasujące do wschodzącej gwiazdy. A najwspanialsze było to, że profesor nareszcie zaczął zabierać Annę na koncerty i recitale.

Pewnego wieczoru, gdy wybierali się do teatru Christiania na premierę *Cyrulika sewilskiego* Rossiniego w wykonaniu zespołu operowego z Włoch, tuż przed wyjściem Anna wkroczyła do salonu w sukni z ciemnoniebieskiego jedwabiu – jednej ze swoich nowych wytwornych kreacji.

– Młoda damo, wyglądasz olśniewająco – ocenił Herr Bayer. – Ten kolor idealnie do ciebie pasuje. Pozwól, że jeszcze wzmocnię efekt.

Otworzył skórzane puzderko, w którym znajdował się szafirowy naszyjnik i kolczyki do kompletu. Lśniące kamienie różnej wielkości zawieszono na złotym ozdobnym łańcuszku, z pewnością wykonanym przez utalentowanego rzemieślnika. Anna patrzyła na biżuterię i zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

– Herr Bayer...

– To należało do mojej żony i bardzo bym chciał, żebyś to dzisiaj włożyła. Pomogę ci zapiąć naszyjnik.

Nie mogła zaprotestować, ponieważ profesor już wyciągał biżuterię z pudełka. Kiedy zapinał naszyjnik, poczuła na karku jego dotyk.

– Pasuje doskonale – rzekł usatysfakcjonowany. Stał na tyle blisko, że czuła jego nieświeży oddech. – Możemy iść i pokazać się w teatrze Christiania.

*

Przez kolejny miesiąc Anna starała się skoncentrować na nauce i cieszyć się z pobytu w Christianii. Regularnie pisała listy do Larsa i co wieczór żarliwie się modliła. Ale myśli o Jensie Halvorsenie Groźnym – nazwała go tak w nadziei, że w ten sposób zatrwoży swoje zdradzieckie serce – wracały do niej ze zdwojoną siłą. Pragnęła mieć przyjaciela, któremu mogłaby się zwierzyć z tej przypadłości. Być może istnieje jakieś lekarstwo, które przegnałoby nieczyste myśli z jej głowy.

– Dobry Boże – modliła się – chyba jestem bardzo, bardzo chora.

Gdy nadszedł piętnasty czerwiec, zauważyła, że Herr Bayer jest niezwykle podekscytowany.

– Moja droga, zatrudniłem skrzypka i wiolonczelistę, aby ci akompaniowali – oznajmił. – Ja oczywiście zagram na fortepianie. Przyjdą dzisiaj rano na próbę. Po południu powinnaś odpocząć przed tak ważnym dla nas obojga wieczorem.

O jedenastej rozległ się dzwonek i siedząca w salonie Anna usłyszała, jak Frøken Olsdatter otwiera drzwi i wita muzyków. Wstała, kiedy wchodzili do pokoju z Herr Bayerem.

– Przedstawiam ci wiolonczelistę Herr Isaksena i skrzypka Herr Halvorsena – dokonał prezentacji profesor. – Obaj zostali poleceni przez mojego przyjaciela Herr Henuma.

Annie zakręciło się w głowie, kiedy zobaczyła Jensa Halvorsena Groźnego podchodzącego, żeby się z nią przywitać.

– Frøken Landvik, jestem zaszczycony, że mogę pani dziś wieczór akompaniować.

– Dziękuję – wykrzesła z siebie odpowiedź i zobaczyła w jego oczach rozbawienie. Serce jej waliło i nic w tej sytuacji nie wydawało się Annie zabawne.

– Zaczniemy od Verdiego – zaproponował Herr Bayer, a muzycy ustawili się obok niego przy fortepianie. – Jesteś gotowa, Anno?

– Tak, Herr Bayer.

– Wobec tego zaczynamy.

Wiedziała, że podczas próby nie dała z siebie wszystkiego. Wyczuwała złość Herr Bayera, zapominała bowiem o wszystkim, czego ją uczył, a pod koniec *vibrato* zabrakło jej tchu. To wszystko przez Jensa Halvorsena Groźnego, pomyślała ze złością.

– Na chwilę obecną musi nam to wystarczyć – powiedział. – Miejmy nadzieję, że wieczorem lepiej się zgramy. Przyjdźcie, panowie, punktualnie

o szóstej trzydzieści. Przyjęcie rozpocznie się o siódmej.

Jens i jego towarzyszy uprzejmie pokiwali głowami i pośpiesznie uklonili się Annie. Gdy ten pierwszy wychodził z pokoju, spojrzał wymownie na Annę swoimi piwnymi oczami.

– Anno, co z tobą? – spytał ją profesor. – Z pewnością nie chodzi tu o akompaniament. Przecież śpiewałaś już z orkiestrą podczas przedstawień *Peer Gynta*.

– Proszę mi wybaczyć, Herr Bayer. Trochę boli mnie głowa.

– A ja myślę, że ogarnął cię zrozumiały atak paniki, młoda damo. – Odrobinę złagodniał i poklepał ją po ramieniu. – Zjesz lekki obiad i odpoczniesz. A tuż przed wieczornym występem wypijemy razem mały kieliszek wina, który ukoji ci nerwy. Jestem pewny, że odniesiemy sukces, a jutro będziesz znana w całej Christianii.

O siedemnastej Frøken Olsdatter weszła do pokoju Anny z kubkiem wody i jak zwykle z miodem.

– Przygotowałam dla ciebie kąpiel, moja droga. Idź do łazienki, a ja w tym czasie przyszykuję ci ubranie. Herr Bayer prosił, żebyś miała na sobie ciemnoniebieską suknię i szafiry jego żony. Chce także, abyś miała upięte włosy. Kiedy wrócisz, pomogę ci się wyszykować.

– Dziękuję.

Anna leżała w wannie z kawałkiem flaneli na twarzy i starała się uspokoić bicie serca, które nie przestawało walić w jej piersi, od kiedy zobaczyła Jensa Halvorsena. Wystarczyło, że stanął przed nią, a od razu poczuła, jak reaguje na niego jej ciało: kolana, gardło i serce.

– Boże, daj mi siłę i odwagę – modliła się szeptem. Wyszła z wanny i wytarła się. – I wybacz mi, że życzę mu rozstroju żołądka, żeby nie mógł dziś wieczorem grać.

Ubrała się i kiedy Frøken Olsdatter pomogła jej się uczesać, Anna poszła do salonu, gdzie w półokręgu ustawiono w rzędach trzydzieści połączonych, obitych czerwonym aksamitem krzeseł zwróconych w kierunku fortepianu, który stał przy wykuszowym oknie. Jens Halvorsen i wiolonczelista rozmawiali już z Herr Bayerem. Twarz profesora rozświetliła się na widok Anny.

– Wyglądasz olśniewająco, moja droga – powiedział z aprobatą i podał jej kieliszek wina. – Zanim przyjdą goście i zrobi się zamieszanie, wnieśmy toast za ten wieczór.

Łyknęła trochę wina i przez krótką chwilę czuła wzrok Jensa na swoim dekolcie. Nie miała pewności, czy patrzy na błyszczącą biżuterię, czy jej nagie jasne ciało, ale czuła, że się czerwieni.

– Za ciebie, Anno – wznosił toast Herr Bayer.

– Tak, za Frøken Landvik – dołączył Jens i uniósł swój kieliszek.

– A teraz usiądziesz z Frøken Olsdatter w kuchni, a ja za jakiś czas po ciebie przyjdę – powiedział profesor.

– Tak, Herr Bayer.

– Powodzenia, najdroższa – wyszeptał Jens, kiedy przechodziła obok niego.

Anna nie wiedziała, czy to dzięki winu, czy Jensowi Halvorsenowi Groźnemu, który z takim wyczuciem akompaniował jej na skrzypcach, ale gdy wyśpiewała ostatnią nutę, wiedziała, że tego wieczoru dała z siebie wszystko.

Po salwie entuzjastycznych oklasków, goście, wśród których znajdował się Johan Hennem, zgromadzili się wokół, aby jej pogratulować. Dostała propozycje publicznych występów u wolnomularzy i w miejskiej sali zebrań. Herr Bayer stał obok, dumnie patrząc na nią okiem właściciela, podczas gdy Jens czekał z tyłu na swoją kolej. Kiedy w końcu profesor odszedł, Jens skorzystał z okazji, żeby z nią porozmawiać.

– Frøken Landvik, ja również pragnę pogratulować pani znakomitego występu.

– Dziękuję, Herr Halvorsen.

– Błagam cię, Anno – dodał półgłosem. – Cierpię straszne katusze. Nie mogę przestać o tobie myśleć, marzyć... Czy nie widzisz, że los znowu nas połączył?

Wypowiedział jej imię tak czule, że zmusiła się, by beznamiętnie patrzeć ponad jego ramieniem. Wiedziała, że jeśli spojrzy mu w oczy, będzie stracona. Bo jego słowa dokładnie odzwierciedlały jej myśli...

– Spotkajmy się, proszę. Gdziekolwiek, kiedykolwiek...

– Herr Halvorsen, wkrótce jadę do domu – udało jej się w końcu wydobyć głos. – Do Heddal, na ślub brata.

– Więc spotkajmy się, kiedy wrócisz do Christianii. Anno... – Zaczął się do nich zbliżać Herr Bayer, więc Jens się oficjalnie uklonił. – Ten wieczór był dla mnie ogromną przyjemnością, Frøken Landvik.

Kiedy wyprostował się i popatrzył Annie w oczy, zobaczyła w jego spojrzeniu rozpacz.

– Czyż nie była cudowna? – Herr Bayer poklepał Jensa po ramieniu. – Te płynne przejścia do średnich i wysokich rejestrów i jej fenomenalne *vibrato*... To było jej najlepsze wystąpienie!

– Rzeczywiście, Frøken Landvik śpiewała dzisiaj cudownie. Muszę już iść – powiedział Jens i wyczekująco popatrzył na Herr Bayera.

– Ach, tak. Wybacz mi, moja droga Anno, muszę się rozliczyć z naszym młodym skrzypkiem.

Kiedy godzinę później w końcu udała się do swojego pokoju, miała zawroty głowy. Być może spowodowane były emocjami, które towarzyszyły temu wieczorowi, lub niepotrzebnie wypitym kolejnym kieliszkiem wina, ale gdzieś w środku wiedziała, że tak naprawdę winny jest Jens Halvorsen. Na szczęście

Frøken Olsdatter pomogła jej się rozebrać.

Anna była odurzona tym, że Jens Halvorsen jest w niej zakochany. I musiała przyznać sama przed sobą, że ona także go kocha...

*

Stalsberg Våningshuset

Tindevegen

Heddal

30 czerwca 1876

Kjære Anna

Mam przykre wieści. W zeszły wtorek zmarł mój ojciec. Na szczęście w spokoju. Jak wiesz, ostatnio bardzo cierpiał, więc musiało stać się nieuniknione. Pogrzeb odbędzie się, zanim otrzymasz ten list, ale musiałem Cię o tym poinformować.

Twój ojciec prosił, abym Ci przekazał, że uprawa jęczmienia wygląda dobrze, więc jego obawy były nieuzasadnione. Anno, kiedy przyjedziesz na ślub brata, będziemy musieli porozmawiać o przyszłości. Pomimo złych wiadomości cieszę się, że niedługo znowu Cię ujrzę.

Do zobaczenia.

Z miłością

Lars

Po przeczytaniu listu Anna położyła się na poduszce i pomyślała, że sama nie jest ani trochę lepszym człowiekiem od Jensa Halvorsena Groźnego. Od czasu, kiedy zobaczyła go w mieszkaniu Herr Bayera, nie mogła myśleć o niczym innym. Nawet kiedy zachwycony profesor poinformował ją o kolejnych recitalach, które dla niej zorganizował, nie potrafiła zmusić się, by okazać oczekiwany entuzjazm.

Zeszłego wieczoru poprosił, aby dzisiaj o jedenastej stawiała się w salonie. Należycie ubrana, ale wyraźnie nieszczęśliwa, wyszła ze swojego pokoju. Gdy znalazła się w salonie, zauważyła, że Herr Bayer jest czymś bardzo podekscytowany.

– Anno! Mam dla ciebie wspaniałą wiadomość. Dzisiaj rano spotkałem się

z Johanem Hennemem i Ludvigiem Josephsonem. Pewnie pamiętasz, że Herr Hennem był naszym gościem podczas twojego występu. Poinformował mnie, że ze względu na ogromne powodzenie *Peer Gynta* znajdzie się on również w repertuarze jesiennym. Zaproponowali, byś wystąpiła w roli Solweigi.

Patrzyła na niego zdumiona i zrozpaczona.

– Chce pan powiedzieć, że będę stała z boku sceny i śpiewała, podczas gdy madame Hansson będzie ruszała ustami i udawała, że mój głos należy do niej?

– Naprawdę uważasz, że mógłbym ci coś takiego zaproponować? Moja droga, oni chcą, żebyś zagrała tę rolę jak należy. Madame Hansson jest aktualnie niedostępna, a poza tym, skoro wielbiciele muzyki z Christianii dowiedzieli się, do kogo należy ten piękny głos, chcą, abyś to ty wystąpiła. Na dodatek Herr Grieg zapowiedział, że w końcu do nas przyjedzie, żeby zobaczyć przedstawienie. Zarówno Johan, jak i Ludvig uważają, że przed jego przyjazdem nikt nie nauczy się lepiej interpretować jego utworów niż ty. Zapraszają cię na przesłuchanie w ten czwartek i zdecydują, czy masz wystarczający talent aktorski. Może udało ci się zapamiętać jakieś kwestie Solweigi?

– Tak, Herr Bayer. Kiedy występowała madame Hansson, często powtarzałam je po cichu – odparła Anna. Poczwała dreszcz podniecenia. Czy naprawdę chcą ją widzieć w roli gwiazdy? I czy Jens Halvorsen Już Nie Taki Groźny będzie grał w orkiestrze...?

– Doskonale! W takim razie dzisiaj zapomnimy o gamach i nowej arii, której miałem cię nauczyć, i przećwiczymy razem całość sztuki. Ty będziesz mówiła kwestie Solweigi, a ja wszystkie pozostałe. – Wziął z biurka tekst i go otworzył. – Usiądź, proszę. Sztuka jest bardzo długa, ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Gotowa? – spytał.

– Tak, Herr Bayer – odpowiedziała Anna, próbując sobie przypomnieć cały tekst.

*

– No proszę! – zawołał z podziwem Herr Bayer godzinę później. – Wygląda na to, że nie tylko masz piękny głos, ale także talent do wcielania się w rolę. – Wziął jej rękę i pocałował. – Moja droga, muszę przyznać, że ciągle mnie zadziwiasz.

– Dziękuję.

– Anno, postaraj się zachować spokój na przesłuchaniu. Odegraj tę rolę tak jak dzisiaj, a na pewno ją dostaniesz. A teraz chodź. Zjemy razem obiad.

*

Punktualnie o czternastej w czwartek Anna spotkała się na scenie teatru z Herr Josephsonem. Usiedli obok siebie, aby wspólnie przeczytać tekst.

Początkowo drżał jej głos, ale w miarę czytania zyskiwała pewność siebie. Przeczytała zarówno scenę, gdy Solwejga spotyka Peera po raz pierwszy w trakcie ślubu, jak i końcową, kiedy Peer wraca po światowych wozach, a ona mu wybaczca.

– Doskonale, Frøken Landvik – powiedział Herr Josephson, pełen uznania. – Myślę, że to, co usłyszałem, mi wystarczy. Muszę przyznać, że początkowo nie byłem przychylny pomysłowi Herr Henuma, ale jak na pierwszy raz bardzo dobrze się zaprezentowałaś. Będziemy musieli popracować nad siłą twojego głosu i wyrażaniem emocji, ale zgadzam się, żebyś w nadchodzącym sezonie wystąpiła w roli Solwejgi.

– Anno! Czyż to nie wspaniała wiadomość? – Na scenę wszedł Herr Bayer, który do tej pory siedział na widowni.

– Próby rozpoczną się w sierpniu, a pierwsze przedstawienie odbędzie się we wrześniu. Mam nadzieję, że nie planujesz w tym czasie wyjazdu na wieś? – spytał Herr Josephson.

– Możesz być pewny, że Anna nie wyjedzie – odpowiedział za nią profesor. – Przejdźmy zatem do kwestii wynagrodzenia, które z pewnością należy się Frøken Landvik za pierwszoplanową rolę.

Dziesięć minut później, gdy siedzieli w powozie, zaproponował obiad w Grand Hotelu dla uczczenia sukcesu Anny.

– Jest ogromna szansa, że jesienią przyjedzie Herr Grieg, żeby zobaczyć cię na scenie – powiedział po chwili. – Tylko pomyśl, moja droga, jeśli mu się spodobaś, otworzy się dla ciebie droga do występów w zagranicznych teatrach i halach koncertowych...

Myśli Anny powędrowały jednak w kierunku Jensa Halvorsena siedzącego w fosie orkiestrowej i patrzącego na nią, gdy w roli Solwejgi mówi o miłości.

*

– Napiszę do twoich rodziców i przekażę im wspaniałe wieści. Poproszę ich, aby i mnie, i Christianii pozwolili cieszyć się tobą jeszcze przez następnych kilka miesięcy. W lipcu pojedziesz do domu na ślub brata i wrócisz w sierpniu – powiedział Herr Bayer przy obiedzie. – Ja również wyjadę z Christianii. Co roku odwiedzam nasz rodzinny dom letniskowy w Drøbak, żeby zobaczyć się z siostrą i moją biedną schorowaną matką.

– A więc nie będę miała czasu, żeby pojechać w góry? – spytała rozdrażniona Anna. Pragnęła na własne oczy zobaczyć, czy Rosa jeszcze żyje.

– Anno, przed tobą jeszcze wiele dni śpiewania krowom, ale szansa na to, by wystąpić w głównej roli w *Peer Gyncie* wystawianym w teatrze Christiania, może się już nie powtórzyć. Ja oczywiście również wrócę, zanim rozpoczniesz próby.

– Jestem pewna, że Frøken Olsdatter się mną zajmie, jeśli pana nie będzie.

Nie chciałabym, aby moje potrzeby były dla pana przeszkodą – odpowiedziała uprzejmie.

– Nawet tak nie mów, moja droga. Teraz twoje potrzeby są również moimi.

Tego wieczoru z ulgą wróciła do swojego pokoju. Naturalna żywiłość Herr Bayera była uroczą cechą, ale na co dzień stawała się męcząca. Anna uklękała, żeby się pomodlić, i pomyślała, że Lars jest przynajmniej spokojny. Wiedziała, że niebawem się z nim zobaczy, i bardzo starała się przypomnieć sobie jego dobre cechy. Ale nawet kiedy rozmawiała o Larsie z Jezusem, jej myśli uciekały w kierunku Jensa Halvorsena.

– Boże, wybacz mi. Chyba zakochałam się w niewłaściwym mężczyźnie. Pomóż mi kochać tego, którego powinnam kochać. I proszę cię... – próbowała znaleźć słowa, które nie brzmiałyby samolubnie – aby Rosa przeżyła jeszcze jedno lato.

Tydzień później Anna wyjechała do Heddal. Tymczasem Jens szedł w kierunku centrum Christianii i niósł walizki ze swoim najcenniejszym dobytkiem. Wydarzenia ostatnich kilku godzin kompletnie go wykończyły.

Podczas śniadania usiadł w jadalni wyprostowany i pewny siebie, a na talerzu przed nim leżał nietknięty chleb z konfiturą. Wziął głęboki oddech i zdobył się na odwagę, aby szczerze porozmawiać z ojcem.

– *Far*, zrobiłem wszystko, żeby sprostać twoim oczekiwaniom, lecz nie widzę dla siebie przyszłości w browarze. Chciałbym zostać muzykiem, a pewnego dnia nawet kompozytorem. Przykro mi, ale nie zmienię tego, kim jestem.

Jonas posolił jajka, nabrał na widelec i odpowiedział:

– W porządku. Podjąłeś decyzję. Tak jak zapowiadałem, w tej sytuacji nie możesz liczyć na moje pieniądze. I muszę cię wydziedziczyć. Od tej chwili przestajesz być moim synem. Po prostu nie mogę znieść, że odrzucasz swoją szansę, a tym samym mnie zdradzasz. W związku z tym chciałem, abys opuścił ten dom. Proszę, aby cię tu nie było, kiedy wrócę po południu z pracy.

Jens próbował udawać przed ojcem, że go to nie obeszło, był jednak zszokowany. Spojrzał na przerażoną twarz matki.

– Jonasiu, *kjære*, za kilka dni są dwudzieste pierwsze urodziny twojego syna... zaprosiliśmy z tej okazji gości. Na kilka dni możesz mu odpuścić i pozwolić świętować z rodzicami i przyjaciółmi.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, wątpię, aby ktokolwiek z nas mógł świętować. A jeśli uważasz, że w ciągu kilku dni zmienię decyzję, bardzo się mylisz. – Jonas złożył gazetę na pół. – Muszę już iść. Miłego dnia.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, matka Margarete wybuchła płaczem. W całej tej sytuacji najtrudniejsza do zniesienia dla Jensa była jej rozpacz, ale starał się pocieszyć matkę najlepiej, jak potrafił.

– Zawiodłem go. Może powinienem zmienić zdanie...

– Nie, nie... Musisz podążać za swoją pasją. Szkoda, że ja nie miałam tyle odwagi co ty, kiedy byłam w twoim wieku. Wybacz mi, *kjære*. Chyba żyłam złudzeniami. Liczyłam na to, że twój ojciec zmieni zdanie.

– Ja nie, więc byłem na to przygotowany. Muszę zatem zrobić to, co powiedział: wyprowadzić się. Wybacz, *mor*, pójdę się spakować.

– Może nie powinnam była cię do tego namawiać wbrew jego woli. – Margarete pokręciła głową. – To było do przewidzenia, że on wygra.

– Nie wygrał, *mor*. Zrobiłem to z własnej nieprzymuszonej woli. I chcę ci powiedzieć, że jestem ci bardzo wdzięczny za zaszczepienie we mnie miłości do muzyki. Myśl o przyszłości bez niej byłaby dla mnie nie do zniesienia.

Godzinę później stanął na dole w holu z dwiema walizkami wypełnionymi

tym, co mógł udźwignąć.

Zapłakana matka czekała w salonie.

– Kochanie – powiedziała, płacząc mu w ramię – może pewnego dnia twój ojciec pożałuje swojej decyzji i poprosi, żebyś wrócił do domu.

– Oboje wiemy, że tego nie zrobi.

– Dokąd pójdziesz?

– Mam przyjaciół w orkiestrze i jestem pewien, że któryś z nich zapewni mi dach nad głową. Przynajmniej tymczasowo. Bardziej martwię się o ciebie. Chyba nie powinienem cię z nim zostawiać.

– O mnie się nie martw, *kjære*. Obiecuj tylko, że napiszesz i dasz mi znać, gdzie mieszkaś.

– Oczywiście.

Matka wręczyła mu niewielki pakunek.

– Na wypadek gdyby twój ojciec wcielił w życie swoją groźbę, sprzedałam naszyjnik z brylantami i kolczyki, które dostałam od niego na czterdzieste urodziny. Pieniądze są tutaj. Znajdziesz tam również złotą obrączkę ślubną mojej matki, którą w razie potrzeby również możesz sprzedać.

– *Mor...*

– Już dobrze. Należały do mnie, a jeśli spyta, co się z nimi stało, powiem mu prawdę. Wystarczy na opłacenie rocznego chesnego i na utrzymanie w Lipsku. Przysięgnij, że wyciągnąłeś już wnioski ze swojego zachowania i nie rozpuścisz tych pieniędzy.

– *Mor...* – Jensowi było ciężko cokolwiek z siebie wykrztusić. – Obiecuję. – Nie czekając, aż kompletnie się rozklei, objął matkę i pocałował na pożegnanie.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia usiądę na widowni teatru Christiania i zobaczę cię w roli dyrygenta, a orkiestra zagra utwory, które skomponowałeś.

– Obiecuję ci to, *mor*, i zrobię wszystko, żeby spełnić tę obietnicę.

Po raz ostatni wyszedł ze swojego rodzinnego domu. Z jednej strony, był oszołomiony, a z drugiej, cieszył się ze swojej decyzji. Co prawda zapewniał matkę, że ma dokąd pójść, ale nic nie zaplanował na wypadek, gdyby ojciec dotrzymał słowa. Nie mając innego wyjścia, poszedł prosto do Engebret, w nadziei, że spotka tam kogoś znajomego, u kogo będzie mógł zatrzymać się na noc. Simen zgodził się przyjąć go pod swój dach, zapisał mu swój adres i umówił się na miejscu.

Jens wypił kilka piw, aby zapomnieć o tym, co się właśnie stało, i poszedł w kierunku części miasta, w której jeszcze nigdy nie był. W swoich wytwornych, szytych na miarę ubraniach wyróżniał się na tle mieszkańców tej okolicy. Od dźwignania dwóch dużych walizek rozboleły go ramiona i postanowił przyspieszyć kroku, aby uniknąć wzroku przechodniów.

Nigdy jeszcze nie był tak daleko od centrum miasta. W innych dzielnicach

obowiązywał zakaz budowania drewnianych domów ze względu na zagrożenie pożarowe, ale tutaj najwyraźniej nikt się tym nie przejmował. Im dalej szedł, tym w gorszym stanie były mijane domy. W końcu zatrzymał się przed jednym z nich i dwa razy sprawdził adres, który podał mu Simen. Zapukał do drzwi. Usłyszał chrząknięcie i splunięcie, po czym w progu stanął jak zwykle podпиты, ale uśmiechnięty Simen.

– Wchodź, chłopcze. Witam cię w moich skromnych progach. Nie ma tu luksusów, ale znajdziesz u mnie dach nad głową.

Jens wszedł do dusznego przedpokoju, w którym unosił się zapach zepsutego jedzenia i dymu z fajki Simena. Wszędzie były instrumenty – dwie wiolonczele, altówka, fortepian i mnóstwo skrzypiec...

– Dziękuję, Simenie. Jestem ci bardzo wdzięczny, że dajesz mi schronienie.

Skrzypek machnął ręką.

– Nie ma za co. Każdy młody człowiek, który porzuca wszystko dla muzyki, zasługuje na moje wsparcie. Jestem z ciebie bardzo dumny. Chodź na górę. Pokażę ci, gdzie będziesz spał.

– Zebrałeś tu pokazną kolekcję – rzucił Jens, manewrując między porozstawianymi instrumentami, po czym ruszył za gospodarzem po wąskich drewnianych schodach.

– Nie mogę się powstrzymać od ich kupowania. Jedna z wiolonczeli ma prawie sto lat – wyjaśnił Simen. Stare schody zaskrzypiały pod ciężarem Jensa niosącego na górę dwie walizki.

Weszli do pokoju ze zniszczonymi krzesłami i zakurzonym stołem, na którym widoczne były kilkudniowe resztki jedzenia i picia.

– Jest tu gdzieś siennik do spania – oznajmił Simen. – Na pewno nie są to warunki, do jakich przywykłeś, ale lepsze to niż nic. A teraz, mój drogi przyjacielu, co byś powiedział na wódkę kminkową, aby uczcić twoją niezależność? – Wziął ze stołu butelkę. Powąchał szklankę i wylał z niej na podłogę kilka kropel płynu.

– Dziękuję.

Jens wziął od przyjaciela brudną szklankę. Jeśli tak ma wyglądać jego nowe życie, musi przyjmować je takim, jakie jest. Tego wieczoru strasznie się upił, więc rano obudził się z okropnym kacem, a od spania na twardym sienniku wszystko go bolało. Zdał sobie sprawę, że Dora nie przyniesie mu kawy, która ukołaby jego cierpienie. Przypomniawszy sobie o pieniądzach otrzymanych od matki i spanikowany sprawdził, czy znajdują się w kieszeni kurtki, gdzie je włożył, kiedy wyszedł z domu. Na szczęście były bezpieczne. Otworzył pakunek, w którym znajdował się pierścionek i pieniądze, i uznał, że to na pewno wystarczy na pokrycie rocznego czynszu w Lipsku. Mógłby też zaszaleć, wydając je na kilka nocy w wygodnym hotelowym łóżku, przemknęło mu przez głowę.

Nie, opamiętał się. Obiecał matce, że nie roztrwoni tych pieniędzy,

i dotrzyma słowa. Nie może jej zawieść.

*

Pierwszy etap podróży do domu Anna pokonała pociągiem. Kiedy dojechała do Drammen, było już ciemno. Wsiadła z wagonu i zobaczyła, że na peronie czeka na nią ojciec.

– *Far!* Tak się cieszę, że cię widzę!

Przytuliła się do ojca, publicznie okazując mu uczucia, co ogromnie go zaskoczyło.

– Już dobrze, Anno. Na pewno jesteś bardzo zmęczona po podróży. Pojedziemy teraz do zajazdu i zatrzymamy się tam na noc. Jak się porządnie wypisisz, ruszymy w drogę do Heddal.

Następnego ranka Anna obudziła się wypoczęta i wsiadła z ojcem do wozu. Anders popędził konia.

– W świetle dziennym wyglądasz jakoś inaczej – powiedział, gdy ruszyli. – Chyba stałaś się dorosłą kobietą. Jesteś piękna.

– Na pewno nie, *far*.

– Wszyscy w domu na ciebie czekają. Matka szykuje odświętną kolację powitalną, na którą przyjdzie Lars. Otrzymaliśmy list od Herr Bayera, napisał nam o twoim sukcesie w teatrze Christiania. On uważa, że rola Solwejgi jest w tej sztuce najważniejsza.

– To prawda. Czy to znaczy, że nic nie macie przeciwko temu, żebym została w Christianii trochę dłużej?

– Nieprzyzwoicie byłoby odmówić po tym wszystkim, co zrobił dla ciebie Herr Bayer – spokojnie odpowiedział Anders. – Napisał nam, że dzięki temu będziesz sławna, a twój głos już jest znany w całym mieście. Jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

– Herr Bayer chyba trochę przesadza. – Anna się zarumieniła.

– Wątpię. Tak czy inaczej, będziesz musiała porozmawiać z Larsem. Jest nieszczęśliwy, że znowu musicie odroczyć zaręczyny i ślub, ale mamy nadzieję, że zależy mu na tobie na tyle, że to zrozumie.

Na wspomnienie o Larsie Anna poczuła ucisk w żołądku, ale starała się o tym nie myśleć, żeby nie zepsuć sobie pierwszego dnia w domu.

Dzień był słoneczny. Kiedy wyjechali z Drammen, zamknęła oczy i słyszała jedynie stukot kopyt i śpiew ptaków. Odetchnęła świeżym, czystym powietrzem i zaczęła się zastanawiać, czy wracać do Christianii.

Ojciec poinformował ją, że Rosa przeżyła kolejną zimę, co przywróciło Annie wiarę w skuteczność jej modlitwy. Potem ojciec opowiedział o planach weselnych Knuta i zaangażowaniu matki w pieczenie i gotowanie.

– Sigrid jest miłą dziewczyną i myślę, że będzie dobrą żoną dla Knuta –

dodał. – A co najważniejsze, twoja matka ją polubiła. Przyda jej się pomoc, kiedy z nami zamieszkają, ponieważ ty po ślubie przeprowadzisz się do gospodarstwa Larsa. W przyszłym roku pomyślimy o budowie nowego domu.

Kiedy późnym popołudniem dotarli na farmę, wszyscy wyszli z domu, żeby przywitać Annę. Nawet stara kotka Gerdy przybiegła na swoich trzech łapach najszybciej, jak potrafiła, a za nią hałaśliwie podążała suka Viva, która z radości zaczęła skakać na dziewczynę.

Matka mocno przytuliła Annę.

– Czekałam na ciebie od rana. Jak ci minęła podróż? Dobry Boże, jak ty wychudłaś! Masz za długie włosy. Chyba będę musiała ci je podciąć...

Berit trajkotała bez ustanku przez całą drogę do domu. Kiedy Anna weszła do kuchni, poczuła kojący zapach dymu wymieszanego z talkiem kosmetycznym mamy i wonią mokrego psa.

– Zanieś torbę Anny do jej pokoju – matka poleciła Knutowi i postawiła czajnik na piecu, by zaparzyć kawę. – Mam nadzieję, że nie będziesz miała nam za złe, że przenieśliśmy twoje rzeczy do pokoju Knuta. Był za mały, aby wstawić tam podwójne łóżko dla twojego brata i Sigrid. Jutro poznasz swoją nową siostrę. Sigrid przyjdzie do nas na kolację. Och, Anno, na pewno ją pokochasz. Jest taka dobra, pięknie robi na drutach i wyszywa. Poza tym potrafi gotować, więc jej pomoc w kuchni będzie dla mnie nieoceniona. Przez całą zimę okrutnie męczył mnie reumatyzm.

Przez następną godzinę Anna słuchała, jak matka pod niebiosa wychwala atuty Sigrid. Była trochę rozgniewana, że bezceremonialnie wyrzucili ją ze starego pokoju i nikt jej nawet nie zapytał o zgodę. Ze wszystkich sił starała się odsuwać od siebie myśli, że przyszła bratowa, która była najwyraźniej wzorem domowych cnót, zajęła jej miejsce. Wypiła kawę i poszła rozpakować bagaż przed kolacją.

Kiedy weszła do nowego pokoju, spostrzegła, że cały jej dobytek został powkładany do koszy, w których matka zazwyczaj zanosila kury na targ. Usiadła na twardym materacu Knuta i zastanawiała się, co stało się z jej łóżkiem. Doszła do wniosku, że ojciec prawdopodobnie je porąbał i wykorzystał na opał. Zawiedziona, zaczęła się rozpakowywać.

Wyjęła poszewkę na poduszkę, którą godzinami wyszywała w prezencie ślubnym, od kiedy dowiedziała się, że Knut oświadczył się Sigrid. Co noc ubolewała nad tym, że nie ma odpowiednich umiejętności; nieustannie kłuła się igłą i bez przerwy musiała pruć, kiedy nie udało jej się uzyskać pożądanego ścięgu. Rozłożyła poszewkę na łóżku i spojrzała na wystrzępione dziurki w lnianej tkaninie w miejscach, gdzie musiała coś poprawiać. Nawet jeśli przyszła idealna bratowa zrobi z tej poszewki pościel dla psa, to Anna na pewno haftowała ją z miłością.

Z podniesioną głową wyszła z pokoju i usiadła z rodziną do powitalnej kolacji.

Lars zjawił się, kiedy pomagała mamie podawać jedzenie do stołu. Gdy wszedł do kuchni i zaczął witać się z Knutem i jej rodzicami, niosła właśnie misę z ziemniakami. Natychmiast porównała go do Jensa Halvorsena Groźnego, co mocno ją zdenerwowało. Różnili się całkowicie, zarówno jeśli chodzi o wygląd, jak i charakter. Jens zawsze starał się być w centrum uwagi, podczas gdy Lars trzymał się na uboczu.

– Anno, na miłość boską, odłóż te ziemniaki i przywitaj się z Larsem – zbesztła ją matka.

Dziewczyna odstawiła misę na stół i wytarła ręce w fartuch.

– Witaj, Anno – odezwał się łagodnie Lars. – Jak się masz?

– Bardzo dobrze, dziękuję.

– Podróż minęła spokojnie?

– Tak, dziękuję. – Widziała, że Lars czuje się zakłopotany, kiedy na nią patrzy, i zastanawia się, co tu jeszcze powiedzieć.

– Wyglądasz... zdrowo – wydusił z siebie.

– Naprawdę? – wtrąciła się Berit. – Według mnie jest za chuda. To przez tę miejską dietę i bezustanne jedzenie ryb, które w ogóle nie zawierają tłuszczu.

– Anna zawsze była drobna. – Lars uśmiechnął się do niej porozumiewawczo, starając się ją wesprzeć. – Tak stworzył ją Bóg.

– Przykro mi z powodu śmierci twojego ojca.

– Dziękuję.

– Możemy już usiąść do stołu, Berit? – spytał ojciec. – Jesteśmy zmęczeni długą podróżą i bardzo zgłodniałem.

Podczas posiłku Anna odpowiadała na niezliczone pytania dotyczące jej pobytu w Christianii. Potem rozmawiali o ślubie Knuta i ustalali różne ważne kwestie.

– Anno, pewnie jesteś wykończona po podróży – zauważył w końcu Lars.

– To prawda, jestem zmęczona – przyznała.

– W takim razie zmykaj do łóżka – powiedziała matka. – Przez następne dni czeka nas mnóstwo pracy i nie będzie czasu na sen.

– W takim razie dobranoc. – Anna wstała od stołu.

Kiedy przechodziła przez kuchnię, cały czas czuła na sobie wzrok Larsa. Już prawie się rozebrała, gdy nagle przypomniała sobie, że w domu nie ma łazienki. Z powrotem włożyła ubranie i wyszła na dwór, żeby skorzystać z wychodka. Kiedy wróciła i w końcu się położyła, ciężko jej było wygodnie się ułożyć. W porównaniu z miękką poduszką z gęsiego puchu, na której spała w mieszkaniu Herr Bayera, ta tutaj, z końskiego włosia, wydawała jej się twarda jak skała. Łóżko było za wąskie, a materac – nierówny. Dotarło do niej, że nawet nie zdawała sobie sprawy, jak szybko przyzwyczała się do luksusów. W Christianii nie interesowały jej żadne obowiązki domowe, ponieważ na każde zawołanie miała pod ręką służącą.

Anno, zganiła się, zdaje się, że jesteś rozpieszczona. I z tą myślą natychmiast zasnęła.

*

Tydzień poprzedzający ślub upłynął pracowicie na gotowaniu, sprzątaniu i ciągłej bieżączce, aby zdążyć z ostatnimi przygotowaniami.

Dla zasady Anna postanowiła nie polubić przyszłej bratowej za wszystko, co potrafiła zrobić w domu, ale okazało się, że Sigrid jest dokładnie taka, jak opisywała ją matka. Z pewnością nie była zbyt piękna, ale za to wyróżniała się opanowaniem, co stanowiło przeciwwagę dla wybuchowego charakteru Berit. Tuż przed tak ważnym dniem ta cecha bardzo się przydała. Sigrid była pod wrażeniem życia, które Anna wiodła w Christianii, więc traktowała ją z szacunkiem i bez słowa we wszystkich kwestiach godziła się ze zdaniem Anny.

Najstarszy brat Anny, Nils, przyjechał z żoną i dwójką dzieci dzień przed ślubem. Anna nie widziała go od ponad roku i była szczęśliwa, że nareszcie może poznać swoich małych bratanków.

Radość, którą sprawiało jej spotkanie z rodziną, zakłócała jedna myśl. Wyglądało na to, że wszyscy uważali, że kiedy skończy występować w *Peer Gyntie*, wróci do domu i zamieszka w zniszczonym gospodarstwie Larsa jako jego żona. I będzie z nim dzieliła nie tylko pokój, ale także łóżko.

Nie dawało jej to spokoju; robiło jej się słabo i nie mogła w nocy spać.

Rano w dniu ślubu pomagała Sigrid włożyć ciemnoczerwoną spódnicę i białą lnianą bluzkę, na którą narzuciła czarne bolerko przyozdobione dużymi koralami w kolorze złota. Wokół spódnicy zawiązały przepięknie wyszywaną, kremową zapaskę.

– Te róże są tak misternie wyszyte. Nigdy bym nie potrafiła zrobić czegoś takiego, Sigrid. Jesteś niezwykle uzdolniona.

– Ty po prostu nie masz na to czasu. Szycie tego stroju weselnego zajęło mi wiele zimowych miesięcy – odpowiedziała Sigrid. – A poza tym, ja nie potrafię tak pięknie śpiewać jak ty. Zaśpiewasz dzisiaj wieczorem na weselu, prawda?

– Jeśli sobie tego życzysz, to z przyjemnością. Możemy potraktować to jako mój prezent ślubny dla was. Co prawda coś dla was uszyłam, ale nie jestem zadowolona z efektu – przyznała Anna.

– Nie szkodzi. Na pewno zrobiłaś to z miłością, i tylko to się liczy. Mogłabyś podać mi koronę i pomóc ją włożyć?

Anna wyjęła z pudełka ciężką pozłacaną koronę. Przez ostatnie osiemdziesiąt lat przechowywano ją w kościele i każda panna młoda ze wsi miała ją na głowie w dniu ślubu. Anna umieściła ją na jasnych włosach Sigrid.

– Teraz jesteś już prawdziwą panną młodą – oceniła, a panna młoda spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

Przez uchylone drzwi do pokoju zajrzała Berit.

– Czas na nas, *kjære*. Musimy już iść. Wyglądasz przepięknie.

Sigrid objęła Annę.

– Dziękuję ci, siostrze, za pomoc. Ty będziesz następna. Wkrótce wyjdiesz za Larsa.

Anna ruszyła za nią do ślubnego wozu udekorowanego świeżymi kwiatami polnymi, ale na myśl o ślubie z Larsem przeszły ją ciarki.

Dziwnie było patrzeć na brata, który stoi przed ołtarzem z Sigrid i pastorem Erslevem. Knut stawał się głową rodziny i niebawem doczeka się własnych rudowłosych dzieci. Pośpiesznie zerknęła na zasłuchanego Larsa, który wyjątkowo na nią nie patrzył.

Po ceremonii ponad setka ludzi szła za wozem w ślubnym orszaku aż do domu Landvików. Przez wiele tygodni Berit modliła się o piękną pogodę, ponieważ w domu nie starczyłoby dla wszystkich miejsca. Jej prośby zostały wysłuchane i wystawione na zewnątrz drewniane stoły ugięły się od jedzenia, w dużej mierze przyniesionego przez gości. Dobrze przyprawione pieczenie wieprzowe, słonina, wolno pieczona na rożnie krucha wołowina i śledzie szybko wypełniały żołądki gości i pomagały wchłaniać lejące się strumieniami domowe piwo i wódkę kminkową.

Gdy zapadł zmrok, zapalono porozwieszane na drewnianych słupkach lampiony wokół kwadratowego placyku do tańca. Kapela wygrywała wesołą melodię *hallingkast*, a goście utworzyli koło i doskonale się bawili. Do środka weszła młoda kobieta, która umieściła kapelusz na długim kijku i zachęcała mężczyzn, aby go strącili. Bracia Anny jako pierwsi podjęli wyzwanie. Przepychali się, tańczyli i skakali wokół dziewczyny zachęceni nawoływaniami radosnego tłumu.

Roześmiana Anna odwróciła się i spostrzegła, że Lars z posępną miną siedzi sam przy stole.

– Anno, zaśpiewasz, tak jak obiecałaś? – Nagle pojawiła się przy niej Sigrid.

– Tak! – do prośby dołączył się zdyszany Knut. – Musisz dla nas zaśpiewać.

– Zaśpiewaj *Pieśń Solwejgi*! – krzyknął ktoś z tłumu.

Zachęcona chóralnymi nawoływaniami gości, Anna poszła na środek parkietu, przyjęła odpowiednią postawę i zaczęła śpiewać. Jej myśli od razu powędrowały do Christianii. Do młodego muzyka, który był tak oczarowany jej śpiewem, że zaczął ją uwodzić...

Znów spotkamy się, kochana, i nigdy się nie rozstaniemy. Nigdy się nie rozstaniemy...

Przy ostatnich dźwiękach w jej oczach pojawiły się łzy. Widownia milczała. Nagle ktoś zaczął klaskać, a pozostali do niego dołączyli, aż cała łąka wypełniła się głośnymi okrzykami na jej cześć.

- Zaśpiewaj coś jeszcze, Anno!
- Tak! Którąś z naszych piosenek.

Przez następne trzydzieści minut przy akompaniamencie skrzypiec ojca zaśpiewała mnóstwo ludowych piosenek, które wszyscy znali na pamięć. Dzięki temu nie miała czasu skupiać się na swoich uczuciach i rozterkach. Potem nadszedł czas, aby młoda para udała się do sypialni, co wywołało pogodne, wymowne pogwizdywania gości. Knut i Sigrid zniknęli za drzwiami domu i przyjęcie dobiegło końca.

Zmęczona i niespokojna Anna pomagała w sprzątaniu. Jak maszyna przenosiła talerze i naczynia do beczki wypełnionej nabraną ze studni wodą.

- Wyglądasz na zmęczoną, Anno.

Poczuła, że ktoś delikatnie dotyka jej ramienia. Odwróciła się i zobaczyła Larsa.

- Nic mi nie jest. – Uśmiechnęła się bez przekonania.

- Dobrze się bawiłaś?

– Tak. Wszystko naprawdę doskonale się udało, a Sigrid i Knut z pewnością będą razem szczęśliwi.

Odwróciła się, żeby zająć się zmywaniem, ale poczuła, że chłopak głaszcze ją po ramieniu. Kątem oka zobaczyła, że stoi ze spuszczoną głową i jedną ręką w kieszeni.

– Tęskniłem za tobą. – Mówił tak cicho, że ledwie go usłyszała. – A ty? Choć trochę za mną tęskniłaś?

Zamarła, a mokry talerz wyslizgnął jej się z rąk.

- Oczywiście. Za wszystkimi bardzo tęskniłam... ale byłam bardzo zajęta...

– Pewnie mnóstwo czasu spędzałaś z nowymi przyjaciółmi – powiedział bez emocji.

– Tak, na przykład z Frøken Olsdatter i dziećmi z teatru – odparła pośpiesznie, nie przerywając mycia naczyń. W duchu pragnęła, by sobie poszedł.

Lars wahał się przez moment, a ona czuła, że na nią patrzy.

– To był męczący dzień – odezwał się w końcu. – Pójdę już. Ale najpierw muszę cię o coś spytać, zanim jutro wyjedziesz do Christianii. I mam nadzieję, że dla naszego dobra odpowiesz mi szczerze.

Wiedziała, że mówi poważnie, i poczuła ucisk w żołądku.

- Oczywiście – szepnęła.

– Nadal chcesz za mnie wyjść? Twoje życie bardzo się zmieniło i nadal będzie się zmieniać, więc obiecuję, że zrozumieć, jeśli zmieniłaś zdanie.

– Chyba... – Pochyliła głowę i zacisnęła oczy. Chciała uciekać. Zapaść się pod ziemię. – Chyba tak.

– A ja myślę, że nie chcesz, Anno. Powinniśmy ustalić, na czym stoimy. Jeśli jest dla nas jakakolwiek nadzieja, poczekam na ciebie, ale wydaje mi się, że

od początku nie byłaś przekonana do naszego małżeństwa.

– Ale co będzie z *mor* i *far*, i z ziemią, którą im sprzedałeś?

Lars westchnął ciężko.

– Właśnie powiedziałaś mi wszystko, co chciałem wiedzieć. Muszę już iść, ale napiszę do ciebie i wyjaśnię, jak to wszystko załatwimy. Nic nie mów rodzicom. Ja się tym zajmę. – Wyciągnął z beczki jej mokrą rękę i pocałował. – Do widzenia, Anno. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Patrzyła, jak znika w ciemności, i zdała sobie sprawę, że jej związek z Larsem Trulssenem skończył się, zanim na dobre się zaczął.

Ally

Sierpień 2007

Pieśń Solwejgi



Kiedy podniosłam wzrok znad laptopa, było wczesne popołudnie. Paski na tapecie rozmazały mi się przed oczami i dopiero po chwili nabrały ostrości. Nie miałam pojęcia, jaki związek ze mną może mieć ta historia sprzed stu trzydziestu lat, ale lektura mnie zafascynowała. W konserwatorium poznałam biografie wielu kompozytorów i studiowałam ich utwory, ale książka tchnęła prawdziwe życie w ich epokę. Zafrapowało mnie też, że Jens Halvorsen jako pierwszy publicznie zagrał na flecie słynne cztery takty otwierające jeden z moich ulubionych utworów muzycznych.

Przypomniałam sobie list, który napisał do mnie tata, i zastanawiałam się, czy podsuwając mi historię początków *Peer Gynta*, nie chciał mnie po prostu zachęcić, bym wróciła do muzyki. Jakby wiedział, że może mi to być potrzebne...

To prawda, że gra na nabożeństwie żalobnym Theo przyniosła mi ulgę. Nawet ćwiczenie przed występem dało mi kilka godzin wytchnienia od myślenia o nim. Od tamtej pory często grywałam dla przyjemności. A właściwie dla ukojenia bólu.

Pozostawało jednak pytanie, czy mój związek z Anną i Jensem był głębszy i istniały między nami więzi krwi, które jak jedwabna nitka łączyły nas na przestrzeni stu trzydziestu lat...

Zachodziłam w głowę, czy Pa Salt mógł znać Jensa albo Annę, kiedy był młody. Umarł po osiemdziesiątce, więc była taka możliwość. Wszystko zależało od tego, kiedy ci dwoje zmarli. Ale tego na razie nie wiedziałam, co bardzo mnie irytowało.

Moje rozmyślenia przerwał ostry dzwonek telefonu stacjonarnego. Wiedziałam, że stara automatyczna sekretarka Celi jest zepsuta, więc telefon będzie dzwonił do oporu. Wypadłam z sypialni i zbiegłam na dół do holu.

– Halo?

– Halo. Czy jest Celia?

– W tym momencie jej nie ma – odpowiedziałam, rozpoznając męski głos z amerykańskim akcentem. – Mówi Ally. Mam jej coś przekazać?

– Cześć, Ally. Tu Peter, ojciec Theo. Jak sobie radzisz?

– W porządku – odpowiedziałam automatycznie. – Celia powinna wrócić w porze kolacji.

– Dla mnie to, niestety, za późno. Dzwonię tylko po to, żeby jej powiedzieć, że wieczorem odlatuję z powrotem do Stanów. Uznałem, że powinienem się do niej przedtem odezwać.

– Powiem jej, że dzwoniłeś.

– Dziękuję. – Na chwilę w telefonie zapadła cisza. – A ty? Jesteś teraz zajęta, Ally?

– Właściwie nie.
– Więc może spotkalibyśmy się, zanim pojadę na lotnisko? Zatrzymałem się w hotelu Dorchester. Chętnie zaproszę cię na herbatę. Z domu Celi dojedziesz tu taksówką w piętnaście minut.

– Ale...
– Proszę...
– Dobrze – zgodziłam się niechętnie.
– Może być o trzeciej w herbaciarni Promenade? O czwartej muszę jechać na Heathrow.

– W takim razie do zobaczenia o trzeciej – powiedziałam i odłożyłam słuchawkę, zastanawiając się, czy mam coś, w co mogę się ubrać na herbatę w hotelu Dorchester.

Kiedy godzinę później wchodziłam z hotelowego lobby do eleganckiej sali z marmurowymi kolumnami, miałam dziwne poczucie winy, jakbym zdradzała Celię. Ale Pa Salt całe życie uczył mnie, żebym nie oceniała ludzi na podstawie tego, co o nich słyszałam. A Peter był ojcem Theo, więc musiałam dać mu szansę.

– Witaj! – zawołał i pomachał do mnie od stolika.
Wstał, a kiedy do niego podeszłam, przywitał mnie mocnym, ciepłym uściskiem dłoni.

– Proszę, usiądź. Nie byłem pewny, na co będziesz miała ochotę, więc pozwoliłem sobie zamówić cały zestaw dodatków do herbaty. – Wskazał niski stolik, na którym stały porcelanowe półmiski z precyzyjnie pokrojonymi małąkami kanapczkami i patera pełna ciastek francuskich i babeczek, a obok niej miseczki z dżemem i gęstą śmietaną. – Oczywiście mamy też mnóstwo herbaty. Anglicy ją przecież uwielbiają!

– Dziękuję – odparłam, choć wcale nie byłam głodna.
Usiadłam naprzeciwko niego na wyściełanej ławeczce. Niezwykle elegancki kelner w białych rękawiczkach natychmiast podszedł, by nalać mi herbaty. Tymczasem uważnie przyjrzałam się ojcu Theo. Miał ciemne oczy i jasną cerę, na której prawie nie dostrzegłam zmarszczek, co było dość niezwykle, zważywszy, że musiał już być po sześćdziesiątce. Miał na sobie sportową, ale świetnie skrojoną, drogą marynarkę. Widać było, że pracuje nad swoim ciałem, a nienaturalny brązowy kolor włosów wskazywał na to, że są farbowane. Właśnie stwierdziłam, że Theo nie był ani trochę podobny do ojca, kiedy Peter się uśmiechnął. Aż mnie zatkało – jego usta ułożyły się nieco krzywo, w ten sam sposób jak u Theo.

– Jak sobie radzisz, Ally? – zapytał, kiedy kelner bezszelestnie się oddalił.
– Czasem mam lepsze chwile, a czasem gorsze. A ty?
– Prawdę mówiąc, wcale sobie nie radzę. Ten wypadek zwałił mnie z nóg. Ciągle przypominam sobie, jakim Theo był ślicznym niemowlakiem. Pochowanie własnego dziecka jest wbrew naturze.

– Wiem – powiedziałam ze współczuciem. Intrygował mnie człowiek, którego Celia i Theo przedstawiali w tak negatywnym świetle. Widziałam, że stara się trzymać, ale wyczuwałam jego ból. Emanował z niego jak coś prawie materialnego.

– A jak radzi sobie Celia? – zapytał.

– Tak jak my wszyscy: z wielkim trudem. Była dla mnie cudowna.

– Może konieczność opiekowania się drugą osobą okazała się dla niej dobrą terapią. Też bym chciał mieć kogoś takiego.

– Muszę ci coś zdradzić... – Skubnęłam kanapeczkę z łososiem. – Gdyby Celia wiedziała, że jesteś w kościele, zaprosiłaby cię, żebyś usiadł z nami z przodu. Tak mi powiedziała.

– Naprawdę? – Nieco się rozchmurzył. – Dobrze to wiedzieć. Może powinienem ją zawiadomić, że będę, ale wiedziałem, że jest zrozpaczona, i nie chciałem jeszcze bardziej jej denerwować. Pewnie już zgadłaś, że niekoniecznie jestem na szczycie listy osób, do których wysyła kartki na Boże Narodzenie.

– Może jest jej trudno wybaczyć ci... no wiesz... krzywdy, które jej wyrządziłeś.

– Jak ci już mówiłem pod kościołem, zawsze jest i druga strona medalu. Teraz nie będziemy się w to jednak zagłębiać. A zresztą tak, to prawda, że wina leży głównie po mojej stronie. Tak między nami, to nadal Kocham Celię. – Peter westchnął. – I to tak, że sprawia mi to fizyczny ból. Wiem, że ją zawiodłem i źle się zachowywałem, ale pobraliśmy się bardzo młodo. Powinienem się wyszaleć przed ślubem, a nie w trakcie małżeństwa. No, a ona – wzruszył ramionami – w pewnych sprawach była prawdziwą damą. Pod tym względem całkowicie się od siebie różniliśmy. W każdym razie odebrałem nauczkę.

– No tak – bąknęłam, bo nie chciałam dalej brnąć w te sprawy. – Moim zdaniem, ona też nadal cię kocha.

– Naprawdę? – Podejrzliwie zmrużył oczy. – Nigdy bym się nie spodziewał, że coś takiego od ciebie usłyszę.

– Nie wyznała mi tego wprost, ale kiedy o tobie mówi, nawet jeśli jest to coś złego, widzę w jej oczach miłość. Theo powiedział mi kiedyś, że granica między miłością a nienawiścią jest bardzo cienka.

– To w jego stylu. Był niezwykle mądry i wrażliwy na ludzkie emocje. Chciałbym choć w połowie tak dobrze rozumieć ludzką naturę jak on. – Westchnął głęboko. – Też cechy na pewno nie miał po mnie.

Zdałam sobie sprawę, że chyba zabrnęłam za daleko, ale skoro i tak wlaźłam już w to bagno po szyję, postanowiłam iść dalej.

– Wydaje mi się, że Theo byłby zachwycony, gdyby jego rodzice spotkali się i pogodzili. – Nawet gdyby to była jedyna dobra rzecz wynikająca z tej tragedii, zawsze byłoby to coś.

Piłam herbatę, a Peter nie odrywał ode mnie wzroku.

– Teraz doskonale rozumiem, dlaczego mój syn tak bardzo cię pokochał. Jesteś niezwykła. Ale choć masz najlepsze intencje, ja już nie wierzę w cuda.

– A ja tak. Chociaż byliśmy z Theo zaledwie kilka tygodni, zmienił moje życie. Cudem jest, że w ogóle się spotkaliśmy i tak do siebie pasowaliśmy. Wiem, że mimo straszego bólu, jaki przeżywam, sprawił, że jestem lepszym człowiekiem. – Teraz ja miałam łzy w oczach.

Peter sięgnął przez stół i pocieszająco poklepał mnie po dłoni.

– Podziwiam cię, Ally. Starasz się znaleźć coś pozytywnego w tak strasznej tragedii. Kiedyś też taki byłem.

– Możesz chyba do tego wrócić?

– Rozwód tak mi dał popalić, że takie myślenie wywietrzało mi z głowy. Powiedz mi lepiej, jakie masz plany na przyszłość. Czy mój syn zabezpieczył cię finansowo?

– Tak. Wyobraź sobie, że przed zawodami zmienił testament. Dostałam sunseekera i starą szopę na Anafi, niedaleko twojego pięknego domu. Ale szczerze mówiąc, chociaż do szaleństwa kochałam Theo, nie bardzo widzę, że miałabym pojechać na Gdzieś, jak nazywaliśmy Anafi, i walczyć z greckimi władzami, żeby wybudować tam dom jego marzeń.

– Zostawił ci tę starą szopę? – Peter ze śmiechu odrzucił w tył głowę. – Powiem ci coś w tajemnicy: wiele razy proponowałem, że kupię mu dom, ale zawsze stanowczo odmawiał.

– Był ambitny.

– Albo głupi – odparował Peter. – Mój syn był sportowcem, który oddał się swojej pasji. Wiedziałem, że potrzebuje pomocy finansowej, nigdy jednak nie chciał jej przyjąć. Ty też na pewno nie masz własnego domu, Ally. Zresztą nie wiem, jak w dzisiejszych czasach ktoś młody, kto średnio zarabia, może sobie pozwolić na dom.

– Nie mam własnego domu... chociaż teraz mam już szopę dla kóz – powiedziałam z uśmiechem.

– Więc po pierwsze, gdybyś kiedykolwiek chciała pobyc w moim domu na wyspie, będziesz tam przyjęta z otwartymi ramionami. Celia wie, że też może zawsze z niego korzystać, ale nie chce tego robić. Podobno z powodu czegoś, co kiedyś powiedziałem, gdy byliśmy tam razem. Nie pytaj mnie, co to było, bo nie pamiętam. I jeszcze jedno. Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy w rozmowach z lokalnymi władzami, daj mi tylko znać. Zainwestowałem w tę wyspę tyle pieniędzy, że powinni mnie zrobić jej wodzem! Masz już akt własności?

– Nie. Ale przyślą mi go, kiedy tylko uwierzytelnią testament.

– Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, zawsze ci pomogę. Na nic innego już się nie przydam, ale mogę przynajmniej zadbać o ukochaną mojego syna.

- Dziękuję. – Oboje chwilę siedzieliśmy w ciszy, tęskniąc za Theo.
- Wciąż jeszcze nie powiedziałaś, jakie masz plany na przyszłość – przypomniał mi w końcu Peter.
- Bo nie wiem, co ze sobą zrobić.
- Theo mówił mi, że jesteś świetną żeglarką i masz szansę znaleźć się w drużynie olimpijskiej.
- Wycofałam się z tego. Nie pytaj mnie dlaczego, bo nie potrafię ci tego wytłumaczyć, ale nie mam na to siły.
- Nie musisz mi nic tłumaczyć. Ale zdaje się, że masz jeszcze drugi zawód? Bardzo mnie wzruszyła twoja gra na flecie podczas nabożeństwa żałobnego.
- Miło, że tak mówisz, ale naprawdę wyszłam z wprawy. Od lat nie przykładałam się do muzyki.
- Wcale nie odniosłem takiego wrażenia. Gdybym umiał tak grać jak ty, uważałbym to za skarb. Masz w rodzinie muzyków?
- Nie wiem. Może... Ojciec zmarł zaledwie kilka tygodni temu...
- Ally! – Peter wyglądał na zszokowanego. – Jak ty w ogóle żyjesz? Straciłaś dwóch najważniejszych mężczyzn w życiu!
- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. – Z trudem przełknęłam ślinę, walcząc ze łzami. Radziłam sobie jakoś, pod warunkiem, że nikt nie okazywał mi współczucia. – Jestem adoptowana, podobnie jak moich pięć siostr. Przed śmiercią ojciec zostawił mi wskazówki na temat mojego pochodzenia. Na razie wiem bardzo niewiele, ale niewykluczone, że mam muzykę w genach.
- No tak. – Jego ciemne oczy były pełne empatii. – Masz zamiar dowiedzieć się więcej?
- Jeszcze nie wiem. Póki żył Theo, nie miałam takiego zamiaru. Myślałam o przyszłości.
- Rozumiem. A masz jakiegokolwiek plany na następne tygodnie?
- Nie.
- No to widzisz: znasz już odpowiedź. Idź za wskazówkami ojca. Na twoim miejscu tak bym zrobił. Moim zdaniem, Theo też by tego chciał. Niestety – spojrzął na zegarek – muszę cię zostawić, bo inaczej spóźnię się na samolot. Rachunek zapłaciłem, więc zostań tutaj, jeśli chcesz, i dokończ herbatę. I koniecznie pamiętaj: jeżeli czegokolwiek byś potrzebowała, daj mi tylko znać.
- Wstał, a ja za nim. Nagle spontanicznie otoczył mnie ramionami i mocno przytulił.
- Szkoda, że nie mamy więcej czasu na rozmowę, ale i tak się cieszę, że cię poznałem. Dzisiejsze spotkanie to jedyne pozytywne przeżycie podczas tego pobytu w Londynie. Dziękuję ci za to. I pamiętaj: ktoś kiedyś powiedział, że życie wymierza nam tylko takie ciosy, z którymi jesteśmy w stanie sobie poradzić. A ty jesteś nadzwyczajną kobietą. – Podał mi swoją wizytówkę. – Odzywaj się do mnie.

– Dobrze – obiecałam.

Pomachał mi smutno i szybkim krokiem odszedł od stołu. Usiadłam i niezdecydowanie sięgnęłam po babeczkę, bo nie byłam w stanie znieść myśli, że zmarnuje się tyle jedzenia. Ja też żałowałam, że nie mogliśmy dłużej porozmawiać. Polubiłam ojca Theo, chociaż Celia opowiedziała mi wiele o krzywdach, jakie jej wyrządził. Mimo tego, co słyszałam o jego bogactwie i wybrykach, miał w sobie coś delikatnego.

Kiedy wróciłam do domu, Celia pakowała się w swojej sypialni.

– Miło spędziłaś popołudnie? – zapytała.

– Tak. Dziękuję. Spotkałam się na herbacie z Peterem. Zadzwoił, żeby porozmawiać z tobą, ale cię nie było, więc umówił się ze mną.

– To dziwne, że zadzwonił... Zwykle tego nie robi, kiedy przylatuje do Wielkiej Brytanii.

– Ale jeszcze nigdy nie stracił syna. A tak w ogóle to prosił, żeby cię pozdrowić.

– Wspaniale – odparła ze sztuczną wesołością. – Jutro skoro świt wyjeżdżam. Ale ty możesz tutaj zostać, jak długo zechcesz. Przed wyjazdem włącz tylko alarm przeciw włamaniom i wrzucić do środka klucze przez drzwi frontowe. Jesteś pewna, że nie chcesz ze mną lecieć? O tej porze roku w Toskanii jest przepięknie. A Cora jest nie tylko moją najstarszą przyjaciółką, ale matką chrzestną Theo.

– Bardzo ci dziękuję za zaproszenie, ale muszę jakoś zacząć układać sobie życie.

– Pamiętaj, że minęło jeszcze bardzo niewiele czasu. Ja rozwiodłam się z Peterem dwadzieścia lat temu, a czuję się tak, jakbym nadal nie ułożyła sobie życia. – Ze smutkiem wzruszyła ramionami. – W każdym razie, możesz tu mieszkać tak długo, jak tylko zechcesz.

– Dziękuję. A tak w ogóle, to w drodze powrotnej zrobiłam zakupy i w podziękowaniu za gościnę chciałabym ci ugotować kolację. Nic szczególnego, tylko spaghetti, ale mam nadzieję, że pomoże ci się wczuć we włoski nastój.

– Miły pomysł, Ally. Świetnie!

Do pożegnalnej kolacji usiadłyśmy na tarasie. Nie miałam apetytu, ale kiedy starałam się coś zjeść, zauważyłam, że różom Celi opadają główki i tracą kolor, a brzegi płatków robią się brązowe i kruche. Każda z nas zajęła się własnymi myślami. Docierało do nas, że musimy wyjść z ochronnej bańki wzajemnego wsparcia i znów stawić czoło życiu.

– Chcę ci podziękować, że ze mną byłaś, Ally. Naprawdę nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła – powiedziała Celia, zanosząc puste talerze do kuchni.

– A ja bez ciebie.

Celia wzięła się do zmywania, a ja sięgnęłam po ściereczkę, by wytrzeć

talerze.

– Chciałabym ci też powiedzieć, że ten dom zawsze będzie twoim domem.

– Dziękuję.

– Poza tym... bardzo mi przykro o tym mówić, ale po powrocie z Włoch odbieram prochy Theo. Musimy się umówić, kiedy pojedziemy do Lymington, żeby je tam razem rozsypać.

– Oczywiście. – Z trudem przełknęłam ślinę.

– Będę za tobą tęsknić, Ally. Naprawdę uważam cię za córkę, której nie miałam. A teraz muszę iść spać. O czwartej trzydzieści przyjeżdża po mnie taksówka. Więc pożegnajmy się już teraz. Ale odzywaj się do mnie, dobrze?

– Oczywiście.

Tej nocy spałam bardzo niespokojnie. W snach prześladowała mnie pustka najbliższych dni. Do tej pory zawsze dokładnie wiedziałam, dokąd jadę i co robię. Poczucie pustki i marazmu było dla mnie czymś całkiem nowym.

– Może tak objawia się depresja – mruknęłam do siebie następnego dnia rano, zmuszając się do wstania z łóżka. Nie czułam się najlepiej, ale na siłę weszłam pod prysznic. Wycierając włosy, wpisałam do wyszukiwarki komputera: Jens Halvorsen. Ku mojej irytacji nieliczne wzmianki o nim były po norwesku. Weszłam więc na stronę księgarni internetowej i zaczęłam przeglądać książki napisane po angielsku lub po francusku, w których mogłabym znaleźć jakąś wzmiankę o nim.

I nagle znalazłam:

Uczeń Griega

Autor: Thom Halvorsen

Wydanie amerykańskie: 30 sierpnia 2007

Przewinęłam stronę i na dole był opis.

Thom Halvorsen, słynny skrzypek Orkiestry Filharmonii w Bergen, napisał biografię swojego prapradziadka, Jensa Halvorsena. Przedstawia życie utalentowanego kompozytora i muzyka, który ściśle współpracował z Edwardem Griegiem. Dzięki fascynującym materiałom z rodzinnych pamiętników otrzymujemy odświeżony portret Griega widziany oczami jego przyjaciela.

Natychmiast zabrałam się do zamówienia książki, ale na dostarczenie jej ze Stanów trzeba było czekać co najmniej dwa tygodnie. Nagle mnie olśniło; wyjęłam z portfela wizytówkę Petera i napisałam do niego maila z podziękowaniem za popołudniową herbatę. Potem dodałam, że pilnie potrzebuję książki, która dostępna jest jedynie w USA, więc byłabym mu bardzo wdzięczna, gdyby ją dla mnie zdobył. Nie miałam poczucia winy, że zawracam mu głowę, bo byłam pewna, że

ma mnóstwo pracowników, którzy mogą się tym zająć.

Potem wpisałam do wyszukiwarki *Peer Gynt*. Przewinęłam różne odnośniki, aż natknęłam się na Muzeum Ibsena w Oslo, czyli Christianii z czasów Anny i Jensa, a także jego kuratora, Erika Edwardsena. Podobno był światowej klasy ekspertem od Henrika Ibsena. Może zechce mi pomóc, jeśli napiszę do niego maila.

Korciło mnie, żeby szukać dalej, i nie mogłam się doczekać reszty tłumaczenia książki, ale choć z niechęcią, zamknęłam laptop, bo przypomniało mi się, że za pół godziny jestem umówiona ze Star w Battersea.

Zatrzymałam przed domem taksówkę. Kiedy przejeżdżaliśmy przez Tamizę ślicznym różowym mostem, pomyślałam, że powoli zakochuję się w Londynie. Odkryłam w nim naturalną elegancję, niemal dostojeństwo. Jednocześnie doceniłam fakt, że to miasto jest pozbawione nerwowej energii Nowego Jorku czy bezbarwnej nijakości Genewy. Jak zawsze w Anglii, czuło się tu głębokie przeświadczenie mieszkańców o niepowtarzalnej wielkości własnej historii.

Taksówka zatrzymała się przed budynkiem, który kiedyś najwyraźniej służył za skład towarów. Stał nad samym brzegiem rzeki, wśród wielu do niego podobnych. Najwyraźniej zaplanowano je w dawnych czasach tak, by barki miały do nich łatwy dostęp przy rozładunku herbaty, jedwabiu czy przypraw. Zapłaciłam kierowcy i nacisnęłam dzwonek przy numerze, który podała mi Star. Usłyszałam jej głos w domofonie. Powiedziała, żebym wjechała windą na trzecie piętro, po czym usłyszałam brzęk elektroniki i weszłam do środka. Kiedy byłam na górze, Star przywitała mnie w drzwiach mieszkania.

– Cześć, jak się czujesz? – zapytała i mocno się uścisnęłyśmy.

– Jakoś daję radę – skłamałam. Zaprowadziła mnie do ogromnego, białego pomieszczenia z oknami od podłogi do sufitu, które wychodziły na Tamizę.

– Ojej! – jęknęłam z wrażenia i podeszłam do nich, by podziwiać widok. – Fantastyczne mieszkanie!

– Wybrała je CeCe. – Star wzruszyła ramionami. – Ma tu miejsce do pracy i dużo światła.

Rozejrzałam się. Podziwiałam otwartą przestrzeń pomieszczenia, minimalistyczne meble z rzadka poustawiane na podłodze z jasnych desek i eleganckie spiralne schody, które prowadziły na górę, zapewne do sypialni. Sama nie wybrałabym takiego mieszkania, bo na pewno nie było przytulne, ale nie ma co – robiło wrażenie.

– Przynieść ci coś do picia? – zapytała Star. – Mamy wino we wszystkich kolorach i oczywiście piwo.

– Napiję się tego co ty – odparłam i poszłam za nią do miejsca wydzielonego na kuchnię. Wyposażono ją w ultranowoczesne sprzęty ze stali nierdzewnej i matowego szkła. Otworzyła ogromną dwudrzwiową lodówkę i jakby się zawahała.

– Może białe wino? – zaproponowałam.

– Dobrze. – Patrzyłam, jak moja młodsza siostra wyjmuję z górnej szafki dwa kieliszki i otwiera wino. Jak zwykle pomyślałam, że Star nigdy nie wyraża własnych opinii ani nie podejmuje decyzji. Wielokrotnie zastanawialiśmy się z Mają, czy wynika to z jej charakteru, czy z tego, że tak bardzo zdominowała ją CeCe.

– Pięknie pachnie. – Wskazałam na garnek z czymś, co gotowało się na wielkiej kuchence o przemysłowych wymiarach. Zauważyłam też coś za szklanymi drzwiczkami piekarnika.

– Będiesz moją świnką doświadczalną, Ally. Wypróbuję nowy przepis. Wszystko jest już prawie gotowe.

– Super. W takim razie, na zdrowie! *Cheers*, jak to mówią Anglicy!

– *Cheers!*

Obie łyknęłyśmy nieco wina, ale ja natychmiast odstawiłam kieliszek na blat kuchenny. Nie wiadomo dlaczego, prawie natychmiast poczułam w żołądku kwas. Przyglądałam się, jak Star miesza w garnku, i myślałam o tym, że wygląda bardzo młodo. Jej niemal białe blond włosy opadały na ramiona, a długa grzywka co rusz zasłaniała ogromne bładoniebieskie oczy, chroniąc ją i jej emocje za ochronną kurtyną. Z trudem przypominałam sobie, że Star jest dorosłą kobietą i ma już dwadzieścia siedem lat.

– Jak ci się żyje w Londynie? – spytałam.

– Chyba dobrze. Podoba mi się tutaj.

– A jak ci idzie kurs gotowania?

– Już się skończył. Był w porządku.

– Chcesz zawodowo zająć się gotowaniem? – brnęłam dalej, mając nadzieję na bardziej wyczerpującą odpowiedź.

– To chyba nie dla mnie.

– No tak... A wiesz już, co dalej ze sobą robić?

– Nie.

Zapadła cisza, jak często w rozmowach ze Star.

– Jak naprawdę się czujesz, Ally? – odezwała się w końcu. – Takie straszne przeżycie, tuż po śmierci taty...

– Szczerze mówiąc, sama nie wiem. W moim życiu wszystko się zmieniło. Miałam przed sobą jasno wytyczoną przyszłość i nagle wszystko runęło. Powiedziałam kierownikowi szwajcarskiej drużyny, że nie wezmę udziału w kwalifikacjach do olimpiady. W tej chwili nie mam na to siły. Ludzie mówią mi, że źle zrobiłam, i mam poczucie winy z powodu swojej słabości, ale po prostu nie jestem w stanie brać w tym udziału. A co ty o tym myślisz?

Odgarnęła z oczu grzywkę i przyjrzała mi się ostrożnie.

– Musisz kierować się tym, co czujesz, Ally. Ale to bywa bardzo trudne,

prawda?

– Tak. Nie chcę nikogo zawieść.

– No właśnie. – Star leciutko westchnęła i odwróciła wzrok w stronę sięgających podłogi okien, a potem znów skupiła się na kuchni i zaczęła wyjmować zawartość garnka na dwa talerze. – Zjemy na zewnątrz?

– Czemu nie?

Odwróciłam się w stronę rzeki i zauważyłam taras ciągnący się wzdłuż wszystkich okien. Ciekawe, ile kosztuje wynajęcie takiego mieszkania, pomyślałam. Absolutnie nie było to typowe lokum studentki Akademii Sztuk Pięknych bez grosza przy duszy i jej siostry, która nie ma pojęcia, co ze sobą zrobić. Najwyraźniej CeCe udało się podejść Georga Hoffmana i przekonać go do wypłacenia jej pokaźnej sumki, kiedy tamtego ranka pojechały ze Star do jego biura w Genewie.

Wyniosłyśmy jedzenie na stół ustawiony wśród mnóstwa pachnących roślin w ogromnych donicach.

– Jakie piękne kwiaty! A te, jak się nazywają? – Wskazałam na bujną kępę pomarańczowych, białych i różowych kwiatów.

– *Sparaxis tricolor*. Potocznie mówi się na nie cygańskie kwiaty, ale chyba nie za bardzo lubią wiatr od rzeki. Tak naprawdę powinny rosnąć w osłoniętym miejscu tradycyjnego angielskiego ogrodu.

– Ty je zasadziłaś? – zapytałam, próbując potrawy z owoców morza z makaronem, którą Star przygotowała jako główne danie.

– Tak. Lubię rośliny. Zawsze tak było. Pomagałam Pa Saltowi, kiedy zajmował się ogrodem w Atlantis.

– Naprawdę? Nic o tym nie wiedziałam. Pyszności – powiedziałam. W ogóle nie chciało mi się jeść, ale chciałam sprawić siostrze przyjemność. – Dowiedziałam się dzisiaj, że masz wiele ukrytych talentów. Ja potrafię ugotować tylko coś bardzo prostego, a nie wyhoduję nawet rzeżuchy, nie mówiąc już o czymś takim. – Zatoczyłam ręką łuk, wskazując tonący w kwiatach taras.

Znów zapadła brzemienista cisza, ale powstrzymałam się, aby ją przerwać.

– Ostatnio zastanawiałam się, czym właściwie jest talent – odezwała się nieśmiało Star. – Czy rzeczy, które łatwo nam przychodzą, są darem? Na przykład, czy bardzo musiałaś się starać, żeby tak pięknie grać na flecie?

– Chyba nie. W każdym razie nie na początku. Ale potem musiałam bez przerwy ćwiczyć. Moim zdaniem, talent nie zastąpi ciężkiej pracy. Jeśli przyjrzeć się wielkim kompozytorom, to żadnemu z nich nie wystarczyło to, że usłyszał w głowie piękną melodię. Musieli nauczyć się, jak ją zapisać i jak zrobić instrumentację utworu na orkiestrę. To wymaga lat ćwiczeń i nauki. Na pewno miliony ludzi mają różne naturalne umiejętności, ale musimy je jeszcze ujarzmić i skupić się na ich doskonaleniu, bo inaczej nigdy w pełni się nie rozwiniemy.

Star wolno pokiwała głową.

– Już się najadłaś, Ally? – Wskazała na mój prawie pełny talerz.

– Tak. Przepraszam cię, Star. Było pyszne, ale ostatnio w ogóle nie mam apetytu.

Porozmawiałyśmy jeszcze o naszych siostrach i o tym, co teraz robią. Star opowiedziała mi o CeCe i o tym, jak bardzo jest zajęta swoimi „instalacjami”. Ja podzieliłam się z nią wieściami o niespodziewanym wyjeździe Mai do Rio i razem cieszyłyśmy się, że nareszcie odnalazła szczęście.

– Dzięki tobie poczułam się dużo lepiej. – Uśmiechnęłam się do Star. – Cieszę się, że się spotkałyśmy.

– Ja też. Dokąd teraz się wybierzesz?

– Może do Norwegii. Tam gdzie się urodziłam... według współrzędnych Pa Salta.

Moje słowa bardziej chyba zdziwiły mnie niż Star, ponieważ ta myśl przyszła mi do głowy po raz pierwszy. Ale od razu mi się spodobała.

– To dobrze – pochwaliła mnie Star. – Powinnaś tam jechać.

– Naprawdę tak myślisz?

– A niby dlaczego nie? Wskazówki Pa Salta mogą zmienić twoje życie. Tak było z Mają... – Zawahała się. – A może i ze mną? – dodała po chwili.

– Naprawdę?

– Hm...

Znów zapadła cisza. Zrozumiałam, że nie ma co jej dalej wypytywać. Najwyraźniej nie była gotowa do zwierzeń.

– Chyba muszę już iść. Bardzo dziękuję za lunch. – Wstałam, bo nagle poczułam się straszliwie zmęczona i chciałam jak najszybciej schronić się w azylu zacisza domowego u Celi. – Łatwo złapać tu taksówkę? – spytałam, kiedy odprowadziła mnie do drzwi.

– Tak. Skręć w lewo i znajdziesz się na głównej ulicy. – Ucałowała mnie w oba policzki. – Daj mi znać, jeśli zdecydujesz się jechać do Norwegii.

*

Kiedy wróciłam do domu Celi, weszłam na górę do swojej sypialni i otworzyłam futerał z fletem. Wbiłam wzrok w instrument, jakby miał mi odpowiedzieć na wszystkie moje palące pytania. Najbardziej palącym było: dokąd teraz jechać? Na pewno mogłam zakopać się na wyspie Gdzieś. Wystarczy telefon do Petera i będę mogła rozgościć się w jego pięknym domu na Anafi i zostać tam tak długo, jak zechcę. Cały następny rok mogę spędzić na odnawianiu bezcennej szopy dla kóz Theo. Na tę myśl od razu przyszedł mi do głowy musical Abby, *Mamma Mia!* Zachichotałam i pokręciłam głową. Choć kokon wyspy Gdzieś był kuszący, wiedziałam, że nie posunę się tam ani trochę do przodu. Żyłabym po

prostu w naszym wspólnym świecie z Theo, który był, ale przeminął.

Podobnie bezowocny byłby wyjazd do Atlantis. Nic tam dla mnie nie zostało. Tymczasem to, co mogłam odkryć w Norwegii, nawet jeśli było osadzone w przeszłości, mogło popchnąć mnie w przyszłość. Skoro teraźniejszość mi się zablokowała, dobrze się cofnąć, aby móc ruszyć naprzód. Poczułam, że mam jasny wybór – wrócić do Atlantis albo lecieć do Norwegii. Może dobrze zrobi mi kilka dni samotnego zwiedzania nowego kraju, z dala od wszystkiego i wszystkich, których znam. Tam nikt nie będzie wiedział, co mi się przytrafiło, a szukanie własnych korzeni pozwoli mi się na czymś skupić. Nawet jeśli nic z tego nie wyniknie.

Sprawdziłam loty do Oslo. Znalazłam samolot, który odlatywał jeszcze tego wieczoru i było wolne miejsce. Tylko żeby na niego zdążyć, musiałabym prawie natychmiast jechać na Heathrow. Przez chwilę patrzyłam w przestrzeń, aby podjąć decyzję.

– No wiesz, Ally – powiedziałam do siebie ostro i nacisnęłam przycisk, aby zarezerwować miejsce. – W końcu co masz do stracenia?

Nic.

A poza tym, byłam gotowa poznać prawdę.

Był późny sierpniowy wieczór, a ja siedziałam na pokładzie samolotu, który unosił się wysoko nad ziemią i leciał na północ. Przejrzałam wszystkie informacje, jakie znalazłam na temat Muzeum Ibsena i Teatru Narodowego w Oslo. Postanowiłam następnego dnia rano pójść w oba miejsca i spróbować znaleźć kogoś, kto mógłby rzucić więcej światła na to, co już wiedziałam z książki Jensa Halvorsena.

Na lotnisku w Oslo ze zdziwieniem poczułam w swoich krokach lekkość i coś, co prawie przypominało podekscytowanie. Przeszłam przez kontrolę celną i paszportową i skierowałam się prosto do informacji, gdzie poprosiłam młodą kobietę za ladą, by poleciła mi hotel w pobliżu Muzeum Ibsena. Zadzwoiła do Grand Hotelu i powiedziała, że wolne miejsca mają tylko w drogich apartamentach.

– Dobrze – zgodziłam się. – Wezmę, co mają.

Podawała mi kartkę z potwierdzeniem rezerwacji, zamówiła dla mnie taksówkę i wyjaśniła, gdzie mam na nią czekać.

Kiedy jechaliśmy do centrum Oslo, było tak ciemno, że trudno było się zorientować, gdzie jestem, czy zobaczyć, jak wygląda miasto. Wreszcie podjechaliśmy pod pięknie oświetlone, imponujące kamienne wejście Grand Hotelu. Natychmiast zaproszono mnie do środka, a kiedy dopełniłam formalności, zaprowadzono mnie do pokoju. Okazało się, że nazywa się Apartament Ibsena.

– Czy podoba się pani apartament? – zapytał po angielsku boy hotelowy i podał mi klucz.

Rozejrzałam się po pięknym salonie. Na suficie wisiał elegancki żyrandol, a na wyłożonych jedwabiem w paski ścianach zobaczyłam zdjęcia Henrika Ibsena. Uśmiechnęłam się z powodu takiego zbiegu okoliczności.

– Jest cudowny, bardzo dziękuję.

Dałam chłopcu napiwek, a kiedy już poszedł, z podziwem obejrzałam cały apartament. Pomyślałam, że z przyjemnością zamieszkałabym w nim na stałe. Wzięłam prysznic, a kiedy wychodziłam z łazienki, usłyszałam bicie dzwonów oznajmających północ. Byłam zadowolona, że tu jestem. Weszłam do łóżka, wtuliłam się w świeżo wyprasowaną lnianą pościel i mocno zasnęłam.

Wstałam wcześniej i wyszłam na małe balkon, aby w świetle nowego dnia spojrzeć na miasto. W dole zobaczyłam obsadzony drzewami plac, wokół którego stały piękne kamienne stare domy, a także kilka nowych. Podniosłam wzrok i w oddali zobaczyłam różowy zamek na wzgórzu.

Wróciłam do środka i przypomniałam sobie, że od wczorajszego lunchu nic nie jadłam. Zamówiłam śniadanie do pokoju, a potem usiadłam w szlafroku na łóżku. Czulałam się jak księżniczka, która znalazła sobie nowy pałac. Przystudiowałam mapę, którą poprzedniego wieczoru dała mi recepcjonistka,

i zobaczyłam, że od Muzeum Ibsena dzieli mnie krótki spacer.

Po śniadaniu ubrałam się i uzbrojona w mapę, zjechałam windą na dół. Przechodząc przez plac przed hotelem, poczułam tak mi znajomy zapach morza. Przypomniałam sobie, że Oslo położone jest nad fiordem. Na ulicy zauważyłam wiele rudych osób o jasnej cerze. Kiedy chodziłam do szkoły w Szwajcarii, rówieśnicy wyśmiewali się z mojej jasnej cery, piegów i złotorudych loków. Oczywiście było mi przykro. Pamiętam nawet, że zapytałam mamę, czy mogę ufarbować włosy.

– Nie, *chérie*, włosy są ukoronowaniem twojej urody. Kiedyś te okropne dziewczyny będą ci ich zazdrościły – odpowiedziała.

Tutaj przynajmniej nie wyróżniam się wyglądem, pomyślałam. Stałam przed imponującym budynkiem z jasnej cegły, do którego prowadziło wejście między szarymi kamiennymi kolumnami.

NATIONALTHEATER

Przeczytałam napis wyryty nad elegancką fasadą, a tuż pod nim zauważyłam nazwisko Ibsena i dwa inne, o których nigdy nie słyszałam. Zastanawiałam się, czy to tutaj odbyła się prapremiera *Peer Gynta*. Ku mojemu rozczarowaniu teatr był akurat zamknięty, więc poszłam dalej ruchliwą szeroką ulicą, aż dotarłam przed Muzeum Ibsena. Weszłam do środka i znalazłam się w maleńkiej księgarni. Po lewej wisiała plansza z najważniejszymi wydarzeniami w błyskotliwej karierze Ibsena. Serce zabiło mi nieco szybciej, kiedy zobaczyłam: *24 lutego 1876 – premiera Peer Gynta w teatrze Christiania*.

– *God morgen! Kan eg hjelpe deg?* – odezwała się dziewczyna za kontuarem.

– Mówi pani po angielsku? – zapytałam.

– Oczywiście – odpowiedziała z uśmiechem. – Mogę pani w czymś pomóc?

– Tak, a przynajmniej taką mam nadzieję. – Wyjęłam z torby fotokopię okładki książki i położyłam ją przed nią na biurku. – Nazywam się Ally D’Aplièse i poszukuję informacji na temat kompozytora Jensa Halvorsena i śpiewaczki Anny Landvik. Oboje brali udział w prapremierze *Peer Gynta* w teatrze Christiania. Chciałabym się dowiedzieć, czy jest tu ktoś, kto mógłby mi o nich coś powiedzieć.

– Ja nie, bo jestem tylko studentką, która pracuje przy kasie – odparła. – Ale pójdę na górę i zobaczę, czy jest dyrektor muzeum, Erik.

– Dziękuję.

Zniknęła za drzwiami, a ja rozejrzałam się po księgarni i wybrałam egzemplarz *Peer Gynta* w tłumaczeniu na angielski. Pomyślałam, że koniecznie powinnam to przeczytać.

– Tak, Erik jest w muzeum i zaraz do pani zejdzie – oznajmiła dziewczyna, gdy wróciła.

Podziękowałam jej i zapłaciłam za książkę.

Kilka minut później podszedł do mnie elegancki siwy mężczyzna.

– Dzień dobry, pani D’Aplièse. Erik Edvardsen. – Wyciągnął do mnie dłoń.

– Ingrid mówi, że interesują panią Jens Halvorsen i Anna Landvik.

– Tak – powiedziałam, podając mu rękę, po czym pokazałam mu fotokopię okładki książki.

Wziął ją, przyjrzał się jej dokładnie i skinął głową.

– Wydaje mi się, że mamy egzemplarz tej książki na górze w bibliotece.

Proszę ze mną.

Wskazał drzwi, które prowadziły do surowego holu. W zestawieniu z nowoczesnym wystrojem księgarni wyglądał, jakbyśmy cofnęli się w czasie. Pan Edvardsen otworzył staroświeckie drzwi do windy, zamknął je za nami i nacisnął guzik. Z turkotem pojechaliśmy na górę. Po drodze wskazał jedno z pięter:

– Tu znajduje się mieszkanie, w którym Ibsen spędził ostatnie jedenaście lat życia. Uważamy za przywilej to, że możemy nim się opiekować. – Wyszliśmy z windy do przestronnego pokoju z półkami od podłogi do sufitu wypełnionymi książkami. – Jest pani historykiem? – zapytał.

– Ależ skąd. Ta książka to spuścizna po moim ojcu, który zmarł kilka tygodni temu. Właściwie powinnam powiedzieć, że jest to raczej wskazówka dotycząca mojego pochodzenia, ponieważ nadal nie jestem pewna, co ma wspólnego ze mną. Dałam tekst do tłumaczenia z norweskiego na angielski, ale na razie znam tylko pierwszą część. Wiem zaledwie tyle, że Jens był muzykiem i grał pierwsze takty *Poranka* na prapremierze *Peer Gynta*, a Anna użyła swego głosu do *Pieśni Solwejgi*.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, jak mogę pani pomóc, bo zajmuję się Ibsenem, a nie Griegiem. Tak naprawdę musi pani zwrócić się do kogoś, kto jest specjalistą od Griega. Idealną osobą byłby kurator Muzeum Griega w Bergen. Niemniej jednak mogę pani coś pokazać. O, jest! – Zdjął dużą książkę z jednej z półek. – Napisał ją Rudolf Rasmussen, znany jako Rude, który był wśród dzieci występujących w pierwszym wystawieniu *Peer Gynta*.

– Czytałam o nim w książce. Był posłańcem między Jensem i Anną. Nosił między nimi liściki, kiedy zakochali się w sobie podczas pracy w teatrze.

– Naprawdę? – Erik Edvardsen przekartkował książkę. – Proszę, tu są zdjęcia z premiery. Aktorzy są w kostiumach.

Podał mi książkę, a ja z niedowierzaniem patrzyłam na twarze ludzi, o których dopiero co czytałam. Oto Henrik Klausen jako Peer Gynt i Thora Hansson jako Solwejga. Była przebrana za wieśniaczkę, ale usiłowałam sobie wyobrazić, jak mogła wyglądać jako wielka gwiazda. Pozostałe zdjęcia przedstawiały całą obsadę, ale oczywiście nie spodziewałam się zobaczyć na nich Anny.

– Jeśli pani chce, mogę zrobić fotokopie zdjęć – zaproponował Edvardsen. – Będzie pani mogła obejrzeć je dokładnie w wolnym czasie.

– Dziękuję. Znakomicie.

Podszedł do stojącej w kącie fotokopiarki, a ja tymczasem zauważyłam zdjęcie starego teatru.

– Mijałam dzisiaj Teatr Narodowy i wyobrażałam sobie, jak odbywała się tam prapremiera *Peer Gynta* – odezwałam się, by przerwać ciszę.

– Ale *Peer Gynta* nie wystawiano w Teatrze Narodowym, tylko w teatrze Christiania.

– Zakładałam, że to ten sam budynek, tylko teraz ma inną nazwę.

– Niestety, teatru Christiania już nie ma. Był przy Bankplassen, jakieś piętnaście minut drogi stąd. Teraz jest tam muzeum.

Wlepiłam wzrok w Edvardsen, a ze zdziwienia dosłownie opadła mi szczęka.

– Czy przypadkiem nie chodzi panu o Muzeum Sztuki Współczesnej?

– Właśnie o to. Teatr Christiania zamknięto w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, a wszystko, co związane z muzyką, przeniesiono do nowo wybudowanego Teatru Narodowego. Proszę. – Podał mi fotokopie.

– Dziękuję. Zająłam panu mnóstwo czasu, ale bardzo dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać.

– Zanim pani wyjdzie, dam pani adres mailowy do kuratora Muzeum Griega. Proszę powołać się na mnie. Jestem pewny, że będzie pani mógł pomóc znacznie bardziej niż ja.

– Panie Edvardsen, naprawdę ogromnie mi pan pomógł – zapewniłam go.

Zapisał adres i mi go podał.

– Nawet ja przyznaję, że sława muzyki Griega do *Peer Gynta* znacznie wyprzedziła sam tekst, do którego została skomponowana – powiedział z uśmiechem i odprowadził mnie do windy. – Znana jest na całym świecie. Do widzenia, pani D'Aplière. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, czy uda się pani rozwiązać swoją tajemnicę. A gdyby jeszcze potrzebowała pani mojej pomocy, jestem do dyspozycji.

– Dziękuję.

Po wyjściu z muzeum prawie w podskokach wróciłam do Grand Hotelu. Współrzędne ze sfery armilarnej wreszcie nabrały sensu. Weszłam do Grand Café na rogu hotelu, spojrzałam na oryginalny mural przedstawiający Ibsena i nabrałam przekonania, że Jens i Anna są ze mną spokrewnieni.

Przy lunchu wysłałam maila do kuratora muzeum Griega, tak jak zasugerował Erik Edvardsen. Potem z ciekawości pojechałam taksówką do starego teatru Christiania. Muzeum Sztuki Współczesnej usytuowane było przy placu

z fontanną pośrodku. Niezbyt lubię sztukę współczesną, chociaż CeCe na pewno byłaby nią zachwycona, więc postanowiłam nie wchodzić do środka. Nagle po drugiej stronie placu zauważyłam kawiarnię Engebret. Podeszłam tam i otworzyłam drzwi.

Zobaczyłam proste, stare drewniane stoły i krzesła, które dokładnie odpowiadały opisowi z książki Jensa. W powietrzu unosił się specyficzny zapach – starego alkoholu, kurzu i lekkiej wilgoci. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie Jensa i jego kumpli z orkiestry, jak całymi godzinami siedzieli tu ponad wiek temu, topiąc smutki w gorzałce. Przy barze zamówiłam kawę, a potem piłam gorzki, gorący płyn, denerwując się, że nie mogę przeczytać, co było dalej, dopóki tłumaczka nie przyśle mi reszty tekstu.

Wyszłam z Engebret, wyjęłam mapę i postanowiłam wrócić do hotelu pieczo. Po drodze wyobrażałam sobie, jak po tych ulicach chodzili Jens i Anna. Oczywiście od ich czasów miasto się rozrosło, ale choć miejscami było ultranowoczesne, nadal zostało w nim wiele pięknych starych domów. Spacer do Grand Hotelu pozwolił mi poczuć swoisty czar Oslo. Niewielkie rozmiary miasta nadawały mu sympatycznego uroku. Czulałam się tu jak u siebie w domu.

Po powrocie do pokoju sprawdziłam maile. Okazało się, że kurator Muzeum Griega już mi odpowiedział.

Droga Pani d'Aplièse

Tak, znam postacie Jensa i Anny Halvorsenów. Jak już Pani może wie, Edward Grieg był dla nich kimś w rodzaju mentora. Codziennie od dziewiątej do czwartej jestem tu, w Troidhaugen niedaleko Bergen, i z przyjemnością się z Panią spotkam, aby pomóc w Pani poszukiwaniach.

Pozdrawiam

Erling Dahl Jr

Nie miałam pojęcia, gdzie jest Bergen, więc znalazłam mapę Norwegii w Google i zobaczyłam, że to miasto jest na północny zachód od Oslo, w odległości, którą trzeba by pokonać samolotem. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że Norwegia jest tak dużym krajem. Ciągnęła się zresztą jeszcze za Bergen, aż do Arktyki. Postanowiłam zarezerwować lot na rano następnego dnia i napisałam do pana Dahla, że będę w Bergen najpóźniej w południe.

Minęła już szósta, a na dworze nadal było jasno. Wyobraziłam sobie tutejsze długie zimy, kiedy słońce zachodzi wczesnym popołudniem, a śnieg przykrywa wszystko grubym kożuchem. Przypomniałam sobie, że siostry często dziwiły się mojej odporności na zimno – wciąż otwierałam okna, by wpuścić świeże

powietrze. Myślałam, że wynika to z moich żeglarskich przyzwyczajęń. Teraz przyszło mi do głowy, że Maja zawsze uwielbiała upał, a na słońcu jej ciało w parę minut nabierało ponętnego odcienia brązu, podczas gdy ja robiłam się czerwona jak burak. Być może zima należy do mojego dziedzictwa, podobnie jak słońce jest naturalne dla Mai?

Choć bardzo się przed tym broniłam, zaczęłam myśleć o Theo, jak zawsze, kiedy zapadała noc. Na pewno z radością towarzyszyłby mi w tej podróży. Założę się, że na każdym kroku analizowałby moje reakcje. Położyłam się do łóżka, ale wydało mi się ono za duże na mnie jedną. Ciekawe, czy kiedykolwiek znajdzie się ktoś, kto zastąpi Theo. Szczerze w to wątpiłam. Powstrzymałam się jednak od ekliwych rozważań, nastawiłam budzik na siódmą rano i zamknęłam oczy, żeby spróbować zasnąć.

Widok Norwegii, jaki mogłam podziwiać z samolotu, zapierał dech w piersiach. W dole rozciągały się błękitne fiordy w obramowaniu ciemnozielonych lasów i wiecznie zamarznięte góry pokryte skrząco białymi czapami śniegu (nawet na początku września!). Na lotnisku w Bergen wsiadłam do taksówki i poprosiłam kierowcę, aby zawiózł mnie prosto do Troldhaugen, dawniej domu, a teraz muzeum Griega. Jechaliśmy ruchliwą drogą szybkiego ruchu. Za szybą samochodu przesuwiał się rozmazany niekończący się obraz drzew, ale w końcu skręciliśmy z głównej szosy w wąską wiejską drogę.

Taksówka podjechała do czarującej willi z jasnożółtych desek. Zapłaciłam kierowcy i zarzuciwszy plecak na ramię, wysiadłam. Przez dłuższą chwilę chłoniłam widok: dom miał duże okna w ramach pomalowanych na zielono, a na górnym piętrze wystający ażurowy balkon. W jednym rogu wznosiła się wieżyczka, a na jej szczycie łopotała norweska flaga na długim maszcie.

Willa przycupnęła na zboczu wzgórza wychodzącego na jezioro i otoczona była porośniętymi trawą zboczami i wysokimi, majestatycznymi świerkami. Podziwiałam spokojne piękno tego miejsca. Najpierw skierowałam się do nowoczesnego budynku, przez który – jak informował napis – wchodziło się do muzeum. Przedstawiłam się dziewczynie, która siedziała za ladą sklepu z pamiątkami, i poprosiłam, by powiedziała kuratorowi, że przyjechałam. Tymczasem spojrzałam na gablotę wystawową pod ladą i na chwilę osłupiałam.

– *Mon Dieu* – mruknęłam. Byłam tak zszokowana, że odruchowo wróciłam do swego ojczystego języka, bo oto w gablocie stał cały rząd takich samych żabek jak ta, którą dostałam w kopercie od Pa Salta!

– Nasz kurator, Erling, za chwilę przyjdzie – powiedziała dziewczyna i odłożyła słuchawkę telefonu na widełki.

– Dziękuję. Czy mogę zapytać, dlaczego w sklepie z pamiątkami sprzedajecie żabki?

– Ich pierwowzór Grieg stale miał przy sobie jako talizman na szczęście – wyjaśniła dziewczyna. – Żabka mieszkała u niego w kieszeni i wszędzie z nim podróżowała. Na dobranoc zawsze dawał jej buziaka.

– Dzień dobry, pani D'Aplièse.

Odwróciłam się i zobaczyłam przystojnego siwowłosego mężczyznę.

– Nazywam się Erling Dahl – przedstawił się. – Jak się pani do nas leciało?

– Świetnie, dziękuję... – Usiłowałam się pozbierać po rewelacji z żabką. – Proszę mówić do mnie Ally.

– Dobrze, Ally. Nie jesteś przypadkiem głodna? Zamiast siedzieć w moim ciasnym biurze, moglibyśmy pójść obok do kawiarni, zamówić kanapkę i tam porozmawiać. Bagaż możesz zostawić u Else. – Wskazał dziewczynę za ladą.

– Wspaniale – zgodziłam się, podałam dziewczynie plecak, skinęłam w podziękowaniu głową i ruszyłam za kuratorem muzeum.

Weszliśmy do sali, której ściany prawie w całości były ze szkła, dzięki czemu zza drzew można było podziwiać przepiękny widok na jezioro. Z zachwytem patrzyłam na błyszczącą tafłę wody, gdzieniegdzie upstrzoną maleńkimi wysepkami z frędzlami sosen. Daleko, na zamglonym horyzoncie, widać było drugi brzeg.

– Prawda, że jezioro Nordås jest przepiękne? – powiedział Erling. – Czasami zapominamy, jakie mamy szczęście, że pracujemy w takim miejscu.

– Jest niezwykle – szepnęłam. – Naprawdę macie szczęście.

Zamówiliśmy kawę i kanapki, a potem Elring zapytał, w czym może mi pomóc. Znów wyjęłam fotokopię książki Pa Salta i wyjaśniłam, czego chcę się dowiedzieć.

Wziął kartki i dobrze im się przyjrzał.

– Nigdy nie czytałem tej książki, ale mniej więcej wiem, o czym jest. Ostatnio pomagałem Thomowi Halvorsenowi, prawnuczkowi Jensa i Anny, w zbieraniu materiałów do biografii.

– Zamówiłam tę książkę ze Stanów. Naprawdę zna pan Thoma Halvorsena?

– Oczywiście. Mieszka niedaleko stąd, kilka minut drogi na piechotę. Poza tym, muzyczny świat Bergen jest niewielki. Gra na skrzypcach w tutejszej orkiestrze filharmonicznej, a ostatnio awansował i jest asystentem dyrygenta.

– Czy mogłabym z nim się spotkać? – zapytałam, kiedy przyniesiono nam kanapki.

– Na pewno tak, ale teraz jest z orkiestrą na tournée po Stanach. Wracają za kilka dni. Dużo już się dowiedziałaś?

– Jeszcze nie skończyłam czytać biografii napisanej przez Jensa, bo czekam na resztę tłumaczenia. Doszłam do momentu, kiedy ojciec wygonił go z domu, a Anna Landvik dostała rolę Solweigi.

– No tak... – Erling uśmiechnął się i spojrzał na zegarek. – Niestety, nie mam teraz czasu, żeby opowiedzieć ci coś więcej, bo za pół godziny mamy popołudniowy koncert. Ale może będzie lepiej, jeśli najpierw do końca zapoznasz się z oryginalną wersją opowieści Jensa? Łatwiej będzie rozmawiać, kiedy przeczytasz całą książkę.

– Gdzie jest ten koncert?

– W specjalnie zbudowanej sali koncertowej. Nazywamy ją Troldsalen. Przez całe lato występują tam gościnnie pianiści, którzy grają utwory Griega. Dziś słuchamy *Koncertu fortepianowego a-moll*.

– Naprawdę? Mogłabym tam iść i posłuchać?

– Oczywiście – powiedział, wstając. – Skończ kanapkę, a potem idź do sali koncertowej. Ja pójdę zadbać o naszego pianistę.

– Cudownie.

Zmusiłam się do dokończenia kanapki i kierując się znakami prowadzącymi przez gęsto zalesione górskie zbocze, trafiłam do budynku, który wygodnie umościł się wśród sosen. Wewnątrz zesłam w dół po schodach mocno pochylego audytorium. Widownia była już w dwóch trzecich wypełniona. Za małą sceną, na środku której stał fortepian marki Steinway, były ogromne okna, a za nimi, niby wspaniałe tło, rozciągał się przepiękny widok na jodły i dalej – na jezioro.

Znalazłam sobie miejsce i wkrótce na scenie pojawił się Erling w towarzystwie szczupłego, ciemnowłosego młodzieńca, który nawet z daleka zwracał uwagę swoim niezwykłym wyglądem. Kustoszu muzeum zwrócił się do widowni – najpierw po norwesku, a potem, ze względu na licznie zgromadzonych turystów, po angielsku.

– Mam zaszczyt przedstawić państwu pianistę Willema Caspariego. Ten młody człowiek zdobył już sobie sławę występami na całym świecie. Ostatnio grał w Royal Albert Hall w Londynie. Jesteśmy wdzięczni, że swoją obecnością zgodził się uświetnić także i nasz skromny zakątek.

Widownia przywitała pianistę aplauzem, a ten spokojnie się uklonił, po czym usiadł przy instrumencie i czekał, aż zapadnie cisza. Gdy grał pierwsze takty, muzyka przeniosła mnie do czasów, kiedy studiowałam w genewskim konserwatorium. Co tydzień chodziłam na koncerty, a często sama występowałam. Muzyka klasyczna była kiedyś moją wielką pasją, a teraz ze wstydem musiałam przyznać, że od dziesięciu lat nie byłam nawet na skromnym recitalu. Słuchanie Willema i przyglądanie się, jak jego zwinne palce tańczą na klawiaturze, sprawiło, że opuściło mnie napięcie. Obiecałam sobie, że się poprawię.

Po koncercie Erling odszukał mnie i zaprowadził na scenę, abym poznała pianistę. Twarz młodego muzyka miała pełne dramatyzmu, ostre rysy. Błada cera, wysokie kości policzkowe, oczy o turkusowym odcieniu i krwistoczerwone usta. Wszystko miał nieskazitelne, od schludnych ciemnych włosów po wypolerowane czarne buty. Pomyślałam, że nieco przypomina przystojnego wampira.

– Dziękuję bardzo za koncert – zwróciłam się do niego. – Był przepiękny.

– Cieszę się, panno D'Aplièse. – Dyskretnie wytarł ręce w śnieżnobiłą chusteczkę do nosa i dopiero wtedy podał mi rękę. Cały czas uważnie mi się przyglądał. – Wie pani co? Wydaje mi się, że już się kiedyś poznaliśmy.

– Naprawdę? – Zawstydziłam się, że nie potrafię sobie tego przypomnieć.

– Tak. Studiowałam w genewskim konserwatorium. Ty dopiero zaczynałaś, a ja byłem na ostatnim roku. Mam świetną pamięć do twarzy, ale pamiętam też twoje nazwisko, bo wydało mi się rzadko spotykane. Jesteś flecistką, prawda?

– Tak – odparłam zaskoczona. – A przynajmniej byłam.

– Naprawdę, Ally? Nic mi o tym nie mówiłaś – odezwał się Erling.

– To było dawno temu.

– Już nie grasz? – zapytał Willem, skrupulatnie rozprostowując klapy marynarki. Widać było, że robi to podświadomie, a nie po to, by zrobić na nas wrażenie.

– Właściwie nie.

– Jeśli dobrze sobie przypominam, to raz poszedłem na twój recital. Grałaś *Sonatę na flet i fortepian*?

– Tak. Naprawdę masz niewiarygodną pamięć.

– Zwłaszcza do rzeczy, które chcę zapamiętać. Zapewniam cię, że ma to swoje dobre i złe strony.

– Ale to ciekawe, że muzyk, o którym Ally zbiera teraz materiały, także był flecistą – wtrącił Erling.

– Przepraszam, ale o kogo chodzi, jeśli mogę zapytać? – zapytał Willem, intensywnie patrząc mi w oczy.

– O norweskiego kompozytora Jensa Halvorsena i jego żonę Annę, śpiewaczkę.

– Niestety, nie znam ich.

– Tu, w Norwegii, byli bardzo znani, zwłaszcza Anna – wyjaśnił Erling. – Nie wiem, jakie masz plany, ale może zechcesz zwiedzić dom Griega albo chatkę na wzgórzu, w której komponował?

– To fantastyczny pomysł.

– A miałybyś coś przeciwko temu, gdybym ci towarzyszył? – zapytał Willem, przyglądając mi się z głową przechyloną na bok. – Przyjechałem do Bergen dopiero wczoraj wieczorem i też nie miałem jeszcze okazji się rozejrzeć.

– Ależ skąd. – Uznałam, że wolę iść obok niego, zamiast tak tu stać i cały czas być pod jego niby spokojną, a jednak baczną obserwacją.

– W takim razie was zostawię – powiedział Erling, który najwyraźniej dokądś się śpieszył. – Przed wyjazdem wpadnijcie do mnie do biura, żeby się pożegnać. Dziękuję za wspaniałą grę, Willem.

Razem z Willemem opuściliśmy budynek, a potem ruszyliśmy między drzewami do schodów prowadzących do willi. Weszliśmy do salonu z drewnianą podłogą, w którym pod ścianą stał stary Steinway. Reszta pomieszczenia wypełniona była eklektyczną mieszaniną mebli, głównie wiejskich, ale było tam również kilka bardziej eleganckich – z orzecha włoskiego i z mahoniem. Na przytulnych sosnowych ścianach wisiały najróżniejsze portrety i pejzaże, z których każdy walczył o uwagę widza.

– Nadal czuje się tu atmosferę prawdziwego domu – zauważył Willem.

– Tak – zgodziłam się.

Otoczały nas oprawione w ramki zdjęcia Griega i jego żony Niny. Zwróciłam uwagę zwłaszcza na jedno, na którym oboje stali przy fortepianie. Nina delikatnie się uśmiechała, a Grieg miał nieprzeniknioną minę: emocje ukrywał za

grubymi brwiami i bujnymi węsami.

– W porównaniu z fortepianem są tacy malutcy – zauważyłam. – Jak dwie laleczki!

– Podobno mieli tylko po metr pięćdziesiąt. A wiesz, że on miał odnę opłucnową? Do zdjęć brał maleńką poduszczkę i wkładał ją pod marynarkę, żeby nie było widać, że ma zapadnięte płuco. Zawsze ma rękę na piersiach, bo ją przytrzymywał.

– Fascynujące... – Wzdychałam, kiedy chodziliśmy po pokoju i przyglądaliśmy się kolejnym eksponatom.

– Jak to się stało, że zrezygnowałaś z muzyki? – zapytał nagle Willem.

Zaczynałam rozumieć schemat, w jaki prowadził rozmowy: jakby w myślach odhaczał rubrykę – „sprawa zakończona” – i dopiero potem przechodził do następnego tematu.

– Zostałam zawodową żeglarką.

– I zaczęłaś przygrywać do tańców żeglarskich? – Zaśmiał się z własnego dowcipu. – Tęsknisz za graniem?

– Szczerze mówiąc, przez ostatnie kilka lat nie miałam na to czasu. Całe życie wypełniło mi żeglarstwo.

– A ja nie wyobrażam sobie życia bez muzyki. – Wskazał fortepian. – Ten instrument to moja pasja, mój ból, siła napędowa całego życia. Moje najgorsze sny są o tym, że mam w palcach reumatyzm. Bo widzisz, bez muzyki nie miałbym nic.

– W takim razie może bardziej wierzysz w swoje umiejętności niż ja. W konserwatorium wydawało mi się, że przestałam robić postępy. Choćbym nie wiem ile ćwiczyła, nie byłam już w stanie zagrać lepiej.

– Mnie też od lat prześladowe coś takiego, ale muzycy tak już mają. Muszę wierzyć, że robię postępy, bo inaczej bym się zabił. A teraz może pójźmy obejrzeć chatkę, w której ten wielki człowiek skomponował kilka swoich arcydzieł?

Dotarliśmy do niej po krótkim spacerze. Kiedy zajrzałam przez szybę drzwi frontowych, przy jednej ścianie zobaczyłam skromny fortepian, a obok niego bujany fotel ustawiony przed oknem z widokiem na jezioro. Na biurku zobaczyłam następną żabkę, identyczną jak moja. Postanowiłam nie dzielić się tą informacją z Willemem.

– Co za widok! – zachwycił się. – Każdego by zainspirował.

– Ale bardzo tu samotnie, nie sądzisz?

– Mnie by to nie przeszkadzało. Byłbym szczęśliwy w samotności. Jestem bardzo samowystarczalny – powiedział, wzruszając ramionami.

– Ja też, ale sama w końcu chyba bym zwariowała. – Uśmiechnęłam się do niego. – Wracamy na górę?

– Tak. – Spojrzał na zegarek. – O czwartej mam spotkanie w hotelu. Tutejsza

repcjonistka powiedziała, że wezwie mi taksówkę. A ty, gdzie się zatrzymałaś? Może byś zabrała się ze mną do miasta?

– Jeszcze nie zarezerwowałam noclegu – powiedziałam, gdy ruszyliśmy w górę wzgórza. – Pójdę do biura informacji turystycznej i na pewno coś znajdę.

– Możesz sprawdzić, czy nie ma miejsca w moim hotelu. Bardzo tam czysto, a w dodatku jest w starym porcie ze wspaniałym widokiem na fiord.

Resztę drogi pokonaliśmy w milczeniu.

– Zaimponowałaś mi, że tak lekko podchodzisz do rezerwacji hotelu – odezwał się, kiedy dotarliśmy do recepcji. – Jeśli chodzi o mnie, to w podróży muszę mieć zrobione rezerwacje kilka tygodni wcześniej i dokładnie wiedzieć, gdzie się zatrzymam, bo inaczej grozi mi załamanie nerwowe.

– Może w ciągu lat uprawiania żeglarstwa nauczyłam się trochę luzu. Mogę spać gdziekolwiek.

– Ja, niestety, jestem znacznie bardziej pedantyczny niż większość ludzi. Mam taką obsesję planowania wszystkiego, że trudno ze mną wytrzymać.

Wzięłam plecak od Else, dziewczyny przy kasie, a potem czekałam przed wyjściem, aż Willem załatwi taksówkę. Przyglądając mu się dyskretnie, zauważyłam, że jego wewnętrzne napięcie objawiało się w żołnierskim sposobie chodzenia; miał napięte mięśnie i cały czas to zaciskał dłonie w pięści, to je prostował.

Młody ambitny, przyszło mi do głowy.

– To gdzie mieszkasz, kiedy nie żeglujesz i nie biegasz za dawno zmarłymi muzykami i ich żonami? – zapytał, kiedy usiedliśmy w taksówce.

– W moim domu rodzinnym w Genewie.

– Nie masz własnego mieszkania?

– Nie. Nigdy go nie potrzebowałam. Zawsze jestem w rozjazdach.

– W tym także się różnimy. Moje mieszkanie w Zurychu jest dla mnie jak przystań. A kiedy ktoś mnie odwiedza, muszę się powstrzymywać, żeby nie prosić ludzi o zdjęcie butów i nie wciskać im antyseptycznych chusteczek.

Przypomniałam sobie, jak dyskretnie wytarł ręce po grze na pianinie.

– Wiem, że jestem dziwny – rzucił. – Więc nie krępuj się, jeśli tak o mnie pomyślałaś.

– Większość muzyków, których poznałam, ma w sobie coś ekscentrycznego. Wydaje mi się, że tak już jest wśród artystów.

– A może raczej autystów, jak mówi mój psychiatra. Może między jednym a drugim jest niewielka różnica. Moja mama mówi, że potrzebny mi ktoś ukochany, żebym wszystko sobie poukładał, ale mam tyle wad, że wątpię, żeby ktokolwiek ze mną wytrzymał. A ty? Masz kogoś?

– Miałam... ale umarł kilka tygodni temu – powiedziałam, wyglądając przez okno taksówki.

- Tak mi przykro, Ally. Moje kondolencje.
- Dziękuję.
- Nie wiem, co powiedzieć.
- Nie martw się. Nikt nie wie – pocieszyłam go.
- Czy dlatego przyjechałaś do Norwegii?
- Chyba tak.

Taksówka wolno jechała wzdłuż nabrzeża pięknego portu. Po drugiej stronie ulicy stały domy o drewnianych frontach. Były pomalowane na biało, bordowo, rdzawopomarańczowo i żółto. Miały charakterystyczne dachy z czerwonej dachówki w kształcie litery V. Nagle wszystkie kolory rozmazały mi się, bo w oczach stanęły mi łzy.

– Wiesz – odezwał się Willem po dłuższej chwili milczenia i odchrząknął – przeważnie nikomu o tym nie opowiadam, ale doświadczyłem czegoś podobnego. Ktoś, kogo kochałem, zmarł pięć lat temu, tuż po Bożym Narodzeniu. To trudne wspomnienia.

– W takim razie mnie także jest bardzo przykro. – Poklepałam go po zaciśniętej pięści. Teraz on odwrócił głowę.

– W moim przypadku... to, że Jack... Śmierć była dla nas błogosławieństwem, wyzwoleniem od strasznej choroby. A co stało się u ciebie?

– Wypadek na morzu. Wystarczyła chwila i Theo nie żył.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, co jest gorsze. Miałem czas, żeby się do tego przygotować, ale musiałem się przyglądać cierpieniu ukochanej osoby. Chyba jeszcze się z tym nie pogodziłem. W każdym razie nie chciałbym cię jeszcze bardziej zasmucać, bo i tak cierpisz. Naprawdę mi przykro.

– Niepotrzebnie. To, że inni przeżywali coś podobnego, daje pewnego rodzaju ukojenie – odpowiedziałam, kiedy taksówka stanęła przed wysokim budynkiem z cegły.

– To mój hotel. Może wejdź i zapytaj, czy mają wolne pokoje. Nic lepszego chyba nie znajdziesz.

– Na pewno nie pod względem widoku – przyznałam. Wsiadłam z taksówki i zobaczyłam, że hotel Havnekontoret znajduje się tylko kilka metrów od nabrzeża, do którego przycumował piękny dwumasztowy szkuner. – Theo byłby zachwycony – mruknęłam. Cieszyłam się, że Willem rozumie, o co mi chodzi.

– Tak. Daj, wezmę twój bagaż.

Poprosiłam taksówkarza, żeby kilka minut zaczekał, weszłam z Willemem do hotelu i zapytałam w recepcji o wolny pokój. Zrobiłam rezerwację, wyszłam i zwolniłam taksówkarza.

– Cieszę się, że masz gdzie spać. – Willem nerwowo przechadzał się obok recepcji. – Jest już chyba moja dziennikarka. Nie znoszę ich, ale cóż zrobić. Do zobaczenia.

– Na razie – rzuciłam.

Ruszył do kobiety czekającej na niego w holu, a ja podałam recepcjonistce kartę kredytową. Dostałam hasło do Wi-Fi i pojechałam windą do swojego pokoju. Znajdował się na poddaszu i roztaczał się z niego przepiękny widok na port. Robiło się już ciemno, więc zdjęłam dżinsy, włożyłam spodnie od dresu i bluzę z kapturem i włączyłam laptop. Kiedy czekałam na połączenie z internetem, myślałam o Willemie i o tym, że mimo dziwactw nawet go polubiłam. Sprawdziłam maile i zobaczyłam, że mam wiadomość od tłumaczki Magdaleny Jensen.

Od: Magdalenajensen1@trans.no

Do: Allygeneva@gmail.com

Temat: Grieg, Solveig og Jeg/Grieg, Solwejga i ja

1 września 2007

Droga Ally

W załączeniu przesyłam resztę tłumaczenia. Książkę odeślę na adres w Genewie. Mam nadzieję, że czytasz ją z przyjemnością. To ciekawa historia.

Pozdrawiam

Magdalena

Kliknęłam na załącznik i niecierpliwie czekałam na ściągnięcie pozostałych stron książki.

A potem zaczęłam czytać...

Anna

Christiania, Norwegia
Sierpień 1876

– Cudownie, że wróciłaś, *kjære* – powiedziała Frøken Olsdatter, zapraszając Annę do mieszkania i biorąc od niej płaszcz. – Herr Bayer wyjechał do Drøbak i w mieszkaniu zrobiło się strasznie pusto. Jak ci było na wsi?

– Bardzo dobrze, ale szkoda, że nie mogłam zostać dłużej – odpowiedziała dziewczyna i weszła za gospodynią do salonu.

– Napijesz się herbaty?

– Tak, poproszę.

– Zaraz przyniosę.

Frøken Olsdatter wyszła, a Anna pomyślała, że cieszy się z powrotu do Christianii i z tego, że znowu będzie mogła korzystać z opieki gospodyni. Może i dałam się rozpuścić, ale co tam, przemknęło jej przez głowę. Z ulgą westchnęła na myśl, że będzie spać na miękkim materacu, a rano po przebudzeniu dostanie śniadanie na tacy. Już nie mówiąc o ciepłej kąpieli...

Frøken Olsdatter przerwała jej zadumę, wchodząc z herbatą na tacy.

– Mam ci mnóstwo do powiedzenia – odezwała się, nalewając napój do dwóch porcelanowych filiżanek, z których jedną podała Annie. – Herr Bayer na razie nie wróci do Christianii. Jego biedna matka jest ciężko chora, więc nie może jej zostawić. Uważa, że wkrótce nastąpi koniec, i oczywiście chce być wtedy przy niej. Do jego powrotu jesteś więc pod moją opieką.

– Tak mi przykro, że jego matka jest chora. – Szczerze mówiąc, Annie nie było ani trochę przykro, że musiał odłożyć przyjazd.

– Próby odbywają się w dzień, więc będę cię odwoziła tramwajem, a potem przywoziła. Po herbacie koniecznie idź obejrzyć swoje nowe ubrania. Przywieziono ci zimową garderobę. Herr Bayer zamówił to wszystko u krawcowej. Dostałaś przepiękne stroje. I przyszedł do ciebie list. Położyłam go w twoim pokoju.

Dziesięć minut później Anna otworzyła drzwi szafy. Była pełna pięknych, ręcznie szytych ubrań. Znalazła bluzki z najdelikatniejszego jedwabiu i muślinu, spódnice z cienkiej wełny i dwie eleganckie wyjściowe suknie: jedną w kolorze topazu, a drugą o barwie przyćmionego różu. Były też dwa nowe gorsety, kilka par pantalonów i cienkie jak pajęczyna pończochy.

Wzdrygnęła się na myśl o tym, że Herr Bayer zamawiał dla niej tak intymne części garderoby, ale odpędziła od siebie niestosowne myśli i doszła do wniosku, że na pewno zrobiła to Frøken Olsdatter. Na najwyższej półce znalazła dwie pary butów na wysokich obcasach: jedno w kolorze różowej sukni, ze srebrną klamerką, i drugie w delikatnym odcieniu kości słoniowej z białym haftem. Kiedy przymierzała te różowe, zobaczyła pudło na kapelusze. Delikatnie zdjęła je z półki, podniosła pokrywkę i aż krzyknęła z podziwu. W środku był kapelusz, który pasował do różowej sukienki. Jeszcze nigdy nie widziała tak misternej aranżacji

piór i wstążek. Przypomniało jej się, jak tuż po przyjeździe na stację kolejową w Christianii podziwiała damskie kapelusze. Ten był najpiękniejszy ze wszystkich. Zaczęła chodzić po pokoju, by poćwiczyć poruszanie się w nowych butach i nakryciu głowy. Poczła się wyższa i starsza. Z niedowierzaniem pomyślała o tym, jak bardzo jej życie zmieniło się od przyjazdu do Christianii.

W kapeluszu i pantoflach usiadła, aby przyjrzeć się listowi, który zostawiła dla niej Frøken Olsdatter. Z westchnieniem stwierdziła, że jest od Larsa. Otworzyła go powoli, ze strachem zastanawiając się, co w nim może być.

Stalsberg Våningshuset

Tindevegen

Heddal

22 lipca 1876

Najdroższa Anno

Obiecałem, że napiszę, żeby Ci dokładnie wytłumaczyć, o co mi chodziło podczas naszej krótkiej rozmowy w czasie wesela Twojego brata.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy stało się dla mnie jasne, że życie w Christianii zmieniło Twoje nadzieje i widoki na przyszłość. Proszę Cię, droga Anno, nie miej z tego powodu poczucia winy. Taka zmiana jest czymś naturalnym. Masz wielki talent, a co ważniejsze, jest on szlifowany przez mądrych ludzi, którzy potrafią go rozwinąć i przedstawić światu.

Chociaż Twoi rodzice uważają, że niewiele się zmieniło, ja wiem, że jest inaczej. Kiedy jesienią wystąpisz w roli Solweigi w teatrze Christiania, na pewno zmienisz się jeszcze bardziej. Chociaż jest to dla mnie trudne, muszę pogodzić się z faktem, że prawdopodobnie nie chcesz już za mnie wyjść. Zakładając, że w ogóle kiedykolwiek chciałaś, w co wątpię.

Wiem, że Twoje wysokie poczucie moralności i dobre serce nie pozwoliłyby Ci wyrazić, co naprawdę czujesz. Nie chciałabyś mnie zranić ani rozczarować rodziców. A więc, jak już wspomniałem, powiem im, że dłużej nie mogę na Ciebie czekać. Twój ojciec kupił już ode mnie ziemię, a wynikające z tego rozwiązanie finansowe bardzo mi odpowiada. Tak jak Ty nie jesteś stworzona do gospodarstwa, tak ja nie jestem rolnikiem. Teraz, kiedy zmarł mój ojciec, niewiele mnie tu trzyma.

Także i dla mnie pojawiło się inne wyjście.

Anno, muszę Ci powiedzieć, że odezwało się do mnie wydawnictwo Scribner z Nowego Jorku, do którego wysłałem moje wiersze. Chcą je wydrukować i zaproponowali mi już drobną zaliczkę. Jak wiesz, zawsze marzyłem o podróży do Ameryki. Pieniądze za farmę, które dostałem od Twojego ojca, akurat wystarczą mi na bilet. Jak sobie wyobrażasz, bardzo się z tego cieszę. Publikacja moich wierszy jest wielkim zaszczytem. Ogromnie chciałbym zabrać Cię ze sobą jako żonę, abyśmy mogli wspólnie rozpocząć tam nowe życie. Nie jest to jednak dla Ciebie odpowiednia chwila. A tak naprawdę, Anno, nawet gdyby tak nie było, wiem, że nie potrafiłabyś mnie pokochać tak, jak ja kocham Ciebie.

Nie mam do Ciebie żalu i dobrze Ci życzę. Pan Bóg dziwnym zrzędzeniem losu dał nam obojgu wolność, abyśmy podążali swoimi drogami, nawet jeśli nie mogą one być ze sobą połączone. Chociaż się nie pobierzemy, mam nadzieję, że nadal mogę być Twoim przyjacielem.

Do Ameryki odpływam za sześć tygodni.

Lars

Anna odłożyła list na łóżko obok siebie. Siedziała zatopiona w myślach, jednocześnie bardzo poruszona i zmieszana.

Ameryka... Zbeształa się za to, że uważała ją za mrzonkę Larsa i nigdy nie traktowała jego planów poważnie. A oto on tam jedzie i mają wydać jego wiersze. Być może pójdzie w ślady samego Herr Ibsena.

Po raz pierwszy zobaczyła Larsa nie w roli ofiary, smutnego psiaka, którego trzeba pogłaskać. Dzięki temu, że ojciec w posagu dla niej kupił od niego ziemię, Lars miał możliwość opuścić Heddal, tak jak ona.

Było to dla niej pocieszeniem.

Czy popłynęłaby z nim do Ameryki, gdyby ją o to poprosił?

Nie.

Nie musiała się zastanawiać nad odpowiedzią. Opadła na łóżko, a nowy jedwabny kapelusz przechylił się do przodu i zasłonił jej oczy.

*

Apartament 4

Olavs Gate 10

Christiania

4 sierpnia 1876

Drogi Larsie

Dziękuję Ci za list. Bardzo się cieszę, że tak dobrze Ci się wiedzie. Mam nadzieję, że napiszesz do mnie z Ameryki. Jestem Ci niezmiernie wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. W Christianii radzę sobie dzięki temu, że pomogłeś mi w nauce czytania i pisanie.

Mocno uściskaj ode mnie mor i far. Mam nadzieję, że nie nakręcą na Ciebie, kiedy powiesz, że rezygnujesz ze ślubu. Dziękuję Ci, że wielkodusznie bierzesz winę na siebie.

Wierzę, że w Ameryce znajdziesz dużo lepszą żonę niż ja. Ja także chciałabym pozostawać z Tobą w przyjaźni.

Mam nadzieję, że nie będziesz cierpieć na chorobę morską.

Anna

Zalepiając list, Anna w pełni zrozumiała doniosłość tego, co Lars napisał. Teraz, kiedy był tylko jej przyjacielem i wyjeżdżał do Ameryki, poczuła, że będzie za nim tęskniła.

Czy powinnam jednak za niego wyjść? – zapytała siebie. Wstała i podeszła do okna, by wyrzucić na ulicę. Był dla mnie taki dobry. Zapewne zrobi tam karierę, a ja być może umrę w staropanieństwie...

Później, kiedy szła korytarzem, by położyć list na srebrnej tacy do wysłania, poczuła, że w końcu pękła ostatnia nić, która łączyła ją z dawnym życiem.

*

Trzy dni później zaczęły się próby do *Peer Gynta*. Aktorzy (wielu z nich grało w prapremierze sztuki) byli dla Anny mili i pomocni. Niestety, choć nauczenie się pieśni, a potem zaśpiewanie jej nie stanowiło najmniejszej trudności, to gra aktorska okazała się trudniejsza, niż się spodziewała. Czasami udawało jej się znaleźć w odpowiednim miejscu na scenie, za to zapominała, co ma powiedzieć, kiedy indziej pamiętała i jedno, i drugie, ale zapominała o wyrazie twarzy, który miał odzwierciedlać emocje. Reżyser, Herr Josephson, wykazywał wobec niej mnóstwo cierpliwości, odnosiła jednak wrażenie, że to, co musi robić, przypomina jednoczesne masowanie się po brzuchu i klepanie po głowie w trakcie tańczenia polki.

Czwartego dnia prób była nieco załamana i zastanawiała się, czy kiedykolwiek dobrze zagra tę rolę. Właśnie miała wyjść z teatru i kierowała się do wyjścia dla aktorów, kiedy ktoś chwycił ją za ramię. Z zaskoczenia aż krzyknęła.

– Frøken Landvik, dowiedziałem się, że wróciła pani do Christianii. Jak udał się pani wyjazd na wieś?

Przed nią stał ten drań Jens Halvorsen. Serce Anny załomotało. Choć rozluźnił uścisk, nadal trzymał rękę na jej ramieniu; przez rękaw czuła ciepło jego dłoni. Z trudem przełknęła ślinę. Zaszokowała ją zmiana w wyglądzie Jensa. Jego zwykle lśniące, kręcone włosy zwisały w strąkach; ubranie miał pogniecione i brudne. Wyglądał, jakby od tygodni porządnie się nie wykąpał, co potwierdzał bijący od niego zapach.

– Pod teatrem czeka na mnie opiekunka – szepnęła. – Proszę zostawić mnie w spokoju.

– Dobrze, ale najpierw muszę pani powiedzieć, że szaleńczo za panią tęskniłem. Chyba udało mi się już udowodnić pani moją miłość i lojalność? Błagam, proszę umówić się ze mną na spotkanie.

– Nie mogę.

– Nic mi nie przeszkodzi, żeby przychodzić do pani do teatru, Frøken Landvik! – zawołał, kiedy szybko podeszła do drzwi i z łoskotem je za sobą zatrzęsnęła.

Przez następny tydzień codziennie czekał na nią, kiedy wychodziła z teatru po próbie.

– Herr Halvorsen, to zaczyna być irytujące – szeptała do niego. Portier Halbert codziennie się temu przyglądał.

– Wspaniale! W takim razie może w końcu pani się podda i zgodzi pójść ze mną na herbatę.

– Moja opiekunka chętnie do nas dołączy. Proszę się z nią skontaktować w tej sprawie – odparła i minęła go w pośpiechu. Tak naprawdę te codzienne spotkania były dla niej najmiłą chwilą dnia i zawsze na nie czekała. Z czasem nie była już taka spięta. Wiedziała, że rozgrywa się między nimi uwodzicielska gra w kotka i myszkę. Zresztą Lars zwolnił ją już z obietnicy, a w dodatku całe lato marzyła o Jensie, więc powoli zaczynała się łamać.

W następny poniedziałek, po weekendzie, który Anna spędziła zamknięta w domu, Frøken Olsdatter oznajmiła, że musi coś załatwić dla Herr Bayera na drugim końcu miasta. Uznała, że Anna jest dość odpowiedzialna, by sama wrócić do domu tramwajem. Anna uznała, że taka okazja może się już nie trafić.

Jens jak zwykle czekał na nią w korytarzu przy wyjściu dla aktorów.

– Kiedy powie pani tak, Frøken Landvik? – zapytał żałośnie, gdy koło niego przechodziła. – Muszę przyznać, że choć mam mnóstwo samozaparcia, nawet ja zaczynam się zniechęcać, skoro tak twardo mnie pani odrzuca.

– Może dzisiaj? – powiedziała, odwracając się do niego zniemacka.

– Hm... w takim razie... świetnie.

Z satysfakcją delectowała się jego zaskoczeniem.

– Chodźmy do kawiarni Engebret po drugiej stronie placu – zaproponował. – To zaledwie minuta drogi stąd.

Po tym, co Anna usłyszała o tym lokalu, wydał jej się fascynującym miejscem.

– A jeżeli ktoś nas tam zobaczy? Pomyślą, że to niestosowne, jeśli pójde tam bez opiekunki.

– Gdzie tam! – Jens roześmiał się. – Engebret to miejsce spotkań bohemy i pijanych muzyków, którzy nawet by nie mrugnęli, gdyby się pani rozebrała i zaczęła tańczyć na stole! Zapewniam panią, że nikt nas nawet nie zauważy, Frøken Landvik. No to chodźmy już, szkoda czasu.

– Chodźmy. – Anna poczuła dreszcz podniecenia.

W milczeniu wyszli z teatru i przemierzili plac. Gdy znaleźli się w kawiarni, Anna wskazała miejsce w najciemniejszym, najbardziej zacisznym zakątku. Usiedli i Jens zamówił dwie herbaty.

– Jak minęło pani lato? – spytał.

– Sądząc po pana wyglądzie, znacznie lepiej niż panu. Nie sprawia pan wrażenia... zbyt zdrowego.

– Dziękuję, że tak łagodnie pani to ujęła. – Ubawiła go jej bezpośredniość. – Nie jestem chory, tylko ostatnio dopadła mnie bieda. Przydałaby mi się porządna kąpiel i czyste ubranie na zmianę. Simen, skrzypek z orkiestry, mówi, że stałem się teraz prawdziwym muzykiem. Jest tak miły, że dał mi dach nad głową, kiedy musiałem opuścić dom rodzinny.

– Ojej! Dlaczego?

– Ojciec nie pochwała moich muzycznych aspiracji. Chciał, bym poszedł w jego ślady i prowadził rodzinny browar, tak jak moi przodkowie.

Anna spojrzała na niego z podziwem. Pomyślała, że musi mieć silny charakter, skoro dla sztuki potrafił odrzucić rodzinę i perspektywę wygodnego życia.

– W każdym razie – ciągnął – zaczyna się sezon w teatrze i w końcu coś zarabiam, więc się przenoszę i będę miał nieco lepsze warunki. Wczoraj Otto, oboista, powiedział, że wynajmie mi pokój w swoim mieszkaniu. Niedawno zmarła jego żona. Była dość bogata, więc mam nadzieję, że znajdę się w porządniejszym otoczeniu. Jego mieszkanie jest o pięć minut drogi od Olavs Gate. Będzie pani mogła przychodzić do mnie na herbatę.

– Cieszę się, że pana sytuacja się poprawi – odparła nieśmiało.

– Ja stoczyłem się do rynsztoka, ale pani gwiazda szybko wschodzi. Może kiedyś zostanie pani bogatą sponsorką, jakiej potrzebuje każdy muzyk – drażnił się

z nią, kiedy przyniesiono herbatę. – Pięknie pani wygląda w tych szykownych sukniach i eleganckim kapeluszu z Paryża. Jak prawdziwa bogata dama.

– Moja gwiazda może spaść równie szybko, jak wzeszła. Chyba nie nadaję się na aktorkę i szybko mogę stracić angaż – zwierzyła mu się Anna, czując ulgę, że mogła to komuś powiedzieć.

– Jestem pewny, że do tego nie dojdzie. Wczoraj byłem na pierwszym spotkaniu muzyków i przypadkiem usłyszałem, jak Herr Josephson mówił dyrygentowi, że świetnie sobie pani radzi.

– Nic pan nie rozumie, Herr Halvorsen. Wyjście przed publiczność i śpiewanie nigdy nie sprawiało mi trudności, ale wygłaszanie kwestii i odgrywanie postaci to coś całkiem innego. Będę miała tremę. – Z roztargnieniem bawiła się uszkiem filizanki. – Nie mam pojęcia, jak znajdę dość odwagi, żeby wyjść na scenę w dniu premiery.

– Anno... czy mogę się do ciebie tak zwracać? Chyba już na tyle dobrze się znamy, że możemy sobie pozwolić na to, żebyś ty mówiła do mnie „Jens”, a ja do ciebie „Anno”?

– Pewnie tak. W każdym razie, kiedy jesteśmy sami.

– Dziękuję. Więc wracając do poprzedniego tematu, na pewno będziesz tak pięknie wyglądała i tak cudownie zaśpiewasz, że nikt nawet nie zauważy, co mówisz.

– Miło mi, że tak myślisz... Jens, ale i tak nie sypiam z tego powodu po nocach. Nie chciałabym nikomu sprawić zawodu.

– Jestem pewny, że nikt nie będzie zawiedziony. A jak tam twój narzeczony na wsi?

– Wyjeżdża do Ameryki. Beze mnie – odpowiedziała, ostrożnie odwracając wzrok. – Już nie jesteśmy zaręczeni.

– Wyrazy współczucia, chociaż muszę przyznać, że mnie to uszczęśliwia. Bez przerwy o tobie myślę. Nie wiem, jak przeżyłem to okropne lato. Zakochałem się w tobie po uszy.

Anna chwilę mu się przypatrywała.

– Jak to możliwe? – odezwała się w końcu. – Prawie mnie nie znasz. Właściwie nigdy nie zamieniliśmy więcej niż kilka słów. Przecież kocha się kogoś nie za to, jak wygląda, ale za to, jaki jest. A żeby się o tym przekonać, trzeba tego kogoś dobrze poznać.

– Znam cię o wiele lepiej, niż sobie wyobrażasz. Na przykład po tym, jak się zarumieniłaś, kiedy widownia cię oklaskiwała po twoim triumfie na wieczorku, wiem, że jesteś skromna. Wiem, że nie jesteś próżna, bo się nie malujesz. Poza tym jesteś cnotliwa, lojalna, przestrzegasz norm moralnych... dlatego tak trudno cię uwodzić. A jeśli coś postanowisz, to jesteś uparta jak osioł. Z doświadczenia wiem, że niewiele jest kobiet, które przynajmniej nie zerkną na listy zalotnika, zanim

wrzucą je do ognia, nawet jeśli uznają jego awanse za niestosowne.

Anna starała się, jak mogła, nie okazać zdziwienia jego wnikliwością w analizowaniu jej charakteru.

– Ale i tak jest wiele rzeczy, których nie wiesz – powiedziała, z trudem przełknawszy ślinę. – Na przykład tego, że moja matka rozpacza nad tym, że jestem beznadziejna w zajęciach gospodarskich. Nie umiem ani gotować, ani szyć. Ojciec twierdzi, że potrafię dbać tylko o zwierzęta, ale o ludzi już nie.

– W takim razie będziemy żyć miłością i kupimy kota. – Jens szeroko się uśmiechnął.

– Wybacz, ale teraz już naprawdę muszę bieć do tramwaju i wracać do domu. – Anna wstała, wyjęła z torebki kilka monet i położyła je na stole. – Proszę, pozwól, że zapłacę za herbatę. Do widzenia... Jens.

– Anno. – Gdy odwróciła się, by odejść, Jens chwycił ją za rękę. – Kiedy znów się zobaczymy?

– Jestem w teatrze codziennie między dziesiątą a czwartą.

– W takim razie będę jutro o czwartej! – zawołał, patrząc, jak Anna szybko zmierza do drzwi. Kiedy wyszła, spojrzął na rozrzucone na stole monety i zobaczył, że wystarczy mu, by zapłacić za herbatę i jeszcze kupić sobie miskę zupy i kieliszek wódki.

Anna tymczasem usiadła w tramwaju i z rozmarzeniem przymknęła oczy. Spotkanie w cztery oczy z Jensem Halvorsenem było cudowne. Czy to ze względu na jego nową sytuację finansową, czy też dlatego, że tak uparcie za nią chodził, nie wydawał jej się już tak zarozumiały i buńczuczny jak kiedyś.

– Panie Boże – modliła się tego dnia przed snem – proszę, wybacz mi, że Jens Halvorsen nie wydaje mi się już takim draniem, jak kiedyś. Życie ciężko go doświadczyło i zmienił się. Zrobiłam, co mogłam, żeby nie ulec pokusie, ale teraz... – przygryzła wargę – chyba dłużej nie dam rady. Amen.

*

Przed premierą spotykali się codziennie po próbie. Anna martwiła się o plotki w teatrze, więc poprosiła Jensa, by czekał na nią w kawiarni Engebret. Późnym popołudniem było tam najspokojniej, więc powoli Anna zaczęła się rozluźniać i mniej się martwić o to, co ludzie o niej pomyślą. Pewnego dnia, kiedy Jens sięgnął pod stołem po jej dłoń, pozwoliła mu ją przytrzymać. Od tej pory zwykle siedzieli z palcami splecionymi w ukryciu. Utrudniało to nieco nalewanie herbaty i mleka, bo musieli to robić jedną ręką, ale każda sekunda takiego kontaktu była warta wszelkiej niewygody.

Jens znów zaczął wyglądać jak człowiek. Przeprowadził się do mieszkania kolegi oboisty i – jak to bardzo obrazowo opisał – skorzystał z porządnego odwszawienia. Otto miał służącą, która prała mu ubrania, więc Anna z ulgą

stwierdziła, że znacznie lepiej pachnie.

Ale najważniejszy był dla niej jego dotyk – pozornie niewinny, ale tak wiele obiecujący, że wciąż o nim myślała: w dzień i w nocy. W końcu zrozumiała, co czuła Solwejga i dlaczego poświęciła życie dla Peera.

Często siedzieli obok siebie w milczeniu, zapominali o herbacie i nawzajem pochłaniali się wzrokiem. Choć Anna nakazała sobie ostrożność, w końcu poddała się Jensowi. Pozwoliła mu się oczarować.

Trzy dni przed premierą *Peer Gynta*, otwierającą nowy sezon w teatrze Christiania, ponownie rozpoczęto mozolny proces zestrajania ze sobą orkiestry i aktorów. Tym razem Anna nie dzieliła sali na zapleczu z Rudem i dziećmi. Miała do dyspozycji garderobę madame Hansson, w której cała jedna ściana była w lustrach. W pomieszczeniu stał szezlong, na wypadek gdyby poczuła się zmęczona.

– Ale tu ładnie! – zachwycił się Rude po krótkich oględzinach. – Niektórym ostatnio zaczęło się nieźle powodzić. Mogę tu czasami przyjść, Frøken Landvik? Czy jesteś już dla mnie za ważna?

Anna ujęła jego pyzate policzki i roześmiała się.

– Chyba nie będę miała czasu na gry w karty, ale możesz tu przychodzić, kiedy tylko zechcesz.

Kiedy weszła do garderoby w wieczór premiery, pomieszczenie było pełne kwiatów i kartek z życzeniami powodzenia. Jedną z nich przysłali jej rodzice i Knut. Załączyli do niej list, w którym na pewno napisali coś o jej zerwanych zaręczynach z Larsem, więc odłożyła go do przeczytania na później. Kiedy charakteryzatorka Ingeborg robiła jej makijaż sceniczny, Anna czytała pozostałe kartki. Była wdzięczna, że ludzie obdarowali ją tyloma miłymi słowami. Treść jednej z nich, do której dołączona była czerwona róża, przypawiła Annę o dreszcz.

Dzisiaj będę patrzył, jak wznosisz się do gwiazd.

Wczuję się w każde uderzenie Twojego serca.

Śpiewaj, mój piękny ptaszku. Śpiewaj!

J.

Gdy usłyszała, że aktorzy wzywani są na scenę, zmówiła szybko modlitwę – „Panie Boże, nie pozwól, żebym skompromitowała siebie i swoją rodzinę” – po czym skierowała się ku kulisom.

*

Tego wieczoru były chwile, które na zawsze miały wpisać się w pamięć Anny. Na przykład straszliwy moment, kiedy wyszła na scenę w drugim akcie, a w głowie nagle poczuła absolutną pustkę. Z rozpaczą spojrzała w dół, tam gdzie siedziała orkiestra, i zobaczyła, że Jens podpowiada jej kwestię. Miała nadzieję, że nikt z widowni nie zauważył, jak się waha, ale tak ją to wyprowadziło z równowagi, że prawie do końca spektaklu nie mogła się pozbierać. Panowanie

nad sobą odzyskała dopiero pod koniec podczas *Kotysanki*, kiedy Peer położył głowę na jej kolanach i znaleźli się na scenie całkiem sami. Nareszcie była w stanie w pełni uwolnić swój głos i dać upust emocjom.

Po wybrzmieniu ostatniej nuty jeszcze wiele razy podnoszono kurtynę i musiała wychodzić na scenę. Obie z Marie, która grała Azę, matkę Peera, dostały mnóstwo bukietów. Kiedy w końcu ostatecznie opadła kurtyna, Anna rozszlochała się na ramieniu Herr Josephsona.

– Nie płacz, proszę – uspokajał ją.

– Strasznie zagrałam! Wiem o tym!

– Wcale nie, Anno. Nie rozumiesz, że twoje wahanie wyglądało naturalnie i tylko podkreśliło bezbronność Solweigi? A pod koniec... publiczność była oczarowana. To nadzwyczajna rola, jakby specjalnie napisana dla ciebie. Gdyby zobaczyli cię w niej Herr Ibsen i Herr Grieg, na pewno byliby zadowoleni. A śpiewałaś jak zawsze fantastycznie. No, już dobrze. – Palcem startł łzę z jej policzka. – Idź uczcić swój sukces.

W garderobie czekało na nią mnóstwo osób, które przyszły jej pogratulować. Wszyscy chcieli być przy koronowaniu nowej, prawdziwie domorosłej księżniczki. Anna nie wiedziała, jak reagować na komplementy. Po pewnym czasie wszedł Herr Hennem i wszystkich wyprosił.

– Dyrygowanie orkiestrą było dzisiaj dla mnie wielką przyjemnością – powiedział, gdy został z Anną sam. – Podobnie jak przyglądanie się twojemu debiutowi. Jako aktorka nie byłaś idealna, ale w miarę jak nabierzesz pewności siebie, a zaręczam, że na pewno to nastąpi, nauczysz się i aktorstwa. Ciesz się podziwem Christianii, bo w pełni na niego zasługujesz. Zaraz przyjdzie po ciebie Herr Josephson, żeby zabrać na przyjęcie urządzone w foyer. – Ukłonił się i wyszedł.

Kiedy się przebierała, ktoś zapukał. W drzwiach pokazała się buzia Rudego.

– Przepraszam, Frøken Anno, ale poproszono mnie, żebym dostarczył ci liścik. – Z beczelnym uśmiechem podał jej przesyłkę. – Jeśli wolno, to ci powiem, że ślicznie dziś wyglądasz. Mogłabyś poprosić moją mamę, żeby pozwoliła mi iść na przyjęcie? Może się zgodzi, jeśli ty ją poprosisz.

– Dobrze wiesz, że nie mogę tego zrobić, Rude, ale skoro już tu jesteś, to pomóż mi zapiąć sukienkę.

Gdy wchodziła z Herr Josephsonem do foyer, przywitała ją burza oklasków. Jens, który przyglądał jej się z daleka, pomyślał, że jeszcze nigdy tak jej nie kochał. Zresztą napisał to w liściku, który dostarczył jej Rude. Obserwował, jak się śmieje i rozmawia z ludźmi. Myślał o tym, jak wysoko zaleciała jego ptaszyna od czasu, kiedy po raz pierwszy usłyszał jej śpiew.

Po chwili jednak serce mu zamarło, bo zobaczył, jak podchodzi do niej znajomy mężczyzna z bujnymi, podkreconymi do góry wąsami. Wszyscy rozstąpili

się, by go do niej przepuścić.

– Anno! Moje drogie dziewczę! Nawet choroba matki nie mogła mnie powstrzymać od przyjechania, by zobaczyć cię w tę cudowną noc. Byłaś wspaniała, *kjære*, naprawdę wspaniała.

Jens zauważył, jak twarz Anny na chwilę się zachmurzyła, ale zaraz znów się rozpozogodziła i dziewczyna ciepło przywitała Herr Bayera. Przygnębiony Jens wyszedł z foyer; przy mentorze Anny nie mógł powiedzieć ukochanej, jaki jest z niej dumny.

Oczywiście, nawet jeśli Anna nie była tego świadoma, on wiedział, co w trawie piszczy, i rozmyślał nad tym, topiąc smutek w gorzałce u Engebreta. Pozbyła się wprawdzie narzeczonego ze wsi, ale wszyscy wiedzieli, że Herr Bayer się w niej zakochał. A w dodatku był w stanie dać jej wszystko, czego tylko mogłaby zapragnąć. Kilka miesięcy temu ja też mógłbym jej to zapewnić, przemknęło przez głowę Jensa.

Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił straszliwego błędu.

*

Choć Frøken Landsvik nie wnosi do roli Solweygi wytrawnej pewności siebie madame Hansson, znakomicie nadrabia to niewinnością, młodością i nadzwyczajnym wykonaniem pieśni.

– W najświeższym wydaniu „Dagbladet” recenzent chwali twoją urodę, młodość i...

Anna przestała słuchać Herr Bayera. Cieszyła się, że udało jej się przebrnąć przez premierę, ale nie była w stanie nawet pomyśleć o tym, że wszystko trzeba powtórzyć następnego wieczoru.

– Niestety, mogę zostać w Christianii tylko do jutra rana – oznajmił Herr Bayer, składając gazetę. – Muszę jak najszybciej wracać do mamy.

– Jak się czuje?

– Ani lepiej, ani gorzej. – Profesor westchnął. – Zawsze miała niezłomnego ducha i tylko on trzyma ją przy życiu. Jedyne, co mogę zrobić, to być przy niej aż do końca. Ale dość tego. Chciałbym, abyśmy zjedli dzisiaj wspólnie uroczystą kolację, a przy okazji opowiesz mi, co się tu ostatnio działo.

– Będzie mi bardzo miło, ale jestem trochę zmęczona. Mogłabym przedtem trochę odpocząć?

– Oczywiście, moja droga. Jeszcze raz ci gratuluję.

Franz Bayer, patrząc z podziwem, jak Anna wychodzi z pokoju, nie mógł się nadziwić, że tak daleko zaszła w ciągu ostatniego roku, a nawet od czasu, kiedy widział ją ostatnio. Wtedy była pączkiem, który miał się wkrótce rozwinąć, a teraz w pełni rozkwitła. Przemieniła się w piękność, a pod jego kierunkiem nabrała także wdzięku i wyrafinowania.

Poza tym, choć przed chwilą twierdziła, że jest wyczerpana, roztaczała wokół siebie niemożliwy do określenia blask. Miał tylko nadzieję, że nie ma on nic wspólnego z flecistą, który zrobił na niej tak wielkie wrażenie na czerwcowym wieczorku. Herr Josephson złośliwie drażnił się z Franzem, mówiąc, że wrócił do miasta w samą porę. Dodał, że jego podopieczną często widywano z Jensem na herbacie w kawiarni Engebret.

Do tej pory Herr Bayer spokojnie czekał, bo nie chciał jej wystraszyć. Ale po tym, co powiedział Herr Josephson, postanowił wyjawic Annie, jakie ma wobec niej zamiary.

*

– Wyglądasz czarująco! – przywitał ją Herr Bayer, kiedy w topazowej sukni weszła do jadalni.

Wszyscy ciągle mówią o tym, jaka jest piękna, zwłaszcza mężczyźni, pomyślał gorzko. Ale gdyby zobaczyli ją bez pudru i zauważyli, ile ma piegów, pewnie by uznali, że ma dość pospolitą urodę.

Anna chciała odwdzięczyć mu się za komplement, ale nie przyszło jej do głowy nic innego poza pochwaleniem jego nowego barwnego fularu w tureckie wzory. Miała tylko nadzieję, że nie poczuje w jej głosie nieszczerości.

– A co słyhać u twojej rodziny? Jak udały się odwiedziny na wsi?

– Wszyscy są zdrowi, a ślub mojego brata był przepiękny.

– Frøken Olsdatter powiedziała mi, że, niestety, ty i twój narzeczony zerwaliście zaręczyny.

– Tak. Lars nie mógł na mnie dłużej czekać.

– Martwisz się tym, Anno?

– Myślę, że tak będzie lepiej dla nas obojga – odpowiedziała dyplomatycznie i włożyła do ust kawałek ryby. Tak naprawdę chciała wcześniej położyć się spać i rozmyślać o Jensie.

Po kawie w salonie Frøken Olsdatter przyniosła swojemu chlebodawcy karafkę z brandy i ku zakłopotaniu Anny także wiaderko lodu z butelką szampana. Anna uznała, że to stanowczo za późna pora na picie alkoholu, więc zaczęła się zastanawiać, czy profesor zaprosił jakichś gości.

– Proszę zamknąć za sobą drzwi! – zawołał do Frøken Olsdatter, a gdy gospodyni to zrobiła, zwrócił się do Anny: – Chciałbym ci coś powiedzieć, moja droga. – Odchrząknął. – Na pewno zauważyłaś, że od kiedy tu mieszkasz, coraz bardziej się do ciebie przywiązywałem. Mam też nadzieję, że doceniasz moje wysiłki, by zadbać o twoją karierę.

– Oczywiście, Herr Bayer. Nigdy nie będę w stanie odwdzięczyć się panu.

– Może dość tego oficjalnego zwracania się do siebie. Proszę cię, Anno, mów do mnie „Franz”. Znamy się już dostatecznie dobrze...

Nagle zamilkł. Po raz pierwszy, od kiedy go poznała, nie mógł znaleźć odpowiednich słów. W końcu wziął się w garść i mówił dalej:

– Widzisz, Anno, wszystko to zrobiłem nie tylko po to, by rozwinąć twój talent, ale także ponieważ... zakochałem się w tobie. Oczywiście jako dżentelmen nie mogłem nic mówić, skoro byłaś przyrzeczona innemu, ale teraz, kiedy jesteś wolna, no cóż... W lecie podczas naszego rozstania zrozumiałem głębię swoich uczuć do ciebie. Niestety, znowu muszę zostawić cię samą i wrócić do chorej matki i nawet nie wiem, jak długo mnie nie będzie. Pomyślałem więc, że nie powinienem dłużej czekać z wyjawieniem swoich zamiarów wobec ciebie. – Na chwilę przerwał i wziął głęboki oddech. – Anno, czy zrobiłabyś mi ten zaszczyt i poślubiła mnie?

Udało jej się powstrzymać przed wydaniem dźwięku wyrażającego zaskokowanie, lecz nie była w stanie ukryć przerażenia malującego się na twarzy.

Zauważył je i ponownie odchrząknął.

– Rozumiem, że moje oświadczenia mogły cię zaskoczyć – powiedział. – Ale czy nie widzisz, jaką bylibyśmy znakomitą parą? Wspierałem cię w karierze i tu, w Christianii, osiągnęłaś szczyty. Ale Norwegia jest bardzo małym krajem, zbyt małym na twój talent. Już wysłałem listy do kilku dyrektorów muzycznych teatrów w Danii, Niemczech i Paryżu i opisałem im twoje zdolności. Zresztą, po wczorajszej premierze sami o nich usłyszą. Gdybyśmy się pobrali, mógłbym z tobą podróżować po Europie, a ty występowałabyś w największych salach koncertowych. Chroniłbym cię, opiekowałbym się tobą... Wiele lat szukałem takiego talentu jak twój. A poza tym wszystkim – dodał szybko – skradłaś mi serce.

– Rozumiem – bąknęła Anna, bo uznała, że musi coś powiedzieć.

– Przecież chyba mnie lubisz?

– Tak. Jestem ci bardzo... wdzięczna.

– Bylibyśmy dobraną parą. W końcu prawie rok mieszkasz pod moim dachem i znasz wszystkie moje złe nawyki. – Zachichotał. – Mam nadzieję, że także kilka dobrych. Małżeństwo nie zmieniłoby między nami aż tak wiele; życie biegłoby nam mniej więcej tak jak dotąd.

Anna wzdygnęła się w środku, przyszło jej bowiem do głowy mnóstwo zmian, których po ślubie spodziewałby się Herr Bayer.

– Milczysz... Widzę, że cię zaskoczyłem. Wydawało mi się, że jest to naturalny krok w naszej wzajemnej relacji, ale ty być może nie miałaś śmiałości o tym myśleć.

W tym na pewno masz rację, przemknęło Annie przez głowę.

– Owszem, nie miałam.

– Chyba pośpieszyłem się z tym szampanem. Widzę, że muszę dać ci nieco czasu na przemyślenie mojej propozycji. Zastanowisz się nad tym, Anno?

– Oczywiście, Herr Bayer... Franz. Jestem zaszczyczona twoimi

oświadczynami.

– Wyjadę na co najmniej dwa tygodnie, a zapewne na dłużej, więc będziesz miała czas to dobrze przemyśleć. Mam tylko nadzieję i będę się modlił, żebyś się zgodziła. Kiedy ze mną zamieszkałaś, zrozumiałem, jak bardzo jestem samotny po śmierci żony.

Wyglądał tak przeraźliwie smutno, że chciała go pocieszyć, tak jak pocieszyłaby własnego ojca. Odpędziła od siebie tę myśl i uznawszy, że nic więcej nie zostało do powiedzenia, wstała.

– Zastanowię się poważnie i kiedy wrócisz, dam ci odpowiedź. Dobranoc... Franz.

Musiła się powstrzymać, by nie wybiec z salonu, ledwie jednak znalazła się na korytarzu, przyspieszyła kroku. Zamknęła za sobą drzwi pokoju i przekręciła klucz w zamku. Ciężko usiadła na łóżku i zakryła twarz dłońmi. Nadal nie bardzo była w stanie uwierzyć w to, co się przed chwilą stało. Przeszukiwała pamięć, zastanawiając się, czy kiedykolwiek niechcący dała Herr Bayerowi do zrozumienia, że byłaby gotowa za niego wyjść. Była pewna, że zawsze zachowywała się odpowiednio. Nie pamiętała, by choć raz z nim flirtowała lub zrobiła do niego „słodkie oczy”, jak to nazywały chórzystki z *Peer Gynta*.

Musiła jednak przyznać, że jej rodzice zgodzili się, by mieszkała pod jego dachem, by ją karmił, ubierał i dawał to, o czym wcześniej nie mogłaby nawet marzyć. Nie wspominając już o pieniądzach, które dał jej ojcu. Dlaczego po tym wszystkim, co dla niej zrobił, nie miałby zakładać, że zostanie za to wynagrodzony?

– O Boże, nie wytrzymam tego... – jęknęła.

Konsekwencje oświadczyn Herr Bayera były ogromne. Jeśli odrzuci jego propozycję, nie będzie mogła dłużej mieszkać pod jego dachem. I dokąd wtedy pójdzie?

Zdawała sobie sprawę, jak bardzo jest od niego uzależniona. Wiedziała też, że wiele młodych dziewcząt, a także starszych kobiet, takich jak na przykład Frøken Olsdatter, z radością wyszłoby za mąż za kogoś takiego jak Herr Bayer. Był bogatym, kulturalnym mężczyzną, którego przyjmowano w najwyższych kręgach towarzyskich Christianii, dobrym i odnoszącym się do ludzi z szacunkiem. Ale był od niej prawie trzy razy starszy.

A najważniejsze... Anna pamiętała, co sobie przyrzekła. Nie kochała Herr Bayera. Kochała Jensa Halvorsena.

Następnego dnia, po przedstawieniu, któremu – według Anny – w porównaniu z premierą kompletnie brakowało polotu, pod drzwiami dla aktorów czekał na nią Jens.

– Co tu robisz? – syknęła. Widziała, że czeka już na nią powóz, i szybkim krokiem ruszyła do wyjścia.

– Nie bój się, Anno. Nie przyszedłem cię skompromitować. Chciałem tylko osobiście ci powiedzieć, że na premierze byłaś cudowna. A oprócz tego... Dobrze się czujesz?

Nagle stanęła i odwróciła się w jego stronę.

– O co ci chodzi?

– Przyglądałem ci się dzisiaj i byłaś jakaś nieswoja. Ale nie martw się, nikt inny tego nie zauważył. Grałaś świetnie.

– Skąd wiedziałeś, że źle się czuję? – Do oczu nabiegły jej łzy ulgi, że ktoś jednak zauważył jej cierpienie.

– Więc miałem rację – powiedział, kiedy doszli do powozu i woźnica otworzył przed nią drzwi, by weszła do środka. – Mogę ci w czymś pomóc?

– Nie... wiem... Muszę jechać do domu.

– Rozumiem... ale proszę cię... musimy porozmawiać. Na osobności. – Ściszył głos, by nie usłyszał go woźnica. – Przynajmniej weź mój adres. – Wcisnął karteczkę w jej drobną dłoń. – Mój gospodarz Otto wychodzi jutro na prywatną lekcję. Między czwartą a piątą będę w domu sam.

– Zobaczę – szepnęła, odwróciła się i weszła na schodki powozu.

Gdy znalazła się w środku i woźnica zamknął za nią drzwi, ciężko opadła na siedzenie. Zobaczyła, jak Jens do niej macha. Wyciągnęła szyję i patrzyła przez okienko, jak idzie w stronę kawiarni Engebret. Powóz ruszył, a ona poczuła, że mocno wali jej serce. Wiedziała, że nie wypada, by odwiedzała mężczyznę, ale czuła, że musi z kimś porozmawiać o propozycji Herr Bayera.

*

– O czwartej muszę iść do teatru – powiedziała Anna przy śniadaniu. – Herr Josephson zarządził próbę. Nie podoba mu się jedna scena w drugim akcie.

– Wrócisz na kolację? – spytała Frøken Olsdatter.

– Mam nadzieję, że tak. Próba nie powinna trwać dłużej niż dwie godziny.

Być może tylko jej się wydawało, ale miała wrażenie, że gospodyni patrzy na nią tak jak mama, kiedy wiedziała, że Anna kłamie.

– Czy potem przysłać po ciebie powóz?

– Nie. Będą jeszcze jeździły tramwaje. Bez problemu trafię do domu. – Anna wstała i najspokojniej, jak mogła, wstała od stołu.

Ale po południu, kiedy wyszła z domu, wcale nie była spokojna. W tramwaju serce waliło jej tak głośno, że bała się, czy nie słyszy tego siedzący obok niej współpasażer. Na następnym przystanku wysiadła i szybko znalazła adres z karteczki. Tłumaczyła się przed sobą, że idzie odwiedzić swojego jedyne przyjaciela w Christianii, bo tylko jemu może tu zaufać.

– Przyszłaś. – Jens uśmiechnął się, otwierając drzwi mieszkania. – Proszę, wejdź.

– Dzień dobry. – Anna poszła za nim do przestronnego salonu. Był elegancko umeblowany i przypominał ten w mieszkaniu Herr Bayera.

– Masz ochotę na herbatę? Ale ostrzegam cię, że musiałbym ją sam zrobić, bo pokojówka wyszła o trzeciej.

– Nie, dziękuję. Piłam herbatę przed wyjściem.

– Usiądź. – Wskazał jej krzesło.

– Dziękuję. – Ucieszyła się, że krzesło jest koło pieca, bo drżała z zimna i z nerwów. Jens usiadł naprzeciwko niej. – Mieszkanie wygląda na bardzo wygodne.

– Szkoda, że nie widziałas tego poprzedniego... – Pokręcił głową i roześmiał się. – W każdym razie, dobrze, że znalazłem coś lepszego. Ale nie traćmy czasu na rozmowę o rzeczach nieważnych. Co się stało, Anno? Jesteś w stanie mi o tym opowiedzieć?

– O Boże... – Podniosła dłoń do czoła. – To... skomplikowane.

– Trudne sprawy zazwyczaj takie są.

– Chodzi o to, że Herr Bayer mi się oświadczył.

– Rozumiem. – Jens kiwnął głową. Pozornie był spokojny, ale dłonie zacisnęły mu się w pięści. – I co mu odpowiedziałas?

– Wczoraj z samego rana wyjechał do Drøbak. Jego matka umiera, więc siedzi u jej boku. Kiedy wróci, muszę dać mu odpowiedź.

– A kiedy wróci?

– Pewnie, kiedy matka umrze.

– Powiedz mi prawdę. Jak się czułaś, kiedy poprosił cię o rękę?

– Byłam przerażona. I miałam poczucie winy. Zrozum, on był dla mnie bardzo dobry. Wiele dla mnie zrobił.

– Anno, wszystko, co masz, zawdzięczasz swojemu talentowi.

– Tak, ale on mnie uczył i otworzył przede mną możliwości, o których w Heddal nie miałam pojęcia.

– Więc jesteście kwita.

– Mnie tak się nie wydaje. A poza tym, gdzie się podzieję, kiedy mu odmówię?

– Więc chcesz odmówić?

– Oczywiście! Czułabym się tak, jakbym wychodziła za swojego dziadka!

On jest dobrze po pięćdziesiątce. Będę musiała się wyprowadzić i na pewno zrobię sobie z niego wroga.

– Ja mam mnóstwo wrogów, Anno. – Jens westchnął. – Oczywiście z własnej winy. A Herr Bayer ma w Christianii mniejsze znaczenie niż i jemu, i tobie się wydaje.

– Może masz rację. Ale gdzie ja się podzieję?

Zapadła cisza. Oboje rozmyślali nad tym, co zostało powiedziane. A także nad tym, co pominęli milczeniem. Pierwszy odezwał się Jens.

– Anno, jest mi bardzo trudno wypowiadać się w sprawie twojej przyszłości, choć jeszcze parę miesięcy temu mogłem dać ci to samo co Herr Bayer. Wiem też, że jako kobieta masz trudniejszą sytuację. Musisz jednak pamiętać, że odniosłaś ogromny sukces i to dzięki swojemu talentowi jesteś najmodniejszą gwiazdą w Christianii. Herr Bayer jest ci mniej potrzebny, niż ci się wydaje.

– Tylko że o tym, czy tak jest naprawdę, przekonam się dopiero wtedy, kiedy podejmę decyzję.

– To prawda. – Uśmiechnął się, kiedy uświadomił sobie, jak rozsądną dziewczyną jest Anna. – Wiesz, co do ciebie czuję, ale chociaż z całego serca chciałbym ci wszystko zapewnić, nie wiem, jak będzie wyglądała moja sytuacja materialna. Gdybyś jednak za niego wyszła, byłbym najbardziej nieszczęśliwym człowiekiem w Christianii. I nie chodzi mi tylko o mnie, ale także o ciebie, bo wiem, że go nie kochasz.

Zrozumiała, jakie to dla niego jest trudne. Wyznał jej przecież otwarcie miłość, a ona nie powiedziała mu, że go kocha. W zdenerwowaniu wstała i zaczęła zbierać się do wyjścia.

– Wybacz mi, Jens, nie powinnam była tu przychodzić. Postąpiłam bardzo – w myślach poszukała słowa, którego użyłby Herr Bayer – niestosownie.

– Przyznam szczerze: strasznie cierpię, kiedy słyszę, że inny mężczyzna wyznał ci miłość. Chociaż większość ludzi w Christianii ucieszyłaby się, gdybyś zgodziła się za niego wyjść.

– Tak. Na pewno. – Odwróciła się i ruszyła do wyjścia. – Bardzo cię przepraszam, ale naprawdę muszę już iść.

Otworzyła drzwi, lecz poczuła, że chwytą ją za rękę.

– Proszę cię, niezależnie od okoliczności, nie traćmy jedynej chwili tylko we dwoje, jaką kiedykolwiek mieliśmy. – Wciągnął ją z powrotem do pokoju. Delikatnie ujął jej twarz. – Kocham cię, Anno. Nie mogę przestać tego mówić. Kocham cię.

Po raz pierwszy naprawdę mu uwierzyła. Byli tak blisko siebie, że czuła promieniowanie ciepła z jego ciała.

– Może wreszcie przyznaj przed sobą i przede mną, dlaczego tu przyszłaś. Powiedz prawdę, Anno. Kochasz mnie, kochasz...

Zanim zdążyła go powstrzymać, już ją całował. W ułamku sekundy jej usta mu odpowiedziały, i to absolutnie bez udziału jej umysłu. Wiedziała, że to bardzo źle, ale było już za późno; poczuła się tak cudownie, że nie przychodził jej do głowy ani jeden powód, by przerwać pocałunek.

– A teraz mi powiesz? – błagał, kiedy szykowała się do wyjścia.

Odwróciła się do niego.

– Tak, Jensie Halvorsen. Kocham cię.

*

Godzinę później Anna otwierała kluczem mieszkanie Herr Bayera. Uczyła się aktorstwa, więc była przygotowana, kiedy w drodze do jej pokoju zatrzymała ją Frøken Olsdatter.

– Jak poszła próba?

– Świetnie.

– O której chciałybyś zjeść kolację?

– Jeśli to nie za duży kłopot, może mogłabym ją dostać na tacy do pokoju? Jestem potwornie zmęczona po wczorajszym przedstawieniu i dzisiejszej próbie.

– Oczywiście. Nalać ci wody do wanny?

– Byłoby cudownie. Dziękuję – odpowiedziała Anna, po czym weszła do swojego pokoju i z ulgą zamknęła drzwi. Rzuciła się na łóżko i w ekstazie objęła ciało ramionami, wspominając usta Jensa na swoich. Była już zdecydowana, że niezależnie od konsekwencji, musi odrzucić oświadczyzny Herr Bayera.

*

Następnego wieczoru w teatrze szeptem powtarzano plotki.

– Podobno przyjdzie.

– Nie, spóźnił się na pociąg z Bergen.

– Ale ktoś słyszał, jak Herr Josephson rozmawiał o tym z Herr Hennemem.

W dodatku wcześniej wezwano orkiestrę...

Anna wiedziała, że jest tylko jedna osoba, która może potwierdzić plotki, więc wezwała Rudego. Kilka minut później wszedł do jej garderoby.

– Chciałaś się ze mną widzieć, Frøken Anno?

– Tak. Czy to prawda? Te opowieści, które krążą dzisiaj po teatrze?

– Że na przedstawienie przyjdzie Herr Grieg?

– Tak.

Chłopak skrzyżował chude ramiona na piersi.

– To zależy, kogo się posłucha.

Z westchnieniem włożyła mu w dłoń monetę, na co odpowiedział szerokim uśmiechem.

– Mogę potwierdzić, że Herr Grieg siedzi teraz z Herr Hennemem i Herr

Josephsonem w biurze na piętrze. Ale nie wiem, czy wybiera się na przedstawienie. Jednak skoro jest w teatrze, można się tego spodziewać.

– Dziękuję ci za informację, Rude – powiedziała, kiedy skierował się do drzwi.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Frøken Anno. Powodzenia wieczorem.

Kiedy zadzwonił pierwszy dzwonek i aktorzy zajęli swoje miejsca za kulisami, gromkie brawa z drugiej strony kurtyny potwierdziły, że na salę wszedł ktoś ważny. Na szczęście Anna nie miała zbyt dużo czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo orkiestra zagrała *Preludium* i przedstawienie się zaczęło.

Tuż przed jej pierwszym wejściem na scenę poczuła, że ktoś ciągnie ją za ramię. Odwróciła się i zobaczyła, że obok niej kręci się Rude.

– Pamiętaj, Frøken Anno, co zawsze mówi mi mama: nawet król musi robić siusiu.

Bardzo ją to rozbawiło i roześmiała się. Kiedy wchodziła na scenę, było to po niej odrobinę widać. Czowała, że w fosie dla orkiestry z miłością wspiera ją Jens, więc udało jej się rozluźnić i stanąć na wysokości zadania. Trzy godziny później, gdy opadła kurtyna i z łoży uklonił się sam Grieg, widownia z zachwyty wpadła niemal w histerię. Anna uśmiechała się do Jensa i stojąc na scenie, przyjmowała bukiet za bukietem.

– Kocham cię – powiedział bezgłośnie.

Kiedy kurtyna opadła po raz ostatni, aktorów poproszono, aby zostali na scenie, a z fosy wyszła orkiestra, aby stanąć obok nich. Anna i Jens przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a on przesłał jej w powietrzu pocałunek.

W końcu Herr Josephson wprowadził na scenę szczupłego mężczyznę, który był niewiele wyższy od niej. Aktorzy obdarzyli go gromkimi oklaskami. Anna stwierdziła, że Edward Grieg jest znacznie młodszy, niż jej się wydawało. Miał zaczesane do tyłu faliste blond włosy i wąsy, które mogłyby iść w zawody z wąsami Herr Bayera. Ku absolutnemu zaskoczeniu Anny podszedł do niej, uklonił się i pocałował ją w rękę.

– Frøken Landvik, pani głos idealnie pasuje do koncepcji, jaką miałem, komponując partie Solwejgi.

Potem zwrócił się do Henrika Klausena, odtwórcy Peera, a następnie do pozostałych aktorów.

– Chciałbym przeprosić wszystkich za to, że do tej pory nie byłem w waszym teatrze. Zaszły... – Zatrzymał się, jakby starał się skądś zaczerpnąć sił, zanim zaczął mówić dalej: – Zaszły okoliczności, które nie pozwoliły mi się do was wybrać. Mogę tylko z całego serca podziękować Herr Josephsonowi i Herr Hennemowi za piękne przedstawienie. Dzięki wam jestem dumny, że się do niego przyczyniłem. Gratuluję orkiestrze, że moje skromne utwory przekształciła w coś magicznego, a aktorom i śpiewakom za ożywienie postaci. Dziękuję wam

wszystkim.

Kiedy zaczęli schodzić ze sceny, Edward Grieg ponownie zatrzymał wzrok na Annie. Podeszedł do niej, wziął ją za rękę i poprosił Ludviga Josephsona i Johana Henuma, by do nich dołączyli.

– Panowie, dobrze, że to zobaczyłem. Jutro porozmawiamy o drobnych zmianach, które chciałbym wprowadzić, ale bardzo wam dziękuję za świetne przedstawienie. Wiem, że pracowaliście w trudnych warunkach. Herr Henum, orkiestra była dużo lepsza, niż mogłem sobie wymarzyć. Dokonał pan cudu. A jeśli chodzi o tę młodą damę – jego wyraziste błękitne oczy wpiły się w Annę – to człowiek, który obsadził ją w roli Solweygi, jest geniuszem.

– Dziękuję, Herr Grieg – powiedział Henum. – Anna ma naprawdę wielki talent.

Kompozytor nachylił się do Anny i szepnął jej do ucha:

– Musimy jeszcze porozmawiać, moja droga, bo mogę pomóc pani gwiazdzie wznieść się na wyżyny. – Z uśmiechem uwolnił jej dłoń i odwrócił się, by porozmawiać z Herr Josephsonem.

Schodząc ze sceny, Anna znów nie mogła się nadziwić, jak potoczyło się jej życie. Najsłynniejszy kompozytor w Norwegii publicznie ją pochwalił. Kiedy po zdjęciu kostiumu scenicznego zmywała charakteryzację, pomyślała: nawet mnie trudno jest uwierzyć, że jestem tą samą wiejską dziewczyną, która zaledwie kilkanaście miesięcy temu śpiewem zaganiała krowy do obory.

Tylko że nie była już tą samą dziewczyną.

– Kimkolwiek teraz jestem, po prostu jestem – szepnęła do siebie w drodze do mieszkania Herr Bayera, kołysana stukotem końskich kopyt na bruku.

*

Tym razem po przedstawieniu Henum nietypowo dołączył do reszty orkiestry u Engebreta.

– Herr Grieg przeprasza, że nie przyszedł świętować z wami, ale, jak wiecie, nadal jest w żałobie po rodzicach. Dał mi jednak dość pieniędzy, żebyście mogli ucztować co najmniej przez miesiąc – oznajmił, wywołując gromkie okrzyki.

Muzycy byli w świetnych nastrojach, rozgrzani niekończącymi się kolejkami porto i wódki, ale także świadomością, że marna egzystencja, na jaką pozwala ich żalosna pensja, i praca, za którą mało kto im dziękuje, dziś została wzniesiona na wyżyny dzięki szczeremu podziękowaniu samego kompozytora.

– Herr Halvorsen, chciałbym z panem chwilę porozmawiać – powiedział Henum.

Jens podeszedł do niego.

– Zdradziłem panu Griegowi – zaczął dyrygent – że jest pan młodym kompozytorem i słyszałem kilka z pana utworów. Simen mówił mi, że całe lato

pracował pan nad następnymi.

– Myśli pan, że Herr Grieg dałby się namówić na to, by spojrzeć na moje kompozycje?

– Nie mogę tego gwarantować, ale wiem, że bardzo popiera rodzime talenty, więc jest taka możliwość. Proszę dać mi to, co pan ma, a ja jutro mu pokażę. Mamy się rano spotkać.

– Dobrze. Nie wiem, jak panu dziękować.

– Simen mówił mi także, że w lecie musiał pan podjąć trudną decyzję. Muzyk, który wszystko poświęca dla sztuki, zasługuje na wszelką możliwą pomoc z mojej strony. Teraz muszę już iść. Do widzenia, Herr Halvorsen.

Johan Hennem skinął głową i wyszedł z baru. Jens natychmiast podszedł do Simena i mocno go uściskał.

– O co chodzi? Zabrakło ci kobiet i bierzesz się do mężczyzn? – spytał zaskoczony przyjaciół.

– Może i tak – zażartował Jens. – Ale dziękuję ci, Simen. Bardzo, bardzo ci dziękuję.

*

Nazajutrz koło południa do mieszkania Herr Bayera przyszedł posłaniec z listem do Anny.

– Od kogo to może być? – zapytała Frøken Olsdatter, kiedy dziewczyna analizowała charakter pisma.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Anna. Otworzyła list i zabrała się do czytania.

Kilka sekund później podniosła zdumiony wzrok.

– To od kompozytora, Herr Griega. Po południu chce mnie odwiedzić... tutaj, w mieszkaniu.

– O mój Boże! – Gospodyni nerwowo spojrzała na niewypolerowane srebra na kredensie, a potem na zegar na ścianie. – O której ma przyjść?

– O czwartej.

– Co za zaszczyt! Szkoda tylko, że nie ma profesora. Wiesz, jak bardzo lubi muzykę Herr Griega. Przepraszam cię, Anno, ale skoro mamy mieć tak znamienitego gościa, muszę wszystko przygotować.

– Oczywiście.

Gospodyni niemal wybiegła z pokoju, a Anna skończyła lunch, czując, że z nerwów rozboleł ją żołądek. Następnie poszła do swojego pokoju, żeby znaleźć odpowiednie ubranie na herbatę ze słynnym kompozytorem. Przez chwilę wpatrywała się w swą bogatą nową garderobę. Odrzuciła kilka bluzek jako niemodne, zbyt wydekoltowane, za eleganckie albo za proste i w końcu zdecydowała się na jedwabną suknię w kolorze brudnego różu.

Punktualnie o czwartej rozległ się dzwonek i Frøken Olsdatter wprowadziła gościa do salonu. Zdążyła kupić kwiaty i upiec ciasta. Obawiała się, że Grieg może przyjść w towarzystwie, ale był sam.

– Moja droga Frøken Landvik, dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas, choć zapowiedziałem się u pani tak nagle. – Grieg pocałował ją w rękę.

– Proszę usiąść. Czy mogę panu zaproponować kawę lub herbatę? – Anna nieco się jąkała. Nie była przyzwyczajona sama przyjmować gości.

– A mogę prosić o szklankę wody?

Frøken Olsdatter leciutko skinęła głową i wyszła z salonu.

– Niestety, mam bardzo mało czasu, bo jutro muszę wracać do Bergen, a jak może pani sobie wyobrazić, czeka mnie jeszcze kilka spotkań w Christianii. Ale bardzo chciałem się z panią zobaczyć. Frøken Landvik, ma pani przecudowny głos, choć nie będę się łudził, że jestem pierwszą osobą, która to pani mówi. Słyszałem, że to Herr Bayer pokierował pani karierą.

– Tak – przyznała.

– Wczoraj mogłem się przekonać, że poszło mu świetnie. Tylko że możliwości Herr Bayera... są ograniczone i nie jest w stanie zapewnić pani talentowi pełnego rozwoju. Ja mam to szczęście, że mogę osobiście przedstawić panią dyrygentom w całej Europie. Wkrótce jadę do Kopenhagi i do Niemiec. Mogę o pani wspomnieć swoim tamtejszym znajomym. Frøken Landvik, choćby nie wiem jak nam się to nie podobało, musimy się pogodzić z faktem, że w tej chwili Norwegia jest tylko maleńką plamką na mapie Europy. – Przerwał i uśmiechnął się, zorientował się bowiem po minie Anny, że dziewczyna nie bardzo go rozumie. – Chodzi mi to, moja droga, że chciałbym pani pomóc rozwinąć karierę poza naszą ojczyzną.

– Jest pan bardzo uprzejmy i wyświadcza mi pan wielki zaszczyt.

– Najpierw muszę jednak o coś zapytać. Czy nie ma pani obowiązków, które nie pozwoliłyby pani podróżować?

Do salonu weszła Frøken Olsdatter z dzbankiem wody i dwiema szklankami.

– Kiedy skończymy wystawiać *Peer Gynta*, nie będę miała w Norwegii innych obowiązków.

– To dobrze. – Poczekał, aż gospodyni wyjdzie z salonu, i spytał: – I nie jest pani zamężna ani zaręczona z jakimś młodzieńcem?

– Nie.

– Wyobrażam sobie, że ma pani wielu wielbicieli, bo nie dość, że ma pani ogromny talent, to jest pani piękna. Pod wieloma względami przypomina mi pani moją żonę Ninę. Ona także ma głos śpiewającego ptaka. A więc napiszę do pani z Kopenhagi i dam znać, co mogę zrobić, aby pani nadzwyczajny głos zaprezentować w szerszym świecie. A teraz muszę już iść.

– Dziękuję za pana wizytę. – Anna wstała.

– Jeszcze raz gratuluję pani występu. Zainspirowała mnie pani. Jestem pewny, że jeszcze się spotkamy, Frøken Landvik. Do widzenia.

Pocałował ją w rękę i spojrział na nią w sposób, który Anna nauczyła się rozpoznawać jako zainteresowanie nią jako kobietą.

– Do widzenia. – Dygnęła, kiedy wychodził.

*

– Co to znaczy, że już wyjechał z Christianii?

– Mówiłem: musiał wracać do Bergen.

– W takim razie wszystko stracone. Bóg raczy wiedzieć, kiedy wróci. – Jens opadł na niewygodne krzesło w fosie dla orkiestry i smutno patrzył na Herr Henuma.

– Ale udało mi się namówić go, żeby przed wyjazdem posłuchał pana kompozycji. I dał mi to dla pana. – Dyrygent podał mu kopertę zaadresowaną: *Do wszystkich zainteresowanych.*

Jens wybałuszył oczy.

– Co to jest?

– List polecający od Griega do Konserwatorium w Lipsku.

Aż podskoczył z radości. Ten list to jego paszport do przyszłości.

– Kiedy skończymy wystawiać *Peer Gynta*, wyjadę do Lipska. Proszę cię, jedź ze mną, Anno – błagał Jens, obejmując jej drobne ciało. Znowu byli sami w salonie Ottona. – Nie zgadzam się zostawić cię w Christianii na pastwę Bayera. Nie wierzę, że zachowa się jak dżentelmen, kiedy odrzucisz jego oświadczyzny. – Leciutko pocałował ją w czoło. Zrobmy tak jak młodzi kochankowie w powieściach i razem ucieknijmy. Mówisz, że on odkłada twoje gaże w bezpieczne miejsce?

– Tak, ale jestem pewna, że mi je odda, jeśli go o to poproszę. – Anna przygryzła wargę i przez chwilę się wahała. – Jens, byłaby to z mojej strony zdrada po tym wszystkim, co dla mnie zrobił. No i co robiłabym w Lipsku?

– Lipsk jest przecież ośrodkiem europejskiej kultury! Wyjazd mógłby być dla ciebie wielką szansą. Sam Herr Grieg powiedział ci, że Christiania to prowincja, a twój talent zasługuje na szersze audytorium. Mieszka tam wydawca jego kompozycji, a zresztą sam Grieg też często bywa w tym mieście. Proszę cię, zastanów się nad tym. Moim zdaniem, to dla nas jedyne wyjście. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Anna patrzyła na Jensa z niepokojem. Przyzwyczajenie się do Christianii zajęło jej ponad rok. A jeśli gdzie indziej jej się nie powiedzie? Poza tym, nabrała pewności siebie i wprost uwielbiała rolę Solwejgi. No i tęskniłaby za Frøken Olsdatter i za Rudem... Z drugiej strony, kiedy usiłowała sobie wyobrazić Christianię bez Jensa, ścisnęło jej się serce.

– Wiem, że wiele od ciebie oczekuję – powiedział, czytając w jej myślach. – To prawda, możesz zostać tutaj i zasłynąć jako najwspanialsza sopranistka w Norwegii. Ale stać cię na to, by mierzyć wyżej. Mogłabyś osiągnąć sukces na znacznie szerszą skalę i być jednocześnie ze mną. Oczywiście nie będzie to łatwe, bo nie masz pieniędzy, a ja mam ich niewiele. Tylko to, co matka dała mi na mieszkanie, jedzenie i chesne w Lipsku. Żylibyśmy muzyką, miłością i wiarą w nasze talenty – zakończył z teatralnym ukłonem.

– Co powiedziałabym rodzicom? Herr Bayer na pewno da im znać, że uciekłam. Okryję nasze nazwisko hańbą. Nie zniosłabym, gdyby pomyśleli... – Anna przerwała i podniosła dłoń do czoła. – Muszę się nad tym zastanowić. Daj mi trochę czasu...

– Oczywiście, że tak. Do ostatniego przedstawienia *Peer Gynta* został jeszcze miesiąc.

– I nie mogłabym... Nie mogłabym z tobą być, gdybyśmy nie byli małżeństwem – dodała, czerwieniąc się ze złości, że musi o tym wspominać. – Inaczej skazałabym się na wieczne potępienie w piekle, a moja matka prędzej sama ugotowałaby się we własnym garnku, niż przeżyła taką hańbę.

Jens, rozbawiony jej bujną wyobraźnią, stłumił uśmiech.

– A więc Frøken Landvik – ujął jej dłoń – czy pozwoli pani, bym dołączył do rzeszy starających się o pani rękę i jako trzeci mężczyzna oświadczył się pani?

– Oczywiście, że nie! Mówię tylko, że...

– Anno... – Pocałował jej drobną dłoń. – Wiem, co mówisz, i świetnie to rozumiem. Przysięgam, że niezależnie od tego, czy uciekalibyśmy stąd, czy nie, i tak chciałem ci się oświadczyć.

– Naprawdę?

– Tak. Obiecuję, że jeśli pojedziemy do Lipska, wcześniej potajemnie się pobierzemy. Nie chciałbym, abyś postępowała wbrew swoim zasadom moralnym.

– Dziękuję. – Ulżyło jej, że Jens wreszcie składa poważną deklarację. Nawet gdyby mieli „uciec” – a słowo to przyprawiało ją o dreszcze – to przynajmniej w oczach Boga byłiby mężem i żoną.

– Kiedy wróci spragniony twojej odpowiedzi Herr Bayer?

– Nie mam pojęcia, ale... – zasłoniła dłonią usta, kiedy zobaczyła, która jest godzina – wiem na pewno, że najwyższy czas, żebym szła do teatru. Muszę tam być półtorej godziny przed podniesieniem kurtyny, żeby charakteryzatorka zdążyła zrobić mi makijaż.

– Wiem. Ale pamiętaj, że jeśli nie pojedziesz do Lipska, Bayer bardzo ci uprzykrzy życie w Christianii. Chodź, pocałuj mnie przed wyjściem. Do zobaczenia w teatrze. I obiecaj, że wkrótce dasz mi odpowiedź.

*

Po spektaklu wróciła do domu kompletnie wyczerpana. Jedyne, na co miała ochotę, to położyć się do łóżka i spać.

– Jak ci poszło, Anno? – Frøken Olsdatter patrzyła na nią pytająco. Przyszła, aby przynieść jej gorące mleko i pomóc zdjąć suknię.

– Dobrze, dziękuję.

– Cieszę się, *kjære*. Kiedy cię nie było, przyszedł telegram od Herr Bayera. Dzisiaj zmarła jego matka. Oboje z siostrą muszą zostać na pogrzeb, ale potem wraca do Christianii. Będzie w piątek.

Tylko trzy dni, pomyślała Anna.

– Tak mi przykro – powiedziała.

– Oczywiście, ale z drugiej strony to ulga, że nareszcie przestała cierpieć.

– Cieszę się, że Herr Bayer wróci – skłamała Anna, kiedy gospodyni wychodziła z pokoju. Usiadła na łóżku, czując, że na myśl o powrocie profesora żołądek jej się zaciska.

Następnego dnia rano Anna przyszła na śniadanie zatopiona w rozmyślaniach nad swoim trudnym położeniem.

– Jesteś blada, *kjære*. Źle spałaś? – zapytała Frøken Olsdatter.

- Mam zmartwienia.
- Jeśli chciałabyś się nimi ze mną podzielić, może w czymś bym ci pomogła.
- Nikt nie może mi pomóc. – Dziewczyna westchnęła.
- Rozumiem. – Frøken Olsdatter zmierzyła ją przenikliwym wzrokiem, ale już nie naciskała. – Czy obiad będziesz jadła w domu?
- Nie. Muszę dzisiaj... wcześniej iść do teatru.
- W takim razie do zobaczenia na kolacji.

Przez następne trzy dni Frøken Olsdatter i służąca na przychodne wpadły w istny szal sprzątań. Anna tymczasem ćwiczyła, jak powiedzieć swojemu mentorowi, dlaczego nie może przyjąć jego propozycji małżeństwa.

Nie wiedziały dokładnie, o której przyjedzie, ale o wpół do czwartej Anna nie była już w stanie znieść napięcia w mieszkaniu, więc włożyła pelerynę i powiedziała, że idzie do parku na spacer. Frøken Olsdatter spojrzała na nią z mieszaniną niedowierzania i zrozumienia, co ostatnio często jej się zdarzało.

Jak zawsze, świeże, chłodne powietrze dodało Annie sił. Usiadła na swojej ulubionej ławce, by popatrzeć na fiord i uspokoić się widokiem połyskującej srebrnej wody w zapadającym zmierzchu.

Jest, jak jest, powiedziała sobie, i niewiele mogę zrobić oprócz tego, by zachować się tak, jak mnie wychowano, czyli z wdzięcznością i szacunkiem.

Wstała, a na myśl o rodzicach w jej oczach pojawiły się łzy. Napisali do niej krótki, lecz wspierający list, w którym pocieszali ją po zerwaniu zaręczyn przez Larsa i jego nagłym wyjeździe do Ameryki. W tej chwili z całego serca żałowała, że Herr Bayer w ogóle ją znalazł. Wolałaby wyjść za Larsa i spokojnie żyć w Heddal.

– Herr Bayer wróci, by zjeść z tobą kolację – poinformowała ją przy drzwiach Frøken Olsdatter. – Nalałam ci wody do wanny i przygotowałam suknię.

– Dziękuję. – Anna minęła ją w korytarzu i poszła przygotować się do konfrontacji.

*

– Anno, *min elskede!* – przywitał ją poufale, kiedy weszła do salonu. Chwycił jej drobną dłoń w swoją dużą i w pocałunku połaskotał ją wąsami. – Chodź, siadaj.

Przy jedzeniu opowiedział jej o smutnym końcu swojej matki i o szczegółach związanych z pogrzebem. Anna miała niejasną nadzieję, że może ze smutku zapomni o swoich oświadczeniach. Niestety, kiedy przeszli do salonu na kawę i brandy, poczuła całkiem inną atmosferę.

– A więc, moja droga, czy przemyślałaś już odpowiedź na to ważne pytanie, które zadałem ci przed wyjazdem?

Wolno piła kawę, korzystając z pretekstu, by jeszcze przez chwilę odwlec

odpowiedź i zanim się odezwie, na dobre zebrać myśli. Tak naprawdę przećwiczyła to już ze sto razy.

– Herr Bayer, pana oświadczyły są dla mnie zaszczytem i sprawiają mi wielką radość...

– To znakomicie! – Uśmiechnął się szeroko.

– Po głębokim namyśle muszę jednak panu odmówić.

Jego mina nagle się zmieniła, a oczy zwęziły się w szparki.

– Mogę zapytać dlaczego?

– Ponieważ jako żona nie byłabym w stanie spełnić pana oczekiwań.

– Cóż takiego masz na myśli?

– Nie mam talentu do prowadzenia domu, nie jestem dość wykształcona, by bawić pana gości, i...

– Anno... – Twarz profesora złagodniała, a Anna zorientowała się, że przyjęła głupią taktykę. – Mówisz tak, bo jesteś bardzo miła i skromna, ale zrozum, że to wszystko nie ma znaczenia. Twój talent z nadatkiem rekompensuje wszelkie braki, jakie ewentualnie możesz mieć, a to, co podoba mi się w tobie najbardziej, to twoja młodość i niewinność. Moja droga młoda damo, nie ma powodu, byś miała uważać się niegodną tego małżeństwa. Bardzo cię polubiłem... taką, jaka jesteś. A do gotowania mam przecież Frøken Olsdatter!

Zapadła cisza. Anna zachodziła w głowę, jakie jeszcze podać powody.

– Herr Bayer...

– Już cię prosiłem, żebyś mówiła do mnie „Franz”.

– No dobrze, Franz, twoje oświadczyły bardzo mi pochlebiają, ale choć z wielką przykrością, nie mogę ich przyjąć. Po prostu.

– Czy jest ktoś inny?

Zadrżała, słysząc ostry ton jego głosu.

– Nie, tylko...

– Anno, zanim powiesz cokolwiek więcej, muszę ci wyznać, że choć przez kilka tygodni nie było mnie w Christianii, mam tu swoich szpiegów. Jeśli odrzucasz moje oświadczyły z powodu tego młodzieńca, który gra w orkiestrze, to muszę cię przed nim ostrzec. Nie tylko jako mężczyzna, który cię kocha i chciałby spełnić wszystkie twoje marzenia, ale także jako twój doradca i przewodnik w świecie, którego w swej naiwności jeszcze nie rozumiesz.

Milczała, ale zdawała sobie sprawę, że po jej twarzy widać, jak bardzo jest wstrząśnięta.

– A więc tak! – Herr Bayer plasnął dłońmi w swoje solidne uda. – O to chodzi! Walczę o twoje uczucia z łapserdakiem bez grosza przy duszy, który gra w orkiestrze. Wiedziałem, że tak będzie! – Odrzucił głowę do tyłu i głośno się roześmiał. – Przepraszam cię, Anno, ale udowodniłaś mi dzisiaj, jak bardzo jesteś niewinna.

– Proszę mi wybaczyć, ale tak, Kochamy się. – Zdenerwowała się, że kpi z miłości między nią a Jensem. – Niezależnie od tego, czy panu się to podoba, czy nie, taka jest prawda. – Wstała. – Sądzę, że w tych okolicznościach najlepiej będzie, jeśli się wyprowadzę. Bardzo dziękuję za wszystko, co mi pan dał. I przepraszam, że odrzucam pana oświadczyzny.

Szybkim krokiem ruszyła w stronę drzwi, ale on dwoma susami ją dogonił i pociągnął z powrotem.

– Zaczekaj, Anno, nie rozstawajmy się w ten sposób. Błagam cię, usiądź i porozmawiajmy. Do tej pory zawsze mi ufałaś, więc chciałbym ci wytłumaczyć, że robisz wielki błąd. Znam tego człowieka. Wiem, kim jest i jak mu się udało cię oczarować. I w najmniejszym stopniu cię o to nie obwiniam. Jesteś bardzo niewinna i szczerze wierzysz, że się zakochałaś. W tej chwili nie ma już znaczenia, czy przyjmiesz, czy odrzucisz moje oświadczyzny. Ten człowiek złamie ci serce i cię zniszczy, tak jak zdażył już zniszczyć wiele innych kobiet.

– Nie, wcale pan go nie zna... – Zrozpaczona Anna załamywała dłonie, a po policzkach płynęły jej łzy.

– Postaraj się uspokoić. Wpadasz w histerię. Proszę, usiądźmy i porozmawiajmy – przekonywał ją Herr Bayer.

Kompletnie opuściła ją energia i pozwoliła zaprowadzić się z powrotem na krzesło.

– Moja droga – odezwał się łagodnie. – Niemożliwe, żebyś nie wiedziała o wcześniejszych związkach Herr Halvorsena z kobietami?

– Wiem o nich.

– Jorid Skrovset z chóru była tak załamana, że nie chciała wrócić do teatru. A jeśli chodzi o samą wielką madame Hansson, to wpadła w taką rozpacz, kiedy Herr Halvorsen zrobił z nią, co chciał, że musiała wyjechać za granicę na leczenie. Właśnie dlatego dostałaś jej rolę.

– Powiedział mi, że...

– Wybacz mi, ale nic nie wiesz o tym człowieku – przerwał jej łagodnie. – Muszę się pogodzić z tym, że nie jestem ani twoim ojcem, ani też, niestety, narzeczonym i nie mam prawa wpływać na twoje decyzje. Ale mówię ci o tym wszystkim, bo bardzo mi na tobie zależy. Jens Halvorsen to same kłopoty. Zniszczy cię, Anno, tak jak zniszczył każdą kobietę, która miała nieszczęście dać się zwabić w jego pułapkę. To słaby człowiek, a jego słabością są kobiety i hulanki. Naprawdę boję się o cię, i to od czasu, kiedy usłyszałem o waszym...

– To znaczy od kiedy? – zapytała Anna.

– Od kilku tygodni. Ostrzegam cię, że wszyscy w teatrze o was wiedzą. No i tak, to prawda, że właśnie to odkrycie przyspieszyło moje oświadczyzny. Chciałem uratować cię i twój talent przed tobą samą. Jeśli pójdziesz za tym człowiekiem, wkrótce opuści cię dla innej kobiety. A ja nie mogę znieść myśli, że po tym, co

razem osiągnęliśmy, porzucisz wszystko dla samolubnego casanowy.

Anna milczała, a Herr Bayer nalał sobie następny kieliszek brandy.

– Skoro mi nie odpowiadasz, powiem ci, co, według mnie, powinniśmy zrobić. Jeśli koniecznie chcesz z nim być, to zgadzam się, że powinnaś natychmiast opuścić moje mieszkanie... z tego prostego powodu, że nie zniósłbym przyglądania się dramatycznym konsekwencjom, które nieuchronnie by cię czekały. Po ostatnim przedstawieniu *Peer Gynta*, pojechałabyś z nim pewnie do Lipska. – Zobaczył zdumienie na twarzy Anny, ale mówił dalej: – Jeśli postanowisz tak zrobić, wypłacę ci gaże, które zarobiłaś w teatrze, i zażadam, żebyś się stąd wyprowadziła. Jeśli jednak moje słowa coś w tobie obudzą i zrezygnujesz z Herr Halvorsena, a po zakończeniu stosownego okresu żałoby po mojej matce wyjdiesz za mnie, to proszę, zostań tutaj. Nie ma pośpiechu, chcę tylko, byś określiła swoje zamiary. Proszę cię, Anno... błagam, żebyś dokładnie to przemyślała, bo ta decyzja bardzo zmieni twoje życie... na dobre lub na złe.

– Jeśli wiedział pan o wszystkim, dlaczego nie powiedział mi pan o tym wcześniej? – zapytała cichutko. – Przecież mógł pan się spodziewać, że nie przyjmę pana oświadczyn?

– Dlatego, że sam obwiniam się o to, co się stało. Nie było mnie w Christianii, by cię przed nim ochronić. Już jednak wróciłem i chcę wziąć cię pod opiekę. Ale tylko pod warunkiem, że natychmiast wykreślisz Jensa Halvorsena ze swojego życia. Gdybyś odrzuciła mnie dla kogoś innego, być może przyjąłbym to z godnością, lecz w tej sytuacji nie mogę tego zrobić, bo wiem, że on cię zniszczy.

– Kocham go – powtórzyła bez sensu.

– Wierzę, że tak ci się wydaje, i rozumiem, jak trudno jest ci spełnić moją prośbę. Ale mam nadzieję, że kiedyś zrozumiesz to, że chcę dla ciebie jak najlepiej. A teraz chyba czas, żebyśmy oboje poszli spać. Mam za sobą kilka bardzo trudnych tygodni i jestem zmęczony. – Ujął w dłonie jej rękę i pocałował. – Dobranoc, Anno. Śpij dobrze.

Wieczorem Anna z ulgą weszła do teatru. Tu przynajmniej wszystko było tak samo jak zawsze. Rozdarta między głową a sercem, całą noc nie zmrużyła oka. Wiele z tego, co wczoraj powiedział Herr Bayer, było prawdą, zwłaszcza dla kogoś patrzącego z zewnątrz. Sama kiedyś podobnie myślała o Jensie, więc nie mogła winić o to innych. I oczywiście każdy by jej doradził, by wyszła za Herr Bayera, a nie za muzyka bez grosza. Tak nakazywał rozsądek.

Niestety, racjonalne myślenie nie rozwiązywało jej dylematu, bo choćby nie wiem jak się starała, myśl, że miałyby na zawsze zrezygnować z Jensa, była dla niej nie do przyjęcia.

Kiedy szła z garderoby w stronę sceny, cieszyła się, że za kilka minut zobaczy, jak z miłością i wsparciem patrzy na nią z fosy dla orkiestry. Napisała już do niego w liściku, że po przedstawieniu muszą się spotkać. W czasie pierwszego antraktu wezwie Rudego, żeby dostarczył go Jensowi. Gdy spektakl się rozpoczął, usiłowała się skupić i uspokoić rozszalałe serce. Weszła na scenę i wygłosiła pierwszą kwestię, po czym ukradkiem zerknęła w dół.

Z przerażeniem stwierdziła, że Jensa nie ma w fosie orkiestrowej. Na jego miejscu siedział starszy mężczyzna o wyglądzie krasnoludka.

Po zakończeniu pierwszego aktu z lęku aż kręciło jej się w głowie. Natychmiast po zejściu ze sceny wezwała do swojej garderoby Rudego.

– Dobry wieczór, Frøken Anno. Co słyhać?

– Świetnie – skłamała. – Wiesz, gdzie jest Herr Halvorsen? Nie ma go dzisiaj w orkiestrze.

– Naprawdę? Po raz pierwszy powiedziałaś mi coś, czego nie wiedziałem. Dowiedzieć się, co z nim się stało?

– Gdybyś mógł...

– Dobrze. Zajmie mi to trochę czasu, więc do zobaczenia w czasie następnego antraktu.

Anna przeżyła drugi akt, umierając z rozpacz. Kiedy Rude, jak obiecał, pojawił się w jej garderobie, była tak spięta, że prawie mdlała ze strachu, co może od niego usłyszeć.

– Nikt nic nie wie – powiedział chłopiec. – Może zachorował, Frøken Anno. Po prostu nie ma go i koniec.

Przez resztę spektaklu była jak odurzona. Kiedy tylko aktorzy złożyli ostatnie ukłony, szybko się ubrała, w pośpiechu wybiegła do powozu i kazała woźnicy jechać prosto pod dom, w którym mieszkał Jens. Gdy dotarli na miejsce, wysiadła, zawołała przez ramię, by woźnica na nią poczekał, wbiegła do środka i popędziła po schodach na górę. Ciężko dysząc, tak długo pukała do drzwi, aż usłyszała odgłosy zbliżających się kroków.

Drzwi otworzyły się i zobaczyła Jensa. Z ulgą osunęła się w jego ramiona.

– Dzięki Bogu, dzięki Bogu. Myślałam...

– Anno... – Wciągnął ją do środka, objął jej drżące ramiona i zaprowadził ją do salonu.

– Gdzie byłeś? Myślałam, że wyjechałeś...

– Proszę cię, uspokój się. Pozwól, że ci wszystko wytłumaczę. – Zaprowadził ją na kanapę i usiadł obok niej. – Przyszedłem do teatru jak zwykle, ale Johan Hennem powiedział mi, że nie jestem już potrzebny w orkiestrze. Znaleźli innego flecistę i skrzypka, który mnie zastąpi, i to od zaraz. Zapytałem, czy to tymczasowe, ale powiedział, że nie. Zapłacił mi całość gaży i kazał mi iść. Przysięgam, że nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego mnie wyrzucili.

– A ja tak. O Boże... – Zasłoniła twarz dłońmi. – Tym razem dla odmiany nie chodzi o twoje zachowanie, ale o moje. Wczoraj wieczorem powiedziałam Herr Bayerowi, że nie mogę za niego wyjść. I okazało się, że on o nas wie! Powiedział, że mogę u niego zostać tylko pod warunkiem, że natychmiast z tobą zerwę. A jeśli tego nie zrobię, muszę opuścić jego mieszkanie.

– Jezu – westchnął Jens, który w tym momencie wszystko zrozumiał. – I nawet nie zdążyliśmy się obejrzeć, a już wyrzucili mnie z orkiestry. Pewnie powiedział Hennemowi i Josephsonowi, że zawracam ci głowę i źle wpływam na ich nową gwiazdę.

– Wybacz mi, Jens. Nie przyszło mi do głowy, że on jest zdolny do czegoś takiego.

– A mnie tak, i nawet ci to mówiłem – mruknął. – Teraz przynajmniej wiem, dlaczego w takim tempie wyleciałem z orkiestry.

– I co zrobisz?

– Właśnie jestem w trakcie pakowania.

– Gdzie masz zamiar jechać?

– Oczywiście do Lipska. Tak czy inaczej, tu na pewno nie mam przyszłości. Postanowiłem jak najszybciej wyjechać.

– Rozumiem. – Anna opuściła wzrok, skupiając się na tym, by się nie rozpłakać.

– Miałem właśnie napisać do ciebie list i zostawić go u portiera w teatrze.

– Przysięgasz? Czy tylko tak mówisz, a chciałeś po prostu zniknąć bez słowa?

– Anno, *min kjære*, chodź tu do mnie. – Wziął ją w ramiona i zaczął czule gładzić po plecach. – Wiem, że ostatnio było ci bardzo ciężko, ale mnie też dopiero kilka godzin temu Hennem oznajmił, że już nie pracuję. Oczywiście, że chciałem ci powiedzieć, że wyjeżdżam. Dlaczego miałbym tego nie zrobić? Przecież prosiłem cię, żebyś ze mną wyjechała, pamiętasz?

– Tak, tak... Masz rację. – Otarła łzy. – Jestem wyczerpana nerwowo.

I wściekła, że ukarano cię z mojego powodu.

– Uspokój się. Wiesz, że i tak miałem wyjechać, więc stanie się to tylko trochę wcześniej, niż się spodziewałem. Czy Bayer był na ciebie bardzo zły?

– Nie, wcale. Powiedział, że nie chce, abym zrujnowała sobie życie, będąc z tobą, więc dla mojego dobra nie życzy sobie, żebym się z tobą spotykała.

– I dlatego bez ceregieli wyrzucono mnie z orkiestry: żebyś nie mogła się ze mną widywać. Co zrobisz?

– Dał mi dzień do namysłu. Ale jak śmiał tak się wtrącać do mojego życia... i do twojego?!

– Oboje jesteśmy w strasznej sytuacji. – Jens westchnął. – W każdym razie jutro wyjeżdżam. Nowy semestr w konserwatorium zaczął się dopiero dwa tygodnie temu, więc wiele nie straciłem. Jeśli chcesz, przyjedź do mnie do Lipska po ostatnim przedstawieniu *Peer Gynta*.

– Po tym, co ci zrobili, nikt nie zmusi mnie, bym wróciła do teatru, Jens! – Anna aż się wzdrygnęła. – Pojadę z tobą od razu.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Jesteś pewna, że to rozsądne? Jeśli ich opuścisz przed skończeniem sezonu, nigdy więcej nie zatrudnią cię w teatrze Christiania. Twoje nazwisko będzie na czarnej liście, tak jak moje.

– Nawet bym nie chciała tam wracać – odburknęła z błyskiem oburzenia w oczach. – Nie pozwolę, żeby ktoś zachowywał się tak, jakby był moim właścicielem, nieistotne, jaki jest ważny czy bogaty.

Jens roześmiał się, rozbawiony jej wybuchem.

– Pod twoim słodkim wyglądem kryje się prawdziwy wulkan, co?

– Wychowano mnie tak, bym odróżniała dobro od zła, i wiem, że to, co zrobili, jest bardzo, bardzo złe.

– Tak, kochanie, ale, niestety, niewiele możemy na to poradzić. Naprawdę szczerze cię ostrzegam, Anno. Wiem, że się zdenerwowałaś, ale dobrze się zastanów, czy wyjechać ze mną jutro. Bardzo bym nie chciał, żebyś przeze mnie zniszczyła sobie karierę. I nie mówię tego – uciszył ją, unosząc rękę, bo już otwierała usta, by coś powiedzieć – bo nie chcę, żebyś ze mną jechała. Martwię się tylko tym, że kiedy jutro wsiądziemy na prom do Hamburga, a potem do pociągu do Lipska, nie będziemy nawet wiedzieć, gdzie po przyjeździe przytulimy na noc głowę. Ani czy przyjmą mnie do konserwatorium.

– Oczywiście, że cię przyjmą. Masz list od Herr Griega.

– Tak, pewnie tak. Ale jestem mężczyzną i zniosę niewygodę, a ty jesteś młodą damą i masz pewne... potrzeby.

– Urodziłam się na wsi i przed przyjazdem do Christianii ani razu nie widziałam toalety w budynku – odparowała Anna. – Naprawdę wydaje mi się, że zniechęcasz mnie, bo nie chcesz, żebym z tobą jechała.

– Tylko potem nie mów, że cię nie ostrzegałem. A więc – nagle się uśmiechnął – zrobiłem, co mogłem, żeby cię odstraszyć, a ty odrzuciłaś moje zastrzeżenia. Mam czyste sumienie. Jutro o świcie wyjeżdżamy. Chodź tu, Anno. Przytulmy się mocno, żeby dodać sobie sił przed przygodą, która nas czeka.

Pocałował ją i wszelkie zmartwienia Anny spowodowane jego powściągliwością i jej wahaniem od razu zniknęły. Gdy ich usta w końcu się rozłączyły, położyła głowę na piersiach Jensa, a on głaskał ją po włosach.

– Jest jeszcze jedna ważna sprawa, którą musimy omówić. Każdemu, kogo spotkamy w podróży, a potem w Lipsku, musimy się przedstawiać jako małżeństwo. Z dnia na dzień w oczach świata musisz zmienić się w panią Halvorsen, bo nikt nie wynajmie nam pokoju, wiedząc, że nie mamy jeszcze ślubu. Co ty na to?

– Kiedy tylko dojedziemy do Lipska, musimy się pobrać. Nie zgadzam się na żadne... – Urwała.

– Oczywiście, że tak. Nie martw się, Anno. Uwierz mi, że nawet gdybyśmy musieli spać w tym samym łóżku, będę zachowywał się jak dżentelmen. – Wyszedł z pokoju i minutę później wrócił z małym aksamitnym pudełeczkiem. – Musisz to nosić. To obrączka ślubna mojej babci. Matka dała mi ją, kiedy odchodziłem z domu, i powiedziała, żebym ją sprzedał, w razie gdybym potrzebował pieniędzy. Mogę ci ją włożyć?

Przez chwilę wpatrywała się w cienką złotą obrączkę. Trudno powiedzieć, żeby był to jej wymarzony ślub, ale wiedziała, że na razie musi na tym poprzestać.

– Kocham cię, Fru Halvorsen – powiedział Jens, delikatnie wkładając obrączkę na jej palec. – Obiecuję, że w Lipsku zrobimy to naprawdę. A teraz idź już i przygotuj się do jutrzejszej podróży. Możesz tu być o szóstej?

– Tak, będę – odpowiedziała i ruszyła do drzwi. – I tak wątpię, żebym dzisiaj mogła zasnąć.

– Masz jakieś pieniądze? – spytał Jens.

– Nie... – Przygryzła wargę. – Teraz nie mogę poprosić Herr Bayera o moje gaże. Nie byłoby to w porządku. I jemu, i wielu innym ludziom zrobię wielki zawód.

– W takim razie, dopóki jakoś się nie urządzimy, będziemy biedni jak żebracy. – Wzruszył ramionami.

– Dobranoc, Jens – powiedziała cicho.

– Dobranoc, kochanie.

*

Kiedy Anna dotarła do domu, w mieszkaniu panowała cisza. Cichutko szła korytarzem, ale i tak zobaczyła, jak uchylają się drzwi pokoju Frøken Olsdatter i ukazują się w nich pełna napięcia twarz.

– Martwiłam się o ciebie, Anno – szepnęła gospodyni i podeszła do niej. – Dzięki Bogu, Herr Bayer wcześniej się dzisiaj położył. Mówił, że ma gorączkę. Gdzie byłeś?

– Wyszłam – odparsknęła Anna, naciskając klamkę, by wejść do swojego pokoju. Nie miała już ochoty nikomu się tłumaczyć.

– Może pójdziemy do kuchni? Zrobię ci gorące mleko.

– Ale...– Anna się opanowała. Ta kobieta była dla niej dobra i nie byłoby w porządku wyjeżdżać, nic jej nie mówiąc. – Dziękuję.

Pozwoliła się poprowadzić korytarzem do kuchni.

Przy gorącym mleku opowiedziała Frøken Olsdatter o wszystkim, co się stało. Kiedy skończyła, poczuła ogromną ulgę.

– Coś takiego – mruknęła Frøken Olsdatter. – Masz talent do łamania męskich serc, *kjære*. Panowie zalecają się do ciebie jeden przez drugiego. Więc postanowiłaś jechać za swoim muzykiem do Lipska?

– Nie mam wyboru. Herr Bayer powiedział, że nie mogę tu mieszkać, jeśli natychmiast nie zerwę z Jensem. A po tym, co Herr Hennem zrobił Jensowi, ani chwili dłużej nie chcę grać w teatrze Christiania.

– A nie sądzisz, że Herr Bayer tylko chce cię ochronić? Że leży mu na sercu twoje dobro?

– Skąd! Chce dopiąć swego. Nie obchodzi go, czego ja chcę.

– A twoja kariera? Proszę cię, Anno, jesteś taka utalentowana. Ogromnie się poświęcasz, nawet jeśli robisz to dla miłości.

– Nie mogę zostać tu w Christianii bez Jensa. A śpiewać mogę gdziekolwiek na świecie. Sam Herr Grieg powiedział, że mi pomoże, jeśli go o to poproszę.

– To rzeczywiście bardzo wpływowy opiekun – przyznała Frøken Olsdatter. – A co z pieniędzmi?

– Herr Bayer powiedział, że wypłaci mi gaże, które zarobiłam w teatrze. Postanowiłam jednak niczego od niego nie brać.

– Postępujesz bardzo honorowo. Ale nawet zakochani muszą jeść i mieć jakiś dach nad głową. – Gospodyni wstała, podeszła do kredensu, wyjęła z szuflady blaszane pudełko i otworzyła je kluczem z łańcuszka, którym była opasana. W środku był woreczek z monetami. Podała go Annie. – Proszę. To moje oszczędności. Nie są mi teraz potrzebne, ty potrzebujesz ich znacznie bardziej. Nie mogę pozwolić, żebyś opuściła ten dom i z niczym wyruszyła w niepewną przyszłość.

– Nie mogę... – opierała się Anna.

– Możesz i to weźmiesz – stanowczo nakazała jej Frøken Olsdatter. – Kiedyś dowiem się, że śpiewasz w operze w Lipsku, a ty mnie zaprosisz i w nagrodę pozwolisz mi na siebie popatrzeć.

– Dziękuję, jest pani taka dobra... – Anna była do głębi wzruszona jej

gestem. Wzięła ją za rękę. – Pewnie myśli pani, że źle postępuję?

– Nie mnie to osądzać. Może podejmujesz dobrą decyzję, a może nie, ale jesteś bardzo dzielną kobietą z silnymi zasadami. Podziwiam cię za to. Kiedy trochę się uspokoisz, postaraj się napisać do Herr Bayera.

– Boję się, że będzie na mnie bardzo zły.

– Nie, Anno. Będzie tylko niezmiernie smutny. Pewnie wydaje ci się stary, ale pamiętaj, że choć się starzejemy, nasze serca pozostają takie same. Nie obwiniaj go o to, że się w tobie zakochał i marzył, by na zawsze zatrzymać cię przy sobie. Ale jutro wstajesz skoro świt, więc idź już i chociaż trochę się prześpij.

– Dobrze.

– Proszę cię, Anno, napisz od mnie z Lipska i daj mi znać, że jesteś bezpieczna. Herr Bayer to niejedyna osoba w tym domu, która będzie za tobą tęskniła. I pamiętaj: masz młodość, talent i urodę. Nie zmarnuj tego.

– Zrobię, co w mojej mocy. Dziękuję za wszystko.

– A co powiesz rodzicom? – zapytała nagle Frøken Olsdatter.

– Nie wiem... – Anna westchnęła. – Naprawdę nie mam pojęcia. Do widzenia.

*

Prom z sapaniem wypłynął z fiordu i skierował się w stronę Hamburga. Z kominów głośno buchały dym i para. Anna stała na pokładzie i żegnała się z ojczyzną, która powoli znikła w jesiennej mgle. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczy.

Dwadzieścia cztery godziny później Anna i Jens nareszcie wysiedli z pociągu na dworcu w Lipsku. Dopiero co wzeszło słońce. Anna była tak zmęczona, że ledwo stała na nogach, więc Jens niósł zarówno swój kuferek, jak i jej walizkę. Pociąg z Hamburga do Lipska miał wagony sypialne, ale oboje stwierdzili, że nie powinni wydawać pieniędzy na takie luksusy, więc całą noc przesiadali na twardych drewnianych ławkach. Jens prawie natychmiast zasnął, a jego głowa bezwładnie osunęła się na ramię Anny. Z każdą kolejną godziną Anna miała coraz większe wątpliwości, czy dobrze postąpiła.

Kiedy wyszli z tętniącego życiem dworca, było już przynajmniej jasno. Pieszko dotarli do centrum. Mimo zmęczenia Anna z przyjemnością chłonęła piękno miasta. Po obu stronach szerokich brukowanych ulic stały imponujące, wysokie kamienice. Wiele z nich miało pięknie zdobione szczyty i pyszniło się rzędami eleganckich dwuskrzydłowych okien. Przechodnie mówili twardo brzmiącym językiem. Słyszała go już podczas długiej podróży pociągiem z Hamburga, więc wiedziała, że to niemiecki. Jens zapewniał ją, że nieźle sobie z nim radzi, ale ona rozumiała tylko niektóre słowa, które brzmiały podobnie jak norweskie.

W końcu znaleźli się na rynku. Z jednej jego strony stał imponujący ratusz z rzędem podpartych kolumnami łuków i wieżą dzwonnicy pośrodku, zwieńczoną piękną kopułą. Na rynku było już gwaro, rojno i ciasno od straganów. Jens zatrzymał się przy jednym z nich; piekarz rozkładał właśnie przeróżne świeżo upieczone chleby. Wdychając ich smakowity zapach, Anna zdała sobie sprawę, jaka jest głodna.

Ale Jens nie zatrzymał się, by kupić jedzenie.

– *Entschuldigung Sie, bitte. Wissen Sie wo die Pension in der Elsterstraße ist?*

Anna nie miała pojęcia, co odpowiedział gburowaty piekarz.

– Dobrze. Jesteśmy niedaleko pensjonatu, który polecił mi Herr Grieg – wyjaśnił jej Jens.

Był to skromny budynek z muru pruskiego. Stał w wąskiej alejce odchodzącej od ulicy, której nazwę Anna odczytała jako Elsterstraße. Zwróciła uwagę na to, że panuje tu całkiem inna atmosfera niż przy ulicach z eleganckimi domami, które mijali. Okolica wyglądała na raczej ubogą, ale przypomniała sobie, że, niestety, na nic lepszego ich nie stać. Podeszła za Jensem do drzwi i czekała, kiedy mocno stuknął w nie kołatką. Po kilku minutach w progu stanęła kobieta, pośpiesznie zawiązująca szlafrok na koszuli nocnej. Anna zdała sobie sprawę, że jest najwyżej siódma rano.

– *Um Himmels willen, was wollen Sie denn?!* – burknęła Niemka.

Jens odpowiedział jej po niemiecku, więc jedyne, co Anna zrozumiała, to

„Herr Grieg”.

Na dźwięk tego nazwiska twarz kobiety rozpogodziła się.

– Mówi, że nie ma wolnych miejsc, ale skoro przysłał nas Herr Grieg, na razie możemy skorzystać ze służbówki, którą ma na strychu – przetłumaczył Annie Jens, gdy Niemka wprowadziła ich do środka.

Szli po schodach coraz wyżej i wyżej, a wąskie drewniane stopnie trzeszczały im pod nogami. W końcu dotarli na poddasze i kobieta popchnęła drzwi prowadzące do małego pokoju ze skośnymi ścianami. Jego jedynym meblowaniem było wąskie mosiężne łóżko i komoda, na której stały miednica i dzban. W każdym razie było przynajmniej czysto.

Jens i kobieta zaczęli szwargotać po niemiecku. On wskazywał łóżko, a ona pokiwała głową i wyszła.

– Powiedziałem, że na razie zatrzymamy się tutaj, do czasu, aż znajdziemy coś odpowiedniejszego, ale łóżko jest za wąskie dla nas obojga, więc poszła poszukać dla mnie siennika. Będę spał na podłodze.

Rozglądali się w milczeniu po pokoju, aż kobieta wróciła z siennikiem. Jens podał jej kilka wyjętych z kieszeni monet.

– *Nur Goldmark, keine Kronen* – powiedziała, kręcąc głową.

– Niech pani na razie weźmie korony, a później pójde wymienić trochę monet – zaproponował Jens.

Niemka niechętnie się zgodziła. Włożyła korony do kieszeni, wydała jeszcze jakieś instrukcje, wskazując pod łóżko, i wyszła z pokoju.

Anna ostrożnie usiadła. Z wyczerpania kręciło jej się w głowie, ale co ważniejsze, musiała skorzystać z toalety. Rumieniąc się, zapytała, czy właścicielka pensjonatu powiedziała mu, gdzie można udać się na stronę.

– Niestety, tutaj. – Jens wskazał pod łóżko. – Postoję na zewnątrz, a ty...

Anna poczuła, że coraz bardziej palą ją policzki, ale nie miała wyjścia i kiedy tylko wyszedł, załatwiła potrzebę, bo męczyła się z tym już od wielu godzin. Z obrzydzeniem przykryła zawartość nocnika służącą do tego muślinową szmatką i wpuściła Jensa do środka.

– Już ci lepiej? – Uśmiechnął się do niej.

– Tak – odpowiedziała skrzępowana.

– To dobrze. Proponuję, żebyśmy teraz trochę odpoczęli.

Anna znów zaczerwieniła się i odwróciła głowę, kiedy Jens zdejmował ubrania. W bawełnianych kalesonach i podkoszulku położył się na siennik i okrył płaszczem.

– Nie martw się, obiecuję, że nie będę cię podglądał – powiedział i roześmiał się. – Śpij dobrze, Anno. Kiedy trochę pośpimy, oboje poczujemy się lepiej. – Przesłał jej w powietrzu całusa i odwrócił się do niej plecami.

Anna rozwiązała wstążki płaszcza, po czym zdjęła ciężką spódnicę i bluzkę.

Została tylko w koszuli i pantalonach. Od strony siennika dochodziło już delikatne pochrapywanie Jensa. Weszła pod szorstki wełniany koc i położyła głowę na poduszce.

Co ja takiego zrobiłam? – pomyślała. Herr Bayer miał rację. Jestem naiwna i uparta. Nie zastanowiłam się nad konsekwencjami swego czynu. Spaliłam za sobą wszystkie mosty i wylądowałam w tym okropnym, ciasnym pokoiku; leżę kilka centymetrów od mężczyzny, z którym nie mam nawet ślubu, i muszę się załatwiać bez odrobiny prywatności.

O mój Boże, wybacz mi ból, który zadałam innym, modliła się w myślach. Wyobrażała sobie, że Bóg patrzy na nią z góry i już wypisuje jej bilet do piekła. W końcu zapadła w niespokojny sen.

*

Anna wstała i zanim Jens się przebudził, była już w pełni ubrana. Marzyła o szklance wody i umierała z głodu.

– Wygodne łóżko? – zapytał Jens, przeciągając się i ziewając.

– Przyzwyczaję się do niego.

– Musimy zmienić kilka koron na złote marki i znaleźć coś do jedzenia. Ale najpierw cię poproszę, żebyś wyszła z pokoju. Przyjdę do ciebie, kiedy się załatwię. Dobrze?

Annę ogarnęła panika na myśl, że Jens zobaczy, co już jest w nocniku, ale zrobiła tak, jak ją prosił. Ku jej przerażeniu po chwili wyszedł z nocnikiem w ręce.

– Musimy zapytać gospodynię, co z tym robić – powiedział. Minał ją i ruszył w dół po drewnianych stopniach.

Anna szła za nim z rozpalonymi policzkami. To prawda, że przed przyjazdem do Chrystianii była prostą dziewczyną ze wsi, ale nigdy nie miała do czynienia z czymś tak niehigienicznym i obrzydliwym. W Heddal korzystali z prostego wychodka, co było o wiele lepsze niż nocnik. Teraz uświadomiła sobie, że tak się przyzwyczała do nowoczesnej łazienki w mieszkaniu Herr Bayera, że nigdy się nie zastanawiała, jak zwykli mieszkańcy miast załatwiają swoje potrzeby.

Gospodynię odnaleźli w korytarzu. Jens pokazał jej nocnik, jakby miał do czynienia z wagą duszonego mięsa, a Niemka kiwnęła głową i wskazała mu tył domu, ale wzięła go od niego.

– No dobrze. Sprawa załatwiona. A teraz chodźmy poszukać jedzenia – powiedział, otwierając drzwi.

Przeszli się po zatłoczonych ulicach, aż znaleźli *Bierkeller* przy małym placu, weszli do środka i usiedli przy stole. Jens zamówił dla obojga po piwie, a potem spojrzeli na krótki spis potraw napisany kredą na tablicy. Anna nie rozumiała ani jednego słowa.

– Mają *Bratwurst*, smażone kiełbaski. Słyszałem, że są smaczne, chociaż

trochę bardziej tłuste niż nasze – powiedział Jens, tłumacząc dla niej menu. – *Knödel*... nie pytaj mnie, co to może być... *Speck*... to chyba słonina.

– Wezmę po prostu to samo co ty – odezwała się Anna zmęczonym głosem. Właśnie podano im piwo i ciemny chleb. Wolałaby wodę, ale podniosła kufel i piła spragniona.

Wyjrzała przez zapyziałe okienko na tętniący życiem placyk. Większość kobiet miała na sobie proste czarne suknie i białe lub szare fartuchy. Czerń podkreślała ich blade twarze i wyraziste germańskie rysy. Anna spodziewała się, że w Lipsku będzie więcej eleganckich pań, bo mówiono jej, że to jedno z ważniejszych miast w Europie. Od czasu do czasu przejeżdżał z turkotem powóz i wtedy udawało jej się dostrzec stylowy kapelusz z piórami na głowie jakiejś bogatszej damy.

Gdy przyniesiono obiad, Anna rzuciła się na ziemniaki i tłuste kielbaski. Piwo uderzyło jej do głowy i sprawiło, że czule spojrzała na Jensa.

– Jak poprosić o wodę?

– Powiedz: *Ein Wasser, bitte* – pouczył ją Jens.

Po chwili jego uwagę przyciągnęła niewielka orkiestra uliczna. Muzycy stanęli pośrodku placyku i grali na skrzypcach, a na ścieżce przed sobą położyli czapkę na pieniądze. Anna zauważyła, że słuchanie sprawiło mu taką przyjemność, że z rozkoszy aż się przeciągnął.

– Prawda, że jest tu cudownie? Jestem pewny, że właśnie tu jest nasze przeznaczenie. Jak ci się na razie podoba nasza przygoda?

– Czuję się brudna. Myślisz, że kiedy wrócimy do pensjonatu, będziemy mogli spytać gospodynię, czy mogłabym się gdzieś wykąpać i przeprać ubrania?

Jens sprowadził ją na ziemię twardym spojrzeniem.

– Przecież mówiłaś, że jesteś przyzwyczajoną do niewygód dziewczyną ze wsi. Czy to wszystko, co masz do powiedzenia na temat Lipska?

Z tęsknotą pomyślała o Heddal: o czystym śniegu, który w zimie zbierali na dworze i topili na ogniu, żeby zrobić pranie. I o tym, że w lecie mogli się do woli kąpać w krystalicznie czystych strumieniach.

– Wybacz mi, na pewno dam sobie radę.

Wziął do ręki drugi kufel piwa i wypił go duszkiem.

– Powinienem podziękować Herr Bayerowi, bo pchnął mnie w stronę mojej przyszłości.

– Cieszę się, że ci się tu podoba, Jens.

– I to bardzo. Wdychaj tutejsze powietrze, Anno. Ma nawet inny zapach. To miasto kipi twórczością i muzyką. Popatrz, ilu ludzi zgromadziło się wokół tych muzyków. Czy w Christianii kiedykolwiek widziałaś coś podobnego? Tu muzyka jest celebrowana, a nie wyśmiewana jako zabawa dla biedaków. A ja od teraz mogę być częścią tej duchowej uczty. – Osuszył kufel i wstając, rzucił na stół kilka

monet. – Wezmę teraz list od Herr Griega i pójdę prosto do konserwatorium. Oto początek wszystkiego, o czym marzyłem.

Wrócili na kwatery i Jens odszukał w kuferku cenny list. Dał Annie całusa i powiedział już przy drzwiach:

– Odpocznij, a ja wkrótce obudzę cię winem i dobrą wiadomością.

– Zapytasz, czy ktoś mógłby tam posłuchać mojego śpiewu?

Ale drzwi już się za nim zamknęły.

Anna opadła na łóżko. Zrozumiała, że ta przygoda dla każdego z nich ma całkiem inne znaczenie – Jens zdążył ku czemuś, a ona od czegoś uciekała. Ale jeśli popełniłam błąd, już za późno, by go naprawić, pomyślała.

Kilka godzin później Jens wrócił w jeszcze większej euforii.

– Kiedy wszedłem do konserwatorium i poprosiłem o spotkanie z rektorem, doktorem Schleinitzem, portier popatrzył na mnie, jakbym był wiejskim idiotą. Ale potem podałem mu list. Przeczytał go i natychmiast przyprowadził rektora. Doktor Schleinitz poprosił mnie, żebym zagrał na skrzypcach. Potem wykonałem jedną z moich kompozycji na pianinie. I nie uwierzysz... – W tym momencie Jens z radości poboksował powietrze. – Ukłonił się! Tak, Anno, naprawdę ukłonił się przede mną! Porozmawialiśmy o Herr Griegu i powiedział mi, że z przyjemnością przyjmie na naukę każdego, kogo on poleca. A więc jutro zaczynam studia w Konserwatorium Lipskim.

– Cudownie, Jens! – Anna starała się powiedzieć to z radością.

– W drodze powrotnej wszedłem do krawca. Musiałem zapłacić mu podwójnie, żeby do jutra rana wyposażył mnie w odpowiednie ubranie. Nie chcę, by ktoś pomyślał, że jestem jakimś prostakiem z fiordów. Czy to nie cudowne?! – Roześmiał się, chwycił Annę, uniósł i nią zakręcił. – Zaraz pójdziemy to uczcić, ale najpierw musimy przeprowadzić się do nowej kwatery.

– Znalazłeś już coś?

– Tak. Nie jest to pałac, ale na pewno będzie nam tam lepiej niż tutaj. Spakuj się, a ja zapłacę gospodyni jej złote marki. Do zobaczenia na dole.

– Ale... – Anna właśnie miała powiedzieć, że chyba nie da rady sama znieść obu bagaży, lecz już go nie było.

Kilka minut później, zdyszana z wysiłku, jakoś zeszła z bagażami i spotkała się z Jensem przy wejściu.

– W takim razie chodźmy do naszego nowego mieszkania – powiedział.

Anna zdziwiła się, że przeszli tylko na drugą stronę ulicy, do domu naprzeciwko.

– Wracając, zobaczyłem ogłoszenie, że są tu wolne pokoje, więc wszedłem do środka – wyjaśnił.

Dom przypominał ten, z którego przed chwilą wyszli, ale ich pokój na pierwszym piętrze był znacznie przestronniejszy niż duszne poddasze. Większość

miejsca zajmowało duże mosiężne łóżko. Serce Anny zrobiło wolnę na myśl o tym, że na podłodze nie zmieści się już siennik.

– Poza tym po drugiej stronie korytarza jest toaleta. Pokój jest wprawdzie droższy od tamtego, ale powinnaś być zadowolona. Cieszysz się, Anno?

– Tak. – Kiwnęła głową ze stoickim spokojem.

– To dobrze. – Podał kilka monet gospodyni, Frau Schneider. Na szczęście wyglądała na miłszą niż poprzednia. – To wystarczy na pierwszy tydzień wynajmu. – Uśmiechnął się łaskawie.

– *Kochen in den Zimmern ist untersagt. Abendbrot um Punkt sieben Uhr. Essen Sie hier heute Abend?*

– Mówi, że nie wolno gotować w pokojach, a kolację podają o siódmej. Pyta, czy chcemy zjeść dzisiaj – szepnął Jens do Anny. Następnie zwrócił się do Frau Schneider. – To wspaniały pomysł. Ile mamy dopłacić?

Znowu w ruch poszły pieniądze i w końcu zostali sami.

– Frau Halvorsen – uśmiechnął się – jak podoba się pani nasz małżeński pokój?

– Ale...

Zobaczył lęk na jej twarzy i spojrzał na łóżko.

– Anno, chodź no tu do mnie.

Przytulił ją mocno.

– Wszystko jest w porządku. Przecież ci przyrzekłem, że nie dotknę cię, dopóki mi na to nie pozwolisz. Będzie nam przynajmniej cieplej w zimne lipskie noce.

– Naprawdę musimy się jak najszybciej pobrać – powiedziała Anna. – Musimy znaleźć kościół luterański, pastora, który da nam ślub.

– Oczywiście. Na razie nie ma co się o to martwić. – Przyciągnął ją do siebie i usiłował pocałować w szyję.

– Jens, popełniamy grzech! – rzuciła, próbując go od siebie odsunąć.

– Masz rację. – Westchnął i puścił ją. – Oboje dawno się nie myliśmy, więc zrobmy to, a potem pójdziemy coś zjeść i wypić. Dobrze? – Przechylił brodę Anny, aby spojrzeć jej w oczy.

– Tak – zgodziła się i uśmiechnęła do niego.

Minęły dwa tygodnie i Anna zaczęła się przyzwyczajać do nowych warunków, a przynajmniej wynajdywać sobie zajęcia na długie samotne godziny, kiedy Jens był w konserwatorium.

Nadchodziła zima, więc rano w ich pokoju było lodowato. Po wyjściu Jensa często wracała do łóżka i kuliła się pod wełnianymi kocami, czekając, aż pokój nieco się ogrzeje od małego kominka, w którym paliła węglem. Kiedy było już cieplej, myła się i ubierała, a potem szła ulicami Lipska na targ, żeby kupić sobie chleb i parę plasterków wędliny na obiad.

Ich jedynym ciepłym posiłkiem była kolacja przygotowywana przez Frau Schneider. Przeważnie były to takie same kiełbaski jak te, które jedli pierwszego dnia, z ziemniakami albo knedle z rozmoczonego chleba w bliżej nieokreślonym sosie. Anna tęskniła za smakiem świeżych warzyw i zdrowym jedzeniem z dzieciństwa.

Wiele długich godzin spędziła, rozmyślając nad treścią listów do Herr Bayera i rodziców. Wiedziała, że musi je napisać. Kiedy trzymała w palcach pióro od Larsa, zastanawiała się, czy dotarł już do Ameryki, tak jak planował. W najtrudniejszych chwilach wydawało jej się, że może powinna była z nim pojechać.

Lipsk

1 października 1876

Drogi Herr Bayer

Nie ma mnie, więc już Pan wie, że wyjechałam do Lipska. Wzięłam ślub z Herr Halvorsenem. Jesteśmy szczęśliwi. Chcę Panu podziękować za wszystko, co mi Pan dał. Proszę zatrzymać moje gąze z teatru Christiania. Chciałabym, żeby potraktował je Pan jako częściowe zadośćuczynienie. Mam nadzieję, że uda się Panu sprzedać suknie, które zostawiłam, bo były bardzo piękne.

Herr Bayer, przykro mi, że nie mogłam Pana pokochać.

Z poważaniem

Anna Landvik

Wzięła następną kartkę i napisała drugi list.

Kjøere Mor i Far

Wysłałam za mąż za Jensa Halvorsena i przeprowadziłam się do Lipska. Mój

mąż studiuje w tutejszym konserwatorium, a ja prowadzę dom. Jestem szczęśliwa. Tęsknię za Wami wszystkimi. I za Norwegią.

Anna

Nie podała adresu z poczucia winy i ze strachu, że ją potępiają. Po południu chodziła na spacer do parku lub włóczyła się po ulicach, choć jej jedyna peleryna za słabo ją chroniła przed silnym wiatrem. Najzwyczajniej miała potrzebę poczuć, że wciąż jeszcze należy do ludzkiej społeczności. Dowody muzycznego dziedzictwa Lipska widać było na każdym kroku – od ulic nazwanych na cześć słynnych kompozytorów po pomniki, które przedstawiały ich podobizny. Podziwiała też domy, w których kiedyś mieszkali Mendelssohn i Schumann.

Jej ulubionym miejscem był okazały Neues Theater, siedziba Lipskiego Towarzystwa Operowego. Miał imponujące, wysokie wejście z kolumnami i ogromne, zakończone łukiem okna. Często zadzierała głowę, aby objąć go wzrokiem, i zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdobyłaby się na to, by wystąpić w takim miejscu. Pewnego dnia zebrała się nawet na odwagę i zapukała do drzwi portierni. Próbowwała jakoś porozumieć się z portierem, ale na migi w żaden sposób nie mogła mu wyjaśnić, że szuka pracy w charakterze śpiewaczki.

Czuła się coraz bardziej zniechęcona i wyobcowana. Na szczęście znalazła schronienie w Thomaskirche, wspaniałym gotyckim kościele, nad którym górowała piękna biała dzwonnica. Chociaż był dużo większy niż kościółek w Heddal, zapach i atmosfera przypominały jej dom. W dniu, kiedy nareszcie wysłała listy do Herr Bayera i rodziców, poszła właśnie tam. Usiadła w ławce, pochyliła głowę i modliła się o odpuszczenie grzechów, siłę i wskazówki, jak żyć.

– Panie Boże, wybac mi straszne kłamstwa, które napisałam w listach. Najgorszym jest chyba to – przełknęła ślinę – że jestem szczęśliwa. Nie jestem. Ani trochę. Ale wiem, że nie zasługuję na litość i wybaczenie.

Nagle poczuła na ramieniu delikatny dotyk.

– *Warum bist du so traurig, mein Kind?*

Spłoszona, podniosła wzrok i zobaczyła, że uśmiecha się do niej stary pastor.

– *Kein Deutsch, nur Norwegisch* – wykrztusiła, tak jak nauczył ją Jens.

– Ach! – powiedział pastor. – Znam troszkę norweskiego.

Starła się jak mogła, żeby z nim porozmawiać, ale jego norweski był równie ograniczony, jak jej niemiecki. Zrozumiała, że to Jens musi omówić z nim ślub i przekonać pastora, że są wierzący.

Najlepszą porą dnia była dla niej ich wspólna kolacja. Słuchała wtedy opowiadań Jensa o konserwatorium, o studentach, którzy zjechali się tu z całej Europy, rzędach fortepianów Blüthnera służących studentom do ćwiczenia i o wspaniałych wykładowcach, z których wielu grało w Orkiestrze Gewandhaus.

Dziś pozwolono mu zagrać na stradivariusie i kiedy opowiadał o tych skrzypcach, wpadł w ekstazę.

– Różnicę dźwięku można porównać do tej między barmanką, która nuci coś pod nosem, a sopranistką śpiewającą arię operową – zachwycał się. – Są cudowne! Nie dość, że codziennie mogę grać i na skrzypcach, i na fortepianie, to uczę się mnóstwo na zajęciach z kompozycji, aranżacji i analizy muzycznej. A na historii muzyki studiowałem dzieła Chopina i Liszta, o których nigdy przedtem nawet nie słyszałem. Niedługo zagram *Scherzo numer dwa* na koncercie w Gewandhaus.

– Tak się cieszę, że jesteś szczęśliwy. – Anna usiłowała wzbudzić w sobie entuzjazm. – A czy jest tam ktoś, kto mógłby posłuchać, jak śpiewam?

– Anno, ciągle mnie o to prosisz – rzucił między jednym kęsem a drugim. – Już ci mówiłem, że dopóki nie nauczysz się niemieckiego, trudno będzie ci w Lipsku cokolwiek zrobić.

– Przecież musi być ktoś, kto mógłby mnie posłuchać? Znam włoskie słowa do arii Violetty, a niemieckich mogę się nauczyć później.

– No już dobrze. – Wziął ją za rękę. – Postaram się o to popytać.

Po kolacji następowała niezręczna pora kładzenia się do łóżka. W toalecie Anna przebierała się w koszulę nocną, a potem szybko biegła pod kołdrę, pod którą już leżał Jens. Obejmował ją, a ona przytulała mu się do piersi i chłonęła jego piżmowy zapach. Całował ją i czuła, jak jej ciało reaguje na niego, tak jak jego ciało na nią. Oboje pragnęli czegoś więcej... Ale stanowczo odsuwała się od niego, a on ciężko wzdychał.

– Po prostu nie mogę – szeptała w ciemność. – Wiesz, że najpierw musimy się pobrać.

– Wiem, kochanie. Oczywiście, że kiedyś się pobierzemy, ale przecież możemy przedtem...

– Nie, Jens! Po prostu... nie mogę. Wiesz, że znalazłam kościół, w którym możemy się pobrać, ale musisz porozmawiać z pastorem i wszystko załatwić.

– Po prostu nie mam na to czasu. Całkowicie pochłaniają mnie studia. A poza tym, wiele osób w konserwatorium ma całkiem nowe poglądy. Wśród studentów są radykałowie, którzy uważają, że Kościół chce po prostu rządzić ludźmi. Mają znacznie bardziej oświecone poglądy, zgodne z tym, co Goethe przedstawił w swojej sztuce *Faust*, w której wiele mówi o duchowości i metafizyce. Kolega pożyczył mi jej egzemplarz, a w niedzielę zabiorę cię do piwnicy Auerbacha, czyli gospody, do której chodził sam Goethe. Jest tam mural, który natchnął go do napisania *Fausta*.

Anna nigdy nie słyszała o Goethem i jego rzekomo oświeconych poglądach, wiedziała tylko, że zanim będzie mogła pozwolić Jensowi na zbliżenie, musi poślubić go przed Bogiem.

*

Nadeszło Boże Narodzenie, co uświadomiło Annie, że są z Jensem w Lipsku już od trzech miesięcy. Chciała iść do kościoła na *Christmette*, czyli pasterkę. Pastor Meyer dał jej nawet ulotkę z tradycyjnymi niemieckimi kolędami. Nuciała sobie *Stille Nacht*, ciesząc się, że znowu będzie mogła pośpiewać z ludźmi. Ale Jens uparł się, żeby na Wigilię poszli do jednego z jego kolegów ze studiów, Fredericka.

Ścisnęła w dłoniach kubek *Glühwein* i cichutko siedziała przy stole koło Jensa. Słuchała gardłowych rozmów po niemiecku i prawie nic z nich nie rozumiała. Jens był już pijany i nie próbował jej niczego tłumaczyć. Po kolacji niektórzy grali na różnych instrumentach, ale on ani razu nie zaproponował, żeby zaśpiewała.

Kiedy wracali do domu mroźną nocą, Anna usłyszała, że dzwony biją na północ, ogłaszając początek dnia Bożego Narodzenia. Mijając kościół, usłyszeli kolędy. Podniosła wzrok na Jensa, który miał twarz zaczerwienioną od alkoholu i wieczornej zabawy. Cichutko pomodliła się za swoją rodzinę, która świętowała bez niej w Heddal. Całym sercem pragnęła być teraz z nimi.

*

W styczniu i lutym Anna bała się, że oszaleje z nudów. Rozkład jej dnia, który początkowo był do przyjęcia ze względu na nowość otoczenia, teraz wydał jej się nieznośnie monotony. W Lipsku leżał śnieg i czasem było tak niemożliwie zimno, że drętwiały jej palce rąk i nóg. Dzień spędzała na przynoszeniu węgla do kominka, praniu ubrań w lodowatej zmywalni przy kuchni bądź na żalonych próbach rozszyfrowywania *Fausta*, z którego Jens kazał jej się uczyć niemieckiego.

– Jestem beznadziejnie głupia! – skarciła się któregoś popołudnia. Głośno zatrzasnęła książkę i rozplakała się rozżalona, co ostatnio zdarzało jej się niepokojąco często.

Jens coraz bardziej angażował się w życie konserwatorium i jego studentów. Często przychodził do domu po północy i czuć było od niego alkohol i dym tytoniowy. Udawała, że śpi, kiedy sięgał po jej ciało i ostrożnie pieścił je przez koszulę nocną. Słyszała, że pod nosem przeklina jej oziębłość. Serce biło jej w piersiach jak oszalałe, ale w końcu z burczeniem odwracał się i zaczynał chrapać. Dopiero wtedy wzdychała z ulgą i zasypiała.

Ostatnio przeważnie jadła kolacje sama. Przyglądała się przy tym spod rzęs pozostałym mieszkańcom pensjonatu. Co tydzień pojawiali się nowi, więc zakładała, że są to sprzedawcy w podróży. Był jednak pewien starszy pan, który wyglądał na takiego jak ona stałego mieszkańca i co wieczór jadł kolację. Nos miał zawsze schowany w książce i nosił porządne, staromodne ubranie.

Pan ten z czasem zaczął ją fascynować. Całymi godzinami zastanawiała się

nad jego przeszłością i próbowała odgadnąć, dlaczego postanowił spędzić tu lata zmierzchu swego życia. Czasami, kiedy na kolacji byli tylko we dwoje, kiwał do niej głową i mówił *Guten Abend*, a wychodząc *Gute Nacht*. Trochę przypominał jej Herr Bayera – miał gęste, siwe włosy, krzaczaste wąsy i był dżentelmenem.

– Jeśli tęsknię nawet za Herr Bayerem, to jest mi naprawdę źle – mruknęła do siebie któregoś wieczoru, wychodząc z jadalni.

Pewnego dnia mężczyzna wstał i przeszedł przez jadalnię z nieodłączną książką w ręce.

– *Gute Nacht* – powiedział i skinął do niej głową. Już przy drzwiach zmienił zdanie i odwrócił się do niej. – *Sprechen sie Deutsch?*

– *Nein, Norwegisch.*

– Jest pani z Norwegii? – zapytał zdziwiony.

– Tak – odpowiedziała zachwycona, że odezwał się do niej płynnie w jej ojczystym języku.

– Jestem Duńczykiem, ale moja matka pochodziła z Christianii. Nauczyła mnie norweskiego, kiedy byłem dzieckiem.

Od przyjazdu nie była w stanie porozumieć się z kimkolwiek poza Jensem, więc miała ochotę go uścisnąć.

– W takim razie ogromnie się cieszę, że pana poznałam.

Mężczyzna przystanął przy drzwiach i głęboko się zamyślił.

– Mówi pani, że nie zna pani niemieckiego?

– Znam tylko kilka słów.

– Więc jak sobie pani radzi w tym mieście?

– Szczerze mówiąc, nie radzę sobie.

– Pani mąż pracuje tu, w Lipsku?

– Nie, studiuje w konserwatorium.

– Aha, jest muzykiem! Nic dziwnego, że rzadko jada z panią kolację. Mogę zapytać, jak się pani nazywa?

– Anna Halvorsen.

– A ja Stefan Hougaard. – Ukłonił jej się leciutko. – Bardzo mi miło, że się poznaliśmy. – A pani nie pracuje, Fru Halvorsen?

– Nie. Ale mam nadzieję znaleźć pracę jako śpiewaczka.

– Tymczasem może pomogę pani nauczyć się niemieckiego? A przynajmniej lepiej poznać jego podstawy – zaproponował. – Jeśli pani chce, możemy spotykać się tu po śniadaniu pod okiem gospodyni, żeby pani mąż nie pomyślał, że dzieje się coś nieodpowiedniego.

– To niezwykle miłe z pana strony. Byłabym panu niezmiernie wdzięczna za pomoc. Ale ostrzegam pana, że nie jestem zdolna i nawet w ojczystym języku słabo czytam i piszę.

– W takim razie będziemy musieli bardzo się starać. Spotkamy się jutro

o dziesiątej rano?

– Tak, chętnie przyjdę.

Tego wieczoru Anna kładła się spać w dużo lepszym humorze, chociaż Jensa znowu przy niej nie było. Mówił, że musi ćwiczyć przed koncertem. Możliwość porozmawiania z kimś sprawiła jej ogromną radość, a jakiegokolwiek zajęcie było znakomitym urozmaiceniem jej monotonnego życia. A gdyby jeszcze udało jej nauczyć się choć trochę niemieckiego, miałyby szansę znów publicznie zaśpiewać...

*

Na drzewach zaczęły się pokazywać pierwsze pąki. Anna spędzała poranki na dole, usiłując zmusić swój uparty mózg, by zapamiętał i powtarzał słowa, których uczył ją Herr Hougaard. Po pierwszych kilku dniach koniecznie chciał Annie towarzyszyć w jej codziennej wycieczce na targ. Od tej pory stawał w pobliżu i dokładnie słuchał, jak zgodnie z jego instrukcjami wita się ze sprzedawcą, prosi o towar i płaci, a potem się żegna. Początkowo denerwowała się podczas tych wypraw i często zaciągała się przy wyuczonych zwrotach, ale powoli nabierała pewności siebie.

Eskapady Anny do miasta z Herr Hougaardem nabierały rozmachu i z czasem radziła sobie coraz lepiej. Kulminacją był obiad, który zamówiła dla nich dwojga w restauracji. Uparła się, by za niego zapłacić; chciała się w ten sposób odwdziżyć za lekcje niemieckiego.

Nadal niewiele wiedziała o swoim nauczycielu. Tylko tyle, że kilka lat temu zmarła jego żona i jest wdowcem. Przeniósł się ze wsi do miasta, aby móc korzystać z lipskiego życia kulturalnego i nie musieć dbać o dom.

– Wszystko, czego potrzebuję, to pełny brzuch, czysta pościel i uprane ubrania, a także cudowne koncerty w zasięgu kilkuminutowego spaceru dla pobudzenia zmysłów – powiedział z szerokim uśmiechem.

Dziwił się, że „mąż” nie zaprasza jej na liczne koncerty, w których występuje. Jens powiedział, że nie mają na to pieniędzy, ale Herr Hougaard twierdził, że na wiele z nich można iść za darmo. Anna coraz rzadziej widywała „męża”, a ostatnio zdarzało się, że w ogóle nie wracał na noc do pensjonatu. Któregoś ranka, kiedy otwierała okno, aby wpuścić nieco wiosennego powietrza, zanim zejdzie na dół na swoją codzienną lekcję, pomyślała, że bez Herr Hougarda chyba już dawno rzuciłaby się pod tramwaj.

Podczas jednej z ich wypraw do centrum w porze obiadu Anna ze zdziwieniem dostrzegła, że przy oknie Thüringer Hof, jednej z najlepszych restauracji w Lipsku, siedzi Jens. Było to miejsce spotkań tutejszej arystokracji. Rozsiadali się w pięknych ubraniach, a na zewnątrz stał rząd powozów. Konie cierpliwie czekały, aby zabrać ich do domu po obfitym lunchu. Tak żyłam

w Christianii, pomyślała Anna ze smutkiem.

Wyteńczyła wzrok, by dostrzec osobę, która towarzyszyła Jensowi. Była to na pewno kobieta, bo na głowie miała szkarłatny kapelusz, na którym podskakiwało pióro, kiedy coś mówiła. Ku rozbawieniu Herr Hougaarda przysunęła się nieco bliżej i zobaczyła, że kobieta ma ciemne włosy i profil, który jej matka nazwałaby rzymskim, co mówiąc prostym językiem, znaczyło, że miała duży nos.

– Na co tak się patrzysz, Anno? – Herr Hougaard zrobił krok w jej stronę. – Wyglądasz jak dziewczynka z zapalkami w mojej ulubionej baśni Hansa Christiana Andersena. Czy zaraz, tak jak ona, przyciśniesz nos do szyby?

– Nie. – Oderwała wzrok od Jensa i kobiety. Widziała, że w rozmowie pochylają się ku sobie. – Wydawało mi się, że jest tam ktoś, kogo znam.

Tej nocy Anna czuwała, czekając na Jensa; wrócił dobrze po północy. Ostatnio rozbierał się w toalecie i po ciemku wślizgiwał się pod kołdrę, starając się jej nie obudzić. Ale oczywiście się budziła. Co noc.

– Dlaczego jeszcze nie śpisz? – zapytał bardzo zdziwiony na widok zapalanej lampy naftowej.

– Chciałam na ciebie poczekać. Ostatnio prawie się nie widzimy.

– Wiem. – Westchnął i opadł na łóżko obok niej.

Poczuła, że znów pił.

– Tak, niestety, wygląda życie studenta słynnego lipskiego konserwatorium. W ciągu dnia z trudem znajduję czas, żeby coś zjeść.

– Nawet w czasie obiadu? – Słowa te wydostały się z jej ust, zanim zdołała je powstrzymać.

Jens odwrócił się w jej stronę.

– O co ci chodzi?

– Widziałam dzisiaj, jak jadłeś obiad.

– Naprawdę? To dlaczego nie weszłaś, żeby się ze mną przywitać?

– Ponieważ nie miałam odpowiedniego stroju do takiego miejsca. A poza tym byłam bardzo zajęta rozmową z jakąś kobietą.

– A, tak. Z baronową von Gottfried. Jest mecenaską konserwatorium i jego studentów. W ubiegłym tygodniu przyszła na koncert, na którym czterej młodzi kompozytorzy, w tym ja, mieli szansę wykonać swój krótki utwór. Zagrałem ten, nad którym ostatnio pracowałem. Pamiętasz?

Nie, nie pamiętała. Jens nie bywał w domu, więc nie miał jak jej cokolwiek opowiedzieć.

– Rozumiem. – Z trudem przełknęła ślinę. Ogarnęło ją oburzenie, że nie zaprosił jej na wykonanie swojej nowej kompozycji.

– Baronowa zaprosiła mnie na lunch, żeby przedyskutować plany szerszego wykonania moich utworów. Ma wiele kontaktów we wszystkich dużych miastach Europy: w Paryżu, Florencji, Kopenhadze... – Jens uśmiechnął się z rozmarzeniem

i położył dłonie z tyłu głowy. – Wyobrażasz to sobie, Anno? Moje utwory mogłyby być grane w wielkich salach koncertowych całego świata. Herr Hennem miałyby niezłą nauczkę, co?

– Tak. Na pewno sprawiłoby ci to wielką przyjemność.

– Co się stało, Anno? – zapytał, czując lód w jej głosie. – Widzę, że masz mi coś do powiedzenia. Wyrzuć to z siebie.

– Tak! – Nie mogła dłużej powstrzymać złości. – Z tygodnia na tydzień coraz rzadziej cię widzę, a teraz mówisz mi, że dajesz koncerty, na które nawet mnie nie zapraszasz... mnie, swojej narzeczonej, a dla świata żony. Prawie zawsze przychodzisz do domu po północy, a czasami wcale! Tymczasem ja siedzę tu i czekam na ciebie jak wierny pies, bez przyjaciół, bez żadnych obowiązków i bez perspektyw na rozwijanie swojej własnej kariery śpiewaczki! A tu nagle widzę cię w jednej z najlepszych restauracji na obiedzie z inną kobietą! Oto co chciałam ci powiedzieć.

Kiedy Jens upewnił się, że skończyła, wstał z łóżka.

– Więc ja też ci coś powiem. Czy ty w ogóle sobie wyobrażasz, jak się czuję, kiedy co noc leżę koło kobiety, którą kocham, jestem tak blisko jej pięknego ciała, a wolno mi ją tylko leciutko popieścić lub pocałować? Mój Boże, wszelkie twoje drobne ustępstwa tylko pogłębiają moją frustrację! Leżę tu i marzę, żeby się z tobą kochać, tak bardzo, że nie jestem w stanie odpocząć. Żeby nie zwariować, wolę przychodzić jak najpóźniej, najlepiej pijany, i osuwać się w niebyt. Tak! – Wyzywająco skrzyżował ramiona na piersi. – Co to w ogóle za życie?! Jesteś moją żoną, ale nią nie jesteś. Wycofałaś się i chodzisz ponura. Mam wrażenie, że najchętniej wróciłabyś do domu. Pamiętaj, że to była twoja decyzja, żeby tu przyjechać. Może lepiej wyjedź. Przecież widać, że nie jesteś szczęśliwa. Że to ja cię unieszczęśliwiam!

– Jesteś niesprawiedliwy! Wiesz równie dobrze jak ja, że rozpaczliwie pragnę ślubu, abyśmy mogli naprawdę stać się mężem i żoną. Ale za każdym razem, kiedy proszę, żebyś poszedł porozmawiać z pastorem, mówisz, że jesteś zmęczony albo nie masz czasu! Jak śmiesz obwiniać mnie o tę sytuację, skoro to nie ja do niej doprowadziłam!

– Jeśli o to chodzi, to prawda. – Jens nieco się uspokoił. – Ale jak myślisz, dlaczego na razie nie chcę iść do pastora?

– Bo nie chcesz się ze mną ożenić?

– Anno – roześmiał się rozdrażniony – wiesz, jak bardzo chcę być dla ciebie mężem. Ale chyba nie zdajesz sobie sprawy, ile kosztuje ślub. Musiałabyś mieć suknię i druhny; trzeba by urządzić jakąś ucztę... Przecież każda narzeczona zasługuje na coś takiego.

Uszło z niej całe zdenerwowanie; w końcu go zrozumiała.

– Ale ja tego wszystkiego nie potrzebuję. Zależy mi tylko na ślubie.

– Jeśli mówisz prawdę, to pobierzemy się natychmiast. Ale, niestety, nie będzie to ślub, o jakim marzyłaś jako dziewczynka.

– Wiem. – Z trudem przełknęła ślinę na myśl, że nie będzie nikogo z jej rodziny. Ani *mor* i *far*, ani Knuta i Sigrid. Ślubu nie udzieli im pastor Erslev, a ona nie włoży weselnej korony ich wioski. – Nic nie szkodzi.

Jens usiadł na łóżku i czule ją pocałował.

– W takim razie pójdziemy do twojego pastora i ustalimy termin ślubu.

Ceremonia zaślubin w Thomaskirche była krótka i skromna. Anna miała na sobie prostą białą suknię, którą kupiła na tę okazję za pieniądze od Frøken Olsdatter, a we włosy wpięła białe kwiaty. Pastor Meyer uśmiechał się dobrodusznie, kiedy wygłaszał słowa przysięgi, która miała ich ze sobą związać na resztę życia.

– *Ja, ich will* – powiedzieli kolejno, a Jens pewnym ruchem i z widocznym uczuciem wsunął jej na palec obrączkę swojej babci. Kiedy wstrzemięźliwie całował ją w usta, zamknęła oczy. Z ulgą poczuła, że Pan Bóg jej wybacza.

Niewielka grupka gości przeniosła się do *Bierkeller*, gdzie nowożeńców przywitał marsz weselny w improwizowanym wykonaniu znajomych muzyków Jensa. Siedząc przy skromnym posiłku składającym się z niemieckiego rosółu weselnego, Anna poczuła, jak dłoń męża wspierająco spoczywa na jej kolanie. Dzięki Herr Hougaardowi była w stanie włączyć się w toasty i żarty kolegów Jensa i nie czuła się już tak wyobcowana w ich świecie.

Wieczorem, kiedy wchodzili po schodach do swojego pokoju, położył dłoń na jej karku. Poczuła, jak przeszywa ją dreszcz nerwowego oczekiwania.

– Jesteś taka drobniutka, niewinna, idealna... – mruknął, kiedy zamknęły się za nimi drzwi. Przygarnął ją i jego dłonie zaczęły śmiało wędrować po jej ciele. – Muszę mieć moją żonę – szepnął jej do ucha i uniósł jej brodę, aby ją pocałować. – Czy to dziwne, że szukałem pocieszenia gdzie indziej?

Słyszając to, odsunęła się od niego.

– Co chciałeś powiedzieć?

– Nic, naprawdę nic... Pragnę tylko ciebie.

Zanim była w stanie odpowiedzieć, całował ją i pieścił jej plecy, uda, piersi... Mimo woli nagle poczuła się cudownie; uznała za naturalne to, że w końcu pozbył się jej ubrań i wszelkich barier, które oddzielały ich od siebie, i nareszcie mogli stać się jednym. Zaniósł ją do łóżka, rozebrał się i położył się na niej. Anna nieśmiało głaskała twarde mięśnie jego pleców. Kiedy w nią wszedł, była gotowa; miała wrażenie, że jej ciało podświadomie przygotowywało się do tej chwili od momentu, kiedy pierwszy raz go zobaczyła.

Sam akt miłosny wydał jej się nieco dziwny, ale kiedy Jens westchnął i opadł obok niej na poduszki, a ona wtuliła głowę w jego bark, zapomniała o wszystkich strasznych opowieściach, które kiedyś słyszała o nocach poślubnych. Teraz naprawdę należała do niego, a on do niej.

*

Przez następne kilka tygodni Jens przychodził na kolację na czas. Oboje śpieszyli się, by skończyć posiłek i iść na górę do pokoju. Anna szybko się

zorientowała, że mąż ma doświadczenie w uprawianiu miłości. Powoli robił się wobec niej coraz odważniejszy, a ona czuła, że może się rozluźnić, i każda noc stawała się dla nich cudowną przygodą. Zniknęła samotność poprzednich miesięcy, a Anna w pełni zrozumiała, na czym polega różnica między przyjaciółmi a kochankami. Wyglądało też na to, że ich role odwróciły się, bo teraz to ona nigdy nie miała dosyć ich bliskości.

– Mój Boże, żono – powiedział któreś nocy, leżąc przy niej zdyszany. – Zaczynam żałować, że cię tego nauczyłem. Jesteś absolutnie nienasycona!

Nie mijał się z prawdą, bo tylko uprawiając miłość, Anna czuła, że Jens naprawdę do niej należy. Kiedy rano opuszczał jej ramiona i ubierał się do konserwatorium, widziała, że ma zupełnie inny wyraz twarzy, i czuła, że oddała się od niej myślami. Doszło do tego, że zaczęła go odprowadzać. Pod drzwiami konserwatorium obejmował ją, mówił, że ją kocha, i znikał w świetle, który całkowicie go pochłaniał.

Mój wróg, myślała czasem o tej uczelni, odwracała się i szła do domu.

Herr Hougaard zauważył, że Anna przychodzi na poranne lekcje znacznie bardziej ożywiona i częściej się uśmiecha.

– Wygląda pani na szczęśliwszą, Frau Halvorsen, i ogromnie mnie to cieszy – powiedział.

Dzięki pozytywnemu nastawieniu do życia Anna znacznie szybciej przyswajała sobie niemiecki. Mówiła z pewnością siebie, za którą Herr Hougaard nagradzał ją komplementami. Miała wrażenie, że każde nowe słowo otwiera przed nią okno do następnych.

Postanowiła nie czekać beczynn timer, aż Jens znajdzie jej posadę śpiewaczki. Napisała list do Herr Griega, w którym informowała go o swojej przeprowadzce do Lipska, i prosiła, aby w miarę możliwości załatwił jej przesłuchanie u kogoś w mieście. Jens dowiedział się w konserwatorium, że przy Talstraße 10 mieści się wydawnictwo publikujące utwory Herr Griega, i Anna osobiście zaniósła tam list i wręczyła go młodemu człowiekowi pracującemu w sklepie z nutami na parterze. Potem modliła się, aby wielki kompozytor otrzymał jej list i odpowiedział.

*

Pewnego czerwcowego dnia udało jej się przez piętnaście minut rozmawiać po niemiecku i nie zrobić ani jednego błędu. Herr Hougaard skłonił przed nią głowę.

– Frau Halvorsen, spisała się pani wspaniale. Pozostaje mi złożyć pani hołd.

– *Danke* – odparła i roześmiała się.

– Muszę też pani powiedzieć, że wkrótce, jak co roku w lecie, wyjeżdżam do wód w Baden-Baden. W mieście robi się dla mnie za gorąco, a ostatnio jestem szczególnie zmęczony. Czy po zakończeniu semestru wyjeżdża pani z Herr

Halvorsenem do Norwegii?

– Nie rozmawialiśmy o tym.

– Ja wyjeżdżam jutro rano, więc mam nadzieję zobaczyć się z panią jesienią.

– I ja mam taką nadzieję.

Kiedy wstał, Anna zrobiła to samo, żeby nieco mniej oficjalnie, niż przewidywała etykieta, okazać mu sympatię i wdzięczność.

– Jestem panu bardzo zobowiązana.

– Frau Halvorsen, zapewniam panią, że uczyłem panią niemieckiego z wielką przyjemnością.

Herr Hougaard wyjechał do Baden-Baden, a tymczasem Anna zauważyła zmianę w Jensie. Nie zawsze wracał na kolację, a jeśli już się pojawiał, był nerwowy jak kot na rozpalonych ceglach. Kiedy się kochali, wyczuwała w nim jakiś dystans.

– Co ci jest? – zapytała któregoś wieczoru. – Wiem, że coś jest nie tak.

– Nic – rzucił ostro, wyswobodził się z jej ramion i odwrócił się do niej plecami. – Po prostu jestem zmęczony.

– Jens, *min elskede*, przecież cię znam. Proszę, powiedz mi, o co chodzi.

Chwilę leżał nieruchomo, a potem odwrócił się w jej stronę.

– No dobrze. Mam dylemat. Nie wiem, co robić.

– Więc, na litość boską, powiedz mi, o co chodzi. Może będę ci mogła pomóc.

– Problem w tym, że to ci się nie spodoba.

– Więc lepiej powiedz mi o tym od razu.

– Pamiętasz kobietę, z którą widziałaś mnie na obiedzie?

– Baronowa. Jak mogłabym ją zapomnieć? – Anna najeżyła się na to wspomnienie.

– Zaprosiła mnie na lato do Paryża. Ona i jej mąż mają chateau niedaleko Wersalu. Urządza tam wieczorki muzyczne dla wielkich i możnych świata sztuki i chce zorganizować koncert z premierowym wykonaniem moich utworów. To świetna okazja, żeby świat usłyszał, co robię. Baronowa von Gottfried wszystkich zna i, jak ci już mówiłem, patronuje młodym kompozytorom. Mówi, że grał u niej nawet Herr Grieg.

– W takim razie musimy jechać. Nie rozumiem, dlaczego jest to dla ciebie taki problem.

Jens jęknął.

– Anno, właśnie dlatego nic ci nie powiedziałem. Chodzi o to, że nie mogę cię ze sobą zabrać.

– Dlaczego?

– Ponieważ... – westchnął – baronowa von Gottfried nic o tobie nie wie. Nigdy jej nie wspominałem, że jestem żonaty. Prawdę mówiąc, bałem się, że nie

byłaby wtedy wobec mnie tak łaskawa. Kiedy ją poznałem, sytuacja między nami była nieco... trudna. Żyliśmy ze sobą jak brat i siostra albo przyjaciele. Więc... rozumiesz... ona nie ma pojęcia o twoim istnieniu.

– No to powiedz jej teraz, że istnieję – odezwała się niskim, zimnym głosem, bo pomału zaczęło do niej docierać znaczenie tego, co powiedział jej mąż.

– Ponieważ... się boję. Tak, Anno, twój Jens boi się, że jeśli baronowa się o tym dowie, nie będzie już chciała, by towarzyszył jej w podróży do Paryża.

– Chcesz, by myślała, że jesteś wolny, bo wtedy pomoże ci w karierze?

– Tak, Anno. O Boże, ale ze mnie osioł...

– Owszem. – Beznamiętnie patrzyła, jak Jens zaciąga sobie poduszkę na głowę i chowa się pod nią jak strofowane przez matkę niegrzeczne dziecko.

– Wybacz mi, Anno. Nienawidzę się. Ale przynajmniej powiedziałem ci prawdę.

– Na jak długo miałbyś z nią jechać?

– Tylko na lato. – Wychylił się spod poduszki. – Zrozum, że robię to wszystko dla naszego dobra. Chcę rozwinąć swoją karierę, żebyś mogła wyprowadzić się z tego pokoju i kiedyś mieć porządny dom, tak jak na to zasługujesz.

I żebyś ty mógł zakosztować sławy, na którą, według ciebie, zasługujesz, surowo podsumowała go w myślach.

– W takim razie musisz jechać.

– Naprawdę? – Spojrzał na nią podejrzliwie. – Godzisz się na to tak bez zastrzeżeń?

– Postawiłeś mnie w sytuacji bez wyjścia. Jeśli ci zabronię, całe lato będziesz narzekał i obwinał mnie za swoje niepowodzenia. A poza tym, mimo ostrzeżeń ze strony innych – Anna głęboko zaczerpnęła powietrza – ufam ci.

– Naprawdę? – Wyglądał na zaskoczonego. – Jesteś aniołem.

– Co byłoby warte nasze małżeństwo, jeśli nie mogłabym ci zaufać? – odparła ponuro.

– Dziękuję ci. Dziękuję, kochanie.

*

Jens wyjechał kilka dni później. Zostawił Annie dość pieniędzy, by spokojnie przeżyła do jego powrotu. Ogromna wdzięczność, jaką okazywał jej przed wyjazdem, utwierdzała Annę w przekonaniu, że podjęła dobrą decyzję. Gdy leżeli w łóżku, łapała go na tym, jak przygląda się jej z podziwem.

– Kocham cię, Anno, kocham cię... – powtarzał w kółko.

Rano w dzień wyjazdu przytulił ją tak mocno, jakby nie mógł znieść ich rozstania.

– Obiecujesz, że będziesz na mnie czekała, cokolwiek się zdarzy?

– Będę. Jesteś przecież moim mężem.

*

Anna z trudem przeżyła upalne lipskie lato. Otwierała okna na oścież, by wpuścić choćby najłżejszy powiew wietrzyku, o który w ciasno zabudowanej uliczce nie było łatwo. W nocy niemiłosiernie spocona, leżała naga na łóżku.

Skończyła czytać *Fausta* Goethego i mozolnie brnęła przez inne książki, które udało jej się pożyczyć z miejskiej biblioteki, aby powiększyć zasób niemieckiego słownictwa. Poza tym kupiła na targu materiał, chodziła do parku, siadała pod cienistym drzewem i szyła sobie barchanową suknię, a także cieplejszy płaszcz na nadchodzącą zimę. Kiedy zdejmowała sobie miarę do ubrań, zmartwiła się, że chociaż nie ma jeszcze dwudziestu lat, to podobnie jak innym kobietom po ślubie już poszerza jej się talia. Co drugi dzień wybierała się do Thomaskirche, co dawało jej ukojenie zarówno duchowe, jak fizyczne, bo tylko tam mogła uciec od upału.

Systematycznie pisała do Jensa na adres, który dał jej przed wyjazdem do Paryża, lecz od niego przyszły tylko dwa krótkie liściki z wiadomością, że jest zdrowy i poznaje wielu ważnych znajomych baronowej von Gottfried. Napisał też, że jego utwory zostały dobrze przyjęte, a w wolnym czasie pracuje nad nowymi kompozycjami.

W château znajduję inspirację dla jak dotąd najlepszych moich utworów! Jak można nie być twórczym w tak przepięknym miejscu?

*

Lato dłużyło się Annie niemiłosiernie, ale nie pozwoliła, by przytłoczyły ją czarne myśli związane z bogatą i potężną protektorką Jensa, które przeciskały się do jej umysłu jak robaki. Niedługo do mnie wróci, mówiła sobie stanowczo, i dalej będziemy żyli jak mąż i żona.

Jens nie podał jej dokładnej daty powrotu, a pewnego ranka na początku września właścicielka pensjonatu, Frau Schneider, podczas śniadania zapytała Annę, czy jej mąż wraca dzisiaj do Lipska, by jutro zacząć nowy semestr w konserwatorium.

– Jestem pewna, że tak – spokojnie odpowiedziała Anna, starając się nie okazać zdziwienia. Natychmiast weszła na górę, by uczesać włosy i przebrać się w nową suknię. Przyjrzała się swojemu odbiciu w lusterku, które postawiła na komodzie, i uznała, że wygląda dobrze. Od wyjazdu Jensa policzki jej się wypełniły, ale miała nadzieję, że to mu się spodoba. Podobnie jak jej rodzina, często drażnił się z nią, że jest za chuda.

Przez resztę dnia nie wychodziła z dusznego pokoju, jednocześnie ciesząc się i denerwując powrotem męża.

Wraz z zapadnięciem zmierzchu ciemność zaczęła ogarniać także i jej duszę. Przecież Jens nie opuściłby chyba pierwszego dnia w swym ukochanym konserwatorium? Kiedy wybiła północ i dzwony kościelne oznajmiły nowy dzień, Anna zdjęła suknię i położyła się na łóżku w samej koszuli. Wiedziała, że tej nocy na lipski dworzec nie przyjadą już żadne pociągi.

Trzy dni później szalała ze zmartwienia. Poszła do konserwatorium i czekała, aż zaczęli z niego wychodzić rozgadani, palący tytoń studenci. Kiedy rozpoznała Fredericka, młodego człowieka, u którego spędzili wigilię Bożego Narodzenia, nieśmiało do niego podeszła.

– Przepraszam, że panu przeszkadzam, Herr Frederick – powiedziała, bo nie znała jego nazwiska. – Widział pan może ostatnio Jensa?

W pierwszej chwili jej nie poznał. Przyjrzał się jej uważnie, a potem zerknął na kolegów, którzy do niego podeszli.

– Nie, pani Halvorsen. Niestety nie. Ktoś widział Jensa? – zwrócił się do nich.

Wszyscy pokręcili głowami i skonsternowani opuścili wzrok.

– Obawiam się, że coś mu się stało w Paryżu – powiedziała Anna, nerwowo obracając obrączkę ślubną na palcu. – Od ponad miesiąca się do mnie nie odezwał, a przecież powinien wrócić na nowy semestr. Czy jest ktoś w konserwatorium, kto mógłby wiedzieć, gdzie on jest?

– Mogę zapytać jego nauczyciela. Ale muszę być z panią szczery, Frau Halvorsen. Odniosłem wrażenie, że Jens ma zamiar na stałe osiąść w Paryżu. Powiedział mi, że ma pieniądze tylko na jeden semestr studiów. Chociaż konserwatorium mogłoby oczywiście zaproponować mu stypendium. A może je dostał?

– Ja... – Anna poczuła, że świat wokół niej zawirował, i lekko się zatoczyła.

Frederick chwycił ją za ramię i lekko podtrzymał.

– Frau Halvorsen, źle się pani czuje?

– Nie, nie. Jestem zdrowa – powiedziała i wyswobodziła się od niego, zaciskając z dumy szczękę. – *Danke*, Herr Frederick.

Skłoniła lekko głowę i odeszła, trzymając ją tak wysoko, jak tylko potrafiła.

– O Boże... Boże – mamrotała, z trudem przedzierając się przez ruchliwe ulice. Nadal kręciło jej się w głowie i brakowało jej tchu.

W pensjonacie opadła na łóżko, sięgnęła po stojącą obok wodę i wypila ją duszkiem, by opanować słabość i zaspokoić pragnienie.

– To nie może być prawdą. Nie może. Jeśli ma zamiar zostać w Paryżu, to dlaczego po mnie nie przysłał? – Nagie ściany nie były w stanie dać jej oczekiwanej odpowiedzi. – Przecież nie opuściłby mnie. Nie zrobiłby tego – przekonywała siebie. – Kocha mnie, jestem jego żoną...

Po bezsennej nocy, podczas której myślała, że oszaleje, z trudem zeszła na

śniadanie. Zobaczyła, że Frau Schneider czyta jakiś list.

– Dzień dobry, Frau Halvorsen. Właśnie dostałam smutną wiadomość. Pani przyjaciel, Herr Hougaard, dwa tygodnie temu zmarł na zawał serca. Rodzina prosi, abym spakowała jego rzeczy. Przyślą po nie powóz.

Anna podniosła dłoń do ust.

– Proszę... nie, nie – szepnęła i zemdląła.

*

Ocknęła się w prywatnym salonie Frau Schneider; leżała na kanapie z chłodną szmatką na głowie.

– No, już dobrze – uspokajała ją starsza kobieta. – Wiem, jak pani go lubiła. Ja zresztą też. Musiała się pani bardzo zdenerwować, zwłaszcza że nadal nie ma pani męża. I to wszystko w pani stanie.

Anna dostrzegła, że właścicielka pensjonatu przygląda się jej brzuchowi.

– Co pani ma na myśli, mówiąc o moim stanie?

– Pani ciążę. Wie pani, kiedy dziecko przyjdzie na świat? Jest pani taka drobniutka, musi pani na siebie uważać.

Świat znów zawirował Annie przed oczami i przez chwilę bała się, że zwymiotuje na obitą pluszem kanapę.

– Proszę napić się trochę wody – zaproponowała Frau Schneider, podając jej szklankę.

Anna napiła się, a Niemka mówiła dalej:

– Miałam zamiar porozmawiać z panią o przyszłości po powrocie pani męża. Przestrzegam zasady, że nie mogą tu mieszkać dzieci. Płaczą i przeszkadzają innym gościom.

Jeśli Annie wydawało się, że nie może już być gorzej, to właśnie okazało się, że nie miała racji.

– Niemniej jednak, póki nie wróci, nie bardzo mogę wyrzucić panią na ulicę. A więc niech pani tu sobie mieszka aż do porodu – dodała wspaniałomyślnie.

– *Danke* – szepnęła Anna. Wiedziała, że miłosierdzie gospodyni miało swoje granice. – Czuję się już dobrze – powiedziała, wstając. – Dziękuję za pani dobre serce i przepraszam, że zrobiłam kłopot. – Uprzejmie ukłoniła się kobiecie i wróciła do swojego pokoju.

Resztę dnia przeleżała nieruchomo na łóżku. Jeśli się nie ruszy i będzie miała zamknięte oczy, to być może wszystkie te okropności znikną. Ale jeśli poruszy choć jednym mięśniem, będzie to oznaczało, że jeszcze żyje i oddycha, więc musi się zmierzyć z rzeczywistością.

– Proszę, pomóż mi, Boże – błagała.

Później musiała wstać do toalety. Zdjęła suknię i została w pantalonach i koszuli. Podniosła ją i zmusiła oczy, by spojrzwały w dół. Zobaczyła lekkie

zaokrąglenie brzucha. Dlaczego nie przyszło jej do głowy, że poszerzona talia oznacza ciężę?

– Ty głupia! – Zapłakała. – Jak to możliwe, że tego nie wiedziałaś? Jesteś naiwną wieśniaczką, jak powiedział ci Herr Bayer! – Podeszła do szuflady, by wyjąć pióro i papier, usiadła na łóżku i zaczęła pisać list do męża w Paryżu.

*

– Rano przyszedł do pani list – powiedziała Frau Schneider i podała go Annie.

Dziecko – bo tak gospodyni nazywała swoją drobną lokatorkę – podniosło na nią puste, zapadnięte oczy i po raz pierwszy Frau Schneider zobaczyła w nich iskierkę nadziei.

– Ma francuski znaczek – dodała. – Jestem pewna, że to od pani męża.

– *Danke*.

Frau Schneider skinęła głową i wyszła, by dziecko mogło przeczytać list na osobności. Przez ostatnie dwa tygodnie z góry schodził jakby duch dawnej Anny. Dziewczyna patrzyła bez zainteresowania na jedzenie, które gospodyni przed nią stawiała, i wychodziła, zostawiając je nietknięte. Frau Schneider wzdychała, sprząając ze stołu i idąc do zmywalni, by umyć naczynia w drewnianej beczce. Już nieraz widziała podobne historie. I choć żałowała Anny, miała nadzieję, że list rozwiąże nie tylko problemy młodej kobiety, ale i jej. Dawno temu nauczyła się, że nie może odpowiadać za życie swoich lokatorów, choćby byli w rozpaczliwej sytuacji.

Anna poszła do pokoju i drżącymi palcami otworzyła list. Minęło kilka tygodni od czasu, kiedy napisała do Jensa o dziecku i wysłała list do château.

Paryż

13 września 1877

Moja kochana Anno

Wybacz mi, że tak długo nie pisałem, ale chciałem najpierw się tu urządzić. Mam mieszkanie w Paryżu i uczę się kompozycji u Augustusa Therna, słynnego profesora muzyki. Bardzo mi pomaga w rozwoju. Baronowa von Gottfried jest moją mecenaszką i sponsorką. Wspaniałomyślnie przedstawiła mnie wszystkim, którzy mogą mi pomóc. Dzięki niej w listopadzie zagram swoje utwory na wieczorku dla śmietanki towarzyskiej Paryża.

Anno, wyjeżdżając, nie chciałem Cię martwić, że skończyły mi się pieniądze, ale gdyby nie hojność baronowej, oboje znaleźlibyśmy się teraz w rynsztoku. Zostawiłem Ci w Lipsku wszystko, co miałem. Wiem, że masz pieniądze od Frøken

Olsdatter i modłę się, żebyś nie cierpiała.

Zdaję sobie sprawę, że uważasz mój wyjazd i to, że nie wróciłem, za straszną zdradę naszej miłości. Ale uwierz mi, proszę, że naprawdę Cię kocham. Zrobiłem to, co jest najlepsze dla nas i dla naszej przyszłości. Kiedy moja muzyka zostanie zauważona, będę w stanie zarobić na nas bez niczyjej pomocy i przyjadę po Ciebie. Przysięgam to na Biblię, którą tak poważasz. I na nasz związek.

Błagam Cię, Anno, czekaj na mnie tak, jak obiecałaś. I spróbuj zrozumieć, że to, co robię, jest dla nas obojga. Może się to wydawać trudne, ale uwierz we mnie i zaufaj, że tak będzie najlepiej.

Tęsknię za tobą, kochana. Bardzo.

Kocham Cię z całego serca

Twój Jens

Wypuściła list z rąk i kiedy opadł na podłogę, oparła głowę na dłoniach, usiłując uspokoić rozbiegane myśli. Nic nie wspomniał o dziecku. Czyżby nie dostał jej listu? I jak długo ma na niego jeszcze czekać?

Ten człowiek złamie ci serce i cię zniszczy... Słowa Herr Bayera odbijały się echem w jej myślach, nadwątlając jej postanowienie, by zaufać mężowi.

*

Udało jej się jakoś przeżyć następny miesiąc. Nie miała pojęcia, kiedy wróci Jens, ale widziała, że monety od Frøken Olsdatter topnieją, uznała więc, że musi znaleźć jakąś pracę.

Przez tydzień chodziła po ulicach Lipska i pytała, czy mogłaby pracować jako kelnerka albo pomywaczka, ale na widok jej brzucha każdy ewentualny pracodawca kręcił głową.

– Frau Schneider, a może pani potrzebuje pomocy w kuchni albo przy sprzątnięciu? – zapytała któregoś dnia gospodynię. – Herr Hougaard wyjechał i czekam na powrót męża, więc trochę się nudzę. Pomyślałam, że może się do czegoś przydam.

– Praca u mnie nie jest lekka, ale jeśli jesteś pewna, że chcesz coś robić, to owszem, przydałaby mi się pomoc – odpowiedziała gospodyni, uważnie jej się przyglądając.

Frau Schneider zaczęła od zatrudnienia jej w kuchni do szykowania śniadania, co oznaczało, że Anna musiała wstawać o wpół do szóstej. Po śniadaniu,

kiedy już pomyślała naczynia, szła do pokoi lokatorów i tam, gdzie trzeba, zmieniała pościel. Popołudnia miała wolne, ale o piątej znów musiała być w kuchni. Obierała ziemniaki i przygotowywała kolację. Pomyślała, że to ironia losu, bo przecież kompletnie się nie nadawała do pracy w kuchni. Zwłaszcza że była ona ciężka i nie miała końca. Brzuch coraz bardziej jej ciążył i z każdym dniem było jej coraz trudniej wspinać się po schodach. Jedyne, co okazało się w tym wszystkim dobre, był fakt, że wieczorami czuła takie zmęczenie, że bez kłopotu przesypiała noc.

Na co mi przyszło? – zastanawiała się ze smutkiem, leżąc w łóżku. W ciągu kilku miesięcy z docenianej przez wszystkich gwiazdy Christianii przemieniłam się w pomywaczkę. Potem, jak co noc, pomodliła się, aby wrócił jej mąż.

– Dobry Boże, proszę, nie pozwól, bym pomyliła się w mojej miłości do niego i w tym, że mu zaufałam. Nie pozwól, aby mieli rację ci, którzy mnie przed nim ostrzegali.

*

Kiedy rozhulał się chłodny listopadowy wichur, Anna w środku nocy poczuła ból brzucha. Po omacku zapaliła lampę naftową, którą miała przy łóżku, wstała i, ku swemu przerażeniu, zobaczyła, że pościel ma mokrą od krwi. Ból w regularnych odstępach ścisnął jej brzuch i z trudem tłumiła krzyki. Była zbyt przerażona, by wołać o pomoc i narazić się na niezadowolenie Frau Schneider, więc przez kilka godzin rodziła w samotności. Kiedy nadszedł świt, zobaczyła, że między jej nogami leży nieruchomo maleńkie dziecko.

Zauważyła, że do jego pępka przyczepiony jest kawałek skóry, który – jak jej się zdawało – wychodził z niej. Teraz nie była już w stanie opanować przerażenia, więc zaczęła krzyczeć z bólu, strachu i zmęczenia. W ciągu kilku sekund w drzwiach pojawiła się Frau Schneider. Jednym spojrzeniem objęła jatkę na łóżku i natychmiast wybiegła po położną.

Anna z wyczerpania zapadła w niespokojny sen. Przebudziły ją czyjeś miękkie dłonie, które gładziły ją po włosach i kładły jej na czole okład.

– No już, *Liebe*. Przetnę pępowinę i cię oczyszczę – mówił delikatny głos.

– Czy ona umiera? – do świadomości Anny dotarł znajomy głos Frau Schneider. – Powinnam była ją poprosić, by odeszła, kiedy tylko zobaczyłam, że jest w ciąży. Tak właśnie się kończy, kiedy człowiek pozwoli, żeby miękkie serce zapanowało nad głową.

– Kobieta jest zdrowa, ale dziecko, niestety, urodziło się martwe.

– To straszna tragedia, ale ja, niestety, muszę się zająć swoimi sprawami. – Frau Schneider wyszła z pokoju, cmokając z niesmakiem.

Godzinę później umyta Anna siedziała w czystej pościeli. Położna zawinęła dziecko w szal i podała je Annie, aby się z nim pożegnała.

– To była dziewczynka, kochanie. Postaraj się nie rozpaczać. Jestem pewna,

że będziesz jeszcze miała dzieci.

Anna popatrzyła na idealnie piękne rysy córeczki, której skóra miała już niebieskawy odcień. Delikatnie pocałowała małeństwo w czółko. Zbyt odrętwiała, żeby nawet zapłakać, pozwoliła położnej zabrać dziecko.

– Skoro jesteś już silniejsza, chciałabym z tobą porozmawiać – powiedziała Frau Schneider, zabierając nietknięty talerzyk ze śniadaniem z kolan Anny, która nadal leżała w łóżku, zbyt słaba, żeby się z niego podnieść. Frau Schneider postanowiła jednak, że co za dużo, to niezdrowo.

Anna apatycznie kiwnęła głową. Dobrze wiedziała, co usłyszy. Nie obchodziło jej, że zostanie wyrzucona na ulicę. Na niczym jej już nie zależało.

– Od września nie dostałaś listu od męża.

– To prawda.

– Mówił ci, kiedy wróci?

– Nie. Ale mówił, że wróci.

– A ty mu nadal wierzysz?

– Dlaczego miałby mnie okłamywać?

Frau Schneider załamała ręce, widząc naiwność Anny.

– Masz pieniądze, żeby mi zapłacić czynsz za ostatni tydzień?

– Tak.

– A za następny tydzień? I następny?

– Nie patrzyłam do puszk, Frau Schneider. Zaraz to sprawdzę. – Anna pogrzebała pod materacem i wyjęła puszkę.

Nie musiała mówić gospodyni, że zostało jej niewiele. Kobieta sama zobaczyła, że kiedy dziecko otworzyło puszkę, w jego niebieskich oczach pojawił się strach. Anna wyjęła dwie monety, dała je Niemce i głośno zatrzasnęła puszkę.

– *Danke*. A pieniądze dla położnej? Możesz mi dać? No i jest oczywiście kwestia pogrzebu twojego dziecka. Nadal leży w miejskiej kostnicy. Jeśli nie chcesz, żeby pochowano małą jak żebraczkę, musisz zapłacić za pochówek i za miejsce na cmentarzu.

– Ile to będzie kosztować?

– Nie potrafię ci powiedzieć. Ale prawdę mówiąc, chyba sama wiesz, że więcej, niż masz.

– Tak – przyznała ponuro Anna.

– Nie jestem złym człowiekiem, dziecko, ale też nie jestem święta. Polubiłam cię i wiem, że jesteś dobrą, bogobojną dziewczyną, która wpadła w tarapaty z powodu mężczyzny. Nie jestem też tak bezduszną, by po tym wszystkim, co przeszłaś, wyrzucić cię na ulicę. Ale obie musimy być realistkami. Mieszkasz w najlepszym pokoju, jaki mam do zaoferowania gościom. To, co zarabiałaś u mnie przez tydzień, z trudem starcza na opłacenie dwóch nocy. No i masz jeszcze długi...

Frau Schneider czekała na reakcję, ale w martwych oczach Anny nie zobaczyła najmniejszego poruszenia.

– Proponuję więc, żebyś nadal pomagała mi w pensjonacie i pracowała tu w pełnym wymiarze godzin aż do powrotu męża, jeśli to w ogóle nastąpi. Zamiast pieniędzy dam ci służbówkę przy zmywalni. Do jedzenia będziesz dostawała resztki po gościach ze śniadania i z kolacji. Oprócz tego zapłacę za ciebie położeń i tyle, ile trzeba, żeby twojemu dziecku zapewnić porządny chrześcijański pogrzeb. Co ty na to?

Anna nie była w stanie wykrztusić słowa. Myślenie wykraczało poza zasięg jej możliwości. Automatycznie kiwnęła głową.

– W takim razie postanowione – rzuciła gospodyni. – Jutro przeniesiesz swoje rzeczy do nowego pokoju. Pewien pan chce się tutaj wprowadzić na miesiąc.

Frau Schneider podeszła do drzwi. Dużymi, silnymi dłońmi objęła gałkę, lecz po chwili odwróciła się z kwaśną miną.

– Nie powiesz mi nawet dziękuję, dziecko? Wielu wyrzuciłoby cię do rynsztoka.

– Dziękuję, Frau Schneider – odezwała się Anna posłusznie jak papuga.

Otwierając drzwi, Niemka coś jeszcze burczała. Anna zrozumiała tylko, że nie okazała jej dostatecznej wdzięczności. Zamknęła oczy, by wyprzeć rzeczywistość. Najbezpieczniej jest wycofać się w miejsce, do którego nikt i nic nie ma dostępu.

Na początku grudnia, kiedy nad miastem szalał wiatr, Anna samotnie stała przy grobie córki na Cmentarzu Johannisa i patrzyła na napis:

Solwejga Anna Halvorsen

Nie było już niczego – ani Boga, w którego zawsze wierzyła, ani miłości, dla której wszystko poświęciła, a teraz także jej maleńkiej córki.

*

Przez następne trzy tygodnie Anna jakoś utrzymywała się przy życiu. Pracowała od świtu do zmierzchu, bo Frau Schneider w pełni wykorzystała umowę, którą zawarły w chwili słabości dziewczyny. Sama odpoczywała w swoim prywatnym salonie, a Annie wciąż dokładała obowiązków. W nocy dziewczyna leżała na sienniku w maleńkiej izbie, do której dochodził ze zmywalni smród psującego się jedzenia, a także odchodów z wąskiego ścieku za domem. Była tak zmęczona, że spała i nic jej się nie śniło.

Wszelkie sny i marzenia ją opuściły.

Kiedyś zebrała się na odwagę, by zapytać, jak długo musi jeszcze spłacać swój dług i kiedy zacznie otrzymywać jakieś pieniądze.

– Niewdzięcznica! – odwarknęła ze złością Frau Schneider. – Opiekuję się tobą, zapewniam ci dach nad głową i jedzenie, a ty wciąż chcesz więcej!

Nie, to ona wciąż chce więcej, pomyślała tej nocy Anna. Ostatnio cała robota

w pensjonacie była na jej barkach. Zrozumiała, że musi zacząć szukać innej pracy, za którą dostawałaby choć trochę pieniędzy. Zdjęła suknię i przyjrzała się w lusterku swojej usmolonej twarzy. Pomyślała, że wygląda jak szczur z rynsztoka: na wpół zagłodzona, ubrana w łachmany, śmierdząca... W tym nie miała szans, by ktoś ją zatrudnił.

Pomyślała, by napisać do Frøken Olsdatter, a nawet zdać się na łaskę rodziców. Zapytała w lombardzie, ile by dostała za pióro, które dostała od Larsa, ale nie starczyłoby tego nawet na znaczek do Norwegii.

Poza tym, zostały jej jeszcze resztki dumy. Wiedziała, że wszystkie nieszczęścia sprowadziła na siebie sama i nie zasługuje na współczucie.

Boże Narodzenie przyszło i minęło, a styczniowe mrozy wysały z niej resztki wiary i nadziei. Kiedyś modliła się o wybawienie, ale teraz już tylko o to, by rano się nie obudzić.

– Nie ma Boga, to wszystko kłamstwo... wszystko jest kłamstwem – szeptała do siebie, nim z wyczerpania zapadała w sen.

Pewnego marcowego wieczoru kroїła w kuchni warzywa na kolację dla lokatorów, kiedy weszła bardzo czymś poruszona Frau Schneider.

– Przyszedł do ciebie jakiś pan – oznajmiła.

Anna odwróciła się do niej z wyrazem wielkiej ulgi na twarzy.

– Nie, to nie twój mąż. Czeka na ciebie. Zdejmij fartuch, umyj twarz i przyjdź do mojego salonu.

Z ciężkim sercem Anna zastanawiała się, czy to nie Herr Bayer przyjechał, żeby się z niej pouśmiewać. Nawet jeśli tak, to wszystko mi jedno, pomyślała, idąc korytarzem. Pełna obaw, zapukała do drzwi.

– Frøken Landvik! A raczej powinienem chyba powiedzieć Fru Halvorsen, bo zdaje się, że tak się pani teraz nazywa. Jak się wie dzie mojemu śpiewającemu ptaszkowi?

– Ja... – Anna w absolutnym szoku wlepiła wzrok w mężczyznę. Przyglądała mu się, jakby był eksponatem z muzeum jej poprzedniego życia.

– No, odezwij się, dziecko, odpowiedz coś Herr Griegowi – zgromiła ją Frau Schneider. – Jeśli chce, potrafi się odezwać, i to ostro – dodała złośliwie.

– Tak, zawsze była niezależnym duchem i wiedziała, czego chce. Ale na tym polega artystyczny temperament, madame – odparował kompozytor.

– Artystyczny temperament? – Frau Schneider spojrzała na nią pogardliwie. – Myślałam, że to jej nieobecny mąż jest artystą.

– Mąż pani Halvorsen może i jest dobrym muzykiem, ale prawdziwym talentem w tej rodzinie jest ta oto młoda dama. Czyżby nie słyszała pani, jak śpiewa, madame? Ma najpiękniejszy głos, jaki kiedykolwiek słyszałem, oczywiście z wyjątkiem mojej żony Niny.

Anna cichutko przysłuchiwała się, jak o niej rozmawiają. Z przyjemnością

patrzyła, jak Frau Schneider ze zdziwienia coraz niżej opada szczeka.

– Oczywiście, gdybym wiedziała, zapraszałabym ją do salonu, aby śpiewała dla gości, a ja grałabym na fortepianie. Jestem co prawda amatorką, ale wielce zapaloną. – Frau Schneider wskazała stary instrument, który stał w rogu pokoju. Anna od przyjazdu ani razu nie słyszała, aby gospodyni na nim grała.

– Jest pani z pewnością zbyt skromna, madame. – Edward Grieg skupił się teraz na Annie. – Moje biedne dziecko – powiedział po norwesku, aby Frau Schneider ich nie zrozumiała. – Dopiero niedawno przyjechałem do Lipska i dostałem pani list. Gdybym wiedział, w jakich pani żyje warunkach, przyszedłbym szybciej.

– Herr Grieg, proszę się mną nie przejmować. Radzę sobie.

– Przecież widzę, że nie. To oczywiste. Z przyjemnością pomogę pani we wszystkim, w czym tylko mogę. Czy jest pani coś winna tej nieszczęsnej kobiecie?

– Chyba nie. Od sześciu miesięcy nie dostałam od niej ani grosza, więc na pewno już dawno spłaciłam swoje długi. Ale ona może mieć na ten temat inne zdanie.

– Biedactwo. – Z powodu obecności właścicielki pensjonatu Grieg starał się mówić wesołym tonem. – Za chwilę poproszę o szklankę wody, a pani po nią pójdzie. Proszę spakować wszystkie swoje rzeczy. Kiedy przyniesie mi pani wodę, wróci pani po bagaże i wyjdzie z domu. Proszę na mnie czekać w *Bierkeller* na rogu Elsterstraße. Ja tymczasem zajmę się Frau Schneider – powiedział, po czym zwrócił się do gospodyni: – Właśnie mówiłem Frau Halvorsen, że strasznie męczy mnie pragnienie. Zaproponowała, że przyniesie mi wody.

Frau Schneider kiwnęła głową na zgodę. Anna wyszła z pokoju i szybko przeszła przez zmywalnię, by się spakować. Potem nalała do szklanki wody z dzbanka. Walizkę zostawiła pod drzwiami, a wodę wniosła do salonu.

– Dziękuję pani, moja droga – powiedział Grieg, kiedy podała mu szklankę. – Jestem pewny, że ma pani jakieś obowiązki. Przed wyjściem jeszcze do pani zajrzę. – Mrugnął do Anny i kontynuował przerwana rozmowę z Frau Schneider.

Dziewczyna tymczasem szybko wyszła z salonu, wzięła walizkę i opuściła dom.

Oszołomiona czekała w *Bierkeller* jakieś dwadzieścia minut, aż w końcu zobaczyła na ulicy znajomą sylwetkę swojego wybawcy.

– Mam nadzieję, że pani nieobecny mąż odwdzięczy mi się kiedyś za to, że wynegocjowałam pani wolność, Fru Halvorsen.

– Kazała panu coś zapłacić?

– Nie, musiałem zrobić coś znacznie trudniejszego. Uparła się, żebym zagrał swój *Koncert a-moll* na jej strasznym instrumencie. Powinna go zużyć na opał, żeby w zimie ogrzać swoje grube ciało. Przynajmniej, że jeszcze raz przyjdę jej zagrać, ale na pewno nie spełnię tej obietnicy. A teraz weźmiemy z rynku dorożkę

i pojedziemy na Talstraße. Po drodze opowie mi pani o swoich przejściach z tą straszną kobietą. Zupełnie jakby była pani Kopciuszkiem, a ona złą macochą, która wyгнаła panią na służbę do kuchni. Brakuje tylko dwóch brzydkich sióstr!

Grieg podał Annie dłoń, kiedy wsiadała do dorożki. W tej chwili naprawdę poczuła się jak księżniczka z bajki, którą ratuje książę.

– Jedziemy do domu mojego przyjaciela, wydawcy nut, Maxa Abrahama – oznajmił.

– Spodziewa się mnie?

– Nie, ale moja droga madame, kiedy usłyszysz, co pani wycierpiała, z radością da pani schronienie. W Lipsku zawsze mam u niego do dyspozycji kilka pokoi. Do czasu, aż znajdziemy pani inne lokum, będzie tam pani wygodnie. W razie czego sam mogę spać na fortepianie.

– Ależ nie chcę sprawiać panu kłopotów albo być powodem jakiegokolwiek niewygody.

– Zapewniam panią, że tak nie będzie, droga madame. Tylko żartowałem. – Uśmiechnął się łagodnie. – Max ma mnóstwo wolnych pokoi. Ale jak to się stało, że znalazła się pani w takiej sytuacji? Kiedy widzieliśmy się ostatnio, była pani u szczytu sławy.

– No więc...

– Nie, proszę nic mi nie mówić! – Kompozytor podrapał się po wąsach. – Niech sam zgadnę! Zaloty Herr Bayera stały się dla pani nie do zniesienia. Być może nawet się pani oświadczył. Odmówiła mu pani, bo zakochała się pani w naszym przystojnym, choć nieodpowiedzialnym skrzypku, który ma ambicje, by zostać kompozytorem. Mam rację?

– Proszę się ze mną nie drażnić. – Anna opuściła głowę. – Najwyraźniej zna pan już tę historię. Każde pana słowo jest prawdą.

– Fru Halvorsen... Czy mogę mówić do pani po imieniu?

– Oczywiście.

– O twoim nagłym zniknięciu dowiedziałem się od Herr Hennuma, choć nie zdradził mi szczegółów. Z tego, co słyszałem w Christianii, domyśliłem się, że Herr Bayer miał wobec ciebie zamiary wykraczające poza pomoc w karierze. A twój mąż skrzypek? Nadal jest w Paryżu?

– Tak mi się wydaje. – Anna zastanawiała się, skąd o tym wie.

– I zapewne mieszka u bogatej mecenaski, baronowej von Gottfried?

– Nie wiem, gdzie mieszka. Nie odzywa się do mnie od wielu miesięcy. Nie uważam go już za swojego męża.

– Moja droga Anno – Grieg pocieszającym gestem dotknął jej dłoni – wiele wycierpiałaś. Niestety, baronowa żarliwie poszukuje nowych talentów. Im są młodszy i przystojniejszy, tym lepiej.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie chcę się w to zagłębiać.

– Przepraszam. Byłem mało delikatny. Dobra wiadomość jest jednak taka, że wkrótce pan Jens jej się znudzi i znajdzie sobie kogoś innego. A wtedy mąż do ciebie wróci. – Spojrzał na nią. – Zawsze mówiłem, że masz w sobie ducha Solwejgi. Tak jak ona, czekasz na jego powrót.

– Nie. – Anna przybrała zacięty wyraz twarzy. – Nie jestem Solweją i nie będę czekać, aż Jens do mnie wróci. Nie jest już moim mężem, a ja nie jestem jego żoną.

– Nie mówmy o tym teraz. Ze mną jesteś bezpieczna. Zrobię, co mogę, żeby ci pomóc. – Przerwał, bo dorożka stanęła przed okazałą, białą czteropiętrową kamienicą z oknami o eleganckich łukowatych zwieńczeniach. Anna rozpoznała w niej dom wydawcy, gdzie dawno temu zostawiła list do Griega.

– Dla zachowania konwenansów na razie będzie lepiej, jeśli wszyscy uznają, że wpadłaś w tarapaty, czekając na powrót męża z Paryża. Rozumiesz, Anno? – Przenikliwe oczy kompozytora na moment napotkały jej wzrok. Mocniej uściśnął jej dłoń.

– Tak.

– Proszę, mów do mnie Edward. Już jesteśmy. – Puścił dłoń Anny i wysiedli z dorożki. – Wejźmy do środka.

Nadal czuła się oszołomiona po tym, co ją spotkało. Pokojówka zaprowadziła ją do pięknych pokoi na trzecim piętrze. Anna z rozkoszą zanurzyła się w wannie, by porządnie się wymoczyć. Kiedy zmyła już z siebie brud ostatnich miesięcy, przebrała się w jedwabną suknię, która jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiła się na jej łóżku z baldachimem. O dziwo, szafirowa suknia pasowała na nią jak ulał.

Z podziwem popatrzyła z góry przez duże okno na panoramę Lipska. Otoczona wspaniałościami, szybko zapominała o świecie pensjonatu, w którym żyła jak więzień. Zaproszono ją na dół. Idąc w dół po schodach, myślała o tym, że gdyby nie Herr Grieg, obierałaby teraz marchew na kolację dla gości w zapyziałej kuchni Frau Schneider.

Pokojówka zaprowadziła ją do jadalni. Anna siedziała przy stole między Edwardem – jak miała się teraz do niego zwracać – a Herr Abrahamem, czyli gospodarzem. Kiedy ten drugi witał ją w swoim domu, zobaczyła za okrągłymi okularami błyszczące, dobre, miłe oczy. Przyszli także inni muzycy. Było dużo śmiechu i mnóstwo dobrego jedzenia. Mimo głodu Anna nie mogła dużo jeść – jej żołądek odzwyczaił się od trawienia większych ilości pożywienia. Siedziała więc cichutko i przysłuchiwała się rozmowom. Od czasu do czasu mocno szczypała się w przedramię, by się upewnić, że naprawdę tam jest.

– Ta piękna pani – powiedział Grieg, podnosząc w jej stronę kieliszek szampana – jest najbardziej utalentowaną śpiewaczką Norwegii. Proszę jej się przyjrzeć. To urodzona Solwejga. Już zainspirowała kilka pieśni ludowych, które

w tym roku skomponowałem.

Goście natychmiast poprosili, aby Anna je zaśpiewała przy jego akompaniamencie.

– Może później, moi drodzy, jeśli Anna nie jest zbyt zmęczona. Ma za sobą ciężkie przeżycia. Schwytała ją najgorsza kobieta w Lipsku!

Gdy opowiadał, co jej się przydarzyło, starała się nie okazać nadmiernego wzruszenia trudnymi wspomnieniami.

– Myślałem, że moja muza ulotniła się w powietrzu! A ona cały czas mieszkała tuż pod moim nosem, w Lipsku! – zakończył z szarmanckim ukłonem. – Za Annę!

– Za Annę!

Goście podnieśli kryształowe kieliszki i wypili jej zdrowie.

Po kolacji Edward zaprosił ją do fortepianu i postawił przed nią nuty.

– A teraz, Anno, czy możesz wykrzesać z siebie dość siły, aby zaśpiewać w podziękowaniu za moją bohaterską odsiecz? Pieśń ma tytuł *Pierwszy pierwiosnek*. Jak na razie nikt jej jeszcze nie wykonywał, bo to musiałaś być ty. Chodź. – Gestem wskazał stół przy fortepianie. – Usiądź przy mnie i kilka minut poćwiczymy.

– Proszę pana... Edwardzie – bąknęła. – Od wielu miesięcy nie śpiewałam.

– Więc twój głos odpoczął i wzniesie się do nieba jak ptak. Posłuchaj muzyki.

Anna zrobiła. Nie podobało jej się, że nie są sami i że zamiast w samotności, będzie się myliła przy tak znamienitych gościach. Kiedy Edward powiedział, że są gotowi, zgromadzeni czekali w napięciu.

– Wstań, Anno, żeby lepiej panować nad oddechem. Widzisz słowa przez moje ramię?

– Tak.

– Więc zaczynamy.

Gdy jej wybawiciel zagrał kilka pierwszych taktów, Anna drżała na całym ciele z nerwów. Jej struny głosowe tak długo leżały odłogiem, że nie miała pojęcia, co wydostanie się z jej ust, kiedy je otworzy. I jej obawy nie były nieuzasadnione. Choć kilka pierwszych tonów zaśpiewała czysto, nie panowała nad głosem tak jak kiedyś. Po chwili jednak piękna muzyka wypełniła jej duszę, a wtedy głos nabrał pełni. Przypomniało jej się, jak śpiewała przed publicznością, i nabrała pewności siebie.

– Idealnie, moja droga – pochwalił ją kompozytor. – Wiedziałem, że tak będzie. Wydrukujesz tę pieśń w swoim katalogu, Max?

– Oczywiście, ale jeśli anielska Anna tylko się zgodzi, powinniśmy urządzić w Gewandhaus recital twoich pieśni ludowych. Od razu widać, że były napisane specjalnie na jej głos. – Max Abraham skłonił przed Anną głowę.

– Tak zrobimy – podchwycił Edward i uśmiechnął się do Anny, która starała się opanować ziewanie.

– Widzę, moja droga, że jesteś wyczerpana. Na pewno wszyscy ci wybaczą, jeśli wyjdiesz wcześniej. Z tego, co słyszałem, masz za sobą bardzo ciężkie przejścia – poradził ku jej uldze Max.

Edward wstał i pocałował ją w rękę.

– Dobranoc, Anno.

Kiedy weszła do swojego pokoju na trzecim piętrze, służąca akurat rozpałała ogień. Na dużym małżeńskim łóżku rozłożyła już koszulę nocną.

– Mogę zapytać, czyje to ubrania? – spytała Anna. – Pasują na mnie jak ulał.

– Należą do żony Herr Griega, Niny. Herr Grieg powiedział mi, że nic pani ze sobą nie ma i mam dać pani rzeczy z garderoby jego żony. – Służąca rozpięła suknię i pomogła jej się rozebrać.

– Dziękuję. – Anna zdążyła się już odzwyczaić od tego, że ktoś jej pomaga. – Możesz mnie już zostawić.

– Dobranoc, Frau Halvorsen.

Kiedy służąca wyszła, Anna rozebrała się i włożyła cienką batystową koszulę, a potem z radością wślizgnęła się do świeżej lnianej pościeli.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy gorąco się pomodliła: dziękowała Bogu, którego odrzuciła, i prosiła, by wybaczył jej utratę wiary. W końcu zamknęła oczy, zbyt wyczerpana, by o czymkolwiek więcej myśleć, i głęboko zasnęła.

*

Historia o tym, jak Grieg uratował Annę ze szponów złej Frau Schneider, szybko obiegła Lipsk. W ciągu następnych tygodni znacznie ją jeszcze podkoloryzowano. Potężny nowy mentor Anny oprowadzał ją po najwyższych sferach muzycznych i towarzyskich jak rycerz, a wszystkie drzwi stały przed nimi otworem. Wzięli udział w kilku wspaniałych kolacjach w najpiękniejszych domach Lipska. Po posiłku proszono Annę, by zaśpiewała. Grieg żartobliwie nazywał to „śpiewaniem za kolacją”. Wystąpiła także podczas kilku mniejszych wieczorków muzycznych, w których uczestniczyli również inni śpiewacy i kompozytorzy.

Edward zawsze przedstawiał ją jako „kwintesencję wszystkiego, co w mojej ojczyźnie piękne i czyste”. Śpiewała jego pieśni o krowach, kwiatach, fiordach i górach. Czasami zastanawiała się, czy nie byłoby prościej, gdyby się ubrała w ich flagę narodową, a on machałby nią przed sobą. Nie miała nic przeciwko temu. Czuła się zaszczycona, że wielki kompozytor tak się nią zainteresował. W porównaniu z życiem, jakie wcześniej wiodła w Lipsku, każda sekunda była dla niej cudem.

Minęło kilka miesięcy. Poznała wielu słynnych współczesnych kompozytorów, z których najbardziej spodobał jej się Piotr Czajkowski. Uwielbiała

jego romantyczną, uczuciową muzykę. Muzycy przychodzili w odwiedziny do Maxa Abrahama kierującego firmą C.G. Peters, która rozwinęła się w jedno z najszacowniejszych wydawnictw muzycznych w Europie.

Firma mieściła się w tym samym budynku, więc Anna uwielbiała schodzić na niższe piętra i oglądać nuty, które oprawiano pięknie w charakterystyczne jasnozielone okładki. Podziwiała prace takich kompozytorów jak Bach czy Beethoven. Fascynowały ją także pracujące w piwnicy maszyny drukarskie, w niewiarygodnym tempie wyrzucające z siebie idealnie wydrukowane kartki z nutami.

Powoli, dzięki dobremu jedzeniu, odpoczynkowi, a co najważniejsze, troskliwej opiece wszystkich mieszkańców domu, Anna odzyskiwała siły i pewność siebie. Zdrada Jensa nadal sprawiała jej ogromny ból i doprowadzała ją do białej gorączki, ale Anna starała się, jak mogła, nie myśleć o nim.

W miarę jak zarówno z Niemiec, jak i z zagranicy zaczęła regularnie otrzymywać zaproszenia na recitale, przejęła kontrolę nad swoimi finansami. Postanowiła nigdy więcej nie zależeć od mężczyzny. Oszczędzała każdy zarobiony grosz, mając nadzieję, że kiedyś będzie ją stać na własne mieszkanie. Edward zachęcał ją, wspierał, a co więcej, coraz bardziej się do siebie zbliżali.

Czasami, kiedy Anna budziła się po północy, z dolnego piętra słyszała tęskne dźwięki fortepianu, na którym komponował prawie do rana.

Pewnej wiosennej nocy była tak umęczona wciąż dręczącym ją obrazem zmarłej córeczki, która leżała sama w ziemi, że zeszła na dół i usiadła na ostatnim schodku przed salonem. Chciała posłuchać melancholijnej melodii, którą grał Edward. Do oczu napłynęły jej łzy, oparła głowę na dłoniach i rozplakała się, pozwalając, by ból po stracie dziecka wypłynął z niej wraz ze łzami.

– Co się stało, moja droga?

Podskoczyła, czując na ramieniu czyjąś dłoń. Uniosła głowę i zobaczyła, że z góry patrzą na nią łagodne, niebieskie oczy Edwarda.

– Wybacz mi. To twoja muzyka tak mnie poruszyła – powiedział.

– Myślę, że to coś więcej. Chodź. – Zaprowadził ją do salonu i zamknął za nimi drzwi. – Usiądź tu koło mnie i wytrzymaj oczy. – Podał jej dużą jedwabną chusteczkę.

Współczucie Edwarda wywołało w Annie następną falę łez. Nie była w stanie się opanować. W końcu ze wstydem podniosła na niego wzrok. Czując, że jest mu winna wyjaśnienie, wzięła głęboki oddech i opowiedziała mu o stracie dziecka.

– Kochana, biedna dziewczyno. Tyle musiałaś wycierpieć, i to całkiem sama. Nie wiem, czy wiesz, ale ja też straciłem dziecko... Alexandra miała dwa lata, kiedy umarła. Była najdroższym, najcenniejszym skarbem, jaki w życiu miałem. Jej utrata złamała mi serce. Jak ty, straciłem wiarę w Boga i w ogóle w życie. No i,

niestety, miało to wpływ na moje małżeństwo. Nina nie potrafiła się pogodzić ze śmiercią córki. Od tej pory nie potrafimy się nawzajem pocieszyć.

– To przynajmniej zostało mi oszczędzone – skomentowała Anna, a Edward się roześmiał.

– Bardzo się do ciebie przywiązałem, Anno. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak podziwiam twój ducha i niezłomną odwagę. Oboje poznaliśmy głęboką rozpacz. Mogę ci tylko powiedzieć, że musimy szukać ukojenia w muzyce. A być może – popatrzył jej w oczy i ujął jej dłonie – także w sobie nawzajem.

– Tak, Edwardzie – powiedziała, dokładnie rozumiejąc, o co mu chodzi. – Myślę, że tak.

*

Rok później, z pomocą Edwarda Griega, Annie udało się wyprowadzić z Talstraße do własnego, wygodnego domu przy Sebastian-Bach-Straße, w jednej z lepszych dzielnic Lipska. Wszędzie jeździła powozem i rezerwowano dla niej najlepsze stoliki w najbardziej ekskluzywnych restauracjach w mieście. Jej sława w Niemczech rosła. Jeździła z Edwardem na recitale do Berlina, Frankfurtu i wielu innych miast. Oprócz tego, że śpiewała utwory Griega, jej repertuar obejmował także *Arię z dzwoneczkami* z nowej opery *Lakmé* i arię Joanny D’Arc z jej ulubionej opery Czajkowskiego *Dziewica Orleańska*.

Wyjechała nawet do Christianii na recital w teatrze, w którym zaczynała karierę. Napisała przedtem do rodziców i do Frøken Olsdatter, by zaprosić ich na przedstawienie. Załączyła też korony na dojazd i zamówiła dla nich pokój w Grand Hotelu, w którym sama się zatrzymała.

Czując się winna wielkiego zawodu, jaki im sprawiła, czekała na ich odpowiedź pełna obaw. Niepotrzebnie się martwiła. Wszyscy przyjęli zaproszenie, a ich spotkanie było ciepłe i radosne. Na uroczystej kolacji po recitalu Frøken Olsdatter cichutko powiedziała jej, że niedawno zmarł Herr Bayer. Anna wyraziła swoje kondolencje i poprosiła Frøken Olsdatter, by pojechała z nią do Lipska i została jej gospodynią.

Lise się zgodziła, co bardzo Annę ucieszyło; zależało jej na tym, by mieć w domu kogoś, komu może bezgranicznie zaufać.

O swym wiarołomnym mężu myślała jak najmniej. Wiedziała, że baronowa bywa w Lipsku, a plotki głosiły, że promuje nowego młodego kompozytora. O Jensie nikt od lat nie słyszał. Edward czasem żartował, że zniknął w rynsztokach Paryża jak szczur. Anna modliła się, żeby nigdy już nie pojawił się w jej życiu, bo choć odbiegało ono od konwencji, była szczęśliwa.

Tak funkcjonowała do czasu, kiedy zimą 1883 roku Edward przyjechał do Lipska na jej pilne listowne wezwanie.

– Rozumiesz, co musimy zrobić, *kjære*? Dla nas wszystkich?

– Tak, rozumiem – odpowiedziała, z rezygnacją zaciskając usta.

*

Była wiosna 1884 roku. Pokojówka zastukała do drzwi salonu z wiadomością, że jakiś mężczyzna koniecznie chce się zobaczyć z Anną.

– Mówiłam mu, żeby przeszedł do wejścia dla dostawców, on nie chce się jednak ruszyć, dopóki nie zobaczy się z panią. Frontowe drzwi są zamknięte na klucz, ale usiadł na progu. – Pokojówka wskazała skuloną postać przez duże okno. – Wezwiemy policję, Frau Halvorsen? Wygląda na żebraka, złodzieja albo i jeszcze gorzej!

Anna wolno podniosła się z szeslongu, na którym odpoczywała, i podeszła do okna. Na progu przy głównym wejściu siedział mężczyzna z głową schowaną w dłoniach.

Serce skoczyło jej do gardła. Poprosiła Boga, aby jeszcze raz dał jej siłę. Tylko On wiedział, jak to zniesie, ale w obecnych okolicznościach nie miała innego wyjścia.

– Proszę, natychmiast go wpuść. Wydaje mi się, że wrócił mój mąż.

Ally

Bergen, Norwegia

Wrzesień 2007

W grocie Króla Gór



O powrocie Jensa do Anny przeczytałam z mocniej bijącym sercem. Szybko przewinęłam parę stron, żeby się zorientować, co stało się potem. Ale Jens opuścił relację o następnych kilku miesiącach, które z pewnością były dla nich męką. Skupił się dopiero na przeprowadzce do Bergen. Rok później zamieszkali tam w domu o nazwie Froskehuset, niedaleko Troldhaugen – majątku Griega. Pisał też o premierowym wykonaniu utworów jego kompozycji w Bergen. Tę część książki pominęłam i skupiłam się dopiero na nocie od autora na ostatniej stronie:

Książkę tę dedykuję mojej wspaniałej żonie, Annie Landvik Halvorsen, która na początku tego roku tragicznie zmarła w wieku pięćdziesięciu lat na zapalenie płuc. Gdyby mi nie wybaczyła i nie przyjęła mnie wiele lat po tym, jak ją opuściłem, pochłonęłyby mnie rynsztoki Paryża. Dzięki jej przebaczeniu wiedliśmy szczęśliwe życie razem z naszym synem Horstem.

Anno, mój aniele, moja muzo... nauczyłaś mnie wszystkiego, co ma w życiu znaczenie.

Kocham Cię i tęsknię za Tobą

Twój Jens

Zamknęłam laptop z uczuciem niepokoju i zdumienia. Nie byłam w stanie uwierzyć, że Anna, z jej silnym charakterem i niezłomnymi zasadami moralnymi, które pomogły jej przetrwać krzywdę wyrządzoną przez Jensa, tak łatwo mu wybaczyła i zgodziła się, by znów był jej mężem.

– Wyrzuciłabym go na pysk i rozwiodłabym się z nim – powiedziałam do ścian, bo koniec niewiarygodnej historii Anny bardzo mnie zirytował. Wiedziałam, że w tamtych czasach panowały inne obyczaje, ale nie mogłam się pogodzić z tym, że Jensowi Halvorsenowi, czyli żywemu uosobieniu Peer Gynta, niesprawiedliwie się upiekło.

Spojrzałam na zegarek, zobaczyłam, że jest już po dziesiątej w nocy, i wstałam, by iść do łazienki i zagotować sobie wodę na herbatę.

Zasunęłam ciężkie zasłony, odgradzając się od migoczących świateł portu w Bergen. Ciekawe, czy i ja byłabym w stanie wybaczyć Theo, gdyby mnie opuścił. Choć właściwie, w pewnym sensie, to zrobił, i to najstraszniej, jak można, nieodwołalnie. Musiałam przyznać, że naprawdę byłam o to zła na cały świat i jeszcze mu nie wybaczyłam. Nasza sytuacja różniła się jednak od losów Anny i Jensa, bo moje życie z Theo zostało przerwane, zanim się zaczęło, choć żadne z nas nie ponosiło za to winy.

Postanowiłam się nie rozckliwiać, więc zabrałam się do sprawdzania maili. Jednocześnie rzuciłam się na owoce, które stały w misce, bo byłam zbyt zmęczona,

żeby zejść na dół, a po dziewiątej nie przynoszono kolacji do pokoju. Dostałam wiadomości od mamy, Mai i jedną od Tiggy, która napisała, że o mnie myśli. Odezwał się także Peter, ojciec Theo, z wiadomością, że znalazł książkę Thoma Halvorsena; pytał, na jaki adres ją wysłać. Poprosiłam, żeby wysłał ją kurierem FedExu do hotelu w Bergen, i postanowiłam zostać, dopóki nie dostarczą mi przesyłki.

Jutro poszukam domu Jensa i Anny. Może wybiorę się też do Erlinga, miłego kustosza z Muzeum Griega. Chętnie usłyszałabym coś więcej o Halvorsenach. Chociaż moje poszukiwania na razie spełzły na niczym, podobało mi się w Bergen.

Nagle zadzwonił telefon przy łóżku, tak ostro, że aż podskoczyłam.

– Halo?

– Mówi Willem Caspari. Dobrze się czujesz?

– Tak, dziękuję.

– To się cieszę. Zjadłabyś jutro ze mną śniadanie? Chciałbym ci przedstawić pewien pomysł.

– Mmmm... Dobrze.

– Świetnie. Śpij dobrze.

Rozmowa gwałtownie dobiegła końca. Odłożyłam słuchawkę, nie do końca zadowolona z tego, że przystałam na jego prośbę. Usiłowałam dociec, dlaczego mam tak mieszane uczucia, i w końcu uświadomiłam sobie, że gnębi mnie poczucie winy, bo Willem pociągał mnie fizycznie. Chociaż głowa i serce zabraniały mi tego, ciało nie było im posłuszne i reagowało tak, jak miało ochotę. Ale przecież nie umówiliśmy się na randkę. A co ważniejsze, on najwyraźniej jest gejem, bo wspomniał przecież o swoim partnerze, Jacku.

Przygotowując się do snu, zachichotałam w głębi serca. Nawet jeśli trochę mi się podobał, to i tak byłam z nim bezpieczna. Chodziło pewnie głównie o to, że jest uzdolnionym pianistą, a jak wiadomo, talent jest potężnym afrodyzjakiem, więc wybaczyłam sobie, że ulegam czarowi Willema.

*

– I co o tym myślisz? – Następnego dnia przy śniadaniu przenikliwe turkusowe oczy Willema szukały odpowiedzi w moich oczach.

– Kiedy jest ten recital?

– W sobotę wieczorem. Ale grałaś już kiedyś ten utwór i mamy cały tydzień na ćwiczenie.

– Boże... to było dziesięć lat temu. Twoja propozycja bardzo mi pochlebia, ale...

– *Sonata na flet i fortepian* jest taka piękna. A ja nie zapominałem, jak ją grałaś w konserwatorium. Skoro po dziesięciu latach pamiętam ciebie i twoje

wykonanie, musiało być znakomite.

– Moje osiągnięcia nie umywają się do twoich – próbowałam protestować. – Sprawdziłam cię w internecie: jesteś naprawdę wielki. W zeszłym roku grałeś w Carnegie Hall. Bardzo ci dziękuję za propozycję, ale nie.

Przyjrzał się mnie i mojemu nietkniętemu śniadaniu. Naprawdę źle się czułam.

– Denerwujesz się, prawda?

– Oczywiście, że tak! Wyobrażasz sobie, w jakiej byś był formie, gdybyś przez dziesięć lat nie dotknął fortepianu?

– Tak, ale grałbym wtedy z nową energią. Przestań tchórzyć i przynajmniej spróbuj. Przyjdź do sali koncertowej po moim popołudniowym koncercie i razem zagramy ten utwór. Jestem pewny, że Erling nie będzie miał nic przeciwko temu, chociaż może uznać, że granie Francisa Poulenca w miejscu związanym z Griegiem to świętokradztwo. Teatr Logen, gdzie w sobotę odbędzie się recital, jest piękny. Byłaby to dla ciebie okazja, żeby spokojnie i w przyjaznym otoczeniu wrócić do grania.

– Zmuszasz mnie, Willem. – Byłam już na krawędzi łez. – Dlaczego tak ci na tym zależy?

– Gdyby po traumie, którą przeżyłem, ktoś mnie nie zmusił, żebym usiadł przy fortepianie, prawdopodobnie nigdy nie zagrałbym już ani jednego dźwięku. Można powiedzieć, że oddaję dług karmiczny. Proszę cię.

– No dobrze, przyjadę po południu do Troidhaugen i spróbuję – zgodziłam się, czując, że zostałam postawiona pod ścianą.

– Wspaniale. – Willem aż klasnął z radości.

– Pewnie się przerazisz, kiedy mnie usłyszysz. Grałam co prawda na pogrzebie Theo, ale to coś zupełnie innego.

– Po czymś takim recital będzie dla ciebie bułką z masłem. W takim razie – wstał od stołu – do zobaczenia o trzeciej.

Przyglądałam się, jak odchodzi. Sądząc po jego szczupłej sylwetce, trudno byłoby przypuszczać, że zjadł tak ogromne śniadanie. Widocznie funkcjonował na adrenalinie. Dziesięć minut później wróciłam do pokoju, nieśmiało otworzyłam futerał z fletem i popatrzyłam na instrument jak na wroga.

– Co ja takiego zrobiłam? – mruknęłam pod nosem. Wyjęłam części fletu i złożyłam instrument, wolno je skręcając i odpowiednio ustawiając. Nastroiłam flet i zagrałam kilka szybkich gam, po czym spróbowałam odtworzyć z pamięci początek sonaty. Jak na pierwszy raz, nie poszło mi źle, pomyślałam. Automatycznie wytarłam instrument, żeby pozbyć się wilgoci, oczyściłam go pod kłapami i odłożyłam na miejsce.

Potem poszłam na spacer wzdłuż wybrzeża. W drewnianym kiosku kupiłam sobie norweski sweter rybacki, bo spadła temperatura, a w plecaku miałam tylko

letnie ubrania.

Wróciłam do hotelu po flet i pojechałam taksówką w góry. Zapytałam kierowcę, czy zna dom o nazwie Froskehuset, znajdujący się przy tej samej drodze co Muzeum Griega. Powiedział, że nie, ale przejeżdżając, możemy przyjrzeć się nazwom domów. I znaleźliśmy go. Stał zaledwie kilka minut spacerkiem od muzeum. Odprawiłam taksówkę i przyjrzałam się ślicznemu drewnianemu domkowi. Zbudowano go zgodnie z tutejszą tradycją i pomalowano na kremowo. Kiedy podeszłam do bramy, stwierdziłam, że posiadłość jest zaniedbana. Ze ścian obłaziła farba, a ogrodem chyba nikt się nie zajmował. Krążyłam wokół niego, czując się jak włamywacz, który planuje skok. Zastanawiałam się, kto tam teraz mieszka i czy mogę zapukać do drzwi, żeby się tego dowiedzieć. Zrezygnowałam jednak i ruszyłam w górę, w stronę Muzeum Griega.

Skierowałam się do kawiarni, chociaż czułam lekkie mdłości. Od śmierci Theo kompletnie straciłam apetyt i sporo schudłam. Nie byłam głodna, ale zamówiłam kanapkę z tuńczykiem i zmusiłam się do zjedzenia jej.

– Cześć, Ally. – Erling uśmiechnął się do mnie i podszedł do kąta, w którym siedziałam, żeby się przywitać. – Słyszałem, że po koncercie macie naprędce zaimprovizowaną próbę?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu...

– Nigdy nie mam nic przeciwko temu, żeby ktoś tu pięknie grał – zapewnił.

– Przeczytałaś coś jeszcze z biografii Jensa Halvorsena?

– Tak. Skończyłam ją w nocy. Przed chwilą obejrzałam dom, w którym kiedyś mieszkał z Anną.

– Teraz mieszka tam Thom Halvorsen, jego biograf i praprawnuk. Myślisz, że jest szansa, żebyś była spokrewniona z Halvorsenami?

– Nawet jeśli tak, to nie wiem, w jaki sposób. Przynajmniej na razie.

– Może Thom będzie w stanie cię oświecić. Pod koniec tygodnia wraca z Nowego Jorku. Idziesz na popołudniowy koncert Willema?

– Tak. Willem jest bardzo utalentowany, prawda?

– Z pewnością. Może już ci mówił, że kilka lat temu przeżył wielką tragedię osobistą. Po niej chyba zaczął grać jeszcze lepiej. Takie wydarzenia albo człowieka zabijają, albo leczą. Wiesz, o co mi chodzi?

– Tak – odpowiedziałam z przekonaniem.

– To do zobaczenia na koncercie, Ally. – Erling skinął głową i odszedł.

Pół godziny później znów znalazłam się w sali koncertowej Trolsalen i słuchałam gry Willema. Tym razem wykonywał nieco mniej znany utwór Griega *Nastroje*, który kompozytor napisał pod koniec życia, kiedy z powodu choroby prawie nie opuszczał posiadłości, ale nadal, choć z trudem, chodził do chaty nad jeziorem, aby komponować. Willem grał wyśmienicie. Uznałam, że pomysł wspólnego występu z tak wybitnym pianistą jest szaleństwem, i głowiłam się,

dlaczego mi to zaproponował.

Kiedy z sali wyszła zachwycona publiczność, Willem dał mi znak, żebym przyszła na scenę. Podeszłam do niego potwornie zdenerwowana.

– Nigdy jeszcze tego nie słyszałam. Wspaniały utwór, grałeś przepięknie – powiedziałam.

– Dziękuję. – Skłonił głowę, a potem uważnie mi się przyjrzał. – Jesteś blada jak ściana! Bierzmy się do gry, zanim stchórzysz i mi uciekniesz, co?

– Ale nikt tu nie wejdzie? – Zerknęłam na drzwi z tyłu audytorium.

– Ally! Nie mów mi, że wpadasz w taką paranoję jak ja!

– Przepraszam – mruknęłam. Wyjęłam flet i złożyłam go.

Willem dał znak, żebyśmy zaczęli. Byłam dumna, że udało mi się zagrać cały dwunastominutowy utwór bez pominięcia ani jednej nuty, ale w dużej mierze zawdzięczałam to wspaniałemu, intuicyjnemu akompaniamentowi Willema i niewiarygodnemu brzmieniu fortepianu Steinwaya.

Willem nagroził mnie oklaskami, które rozległy się głośnym echem w pustym audytorium.

– Jeśli tak grasz po dziesięciu latach, to chyba każę im podwoić ceny biletów na sobotni recital.

– Jesteś bardzo miły, lecz daleko mi do perfekcji.

– To prawda, ale jak na początek poszło ci fantastycznie. A teraz zagrajmy trochę wolniej. W paru miejscach musimy poprawić rytm.

Przez następne pół godziny ćwiczyliśmy każdą z trzech części utworu oddzielnie.

W końcu spakowałam flet. Szykowaliśmy się do wyjścia z audytorium, kiedy przyszło mi do głowy, że od czterdziestu pięciu minut ani razu nie pomyślałam o Theo.

– Wracasz do miasta? – zapytał mnie Willem.

– Tak.

– To wezwę taksówkę.

W drodze powrotnej do centrum Bergen podziękowałam mu i potwierdziłam, że zagram z nim na sobotnim koncercie.

– Naprawdę się cieszę – odpowiedział, z roztargnieniem spoglądając przez okno. – Bergen jest niezwykle, prawda?

– Tak. Ja też to czuję.

– Jednym z powodów, dla których zgodziłem się zagrać na tych koncertach w Troidhaugen, jest propozycja stałego angażu w Orkiestrze Filharmonii w Bergen. Przyjechałem zobaczyć, jak tu jest, bo musiałbym opuścić swoje schronienie w Zurychu i właściwie na stałe przeprowadzić się do Bergen. A po tym, co ci wczoraj opowiedziałem, wiesz, że byłoby to dla mnie dużym wyczynem.

– Czy mieszkaliście razem w Zurychu?

– Tak. Może czas zacząć nowy rozdział. A Norwegia jest przynajmniej czysta – dodał z poważną miną.

– To prawda. – Roześmiałam się. – I ludzie są bardzo mili. Chociaż chyba trudno nauczyć się norweskiego.

– Jestem szczęściarzem. Mam dobre ucho. Dźwięki i języki, od czasu do czasu jakaś łamigłówka matematyczna... w tym czuję się najlepiej. A poza tym, każdy zna tu angielski.

– Tutejsza orkiestra miałyby wielkie szczęście, gdybyś do niej dołączył.

– Dziękuję. – Odwdzięczył mi się bardzo u niego rzadkim uśmiechem. – Co robisz wieczorem? – zapytał, kiedy dojechaliśmy do hotelu i weszliśmy do środka.

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

– Pójdiesz ze mną na kolację?

Natychmiast zauważył moje wahanie.

– Przepraszam, pewnie jesteś zmęczona. W takim razie do zobaczenia jutro o trzeciej. Do widzenia.

Szybko odszedł, zostawiając mnie na środku holu samą, zmieszaną i z poczuciem winy. Ale naprawdę niezbyt dobrze się czułam, co nie było do mnie podobne. Wróciłam do pokoju i położyłam się na łóżku. Ze smutkiem pomyślałam, że ostatnio często nie zachowuję się jak dawna Ally.

Musiałam sobie kupić w Bergen coś skromnego i eleganckiego na występ. Wkładając prostą, czarną sukienkę, odgoniłam od siebie myśl, że niedawno miałam podobną na pogrzebie Theo. Pomalowałam rzęsy, ale po chwili poczułam taki przypływ adrenaliny, że musiałam nachylić się nad toaletą, bo myślałam, że zwymiotuję. Wytarłam załzawione oczy i wróciłam do lustra, żeby poprawić oczy i pomalować usta szminką. Wzięłam futerał z fletem i płaszcz, wyszłam z pokoju i zjechałam windą, żeby spotkać się na dole z Willemem.

Nie dość, że trochę szwankowało mi zdrowie, to po tym, jak odrzuciłam zaproszenie Willema na kolację, niezbyt komfortowo z nim się czułam. Od tamtej pory podczas naszych wspólnych ćwiczeń emanował od niego wyraźny chłód. Podczas prób i drogi taksówką do sali koncertowej i z powrotem do hotelu rozmawialiśmy prawie wyłącznie o muzyce.

Drzwi windy się otworzyły i zobaczyłam, jak czeka na mnie przy recepcji. W muszce i smokingu wyglądał bardzo przystojnie. Czułam się trochę tak jak na początku mojej znajomości z Theo, zanim zostaliśmy parą, i coś mi mówiło w głębi duszy, że Willem zdecydowanie nie jest gejem.

– Ładnie wyglądasz – powiedział, podchodząc do mnie.

– Dziękuję, ale wcale tego nie czuję.

– Kobiety chyba nigdy tego nie czują – odpowiedział szorstko.

Wyszliśmy z hotelu i wsiedliśmy do zamówionej przez niego taksówki. W drodze milczeliśmy. Peszyło mnie panujące między nami napięcie. Willem był sztywny i niespokojny.

Po przyjeździe do teatru Logen znalazł organizatorkę, która czekała na nas w foyer.

– Wejdźcie, wejdźcie – zaprosiła nas do oświetlonej żyrandolami eleganckiej wysokiej sali z rzędami krzeseł i wąskim balkonem.

Na scenie nie stało nic oprócz fortepianu i pulpitu dla mnie. Oświetleniowcy byli w trakcie ostatnich przygotowań do koncertu: włączali i wyłączali reflektory.

– Zostawię was na chwilę, żebyście mogli poznać akustykę sali – powiedziała organizatorka. – Publiczność zacznie wchodzić piętnaście minut przed koncertem, więc macie pół godziny.

Willem podziękował jej, wszedł po schodkach na scenę i podszedł do fortepianu. Podniósł wieko i przebiegł palcami po klawiaturze.

– Steinway B. – Westchnął z ulgą. – Ma dobry dźwięk. No to szybciotka próba.

Wyjęłam flet z futerału. Zauważyłam, że kiedy go składam, trzęsą mi się palce. Zagraliśmy sonatę; potem ja poszłam do toalety, a Willem ćwiczył swoje utwory solo. Znowu o mało nie zwymiotowałam, a myjąc twarz zimną wodą,

skrzywiłam się na widok swojego bladego jak duch odbicia w lustrze. Oto kobieta, która bez żadnych sensacji wytrzymuje najgorsze burze na morzu. Tymczasem na łodzi czuje się jak nowicjuszka podczas pierwszego sztormu tylko dlatego, że przez dwanaście minut ma występować przed widownią.

Po powrocie za kulisy spojrzałam na salę i zobaczyłam, że zaczyna się wypełniać ludźmi. Zerknęłam na Willema, który zdawał się wykonywać jakiś rytuał: mruczał coś pod nosem, chodził w tę i we w tę i ćwiczył palce. Zostawiłam go w spokoju. Niestety, *Sonata na flet i fortepian* była przedostatnim punktem recitalu, co znaczyło, że będę musiała w nerwach czekać na zapleczu.

– Wszystko w porządku? – szepnął do mnie Willem, kiedy usłyszeliśmy, że prowadzący koncert przedstawia go i czyta najbardziej imponujące fakty z jego biografii.

– Tak, dziękuję. – Przez salę przeszła fala oklasków.

– Chciałbym cię przeprosić za to moje aroganckie zaproszenie na kolację. Zważywszy na okoliczności, zachowałem się całkiem nie na miejscu. Wiem, w jakim jesteś stanie emocjonalnym. Od tej pory obiecuję to szanować. Mam nadzieję, że możemy być przyjaciółmi.

Nie czekając na moją odpowiedź, wyszedł na scenę, ukłonił się i usiadł przy fortepianie. Zaczął od szybkiej i skomplikowanej technicznie *Etiudy Ges-dur* op. 10 nr 5 Chopina.

Słuchając jego gry, rozmyślałam o tym, jak zawiły jest ten taniec, który odbywa się między mężczyznami a kobietami. Kiedy ostatnie dźwięki utworu wypełniały salę, przyznałam, że w głębi duszy poczułam się zawiedziona nadzieją Willema, że zostaniemy przyjaciółmi. A także winna, bo tak mi się spodobał. Co by powiedział Theo na ten zamęt w mojej głowie?

Czekanie za kulisami strasznie się dłużyło, więc nerwowo przechadzałam się po ciasnym pomieszczeniu. W końcu usłyszałam, że Willem mnie przedstawia, więc wyszłam na scenę. Szeroko uśmiechnęłam się do niego w podziękowaniu za sympatyczne wsparcie w ciągu ostatnich kilku dni. Potem przyłożyłam flet do ust, wskazałam, że jestem gotowa, i zaczęliśmy grać.

Kiedy skończył swój ostatni utwór, znowu wyszłam na scenę. Czułam się dziwnie, kiedy razem kłanialiśmy się publiczności. Organizatorzy wręczyli mi nawet bukiet.

– Dobrze, Ally. Świetnie ci poszło. A właściwie lepiej niż świetnie – pogratulował mi Willem, kiedy zesliśmy ze sceny.

– To ty byłeś wspaniały.

Odwróciłam się, bo usłyszałam znajomy głos, i zobaczyłam Erlinga, kuratora z Muzeum Griega. Po jego bokach stali dwaj mężczyźni.

– Dobry wieczór – przywitałam go z uśmiechem. – I dziękuję.

– Ally, to Thom Halvorsen, praprawnuk i biograf Jensa Halvorsena. Oprócz

tę jest też skrzypkiem wirtuozem i asystentem dyrygenta Orkiestry Filharmonii w Bergen. Pozwól też, że przedstawię ci szefa orkiestry, Davida Stewarta.

David Stewart zwrócił się do Willema, a Thom zaczął rozmawiać ze mną.

– Miło cię poznać, Ally – powiedział. – Erling mówił mi, że poszukujesz informacji o moich prapradziadkach?

Spojrzałam na niego i pomyślałam, że skądś go znam, ale nie byłam w stanie powiedzieć skąd. Miał typowe dla Norwegów rudawe włosy, piegi na nosie i duże niebieskie oczy.

– Tak, to prawda.

– Z chęcią pomogę ci, w czym tylko będę mógł. Ale wybacz, jeśli dzisiaj wydam ci się trochę nierozgarnięty. Dopiero co przyleciałem z Nowego Jorku. Erling odebrał mnie z lotniska i przywiózł prosto tutaj, na koncert Willema.

– Wszystko przez różnicę czasu – rzuciliśmy oboje naraz, a po chwili uśmiechnęliśmy się do siebie z zawstydzaniem. – To prawda – dodałam.

– Niestety, muszę już pędzić, więc się z wami żegnam – powiedział David Stewart, odwracając się w moją stronę. – Thom, zadzwoń do mnie, jeśli wiadomość będzie dobra. – Skłonił się lekko i nas opuścił.

– Może już wiesz, Ally, że staramy się namówić Willema, by dołączył do naszej orkiestry – odezwał się Thom. – Podjąłeś już może decyzję?

– Mam jeszcze kilka pytań – odparł Willem.

– W takim razie proponuję, żebyśmy przeszli na drugą stronę ulicy i coś zjedli i wypili w restauracji. Dołączycie do nas? – spytał Erling i mnie.

– Jeśli masz ważne sprawy do omówienia z Willemem, to nie będziemy przeszkadzać – odpowiedział za nas oboje Erling.

– Myślę, że wystarczy proste „tak” od Willema i z hukiem otworzymy szampana.

Dziesięć minut później wszyscy siedzieliśmy przy świecach w przytulnej restauracji. Thom i Willem nachylili się nad stołem i pochłonęła ich rozmowa.

– Ty też jesteś muzykiem? – zwróciłam się do siedzącego naprzeciwko mnie Erlinga.

– Tak. Podobnie jak Thom pochodzę z muzycznej rodziny. Gram na wiolonczeli z małą orkiestrą tu, w Bergen. To niezwykle muzyczne miasto. Tutejsza filharmonia ma jedną z najstarszych orkiestr świata.

– No to jak? – przerwał nam Thom. – Możemy wreszcie zamówić szampana! Willem zgodził się u nas pracować.

– Ja za szampana dziękuję – rzucił stanowczo Willem. – Po dziewiątej nigdy nie pijam alkoholu.

– Jeśli się przeprowadzasz do Norwegii, naucz się – drażnił się z nim Thom. – Bez tego nie da się przetrwać naszej długiej zimy.

– No, może wypiję z wami, żeby uczcić tę okazję – wspaniałomyślnie

zgodził się Willem, kiedy pojawił się kelner z butelką.

– Za Willema! – wznieśliśmy chóralny toast. Tymczasem przyniesiono nam jedzenie.

– Po kieliszku szampana jestem znacznie przytomniejszy. – Thom uśmiechnął się do mnie. – Opowiedz mi o swoim związku z Jensem i Anną Halvorsenami.

Pokrótkce wyjaśniłam mu historię, czyli opowiedziałam o tym, jak chcąc pomóc mi odszukać moje korzenie, Pa Salt zostawił mi między innymi napisaną przez Jensa Halvorsena biografię jego żony Anny i współrzędne na sferze armilarnej, które zaprowadziły mnie najpierw do Oslo, a następnie do Bergen i Muzeum Griega.

– Fascynujące – mruknął, przyglądając mi się uważnie. – Może jesteśmy jakoś spokrewnieni. Chociaż, szczerze mówiąc, na razie nie przychodzi mi do głowy, jak to możliwe, a niedawno badałem przecież historię mojej rodziny.

– Ja również tego nie wiem. – Nagle poczułam się niezręcznie. Nie chciałam, by pomyślał, że jestem jakąś łowczynią majątku czy złodziejką genów. – A tak w ogóle, to zamówiłam twoją książkę. Jest już w drodze ze Stanów.

– Bardzo miło z twojej strony, ale jeślibyś chciała, to oczywiście mam w domu zapasowy egzemplarz.

– Dziękuję. Na pewno poproszę cię o autograf, kiedy przyjdzie moja książka. Ale skoro mam cię tu żywego, może będziesz w stanie trochę mi pomóc. Czy wiesz, co stało się z rodziną Halvorsenów później? Jens skończył na tym, jak wrócił do Anny.

– Tak. Mniej więcej. Niestety, nie są to piękne karty w historii ludzkości, bo obejmują dwie wojny. W pierwszej wojnie światowej Norwegia była neutralna, ale w drugiej bardzo ucierpiała w czasie niemieckiej okupacji.

– Nie wiedziałam nawet, że Norwegia w ogóle była pod okupacją – wyznałam. – W szkole nie byłam najlepsza z historii. Właściwie nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jaki wpływ miała druga wojna światowa na mniejsze kraje leżące z dala od głównych graczy. A zwłaszcza na taki spokojny zakątek świata przytulony gdzieś daleko do jego szczytu.

– W szkole przeważnie uczymy się historii naszego własnego kraju. Gdzie się wychowałeś?

– W Szwajcarii – odparłam, podnosząc na niego wzrok. – W neutralnej Szwajcarii – dodałam, a on mi zawtórował.

– Niemcy napadły na Norwęgę w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. A tak w ogóle to Szwajcaria bardzo przypominała mi Norwęgę, kiedy kilka lat temu byłam tam z koncertem. I nie chodzi mi tylko o śnieg. Oba kraje są jakby nieco oddzielone od reszty świata.

– Tak – zgodziłam się. Przyglądałam się Thomowi, kiedy jadł, i starałam się

odgadnąć, dlaczego wydaje mi się tak znajomy. W końcu doszłam do wniosku, że pewnie chodzi o podobieństwa do zdjęć jego przodków. – Więc Halvorsenowie przetrwali wojny?

– To bardzo smutna historia i w tej chwili zdecydowanie zbyt skomplikowana dla mojego niewyspanego mózgu. Ale możemy się kiedyś spotkać i opowiem ci ją. Może jutro, u mnie w domu? Kiedyś mieszkali tam także Jens i Anna. Pokażę ci, gdzie spędzili jedne z najszcześniejszych chwil swego związku. – Tom zrobił zagadkową minę, a mnie przeszedł dreszcz oczekiwania.

– Kilka dni temu obejrzałam ten dom w drodze do Troidhaugen.

– Więc wiesz, gdzie to jest. A teraz wybac mi, Ally, ale naprawdę muszę iść spać. – Thom wstał i zwrócił się do Willema. – Życzę ci bezpiecznej podróży do Zurychu. Ktoś z administracji filharmonii na pewno skontaktuje się z tobą w sprawie kontraktu. Zadzwoń do mnie, jeśli jeszcze coś przyjdzie ci do głowy. A my, Ally, spotkamy się jutro o drugiej we Froskehuset?

– Tak. Dziękuję ci, Thom.

– Masz ochotę wrócić do hotelu na piechotę? – zapytał mnie Willem, kiedy już pożegnaliśmy się z Erlingiem, który odwoził Thoma do domu. – To niedaleko.

– Pewnie niezły pomysł. – Pomyślałam, że świeże powietrze dobrze zrobi mojej pulsującej bólem głowie. Gdy doszliśmy brukowanymi ulicami do portu, Willem się zatrzymał.

– Bergen... mój nowy dom! Dobrą podjąłem decyzję?

– Naprawdę nie wiem, ale trudno byłoby znaleźć ładniejsze miejsce do zamieszkania. Nie sposób sobie wyobrazić, że mogłoby się tu dziać cokolwiek złego.

– Właśnie to mnie martwi. Czyżby to była ucieczka? Może znów uciekam od tego, co się stało z Jack? Od jej śmierci podróżuję jak maniak, a teraz zastanawiam się, czy nie chcę się tu schować. – Westchnął.

Ruszyliśmy spacerkiem wzdłuż nabrzeża w stronę hotelu, a ja nie mogłam się nadziwić, że Jack to „ona”.

– Ale możesz na to spojrzeć pozytywnie i powiedzieć, że zaczynasz nowy etap, że to nowy początek.

– Tak, to prawda. A tak w ogóle to chciałem cię zapytać, czy przeszłaś przez fazę zadręczania się pytaniami w stylu „dlaczego ja żyję, a mój ukochany nie”?

– Oczywiście, że tak. Nadal mnie to gnębi. Theo kazał mi zejść z jachtu, na którym płynęliśmy podczas regat, i wkrótce po tym utonął. Nieskończone godziny spędziłam na rozmyślaniu, że mogłabym go uratować, choć wiem, że nic bym nie zmieniła.

– Tak, ta droga prowadzi donikąd. Zostaliśmy i musimy żyć dalej. Mój psychoterapeuta uważa, że właśnie dlatego mam objawy zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych. Kiedy Jack umarła, poczułem, że nad niczym nie

panuję, i od tamtej pory próbuję nad wszystkim uzyskać kontrolę. Idzie mi już znacznie lepiej... Nawet ten dzisiejszy kieliszek szampana po dziewiątej był dla mnie wyczynem... – Wzruszył ramionami. – Drobne kroczi, Ally, drobne kroczi.

– Tak. A jak brzmiało pełne imię Jack?

– Jacqueline. Na cześć Jacqueline du Pré. Jej ojciec był wiolonczelistą.

– Kiedy po raz pierwszy o niej wspomniałeś, myślałam, że to mężczyzna...

– Ha! To pewnie też objaw mojego nadmiernego kontrolowania wszystkiego, ale działa. Ochroniło mnie przed drapieżnymi kobietami, które czasem stają mi na drodze. Wystarczy, że wspomnę imię Jack, i wycofują się. Choć nie jestem gwiazdą rocka, to pianiści koncertowi też mają swoje fanki, które kręcą się wokół nich po koncertach, trzepocą rzęsami i proszą o pokazanie im swojego... hm... instrumentu. Jedna opowiedziała mi nawet o swoich fantazjach, że jest nago, a ja gram dla niej *Drugi koncert fortepianowy Rachmaninowa*.

– Mam nadzieję, że nie wzięłeś mnie za jedną z nich.

– Oczywiście, że nie. A właściwie... – Zatrzymaliśmy się przed hotelem, a Willem zapatrzył się w uderzające o brzeg spokojne fale. – To raczej ty mogłaś odnieść wrażenie, że jestem kimś takim. Jak już mówiłem, moje zaproszenie na kolację było nie na miejscu. Normalnie się tak nie zachowuję. – Westchnął nagle ze smutkiem. – W każdym razie dziękuję ci, że dzisiaj ze mną zagrałaś. Mam nadzieję, że będziemy w kontakcie.

– Willem, to ja powinnam ci podziękować. Przywróciłeś mi muzykę. A teraz muszę iść spać, bo inaczej zasnę tu na chodniku.

– Wyjeżdżam z samego rana – oznajmił, kiedy szliśmy przez pusty hol. Mam mnóstwo rzeczy do pozalutowania w Zurychu. Thom chce, żebym jak najszybciej dołączył do orkiestry.

– Kiedy tu wrócisz?

– Na pewno przed listopadem, żeby zdążyć przygotować się do koncertu na stulecie śmierci Griega. A ty zostaniesz tu jeszcze trochę? – zapytał, kiedy zatrzymaliśmy się przed windą.

– Naprawdę nie wiem.

– A więc... – Weszliśmy do windy i nacisnął guziki z numerami naszych pięter. – Masz moją wizytówkę. Daj mi znać, jak ci się żyje.

– Dobrze.

Winda zatrzymała się na jego piętrze.

– Do widzenia, Ally. – Kiwnął do mnie głową z przelotnym uśmiechem i wyszedł.

Dziesięć minut później, kiedy włączałam lampkę nocną koło łóżka, myślałam o tym, że naprawdę nie chciałabym stracić z nim kontaktu. Nawet jeśli od wejścia w następny związek dzieliły mnie lata świetlne, zdecydowanie mi się spodobał. A po tym, co przed chwilę powiedział, pomyślałam, że może i ja mu się

spodobałam.

– Cześć – powiedział Thom z uśmiechem i otworzył drzwi do Froskehuset. Weszłam za nim do środka. – Chodź do salonu. Napijesz się czegoś?

– Jeśli można, to poproszę o szklankę wody. Dziękuję.

Wyszedł, a ja rozejrzałam się po salonie. Był oryginalnie urządzone w sposób, który nauczyłam się rozpoznawać jako unikalny norweski styl: staroświecko i bardzo przytulnie. Znajdowały się tu przeróżne niepasujące do siebie fotele ustawione wokół ogromnego żeliwnego pieca, który niewątpliwie przez całą noc trzymał ciepło. Była też kanapa z koronkowymi serwetkami na oparciu. Jedyнным naprawdę rzucającym się w oczy przedmiotem był lakierowany na czarno fortepian, który stał w oknie wykuszowym wychodzącym na wspaniały fiord poniżej domu.

Podeszłam, by przyjrzeć się zbiorowi oprawionych w ramki fotografii, które stały na dość brzydkim, pseudorokokowym biurku. Szczególnie jedna z nich przyciągnęła moją uwagę. Był na niej mniej więcej trzyletni chłopczyk – założyłam, że to Thom, który siedział na kolanach jakiejś kobiety. Świeciło słońce i znajdowali się w pobliżu fiordu. Oboje uśmiechali się szeroko, mieli podobny kolor włosów i duże, wyraziste oczy. Kiedy Thom wrócił, zobaczyłam w jego twarzy ślady podobieństwa do chłopca na fotografii.

– Przepraszam za wygląd domu – powiedział. – Wprowadziłem się tu kilka miesięcy temu, po śmierci mamy, i jak dotąd nie znalazłem czasu na to, żeby zmienić wystrój. Jestem znacznie bardziej minimalistyczny, wolę współczesne skandynawskie wzornictwo. Zabytki z przeszłości to nie ja.

– Mnie bardzo się tu podoba. Ten pokój jest taki...

– ...prawdziwy. – Powiedział to jednocześnie ze mną. – Dokładnie odczytałaś moje myśli – przyznał. – Ale skoro badasz historię Jensa i Anny, to dobrze, że zobaczysz oryginalne wnętrza, zanim większość z tych rzeczy wyrzucę na śmietnik. Wiele tutejszych mebli należało do nich. Mają teraz ze sto dwadzieścia lat. Podobnie jak wszystko w tym domu, łącznie z hydrauliką. Kupili tę działkę... a raczej powinienem powiedzieć, że Anna ją kupiła, w tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym, a potem rok zajęło im zbudowanie domu.

– Zanim przeczytałam książkę Jensa, w ogóle o nich nie słyszałam.

– Z ich dwójki to Annę lepiej znano w Europie, ale w swoim czasie Jens też był swego rodzaju gwiazdą, zwłaszcza w Bergen. Tak naprawdę zyskał popularność po śmierci Griega w tysiąc dziewięćset siódmym roku, chociaż jego muzyka była dość epigońska wobec twórczości maestra i szczerze mówiąc, jej nie dorównywała. Ile wiesz na temat roli Griega w życiu Jensa i Anny?

– Sporo... przecież przeczytałam książkę Jensa. Najważniejsze było to, co zrobił dla Anny. Uratował ją od życia służącej w lipskim pensjonacie.

– Tak. Nie mogłaś jeszcze przeczytać mojej książki, więc nie wiesz, że to Grieg odnalazł Jensa, który mieszkał z modelką pozującą malarzom na Montmartrze. Jego mecenaska, czyli baronowa, po pewnym czasie go porzuciła. Z trudem zarabiał na życie grą na skrzypcach. Przeważnie był pijany albo odurzony opium, jak wielu artystów paryskiej bohemy tamtych czasów. Podobno Grieg porządnie go obsztorcował, a potem zapłacił mu za podróż do Lipska i ostro nakazał błagać Annę o łaskę.

– Kto ci o tym powiedział?

– Mój pradziadek, Horst, któremu wyznała to Anna na łożu śmierci.

– Kiedy wrócił Jens?

– Mniej więcej w tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym roku.

– Kilka lat po tym, jak Grieg uratował Annę w Lipsku? Ale powiem prosto: zakończenie książki bardzo mnie przygnębiło. Nie rozumiem, dlaczego przyjęła Jensa z powrotem po tylu latach ani też, po co Grieg odszukał Jensa w Paryżu. Przecież wiedział, jaki Anna miała do niego stosunek.

Thom przyjrzał mi się uważnie, jakby w myślach coś rozważał.

– Właśnie na tym polega problem z historią. Odkryłem to, badając przeszłość mojej rodziny – odezwał się w końcu. – Znasz fakty, ale trudno dociec ludzkich motywacji. Pamiętaj, że to Jens napisał tę biografię. Nie wiemy, co o tym wszystkim myślała Anna. Książkę wydano po jej śmierci. Ta biografia miała być hołdem złożonym jej przez męża.

– Ja na jej miejscu na pewno sięgnęłabym po tasak do mięsa, kiedy Jens z powrotem się przyplątał. Moim zdaniem, jej pierwszy narzeczony, Lars, był znacznie sympatyczniejszy.

– Lars Trulssen? Wiesz, że pojechał do Ameryki i tam zdobył sporą sławę? Wzenił się w rodzinę Norwegów, która od trzech pokoleń żyła w Nowym Jorku, i miał mnóstwo dzieci.

– Coś takiego! Bardzo się cieszę. Było mi go trochę szkoda, ale my, kobiety, nie zawsze potrafimy sobie wybrać właściwego faceta.

– Tego nie będę komentował. – Thom się roześmiał. – Powiem tylko, że przynajmniej w oczach ludzi Jens i Anna do końca życia byli dobrym małżeństwem. Podobno on do śmierci dziękował Griegowi, że uratował go od rozpusty Paryża, a Annie za to, że mu wybaczyła. Halvorsenowie i Griegowie spędzali ze sobą mnóstwo czasu, zwłaszcza że byli bliskimi sąsiadami. Po śmierci Griega Jens przyczynił się do otwarcia Wydziału Muzyki na Uniwersytecie w Bergen, wykorzystując w tym celu spuściznę finansową Griega. Teraz jest to Akademia Griega. Studiowałem tam.

– Właściwie nie wiem nic o Halvorsenach po roku tysiąc dziewięćset siódmym. Nie słyszałam nawet żadnego utworu Jensa.

– Moim zdaniem, niewiele z tego, co napisał, warte jest słuchania. Chociaż

kiedy porządkowałem liczne teczki z jego nutami, które od lat zarastały pleśnią w pudłach na strychu, znalazłem coś niezwykłego. Koncert fortepianowy, który według mojej wiedzy, nigdy nie był publicznie wykonany.

– Fantastycznie!

– W tym roku dla uczczenia setnej rocznicy śmierci Griega organizujemy w Norwegii różne wydarzenia, między innymi wielki koncert tu, w Bergen, na zakończenie całorocznych obchodów.

– Willem wspominał mi o tym.

– Przedstawiamy nie tylko muzykę Griega, ale i innych norweskich kompozytorów, więc byłoby cudownie, gdyby udało się zorganizować premierę utworu mojego prapradziadka. Rozmawiałem z komitetem programowym i z samym Andrew Littonem, naszym nieocenionym dyrygentem. Przesłuchali ten utwór, który, moim zdaniem, jest nadzwyczajny. Wpisano go ołówkiem do programu koncertu siódmego grudnia. Na strychu znalazłem tylko nuty na fortepian, więc wysłałem je swojemu utalentowanemu znajomemu, żeby rozpiisał utwór na orkiestrę. Niestety, wczoraj po powrocie z Nowego Jorku odsłuchałem na sekretarce automatycznej wiadomość, że kilka tygodni temu poważnie zachorowała mu matka i nawet się do tego nie zabrał. – Thom przerwał. Po jego minie widziałam, jaki wielki sprawiło mu to zawód. – Nie zdążymy do grudnia... szkoda. Moim zdaniem, to zdecydowanie najlepszy utwór skomponowany przez Jensa. Reszta jego prac nawet się do tego nie umywa. Oczywiście premiera oryginalnego utworu Halvorsena, skrzypka, który grał na prapremierze *Peer Gynta*, byłaby wspaniałym wydarzeniem. Ale dość o moich kłopotach. A ty, Ally? Grałaś kiedyś w orkiestrze?

– Skąd! Nigdy nie osiągnęłam takiego poziomu. Jestem raczej zadowoloną z siebie amatorką.

– Przecież wczoraj słyszałem, jak grasz, więc się z tym nie zgodzę. Poza tym, Willem mówił, że przez cztery lata studiowałaś flet w Konserwatorium Genewskim, więc trudno powiedzieć, żebyś była amatorką.

– Może i tak, ale jeszcze kilka tygodni temu byłam zawodową żeglarką.

– Naprawdę?!

Przy filiżance herbaty ziołowej, którą Thom znalazł dla mnie w kredensie, opowiedziałam mu w skrócie historię swojego życia. Zdałam sobie sprawę, że ilekroć to robię, przytaczam suche fakty, bez emocji. Nie wiedziałam już, czy to dobrze, czy źle.

– O Boże, Ally! Myślałem, że moje życie jest skomplikowane, ale twoje... Nie wiem, jak sobie poradziłaś przez ostatnie tygodnie. Naprawdę, chylę przed tobą czoło.

– Zająłam się odgrzebywaniem swoich korzeni – odparłam sztywno, bo chciałam zmienić temat. – No więc, skoro już zanudziłam cię opowieścią o moim

życiu, może mi się odwdzięczysz i podzielisz się ze mną historią młodszych Halvorsenów? Jeśli nie masz nic przeciwko temu – dodałam pośpiesznie, bo przecież chodziło o jego rodzinę. – Chodzi mi o to, że jeśli jestem w jakiś sposób związana z Halvorsenami, to na pewno z kimś, kto żył raczej niedawno. Mam trzydzieści lat.

– Ja też. Urodziłem się w czerwcu. A ty?

– Według tego, co powiedział mi mój adopcyjny ojciec, trzydziestego pierwszego maja.

– Naprawdę? A ja pierwszego czerwca.

– Jeden dzień różnicy. – Zamyśliłam się. – Jeśli możesz, to opowiedz mi coś o swojej rodzinie.

– No więc tak... – Thom łyknął kawy. – Dorastałem tutaj, w Bergen. Wychowała mnie mama, która rok temu zmarła. I dlatego mieszkam we Froskehuset.

– Tak mi przykro, Thom. Wiem, jak to jest, kiedy traci się rodzica.

– To było straszne... Byliśmy sobie z mamą bardzo bliscy. Wychowywała mnie sama. Nie było ojca, który by się nami opiekował.

– A wiesz, kto nim był?

– O, tak. – Thom zmarszczył czoło. – To przez niego jestem spokrewniony z Halvorsenami. Ale w odróżnieniu od Jensa, który w końcu wrócił do Anny, mój ojciec nigdy nie wziął na siebie odpowiedzialności za rodzinę.

– Jeszcze żyje?

– Jak najbardziej. Chociaż, kiedy poznał moją matkę, był od niej dwadzieścia lat starszy. Jest, według mnie, najzdolniejszym muzykiem w męskiej linii Halvorsenów. Mama miała piękny głos, jak Anna. Chodziła do ojca na lekcje gry na fortepianie, a on ją uwiódł. W wieku dwudziestu lat zaszła z nim w ciążę. Chciał, żeby poddała się aborcji.

– Wiesz to wszystko od niej?

– Tak. Ale na ile znam Felixa, to nie mam powodu jej nie wierzyć – powiedział ostro. – Po tym, jak się urodziłem, było jej strasznie ciężko. Rodzice jej się wyrzekli... byli wieśniakami z północy i mieli w tych sprawach bardzo tradycyjne poglądy. Moja matka, Martha, została praktycznie bez środków do życia. Pamiętaj, że trzydzieści lat temu Norwegia była jeszcze dosyć biedna.

– To straszne... I co zrobiła?

– Na szczęście zajęli się nami moi pradiadkowie, Horst i Anna, i przyjęli nas do swojego domu, czyli tutaj. Ale mama nigdy nie doszła do siebie po tym, co zrobił jej ojciec. Do końca życia cierpiała na straszliwe nawroty depresji. I nigdy nie spełniła się jako śpiewaczka.

– Czy on... twój ojciec... w końcu uznał cię za syna?

– Zmuszono go do tego, bo kiedy byłem nastolatkiem, sąd nakazał

wykonanie badania DNA – wyjaśnił Thom z ponurą miną. – Po śmierci prababcia zostawiła dom mnie, a nie swojemu wnukowi, czyli Felixowi. Chciał podważyć testament, twierdził, że oboje z matką jesteśmy oszustami i wykorzystujemy jego rodzinę. Stąd badanie DNA, które wszystko potwierdziło! Mam w żyłach krew Halvorsenów. Chociaż nigdy w to nie wątpiłem. Mama na pewno nie kłamałaby w takich sprawach.

– Miałaś równie dramatyczne życie jak ja. – Uśmiechnęłam się i z ulgą dostrzegłam, że odwzajemnia mój uśmiech. – Widujesz się z ojcem?

– Czasami w mieście, ale nie utrzymujemy kontaktów. Naprawdę jest Peer Gyntem, ale takim, który nie dostrzegł swoich błędów. – Thom ze smutkiem wzruszył ramionami.

– Wszystko trochę mi się pomieszało... Mówiłeś o swoich pradziadkach, ale zabrakło mi chyba jednego pokolenia. Co się stało z twoimi dziadkami? Z matką i ojcem Felixa?

– Właśnie o tym wspomniałem ci wczoraj wieczorem. Żadnego z nich nie poznałem. Oboje zmarli, zanim się urodziłem.

– Tak mi przykro, Thom. – Ze zdziwieniem stwierdziłam, że do oczu nabiegają mi łzy.

– O Boże, nie płacz, Ally. Przecież nic mi nie jest i radzę sobie w życiu. Ty miałaś ostatnio dużo trudniejsze przeżycia.

– Wiem, że sobie radzisz, Thom. Przepraszam, ale wzruszyłam się twoim opowiadaniem.

– Jak się domyślasz, nieczęsto o tym rozmawiam. Sam się dziwię, że byłem w stanie tak otwarcie ci o tym opowiedzieć.

– Jestem ci za to bardzo wdzięczna. Naprawdę. Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, jak to wyglądało z punktu widzenia twojego ojca?

Thom dziwnie na mnie spojrzał.

– Jak tu w ogóle może być jakiś inny punkt widzenia?

– No... wiesz...

– Oprócz tego, że był beznadziejnym, samolubnym sukinsynem, który zostawił moją matkę na pastwę losu, kiedy była w ciąży?

– Tak – szepnęłam. Zrozumiałam, że weszłam na grząski grunt, więc szybko się wycofałam. – Masz rację. Nic dodać, nic ująć.

– Co nie znaczy, że czasem nie jest mi go żal – przyznał. – Kompletnie zrujnował sobie życie i zmarnował fenomenalny talent. Na szczęście odrobinę tego po nim odziedziczyłem i za to zawsze będę mu wdzięczny.

Zobaczyłam, jak Thom patrzy na zegarek, i zrozumiałam to jako sygnał, że muszę już iść.

– Chyba się pożegnam. I tak zajęłam ci mnóstwo czasu.

– Nie, Ally. Proszę cię, nie idź jeszcze. Tylko właśnie sobie uświadomiłem, że jestem strasznie głodny. W Nowym Jorku jest mniej więcej pora śniadania. Masz ochotę na naleśniki? To chyba jedyne danie, które umiem zrobić bez książki kucharskiej.

– Ale powiesz mi, jeśli będziesz chciał, żebym już sobie poszła.

– Jasne. A na razie mogłabyś mi pomóc w kuchni?

– Pewnie.

Kiedy smażyliśmy naleśniki, Thom wypytywał mnie o moje życie.

– Z tego, co mówiłaś, wynika, że twój ojciec adopcyjny był niezwykłym człowiekiem.

– To prawda.

– I tyle sióstr... Pewnie nigdy nie brakowało ci towarzystwa. Jako jedynak bywałem strasznie samotny. Kiedy dorastałem, bardzo chciałem mieć rodzeństwo.

– Ja nigdy nie cierpiałam z powodu samotności. Zawsze miałam z kim się bawić i co robić. I na pewno nauczyłam się wszystkim dzielić.

– A ja miałem wszystko dla siebie, ale trudno znosiłem bycie księciem mamy – wyznał mi, przewracając naleśnik na drugą stronę. – Zawsze byłem pod presją, czułem, że muszę spełnić jej oczekiwania. Byłem wszystkim, co miała.

– Mnie i moje siostry ojciec zachęcał, żebyśmy były sobą – powiedziałam, siadając przy kuchennym stole. – Miałaś poczucie winy, że matka tyle wycierpiała przez to, że przyszedłeś na świat?

– Tak. Powiem brutalnie: kiedy była w depresji i mówiła mi, że z mojego powodu zmarnowała sobie życie, chciałem na nią krzyczeć, że przecież nie prosiłem się na świat, że to był jej wybór.

– Ale z nas para, co?

Spojrzał na mnie i na chwilę widelec znieruchomiał mu w ręce.

– Tak, to prawda, Ally. Ale super jest spotkać kogoś, kto rozumie moje dziwne układy rodzinne.

– Dla mnie też. – Spojrzałam na niego nad stołem i uśmiechnęłam się. On też się uśmiechnął. Poczulałam coś jak *déjà vu*, niezwykle silne.

– To dziwne – odezwał się po chwili w zamyśleniu. – Mam wrażenie, jakbym cię znał od zawsze.

– Wiem, o co ci chodzi.

Potem Thom odwiózł mnie z powrotem do hotelu w mieście.

– Masz czas jutro rano? – zapytał, kiedy się żegnaliśmy.

– Nic jeszcze nie zaplanowałam.

– Świetnie. Przyjadę po ciebie i wybierzemy się na krótką wycieczkę łódką wzdłuż przystani i opowiem ci, co stało się z moimi dziadkami, Pipem i Karine. Już ci mówiłem, że to trudny i bolesny rozdział historii Halvorsenów.

– A czy nie moglibyśmy się spotkać na stałym lądzie? Od śmierci Theo

przestałam lubić wodę.

– Rozumiem. To może znowu u mnie? Przyjadę po ciebie o jedenastej.
Dobranoc, Ally.

– Dobranoc, Thom.

Jeszcze pomachałam do niego spod hotelu, a potem pojechałam na górę i poszłam do swojego pokoju. Stałam w oknie, zapatrzyłam się w wodę i zadumałam się nad tym, że spędziliśmy z Thomem kilka godzin na rozmowach o wszystkim i o niczym i nie kosztowało nas to ani trochę wysiłku, jakbyśmy robili coś najbardziej naturalnego na świecie. Wzięłam prysznic i położyłam się do łóżka. Pomyślałam, że niezależnie od tego, co przyniosą moje wycieczki w przeszłość, przynajmniej w trakcie zbierania informacji zyskuję przyjaciół.

Z tą myślą zasnęłam.

Kiedy obudziłam się następnego dnia rano, całkiem opuścił mnie spokój, jaki czułam poprzedniego wieczoru, bo od razu musiałam pobiec do łazienki, żeby wymiotować. Dowlokłam się z powrotem do łóżka i leżałam zalana łzami. Nie miałam pojęcia, dlaczego tak fatalnie się czuję. Zdrowie nigdy nie było dla mnie problemem. W dzieciństwie nie zapadałam na typowe w tym wieku choroby. Zawsze byłam tą odporną, która pomagała mamie, kiedy jakiś zjadliwy wirus przechodził z jednej siostry na drugą.

Dzisiaj czułam się okropnie. Zastanawiałam się, czy wymioty na Naksos nie były spowodowane jakąś chorobą, która nadal mi nie przeszła, bo czułam się coraz gorzej. A może zresztą odreagowuję w ten sposób napięcie ostatnich tygodni, pomyślałam. Muszę jeść, nakazałam sobie, na pewno mam niski poziom cukru. Zamówiłam więc duże śniadanie kontynentalne i uparłam się, by nic nie zostawić.

– Tak należy rozprawić się z chorobą morską, Ally – powiedziałam do siebie, siedząc w łóżku z tacą na kolanach i odważnie wsuwając, ile wlezie.

Dwadzieścia minut później wszystko, co w siebie wcisnęłam, splukiwałam w toalecie. Za pół godziny przyjeżdżał po mnie Thom, więc kiedy drząc na całym ciele, ubierałam się, postanowiłam, że poproszę go, by polecił mi jakiegoś lekarza. Czułam bowiem, że to coś poważnego. W chwili gdy podjęłam tę decyzję, zadzwonił telefon.

– Halo?

– Ally?

– Jak się masz, Tiggy?

– Hm... w porządku. Gdzie jesteś?

– Jeszcze w Norwegii.

Chwilę milczała, po czym westchnęła:

– Oooo.

– Co się stało, Tiggy?

– Nic... naprawdę nic takiego. Myślałam tylko, że może wróciłaś już do Atlantis.

– Nie, sorki. Na pewno wszystko u ciebie w porządku?

– Tak. Absolutnie. Zadzwoniłam, żeby zapytać, co u ciebie.

– Dobrze. Coraz więcej dowiaduję się na temat wskazówek, które zostawił mi tata.

– To dobrze. Daj mi znać, kiedy wrócisz z Norwegii. Może uda nam się spotkać – powiedziała ze sztuczną radością w głosie. – Kocham cię, Ally.

– Ja ciebie też.

Jadąc na dół windą, nie mogłam przestać myśleć o tym, że Tiggy wydała mi się jakaś dziwna. Wszyscy przyzwyczailiśmy się do jej pogody ducha i spokoju, do

tego, że rozacza wokół siebie ezoteryczną atmosferę nadziei. Dziś wydała mi się całkiem inna. Obiecałam sobie, że później napiszę do niej maila.

– Cześć – przywitał mnie Thom, kiedy wysiadłam z windy.

– Cześć. – Uśmiechnęłam się, biorąc się w garść.

– Wszystko w porządku, Ally? Jesteś trochę blada.

– Tak... a właściwie nie... niezbyt dobrze się czuję. Szczerze mówiąc, już od jakichś dwóch dni. To nic poważnego, pewnie wirus żołądkowy, ale może byś mi polecił jakiegoś lekarza?

– Jasne. Od razu cię tam zawieźć?

– No... nie... aż tak źle ze mną nie jest. Ale czuję się jakoś dziwnie... – odparłam, wsiadając do jego zniszczonego renault.

– Naprawdę źle wyglądasz – powiedział, wyjmując komórkę. – Zamówię ci wizytę na popołudnie, dobrze?

– W porządku. Dziękuję i przepraszam – mruknęłam, kiedy wybierał numer.

Chwilę rozmawiał z kimś po norwesku i przerwał połączenie.

– No dobrze – rzucił. – Jesteś umówiona na czwartą trzydzieści. A teraz – przyjrzał się mojej bladej twarzy – może zabiorę cię do Froskehuset i otulę ciepłą kołderką na kanapie. A potem podejmiesz decyzję, czy wolisz słuchać powieści o moich dziadkach, czy chcesz, żebym zagrał ci na skrzypcach.

– A nie mógłbyś zrobić i tego, i tego? – Na jego uśmiech odpowiedziałam słabym uśmiechem. W duchu zastanawiałam się, skąd, na miłość boską, wie, że w chłodny jesienny dzień, a w dodatku z chorym żołądkiem, dokładnie tego potrzebuję: kołderki, opowiadania i muzyki.

Pół godziny później leżałam na kanapie opatulona kołdrą. Na dokładkę Thom napalił jeszcze w ogromnym żeliwnym piecu. Poprosiłam go, aby zagrał mi na skrzypcach.

– Swój ulubiony utwór – dodałam.

– Dobrze. – Westchnął, uśmiechając się. – Ale nie myśl, że ma on coś wspólnego z twoim obecnym stanem.

– Dobrze.

– No to gram.

Z czułością umieścił skrzypce pod brodą, przez kilka sekund je stroił, a potem spod smyczka wypłynęły dźwięki jednego z moich ulubionych utworów. Roześmiałam się na głos, bo zrozumiałam, o co mu chodziło. Thom przerwał na chwilę, uśmiechnął się i powiedział:

– A mówiłem.

– *Umierający łabędź* dla mnie też jest jednym z najpiękniejszych fragmentów muzyki klasycznej.

– Cieszę się.

Potem znów zaczął grać, a ja leżałam sobie w puchu i wygodzie, doceniając

zaszczyt, jakim był prywatny recital utalentowanego skrzypka. Kiedy umilkł ostatni, wzruszający dźwięk, podziękowałam mu gromkimi oklaskami.

– Wspaniale!

– Dziękuję. Czego chciałabyś posłuchać teraz?

– Czegoś, co lubisz grać.

– No dobrze. Proszę.

Przez następne czterdzieści minut słuchałam, jak Thom gra swoje ulubione utwory. Zaprezentował znakomity wybór, między innymi początek *Koncertu skrzypcowego D-dur* Czajkowskiego i *Sonatę diabelską* Tartiniego. Zobaczyłam, że znika w innym świecie, w którym, jak wynikało z moich obserwacji, podczas gry znajduje się każdy prawdziwy muzyk. Po raz kolejny zastanawiałam się, jak przez dziesięć lat mogłam żyć bez muzyki i muzyków, bo kiedyś sama znałam to uczucie. W którymś momencie musiałam się zdrzemnąć. Było mi ciepło i czułam się tak rozluźniona i bezpieczna, że po prostu odpłynęłam. Nagle poczułam na ramieniu delikatne dotknięcie.

– Oj, przepraszam, bardzo cię przepraszam. – Otworzyłam oczy i zobaczyłam nad sobą zatroskaną twarz Thoma.

– Mógłbym się obrazić, że jedyna osoba w audytorium zasnęła, ale nie będę tego brał do siebie.

– Wiesz co, Thom? Może wyda ci się to trochę dziwne, ale fakt, że przysnęłam, to dla ciebie raczej komplement. Mogę skorzystać z łazienki? – zapytałam, wolno wygrzebując się spod kołdry.

– Tak. Jest w korytarzu po lewej stronie.

– Dziękuję.

Kiedy wróciłam zadowolona, że czuję się trochę lepiej niż rano, Thom był w kuchni i coś gotował.

– Co robisz? – zapytałam.

– Lunch. Jest już po pierwszej. Dałem ci pospać dwie godziny.

– O Boże! Nic dziwnego, że czujesz się obrażony. Przepraszam.

– Nie szkodzi, Ally. Z tego, co mówiłaś, ostatnio było ci dość ciężko.

– To prawda. – Wcale się przed nim nie wstydziałam. – Bardzo tęsknię za Theo.

– Wierzę ci. Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale w pewien sposób ci zazdroszczę.

– Czego?

– Ja jeszcze nigdy nie poczułem czegoś takiego do kobiety. Byłem w różnych związkach, ale do niczego mnie one nie doprowadziły. Jeszcze nie odnalazłem tej jednej jedynej, o której każdy opowiada.

– Na pewno ją znajdziesz.

– Może, ale szczerze mówiąc, im jestem starszy, tym bardziej tracę na to

nadzieję. Wydaje mi się to zbyt dużym wysiłkiem.

– W twoim życiu na pewno pojawi się ktoś, kto będzie dla ciebie tym, czym dla mnie był Theo. Będziesz wtedy wiedział, że to ta osoba. A co takiego gotujesz?

– Drugą z dwóch rzeczy, której nie zepsuję: makaron à la Thom.

– Nie wiem, jak to powiedzieć, ale mój makaron na pewno jest o wiele lepszy niż twój – drażniłam się z nim. – To moje popisowe danie.

– Coś takiego! Wątpię jednak, żeby mógł być lepszy od mojego. Ludzie przyjeżdżają nawet z gór wokół Bergen, żeby go spróbować – powiedział, odcedził makaron, polał go sosem i pomieszał. – Siadaj.

Ostrożnie zabrałam się do jedzenia, bo nie bardzo miałam ochotę znowu biec do łazienki. Stwierdziłam jednak, że danie Toma – mieszanina makaronu, sera, ziół i szynki – rzeczywiście jest bardzo smaczne.

– No i co? – Spojrzał na moją pustą miseczkę. – Dobrze?

– Znakomite. To przywróciło mi życie. Jestem gotowa wysłuchać koncertu twojego prapradziadka. Oczywiście, jeśli masz ochotę mi go zagrać.

– Pewnie. Ale pamiętaj, że fortepian to nie mój główny instrument, więc nie jestem w tym najlepszy.

Wróciliśmy do salonu. Znowu usadowiłam się na kanapie – ale tym razem już nie leżałam – a Thom wziął z półki nuty.

– Czy to oryginalny zapis koncertu?

– Tak. – Ustawił je na fortepianie. – Słuchaj cierpliwie, jakoś ci to zagram.

Zaczął, a ja słuchałam uważnie z zamkniętymi oczami. W utworze niewątpliwie słychać było wpływ Griega, ale także coś unikalnego. Przewijał się w nim cudowny i hipnotyczny główny temat. Słyszałam w nim echa Strawińskiego, a może też odrobinę z Rachmaninowa. Po zakończeniu Thom złożył zamaszty ukłon i wrócił do mnie.

– Co o tym myślisz?

– Już nucę go w głowie. Fascynujący, naprawdę.

– Zgadza się z tobą. David Stewart i Andrew Litton też są nim zauroczeni. Jutro skupię się na szukaniu kogoś, kto rozpisze go na orkiestrę. Nie wiem, czy ktokolwiek będzie w stanie zdążyć na czas, ale warto spróbować. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak nasi przodkowie sobie z tym radzili. Nawet dzisiaj z pomocą komputera nie jest to łatwe, a ręcznie napisać każdą nutę na papierze dla całej orkiestry... To było ogromnym wyczynem. Nic dziwnego, że wielcy kompozytorzy tak długo opracowywali swoje symfonie i koncerty. Czapki z głów dla Jensa i jego kumpli. Naprawdę.

– Jesteś potomkiem wybitnej rodziny.

– Ale najważniejsze pytanie brzmi, czy ty też? – wycedził Thom. – Kiedy wczoraj poszłaś, długo się zastanawiałem, jak mogłabyś być spokrewniona z Halvorsenami. Mój ojciec był jedynakiem, a żadne z dziadków też nie miało

rodzeństwa, więc widzę tylko jedną możliwość.

– Jaką?

– Boję się, że się obrazisz, Ally.

– Strzelaj, Thom. Dam radę – zachęciłam go.

– No dobrze. Mój ojciec miał tyle romansów, że mógł mieć nieślubne dziecko, o którym sam być może nie wie.

Wlepiłam wzrok w Thoma, przyswajając sobie, co mi powiedział.

– To miałoby sens. Ale pamiętaj, że nie mamy żadnego dowodu, żebym w ogóle była spokrewniona z Halvorsenami. Głupio mi, że tak nagle pojawiłam się tu znikąd i wpycham się do twojej rodziny.

– Według mnie, im więcej Halvorsenów, tym weselej. Na razie ja jestem ostatnim.

– Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. Musielibyśmy zapytać twojego ojca.

– Na pewno skłamię – rzucił gorzko Thom. – Jak zwykle.

– Po tym, jak go opisujesz, pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że nie mam z nim nic wspólnego.

– Nie chcę cię do niego zrażać, Ally... Tyle że w jego przypadku nie za bardzo jest się czym zachwycać. – Thom wzruszył ramionami.

– No dobrze. – Postanowiłam nieco zmienić temat. – Wy tłumacz mi, jak to było z tymi pokoleniami. Jens i Anna mieli syna Horsta.

– Tak. – Thom podszedł do biurka i wziął z niego książkę. – To biografia, którą napisałem. Narysowałem też drzewo genealogiczne Halvorsenów. Proszę. – Podał mi książkę. – Jest na końcu, przed podziękowaniami.

– Dziękuję.

– Horst był świetnym wiolonczelistą. Studiował w Paryżu, a nie w Lipsku – ciągnął, szukając odpowiedniej strony. – Wrócił do Norwegii i przez większość życia grał w Orkiestrze Filharmonii w Bergen. Był wspaniałym człowiekiem. Kiedy się urodziłem, miał dziewięćdziesiąt dwa lata, ale pamiętam, że kiedy byłem malutki, nadal grał. To on dał mi do rąk skrzypce, kiedy miałem trzy lata. Tak powiedziała mi mama. Umarł w wieku stu jeden lat. Nigdy w życiu nawet przez jeden dzień nie chorował. Miejmy nadzieję, że odziedziczyłem jego geny.

– A jego dzieci?

– Horst ożenił się z Astrid, która była od niego piętnaście lat młodsza. Przez większość życia mieszkali tu, we Froskehuset. Mieli syna, którego nazwali Jens, po dziadku, ale potem wszyscy z jakiegoś powodu mówili na niego Pip.

– I co się z nim stało? – zapytałam, próbując się rozeznąć w drzewie genealogicznym rodziny.

– Już ci o tym wspominałem. Właśnie jego historia jest dość wstrząsająca. Jesteś pewna, że masz siłę jej wysłuchać?

– Tak – odparłam stanowczo.

– No dobrze. Było tak: Jens junior okazał się utalentowany muzycznie, więc wyruszył na studia do Lipska, podobnie jak przedtem jego imiennik. Ale był już rok tysiąc dziewięćset trzydziesty szósty i świat się zmieniał...

Pip

Lipsk, Niemcy
Listopad 1936

Jens Horst Halvorsen, lepiej znany jako Pip (to imię przyłgnęło do niego, kiedy był jeszcze małym „nasionkiem” w brzuchu mamy), szybkim krokiem zmierzał w stronę potężnego budynku z jasnego kamienia, w którym mieściło się lipskie konserwatorium. Rano razem z innymi studentami uczestniczył w zajęciach prowadzonych przez Hermanna Abendrotha, słynnego dyrygentem Orkiestry Gewandhaus, i aż drżał z podniecenia. Od czasu, kiedy dwa i pół roku temu przyjechał do Lipska ze skromnego pod względem muzycznym Bergen, otworzył się przed nim nowy świat, zarówno jeśli chodzi o twórczość, jak i życie osobiste.

Zamiast pięknych, ale jak na jego ucho staromodnych kompozycji Griega, Schumanna czy Brahmsa, których od dzieciństwa słuchał z ojcem, Horstem, konserwatorium wprowadziło go w świat współczesnych kompozytorów. Teraz jego ulubieńcem stał się Rachmaninow, którego *Rapsodia na temat Paganiniego* miała dwa lata temu premierę w Ameryce. To Rachmaninow zainspirował go do pisania własnych utworów. Idąc na wykład szerokimi ulicami Lipska, Pip gwizdał pod nosem jego *Rapsodię*. Studia z dziedziny kompozycji na fortepian rozpały jego wyobraźnię i pozwoliły myśleć o muzyce w nowoczesny sposób. Podziwiał geniusz Rachmaninowa, ale zauroczyło go także *Święto wiosny* Strawińskiego, utwór tak odważny i nowoczesny, że nawet dwadzieścia lat po paryskiej premierze w roku 1913 ojciec Pipa, znakomity wiolonczelista, uważał go za „obszerny”.

Pip myślał też o drugiej miłości swojego życia, Karine. Była jego muzą: dawała mu natchnienie i motywowała do rozwoju. Kiedyś zadedykuje jej swój utwór.

Poznali się przed koncertem w Gewandhaus pewnego chłodnego październikowego wieczoru rok temu. Pip właśnie zaczął drugi rok konserwatorium, a Karine pierwszy. Czekali w foyer, aż będą mogli zająć miejsca z tyłu sali. Karine upuściła wełnianą rękawiczkę, a Pip ją podniósł. Przy oddawaniu zguby ich oczy się spotkały. Od tamtej pory byli nierozłączni.

Karine była egzotyczną mieszanką rosyjsko-francuską. Dorastała w środowisku paryskiej cyganerii. Jej ojciec był dość znanym francuskim rzeźbiarzem, a matka odnoszącą sukcesy śpiewaczką operową. Karine odnalazła się w grze na oboju. Należała do nielicznych kobiet studiujących w konserwatorium. Miała aksamitne czarne włosy przypominające futro pantery i oczy, które błyszczały znad wydatnych kości policzkowych. Nawet w największe upały jej cera pozostawała biała jak śniegi Norwegii. Ubierała się specyficjnie – bez typowo kobiecych ozdób. Najchętniej nosiła spodnie, do których wkładała artystyczny kitel lub uszytą przez krawca marynarkę. Nie nadawało jej to wcale męskiego wyglądu, a raczej podkreślało kobiecość. Jediną skazą na urodzie Karine, na którą ciągle narzekała, był nos, który prawdopodobnie odziedziczyła po ojcu, Żydzie. Ale

Pipowi nie przeszkadzałyby, nawet gdyby miał rozmiary nosa Pinokia po kłamstwie – dla niego Karine była ideałem, absolutnym ideałem.

Rozmawiali już o wspólnej przyszłości: postarają się znaleźć pracę w jakiejś europejskiej orkiestrze, a potem może uda im się zaoszczędzić tyle, by pojechać do Ameryki i tam się urządzić. Jeżeli Pip miał być szczerzy, było to raczej marzenie Karine. On czułby się szczęśliwy wszędzie, byle u jej boku. Rozumiał jednak, dlaczego chciała wyjechać. W Niemczech nasilała się nazistowska propaganda antyżydowska i w wielu częściach kraju Żydzi byli prześladowani.

Na szczęście burmistrz Lipska, Carl Friedrich Goerdeler, nadal stanowczo przeciwstawiał się ideologii nazistowskiej. Pip codziennie zapewniał Karine, że nic jej się tutaj nie stanie, że będzie się nią opiekował. Dodawał też, że kiedy się pobiorą, będzie miała norweskie nazwisko, a nie zdradzające wszystko Rosenblum.

– Chociaż naprawdę jesteś piękną, kwitnącą różą – mówił, nawiązując do jej nazwiska.

Ale tego dnia był akurat wspaniały słoneczny dzień, więc echa nazistowskich pogroźek wydawały się dalekie i przesadzone. Chociaż było dość chłodno, postanowił, zamiast jechać tramwajem, pójść do konserwatorium na piechotę. Z Johannisgaße, gdzie mieszkał, zajmie mu to ze dwadzieścia minut. Miasto bardzo się rozrosło od czasów, kiedy mieszkał tu jego ojciec. Horst Halvorsen większość życia spędził w Bergen, ale urodził się w Lipsku. Świadomość tego sprawiała, że Pip jeszcze bardziej czuł się tu jak u siebie.

W pobliżu konserwatorium minął pomnik z brązu jego założyciela Felixa Mendelssohna, który stał przed budynkiem Gewandhaus. W myślach uchylił kapelusza przed tym wielkim człowiekiem. Zerknął na zegarek i przyśpieszył kroku, bo stwierdził, że ledwo zdąży.

Oparci o kolumny łuków tworzących wejście do konserwatorium czekali już na niego dwaj przyjaciele: Karsten i Tobias.

– Cześć, śpiochu. Karine nie dała ci wczoraj spać, co? – zapytał Karsten z psotnym uśmiechem.

Pip miło się uśmiechnął.

– Nie. Szedłem na piechotę i zajęło mi to dłużej, niż przypuszczałem.

– Pośpieszcie się, na miłość boską – przerwał im Tobias. – Nie chcecie się chyba spóźnić do Herr Abendrotha?

We trzech dołączyli do kolejki studentów wchodzących do ogromnej Großer Saal o łukowym sklepieniu wspartym na rzędach kolumn, w której znajdował się także balkon z widokiem na scenę i miejsca na parterze. Wykorzystywano ją zarówno jako salę wykładową, jak i koncertową. Siadając, Pip krzywił się na wspomnienie swojego pierwszego recitalu fortepianowego, który się tu odbył. Jego koledzy i profesorowie stanowili znacznie bardziej wymagające audytorium niż jakiegokolwiek, przed którym miałby występować w przyszłości. I rzeczywiście – po

koncercie dokładnie przeanalizowali i skrytykowali jego wykonanie.

Teraz, dwa i pół roku później, prawie całkiem uodpornił się na wszelkie kąśliwe uwagi na temat swojej gry. Konserwatorium chlubiło się tym, że jego absolwenci są zawodowymi muzykami, którzy mogą stawić czoła wszelkim wyzwaniom i grać w każdej orkiestrze na świecie.

– Widziałeś dzisiejszą gazetę? Nasz burmistrz pojechał do Monachium na spotkanie z przywódcami partii – szepnął Tobias, kiedy siadali. – Na pewno chcą na niego wpłynąć, żeby wprowadził w Lipsku ich antyżydowską politykę. Z każdym dniem sytuacja robi się coraz bardziej niebezpieczna.

Kiedy Hermann Abendroth wszedł do sali, przywitały go energiczne wiwaty. Pip też się w nie włączył, ale serce biło mu nieco szybciej z powodu wiadomości, którą przed chwilą usłyszał od Tobiasa.

Wieczorem spotkał się z Karine i jej najlepszą przyjaciółką Elle w tej samej kawiarni co zawsze, między jego mieszkaniem a ich kwaterą. Poznały się podczas pierwszego semestru w konserwatorium, gdyż przydzielono im jeden pokój. Obie urodziły się we Francji, więc łączył je ojczysty język. Od razu się zaprzyjaźniły. Tym razem Elle przyprowadziła swojego chłopaka Bo, o którym Pip wiedział niewiele ponad to, że także studiuje muzykę. Zamówili piwo Gose. Pipa uderzyła różnica między ciemnooką Karine a śliczną błękitnooką blondynką Elle. Cyganka i róża, pomyślał, kiedy przyniesiono im do stołu napoje.

– Pewnie słyszałeś wiadomości? – zapytała Karine, ściszej głoś. Ostatnio nie wiadomo było, kto człowieka podsłuchuje.

– Tak – odpowiedział. Zauważył napięcie na jej twarzy.

– Elle i Bo też się martwią. Wiesz, że Elle również jest Żydówką, chociaż ma szczęście, bo wcale tego po niej nie widać – mruknęła Karine i odwróciła się do przyjaciół siedzących po drugiej stronie stołu.

– Naszym zdaniem jest tylko kwestią czasu, zanim to, co dzieje się w Bawarii, przeniesie się tutaj.

– Zaczekajmy, zobaczymy, co burmistrzowi uda się załatwić w Monachium. Ale nawet jeśli zdarzy się najgorsze, studentom konserwatorium na pewno nic nie zrobią – pocieszył ich Pip. – Niezależnie od polityki, Niemcy mają muzykę w sercach. – Kiedy mówił, sam, niestety, poczuł, że brak mu przekonania. Spojrzał przez stół na Bo, który z powagą w oczach obronnym gestem objął swoją dziewczynę.

– A ty, jak się czujesz, Bo?

– Może być – odpowiedział kolega.

Był małomówny, a przewisko przyłgnęło do niego, ponieważ nigdy nie rozstawał się ze smyczkiem swojej wiolonczeli i mówił: bo muszę go zawsze mieć przy sobie. Pip wiedział, że jest jednym z najbardziej utalentowanych wiolonczelistów w konserwatorium i przepowiadano mu świetlaną przyszłość.

– Gdzie spędzisz Boże Narodzenie?

– Jeszcze... – W tej chwili Bo spojrzął za ramię Pipa i z przerażenia aż podskoczył, a twarz natychmiast mu pobladła.

Pip odwrócił się i zobaczył, jak do kawiarni zamaszystym krokiem wchodzi dwóch esesmanów w charakterystycznych szarych mundurach z pistoletami w skórzanych kaburach przy pasie. Bo zauważalnie zadrżał i odwrócił wzrok. Niestety, te mundury nie były ostatnio w Lipsku rzadkim widokiem.

Mężczyźni rozejrzeli się po kawiarni, po czym usiedli przy stoliku niedaleko nich.

– Jeszcze nie wiemy, co będziemy robić – odpowiedział Bo, kiedy już się opanował. Odwrócił się do Elle, coś jej szepnął, a kilka minut później wstali, żeby wyjść.

– Oboje strasznie się boją. – Karine westchnęła, gdy patrzyli, jak tamta dwójka próbuje niepostrzeżenie wymknąć się z lokalu.

– Czy on też jest Żydem?

– Mówi, że nie, ale niektórzy to ukrywają. Martwi się o ukochaną. Moim zdaniem, wkrótce wyjadą z Niemiec.

– Dokąd?

– Nie wiedzą. Może do Paryża, chociaż Elle mówi, że zdaniem Bo, jeśli Niemcy rozpętają wojnę, to obejmie ona także i Francję. Moją ojczyznę. – Karine wyciągnęła do niego dłoń. Kiedy Pip ją ujął, poczuł drżenie.

– Zobaczmy, co się będzie działo po powrocie burmistrza – powtórzył. – Jeśli będzie trzeba, my też wyjedziemy, Karine.

Następnego dnia Pip szedł do konserwatorium przez szarą listopadową mgiełkę lipskiego poranka. Gdy zbliżył się do Gewandhaus, ugięły się pod nim nogi; przed budynkiem stał tłum ludzi. W miejscu, gdzie zaledwie wczoraj dumnie wznosił się wspaniały pomnik założyciela konserwatorium, Felixa Mendelssohna, Żyda, teraz leżała kupa gruzu.

– O Boże – mruknął pod nosem i szybko poszedł dalej. Zobaczył przy rumowisku dużą grupę młodych ludzi w mundurach Hitlerjugend. Słyszał wykrzykiwane przez nich obraźliwe slogany. – Zaczęło się.

Wszedł do konserwatorium. Hol przy wejściu wypełniała masa zszokowanych studentów, wśród których ujrzał Tobiasa.

– Co się stało? – spytał, podchodząc do niego.

– Zastępca burmistrza, Haake, nakazał zniszczenie pomnika. Specjalnie zrobili to, kiedy Goerdeler przebywa w Monachium. Teraz na pewno zmuszą go do odejścia. Lipsk przepadł.

Pip rozejrzał się za Karine. Wyglądała przez jedno z łukowato sklepionych okien. Gdy położył jej dłoń na ramieniu, aż podskoczyła. Odwróciła się w jego stronę i Pip zobaczył w oczach ukochanej łzy. Przytulił ją, lecz ona bez słów tylko

kręciła głową.

Tego dnia dyrektor konserwatorium, Walther Davisson, odwołał wszystkie zajęcia. Sytuacja stała się niezwykle napięta i władze uczelni uznały, że studenci narażeni są na zbyt duże niebezpieczeństwo. Karine była umówiona z Elle w kawiarni na rogu Wasserstraße, więc Pip zaproponował, że z nią pójdzie. Gdy tam dotarli, ujrzeli Elle siedzącą z Bo w ustronnej wnęce.

– Teraz nie ma już nikogo, kto mógłby nas bronić – powiedziała Karine, kiedy ona i Pip dołączyli do przyjaciół. – Każdy wie, że Haake jest antysemitą. Jak widać, usiłuje tu wprowadzić te okropne prawa funkcjonujące w pozostałych częściach Niemiec. Tylko patrzeć, jak żydowscy lekarze w Lipsku dostaną zakaz praktyki, a Aryjczycy nie będą mogli do nich chodzić po porady.

Pip zmierzył wzrokiem blade twarze wokół niego.

– Nie ma co panikować. Poczekajmy na powrót Goerdelera. W gazetach piszą, że będzie za kilka dni. Z Monachium wyruszył do Finlandii, żeby załatwić coś na zlecenie Izby Handlowej. Jestem pewny, że kiedy usłyszysz, co się stało, natychmiast wróci do Lipska.

– Ale w mieście panuje atmosfera nienawiści – wybuchła Elle. – Wszyscy wiedzą, że w konserwatorium studiuje mnóstwo Żydów. A jeśli tamci postanowią zrównać uczelnię z ziemią, tak jak w innych miastach zrobili z synagogami?

– Konserwatorium jest świątynią muzyki, a nie siedzibą sił politycznych czy religijnych. Proszę was, uspokójmy się wszyscy – powiedział Pip.

Elle i Bo coś do siebie w skupieniu szeptali.

– Łatwo ci tak mówić – odezwała się cicho Karine. – Nie jesteś Żydem i możesz uchodzić za jednego z nich. – Z uwagą przypatrywała się jego błękitnym oczom i falującym jasnorudym włosom. – W przeciwieństwie do mnie. Zaraz po zburzeniu pomnika w drodze do konserwatorium mijałam grupę młodzieży. Krzyczeli za mną: *Jüdische Hündin!*

Na wspomnienie tego opuściła wzrok. Pip doskonale wiedział, co to znaczy: „żydowska suka”. Poczul, jak gotuje się w nim krew, ale przecież nie pomoże Karine, jeśli wpadnie w furję.

– Jeszcze jedno – ciągnęła. – Nie mogę nawet porozumieć się z rodzicami. Są w Ameryce i przygotowują wystawę rzeźb ojca.

– Ze mną jesteś bezpieczna, kochanie. Nawet jeśli będę cię musiał zabrać do Norwegii, na pewno nic ci się nie stanie. – Chwycił ją za rękę i odgarnął z jej niespokojnej twarzy kosmyk lśniących, czarnych włosów.

– Obiecujesz?

Czule pocałował ją w czoło.

– Obiecuję.

*

Pipowi ulżyło, bo w ciągu kilku dni sytuacja rzeczywiście się uspokoiła. Wrócił Goerdeler i obiecał odbudować pomnik Mendelssohna. Ponownie otwarto konserwatorium. Przechodząc koło gruzów, Pip i Karine starali się odwracać oczy. Wydawało się, że studenci jeszcze nigdy nie grali z taką pasją i uczuciem – jakby od tego zależało ich życie.

Nadeszła przerwa w zajęciach z okazji Bożego Narodzenia. Była jednak zbyt krótka, aby którekolwiek z nich mogło jechać do domu. Wynajęli więc miejsca w małym hoteliku, gdzie zarejestrowali się jako mąż i żona. Pip został wychowany w luterańskiej tradycji, w której obowiązywały surowe reguły dotyczące współżycia przed ślubem, więc zdziwiło go swobodne podejście Karine do tych spraw. To ona zaproponowała pójście do łóżka, i to zaledwie kilka tygodni po tym, jak się poznali. Nie była dziewicą, choć dla niego był to pierwszy raz. Karine rozbawiło, że był tak nieśmiały.

– Przecież to naturalne, jeśli dwoje ludzi się kocha – drażniła się z nim, przyjmując w łóżku swobodną pozę i prężąc drobne, jędrne piersi. – Nasze ciała zostały stworzone do rozkoszy. Dlaczego mielibyśmy im tego odmawiać?

Przez następne kilka miesięcy Pip z radością uczył się od niej i pławił się w tym, co jego parafialny pastor nazwałby grzechem cielesnym. Po raz pierwszy spędzał Boże Narodzenie poza domem, ale stwierdził, że przebywanie z Karine jest znacznie lepsze niż jakikolwiek prezent gwiazdkowy, który mógłby dostać w domu.

– Kocham cię – szeptał do niej w kółko, nawet kiedy spała. – Kocham cię.

*

Następny semestr zaczynał się w styczniu. Pip wiedział, że jego nauka w konserwatorium dobiega końca, więc całkowicie skupił się na tym, by chłonąć wszystko, czego go uczono. Brnąc w śniegu mroźnej lipskiej zimy, nucił melodie Rachmaninowa, Prokofiewa i *Symfonię psalmów* Strawińskiego. Jednocześnie w głowie zaczynały mu się układać jego własne melodie.

Przychodził do konserwatorium, wyjmował z teczki papier nutowy i bazgrołąc, szybko zapisywał je zmarzniętymi dłońmi, zanim zapomni. Z czasem stwierdził, że komponowanie wychodzi mu najlepiej, jeśli puści wodze wyobraźni, choć inni studenci przeważnie skupiali się na drobiazgowym zaplanowaniu tematów i szczegółowym opracowywaniu taktu po takcie.

Pokazywał swoje utwory nauczycielowi, a ten krytykował go, jednocześnie zachęcając do dalszej pracy. Pip żył w stanie ciągłego podniecenia twórczego. Czuł, że jest na progu unikalnej kariery. Krew energiczniej pulsowała mu w żyłach, gdy wsłuchiwał się w swoją wewnętrzną muzę.

Miasto nadal było dość spokojne. W marcu miały się odbyć wybory, w których Goerdeler ubiegał się o reelekcję. Popierało go całe konserwatorium;

studenci roznosili ulotki i plakaty zachęcające mieszkańców do głosowania. Karine była przekonana, że uda mu się wygrać.

– Chociaż, jak na razie, nie był w stanie odbudować pomnika, to jeśli ludzie ponownie go wybiorą, Rzesza będzie chyba musiała go poprzeć? – mówiła, gdy piła kawę z Elle, wróciwszy do domu po całym dniu agitacji za burmistrzem.

– Tak, ale przecież Haake otwarcie mu się przeciwstawia – odparła Elle. – Zniszczeniem pomnika Mendelssohna jawnie wyraził swoje podejście do Żydów.

– Haake wzbudza niepokoje, by wymościć sobie miejsce wśród nazistów – ponuro przytaknęła jej Karine.

W noc liczenia głosów Pip, Karine, Elle i Bo dołączyli do tłumów zebranych pod ratuszem. Kiedy usłyszeli, że Goerdeler został ponownie wybrany, euforycznie wiwatowali wraz z innymi.

*

Niestety, kiedy w maju zakwitły drzewa i w końcu zaświeciło słońce, okazało się, że panująca w mieście euforia dobiega końca.

Pip cały boży dzień pracował w sali prób w konserwatorium. Karine znalazła go tam, by przekazać mu najnowsze wiadomości.

– Nadeszły wieści z Monachium. Nie odbudują pomnika – wydyszała.

– To straszne, ale nie martw się, kochanie. Do końca semestru zostało bardzo niewiele czasu, a potem zastanowimy się, co dalej robić.

– A jeżeli nie będziemy mieli czasu, żeby się zastanowić?

– Nie wpadaj w pesymizm. Idź do domu i zobaczmy się wieczorem.

Ale Karine miała rację. Kilka dni później Goerdeler podał się do dymisji i miasto na nowo pogrążyło się w chaosie.

*

Pip przygotowywał się do egzaminów, a oprócz tego pracował nad swoim pierwszym większym utworem, który miał być wykonany na koncercie dyplomowym tuż przed końcem semestru. Siedział po nocach, by dopracować instrumentację. Z trudem udawało mu się znaleźć czas, by pocieszyć zrozpaczoną Karine.

– Elle mówi, że kiedy za dwa tygodnie skończy się semestr, wyjadą z Lipska i już nie wrócą. Twierdzą, że zrobiło się tu zbyt niebezpiecznie. Narodowi socjaliści mają pełną swobodę, by dopominać się wprowadzenia takich samych sankcji wobec Żydów jak w innych miastach.

– Dokąd pojedą?

– Nie wiedzą. Może do Francji, choć Bo martwi się, że tam wkrótce będzie tak samo jak tutaj. Rzesza ma zwolenników w całej Europie. Napiszę do rodziców i poproszę ich o radę. Ale jeśli Elle wyjedzie, to ja też.

Pip nagle w pełni skupił się na jej słowach.

– Przecież twoi rodzice są w Ameryce!

– Tak. Ojciec ma zamiar tam zostać, dopóki w Europie nie opadnie ta straszna fala antysemityzmu.

– A ty do nich pojedziesz? – Pip poczuł w brzuchu uścisk paniki.

– Jeśli moi rodzice uznają, że tak będzie dobrze... to tak, pojedę do nich.

– A... co z nami? Co ja zrobię bez ciebie? – Sam usłyszał w swoim głosie egoistyczne skamlenie.

– Możesz pojechać ze mną.

– Przecież wiesz, że nie mam pieniędzy na podróż do Ameryki. A poza tym, jak zarobiłbym tam na życie, skoro nie skończyłem jeszcze konserwatorium i nie mam doświadczenia?

– *Chérie*, chyba nie rozumiesz powagi sytuacji. Żydom, którzy urodzili się w Niemczech, odebrano już obywatelstwo. Moim rodakom nie wolno zawierać związków małżeńskich z Aryjczykami ani służyć w wojsku. Mają zakaz używania flagi niemieckiej. Słyszałam nawet, że w niektórych częściach kraju zgarniają ludzi z dzielnic żydowskich i gdzieś ich wywożą. Skoro sprawy już zaszły tak daleko, to kto wie, do czego jeszcze dojdzie? – Karine wyzywająco zacisnęła szczękę.

– Więc odpłynęłabyś do Ameryki i zostawiła mnie tutaj?

– Jeśli miałoby mi to uratować życie, to tak. Na miłość boską, Pip, wiem, że pochłania cię utwór, który przygotowujesz, ale chyba wolisz mnie żywą niż umarłą?

– Oczywiście. Co to w ogóle za pytanie?! – odwarknął ze złością.

– Bo wciąż lekceważysz sytuację. W Norwegii jest bezpiecznie i nie zetknąłeś się z zagrożeniem. A my, Żydzi, wiemy, że zawsze będziemy prześladowani. To część naszej historii. Teraz jest tak samo. Wszyscy to czujemy. Może to instykt plemienny, ale wiemy, kiedy czyha na nas niebezpieczeństwo.

– Nie mogę uwierzyć, że wyjechałabyś beze mnie.

– Zachowuj się jak dorosły, Pip! Wiesz, że cię kocham i chcę z tobą spędzić całe życie, ale ta... sytuacja nie jest dla mnie niczym nowym. Nie lubiano nas, nawet zanim Rzesza uprawomocniła prześladowania. Wiele lat temu ojca obrzucono jajkami w Paryżu na jednej z wystaw jego rzeźb. Antysemityzm istnieje od tysięcy lat. Musisz to zrozumieć.

– Ale dlaczego tak jest?

Dziewczyna lekko wzruszyła ramionami.

– Ponieważ historia zrobiła sobie z nas kozły ofiarne, *chérie*. Ludzie zawsze boją się kogoś, kto się od nich różni. Przez całe wieki musieliśmy uciekać, zostawiać nasze domy i szukać następnych. A gdziekolwiek się osiedlimy, odnosimy sukcesy. Trzymamy się razem, bo tak nas nauczono. Dzięki temu przetrwaliśmy.

Pip ze wstydem opuścił wzrok. Karine miała rację. Większość życia spędził w bezpiecznym zakątku na krańcu świata, więc to, co mówiła, przypominało mu jakąś wymyśloną historię z innej galaktyki. I choć na własne oczy widział gruzy zburzonego pomnika Mendelssohna, wmawiał sobie, że zrobiła to przypadkowa grupa młodzieży, która chciała zaprotestować, tak jak norwescy rybacy, gdy podnoszono ceny paliwa do ich łodzi, a handlarze ryb nie chcieli podnieść cen.

– Masz rację – zgodził się. – Wybacz mi, Karine. Jestem naiwnym idiotą.

– Moim zdaniem, po prostu nie chcesz widzieć prawdy. Nie chcesz, by świat zakłócił twoje plany i marzenia na przyszłość. Nikt z nas tego nie chce. Ale jest, jak jest. – Westchnęła. – Spójrzmy prawdzie w oczy: nie czuję się już bezpieczna w Niemczech, więc muszę wyjechać. – Wstała. – Za pół godziny spotykam się z Elle i z Bo w Coffe Baum, żeby omówić sytuację. Do zobaczenia. – Pocałowała Pipa w czubek głowy i odeszła.

Popatrzył na rozłożone przed nim nuty. Jego utwór miał być wykonany za dwa tygodnie. Pip z jednej strony ganił się za to, że tak się tym przejmuje, z drugiej zaczął się zastanawiać, czy koncert w ogóle się odbędzie.

*

Kiedy spotkali się ponownie – tego samego dnia – Karine była spokojniejsza.

– Napisałam list do rodziców z prośbą o radę i muszę czekać na odpowiedź. Więc może uda mi się jednak usłyszeć, jak grasz swoje arcydzieło.

Pip sięgnął przez stół, by wziąć ją za rękę.

– Wybaczysz mi, że jestem takim samolubem?

– Pewnie. Rozumiem, że trudno byłoby znaleźć mniej dogodny termin.

– Wiele myślałem.

– O czym?

– Być może mogłabyś pojechać ze mną do Norwegii. Tam nie musiałabyś się bać o swoje bezpieczeństwo.

– Ja? Miałabym jechać do kraju reniferów, Bożego Narodzenia i śniegu? – zażartowała.

– Tam naprawdę nie zawsze pada śnieg – zaczął się bronić. – W lecie chybaby ci się spodobało. Mamy niewielką społeczność żydowską, która traktowana jest tak samo jak inni norwescy obywatele. Będiesz bezpieczna. A jeśli w Europie wybuchnie wojna, do Norwegii nie dotrze i nie trafią tam naziści. Wszyscy u nas mówią, że jesteśmy niewielkim i mało ważnym krajem, więc nikt nas nie zauważy. Poza tym w Bergen jest bardzo dobra orkiestra, jedna z najstarszych na świecie. Mój ojciec gra w niej na wiolonczeli.

Ciemne, wilgotne oczy Karine uważnie wpatrywały się w Pipa.

– Zabralbyś mnie ze sobą do domu?

– Oczywiście. Moi rodzice wszystko o tobie wiedzą... także o tym, że zamierzamy się pobrać.

– Wiedzą, że jestem Żydówką?

– Nie. – Pip poczuł, że się czerwieni. – Ale nie dlatego, że nie chcę, żeby o tym wiedzieli; po prostu religia nie ma dla nich znaczenia. To wykształceni ludzie, Karine, a nie wieśniacy z gór. Pamiętaj, że mój ojciec urodził się w Lipsku. Studiował muzykę w Paryżu i w kółko opowiada o życiu cyganerii na ulicach Paryża w czasach belle époque.

Teraz to Karine go przeproszała.

– Masz rację. Za bardzo się mądrzę. Być może... – położyła palec wskazujący między oczami tuż nad nosem i potarła to miejsce, jak zawsze, kiedy nad czymś rozmyślała – może to dobre rozwiązanie, jeśli nie uda mi się dostać do Ameryki. Dziękuję ci, *chérie*. Dobrze wiedzieć, że jest jakieś schronienie, w razie gdyby w przyszłości sytuacja nagle się pogorszyła. – Nachyliła się przez stół i pocałowała go.

Wieczorem przed spaniem Pip modlił się, aby „przyszłość” zaczekała na wykonanie jego utworu.

*

Chociaż czytali w gazetach o tym, że Żydów wychodzących z synagogi obrzucano kamieniami i o wielu innych bardzo niepokojących incydentach, Karine wydawała się spokojniejsza, być może dlatego, że mieli plan ucieczki. Przez następne dni Pip mógł więc całkowicie skupić się na muzyce. Nie miał odwagi myśleć, co się będzie działo po zakończeniu semestru. Z zapartym tchem czekał, aż Karine dostanie list od rodziców, którzy być może skłonią ją do wyjazdu do Ameryki. Myśl ta przyprawiała go o dreszcze, ponieważ do czasu, kiedy zacznie zarabiać jako muzyk, nie miał pieniędzy, by za nią jechać.

Karine odnalazła go, kiedy jadł obiad w dniu koncertu dyplomowego, na którym miano wykonać sześć kompozycji studentów.

– *Bonne chance, chérie* – powiedziała. – Przyjdziemy dzisiaj z Elle, żeby cię wspierać. Bo uważa, że twój utwór jest najlepszy.

– To bardzo miłe z jego strony. Zresztą też ma w to swój wkład, bo pięknie gra w orkiestrze na wiolonczeli. Ale muszę już iść na ostatnią próbę. – Pip pocałował Karine w nos i długim, pełnym przeciągów korytarzem poszedł do sali ćwiczeń.

Punktualnie o siódmej trzydzieści siedział we fraku w pierwszym rzędzie Großer Saal, obok pięciu innych młodych kompozytorów. Dyrektor konserwatorium, Walther Davisson, przedstawił ich wszystkich widowni i na estradę wszedł pierwszy kompozytor. Pip był ostatni. Najlepiej z całego wieczoru miał zapamiętać półtoragodzinną mękę oczekiwania na swoją kolej. Gdy przyszedł

jego czas, pomodlił się szybko i wszedł po stopniach na scenę. Obawiał się, że się potknie – tak straszliwie drżały mu nogi. Leciutko uklonił się publiczności i zajął miejsce przy fortepianie.

Niewiele pamiętał z oklasków i okrzyków entuzjazmu, które rozległy się, kiedy razem z pozostałymi kompozytorami kłaniał się publiczności. Wiedział tylko, że dał z siebie wszystko, i jedynie to się liczyło.

Później otoczyli go koledzy ze studiów i profesorowie. Wszyscy klepali go po plecach i przepowiadali mu wielką przyszłość. Poproszono go także o wywiad dla gazety.

– Mój własny Grieg. – Karine zachichotała, kiedy udało jej się przepchnąć przez tłum, by go uścisnąć. – Właśnie zaczęła się twoja błyskotliwa kariera, *chérie*.

*

Po koncercie Pip wypił znacznie za dużo szampana. Zirykowało go więc, kiedy wczesnym rankiem usłyszał głośne pukanie do drzwi pokoju na stacji. Wygrzebał się z łóżka, by otworzyć, i zobaczył rozdrażnioną, pełną potępienia twarz gospodyni, która była jeszcze w koszuli nocnej.

– Herr Halvorsen, na dole czeka na pana jakaś młoda kobieta, która mówi, że natychmiast musi się z panem widzieć.

– *Danke*, Frau Priewe. – Zamknął drzwi i włożył pierwszą lepszą koszulę i spodnie.

Na progu czekała na niego pobladła Karine. Najwyraźniej Frau Priewe nawet w nagłych przypadkach przestrzegająca zasady „żadnych kobiet w domu”.

– O co chodzi? Co się stało?

– Wczoraj w nocy w Lipsku podpalono trzy domy. We wszystkich mieszkali Żydzi, a w jednym z nich Bo.

– O Boże! Co z nim?

– Żyje. Udało mu się uciec. Wyskoczył z okna na pierwszym piętrze. Oczywiście ze swoim bezcennym smyczkiem. – Karine udało się smutno uśmiechnąć. – Bo i Elle natychmiast wyjeżdżają z Lipska. Ja również koniecznie muszę uciekać. Chodź, przyda mi się trochę kawy, a ty też wyglądasz, jakbyś jej potrzebował.

Kawiarenkę koło konserwatorium otwarto przed kilkoma minutami, więc było tam zupełnie pusto. Usiedli przy stoliku pod oknem i złożyli zamówienie. Pip mocno pocierał swoją twarz, by jakoś się ocucić. Miał porządnego kaca.

– Dostałaś już odpowiedź od rodziców? – zapytał.

– Przecież wiesz, że do wczoraj nic od nich nie przyszło, a dzisiaj jest za wcześnie na listonosza – odparsknęła Karine. – Napisałam do nich przecież niecałe dwa tygodnie temu.

– Co zrobią Elle i Bo?

– Jak najszybciej wyjadą z Niemiec, to pewne. Ale żadne z nich nie ma pieniędzy, żeby jechać gdzieś daleko. A jeśli chodzi o mnie, to nie mogę wrócić do mieszkania rodziców, bo wynajęli je na czas swojego pobytu w Ameryce. Nie mam dokąd jechać. – Wzruszyła ramionami.

– A więc... – Pip domyślał się, o co jej chodzi.

– Tak, Pip, jeśli nadal mnie zapraszasz, pojedę z tobą do Norwegii i będę tam przynajmniej do czasu, kiedy skontaktują się ze mną rodzice. Semestr kończy się za parę dni. Twój utwór został już wykonany, więc nie widzę powodu, żeby zwlekać. Dziś rano, kiedy widziałam się z Elle i Bo, mówili, że po wczorajszych pożarach Żydzi na dobre zaczną wyjeżdżać z Lipska, więc musimy wyruszyć, dopóki to możliwe.

– Tak – zgodził się Pip. – Jasne.

– Ale... Chciałabym cię jeszcze o coś prosić.

– O co?

– Wiesz, że od przyjazdu do Lipska Elle stała się dla mnie bliska jak siostra. Jej rodzice nie żyją, zginęli podczas Wielkiej Wojny. Ona razem z bratem trafiła do sierocińca. Jego adoptowano, kiedy był niemowlakiem, i od tamtej pory już go nie widziała. Elle nie miała takiego szczęścia. W konserwatorium mogła studiować tylko dzięki temu, że nauczyciel muzyki zauważył u niej talent do gry na flecie i altówce i załatwił jej stypendium.

– Więc Elle nie ma domu?

– Tylko sierociniec. Jej dom to sierociniec i nasz wspólny pokój tu, w Lipsku. Bo i ja jesteśmy jej jedynymi bliskimi osobami. Pip... czy Elle i Bo mogliby pojechać z nami do Norwegii? Chociaż na kilka tygodni. Z bezpiecznego miejsca zobaczą, jak rozwinie się sytuacja w Europie, i postanowią, co robić dalej. Wiem, że proszę cię o wiele, ale nie mogę jej tak zostawić. A ona nigdzie się nie ruszy bez Bo, więc on też musi z nami jechać.

Pip, patrząc na zrozpaczoną twarz Karine, rozważył w myślach, co powiedzą jego rodzice, jeśli zjawi się na ich progu i oznajmi, że przywiózł na wakacje trójkę przyjaciół. Wiedział jednak, że będą hojni i gościnni, zwłaszcza dla muzyków.

– Tak. Oczywiście, mogą z nami jechać, jeśli uważasz, że tak będzie dobrze, kochanie.

– Czy możemy wyruszyć już teraz? Natychmiast. Im szybciej się stąd wydostaniemy, tym lepiej. Bardzo cię proszę. Ominie cię oficjalne rozdanie dyplomów, ale...

Pip dobrze wiedział, że każdy dzień w Lipsku nie tylko grozi Karine niebezpieczeństwem, ale zwiększa prawdopodobieństwo, że jego ukochana dostanie list od rodziców i popłynie do Ameryki.

– Tak. Wyjedziemy wszyscy. Natychmiast.

– Dziękuję! – Karine zarzuciła mu ręce na ramiona, a w jej oczach zobaczył

ulgę.

– Chodź, powiemy Elle i Bo, że jadą z nami.

Dwa dni później Pip prowadził swoich przyjaciół trzosem z parowca do portu w Bergen. Rodziców powiadomił o niespodziewanych gościach, dzwoniąc z Lipska z gabinetu dyrektora konserwatorium. Pożegnał się w pośpiechu i podziękował kolegom ze studiów i profesorom. Dyrektor mocno poklepał go po plecach i gorąco pochwalił za to, że zabiera przyjaciół do Norwegii.

– Jedźcie jak najszybciej. Tak jest rozsądniej. Kto wie? Wkrótce może to nie być takie łatwe... – Westchnął ze smutkiem. – Niech Bóg błogosławi cię w podróży, mój drogi. Napisz do mnie, kiedy dojedziesz.

Pip odwrócił się do przyjaciół, którzy zmęczonym wzrokiem ogarniali rząd drewnianych domów o cukierkowych kolorach przy ulicy wzdłuż portu. Usiłowali odnaleźć się w nowym otoczeniu. Bo szedł z wielkim trudem; miał posiniaczoną twarz. Pip obawiał się, że przyjaciel, skacząc przez okno, złamał sobie łokieć. Elle przywiązała mu prawą rękę do klatki piersiowej temblakiem z chustki. Przez całą długą podróż ani słowem się nie poskarżył, choć nie był w stanie ukryć cierpienia na twarzy.

Pip zobaczył na brzegu ojca i podszedł do niego z szerokim uśmiechem.

– *Far!* – zawołał.

Ojciec, Horst Halvorsen, mocno objął syna i serdecznie się uściśnił.

– Jak się czujesz? – spytał Pip.

– Świetnie, dziękuję. Mama również. – Horst uśmiechnął się do wszystkich ciepło. – A teraz przedstaw mnie swoim przyjaciołom.

Każde z nich z wdzięcznością uściśniło jego dłoń.

– Witajcie w Norwegii – powiedział. – Bardzo się cieszymy, że możemy was gościć.

– *Far* – przypomniał mu Pip. – Pamiętaj, że żadne z moich przyjaciół nie zna norweskiego.

– Oczywiście! Przepraszam. Niemiecki? Francuski?

– Moim językiem ojczystym jest francuski – odpowiedziała Karine. – Ale znamy też niemiecki.

– W takim razie będziemy mówili po francusku! – Horst klasnął w dłonie jak uradowane dziecko. – Nigdy nie mam okazji pochwalić się moim wspaniałym akcentem. – Uśmiechnął się szeroko i kiedy szli w stronę jego samochodu, wesoło gawędził z gośćmi po francusku.

Rozmawiali tak podczas jazdy krętą górską drogą, aż do domu we Froskehuset. Pip czuł się trochę obco, bo bardzo słabo znał francuski. Siedząc na przednim siedzeniu pasażera, spoglądał w bok na ojca, który zaczesał do tyłu jasne włosy nad coraz wyższym czołem; rysy twarzy Horsta znamionowały wesołe usposobienie. Pip prawie nie pamiętał go bez uśmiechu na twarzy. Ojciec zapuścił

sobie kozią bródkę i wąsy, przez co przypominał Pipowi portrety francuskich impresjonistów. Tak jak syn przewidywał, ojciec wyglądał na zachwyconego przyjazdem jego przyjaciół. Pip jeszcze nigdy tak go nie kochał jak teraz, za to serdeczne przywitanie.

W domu drzwi otworzyła matka Pipa, Astrid. Wyglądała jak zawsze pięknie. Ona także ciepło przywitała gości, ale po norwesku. Natychmiast skupiła uwagę na Bo, który był tak wyczerpany i tak go wszystko bolało, że musiał się opierać o Elle.

Astrid z przerażenia podniosła dłoń do ust.

– Co mu się stało?

– Wskoczył przez okno, kiedy podpalono dom, w którym mieszkał na stacji – wyjaśnił jej syn.

– Biedaczek! Horst, zabierzcie pozostałych gości do salonu. A ty, Bo – wskazała krzesło, które stało koło telefonu w holu – usiądź. Obejrzę twoje rany.

– Mama jest wykwalifikowaną pielęgniarką – mruknął Pip pod nosem do Karine, kiedy szli za Horstem i Elle korytarzem. – Kiedyś na pewno usłyszysz historię o tym, jak zakochała się w ojcu, kiedy opiekowała się nim po operacji wyrostka.

– Wygląda na młodszą od niego.

– Bo tak jest. O piętnaście lat. Ojciec zawsze mówił, że ożenił się z dzieckiem. Miała tylko osiemnaście lat, kiedy zaszła w ciążę. Uwielbiają się nawzajem.

– Pip...

Na ramieniu poczuł szczupłe, delikatne palce Karine.

– Dziękuję ci w imieniu nas wszystkich.

*

Wieczorem, po wizycie lekarza, który opatrzył rany Bo i umówił się z nim na wizytę w szpitalu, by sprawdzić, czy łokieć nie jest pęknięty, Elle i Astrid pomogły Bo wejść na górę i położyły go do łóżka w pokoju Pipa.

– Biedny chłopak – rzuciła Astrid, kiedy wróciła na dół, by przygotować kolację.

Pip poszedł za nią do kuchni.

– Jest kompletnie wykończony – powiedziała. – Ojciec trochę mi opowiadał, co się dzieje w Lipsku. Możesz mi podać obieraczkę do ziemniaków?

– Tak, proszę.

– Są raczej uchodźcami niż trójką przyjaciół, którzy przyjechali w odwiedziny do Norwegii, prawda?

– Według mnie, są i jednym, i drugim.

– Jak długo tu zostaną?

– Prawdę mówiąc, nie wiem, *mor*.

- Wszyscy są Żydami?
- Karine i Elle są Żydówkami, a co do Bo, nie jestem pewien.
- Przyznaję, że trudno uwierzyć w to, co dzieje się w Niemczech. A jednak to prawda. Świat jest okrutny. – Astrid westchnęła. – A Karine... To ona jest dziewczyną, o której tyle nam opowiadałeś?
- Tak. – Pip przyglądał się, jak matka obiera ziemniaki, i czekał, że powie coś więcej.
- Jest bardzo żywiołowa, niezwykle inteligenta. Pewnie jest z nią czasem niezłe utrapienie? – dodała.
- To prawda, bywa dla mnie wyzwaniem, ale dzięki niej wiele dowiedziałem się o świecie – bronił ukochanej Pip.
- Właśnie tego potrzebujesz: silnej kobiety. Bóg wie, co twój ojciec zrobiłby beze mnie. – Astrid się roześmiała. – Jestem dumna z twojej postawy wobec przyjaciół. Ja i twój ojciec zrobimy, co się da, żeby ich wesprzeć. Chociaż...
- Co takiego, *mor*?
- Przez swoje dobre serce będziesz musiał spać na kanapie w salonie aż do czasu, kiedy Bo wyzdrowieje.

*

Po kolacji na tarasie, z którego rozciągał się przepiękny widok na znajdujący się poniżej fiord, Elle poszła na górę zobaczyć, jak się miewa Bo, który wcześniej dostał kolację na tacy, a potem poszła spać. Horst i Astrid też powiedzieli, że się położą. Pip słyszał, jak idąc na górę po schodach, cichutko się śmieją. Przy kolacji obserwował, jak z twarzy jego przyjaciół znika napięcie. Jeszcze nigdy nie był tak dumny z rodziców ani tak wdzięczny, że jest w Norwegii.

– Też powinnam już iść na górę – odezwała się Karine. – Jestem wykończona, ale ten widok jest tak niesamowity, że szkoda mi stąd odejść. Widzisz? Już prawie jedenasta, a jest jeszcze jasno.

– A rano słońce wzejdzie na długo, zanim się obudzisz. Mówiłem ci, że jest tu pięknie – powiedział Pip. Wstał od stołu, przeszedł przez taras i oparł się o drewnianą poręcz, która dzieliła dom od gęstego sosnowego lasu ciągnącego się w dół aż do brzegu.

– „Pięknie” to za mało powiedziane. Jest tak cudownie, że zapiera dech w piersiach. I nie tylko krajobraz, ale przywitanie twoich rodziców, ich dobroć... Czuję się nią poruszona.

Pip przytulił ją, a ona z ulgi rozplakała się na jego ramieniu. Podniosła wzrok i pytająco wpatrzyła mu się w twarz.

– Powiedz, że nigdy nie będę musiała stąd wyjeżdżać.

I tak jej powiedział.

*

Następnego dnia rano Horst zawiózł Bo i Elle do miejscowego szpitala. U Bo zdiagnozowano zwichnięcie łokcia i skomplikowane pęknięcia kości. Został w szpitalu, by nastawiono mu staw. Elle następne kilka dni spędziła przy nim, więc Pip miał czas pokazać Karine uroki Bergen.

Zabrał ją do Troidhaugen, zamienionej w muzeum posiadłości Griega, do której z ich domu można było przejść spacerkiem. Z przyjemnością patrzył, z jaką radością ogląda chatkę przycupniętą na zboczu fiordu, w której maestro skomponował kilka swoich utworów.

– Czy i ty będziesz miał taki domek, kiedy zyskasz sławę? – zapytała. – W porze obiadu będę ci przynosiła słodczyce i wino, a potem będziemy się kochać na podłodze.

– W takim razie będę musiał zamykać się na klucz. Kompozytor nie może się rozpraszać podczas pracy – droczył się z nią.

– No to ja poszukam sobie kochanka, który pomoże mi przetrwać godziny samotności – odparowała z przebiegłym uśmiechem i odwróciła się, żeby od niego odejść.

Pip dogonił ją ze śmiechem i objął od tyłu ramionami, aby ją zatrzymać. Ustami dotknął czułe miejsce na jej szyi.

– Nigdy tego nie rób – szepnął. – Kochaj się tylko ze mną.

Pojechali pociągiem do miasta, pospacerowali po brukowanych ulicach, a na obiad zatrzymali się w kafejce, by Karine po raz pierwszy zakosztowała okowity.

Zachichotali, kiedy w ich oczach pojawiły się łzy od trunku, a Karine oznajmiła, że okowita „jest mocniejsza od absyntu”, i natychmiast poprosiła o następną. Po obiedzie zabrał ją do Det Norske Theater, którego dyrektorem artystycznym był Ibsen, a Grieg dyrygował tam orkiestrą.

– Teraz muzycy mają swoją własną siedzibę, Konsertpalæet. Mój ojciec spędza tam znaczną część życia, bo jest pierwszym wiolonczelistą w orkiestrze – dodał.

– Myślisz, że mógłby nam obojgu załatwić pracę?

– Oczywiście może nas polecić – powiedział, nie chciał bowiem gasić entuzjazmu Karine informacją, że w Orkiestrze Filharmonii w Bergen nie gra – i nigdy nie grała – żadna kobieta.

Następnego dnia wsiedli w Fløibanen, czyli kolejkę linowo-torową jeżdżącą na jeden z siedmiu imponujących szczytów wokół Bergen, górę Fløyen. Z tamtejszej platformy widokowej roztaczał się niesamowity widok na znajdujące się w dole miasto i błyszczący fiord za nim. Karine westchnęła z rozkoszy, patrząc zza balustrady.

– Jestem pewna, że nigdzie na świecie nie ma piękniejszego widoku – szepnęła.

Jej autentyczny zachwyty sprawiał Pipowi wielką radość, zwłaszcza że dotąd marzyła o znacznie dalszej podróży do Ameryki. Poprosiła go, by nauczył ją podstawowych zwrotów po norwesku, ponieważ było jej przykro, że nie może porozumieć się z jego matką bez tłumacza.

– Jest dla mnie taka miła, *chérie*. Chcę jej podziękować w jej własnym języku i powiedzieć, jak bardzo to doceniam.

*

Bo wrócił do domu z prawą ręką w gipsie. Teraz wieczory spędzali na tarasie. Najpierw jedli kolację, a potem naprędce urządzali zaimprovizowane koncerty. Pip siadał przy fortepianie w salonie przy szeroko otwartych drzwiach na taras. W zależności od utworu, Elle grała na skrzypcach albo na flecie, Karine na oboju, a Horst na wiolonczeli. Grali wszystko: od prostych norweskich piosenek ludowych, których Horst cierpliwie ich nauczył, przez utwory starych mistrzów, takich jak Beethoven i Czajkowski, po bardziej współczesnych kompozytorów, jak Bartók czy Strawiński. Cudowna muzyka unosiła się nad górami aż do fiordu. Życie Pipa stało się harmonijnym połączeniem wszystkiego, co kochał i czego potrzebował. Cieszył się, że przywiózł przyjaciół do Norwegii.

Tylko późną nocą, kiedy leżał ściśnięty na zaimprovizowanym łóżku w pokoju, który teraz dzielił z Bo, i tęsknił za zmysłowym nagim ciałem Karine, przychodziło mu do głowy, że życie nigdy nie jest do końca idealne.

*

Kiedy dobiegał końca balsamicznie ciepły sierpień, w domu Halvorsenów odbyło się kilka poważnych rozmów o przyszłości. Pierwszą z nich przeprowadzili Pip i Karine. Późną nocą zostali we dwójkę na tarasie, kiedy wszyscy poszli spać. Karine w końcu dostała list od rodziców. Postanowili zostać w Ameryce, dopóki nad Europą nie przetoczy się burza. Poradzili jej nie wracać do Niemiec na następny semestr. Uznali jednak, że na razie nie ma potrzeby, by wyruszyła w długą i kosztowną podróż do Ameryki, skoro znalazła bezpieczne schronienie w Norwegii.

– Przesyłają ci moc uścisków i podziękowania dla twoich rodziców – powiedziała Karine, wkładając list z powrotem do koperty. – Czy, twoim zdaniem, będą mieli coś przeciwko temu, żebym została tu na dłużej?

– Ależ skąd! Ojciec chyba trochę się w tobie zakochał. A przynajmniej w twojej grze na oboju – powiedział Pip z uśmiechem.

– Tylko że jeśli mam tu zostać, nie mogę nadużywać ich gościnności. A poza tym, tęsknię za tobą, *chérie* – szepnęła Karine, przytulając się do niego i delikatnie szczypiąc go w ucho ustami. Pocałowali się, ale Pip szybko się od niej odsunął, bo na górze ktoś otworzył drzwi.

- Jesteśmy pod dachem moich rodziców i musisz zrozumieć, że...
- Wszystko rozumiem, *chérie*. Ale może moglibyśmy znaleźć własne mieszkanie. Bardzo tęsknię za naszą bliskością... – Sięgnęła po jego dłoń i położyła ją sobie na piersiach.
- Ja też, kochanie. – Delikatnie odsunął jej dłoń, na wypadek gdyby ktoś ich przyłapał. – Moi rodzice akceptują wiele rzeczy, których inni Norwedzy by nie zaakceptowali, ale najmniejsza wzmianka o tym, żebyśmy przed ślubem spali w tym samym łóżku, czy to pod ich dachem, czy pod naszym własnym, jest nie do przyjęcia. To oznaczałoby brak szacunku dla wszystkiego, co dla nas zrobili.
- Wiem, ale co możemy zrobić? Dla mnie to męka. – Karine przewróciła oczami. – Wiesz, jak bardzo tego potrzebuję.
- Ja też. – Pip czasami miał wrażenie, że to ona zachowuje się jak mężczyzna, kiedy tak dążyła do ich fizycznego zbliżenia. – Ale tak już jest w Norwegii... chyba że zgodziłabyś się przyjąć naszą wiarę, żeby mnie poślubić.
- Musiałabym przejść na chrześcijaństwo?
- Ścisłej mówiąc, musiałabyś zostać luteranką.
- *Mon Dieu!* To wysoka cena za uprawianie miłości. W Ameryce na pewno nie ma takich zasad.
- Może i tak, ale nie jesteśmy w Ameryce, Karine. Mieszkamy w małym miasteczku w Norwegii. I chociaż bardzo cię kocham, nie mógłbym otwarcie z tobą mieszkać tuż pod nosem moich rodziców. Rozumiesz to?
- Tak, ale... Żeby zmieniać wyznanie! To tak, jakbym zdradziła własny naród. Chociaż moja matka była gojką, zanim poślubiła ojca, więc jestem tylko pół-Żydówką. Muszę zapytać rodziców, co o tym myślą. Dali mi telefon do galerii ojca, żebym mogła tam zadzwonić w nagłych przypadkach, i chyba muszę z niego teraz skorzystać. Jeśli się zgodzą, to moglibyśmy wkrótce się pobrać?
- Nie wiem, jakie są przepisy, ale pastor najpierw musiałby chyba mieć świadectwo twojego chrztu.
- Dobrze wiesz, że go nie mam. Mogłabym się ochrzcić tutaj?
- Zrobiłabyś to? Ochrzciłabyś się w kościele luteranckim?
- Kilka kropli wody i krzyż na moim czole nie zrobi ze mnie chrześcijanki w głębi serca, Pip.
- Nie, ale... – Miała wrażenie, że nie zrozumiała, o co mu chodzi. – Oprócz tego, że chcesz się ze mną kochać... Czy jesteś pewna, że chcesz mnie poślubić?
- Wybacz mi, Pip. – Uśmiechnęła się. – Konieczność ustalenia praktycznych rozwiązań przesłoniła romantyczny aspekt naszej rozmowy. Oczywiście, że chcę cię poślubić! I zrobię wszystko, żeby do tego doprowadzić.
- Naprawdę zmieniałabyś dla mnie wiarę? – Pip był oszołomiony i zaskoczony. Wiedział, jak ważne jest dla Karine jej dziedzictwo.
- Tak. Jeśli tylko zgodzą się na to moi rodzice. Muszę być rozsądna, *chérie*.

Jestem pewna, w tych okolicznościach każdy Bóg, mój czy twój, mi wybaczy.

– Zaczynam podejrzewać, że chcesz mnie tylko dla mojego ciała – droczył się z nią Pip.

– Pewnie tak – zgodziła się ze spokojem. – Jutro zapytam twojego ojca, czy mogę zadzwonić do Ameryki.

Pip przyglądał się, jak jego ukochana wychodzi z pokoju. Wciąż zadziwiała go swoim temperamentem, nieprzewidywalnością i donkiszotowskim myśleniem. Ciekawe, czy kiedykolwiek do końca ją zrozumie – taka była skomplikowana. Jeśli się pobiorą, przynajmniej nie będzie się nudził.

Następnego wieczoru rodzice Karine oddzwonili do córki.

– Zgodzili się – oznajmiła z powagą. – Nie tylko dlatego, żebym mogła cię poślubić. Uważają, że będzie bezpieczniej, jeśli przyjmę twoje nazwisko. Tak na wszelki wypadek...

– Jestem bardzo szczęśliwy, kochanie – powiedział Pip, objął ją i mocno pocałował.

– Jak szybko da się wszystko pozalatwiać? – odezwała się, gdy w końcu się od niego oderwała.

– Powinnaś spotkać się z pastorem, a on musi wyrazić zgodę na twój chrzest.

– Jutro? – Sięgnęła ręką w stronę jego krocza.

– Bądź poważna – upomniał ją. Jęknął, kiedy go dotknęła, ale zaraz delikatnie odsunął jej rękę. – Zgadzasz się na razie mieszkać w Norwegii?

– Są gorsze miejsca na ziemi. Póki sytuacja się nie zmieni, musimy żyć z dnia na dzień i zobaczymy, co się będzie działo. Wiesz, że bardzo mi się tu podoba... wszystko oprócz waszego okropnego języka.

– W takim razie muszę jak najszybciej znaleźć pracę jako muzyk, żeby nas utrzymać. Może w tutejszej orkiestrze, a może w Oslo?

– Może i mnie uda się znaleźć pracę.

– Niewykluczone, ale najpierw musiałabyś się nauczyć nieco więcej z naszego okropnego języka niż „proszę” i „dziękuję” – droczył się z nią.

– Dobrze już, dobrze! Przecież się staram.

– Tak. – Pip pocałował ją w nos. – Wiem o tym.

*

Kiedy Pip i Karine oznajmili, że chcą się pobrać, Astrid przygotowała dla nich uroczystą kolację.

– Czy chcecie z Karine zamieszkać tu, w Bergen? – zapytała.

– Na razie tak, jeśli pomożesz nam znaleźć pracę w orkiestrze, *far* – odpowiedział Pip.

– Oczywiście mogę się spytać – odparł Horst, a Astrid wstała i uścisnęła przyszłą synową.

– Dość o sprawach praktycznych. To szczególny wieczór. Gratulacje, *kjære*, i witaj w rodzinie Halvorsenów. Myślałam, że Pip ze swoim talentem przepadnie nam gdzieś w Europie albo Ameryce. A ty sprowadziłaś naszego syna do domu. To uszczęśliwia mnie najbardziej.

Pip przetłumaczył słowa matki. W jej oczach zobaczył łzy, podobnie jak w oczach przyszej żony.

– Gratulacje! – Bo wznosił toast. – Elle i ja mamy nadzieję pójść w wasze ślady.

*

Astrid dobrze знаła miejscowego pastora, więc poszła z nim porozmawiać. Cokolwiek powiedział jej o żydowskim pochodzeniu Karine, zatrzymała dla siebie. Najważniejsze, że zgodził się natychmiast udzielić chrztu podczas krótkiego nabożeństwa, w którym uczestniczyli Halvorsenowie. Już po wszystkim Horst wziął syna na stronę.

– To, co dzisiaj zrobiła Karine, ma wiele pozytywnych aspektów. Mam w orkiestrze kolegę, który właśnie wrócił z koncertu w Monachium. Antyżydowska kampania nazistów błyskawicznie się nasila.

– Ale tutaj na pewno nie dotrze?

– Tak by się wydawało, ale skoro wariat porwał za sobą tylu ludzi, i to nie tylko w Niemczech... Kto wie, jak to się może skończyć.

Wkrótce potem Bo i Elle oznajmili, że na razie oni także zostaną w Bergen. Zdjęto już gips z ręki Bo, łokieć był na razie zbyt sztywny do gry na wiolonczeli.

– Oboje modlimy się, żeby szybko doszedł do siebie – wyznała Elle Karine, kiedy wieczorem były w ich wspólnej sypialni. – Od tego zależy spełnienie jego wszystkich marzeń. Na razie znalazł sobie pracę u kartografa mieszkającego w porcie. Nad pracownią jest mieszkanie, które nam zaproponowano. Udajemy, że jesteśmy po ślubie. Ja będę sprzątała u żony kartografa.

– Znacie wystarczająco norweski, żeby sobie poradzić? – z zazdrością zapytała przyjaciółkę Karine.

– Bo szybko się uczy, a ja bardzo się staram. Poza tym kartograf jest Niemcem, a ten język znamy przecież bardzo dobrze.

– A pobierzecie się naprawdę?

– Bardzo tego chcemy, najpierw jednak musimy zaoszczędzić dość pieniędzy, więc na razie musimy żyć w kłamstwie. Bo mówi, że najważniejsze jest to, co w sercu, a nie na papierze.

– Z tym się zgadzam. – Karine wyciągnęła rękę do przyjaciółki. – Obiecujesz, że nadal będziemy ze sobą blisko, kiedy przeprowadzicie się do miasta?

– Oczywiście. Jesteś dla mnie jak siostra, Karine. Kocham cię i nigdy nie

będę w stanie dostatecznie podziękować tobie i Pipowi za to, co dla nas zrobiliście.

*

– A czy my też niedługo zamieszkamy pod własnym dachem? – zapytała Karine Pipa następnego dnia rano, kiedy powiedziała mu o Elle i Bo.

– Jeśli jutrzejsza rozmowa na temat pracy pójdzie tak, jak mam nadzieję, może wkrótce się przeprowadzimy – odparł Pip. Ojciec załatwił mu przesłuchanie u Haralda Heidego, dyrygenta Orkiestry Filharmonii w Bergen.

– Na pewno będzie dobrze, *chérie* – zapewniła go i przypieczętowała swoje słowa pocałunkiem. – Na pewno.

*

Kiedy Pip wszedł do Konsertpalæet denerwował się chyba bardziej niż przed egzaminem wstępnym do konserwatorium. Być może dlatego, pomyślał gorzko, że tym razem wyniki jego występu będą miały wpływ na prawdziwe życie, a wtedy był beztroskim młodzieńcem odpowiedzialnym tylko za siebie. Przedstawił się kobiecie w kasie biletowej, a ona poprowadziła go korytarzem do przestronnej sali ćwiczeń, w której stał fortepian i stos pulpitów dla muzyków. Wkrótce dołączył do niego wysoki, barczysty mężczyzna o wesołych oczach i gęstych ciemnoblonde włosach; przedstawił się jako Harald Heide.

– Ojciec często chwalił pana talent, Herr Halvorsen. Bardzo się cieszy, że wrócił pan do Norwegii – powiedział i ciepło uścisnął mu dłoń. – Rozumiem, że gra pan na fortepianie i na skrzypcach?

– Tak, choć podczas studiów w Lipsku moim głównym instrumentem był fortepian. Kiedyś mam nadzieję zostać kompozytorem.

– No to proszę, zaczynamy. – Herr Heide dał znak Pipowi, by usiadł przy fortepianie, a sam zajął miejsce na wąskiej ławeczce pod ścianą. – Kiedy tylko będzie pan gotowy.

Dłonie Pipa lekko drżały, gdy uniósł je nad klawiaturę, ale ledwie dał się pochłonąć serii przypominających bicie dzwonów akordów otwierających pierwszą część *Drugiego koncertu fortepianowego c-moll* Rachmaninowa, nerwy całkowicie go opuściły. Poruszony burzliwą zmysłowością utworu, zamknął oczy i usłyszał w myślach akompaniament instrumentów smyczkowych i dętych. Kiedy wykonywał serię szybkich *arpeggio*, palce tańczyły mu po klawiaturze. Był w połowie lirycznej wolnej części, kiedy Herr Heide mu przerwał.

– To wystarczy. Wspaniale pan zagrał. Jeśli na skrzypcach gra pan przynajmniej w połowie tak dobrze, nie widzę powodu, aby nie dać panu pracy, Herr Halvorsen. A teraz chodźmy porozmawiać w biurze.

Godzinę później Pip jak na skrzydłach wrócił do domu i oznajmił Karine i rodzicom, że został oficjalnie zatrudniony przez Orkiestrę Filharmonii w Bergen.

– Na razie będę miał zastępstwa na fortepianie i na skrzypcach, kiedy stali muzycy nie będą mogli grać albo zachorują – dodał. – Herr Heide twierdzi jednak, że pianista jest już stary i często bywa niedysponowany. Może wkrótce przejdzie na emeryturę.

– Franz Wolf przypomina skrzypiące drzwi i cierpi na reumatyzm palców. Nie zabraknie ci okazji, żeby występować. Znakomicie, mój chłopcze! – Horst poklepał go po plecach. – Będziemy razem grali, tak jak kiedyś grałem z moim ojcem, Jensem.

– Powiedziałaś mu, że jesteś też kompozytorem? – naciskała Karine.

– Tak, ale nie wszystko naraz. Na razie jestem wdzięczny, że po ślubie będę w stanie cię utrzymać, jak przystało na męża.

– A kiedyś może i ja dołączę do orkiestry – rzuciła Karine, trochę nadąsana.
– Nie sądzę, żebym była dobrą *Hausfrau*.

Pip przetłumaczył matce jej słowa, na co Astrid się uśmiechnęła.

– Nie martw się. Kiedy razem z ojcem będziecie grali, ja nauczę Karine, jak prowadzić dom.

– W orkiestrze znów będzie dwóch Halvorsenów, w tym syn, który wkrótce się ożeni. A niedługo na pewno będziemy mieli mnóstwo wnuków do kochania. – Oczy Horsta zamigotały ze szczęścia.

Pip zobaczył, jak Karine unosi swoje ciemne brwi. Często mówiła, że nie nadaje się na matkę i jest zbyt samolubna, żeby mieć dzieci. Nie brał tego poważnie, bo lubiła szokować ludzi, mówiąc o rzeczach, o których nie wypadało nawet myśleć. A on ją za to kochał.

*

Karine i Pip pobrali się dzień przed wigilią Bożego Narodzenia. Miasto przykrył nieskazitelny płaszcz świeżego śniegu, a kiedy nowożeńcy po ślubie jechali we dwójkę dorożką do Grand Hotelu, światelka, którymi udekorowane było centrum Bergen, nadawało ich świątu bajkowej atmosfery. Po uroczystości weselnej, za którą uparł się zapłacić Horst, państwo młodzi nareszcie pożegnali się z gośćmi i poszli na górę. Kiedy weszli do pokoju hotelowego, który w prezencie ślubnym ufundowali im Elle i Bo, wpadli sobie w ramiona z taką namiętnością, że spowodować ją mogło tylko sześć miesięcy abstynencji. W trakcie pocałunku Pip rozpiął guziki sukni Karine. Gdy kremowa koronka, z której była uszyta, opadała, przesuwając jej śladem opuszkami palców w dół, wzdłuż pięknie rzeźbionych obojczyków żony, po czym dotknął jej piersi z ciemnoróżowymi sutkami. Jęknęła, chwyciła go za włosy i uwalniając usta od jego warg, pociągnęła głowę Pipa w dół, do swoich piersi. Czując, jak chwyta ustami sutek, z rozkoszą zachłysnęła się powietrzem, jednocześnie zsuwając suknię z bioder, tak że w końcu koronka opadła na podłogę. Pip wziął żonę w ramiona i zaniósł na łóżko, oddychając

szybko i płytko z podniecenia. Stał przy łóżku i niezgrabnie zaczął zdejmować z siebie ubrania, ale Karine uklękła na materacu i powstrzymała go.

– Nie, teraz moja kolej – wykrztusiła chrapliwym głosem. Zręcznie rozpięła guziki najpierw jego koszuli, a potem spodni. Kilka sekund później wciągnęła go na siebie i zagubili się w sobie nawzajem.

Już po wszystkim leżeli koło siebie nasyceni, słuchając uderzeń zegara na rynku, który wybijał dwunastą.

– Warto było się dla tego przechrzcić – powiedziała Karine, opierając się na łokciu. Z uśmiechem patrzyła Pipowi w oczy i głaskała go po twarzy grzbietem dłoni. – Jeśli już wcześniej tego nie mówiłam, to powiem ci teraz, po tym, jak od kilku godzin jestem twoją żoną, i proszę, żebyś nigdy o tym nie zapomniał: kocham cię, *chérie*. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek była szczęśliwsza niż dzisiaj.

– To tak jak ja – szepnął. Zdjął jej dłoń ze swojego policzka i przycisnął do ust.

– I tak będzie zawsze.

– Zawsze.

1938

Przez cały styczeń, luty i marzec w Bergen ciągle padał śnieg lub deszcz, a krótki dzień szybko zmieniał się w ciemną noc. Pip kilka godzin dziennie ćwiczył z orkiestrą. Najpierw występował na wieczornych koncertach najwyżej raz w tygodniu. Wkrótce jednak biedny stary pianista Franz zaczął coraz częściej zwalniać się z pracy z powodu pogłębiającego się reumatyzmu, więc stopniowo Pip na stałe włączył się do orkiestry.

Wolny czas spędzał na komponowaniu swojego pierwszego koncertu. Nikomu nie pokazywał, co robi. Nawet Karine. Po zakończeniu miał zamiar zadedykować utwór żonie. Wieczorami często zostawał po próbach w sali koncertowej. Tam, w upiornej atmosferze audytorium bez orkiestry i bez widzów, siedział przy fortepianie w fosie orkiestrowej i pracował nad swoją kompozycją.

Karine zajęta była zajęciami pod okiem Astrid, którą bardzo pokochała. Stopniowo coraz lepiej mówiła po norwesku, a teściowa dobrotliwie wprowadzała ją w arkana prowadzenia domu.

Kiedy tylko pozwalała na to praca Elle, Karine odwiedzała ją w małym mieszkanku nad warsztatem kartografa przy porcie. Rozmawiały o swoich nadziejach i planach na przyszłość.

– Nie mogę oprzeć się zazdrości, że masz własny dom – wyznała któregoś ranka Karine. – Jesteśmy z Pipem małżeństwem, ale nadal mieszkamy pod dachem jego rodziców i śpimy w jego dzieciennym pokoju. Nie jest to miejsce, które sprzyjałoby namiętności. Zawsze musimy uważać, żeby być cicho, a ja tęsknię za miłością bez żadnych ograniczeń.

Elle była przyzwyczajona do śmiałych wypowiedzi przyjaciółki.

– Jestem pewna, że doczekasz się własnego domu. – Uśmiechnęła się. – Macie szczęście, że wspierają was rodzice Pipa. My nadal mamy trudności. Łokieć jest w znacznie lepszym stanie, ale nie na tyle, żeby Bo mógł się ubiegać o pracę w orkiestrze, ani tutaj, ani gdziekolwiek indziej. Jest zrozpaczony, że na razie nie może oddać się swojej pasji. Podobnie zresztą jak ja.

Karine dobrze wiedziała, o co chodzi przyjaciółce. Sama od przyjazdu do Bergen była skazana na siedzenie w domu, a miłości do muzyki mogła dawać upust tylko podczas rodzinnych wieczorków muzycznych we Froskehuset. Musiała jednak przyznać, że jej kłopoty są niczym w porównaniu z wyzwaniem, jakie stały przed Bo i Elle.

– Przepraszam, Elle. Jestem samolubna.

– No co ty?! Muzyka to nasze życie i trudno nam się bez niej obyć. Ale z tego, że Bo nie może grać, wynikło także coś dobrego. Bardzo podoba mu się

praca u kartografa i zagłębił się w studiowaniu metod nawigacji. Na razie jest szczęśliwy. I ja też.

– To dobrze – ucieszyła się Karine. – I wspaniale, że nadal jesteśmy w tym samym mieście i możemy się spotykać tak często, jak tylko chcemy. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– A ja bez ciebie.

*

Wczesną wiosną Pip oznajmił żonie, że zaoszczędził dość pieniędzy, by wynająć mały domek w sercu miasta przy Teatergaten, zaledwie o rzut kamieniem od teatru i sali koncertowej.

Kiedy jej to powiedział, rozplakała się.

– Załatwiłeś to w samą porę, *chérie*. Bo oprócz wszystkiego innego, właśnie chciałam ci powiedzieć, że... *mon Dieu!* Jestem w ciąży!

– To najcudowniejsza wiadomość na świecie! – wykrzyknął Pip. Przytulił ją w ekstatycznym uścisku. – Nie bądź taka przerażona. – Uniósł brodę Karine, by móc spojrzeć jej w oczy. – Przy twoich poglądach i akceptacji wszystkiego, co naturalne, powinnaś wiedzieć, że dziecko jest po prostu owocem dwóch gorących, zakochanych serc.

– Wiem to wszystko, ale codziennie rano rzygam jak kot. A jeśli nie pokocham tego dziecka? Jeśli będę dla niego okropną matką? Albo jeśli...

– Już cicho... Po prostu się boisz. Jak wszystkie przyszłe matki.

– To nieprawda. Kobiety, które znam, zachwycają się ciążą. Rozsiadają się jak jakieś cholerne kwoki, poklepują się po wielkim brzuchu i rozkoszują się tym, że wszyscy nad nimi skaczą. A ja widzę w sobie tylko jakiegoś intruza, który rujnuje mi płaski brzuch i wysysa ze mnie energię.

Po tym wybuchu Karine przywarła do niego i dostała napadu głośnego szlochu.

Pip opanował uśmiech, głęboko zaczerpnął powietrza i robił, co mógł, żeby ją pocieszyć.

Wieczorem powiedzieli jego rodzicom, że wkrótce zostaną dziadkami, a on i Karine przeprowadzą się do własnego domu.

Nastąpiły gratulacje, ale kiedy na stole pojawiła się okowita, Horst nie podał Karine kieliszka.

– No widzisz? – narzekała, kiedy wieczorem kładła się koło niego do łóżka. – Wszystkie moje przyjemności się skończyły.

Roześmiał się i mocno ją objął. Sięgnął ręką pod jej koszulę, by pogłaskać maleńkie wybrzuszenie. Pomyślał, że przypomina księżyc w nowiu na rozgwieżdżonym niebie. To maleństwo zaistniało dzięki niemu i Karine. I jest cudem.

– Jeszcze tylko sześć miesięcy, kochanie. Obiecuję, że kiedy tylko urodzisz, wieczorem przyniosę ci do łóżka całą butelkę okowity i będziesz mogła wszystko wypić.

*

Na początku czerwca przenieśli się do swego nowego domu przy Teatergaten. Był malutki, ale śliczny jak z obrazka, bo na zewnątrz oszalowano go deskami błękitnymi jak kacze jaja. Miał drewniany taras, na który wychodziło się z kuchni. Przez całe lato, kiedy Pip był w pracy, Karine urządzała go pięknie z pomocą Astrid i Elle, a na tarasie poustawiała doniczki z petuniami i lawendą. Mimo skromnego budżetu wkrótce zrobiła z niego ostoję domowego spokoju.

*

W październikowy wieczór w swoje dwudzieste pierwsze urodziny Pip wrócił do domu po koncercie w teatrze i zastał Karine, Elle i Bo, którzy przywitali go na stojąco w salonie.

– Sto lat, *chérie!* – zawołała Karine. Oczy błyszczały jej z podniecenia.

Cała trójka odsunęła się, odsłaniając fortepian, który stał za nimi w rogu pokoju.

– Wiem, że to nie steinway, ale zawsze coś na początek – powiedziała Karine.

– Ale skąd...? – zdumiał się Pip. – Nie mamy pieniędzy na coś takiego.

– To już moja sprawa. Tobie pozostaje się nim cieszyć. Kompozytor musi mieć do dyspozycji własny instrument, żeby iść za swoją muzą. Bo go sprawdził i mówi, że ma ładny ton. Zagraj nam coś, Pip.

– Oczywiście.

Podszedł do fortepianu i przesunął palcami po klapie. Podziwiał prosty markietaż, czyli złotą inkrustację, która zdobiła ściankę nad klapą. Instrumentu nie oznaczono marką, ale świetnie go skonstruowano i był w znakomitym stanie. Widać też było, że ktoś z miłością go polerował. Podniósł klapę i odsłonił błyszczące białą klawisze, a potem poszukał wokół siebie czegoś, na czym mógłby usiąść.

Natychmiast podeszła do niego Elle.

– A tu masz prezent od nas – powiedziała, po czym z ukrycia za krzesłem wyciągnęła tapicerowany stołek i postawiła go przed fortepianem. – Bo sam go zrobił z drewna, a ja uszyłam siedzisko.

Pip ogarnął wzrokiem pięknie toczony sosnowy stół i skomplikowany wzór haftu na poduszce. Poczł się oszołomiony.

– Nie... wiem, co powiedzieć – wykrztusił, siadając. – Chyba tylko to, że bardzo dziękuję wam obojgu.

– To nic w porównaniu z tym, co ty i twoja rodzina zrobiliście dla nas, Pip – cichym głosem odpowiedział Bo. – Wszystkiego najlepszego.

Pip uniósł palce nad klawiaturę i zagrał pierwsze kilka taktów *Kaprysu włoskiego* Czajkowskiego. Bo się nie pomylił; instrument miał piękny ton. Pip z radością myślał o tym, że teraz będzie mógł pracować nad swoim koncertem o dowolnej porze dnia lub nocy.

*

Karine robiła się coraz grubsza, bo do terminu porodu zostało zaledwie kilka tygodni. Tymczasem Pip siedział przy swoim ukochanym instrumencie i gorączkowo zapisywał nuty. Eksperymentował, wypróbowując akordy, wiedział bowiem, że kiedy na świat przyjdzie dziecko, spokój panujący w domu zostanie na dobre zakłócony.

Felix Mendelssohn Edvard Halvorsen, który pierwsze imię otrzymał po ojcu Karine, przyszedł na świat zdrowy i szczęśliwy piętnastego listopada 1938 roku. Zgodnie z przewidywaniami Pipa jego żona – mimo swoich obaw – poczuła się w macierzyństwie jak ryba w wodzie. Cieszył się, że jest szczęśliwa i spełniona, choć musiał przyznać, że czasem czuje się wyłączony z bliskiej relacji łączącej matkę z niemowlęciem. Cała uwaga Karine skupiła się teraz na ich drogim skarbie, więc Pip w równym stopniu zachwycał się, co bolał nad zmianą, jaka zaszła w żonie. Najtrudniej radził sobie z tym, że kiedyś zawsze zachęcała go do komponowania, a teraz ledwie usiadł przy fortepianie, zaraz go uciszała.

– Pip! Dziecko śpi. Obudzisz je.

Był jednak szczególny powód, dla którego cieszył się, że Karine spowił kokon macierzyństwa – oznaczało to bowiem, że nie interesują jej gazety, z których wynikało, że napięcie w Europie narasta z tygodnia na tydzień. Po tym, jak już w marcu Niemcy dokonały aneksji Austrii, pod koniec września zabłysła iskierka nadziei, że uda się uniknąć wojny: Francja, Niemcy, Wielka Brytania i Włochy podpisały układ monachijski, w którym przyznano Niemcom czeskie Sudety w zamian za przyrzeczenie Hitlera, że na tym skończą się roszczenia terytorialne jego kraju. Premier Wielkiej Brytanii, Neville Chamberlain, ogłosił, że układ ten doprowadzi do „pokoju dla naszych czasów”. Pip całym sercem chciał wierzyć, że Chamberlain ma rację. Niestety, z nastaniem jesieni nastrój w orkiestrze i na ulicach Bergen robił się coraz bardziej ponury – mało kto wierzył, że Hitler będzie się trzymał postanowień układu monachijskiego.

W okresie Bożego Narodzenia Pip na chwilę zapomniał o problemach. Święta spędzili u jego rodziców wraz z Elle i Bo. W sylwestra Pip i Karine urządzili niewielkie przyjęcie u siebie. Kiedy o północy dzwony oznajmiły nowy rok 1939, objął żonę i czule ją pocałował.

– Wszystko, co mam, zawdzięczam tobie. Nigdy nie będę w stanie

podziękować ci za to, kim dla mnie jesteś. I co mi dałaś – szepnął. – Wypijmy za naszą trójkę.

*

W Nowy Rok Pipowi udało się przekonać żonę do tego, by zostawić Felixa pod troskliwą opieką dziadków, wsiąść wraz z Bo i Elle w bergieńskim porcie na pokład łodzi *Hurtigruten* i wyruszyć na wycieczkę wzdłuż przepięknego zachodniego wybrzeża Norwegii. Nawet Karine zapomniała o troskach macierzyństwa, kiedy patrzyła na niezliczone, oszałamiająco piękne widoki. Najbardziej spodobał jej się wodospad Siedem Sióstr, zawieszony na skraju fiordu Geiranger.

– Wprost zapiera dech w piersiach, *chérie* – powiedziała, stojąc na pokładzie z Pipem. Dla ochrony przed mrozem opatulila się na cebulkę w wełniane ubrania. Oboje z zachwytem patrzyli na niewiarygodnie piękne naturalne lodowe rzeźby, które powstały, gdy z nastaniem zimy strumienie wody zamarły w locie.

Hurtigruten płynęła wzdłuż wybrzeża, zawijając do fiordów i z nich wypływając. Cumowała w maleńkich przystaniach, do których przywoziła zapasy żywności i pocztę. Dla mieszkańców społeczności żyjących wzdłuż wybrzeża ta łódź stanowiła jedyne połączenie ze światem.

Kiedy płynęli w stronę najdalej wysuniętego na północ celu ich podróży, miasteczka Mehamn, wysoko na wybrzeżu Oceanu Arktycznego, Pip wyjaśnił swoim towarzyszom, na czym polega zjawisko *aurora borealis*.

– Zorza polarna to pokaz światła na niebie urządzony przez samego Boga – powiedział, usiłując opisać słowami jej piękno, choć wiedział, że to niemożliwe.

– Widziałeś ją? – zapytała Karine.

– Tak, ale tylko raz, kiedy panowały sprzyjające warunki i światła widoczne były na południu, aż w Bergen. Po raz pierwszy jestem na takiej wycieczce.

– Jak powstaje zorza? – zapytała Elle, przyglądając się rozgwieżdżonemu niebu w górze.

– Ne pewno jest na to naukowe wytłumaczenie, ale ja nie potrafię ci tego wyjaśnić – odparł.

– Może zresztą nie jest nam ono wcale potrzebne – dodał Bo.

Morze na północ od Tromsø było mocno wzburzone i kobiety musiały zejść do kajuty, kiedy łódź zbliżała się do Przylądka Północnego. Kapitan oznajmił, że to najlepszy punkt widokowy do obserwacji zorzy polarnej. Pip wiedział jednak, że Karine cierpi na chorobę morską, i nie miał wyboru, musiał zejść do kajuty i opiekować się nią. Zostawił na górnym pokładzie Bo, w samotności patrzącego w niebo.

– Mówiłam ci, że nie znoszę wody – jęknęła Karine, kucając nad torbą, w którą przemyślnie zaopatrzonego pasażerów na wypadek choroby morskiej.

Z nastaniem świtu byli już na spokojniejszych wodach. Opuścili Przylądek Północny i wracali na południe, w stronę Bergen.

Bo z twarzą rozjaśnioną radością przywitał Pipa w jadalni.

– Widziałem ją, przyjacielu. Widziałem ten cud! Światła były tak majestatyczne, że nawet najbardziej zagorzały bezbożnik musiałby uwierzyć, że istnieje jakaś wyższa moc. Co za kolory! Zielony, żółty, niebieski... całe niebo w promienistym świetle! – Bo zakrzuszył się własnymi słowami, lecz po chwili się opanował. Oczy błyszczały mu ledwo powstrzymanymi łzami. Objął Pipa i mocno go uściskał. – Dziękuję ci. Bardzo ci dziękuję.

*

Po powrocie do Bergen Pip wrócił do pracy w opuszczonej sali koncertowej albo w domu rodziców, żeby nie przeszkadzać małemu Felixowi grą na fortepianie. Stale miał zamglony umysł z powodu niekończących się przerwanych nocy, ponieważ syn miał skłonność do kolki i strasznie płakał. Chociaż to Karine wstawiała do dziecka i zostawiała męża w spokoju, żeby mógł się wyspać, bo wiedziała, że ma dużo pracy, przenikliwy krzyk Felixa słysząc było w całym domu ze ścianami cienkimi jak z papieru. Żadne z nich nie mogło porządnie wypocząć.

– Może powinnam nalać mu do butelki okowity i wreszcie mieć spokój – burknęła kiedyś Karine po szczególnie wyczerpującej nocy. – To dziecko mnie wykończy. – Westchnęła ciężko. – Przepraszam, że ci przeszkadzamy, *chérie*. Nie potrafię go uspokoić. Po prostu jestem złą matką.

Pip przytulił żonę i otarł jej łzy palcami.

– Co ty opowiadasz, skarbie? Na pewno z tego wyrośnie.

Nadchodziło lato, a oboje rodzice stracili nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek prześpią całą noc. Któregoś razu po raz pierwszy było cicho. Oboje automatycznie obudzili się o drugiej, kiedy zwykle zaczynały się wrzaski.

– Jak myślisz? Nic mu nie jest? Dlaczego nie płacze? *Mon Dieu!* A jeżeli nie żyje? – Karine wyskoczyła z łóżka, by podejść do wciśniętej w kąt ich pokoiku kołyski. – Nie, oddycha i chyba nie ma gorączki – szepnęła, stając nad Felixem i kładąc mu rękę na czole.

– Co mu w takim razie jest? – zapytał Pip.

Na ustach Karine pojawił się uśmiech.

– Śpi, *chérie*. Po prostu śpi.

*

Kiedy w domu na powrót zapanował spokój, Pip wrócił do pracy nad swoim utworem. Po głębokim namyśle postanowił dać mu nazwę *Koncert heroiczny*. Utwór ilustrował historię kapłanki, która sprzeciwiła się panującym w jej świątyni regułom i pozwoliła swemu młodemu adoratorowi uprawiać z nią miłość. Kiedy

ten się utopił, wskoczyła za nim do morza. Wszystko to znakomicie pasowało do kochającego dramatyzm, niezależnego charakteru Karine. Poza tym, ona naprawdę była jego bohaterką. Pip dobrze wiedział, że gdyby kiedykolwiek ją stracił, zrobiłby tak samo.

Pewnego sierpniowego popołudnia odłożył ołówek, którym zapisywał nuty, i z ulgą rozpostarł ramiona. Skończył instrumentację. Jego dzieło było gotowe.

Następnej niedzieli wzięli Felixa i pojechali pociągiem do rodziców we Froskehuset. Po obiedzie rozdał im nuty z partiami wiolonczeli, skrzypiec i oboju i poprosił żonę i ojca, by je przestudiowali. Po szybkiej próbie – oboje świetnie czytali nuty – Pip zasiadł przy fortepianie i maleńka orkiestra rozpoczęła grę.

Dwadzieścia minut później oparł dłonie na kolanach. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że jego matka ociera łzy z oczu.

– Mój syn to skomponował... – szepnęła, podnosząc wzrok na męża. – Chyba odziedziczył talent po twoim ojcu, Horst.

– Tak, to prawda – odpowiedział Horst, także wyraźnie poruszony. Położył dłoń na barku Pipa. – To prawdziwie natchniony utwór, chłopcze. Jak najszybciej trzeba go zagrać Haraldowi Heidemu. Jestem pewny, że będzie chciał, aby jego premiera odbyła się w Bergen.

*

– To wszystko dzięki temu, że kupiłam ci fortepian – rzuciła bez troski Karine, kiedy siedzieli w pociągu w drodze do domu. – Teraz, kiedy się wzbogacisz, będziesz mógł mi odkupić naszyjnik z pereł, który sprzedalam, żeby ci go sprezentować. – Gdy zobaczyła zszokowaną minę męża, nachyliła się, by pocałować go w policzek. – Nie smuć się, kochanie. Jesteśmy z ciebie z Felixem dumni i oboje cię kochamy.

Pip zebrał się na odwagę, by po pierwszym koncercie w następnym tygodniu zwrócić się do Haralda Heidego. Odnalazł go za kulisami i wyjawiał, że napisał koncert i chciałby poznać jego opinię.

– Im szybciej go wysłucham, tym lepiej. Proszę mi go zagrać od razu – zaproponował Harald.

– Hm... dobrze. – Pip nerwowo usiadł, położył dłonie na klawiszach i z pamięci zagrał cały koncert.

Harald mu nie przerywał, tylko głośno zaklaskał, gdy Pip skończył.

– Coś takiego! Bardzo, naprawdę bardzo dobrze, Herr Halvorsen. Temat przewodni jest oryginalny i cudownie hipnotyczny. Już nucę go w głowie. Kiedy patrzę na nuty, widzę, że trzeba dopracować instrumentację, ale w tym mogę panu pomóc. Może w naszym gronie mamy następnego Griega – powiedział, oddając nuty. – Wyraźnie słyszałem echa jego dzieł w strukturze pana utworu, ale może też coś z Rachmaninowa i Strawińskiego.

– Mam nadzieję, że także co nieco ze mnie – odważnie wtrącił Pip.
– Jak najbardziej, oczywiście. Świetnie, młody człowieku. Możemy chyba dodać pana utwór do programu na wczesną wiosnę, co da panu czas na pracę nad instrumentacją.

Po koncercie Pip pozwolił sobie obudzić śpiącą już żonę.

– Nie uwierzysz, *kjære!* Zaczęło się! Za rok być może będę profesjonalnym kompozytorem!

– To najwspanialsza wiadomość, jaką kiedykolwiek usłyszałam. Choć ani przez sekundę w to nie wątpiłam. Zdobędziesz sławę. A ja będę żoną słynnego Pipa Halvorsena.

– Oficjalnie nazywam się Jens Halvorsen – sprostował. – Jak mój dziadek.

– Który byłby z ciebie niezmiernie dumny, *chérie*. Tak jak ja.

Aby uczcić dobrą wiadomość, wypili po kieliszku okowity i dopełnili świętowania, kochając się w ciszy, by nie obudzić Felixa, który spokojnie spał w łóżeczku u stóp ich łóżka.

*

Dlaczego szczęście zawsze trwa tak krótko? – z troską rozmyślał Pip, czytając czwartego września gazetę, po tym, jak pierwszego września Niemcy napadły na Polskę. Dowiedział się z niej, że Francja i Wielka Brytania wypowiedziały Niemcom wojnę. Przemierzając krótki odcinek drogi z domu do sali koncertowej na próbę, czuł ponury nastój, który ogarnął mieszkańców miasta.

– Ale przecież w ostatniej wojnie Norwegia zachowała neutralność – powiedział Samuel, jeden z muzyków grających z Pipem w orkiestrze. Stroili właśnie instrumenty w fosie orkiestrowej. – Może i w tej tak się uda? Jesteśmy narodem pacyfistów, więc nie musimy się niczego bać.

Wiadomość o wojnie wywołała nerwowe napięcie.

– Ale pamiętajcie, że przywódca faszystowskiej partii Norwegii, Vidkun Quisling, wychodzi ze skóry, żeby zdobyć poparcie dla Hitlera – chłodno skomentował Horst, nacierając smyczek kalafonią. – Wygłosił już mnóstwo wykładów na temat, jak to nazywa, „problemu żydowskiego”. Gdyby, co broń Boże, doszedł do władzy, nie ma żadnych wątpliwości, że stanąłby po stronie Niemców.

Po koncercie Pip spytał ojca:

– Naprawdę myślisz, że damy się wciągnąć w wojnę?

– Niestety, jest to możliwe. – Horst ze smutkiem wzruszył ramionami. – Nawet jeśli nasz kraj nie zgodzi się walczyć po którejkolwiek stronie, wątpię, żeby Niemcy zostawili nas w spokoju.

Tej nocy Pip starał się, jak mógł, pocieszyć żonę, w której oczach znów pojawił się ten sam strach co w Lipsku.

– Proszę, uspokój się – mówił, kiedy chodziła nerwowo w tę i we w tę po kuchni, opiekuńczo przyciskając do piersi wiercącego się Felixa, jakby naziści w każdej chwili mogli wtargnąć do ich domu i wyrwać jej syna. – Pamiętaj, że teraz jesteś ochrzczonej luteranką i nazywasz się Halvorsen. Nawet gdyby napadli na nas naziści, co jest bardzo mało prawdopodobne, nikt nie będzie wiedział, że urodziłaś się jako Żydówka.

– Ależ Pip! Nie bądź taki naiwny! Wystarczy, żeby na mnie spojrzeli. A potem nie musieliby długo szukać, by dowiedzieć się prawdy. Nie masz pojęcia, jacy oni są skrupulatni. Nic ich nie powstrzyma, żeby nas wytrzebić. A twój syn? Ma w sobie żydowską krew! Mogą zabrać i jego!

– Nie wiem, jak mieliby się o tym dowiedzieć. A poza tym, musimy wierzyć, że w ogóle się tu nie pojawiają. – Pip zdecydowanie wyparł z umysłu słowa ojca. – Słyszałem, że Żydzi z Europy stale napływają przez Szwecję do Norwegii. Uważają, że znajdują tu bezpieczne schronienie. Dlaczego ty tak nie myślisz?

– Bo mogą się mylić, Pip... Mogą nie mieć racji. – Nagle westchnęła i opadła na krzesło. – Czy zawsze będę musiała się bać?

– Przysięgam, Karine, że zrobię wszystko, żeby chronić ciebie i Felixa. Absolutnie wszystko.

Popatrzyła na niego udręczonym, niedowierzającym wzrokiem.

– Wiem, że tak byś chciał, i bardzo ci za to dziękuję, ale tym razem, niestety, nawet ty możesz nie móc mnie uratować.

W następnym miesiącu – podobnie jak po zburzeniu pomnika Mendelssohna w Lipsku – Pip czuł, że atmosfera w mieście się uspokoiła. Norwegowie zaczęli akceptować sytuację i jakoś się do niej dostosowywać. Król Haakon i premier Johan Nygaardsvold starali się zapewniać obywateli, że Niemiec nie interesuje ich maleńki zakątek świata. Nie ma powodu do paniki, powtarzali, choć zmobilizowano wojsko i marynarkę wojenną i wprowadzano najróżniejsze środki ostrożności, na wypadek gdyby doszło do najgorszego.

Jednocześnie Pip, pod opiekuńczymi, wspomagającymi skrzydłami Haralda, całymi godzinami cyzelował instrumentację swojego utworu. Tuż przed Bożym Narodzeniem Harald przekazał mu cudowną wiadomość, że *Koncert heroiczny* znajdzie się w wiosennym programie. Kiedy Pip wrócił do domu, uczcili to okowitą.

– Mój pierwszy utwór zadedykuję tobie, kochana.

– A ja przyjdę na premierę, żeby usłyszeć narodziny twojego arcydzieła. Tak jak ty byłeś przy mnie, kiedy ja rodziłam moje – powiedziała i dobrze już na gazie rzuciła mu się w ramiona. A potem bez żadnych hamulców mogli oddać się miłości, bo Felix akurat został na noc u dziadków.

Był marcowy deszczowy poranek 1940 roku. Pip siedział przy śniadaniu, obserwując twarz żony, która czytała list od rodziców i z każdą chwilą robiła się coraz bardziej ponura.

– Co się stało, kochanie? – zapytał.

Popatrzyła mu w oczy.

– Rodzice proszą, żebyśmy natychmiast płynęli do Ameryki. Są przekonani, że Hitler postanowił zapanować nad światem i nie zaspokoi się, póki nie zdobędzie całej Europy, a potem pójdzie jeszcze dalej. Zobacz, przysłali nam tyle dolarów, ile tylko byli w stanie, żeby pomóc nam opłacić podróż. – Pomachała cienkim plikiem banknotów. – Gdybyśmy sprzedali fortepian, bez trudu zebralibyśmy resztę pieniędzy. Piszą, że ani Francja, ani nawet Norwegia nie są już bezpieczne przed inwazją.

Pipa zaledwie kilka tygodni dzieliło od premiery jego utworu, wyznaczonej na czternastego kwietnia. Twardo spojrzał jej w oczy.

– Wybacz, ale skąd twoi rodzice, którzy są tysiące kilometrów stąd, mogą wiedzieć o sytuacji w Europie więcej niż my tutaj?

– Bo patrzą na nią z perspektywy, mają obiektywny ogląd, który dla nas jest niedostępny. My jesteśmy w samym środku wydarzeń. Być może tu, w Norwegii, ulegamy złudzeniom, bo tylko tak możemy się pocieszyć. Naprawdę, Pip, czas, żebyśmy wyjechali – nalegała.

– Kochanie, wiesz równie dobrze jak ja, że przyszłość całej naszej trójki zależy od sukcesu premiery mojego koncertu. Jak mógłbym teraz się wycofać?

– Bo chodzi o bezpieczeństwo twojej żony i syna.

– Karine, proszę cię, nie mów tak! Cały czas robię wszystko, żeby cię chronić, i to się nie zmieni. Żeby w ogóle myśleć o przyszłości w Ameryce, muszę najpierw zapracować sobie na nazwisko. Bez tego będę tam tylko jeszcze jednym niedoszłym kompozytorem z kraju, o którym większość Amerykanów nawet nie słyszała. Wątpię, żebym mógł ot tak zatrudnić się w filharmonii w Nowym Jorku czy jakimkolwiek innym mieście, nawet jako chłopak do parzenia herbaty, a co dopiero ktoś, kogo należy traktować poważnie.

Zobaczył, jak w oczach Karine pojawia się błysk gniewu.

– Jesteś pewny, że chodzi ci o pieniądze? Czy może raczej o twoje ego?

– Proszę cię, przestań mnie pouczać – odpowiedział zimno i wstał od stołu. – Jestem twoim mężem i ojcem naszego syna. To do mnie należy podejmowanie decyzji w tym domu. Za dwadzieścia minut mam spotkanie z Haraldem. Później o tym porozmawiamy.

Pip wyszedł z domu głęboko rozgoryczony. Miał uczucie, że czasami żona za bardzo nim rządzi. Czyta przecież każdą gazetę, która mu wpadnie w ręce,

i bezustannie nasłuchuje, co mówią ludzie na ulicy i w fosie orkiestrowej, gdzie dwaj spośród kolegów są Żydami. Żaden z nich nie uważa, że jest powód do paniki. I, jak dotąd, nikt nie mówi, że Hitler planuje napaść na Norwegię. Rodzice Karine chyba niepotrzebnie ich straszą. Za trzy tygodnie odbędzie się premiera. Wyjazd teraz byłby szaleństwem. W miarę jak narastała w nim irytacja, że podważa się jego zdanie, tym silniejsze było postanowienie, że tym razem Karine będzie musiała go posłuchać.

*

– No więc dobrze. – Karine lekceważąco wzruszyła ramionami, kiedy wieczorem Pip oznajmił jej, że przynajmniej do premiery zostaną w Bergen. – Jeśli uważasz, że twoja żona i syn są tu bezpieczni, nie mam innego wyboru, jak ci zaufać.

– Naprawdę w to wierzę. W każdym razie w tym momencie. W przyszłości dostosujemy się do sytuacji. – Pip przyglądał się, jak po wysłuchaniu jego stanowczego sprzeciwu wobec rady jej rodziców i jej przeczuciom Karine wstaje z krzesła. – Oczywiście, jeśli chcesz wyjechać, nie mogę cię tu zatrzymać – dodał zmęczonym głosem.

– Wyraźnie powiedziałaś, że jesteś moim mężem i muszę być posłuszna wobec twoich opinii i oceny sytuacji. Felix i ja zostaniemy z tobą. Nasze miejsce jest przy tobie. – Odwróciła się od niego i ruszyła w stronę drzwi. Po chwili zatrzymała się. – Modlę się tylko, żebyś miał rację. Bo niech Bóg nam dopomoże, jeśli jej nie masz.

*

Pięć dni przed zaplanowaną premierą koncertu Pipa niemiecka maszyna wojenna zaatakowała Norwegię. Cała flota handlowa kraju była skupiona na obronie Wielkiej Brytanii i nie spodziewano się inwazji. Norwegowie z całych sił bronili portów w Oslo, Bergen i Trondheim, ale mieli okrojona marynarkę. W Oslofjord udało im się nawet zniszczyć niemiecki krążownik z zaopatrzeniem i bronią. W końcu nie byli jednak, niestety, w stanie zatrzymać nieprzerwanego zmasowanego ataku na morzu, niebie i lądzie.

Podczas oblężenia Bergen Pip wraz z żoną i synem uciekli w góry i schronili się we Froskehuset. Przerażeni, siedzieli tam w milczeniu, nasłuchując buczenia przelatujących nad ich głowami samolotów Luftwaffe i odgłosów strzałów ze znajdującego się w dole miasta.

Pip nie miał odwagi podnieść wzroku, by spojrzeć w oczy Karine, bo wiedział, co w nich zobaczy. Wieczorem oboje w milczeniu położyli się do łóżka i leżeli obok siebie jak obcy ludzie, a między nimi spał Felix. W końcu Pip nie był w stanie dłużej tego znieść i sięgnął po jej dłoń.

– Karine... – odezwał się w ciemności. – Czy kiedykolwiek będziesz w stanie mi wybaczyć?

Nastąpiła dłuższa cisza.

– Muszę ci wybaczyć – odpowiedziała w końcu Karine. – Jesteś moim mężem i kocham cię.

– Przysięgam, że nawet teraz, kiedy Niemcy na nas napadli, jesteśmy bezpieczni. Wszyscy mówią, że norwescy obywatele nie mają się czego obawiać. Naziści napadli na nas tylko po to, żeby chronić swego dostępu do rudy żelaza w Szwecji. Nie chodzi im o ciebie ani o mnie.

– To prawda, Pip. – Westchnęła z wyczerpania. – Ale i tak zawsze chodzi o nas.

*

Przez następne kilka dni niemieccy okupanci zapewniali mieszkańców Bergen, że nie mają się czego bać, a ich życie będzie płynąć jak zawsze. Na ratuszu powieszono swastyki, a ulice wypełniły się żołnierzami w nazistowskich mundurach. Podczas bitwy o Bergen centrum miasta uległo poważnym zniszczeniom i odwołano wszystkie koncerty.

Pip pograżył się w rozpacz. Zaryzykował życie żony i syna dla koncertu, który nawet się nie odbędzie. Dla uspokojenia poszedł w góry, do lasu. Bezwładnie usiadł na pniu przewróconego drzewa i oparł głowę na dłoniach. Po raz pierwszy w dorosłym życiu załkał ze wstydu i z przerażenia.

Wieczorem do Froskehuset przyjechali Bo i Elle i w szóstkę omawiali sytuację.

– Słyszałam, że nasz dzielny król opuścił Oslo – zwróciła się Elle do Karine. – Podobno ukrył się gdzieś na północy. Bo i ja też wyjeżdżamy.

– Kiedy? I jak? – spytała Karine.

– Bo ma przyjaciela, rybaka, który pracuje w porcie. Powiedział, że zabierze nas i innych chętnych do Szkocji. Chcecie się z nami zabrać?

Karine ukradkiem zerknęła na męża zatopionego w rozmowie z ojcem.

– Wątpię, czy Pip zechce. Czy Felix i ja jesteśmy tu zagrożeni? Powiedz mi, Elle. Co myśli o tym Bo?

– Nikt tego nie wie, Karine. Nawet jeśli dotrzemy do Wielkiej Brytanii, to nie wiadomo, czy Niemcy jej nie zaatakują. Ta wojna jest jak wszechogarniająca zaraza. Tu jesteś przynajmniej żoną Norwega i sama jesteś teraz luteranką. Czy komukolwiek mówiłaś o swoim pochodzeniu?

– Nie! Nikomu oprócz moich teściów.

– W takim razie może lepiej zostań tu z mężem. Nosisz jego nazwisko i chroni cię historia znanej w Bergen rodziny. My z Bo to coś całkiem innego. Jesteśmy wdzięczni Pipowi i jego rodzicom, że dali nam schronienie i uniknęliśmy

niebezpieczeństwa. Gdybyśmy zostali w Niemczech... – Elle się wzdrygnęła. – Słyszałam o obozach dla Żydów, o tym, jak całe rodziny znikają z domu w środku nocy.

Karine też o tym słyszała.

– Kiedy odpływacie?

– Nie powiem ci. Lepiej, żebyś tego nie wiedziała, w razie gdyby zrobiło się tu gorzej. Proszę, nie mów nic Pipowi ani jego rodzicom.

– Niedługo?

– Tak. I, Karine... – Elle chwyciła przyjaciółkę za rękę. – Musimy się pożegnać. Mam nadzieję i modłę się o to, żebyśmy jeszcze kiedyś się spotkały.

Objęły się, a w ich oczach pojawiły się łzy. Potem wzięły się za ręce, by w ciszy zmanifestować wzajemną solidarność.

– Zawsze będę cię wspierała, kochana – szepnęła Karine. – Napisz do mnie, kiedy dotrzesz do Szkocji.

– Obiecuję. I pamiętaj, że mimo swojej pomyłki twój mąż jest dobrym człowiekiem. On nie jest Żydem, więc nie mógł tego przewidzieć. Wybacz mu, Karine. Pip nie rozumie, co oznacza życie w ciągłym strachu.

– Spróbuję.

– To dobrze. – Elle uśmiechnęła się blado i dała znak Bo, że muszą już iść.

Patrząc za wychodzącymi przyjaciółmi, Karine w głębi duszy miała pewność, że już nigdy żadnego z nich nie zobaczy.

*

Dwa dni później Karine i Pip odważyli się opuścić góry i pojechać do domu. Ze spalonych domów przy porcie nadal unosił się dym po ostrzale i podpaleniach. Jednym z takich domów była pracownia kartografa. Oboje z przerażeniem patrzyli na tłące się ruiny.

– Czy Bo i Elle tam byli? – Pip zakrztusił się, wymawiając te słowa.

– Nie wiem – odpowiedziała Karine, pamiętając o przyrzeczeniu, które dała Elle. – Może.

– Dobry Boże. – Pip padł na kolana i zaniósł się szlochem.

– Wstawaj! – syknęła po chwili Karine, bo zauważyła pluton maszerujących ulicą niemieckich żołnierzy. – Natychmiast!

Pip posłuchał jej i oboje grzecznie skłonili głowy przed mijającymi ich żołnierzami, w nadziei że uda im się ujść za zakochaną parę zwykłych Norwegów.

*

Rankiem tego dnia, kiedy miała się odbyć premiera *Koncertu heroicznego*, Pip obudził się i stwierdził, że Karine już wyszła z sypialni. Felix jeszcze spokojnie spał w łóżeczku u ich stóp, więc Pip zszedł na dół, by poszukać żony. W kuchni

zobaczył na stole karteczkę:

Wysłałam zdobyć chleb i mleko. Zaraz wracam. Całuski.

Podszedł do drzwi wyjściowych i zdenerwowany wyszedł na ulicę. Zastanawiał się, co opętało Karine, żeby samej chodzić po ulicy. Od czasu do czasu gdzieś z daleka dochodziły strzały. Niedobitki wojsk norweskich nadal stawiały opór, aż do straszego końca, ale nikt nie miał już złudzeń, kto jest zwycięzcą.

Na opuszczonych ulicach nie było żywej duszy i nie miał kogo zapytać, czy nie widział jego żony, więc wrócił do domu, by obudzić syna. Felix miał już siedemnaście miesięcy. Wstał z łóżeczka i na chwiejnych dziecięcych nóżkach zszedł ze schodów, trzymając tatę za rękę. Nagle znów rozległy się głośnie strzały.

– Pif-paf! – z uśmiechem zawołał Felix. – Do mamy. Jeść!

– Mama zaraz wróci. Chodź do kuchni, poszukamy czegoś do jedzenia.

Pip otworzył szafkę z jedzeniem, zobaczył, że jest całkiem pusta, a przy zlewie zauważył dwie puste butelki po mleku. Zrozumiał, dlaczego Karine wyszła. Znalazł kawałek chleba z wczorajszej kolacji, dzięki któremu miał nadzieję uspokoić Felixa do powrotu Karine. Posadził sobie chłopca na kolanach i zaczął mu czytać książeczkę, usiłując się skupić na czymś innym niż własny lęk.

Dwie godziny później Karine nadal nie wracała. Zrozpaczony Pip zapukał do drzwi sąsiadki. Kobieta uspokoiła go wiadomością, że w mieście już brakuje jedzenia i ona także stała wczoraj ponad godzinę w kolejce, żeby kupić chleb.

– Jestem pewna, że żona zaraz wróci. Może musiała iść po prowiant dalej niż zazwyczaj.

Pip wrócił do domu, ale stwierdził, że dłużej nie wytrzyma czekania. Ubrał syna i wyszedł z domu, mocno trzymając go za rączkę. Nad zatoką nadal unosił się dym po nalocie bombowym Luftwaffe, a od czasu do czasu słychać było strzały. Ulice były prawie opustoszałe, chociaż minęła już jedenasta. W piekarni, w której kupowali chleb, były opuszczone żaluzje, podobnie jak w warzywniaku i sklepie rybnym w dalszej części Teatergaten. Usłyszał ciężkie kroki patrolu wojskowego, a kiedy minął róg ulicy, zobaczył, że żołnierze idą w jego stronę.

– Ziołnięż! – Felix wskazał ich palcem. Nie zdawał sobie sprawy, że tamci są dla nich niebezpieczni.

– Tak, żołnierz – powiedział Pip, zachodząc w głowę, dokąd mogła wyruszyć Karine. Przyszedł mu do głowy rząd sklepików przy Vaskerelven, niedaleko teatru. Jeśli czegoś potrzebowali, często prosiła, aby coś tam kupić w drodze do pracy, albo kiedy wracał do domu.

Gdy zbliżał się do teatru, zobaczył, że cała jego fasada została wysadzona w powietrze. Na ten widok z przerażenia zapało mu dech w piersiach. Pierwsze, co mu przyszło do głowy, to to, że choć oryginalny zapis muzyki na fortepian trzymał we Froskehuset, to cała instrumentacja utworu była pod zamknięciem w głównym biurze teatru.

– O Boże, wszystko prawie na pewno przypadło – mruknął załamany.

Odwrócił wzrok, żeby syn nie zobaczył jego strachu i przerażenia, po czym minął ruiny teatru i postanowił nie myśleć o tym, co się w nim znajduje.

– *Far?* Dlaczego ludzie śpią? – Felix wskazał na oddalony od nich o kilka metrów placyk. Pip zobaczył wtedy ciała. Było ich dziesięć lub dwanaście. Wyglądały jak porzucane na ziemi szmaciane lalki. Dwa miały na sobie mundury norweskiego wojska. Pozostali byli cywilami – mężczyźni i kobiety, a także mały chłopiec. Pewnie doszło tu do jakiejś utarczki, w której ucierpieli niewinni ludzie. Pip usiłował odciągnąć syna, ale Felix stał jak przygwożdżony do ziemi, wskazując na jedno z ciał.

– *Far*, obudzimy mamę?

Ally

Bergen, Norwegia

Wrzesień 2007

Śmierć Azy

The image shows a single staff of music in treble clef with a common time signature (C). The tempo is marked 'Adagio' and the dynamics are 'p molto legato'. The music consists of six measures of chords. The first measure has a C major chord (C4, E4, G4). The second measure has a D major chord (D4, F#4, A4). The third measure has an E major chord (E4, G#4, B4). The fourth measure has a C major chord (C4, E4, G4). The fifth measure has a D major chord (D4, F#4, A4). The sixth measure has an E major chord (E4, G#4, B4). The composer's name 'Edvard Grieg' is written at the bottom right of the staff.

Słuchałam opowieści Thoma z oczami piekącymi od łez, a on nerwowo chodził po pokoju, aż w końcu opadł na krzesło.

– Boże, Thom, po prostu nie wiem, co powiedzieć. Coś potwornego – szepnęłam w końcu.

– Tak. Straszne. Trudno uwierzyć, że to wszystko zdarzyło się zaledwie dwa pokolenia temu. I stało się właśnie tutaj, w miejscu, które uważałaś za bezpieczne schronienie na krańcu świata.

– Ale jak Pip poradził sobie po śmierci Karine? Na pewno czuł się winny.

– No więc, Ally... nie poradził sobie.

– Jak to?

– Kiedy znalazł ciało Karine na placyku, przywiózł Felixa do dziadków. Powiedział Horstowi i Astrid, że idzie na spacer, bo potrzebuje czasu, żeby to przemyśleć. Nie wrócił przed zapadnięciem zmroku i Horst poszedł go szukać. Znalazł syna martwego w pobliżu domu. Pip wziął sztucer myśliwski ojca i zastrzelił się.

Zaniemówiłam z szoku i przerażenia.

– Jezu... biedny Felix...

– Jemu akurat nic się nie stało – gwałtownie zareagował Thom. – Był za mały, żeby to zrozumieć, a Horst i Astrid wzięli go do siebie.

– Mimo to... Tego samego dnia stracił oboje rodziców... – Widząc minę Thoma, postanowiłam zamilknąć.

– Przepraszam cię, Ally. – Thom sam usłyszał, jak twardo zabrzmiały jego słowa. – Właściwie, najgorsze dla niego było to, że nie wiedział, co się z nimi naprawdę stało. Któregoś dnia jakiś głupek z Filharmonii w Bergen postanowił z nim o tym porozmawiać, bo myślał, że Felix o wszystkim wie.

– Ojej... – Aż zadrżałam.

– Miał dwadzieścia dwa lata i dopiero co przyjęto go do orkiestry. Często zastanawiałem się, czy nie dlatego się wykoleił, stracił równowagę i rozpił się... – Thom zamilkł.

– To możliwe – rzuciłam ostrożnie, a pomyślałam, że takie odkrycie każdego by załamało, ale powstrzymałam się przed dalszymi komentarzami.

Thom podskoczył, kiedy nagle zerknął na zegarek.

– Czas na nas, Ally, bo spóźnimy się do lekarza.

Wyszliśmy szybko z domu, wsiedliśmy do samochodu i Thom popędził w dół, do centrum miasta. Podjechał pod samo wejście do przychodni.

– Ty już wchodź, a ja przyjdę, kiedy uda mi się zaparkować.

– Nie musisz ze mną iść, Thom.

– Na pewno przyjdę. Przecież nie każdy Norweg zna angielski lub francuski.

Powodzenia. – Uśmiechnął się do mnie i ruszył w stronę parkingu.

Natychmiast wezwano mnie do gabinetu. Trudno powiedzieć, żeby lekarka idealnie mówiła po angielsku, ale zrozumiała, o co mi chodzi. Zadała mi różne pytania, a potem dokładnie zbadała mnie ginekologicznie.

Kiedy już usiadłam, powiedziała, że chce mi jeszcze zrobić badania krwi i moczu.

– Co to może być? – zapytałam nerwowo.

– Kiedy miała pani ostatnio miesiączkę, pani... D'Aplièse?

– No więc... – Tak naprawdę nie mogłam sobie tego przypomnieć. – Nie jestem pewna.

– Czy jest możliwość, żeby była pani w ciąży?

– No... nie wiem – odpowiedziałam zszokowana jej pytaniem.

– Zrobimy badania, żeby wykluczyć coś innego. Ale ma pani zdecydowanie powiększoną macicę, a wymioty prawdopodobnie wynikają z początku ciąży. Moim zdaniem, jest pani w połowie trzeciego miesiąca.

– Ale straciłam na wadze – zdziwiłam się. – To nie może być ciąża.

– Tak czasami bywa. Z powodu wymiotów. Na szczęście mdłości zwykle ustępują po pierwszym trymestrze. Wkrótce powinna pani poczuć się lepiej.

– No tak. Bardzo dziękuję. – Wstałam i nagle zrobiło mi się słabo i duszno.

Lekarka kazała mi iść do toalety z pojemnikiem na mocz, następnie do gabinetu zabiegowego. Znalazłam toaletę, nasikałam do pojemnika, a potem usiadłam i zaczęłam się zastanawiać, kiedy miałam ostatnią miesiączkę.

– Jezu – powiedziałam do odpowiadających mi echem ścian. Tuż przed dołączeniem do Theo i jego załogi przed czerwcowymi regatami po Cykladach...

Chwiejnym krokiem wyszłam z łazienki na pobranie krwi. Z wisielczym humorem przypominałam sobie, ile razy słyszałam opowieści kobiet, które nie wiedziały, że są w ciąży. Zawsze się z nich śmiałam, zastanawiając się, jak można nie zauważyć braku miesiączki.

Teraz byłam jedną z nich. Z powodu dramatycznych wypadków ostatnich kilku tygodni po prostu nie zwróciłam na to uwagi.

Ale jak mogłam zajść w ciążę? Pytanie to chodziło mi po głowie, kiedy pielęgniarka kazała mi zawinąć rękaw, żeby zacisnąć gumkę nad łokciem. Zawsze byłam bardzo ostrożna i regularnie brałam pigułkę. Przypomniała mi się jednak noc na Naksos, kiedy wymiotowałam przy Theo, a on czule się mną opiekował. Czy to możliwe, że zatrucie wpłynęło na działanie pigułki? A może w zamieszaniu po śmierci taty któregoś dnia po prostu zapomniałam ją wziąć...?

Wróciłam do recepcji, oddałam próbkę moczu i dowiedziałam się, że wyniki będą następnego dnia po południu i mam zadzwonić do przychodni, żeby się o nie dowiedzieć.

– Dziękuję – powiedziałam do recepcjonistki, odwróciłam się i zobaczyłam,

że stoi przy mnie Thom.

– Wszystko dobrze, Ally?

– Chyba tak.

– To się cieszę.

Wróciłam za nim do samochodu i siedziałam w ciszy, kiedy odwoził mnie do hotelu.

– Jesteś pewna, że wszystko jest w porządku? Co powiedziała lekarka?

– Tylko, że jestem wyczerpana... no i... zestresowana. Zleciła badania – odparłam, siląc się na swobodę, bo na razie nie byłam jeszcze gotowa dzielić się informacją, która może zmienić całe moje życie.

– Jutro mamy spotkanie orkiestry w Grieghalle, ale może koło południa wpadnę do ciebie do hotelu i sprawdzę, jak się miewasz?

– Byłoby mi bardzo miło. Dziękuję ci za wszystko, Thom.

– Nie ma za co. Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem tą historią Pipa. Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała, dobrze?

Kiedy wysiadałam z samochodu, zobaczyłam w jego oczach zatroskanie.

– Jasne. Do widzenia.

Zobaczyłam, jak samochód odjeżdża wzdłuż nabrzeża. Kilka minut czekałam przy wejściu do hotelu. Musiałam mieć pewność. Jadąc z Thomem, po drodze zauważyłam aptekę. Szybko przebiegłam kilkaset metrów pod górę i zdyszana wpadłam do środka tuż przed jej zamknięciem. Kupiłam to, po co przyszłam, i znacznie spokojniej wróciłam do hotelu.

W łazience zrobiłam wszystko zgodnie z instrukcją i odczekałam przepisowe dwie minuty. Odważnie spojrzałam na plastikowy wskaźnik i zobaczyłam, że już po kilku sekundach kreseczka nabrała zdecydowanie niebieskiego koloru.

Wieczorem przeżywałam całą gamę emocji: przede wszystkim ogromną ulgę, że nie jestem chora, tylko w ciąży, a potem lęk, że z moim ciałem dzieje się coś, na co nie mam wpływu, i że kiedy dziecko się urodzi, będę musiała radzić sobie z nim sama. No i wreszcie, całkiem niespodziewanie, gdzieś z samej głębi wypłynęły coraz większe bąbelki radości.

Urodzę dziecko Theo. Część mojego ukochanego dalej żyje... i jest teraz we mnie, rośnie i z każdym dniem nabiera siły. W myśli tej było coś tak cudownego, że mimo lęku rozplakałam się z radości. Oto życie znajduje sposoby, aby się odnawiać.

Kiedy opanowałam początkowy szok, wstałam i zaczęłam chodzić po pokoju. Nie czułam już w sobie letargu, nie miałam mdłości i przestałam się bać; wypełniła mnie całkiem nowa energia. To się dzieje, czy mi się podoba, czy nie, a teraz muszę się zastanowić, co dalej. Jaki dom dam dziecku? I gdzie? Wiedziałam, że na szczęście nie mam kłopotów z pieniędzmi. A jeśli będę chciała, nie zabraknie mi pomocnic – przecież w Genewie mam mamę, a w Londynie Celię.

Nie wspominając już o pięciu kochających ciotkach, bo wiedziałam, że moje siostry na pewno nimi będą. Dziecko nie będzie miało konwencjonalnego wychowania, ale przysięgłam sobie, że zrobię, co w mojej mocy, by być dla niego nie tylko matką, ale i zastąpić mu ojca.

Kiedy w końcu położyłam się, by spróbować zasnąć, nagle zdałam sobie sprawę, że nawet przez sekundę nie rozważałam możliwości, aby go nie urodzić.

*

– Cześć, Ally – powiedział Thom następnego dnia i pocałował mnie w oba policzki w hotelowym lobby. – Wyglądasz już lepiej. Wczoraj wieczorem martwiłem się o ciebie.

– Chyba lepiej się czuję. – Skrzywiłam się w lekko drwiącym uśmiechu. Nagle poczułam, że koniecznie muszę się z kimś podzielić moją wiadomością. – Wygląda na to, że jestem w ciąży.

– No wiesz! To cudownie. Prawda? – Starał się wyczuć, co o tym myślę.

– Tak, to prawdziwy cud, choć na razie jestem mocno zszokowana. Nie spodziewałam się tego, no i nie ma ojca, ale jestem... bardzo szczęśliwa.

– W takim razie ja też się cieszę.

Wiedziałam, że Thom przygląda mi się badawczo, żeby sprawdzić, czy nie staram się być nadmiernie dzielna.

– Naprawdę dobrze, że tak się stało – zapewniłam go. – A właściwie wspaniale.

– W takim razie należą ci się gratulacje.

– Dziękuję.

– Powiedziałaś już komuś o tym?

– Nie. Jesteś pierwszy.

– Czuję się zaszczycony.

Wyszliśmy z hotelu i ruszyliśmy w stronę jego samochodu.

– Chociaż zastanawiam się, czy moje plany na dzisiaj są dobre, zważywszy twój... stan.

– A co takiego zaplanowałaś?

– Chciałem jechać do Felixa i posłuchać, co ma ci do powiedzenia. Ale to na pewno będzie wkurzające, więc może na razie zrezygnujmy.

– Naprawdę nic mi nie jest. Czułam się tak źle częściowo ze strachu, że jestem chora. A teraz wiem, co się dzieje, więc mogę robić plany. Jedźmy do niego.

– Mówiłem ci wczoraj, że nawet jeśli wie o twoim istnieniu, może się wypierać. Ja mieszkałem tuż pod jego nosem, a i tak nie chciał mnie uznać za swojego syna.

– Thom? – odezwałam się, kiedy już siedzieliśmy w samochodzie.

– Słucham?

– Mam wrażenie, jakbyś był pewniejszy ode mnie, że jestem spokrewniona z tobą i z Halvorsenami.

– Może i tak – przyznał, uruchamiając silnik. – Po pierwsze, mówiłaś, że twój ojciec zostawił każdej z sióstr wskazówki do odszyfrowania jej przeszłości. A w twoim przypadku była to książka mojego prapradziadka. Po drugie, jesteś... albo byłaś muzyczką, a mamy naukowe dowody, że talent muzyczny jest przekazywany w genach. Po trzecie... Czy zdarzyło ci się ostatnio spojrzeć w lustro?

– Dlaczego?

– Popatrz na nas!

– No dobrze. – Przybliżyliśmy do siebie głowy i spojrzeliśmy w lusterko wsteczne. – Tak – rzuciłam. – Jesteśmy podobni. Ale szczerze mówiąc, po przyjeździe do Norwegii zauważyłam, że jestem podobna do ludzi na ulicach.

– Zgadzasz się: masz typowo norweską karnację i kolor włosów. Ale widzisz? Mamy nawet podobne dołeczki! – Thom wskazał swoje palcami, a ja zrobiłam to samo.

Uścisnęłam jego dłoń nad dźwignią biegów.

– Nawet jeśli się okaże, że nie jesteśmy spokrewnieni, to chyba znalazłam najlepszego przyjaciela. Przepraszam, jeśli to brzmi jak kwestia z filmu Disneya, ale czuję się właśnie tak, jakbym znalazła się filmie. – Roześmiałam się.

– Na pewno masz siłę tam jechać? – upewnił się Thom jeszcze raz, włączając się do ruchu. – Chcesz odwiedzić trolla na wzgórzu, który może być twoim biologicznym ojcem?

– Tak, na pewno. Jak go nazwałeś? Trollem?

– To miłe określenie w porównaniu z tym, jak mówiłem na niego kiedyś, albo z przymiotnikami, których używała moja matka.

– Ale może powinniśmy go uprzedzić o naszym przyjeździe? – zapytałam, kiedy znaleźliśmy się na drodze przy porcie.

– Gdyby o tym wiedział, prawie na pewno byśmy go nie zastali. Lepiej nie.

– To przynajmniej opowiedz mi jeszcze coś o nim, zanim tam dotrzemy.

– Oprócz tego, że jest bezużytecznym łajdakiem, który zmarnował sobie talent i życie?

– No wiesz, Thom... Z tego, co mi wczoraj powiedziałaś, wynika, że miał okropne dzieciństwo. W straszny sposób stracił oboje rodziców.

– W porządku, Ally. Mówią przeze mnie lata gorczy... powiem szczerze: podsycanej przez matkę. Krótko mówiąc: to Horst nauczył Felixa gry na fortepianie. Legenda głosi, że w wieku siedmiu lat grał ze słuchu całe koncerty, a jako dwunastolatek sam skomponował koncert. Z instrumentacją i ze wszystkim – dodał Thom zza kierownicy. – W wieku lat siedemnastu zdobył stypendium na studia w Paryżu, potem wygrał konkurs chopinowski w Warszawie i natychmiast

przyjęto go do tutejszej orkiestry. Był najmłodszym pianistą, jakiego kiedykolwiek zatrudniono w naszej filharmonii. Ale, według opowieści mojej matki, potem już się tylko staczał. W pracy brakowało mu dyscypliny: spóźniał się na próby, często przychodził na kacu, a nim nadchodził wieczór, był już pijany. Ludzie mu wybaczali, bo miał talent, w końcu jednak czara się przelała.

– Przypomina trochę swojego pradziadka Jensa – rozmyślałam na głos.

– No właśnie. W każdym razie wyrzucili go z orkiestry, bo o jeden raz za dużo się spóźnił albo wcale nie przyszedł. Nawet Horst i Astrid się od niego odsunęli. Nie mieli wyboru: musieli się go pozbyć z Froskehuset. Dzisiaj terapeutycy takie przypadki nazywają chyba twardą miłością. Ale Horst i tak pozwolił mu korzystać z domku w górach, który przed laty wybudowali z Astrid, by móc tam polować. Delikatnie mówiąc, było tam bardzo skromnie. Żył głównie z kobiet, które uwiódł swoim czarem i, jak twierdziła moja matka, zmieniał je jak rękawiczki. Nawet teraz, chociaż zainstalował tam elektryczność i bieżącą wodę, jest to tylko prosta chata.

– Z każdym twoim zdaniem mam coraz silniejsze wrażenie, że przypomina mi Peer Gynta. Jak udało mu się przeżyć bez pracy?

– Był zmuszony jakoś zarabiać na alkohol, więc dawał prywatne lekcje gry na fortepianie. Od tamtej pory, niestety, niewiele się zmieniło. Nadal pije i jest starzejącym się rozpustnikiem bez kasy, na którym nie sposób polegać.

– Szkoda jego talentu. – Westchnęłam.

– Tak, to tragiczne. No więc znasz w skrócie historię życia mojego ojca.

– Ale co on tam teraz robi całymi dniami? – spytałam, kiedy wspinaliśmy się coraz wyżej w góry.

– Trudno powiedzieć. Wiem, że nadal ma jakichś uczniów, a kiedy tylko zarobi coś na lekcjach, zaraz wydaje pieniądze na whisky. Starzeje się, co nie znaczy, że stracił swój czar. Może to, co powiem, będzie nieodpowiednie w kontekście naszej wizyty, ale boję się, że może cię podrywać.

– Dam sobie z tym radę. – Uśmiechnęłam się ponuro.

– Nie wątpię. Chciałbym cię tylko chronić. Zaczynam się zastanawiać, dlaczego w ogóle cię na to narażam. Może powinienem najpierw jechać do niego sam i wyjaśnić, o co chodzi?

Czułam, że Thom jest coraz bardziej spięty, i starałam się go rozluźnić.

– W tej chwili twój ojciec jest dla mnie absolutnie nikim. Po prostu zgadujemy, a raczej ty zgadujesz, kim mógłby dla mnie być. Jakkolwiek jest, obiecuję, że nie będę z tego powodu cierpieć.

– Mam taką nadzieję, Ally. Naprawdę. – Thom zwolnił i zaparkował przy porośniętym sosnami zboczu. – Jesteśmy na miejscu.

Szłam za nim po prostych omszałych stopniach, które najwyraźniej prowadziły do czyjegoś domu, mając świadomość, że przyjazd tutaj jest dla niego

znacznie bardziej bolesny niż dla mnie. Niezależnie od tego, co znajduje się na szczycie schodów, miałam przecież ojca, który mnie przez całe dzieciństwo kochał i hołubił. I na pewno ani nie szukam, ani nie potrzebuję nikogo innego.

Doszliśmy na szczyt wzgórza i szliśmy dalej schodami w dół. Zobaczyłam chatkę, która przypominała domek czarownicy z bajek o Jasiu i Małgosi.

Kiedy stanęliśmy pod drzwiami, Thom mocno uściskał mi dłoń.

– Jesteś gotowa?

– Tak.

Zauważyłam, że zanim zapukał, jeszcze przez chwilę się wahał. Potem czekaliśmy na odzew.

– Wiem, że tam jest, bo u stóp wzgórza widziałem jego motorower – mruknął Thom i zapukał jeszcze raz. – Ostatnio nie stać go, niestety, nawet na samochód, a poza tym tak często zatrzymywała go policja, że motorower wydaje mu się mniej zauważalnym środkiem transportu. O Boże, ale z niego głupek!

W końcu usłyszeliśmy kroki. Ktoś odezwał się po norwesku i drzwi się otworzyły. Thom przetłumaczył mi, o co chodzi.

– Spodziewa się ucznia i wydaje mu się, że właśnie przyszedł.

W drzwiach pokazała się postać i po chwili patrzyłam w mocno niebieskie oczy ojca Thoma. Jeśli spodziewałam się zniszczonego staruszka z nosem czerwonym od whisky, to się pomyliłam. Mężczyzna, który stanął na progu, był bosy; miał na sobie dżinsy z dużym rozdarciem na kolanie i T-shirt, który wyglądał, jakby w nim od kilku dni sypiał. Przed przyjazdem obliczyłam, że dobiega siedemdziesiątki. Mimo to miał tylko lekko siwe włosy i kilka zdradzieckich zmarszczek na twarzy. Gdybym zobaczyła go na ulicy, pomyślałabym, że jest co najmniej dziesięć lat młodszy.

– Cześć, Felix. Jak leci? – rzucił Thom.

Felix zamrugał, najwyraźniej zdumiony naszym przyjazdem.

– Dobrze. A wy co tu robicie?

– Przyjechaliśmy cię odwiedzić. Dawno się nie widzieliśmy i tak dalej. To jest Ally.

– Twoja nowa dziewczyna, co? – Spojrzał na mnie i wyczułam, że ocenia mój wygląd. – Ładna.

– Nie, Felix, nie jest moją dziewczyną. Możemy wejść?

– Dawno nie było u mnie gosposi, więc mam straszny bałagan, ale proszę.

Nic nie zrozumiałam z ich rozmowy, bo mówili po norwesku.

– Czy on zna angielski? – szepnęłam do Thoma, wchodząc za nim do środka.

– Albo francuski?

– Pewnie tak, zapytam go.

Gdy Thom wyjaśnił mu, że nie mówię po norwesku, Felix kiwnął głową i natychmiast przeszedł na francuski.

– *Enchanté, mademoiselle*. Mieszka pani we Francji? – zapytał, prowadząc nas do salonu, który tonął w chaotycznym bałaganie. Wszędzie leżały chwiejne sterty poszarpanych książek i gazet, brudnych filiżanek po kawie i najróżniejszych ubrań porozrzucanych bezładnie po meblach.

– Nie, w Genewie – odparłam.

– Szwajcaria... kiedyś byłem tam na konkursie fortepianowym. To bardzo... dobrze zorganizowany kraj. Jest pani Szwajcarką? – Gestem wskazał, żebyśmy usiedli.

– Tak. – Ukradkiem odsunęłam stary sweter i zgnieciony kapelusz trilby, żebyśmy mogli usiąść na zniszczonej skórzanej kanapie.

– A to szkoda, bo myślałem, że będę z panią mógł porozmawiać o Paryżu, gdzie szlajałem się w młodości.

– Przykro mi, że sprawiam panu zawód. Ale Paryż też dość dobrze znam.

– Zapewniam panią, że nie tak dobrze jak ja, *mademoiselle*. Ale to już całkiem inna historia. – Puścił do mnie oko, a ja nie wiedziałam, czy się wzdrygnąć, czy roześmiać.

– Na pewno – odpowiedziałam z miną grzeczej panienki.

– Możemy mówić po angielsku? – przerwał nam Thom. – Wtedy wszyscy będziemy się rozumieli.

– Co was tutaj sprowadza? – zapytał Felix, zgodnie z prośbą zmieniając język.

– Ally ma parę pytań – powiedział Thom.

– W jakiej sprawie?

– Chce poznać swoje prawdziwe pochodzenie.

– Co masz na myśli?

– Adoptowano ją, kiedy była niemowlakiem. Kilka tygodni temu zmarł jej adopcyjny ojciec, ale zostawił wskazówki, które mają jej pomóc znaleźć biologiczną rodzinę. Jeśli tego zechce – dodał Thom. – Jedną z tych wskazówek jest biografia Jensa i Anny Halvorsenów, którą napisał twój pradziadek. Pomyślałem, że może będziesz mógł jej pomóc.

Felix jeszcze raz zmierzył mnie wzrokiem. Odchrząknął, a potem sięgnął po woreczek z tytoniem oraz papierki i zwinął sobie papierosa.

– A jak, twoim zdaniem, mogę jej pomóc?

– Odkryliśmy z Ally, że jesteśmy w tym samym wieku. No więc – przyglądałam się, jak Thom zмага się ze sobą, nim zaczął mówić dalej: – Pomyślałem, że może miałaś jakąś dziewczynę... która urodziła córeczkę w tym samym czasie, kiedy mama urodziła mnie.

Felix zareagował na to gromkim śmiechem, po czym zapalił skręta.

– Nie ma w tym nic śmiesznego – rzucił jego syn. – Proszę cię.

Sięgnęłam po dłoń Thoma i ścisnęłam ją, aby go uspokoić.

– Przepraszam, wiem. – Felix się opanował. – Czy Ally to skrót od Alison?
– Tak naprawdę to od Alkione.
– To jedna z Plejad – zauważył.
– Zgadza się. Noszę jej imię.
– Naprawdę? – Nagle znowu przeszedł na francuski. Nie wiedziałam, czy robi to, żeby zirytować Thoma, czy nie. – No cóż, Alkione. Niestety, nie znam swoich innych potomków. Ale jeśli chcesz, żebym zadzwonił do wszystkich moich byłych dziewczyn i zapytał, czy trzydzieści lat temu bez mojej wiedzy nie urodziły jakiegoś dziecka, to bardzo chętnie.

– Co powiedział? – szepnął do mnie Thom.

– Nic ważnego – odparłam i zwróciłam się po francusku do Felixa: – Nie wkurzaj się na niego, że zadaje ci trudne pytania. Od początku uważałam, że moje poszukiwania mają kiepskie szanse powodzenia. Twój syn jest fajnym facetem i usiłuje mi pomóc. Wiem, że w przeszłości kiepsko się między wami układało, ale powinieneś być z niego dumny. A teraz nie będziemy ci już dłużej przeszkadzać. – Wstałam, bo miałam dosyć tego, jak się przed nami mądrzy. – Chodź, Thom. – Znow przesłam na angielski.

Thom też wstał. W jego oczach zobaczyłam ból.

– O Boże, ale z ciebie palant – prychnął.

– A co takiego znow zrobiłem? – Felix w proteście wzruszył ramionami.

– Wiedziałem, że to będzie strata czasu – ze złością wymamrotał Thom i szybko wyszliśmy z chaty.

Gdy znaleźliśmy się na omszałych schodach i ruszyliśmy w górę, poczułam dłoń na ramieniu. Był to Felix.

– Wybacz mi, Ally. Gdzie się zatrzymałaś?

– W hotelu Havnekontoret – odparłam.

– W porządku. To do widzenia.

Zignorowałam go i przyśpieszyłam kroku, żeby dogonić Thoma.

– Przepraszam cię, Ally. To był głupi pomysł – powiedział, otwierając samochód.

– Nieprawda – pocieszyłam go, gdy oboje wsiedliśmy. – Dziękuję, że starasz się mi pomóc. A teraz może zajedziemy do ciebie i dla uspokojenia zrobię ci kawę?

– Dobra. – Wycofał wóz i po chwili ruszył z takim impetem, że silnik małego renault zaryczał jak wściekły lew ze złości, że Thom niepotrzebnie tak mocno przyciska pedał gazu.

*

Kiedy wróciliśmy do Froskehuset, Thom na jakiś czas gdzieś zniknął. Najwyraźniej chciał побыć trochę w samotności. Teraz naprawdę zrozumiałam, jak głęboko zraniła go przeszłość. Odrzucenie przez ojca zostawiło w nim paskudną,

ropiejącą ranę, a teraz, kiedy już poznałam Felixa, nabrałam wątpliwości, czy kiedykolwiek uda mu się ją wyleczyć. Usiadłam na kanapie i zaczęłam od niechcienia przeglądać stare, ręcznie napisane nuty koncertu fortepianowego Jensa Halvorsena. Leżały przede mną na stole w luźnej stercie. Kiedy leniwie zerknęłam na pierwszą stronę, zauważyłam drobne rzymskie cyfry napisane w prawym dolnym rogu. Mój mózg wrócił do szkolnych lekcji, żeby odcyfrować napis. Wyjęłam pióro i zapisałam to, co mi wyszło, na ostatniej stronie kalendarzyka.

– Oczywiście! – powiedziałam głośno z triumfalnym okrzykiem.

To pocieszy Thoma, pomyślałam.

– Wszystko w porządku? – spytałam, kiedy w końcu się pojawił.

– Tak. – Usiadł koło mnie.

– Przykro mi, że się zdenerwowałeś, Thom.

– A ja żałuję, że zabrałem cię do niego. Dlaczego spodziewałem się, że coś się w nim zmieni? Nic i nikt się nie zmienia, Ally. Taka jest prawda.

– Może i masz rację. Przepraszam, że zmieniam temat, ale chyba właśnie odkryłam coś fascynującego.

– Co?

– Pewnie zakładałeś, że ten koncert napisał twój prapradziadek, Jens.

– Tak. Oczywiście.

– A jeśli to nie on?

– Jego nazwisko jest na pierwszej stronie oryginalnych nut. – Thom spojrział na mnie pytająco i wskazał na nie. – Leżą tam, przed tobą. Czarno na białym widać, że on to napisał.

– A gdyby koncert fortepianowy, który znalazłeś, nie był dziełem twojego prapradziadka, Jensa, tylko twojego dziadka, Jensa Halvorsena Młodszeo, znanego jako Pip? Jeśli jest to zadedykowany Karine *Koncert heroiczny*, który nie doczekał się premiery? A z powodów, które wyjaśniałeś wczoraj, twój pradziadek Horst schował go na strychu, bo nie był w stanie go słuchać po tym, co się stało z jego synem i synową?

Wyrażone przeze mnie myśli wisiały w powietrzu. Czekałam, żeby Thom zrozumiał, o co mi chodzi.

– Mów dalej, Ally. Słucham.

– Pamiętam, jak mówiłeś, że koncert ma charakter norweski. I to prawda, słysząc takie wpływy. Ale chociaż nie znam się dobrze na historii muzyki, utwór, który mi wczoraj zagrałeś, nie pasował mi do początku dwudziestego wieku. Słyszałam wątki z Rachmaninowa, a co ważniejsze, ze Strawińskiego. A on swoje główne dzieła stworzył przecież w latach dwudziestych i trzydziestych, długo po śmierci pierwszego Jensa Halvorsena.

Znów zapadła chwila milczenia. Przyglądałam się minie Thoma, kiedy zastanawiał się nad tym, co mu powiedziałam.

– Masz rację, Ally. Automatycznie założyłem, że to kompozycja pierwszego Jensa. Stare nuty są dla mnie po prostu stare, nieważne, czy mają lat osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt czy sto. Na strychu znalazłem tyle nut, które na pewno były zapisami utworów pierwszego Jensa, że i ten koncert uznałem za jego pracę. Nie ma na nim przecież chyba tytułu *Koncert heroiczny*? Ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej nabieram przekonania, że masz rację – przyznał w końcu Thom.

– Mówiłeś, że zapis instrumentacji koncertu prawie na pewno przypadł, kiedy zbombardowano teatr. A to – wskazałam nuty – jest zapewne oryginalny zapis muzyki na fortepian zrobiony, kiedy Pip nie zdecydował się jeszcze nawet na tytuł koncertu.

– Utwory mojego prapradziadka były znacznie bardziej romantyczne i epigońskie. Ten ma w sobie ogień, pasję... Jest inny niż prace pierwszego Jensa. O mój Boże, Ally! – Thom uśmiechnął się blado. – Zaczęliśmy od twojej tajemnicy, a teraz będziemy rozwiązywać moją.

– Chociaż tak naprawdę mamy niezbity dowód. – Udając skromność, pokazałam mu napisane drobnym drukiem rzymskie cyfry. – MCMXXXIX – przeczytałam na głos.

– I co z tego?

– Uczyłeś się w szkole łaciny? – zapytałam.

– Nie.

– A ja tak. Te litery to cyfry.

– Tyle to i ja wiem. Ale co oznaczają?

– Rok tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty.

Thom przez chwilę milczał, rozmyślając nad wagą tego odkrycia.

– Więc to jest utwór mojego dziadka Pipa.

– Tak niezbitcie wynika z daty.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Ja też. Zwłaszcza po tym, co wczoraj mi opowiedziałeś.

Oboje przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu.

– Boże, Ally, to niewiarygodne odkrycie. – Thom w końcu odzyskał mowę.

– Nie tylko z przyczyn emocjonalnych, ale i dlatego, że premiera miała się odbyć w filharmonii w Bergen prawie siedemdziesiąt lat temu. A przez to wszystko, o czym ci mówiłem, utwór nie zobaczył światła dziennego.

– Pip zadedykował go Karine... swojej bohaterce... – Zagryzłam wargi, bo w oczach pojawiły mi się łzy. Przyszło mi do głowy, że ta historia nieco przypomina moją.

Oboje, Pip i Karine, także byli młodzi, dopiero na progu życia, kiedy tak okrutnie doświadczył ich los. Potem przyszło mi do głowy, że mam ogromne szczęście – są lepsze czasy, nadal żyję i jeśli wszystko dobrze pójdzie, będę mogła

wychowywać dziecko, które we mnie rośnie.

– Tak. – Thom zrozumiał, o czym myślę, i spontanicznie mnie uściskał. – Nie wiem, jakie nas łączy pokrewieństwo, ale cokolwiek się okaże, i tak na pewno zawsze będę cię wspierał.

– Dziękuję ci, Thom.

– Teraz zawiozę cię do hotelu, a potem wpadnę do Grieghalle i porozmawiam z kierownikiem orkiestry, Davidem Stewartem. Muszę opowiedzieć mu historię *Koncertu heroicznego*. Niech pomoże mi znaleźć kogoś, kto zdąży zrobić jego instrumentację na koncert dla uczczenia stulecia śmierci Griega. Żeby nie wiem, co się działo, musimy go wtedy zagrać.

– Masz rację.

*

Thom odwiózł mnie do hotelu, a kiedy weszłam do lobby, czekała na mnie wiadomość. Od Felixa.

Zadzwoń do mnie, napisał i podał numer komórki.

Oczywiście po tym, jak okropnie się dzisiaj zachował, nie miałam zamiaru do niego dzwonić. Wzięłam prysznic i położyłam się do łóżka. Rozmyślałam nad przebiegiem dnia i nad tym, jak bliski stał się dla mnie Thom.

Od początku życia wiedział, że ma ojca, który wie o jego istnieniu, ale go odrzuca. Przypomniałam sobie, jak w okresie dojrzewania buntowałam się przeciwko autorytetom mamy i Pa Salta. Pragnęłam być z moimi prawdziwymi rodzicami; wyobrażałam sobie, że oni zrozumieliby mnie lepiej.

Przed zaśnięciem głębiej niż kiedykolwiek dotąd rozumiałam, jak cudowne było moje dzieciństwo.

Następny ranek zaczęłam od telefonu do przychodni, aby poznać wynik wczorajszych badań. Jak mogłam się spodziewać, był dodatni. Lekarka bardzo miło mi pogratulowała.

– Kiedy wróci pani do domu, do Genewy, proszę zgłosić się do przychodni prowadzącej opiekę przedporodową – dodała.

– Tak, na pewno. Bardzo pani dziękuję.

Położyłam się na łóżku i piłam słabą herbatę, bo nie mogłam znieść zapachu kawy. Nadal straszliwie mnie mdliło, ale teraz wiedziałam, że to naturalne, więc już się nie martwiłam. Zapamiętałam sobie, żeby zamówić przez internet książkę o ciąży. Nie miałam pojęcia o rodzeniu dzieci, ale pewnie tak samo było z innymi kobietami, zanim to przeżyły.

Do macierzyństwa zawsze miałam niezdecydowane podejście – nie byłam specjalnie ani za, ani przeciw. Należało do rzeczy, które być może kiedyś tam w przyszłości mi się przydarzą. Oczywiście rozmawialiśmy o tym z Theo. Śmiałyśmy się, wymyślając niedorzeczne imiona dla naszych potomków. Zastanawialiśmy się też, jakiej wielkości powinna być nasza szopa dla kóz, żeby zmieściła się tam nasza trzódka opalonych brzdąców, których dzieciństwo przypominałoby powieści Geralda Durrella. Niestety, nie będzie nam dane przeżyć tej idylli. A ja wkrótce muszę postanowić, gdzie chcę urodzić dziecko i gdzie właściwie jest mój dom.

Gdy zadzwonił telefon, odruchowo odebrałam i recepcjonistka powiedziała, że dzwoni do mnie pan Halvorsen. Zakładając, że to Thom, poprosiłam o połączenie.

– *Bonjour, Ally. Ça va?*

Ku mojemu przerażeniu był to Felix.

– Dobrze – odpowiedziałam opryskliwie. – A ty?

– Też. Na tyle, na ile pozwalają moje stare kości. Jesteś zajęta?

– Dlaczego pytasz?

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Chciałbym z tobą porozmawiać – odezwał się w końcu.

– O czym?

– Sprawa nie jest na telefon, więc powiedz, kiedy masz czas się ze mną zobaczyć.

Z tonu jego głosu wywnioskowałam, że chodzi o coś poważnego.

– Gdzieś za godzinę? Tutaj?

– Dobrze.

– No to do zobaczenia.

Kiedy przyszedł, siedziałam już w recepcji i na niego czekałam. W jednej

ręce miał zniszczony kask motocyklowy. Wstając, by się z nim przywitać, zastanawiałam się, czy źle wygląda w tutejszym świetle, czy naprawdę w ciągu jednej nocy tak strasznie się postarzał. Dziś wyglądał na swój wiek – czyli jak staruszek.

– *Bonjour, mademoiselle* – powiedział, zmuszając się do uśmiechu. – Dziękuję, że znalazłaś czas, żeby się ze mną zobaczyć. Moglibyśmy porozmawiać gdzie indziej?

– Wydaje mi się, że jest tu salon dla gości. Może być?

– Tak.

Zaprowadziłam go przez lobby do pustego salonu. Usiadł, chwilę mi się przyglądał, a potem lekko się uśmiechnął.

– Za wcześnie na drinka? – spytał.

– Nie wiem. To zależy od ciebie.

– To poproszę kawę.

Poszłam poszukać kelnerki i zamówiłam dla niego kawę, a dla siebie wodę. Zastanawiałam się, dlaczego dziś tak źle wygląda: zupełnie jakby nagle wyparowała z niego cała napędzająca go energia, a bez niej był stłamszony i pusty. Chwilę gawędziliśmy o niczym, czekając, aż kelnerka przyniesie nam napoje. Wyczułam, że nasza rozmowa wymaga spokoju i musi się odbyć na osobności. Z ciekawością przyglądałam się Felixowi. Zauważyłam, że kiedy wziął filiżankę, żeby łyknąć kawy, strasznie trzęsły mu się ręce.

– Po pierwsze, chciałbym ci opowiedzieć o Thomie. Widzę, że jesteście sobie bliscy.

– Tak. Chociaż muszę podkreślić, że znamy się dopiero od kilku dni. To nadzwyczajne, jak szybko wytworzyła się między nami więź.

Na chwilę przymrużył oczy.

– Rzeczywiście. Patrząc wczoraj, jak się do siebie odnosicie, miałem wrażenie, że znacie się od lat. No, ale do rzeczy. Pewnie opowiedział ci historię o tym, że nie chciałem go uznać za swojego syna?

– Owszem.

– Uwierzyłabyś mi, gdybym ci powiedział, że do czasu, aż zobaczyłem wyniki testu DNA, naprawdę głęboko w to wierzyłem?

– Jeśli tak mówisz...

– Naprawdę tak było. – Pokręcił głową. – Martha, czyli matka Thoma, była moją uczennicą. To prawda, mieliśmy krótki romans, ale może Thom nigdy nie słyszał o tym, że w tym samym czasie miała narzeczonego, z którym już od lat się spotykała. Kiedy się poznaliśmy, była z nim nawet zaręczona i planowali ślub.

– Rozumiem.

– Nie chcę być zarozumiała, ale Martha na zabój się we mnie zakochała, do tego stopnia, że przeszło to w obsesję. A dla mnie nasz romans nic nie znaczył.

Powiem prosto z mostu: był to seks i nic poza tym. Nigdy niczego więcej od niej nie chciałem, a właściwie od żadnej kobiety nie chciałem nic więcej. Nie nadaję się na męża, a już na pewno nie na ojca. W dzisiejszych czasach takie zjawisko nazywają podobno fobią przed trwałym zaangażowaniem. W każdym razie swoim dziewczynom zawsze jasno mówiłem, jak ze mną jest. Moja młodość przypadła na czasy wolnej miłości, swingujące lata sześćdziesiąte, kiedy nagle wszyscy uwolnili się od starych reguł. Nie wiem, czy wyszło mi to na dobre, ale nigdy nie pozbyłem się tego nastawienia. Taki już jestem. – Wzruszył ramionami.

– Rozumiem – odezwała się. – Więc co powiedziałaś matce Thoma, kiedy oznajmiła ci, że jest w ciąży?

– Byłem wtedy absolutnie przekonany, że ojcem jest jej narzeczony, bo spaliśmy ze sobą zaledwie kilka razy, więc powiedziałem, że jeśli chce urodzić dziecko, niech mu o tym powie i jak najszybciej za niego wyjdzie. Ale ona poinformowała mnie, że poprzedniego wieczoru zerwała zaręczyny, bo zrozumiała, że go nie kocha. Podobno pokochała mnie. – Felix przyłożył dłoń do czoła, a potem przesunął ją niżej i zasłonił palcami oczy. – Ze wstydem przyznaję, że zaśmiałem jej się w twarz i powiedziałem, że chyba zwariowała. Po pierwsze, nie miałem żadnego dowodu, że to moje dziecko, a po drugie, myśl, że mielibyśmy razem zamieszkać i odgrywać szczęśliwą rodzinę, wydała mi się absurdalna. Żyłem przecież z dnia na dzień i mieszkalem w nieogrzewanej chacie... Co mógłbym zapewnić kobiecie i dziecku, nawet gdybym chciał? Wyjaśniłem jej, że przyszłość ze mną prowadzi donikąd, więc jedynym dla niej wyjściem jest powrót to narzeczonego. Oczywiście nie zrobiła tego. Wkrótce po porodzie pobiegła do moich dziadków, Horsta i Astrid, z opowieścią, jakim to jestem łajdakiem. On miał wtedy dziewięćdziesiąt trzy lata, a ona siedemdziesiąt osiem. Już wcześniej miałem z nimi napięte relacje, ale ta sprawa doprowadziła do zerwania kontaktów. Do śmierci dziadka już praktycznie z nim nie rozmawiałem, chociaż w dzieciństwie go uwielbiałem. Horst był naprawdę wspaniałym człowiekiem. W młodości był dla mnie bohaterem. – Felix podniósł na mnie udręczony wzrok. – Uważasz, tak jak Thom, że jestem draniem?

– Nie mnie cię osądzać. Chcę tylko wysłuchać, co masz do powiedzenia – odezwała się ostrożnie.

– No dobrze. Więc Martha zniknęła po tym, jak jej powiedziałem, że nie chcę mieć nic wspólnego z dzieckiem. Napisała do mnie, że donosi ciążę, a na razie zatrzymała się u koleżanki na północy, niedaleko swego rodzinnego domu. Potem zastanowi się, co robić. Pisała do mnie jeszcze niezliczone listy, w których zapewniała mnie o swojej miłości. Nie odpowiadałem, mając nadzieję, że moje milczenie przekona ją, żeby jakoś ułożyć sobie życie. Była młoda i bardzo ładna, więc nie miałem wątpliwości, że znajdzie sobie kogoś, kto zapewni jej wszystko, czego potrzebuje. Potem... tuż po porodzie... dostałem list ze zdjęciem

w środku...

Felix przerwał. Zauważyłam, że dziwnie mi się przygląda, a potem opowiadał dalej:

– Przez następne kilka miesięcy nie odzywała się do mnie, aż pewnego dnia zobaczyłem ją w Bergen z wózkiem dziecięcym. Jestem strasznym tchórzem – jego twarz wykrzywił dziwny grymas – więc schowałem się przed nią, ale potem poprosiłem znajomego, żeby się dowiedział, gdzie mieszka. To on powiedział mi, że przyjęli ją do siebie moi dziadkowie, bo nie miała dokąd pójść. Najwyraźniej koleżanka, u której mieszkała, w końcu ją pogoniła. Może Thom ci mówił, że miała napady depresji. Wyobrażam sobie, jak okropnie się czuła po porodzie.

– A ty, jak odebrałeś to, że mieszka u twoich dziadków?

– Byłem wściekły! Uważałem, że kiedy wzięli pod swój dach kobietę, która twierdzi, że urodziła moje dziecko, zostali perfidnie zmanipulowani. Ale co mogłem zrobić? Udało jej się całkowicie ich przekonać. W tym czasie spisali mnie już na straty jako kompletnego nicponia, więc w ich oczach zachowanie, które opisała, pasowało do reszty moich wybryków. Jezu Chryste, ależ byłem wściekły! I to przez całe lata. To prawda, że zbłądziłem, wpędzając kobietę w ciążę, ale nie zadali sobie trudu, żeby wysłuchać, co ja mam w tej sprawie do powiedzenia. Nie dali mi na to ani jednej okazji. Wiesz co, idę po drinka. Chcesz coś?

– Nie, dziękuję.

Przyglądałam się, jak wstaje i wychodzi, żeby poszukać baru przy recepcji. Staralam się pamiętać słowa Pa Salta o tym, że zawsze trzeba wysłuchać drugiej strony. Wszystko, co Felix do tej pory mi opowiedział, miało sens. Nawet jeśli był nieodpowiedzialnym pijakiem, nie miałam wrażenia, żeby kłamał. Wydawał się do bólu szczery. A jeśli jego historia jest prawdziwa, to w pełni rozumiałam jego punkt widzenia.

Wrócił z dużą szklanką whisky w ręce.

– *Skål!* – powiedział i wziął dużego łyka.

– Czy kiedykolwiek próbowałaś opowiedzieć to Thomowi?

– No co ty! – Roześmiał się głośno. – Od dnia urodzenia wpajano mu, że jestem sukinsynem. A poza tym zawsze bronił matki. I to rozumiałe. Z biegiem lat coraz bardziej było mi go żal, niezależnie od tego, czy był moim synem, czy nie. Z miejscowych plotek wiedziałem, że Martha często miewa depresję. To, że w czasie kształtowania się u dziecka charakteru Thom mieszkał u dziadków, dawało mu przynajmniej jakieś poczucie stabilności. Martha naprawdę była narwana. Miała w sobie coś z dziecka. Zawsze uważała, że wszystko powinno być tak, jak ona zechce.

– Więc nie wtrącałaś się do niczego do czasu, kiedy dowiedziałeś się, że Thom odziedziczył twój rodzinny dom?

– Tak. Horst zmarł, kiedy Thom miał osiem lat, ale moja babcia była od

niego dużo młodsza i odeszła, kiedy miał lat osiemnaście. Dowiedziawszy się od prawnika, że w spadku dostałem wiolonczelę Horsta i niewielką sumę pieniędzy, a cała reszta jest dla Thoma, poczułem, że jednak muszę coś zrobić.

– A jak się poczułeś, gdy okazało się, że naprawdę jesteś ojcem Thoma?

– Byłem absolutnie zdumiony – przyznał Felix i znów łyknął whisky. – Ale takie jest życie – Roześmiał się. – Lubi płatać figle. Wiem, że Thom jeszcze bardziej mnie znienawidził, kiedy podważyłem testament. Ale w świetle wszystkiego, co ci powiedziałem, chyba rozumiesz, dlaczego uważałem go za kukułkę, która zawładnęła moim rodzinnym gniazdem.

– A wiadomość o tym, że Thom jest twoim synem, uszczęśliwiła cię? – zapytałam, czując się trochę jak terapeutka pracująca z klientem. Theo na pewno byłby mną zachwycony, pomyślałam.

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam, co czułem – przyznał Felix. – Po odebraniu wyników badań DNA przez kilka tygodni ostro piłem. Oczywiście Martha napisała mi zjadliwie triumfujący list, który wrzuciłem do ognia. – Westchnął głęboko. – Masakra, kompletna masakra.

Oboje przez chwilę siedzieliśmy w ciszy; ja starałam się przetrwać to, co mi powiedział.

Poczułam przenikliwy smutek, że ich życie tak fatalnie się ułożyło.

– Thom mówił, że byłeś utalentowanym pianistą i kompozytorem – zaryzykowałam.

– Byłem? A ja ci powiem, że nadal jestem! – Po raz pierwszy uśmiechnął się z głębi serca.

– W takim razie szkoda, że nie korzystasz ze swojego talentu.

– A skąd wiesz, że nie korzystam, *mademoiselle*? Instrument, który mam w chacie, jest moją kochanką i moim katem. Dzięki niemu nie zwariowałem. Może i byłem zbyt nieodpowiedzialnym pijakiem, żeby ktokolwiek mnie zatrudnił, ale to nie znaczy, że przestałem grać dla siebie. A co, twoim zdaniem, robię całymi dniami w tej opuszczonej przez Boga chacie? Gram, gram dla siebie. Może któregoś dnia pozwolę ci posłuchać. – Znowu uśmiechnął się szeroko.

– Thomowi też?

– Wątpię, żeby chciał z tego skorzystać, i nie mogę go za to winić. To on padł ofiarą całej tej sytuacji. Uwiązał między zgorzkniałą matką w depresji a ojcem, który nigdy nie wziął za niego odpowiedzialności. Ma prawo mnie nienawidzić.

– Powinieneś mu powiedzieć to, co mnie przed chwilą.

– Wystarczyłoby, żebym cokolwiek powiedział na jego najdroższą mamusię, a już by go nie było. Poza tym, burzenie przekonania, które wpajano mu przez całe życie, że to ona była całkowicie niewinna, i strącanie jej z piedestału, zwłaszcza teraz, kiedy nie żyje, byłoby okrutne. Zresztą jakie to ma znaczenie? – Westchnął. – Co się stało, i tak się nie odstanie.

Coraz bardziej mi się podobał, zwłaszcza że sądząc po jego słowach, zależało mu na rodzinie. Nawet jeśli nie za bardzo się wysilił, żeby syn był w stanie go pokochać.

– Mogę cię zapytać, dlaczego mi to wszystko powiedziałaś? Chcesz, żebym powtórzyła to Thomowi?

Felix na kilka sekund wpił we mnie wzrok, a potem podniósł szklanekę i ją osuszył.

– Nie.

– Chcesz mi powiedzieć, że Thom miał rację? Że też jestem twoim nieślubnym dzieckiem z jakąś inną dziewczyną, której serce zawojowałeś? – zażartowałam, bo po wyrazie jego oczu widziałam, że ma mi jeszcze coś do powodzenia.

– To nie jest takie proste, Ally. Cholera! Przepraszam.

Znowu wstał i prawie pobiegł do baru. Kilka minut później wrócił z następną dużą whisky.

– I zapamiętaj: kiedy jestem pijany, gram dużo lepiej – powiedział.

– Co mi chcesz powiedzieć, Felixie? – nalegałam, martwiąc się, że kiedy whisky przeniknie mu do krwiobiegu, zgubi wątek.

– Chodzi o to... Zobaczyłem to wczoraj, kiedy siedzieliście z Thomem koło siebie u mnie na kanapie. Podobni do siebie jak dwie cholerne krople wody. I wszystko poskładało mi się do kupy. Całą noc zastanawiałem się, czy ci o tym powiedzieć. Wbrew opinii, jaką wszyscy o mnie mają, mam jakieś zasady. I za nic bym nie chciał narobić jeszcze więcej kłopotów niż do tej pory.

– Po prostu powiedz mi, o co chodzi – poprosiłam.

– Dobra, ale pamiętaj, że ja też tylko zgaduję. No więc...

Zobaczyłam, że szuka czegoś w kieszeni, po czym wyjął z niej starą kopertę.

– Kiedy Martha napisała mi o porodzie, do listu dołączyła zdjęcie.

– Thoma – domyśliłam się.

– Tak, Thoma. Ale w ramionach miała jeszcze jedno dziecko. Maleńką dziewczynkę. Martha urodziła bliźniaki. Chcesz zobaczyć list i zdjęcie?

– Boże – jęknęłam i chwyciłam brzegi kanapy, bo nagle wszystko wokół mnie zawirowało. Włożyłam głowę między nogi. Poczułam, że Felix usiadł przy mnie i klepie mnie po plecach.

– Masz, Ally. Napij się whisky. Zawsze pomaga w razie szoku.

– Nie. – Odepchnęłam szklanekę, bo od zapachu alkoholu mnie zemdliło. – Nie mogę. Jestem w ciąży.

– O Jezu! Co ja zrobiłem?

– Podaj mi tylko wodę. Jest mi już trochę lepiej.

Napiłam się i poczułam, jak mdłości ustępują.

– Przepraszam, już mi prawie przeszło. – Wlepiłam wzrok w kopertę, która

leżała na stole, i sięgnęłam po nią. Palcami, które trzęsły się teraz tak samo jak Felixowi, otworzyłam list. Wypadła z niego kartka i stara, czarno-biała fotografia ładnej kobiety. Rozpoznałam w niej matkę Thoma z fotografii w ramach stojących we Froskehuset. Przytulała do siebie dwójkę owiniętych w pieluszki niemowlaków.

– Mogę przeczytać list?

– Jest po norwesku. Będę musiał ci go przetłumaczyć.

– Bardzo cię proszę.

– Najpierw jest adres: Szpital Świętego Olafa w Trondheim. Drugi lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku. No i tekst... – Felix odchrząknął. – „Kochany Felixie, chcę ci powiedzieć, że urodziłam bliźniaki: chłopca i dziewczynkę. Dziewczynka urodziła się pierwsza, tuż przed północą trzydziestego pierwszego maja, a nasz syn pojawił się kilka godzin później, nad ranem pierwszego czerwca. Jestem bardzo zmęczona długim porodem i pewnie będę tu jeszcze z tydzień, ale bez problemów dochodzę do zdrowia. Załączam zdjęcie naszych dzieci. Gdybyś chciał je zobaczyć, póki tu są, albo gdybyś chciał zobaczyć się ze mną, to, proszę, przyjeźdź do nas. Kocham cię. Martha”. No więc tak. Tyle napisała w liście.

Felix zachrypnął nieco. Miałam wrażenie, że jest bliski łez.

– Trzydziestego pierwszego maja mam urodziny – powiedziałam.

– Tak?

– Tak. – Pustym wzrokiem patrzyłam to na Felixa, to znowu na dzieci na zdjęciu. W powijkach niemożliwe było je od siebie odróżnić. Nie miałam pojęcia, którym z nich mogłam być ja.

– Zakładam, że nie mając domu ani męża, Martha jedno z dzieci natychmiast oddała do adopcji – powiedział Felix.

– Ale przecież, kiedy zobaczyłeś ją w Bergen, musiałeś zastanawiać się, co się stało z drugim. – Z trudem przełknęłam ślinę. – Nad tym, gdzie ja się podziałam.

– Ally – ostrożnie położył dłoń na mojej – niestety, założyłem, że drugie z bliźniąt umarło. Martha już nigdy więcej o tobie nie wspomniała. O ile wiem, tak samo twoi dziadkowie i Thom. Myślałem, że to może zbyt bolesne wspomnienie, więc postanowiła wymazać je z pamięci. Poza tym, po tym wszystkim prawie nigdy już z nią nie rozmawiałem, a jeśli nawet, to padały tylko słowa złości i goryczy.

– Ale w liście... – Zachmurzyłam się zmieszana. – Ona się chyba spodziewała, że możecie jeszcze być razem.

– Pewnie myślała, że kiedy zobaczę zdjęcie niby to moich dzieci, wzruszę się i stwierdzę, że skoro już są na świecie, będę musiał wziąć za nie odpowiedzialność.

- Odpowiedziałeś jej?
- Nie, Ally. Wybacz mi, ale nie.

Miałam wrażenie, że od usłyszenia przed chwilą informacji dosłownie pęka mi głowa. Serce także miałam przepelnione mieszaniną całkiem sprzecznych emocji. Kiedy nie wiedziałam, że Felix prawie na pewno jest moim biologicznym ojcem, potrafiłam spojrzeć na jego słowa bardziej racjonalnie. Ale teraz nie mogłam się zorientować, co do niego czuję.

– A może to nie ja. Nie mamy przecież niezbitego dowodu – mruknęłam w desperacji.

– To prawda, ale wczoraj widziałem was obok siebie. A poza tym, weźmy pod uwagę, że twój adopcyjny ojciec kazał ci szukać Halvorsena. Bardzo bym się zdziwił, gdyby okazało się, że tak nie jest – łagodnie tłumaczył mi Felix. – Ale w naszych czasach bardzo łatwo jest dowiedzieć się na pewno, o czym zresztą sam się przekonałem. Badanie DNA natychmiast to potwierdzi. Jeśli zechcesz, chętnie wezmę w nim udział, Ally.

Położyłam głowę na oparciu kanapy i głęboko oddychałam z zamkniętymi oczami. Wiedziałam, że nie muszę niczego potwierdzać. Wszystko do siebie pasowało, jak właśnie zauważył Felix. Poza wszystkimi powodami, o których przed chwilą wspomniał, ledwo spjrzałam na Thoma, a poczułam się tak, jakbym go znała całe życie; wydał mi się dziwnie znajomy. Naprawdę byliśmy jak dwie krople wody. Wiele razy w ciągu ostatnich kilku dni jednocześnie wyrażaliśmy tę samą myśl i śmialiśmy się z tego. Ze szczęścia, że znalazłam brata bliźniaka, aż zakręciło mi się w głowie. Jednocześnie musiałam się uporać ze świadomością, że moja biologiczna matka musiała wybrać, które dziecko oddać. I oddała mnie.

– Wiem, nad czym się zastanawiasz, Ally, i bardzo mi przykro – przerwał moje rozmyślenia Felix. – Może będzie ci łatwiej, jeśli powiem, że kiedy Martha powiedziała mi o ciąży, była przekonana, że urodzi chłopca, i właśnie tego chciała. Na pewno zadecydowała płeć. Nic innego.

– Dziękuję, ale wcale mi to nie pomaga.

– Rozumiem. Ale cóż mogę powiedzieć? – Westchnął.

– Nic. Przynajmniej na razie. Ale dziękuję, że podzieliłeś się ze mną tymi informacjami. Czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym na trochę zatrzymała sobie list i zdjęcie? Obiecuję, że je oddam.

– Oczywiście.

– Przepraszam, ale chciałabym się trochę przejść. Sama – dodałam z naciskiem, kiedy wstał. – Potrzebuję trochę świeżego powietrza.

– Rozumiem. Jeszcze raz proszę: wybacz mi, że ci to wszystko powiedziałem. Nie zrobiłbym tego, gdybym wiedział, że jesteś w ciąży. To na pewno wszystko utrudnia.

– Ależ skąd! Wręcz przeciwnie. To wszystko ułatwia. Dziękuję, że byłeś ze

mną szczerzy.

Wyszłam z salonu, a potem frontowymi drzwiami na ostre, przesycone solą powietrze. Szybko ruszyłam wzdłuż nabrzeża i skierowałam się w stronę morza. W porcie ładowano i rozładowywano statki. W końcu doszłam do metalowego pachołka cumowego i usiadłam na jego twardej, zimnej powierzchni. Dzień był wietrzny i wiatr targał mi włosy, zasłaniając twarz, więc związałam je gumką do włosów, którą zawsze nosiłam na nadgarstku.

Już wszystko wiedziałam. Kobieta o imieniu Martha poczęła mnie w Bergen z mężczyzną o imieniu Felix. Urodziła mnie i natychmiast oddała. Mój racjonalny umysł mówił, że wiadomość ta była nieuniknionym następstwem rozpoczętych przeze mnie poszukiwań, ale i tak bardzo mi doskwierał ból, że z naszej dwójki wybrała właśnie mnie. Czy wolałabym być dzieckiem, które zatrzymała, i zamienić się miejscami z Thomem?

Nie miałam pojęcia...

Wiedziałam jednak, że od dnia, kiedy się urodziłam, równoległe z moim światem rozgrywały się wydarzenia w innym świecie, który równie dobrze mógłby być mój. A teraz oba te światy zderzyły się ze sobą, a ja zataczałam się od jednego do drugiego.

– Martha. Moja matka – powiedziałam na głos. Ciekawe, czy i na nią mówiłabym mama. Uśmiechnęłam się do tej myśli, kierując wzrok na unoszące się na wietrze mewy. Potem pomyślałam o życiu, które we mnie rośnie, życiu, którego istnienia w ogóle się nie spodziewałam.

Choć wiedziałam o nim zaledwie od dwudziestu czterech godzin i nigdy wcześniej poważnie nie zastanawiałam się nad macierzyństwem, instynkt opiekuńczy, który we mnie wzbierał, był równie wielki jak największa miłość, której w życiu doświadczyłam.

– Jak mogłaś mnie oddać?! – krzyknęłam do wody. – Jak mogłaś? – zapytałam ponownie ze szlochem. Łzy spływały mi po policzkach, a ostry wiatr prawie natychmiast je osuszał. Nigdy nie dowiem się, dlaczego to zrobiła. Nigdy nie usłyszę jej wersji wydarzeń. Nie będę wiedziała, jak cierpiała, oddając mnie i żegnając się ze mną. Potem pewnie dwa razy mocniej przytuliła Thoma, bo nadal mogła nim się cieszyć.

Wszystko kompletnie poplątało mi się w głowie, więc wstałam i ruszyłam szybkim krokiem, a moje myśli rozbijały się o siebie nawzajem jak fale o nabrzeże. Zdziwione, że nie mogą naturalnie płynąć, odzwierciedlały moją rozpacz.

Cierpiałam. Cholernie mnie to wszystko bolało.

Ale co właściwie chciałam znaleźć podczas tej wyprawy? – zapytałam siebie. Ból?

Ally, zaczynasz się nad sobą rozczulać, powiedziałam do siebie stanowczo. A Thom? Znalazłaś brata bliźniaka.

Tak. Co z Thomem?

Próbowałam się uspokoić i myśleć o pozytywnych stronach moich odkryć. Zrozumiałam, że tak jak Maja, która poszukując swojej przeszłości, znalazła miłość, i ja ją odkryłam, chociaż zupełnie inną niż w przypadku Mai. Zaledwie wczoraj w nocy kładłam się spać, współczując Thomowi jego trudnego dzieciństwa. Musiałam też sobie otwarcie powiedzieć, że do tej pory martwiłam się, że Thom jest mi tak bliski. Nie będąc w stanie zasufladkować naszych wzajemnych relacji, bałam się przyznać, że go kocham. Ale taka była prawda: kochałam go. Teraz, kiedy już wiem, że jest moim bratem bliźniakiem, to uczucie wydało mi się naturalne i w porządku.

Przed przyjazdem do Norwegii straciłam dwie osoby, które były dla mnie najważniejsze na świecie. Podczas długiego spaceru wzdłuż przystani z powrotem do hotelu wyraźnie czułam, że odnalezienie Thoma z nawiązką wynagrodziło mi ból odkrycia prawdy.

Do hotelu wróciłam kompletnie wyczerpana, więc powiedziałam w recepcji, by zablokowano mi telefon, wjechałam na górę, poszłam do swojego pokoju i zapadłam w głęboki sen. Nic mi się nie śniło.

Kiedy się obudziłam, było ciemno. Spojrzałam na zegarek i stwierdziłam, że jest już po ósmej wieczorem, więc przespałam kilka godzin. Zrzuciłam z siebie kołdrę i poszłam umyć twarz zimną wodą. Przypomniało mi się wszystko, co powiedział Felix. Poczułam jednak, że zanim zacznę to dalej analizować, muszę iść coś zjeść, bo umieram z głodu. Włożyłam dżinsy i bluzę z kapturem i poszłam na dół do restauracji.

Przechodząc przez hol, ze zdziwieniem zauważyłam, że na jednej z kanap siedzi Thom. Kiedy tylko mnie zobaczył, skoczył na równe nogi. Wyglądał na bardzo zmartwionego.

– Nic ci nie jest? Usiłowałam dodzwonić się do twojego pokoju, ale miałaś zablokowany telefon.

– Tak... Dlaczego przyszedłeś? Przecież się na dzisiaj nie umawialiśmy?

– No tak, ale około obiadu zapukał do mnie rozhisteryzowany Felix. Mój Boże, Ally, naprawdę płakał, więc wpuściłem go do środka, dałem mu trochę whisky i zapytałem, co takiego się stało. Przyznał się, że powiedział ci coś, czego nie powinien, ale nie wiedział, że jesteś w ciąży. Strasznie się martwił o stan twojego umysłu. Powiedział, że poszłaś na spacer wzdłuż nabrzeża.

– Jak widzisz, nie rzuciłam się do morza. Moglibyśmy porozmawiać w restauracji? Jestem głodna jak wilk.

– To dobry znak, Ally – powiedział Thom z widoczną ulgą, kiedy znaleźliśmy stolik i usiedliśmy. – Felix opowiedział mi potem całą tę historię.

Wlepiłam w niego wzrok znad menu.

– No i co?

– Tak jak ty, byłem kompletnie zszokowany, ale był w tak strasznym stanie, że w końcu zacząłem go pocieszać. I po raz pierwszy w życiu było mi go żal.

Zawołałam kelnerkę, zamówiłam stek z frytkami i poprosiłam, żeby jak najszybciej przyniosła mi pieczywo.

– Chcesz coś? – zwróciłam się do Thoma.

– Czemu nie? Poproszę o to samo. I piwo! – zawołał za kelnerką.

– Więc kiedy mówisz, że ojciec opowiedział ci „całą” historię, masz na myśli także prawdę o twojej matce?

– Tak, chociaż to, czy mu wierzę, to już inna sprawa.

– Jeszcze kilka dni temu byłam całkowicie bezstronną obserwatorką twojej historii rodzinnej. Ale kiedy dzisiaj słuchałam Felixa, byłam skłonna mu uwierzyć. Co nie znaczy, że szukam wytłumaczenia dla tego, co zrobił, a raczej dla tego, czego nie zrobił – dodałam pośpiesznie, bo nie chciałam, by Thom pomyślał, że jestem stronnicza i bronię Felixa. – Ale może trochę tłumaczy to jego zachowanie. Poczul się przez wszystkich zmanipulowany.

– Ja, niestety, nie jestem jeszcze na takim etapie, żeby móc mu zaufać czy choćby zacząć mu wybaczać, ale dzisiaj widziałem w nim przynajmniej jakąś skruchę. Ale dosyć o moich uczuciach. A ty? Przeżyłaś szok. Tak mi przykro, Ally. I muszę cię przeprosić, że to mnie zatrzymała mama.

– Nie wygłupiaj się, Thom. Nigdy nie dowiemy się, dlaczego to zrobiła. Wprawdzie w tej chwili jest to dla mnie przykre, ale co się stało, to się nie odstanie. Dla własnego spokoju chciałabym zobaczyć, czy w szpitalu, gdzie Martha nas urodziła, jest coś o nas w dokumentach. Może znajdzie się tam także coś o adopcji. No i jeśli nie masz nic przeciwko temu, może zrobimy oboje badanie DNA?

– Oczywiście. Ale chyba nie masz wątpliwości?

– Nie. – Dostaliśmy pieczywo, więc oderwałam sobie kawałek, a potem jak głodomór wepchałam sobie do ust.

– Przynajmniej, mimo traumy, odzyskałaś apetyt. Może to nie jest odpowiedni moment, żeby mówić o pozytywnych aspektach tej sprawy, bo jeszcze nie uporałaś się z negatywnymi, ale właśnie zdałem sobie sprawę, że będę wujkiem, i naprawdę się z tego cieszę.

– Nigdy nie jest za wcześnie, żeby cieszyć się tym, co dobre – zgodziłam się z Thomem. – Przed przyjazdem do Norwegii czułam się straszliwie zagubiona, samotna. A teraz znalazłam całkiem nową rodzinę. Choć mój prawdziwy tata jest pijakiem.

Thom sięgnął przez stół i nieśmiało wziął mnie za rękę.

– Cześć, bliźniaczko.

– Cześć, bliźniaku.

Przez dłuższy czas trzymaliśmy się za ręce. Oboje byliśmy wzruszeni. Jesteśmy dwiema połówkami całości. Oto sedno sprawy.

- To dziwne – odezwaliliśmy się jednocześnie i roześmialiśmy się.
- Mów pierwsza, Ally. W końcu jesteś starsza.
- Ojej, co za dziwne uczucie. U nas w rodzinie zawsze grałam drugie skrzypce, po Mai. Możesz być spokojny, że na pewno wykorzystam przywileje wynikające ze starszeństwa – droczyłam się z nim.
- Nie wątpię. No więc oboje powiedzieliśmy, że to dziwne...
- Tak, ale zapomniałam, o co dokładnie mi chodziło, bo dzieje się teraz tak dużo dziwnych rzeczy. – Przerwałam, bo przyniesiono steki.
- Co to, to prawda! – przyznał Thom, nalewając sobie piwa. Podniósł kufel i stuknął nim w moją wodę. – Wypijmy za nasze spotkanie po trzydziestu latach! I wiesz co?
- Co?
- Nie jestem już jedynakiem.
- No tak. I wiesz co jeszcze?
- Co?
- Sześć sióstr ma brata.

Thom zaproponował, żebym natychmiast przeprowadziła się do Froskehuset.

– Nie ma nic smutniejszego niż mieszkanie w hotelu. A właściwie połowa domu i tak powinna należeć do ciebie – dodał, kiedy po kolacji niósł mi plecak po schodach do drzwi wejściowych.

– A tak w ogóle, to co właściwie znaczy Froskehuset? – zapytałam.

– „Żabi dom”. Podobno Horst powiedział Felixowi, że kiedyś na pulpicie na nuty trzymał replikę żaby, którą nosił przy sobie Grieg. Nie mam pojęcia, co się z nią stało, ale być może miała coś wspólnego z nazwą, którą dali domowi.

– To mi wszystko wyjaśnia. – Uśmiechnęłam się i kiedy Thom rzucił mój plecak w holu domu, sięgnęłam do jego bocznej kieszeni i wyjęłam z niej moją żabkę. – Zobacz, to następna wskazówka, którą mi zostawił Pa Salt. Tuziny podobnych widziałam w Muzeum Griega.

Thom wziął ją do ręki i przyjrzał się jej uważnie.

– Tata dał ci wskazówkę, żebyś trafiła pod ten dach, Ally. Do twojego prawdziwego domu.

*

Razem z Thomem zrobiliśmy badania genetyczne. Felix uparł się, że da nam próbki śliny i mieszek włosowy. W ciągu tygodnia oficjalnie potwierdzono, że jestem siostrą Thoma, a Felix jest moim nowo odnalezionym ojcem.

– Nie jesteśmy bliźniakami jednojajowymi, więc nie jesteśmy identyczni – powiedziałam, kiedy wczytywaliśmy się w wyniki przedstawione w liście. – Każde z nas ma odrębny profil DNA.

– Ja jestem dużo ładniejszy od ciebie, starsza siostró.

– Dzięki.

– Zawsze do usług. Zadzwońmy do naszego wiarołomnego ojca, żeby przekazać mu dobrą wiadomość?

– Czemu nie? – zgodziłam się.

Zgodnie z umową Felix pojawił się wieczorem z butelką szampana i z whisky dla siebie. We trójkę wznieśliśmy toast za wspólne geny. Widziałam, że Thom nadal jest powściągliwy wobec ojca, ale ze względu na mnie bardzo się stara. Zauważyłam też, że Felix usiłuje się zrehabilitować. Przynajmniej jest to jakiś początek, pomyślałam, pijąc odrobinę szampana z ojcem i bratem.

Kiedy Felix wychodził, w drodze do drzwi mocno się zataczał.

– Jesteś pewny, że bezpiecznie dojedziesz pod górę na motorowerze? – zapytałam, widząc, że wkłada kask.

– Robię to od prawie czterdziestu lat, Ally, i jak na razie jeszcze nie spadłem – burknął. – Ale dzięki, że zapytałaś. Od dawna nikomu na tyle na mnie nie

zależało, żeby zadać mi takie pytanie. Dobranoc i dziękuję. Proszę, nie bądź dla mnie obca! – zawołał, wyjeżdżając w noc.

Zamknęłam drzwi i westchnęłam. Wiedziałam jednak, że przy Thomie nie mogę okazywać litości dla Felixa, lecz brat bliźniak jak zwykle odczytał moje myśli.

– Nie mam do ciebie pretensji – powiedział, kiedy podeszłam do pieca, żeby ogrzać zmarznięte ręce.

– O co?

– O to, że ci go żal. W sumie, choć tego nie chcę, czuję to samo. Nie jestem gotowy mu wybaczyć tego, co zrobił mamie, ale zobaczyć, jak matka leży martwa na ulicy, a kilka godzin później przeżyć samobójstwo ojca... – Tom się wzdrygnął.

– Nawet jeśli dobrze tego nie pamięta, trudno o gorsze przeżycia, prawda? Kto wie, jakie to w nim zostawiło rany.

– To prawda.

– Ale dość gadania o nim. – Thom wlepił we mnie wzrok. – Chciałbym się z tobą podzielić czymś jeszcze.

– Jesteś taki poważny, że zaczynam się zastanawiać, czy za chwilę mi nie powiesz, że mamy jeszcze jakieś rodzeństwo.

– To wie tylko Felix. Ale niczego nie można wykluczyć – zażartował. – Mam coś, co sięga... – przez chwilę szukał odpowiedniego słowa... – samych naszych fundamentów.

– Jak może być coś bardziej fundamentalnego niż odkrycie, że jestem jedną z Halvorsenów?

– Niechcący dotknęłaś sedna sprawy, Ally. Chcę ci coś pokazać. – Wstał i przeszedł przez pokój do biurka, które stało w rogu, sięgnął po klucz do stojącej na nim wazy, otworzył nim szufladę i wyjął skoroszyt.

W milczeniu czekałam, aż zbierze myśli.

– Pamiętasz, jak się irytowałaś po przeczytaniu biografii Jensa Halvorsena? Jak nie mogłaś uwierzyć, że Anna bez szemrania przyjęła go z powrotem po tym, jak na całe lata zostawił ją w Lipsku?

– Pewnie, że pamiętam. Nadal tego nie rozumiem. Jens sam mówi w swojej książce, że był przekonany, że zrezygnowała z niego i z ich miłości. W dodatku opisuje Annę jako osobę tak przebojową, że nie mogę uwierzyć, by tak łatwo go z powrotem przyjęła.

– No właśnie. – Thom znów wlepił we mnie wzrok.

– Wyduś to wreszcie z siebie – ponagliłam go.

– A może musiała?

– Co musiała?

– Go przyjąć.

– Ze względu na konwenanse? Bo w tamtych czasach kobieta nie mogła się

rozwieść, nie wywołując przy tym skandalu?

– Tak, ale jeszcze coś. Choć masz rację, jeśli chodzi o moralność tamtych czasów.

– Thom, jest po jedenastej i nie bardzo mam już ochotę na grę w dwadzieścia pytań. Po prostu powiedz mi, o co ci chodzi.

– No dobrze. Ale zanim to zrobię, musisz mi przysiąc, że nikomu nie pójdziesz o tym słowa. Także naszemu ojcu. Ja nie wspomniałem o tym żywej duszy.

– Thom, mówisz, jakbyś znalazł złote runo zakopane pod Froskehuset. Proszę, wyduś wreszcie, o co chodzi.

– Przepraszam. To poważna sprawa i mogłaby narobić sporo zamieszania. No więc, kiedy badałem relację Jensa i Anny Halvorsenów z Griegiem, podążyłem ich śladem do Lipska. I oto co znalazłem.

Wyjął ze skoroszytu kopertę, wyciągnął z niej kartkę i podał mi.

– Popatrz.

Od razu zobaczyłam, że to świadectwo urodzenia Edvarda Horsta Halvorsena.

– To nasz prapradziadek.

– Pewnie tego nie pamiętasz, ale Jens pisze w swojej biografii, że wrócił do Lipska w kwietniu tysiąc osiemset osiemdziesiątego czwartego roku.

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam.

– No to masz tu fotokopię strony z książki. Horst urodził się trzydziestego sierpnia tysiąc osiemset osiemdziesiątego czwartego, co by oznaczało, Anna urodziła żywe dziecko po czteromiesięcznej ciąży. Nawet dzisiaj, ponad wiek później, jest to niemożliwe.

Przyjrzałam się dacie na akcie urodzenia i stwierdziłam, że Thom ma rację.

– Może Jens po prostu zapomniał, w którym dokładnie miesiącu wrócił do Lipska? W końcu pisał tę biografię po latach.

– Ja też tak pomyślałem. Na początku.

– Chcesz powiedzieć, że dziecko, które urodziła Anna, nie mogło być dzieckiem Jensa?

– Otóż to. – Nagle ramiona Thoma bezwładnie opadły; nie wiedziałam, czy w poczuciu ulgi, czy ze strachu lub z rozpacz. A może była to mieszanina tych trzech uczuć.

– No dobrze, jak na razie, rozumiem, o co ci chodzi. Ale co takiego odkryłeś dla potwierdzenia swojej teorii?

– To.

Podał mi następną kartkę ze skoroszytu. Była to fotokopia starego listu napisanego po norwesku. Zanim zdążyłam poskarżyć się, że nie potrafię go odczytać, dał mi następną kartkę.

- Masz tu tłumaczenie na angielski.
- Dziękuję. – Przeczytałam list, datowany na marzec 1883 roku.
- To list miłosny.
- Tak. A tam, skąd go wziąłem, jest ich mnóstwo.
- Thom... – Podniosłam na niego wzrok. – Od kogo jest ten list? Kim jest osoba, która podpisuje się jako „Żabka”? – Zanim się odezwał, domyśliłam się sama. – O Boże. Nie musisz mi mówić. Jest tych listów więcej?
- Dziesiątki. Lubił pisać listy. W ciągu swojego życia napisał do różnych ludzi dwadzieścia tysięcy listów. Porównałem pismo z dokumentami z bergeńskiego muzeum. To na pewno on.
- Gdzie je znalazłeś? – Z przejęcia z trudem przełknęłam ślinę.
- Cały czas były tu, w tym pokoju, pod nosem wszystkich. Leżą tu od stu dziesięciu lat.
- Gdzie? – Rozejrzałam się.
- Kryjówkę znalazłem zupełnie przypadkowo. Upadło mi pióro i potoczyło mi się pod fortepian, a kiedy uklęknąłem, żeby je podnieść, uderzyłem głową o spód fortepianu. Spojrzałem do góry i zobaczyłem wąską półeczkę. Chodź, pokażę ci.
- Weszłam za nim na czworakach pod fortepian, żeby zobaczyć, o co mu chodzi. Na samym środku, pod strunami, do skrzyni przyczepiono płytką tackę. Thom sięgnął tam i wysunął ją z wąskiego, drewnianego uchwytu.
- Widzisz? – Wyczołgał się spod fortepianu i położył tackę na stole. – Jest ich kilkadziesiąt.
- Ostrożnie, jeden po drugim, obejrzałam listy. Atrament tak mocno wyblakł na cienkim welinie, że był prawie nieczytelny. Udało mi się jednak dojrzeć, że napisano je między rokiem 1879 a 1884 i wszystkie były podpisane *Liten Frosk*.
- Może zauważyłaś, że choć na prapradziadka zawsze mówiono Horst, na świadectwie urodzenia na pierwsze imię ma Edvard – odezwał się Thom.
- Nie wiem, co powiedzieć. – Nie mogłam oderwać wzroku od pięknego pisma na jednym z listów. – Listy od Edwarda Griega do Anny to niezwykły skarb. Pokazywałeś je jakiemuś historykowi?
- Mówiłem ci, nikomu ich nie pokazywałem.
- Dlaczego nie wykorzystałaś ich w swojej książce? Są niezbitym dowodem bliskiej więzi między Griegiem a Anną Halvorsen.
- Tak naprawdę dowodzą czegoś więcej. Przeczytałem je wszystkie i nie mam wątpliwości, że co najmniej przez cztery lata byli kochankami.
- Niesamowite! Gdybyś napisał książkę z tak pikantną rewelacją na temat jednego z najśłynniejszych kompozytorów na świecie, z pewnością sprzedałbyś ją w milionach egzemplarzy. Nie rozumiem, dlaczego tego nie zrobiłeś.
- Ally... – Thom się zachmurzył. – Na pewno zgadniesz, dlaczego tego nie

zrobiłem. Dobrze się zastanów.

– Nie bądź taki przemądrzały – zdenerwowałam się. – Staram się spojrzeć na to z szerszej perspektywy, ale daj mi trochę czasu. Listy dowodzą, że Anna i Grieg byli kochankami. Z czego można wnioskować, że to Grieg był ojcem jej dziecka, prawda?

– Wszystko na to wskazuje. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że Grieg osobiście znalazł Jensa w rynsztokach Paryża? Było to pod koniec tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego roku, kiedy przez większość czasu był w separacji ze swoją żoną Niną i mieszkał w Niemczech. Nagle, wiosną tysiąc osiemset osiemdziesiątego czwartego Jens pojawia się na progu domu Anny, a Grieg wraca do żony do Kopenhagi. A w sierpniu rodzi się Edvard Horst Halvorsen.

– Edvard Horst Halvorsen, syn Griega – mruknełam, usiłując objąć umysłem ogromne skutki takiej możliwości.

– Po przeczytaniu historii Anny sama mówiłaś, że zdziwiło cię, dlaczego Grieg sześć lat po wyjeździe Jensa pojechał szukać go w Paryżu. I dlaczego Anna z powrotem go przyjęła. Chyba że dla zachowania zasad przyzwoitości Anna i Grieg zawarli między sobą jakiś układ. Musimy pamiętać, że w tych czasach Grieg należał do najśłynniejszych ludzi w Europie. Choć społeczeństwo było w stanie zaakceptować, że wspiera tak utalentowane śpiewaczki jak Anna, przedstawiając je w największych salonach Europy, nie mógł sobie pozwolić na hańbę taką jak nieślubne dziecko. I pamiętaj, że w tym czasie Grieg był w separacji z Niną. A zachowały się programy koncertów potwierdzające, że Anna i Grieg podróżowali razem z recitalami po Europie. Być może plotkowano na temat ich relacji, ale powrót jej męża zakończył spekulacje na temat ojca dziecka, które urodziło się kilka miesięcy później. W ciągu roku Anna i Jens przeprowadzili się do Bergen, a w Norwegii przedstawiono dziecko jako owoc ich związku.

– I Anna zaakceptowała, że musi żyć w kłamstwie?

– Pamiętaj, że w swoim czasie ona też była sławna. Jakiegokolwiek aluzje do skandalu zakończyłyby jej karierę śpiewaczki. Zdawała sobie sprawę, że Grieg nie rozwiedzie się z Niną. A przecież wiemy, że Anna była kobietą pragmatyczną i rozsądną. Założę się, że wszystko uknuli we dwójkę z Griegiem.

– Ale jeśli masz rację i Jens wrócił, kiedy ona była już w szóstym miesiącu ciąży, to dlaczego z nią został?

– Pewnie wiedział, że w przeciwnym razie wkrótce umarłby na ulicach Paryża. A Grieg prawie na pewno obiecał, że zrobi, co może, żeby wypromować go w Norwegii jako kompozytora. Rozumiesz? To pasowało całej trójce.

– W dodatku w ciągu roku oba małżeństwa zamieszkały w Bergen praktycznie po sąsiedzku. Ojej, Thom... Myślisz, że Nina coś podejrzewała?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Niewątpliwie uwielbiała Griega, a on ją. Ale małżeństwo z kimś tak sławnym miało swoją cenę. Tak jest chyba zawsze.

Może cieszyła się, że mąż do niej wrócił. No i oczywiście był jeszcze Horst. Bliskie sąsiedztwo oznaczało, że Grieg mógł widywać dziecko, które może było jego synem, tak często, jak tylko chciał, i nie wzbudzało to podejrzeń. Pamiętaj, że z Niną nie miał dzieci; ich córka zmarła. W jednym z wielu listów, które Grieg napisał do zaprzyjaźnionego kompozytora, wyznał, że jest bardzo przywiązany do małego Horsta.

– Więc Jens musiał dostosować się do sytuacji?

– Tak naprawdę uważam, że była to sprawiedliwa kara za to, że opuścił Annę. Żył w cieniu talentu Griega i prawie na pewno wychowywał jego nieślubne dziecko jako własne.

– Więc dlaczego napisał książkę o swoim związku z Anną, jeśli ukrywali taką tajemnicę?

– Pewnie wiesz, że Anna umarła w tym samym roku co Grieg. Dopiero wtedy utwory skomponowane przez Jensa naprawdę zdobyły popularność. Myślę, że książka miała mu pomóc w zdobyciu sławy. W tamtych czasach była bestsellerem i prawdopodobnie przyzwoicie na niej zarobił.

– Powinien ostrożniej podawać daty – zauważyłam.

– Ale kto miałby o tym się dowiedzieć? Chyba że pojechałby do Lipska i znalazł oryginalne świadectwo urodzenia, tak jak ja.

– Sto dwadzieścia lat później to wszystko jest czystą spekulacją.

– Popatrz na to – powiedział Thom, wyjmując ze skoroszytu trzy zdjęcia. – Tutaj masz młodego Horsta, a tu jego dwóch potencjalnych ojców. Do którego jest, według ciebie, podobny?

Spojrzałam na nie i doszłam do wniosku, że nie ma co do tego wątpliwości.

– Ale Anna też miała niebieskie oczy i jasne włosy, tak jak Grieg. Horst mógł odziedziczyć wygląd po matce.

– To prawda – zgodził się Thom. – Wszystko, co mówię, opiera się na jedyńskich narzędziach, jakie są nam dostępne w badaniu przeszłości: na dokumentach i dużej domieszce domysłów.

Słuchałam Thoma jednym uchem, bo nareszcie dotarło do mnie, co to wszystko dla nas znaczy.

– Więc jeśli masz rację, to Horst, Felix, ty i ja...

– Tak. Jak mówiłem na początku, Ally, nie do końca wiadomo, czy należysz do rodu Halvorsenów.

– To mnie już naprawdę przerasta. Myślisz, że moglibyśmy znaleźć jakieś twarde dowody?

– Jak najbardziej. Brat Griega, John, miał dzieci, a ich potomkowie nadal żyją. Moglibyśmy przedstawić im dowody i zapytać, czy zgodziliby się na badanie DNA. Setki razy myślałem o tym, żeby się z nimi skontaktować, ale kiedy próbuję sobie wyobrazić, jaki wywołałoby to skandal i jak mogłoby zrujnować

nieskazitelną reputację Griega, nie widzę w tym sensu. Wszystko to zdarzyło się sto dwadzieścia lat temu. Na miejscu Griega wolałbym, żeby moje dzieła słynęły z powodu ich piękna, a nie dlatego, że rozpętuje się wokół mnie skandal. Więc podjąłem decyzję, by zostawić przeszłość w spokoju. Dalego nie włączyłem tych odkryć do książki. Ty też musisz podjąć decyzję, Ally. Nie będę cię winił, jeśli zechcesz się upewnić, chociaż ja wolę tego nie ruszać.

– Rany! Przeżyłam trzydzieści lat, nie mając pojęcia o swoim pochodzeniu. Więc na razie wystarczy mi jedna nowa pula genów – powiedziałam z uśmiechem.
– A Felix? Mówiłeś, że o tym nie wie?

– Tak, bo nie wiem, czy któregoś dnia po pijaku nie zaczniesz ogłaszać, że jest prawnikiem Griega. A wtedy wszyscy znaleźlibyśmy się po uszy w gównie.

– Zgadza się. – Westchnęłam. – Ale co za historia!

– Właśnie! A teraz, kiedy już to z siebie zrzuciłem, może masz ochotę na filiżankę herbaty?

*

Kilka dni później przyszedł pocztą mój oryginalny akt urodzenia i natychmiast pokazałam go Thomowi. Napisałam do szpitala i do urzędu stanu cywilnego w Trondheim nie tylko dlatego, że chciałam mieć dokumenty, ale by zdobyć nieco więcej informacji na temat tego, w jaki sposób Pa Salt mnie znalazł.

– Widzisz – odezwałam się do Thoma. – Nazywałam się Felicia, zapewne po Felixie.

– Ładne imię i takie dziewczęce – drażnił się ze mną Thom.

– Bardzo mi przykro, ale ja na pewno nie jestem dziewczęca. Znacznie lepiej pasuje do mnie Ally – odparowałam.

Pokazałam mu dołączony do aktu dokument, w którym stwierdzono, że trzeciego sierpnia 1977 roku zostałam adoptowana. Na dole widniał oficjalnie wyglądający stempel, i na tym koniec.

– Wszystkie agencje adopcyjne, z którymi się skontaktowałam, poinformowały mnie, że nie mają w swojej dokumentacji dowodu adopcji, z czego wynika, że przeprowadzono ją prywatnie. Co oznacza, że Pa Salt musiał kiedyś poznać Marthę – powiedziałam, wkładając do skoroszytu najnowszą pocztę.

– Właśnie przyszło mi coś do głowy – odezwał się Thom. – Opowiadałaś mi, jak Pa Salt adoptował sześć dziewczynek i każdej nadał imię którejs z Plejad. A może to on cię wybrał? A mnie zostawił?

Pomyślałam, że Thom może mieć rację, i natychmiast złagodziło to mój ból. Siedział przy fortepianie, więc wstałam, podeszłam do niego, mocno go objęłam i pocałowałam w czubek głowy.

– Dziękuję, że to powiedziałeś.

– Nie ma za co.

Popatrzyłam na nuty, które stały przed nim na pulpicie. Napisano na nich coś ołówkiem.

– Co robisz? – spytałam.

– Przyglądam się kawałkowi instrumentacji *Koncertu heroicznego*, którą do tej pory zrobił facet polecony przez Davida Stewarta.

– Jak mu idzie?

– Z tego, co właśnie zobaczyłem, to kiepsko. Poza tym wątpię, żeby zdążył na czas przed grudniową premierą. Jest już prawie koniec września; musiałby uporać się z tym do końca przyszłego miesiąca, żeby orkiestra mogła się przygotować. Mając zielone światło od Davida, żeby premiera odbyła się w ramach obchodów, będę zdruzgotany, jeśli nie uda się tego zrobić. Tylko że to, co widzę, wcale mi nie pasuje. I na pewno nie nadaje się do pokazania Stewartowi.

– Chciałabym ci jakoś pomóc. – Nagle do głowy przyszła mi pewna myśl, choć nie byłam pewna, czy mogę ją wyrazić.

– O co ci chodzi?

Coraz częściej przekonywałam się, że nie jestem w stanie nic ukryć przed swoim świeżo odnalezionym bratem bliźniakiem.

– Obiecujesz, że natychmiast nie odrzucisz tego, co ci powiem?

– No dobrze. Mów.

– Mógłby to zrobić Felix. W końcu jest synem Pipa. Na pewno wyczułby muzykę ojca.

– Co?! Chyba kompletnie zwariowałaś, Ally! Wiem, że chcesz, żebyśmy odgrywali szczęśliwą rodzinę, ale to już przesada. Felix jest pijakiem i utracjuszem, który nigdy w życiu niczego nie doprowadził do końca. Nie ma mowy, żebym pozwolił mu zniszczyć bezcenny koncert dziadka. Albo co gorsza, żeby zrobił go do połowy i poddał się. Jeśli mamy jakąkolwiek szansę na premierę tego koncertu, to na pewno nie tędy droga.

– A wiesz, że on nadal gra po kilka godzin dziennie? Dla własnej przyjemności. Sam wciąż mi powtarzałeś, że jest geniuszem, że już jako nastolatek komponował własne utwory i robił ich instrumentację.

– Przestań, Ally. Koniec tematu.

– Dobra. – Wzruszyłam ramionami i wyszłam z pokoju. Czułam się sfrustrowana i zdenerwowana. Było to pierwsze nieporozumienie, do jakiego doszło między mną a Thomem. Po południu pojechał na koncert. Wiedziałam, gdzie trzyma oryginalne nuty Pipa Halvorsena. Miał je w biurku w salonie. Absolutnie nie mając pewności, czy dobrze robię, otworzyłam biurko kluczem i wyjęłam stertę papierów. Potem włożyłam nuty do torby, wzięłam kluczyk do samochodu, który sobie właśnie wypożyczyłam, i wyszłam z domu.

*

– Co o tym myślisz, Felixie?

Opowiedziałam mu historię *Koncertu heroicznego* i wyjaśniłam, jak bardzo zależy nam na instrumentacji. Potem od początku do końca zagrał dla mnie koncert, i to z biegłością techniczną prawdziwie utalentowanego pianisty. Choć nigdy przedtem nie widział tych nut, nie zrobił ani jednego błędu.

– Moim zdaniem, jest cudowny. A niech mnie... mój staruszek naprawdę miał talent.

Felix był wyraźnie wzruszony, a ja instynktownie podeszłam do niego i uścisnęłam mu ramię.

– Nie da się ukryć, co?

– Tragedią jest to, że wcale go nie pamiętam. Kiedy umarł, byłem brzdącem.

– Wiem. Tragedią jest też to, że jego utwór nigdy nie doczekał się premiery. Czy nie byłoby cudownie, gdyby wreszcie do niej doszło?

– Tak, to prawda. Z odpowiednią instrumentacją... Na przykład w pierwszych czterech taktach dałbym obój, a tu dołączyłaby do niego altówka. – Palcem wskazał na nuty. – I nagle niespodzianka! Prawie natychmiast odezwałyby się kotły... o tak. – Zilustrował rytm dwoma ołówkami. – Zszokowałyby to tych, którzy by pomyśleli, że słuchają kolejnych popłuczyn po Griegu.

Uśmiechnął się psotnie i sięgnął po czysty papier nutowy, a w jego oczach pojawiły się ogniki. Zaraz zapełnił kartkę opisaną przed chwilą aranżacją.

– Powiedz Thomowi, że to będzie mistrzostwo świata. A potem – znów zasiadł do gry – wchodzi skrzypce. Nadal towarzyszą im kotły, żeby wnieść poczucie zagrożenia.

Ponownie szybko zapisał na papierze nutowym kilka taktów. Nagle jednak się zatrzymał i spojrzał na mnie.

– Przepraszam, trochę mnie poniosło. Ale dziękuję, że mi to pokazałaś.

– Jak myślisz, ile czasu zajęłoby ci zrobienie instrumentacji?

– Ze dwa miesiące? Może dlatego, że napisał to mój ojciec, ale już dokładnie słyszę, jak to powinno zabrzmieć.

– A co powiesz na trzy tygodnie?

Wlepił we mnie wzrok, przewrócił oczami i roześmiał się.

– Chyba żartujesz?

– Nie żartuję. Musiałabym zrobić fotokopię oryginalnej kompozycji na fortepian, ale gdybyś mógł to rozpisać na orkiestrę i przedstawić Thomowi równie genialnie jak przed chwilą mnie, to wątpię, żeby dyrektor filharmonii był w stanie nam odmówić.

Felix chwilę siedział w milczeniu i myślał.

– Stawiasz przede mną wyzwanie? Mam udowodnić Thomowi, że jestem w stanie to zrobić?

– Po pierwsze, utwór już jest w programie obchodów stulecia śmierci Griega,

ale oprócz tego... Masz rację. Z tego, co usłyszałam, jesteś absolutnym geniuszem. I nie obrażaj się na mnie, ale krótki termin zmusi cię do pełnego skupienia się na pracy.

– Na jednym tchu wyrzuciłaś z siebie komplementy i obelgi – prychnął Felix. – Wybieram komplementy, bo oczywiście masz rację. Znacznie lepiej pracuje mi się tuż przed terminem oddania pracy, a takiej presji od paru lat zdecydowanie mi brakuje.

– Więc spróbujesz?

– Jeśli się tego podejmę, zapewniam cię, że nie będzie to jakaś byle próba. Zacznę dziś wieczorem.

– Niestety, muszę zabrać oryginalne nuty. Nie chcę, żeby Thom dowiedział się, co robimy.

– Nie martw się. Już i tak mam to w głowie. – Felix zebrał nuty, ułożył je równo i zaraz mi podał. – Podrzucić mi je jutro, ale nie chciałbym, żebyś potem ciągle tu zaglądała i sprawdzała, czy pracuję. Więc do zobaczenia za trzy tygodnie od dzisiaj.

– Ale...

– Żadnych ale – uciął, odprowadzając mnie do drzwi.

– Dobrze. Jutro podrzucę ci nuty. Cześć.

– I wiesz co, Ally?

– Słucham?

– Dzięki, że dajesz mi szansę.

Przez następne trzy tygodnie często nerwowo chodziłam po domu jak lew po klatce. Wiedziałam, że zrobienie dobrej instrumentacji koncertu zwykle wymaga wielu miesięcy wyteżonej pracy. Ale miałam nadzieję, że nawet jeśli Felixowi uda się opracować tylko pięć pierwszych minut, to Thom przekona się o tym, co ja usłyszałam na własne uszy. A jeśli Felix nic nie zrobi, niczego nie stracimy, bo jego syn nigdy się o tym nie dowie.

Każdemu należy się druga szansa, pomyślałam na odgłos otwieranych drzwi. Do domu wszedł Thom. Tego wieczoru grali muzykę do *Carmen*. Zaczął się sezon koncertowy i Thom był tak zmęczony, że aż poszarzał na twarzy. Bezsilnie opadł na kanapę, a ja podałam mu chłodne piwo z lodówki.

– Dzięki, Ally. Chętnie bym się do czegoś takiego przyzwyczaił – powiedział, otwierając piwo. – Tak się zresztą składa, że od kilku dni o czymś rozmyślam.

– A o czym?

– Czy już postanowiłaś, gdzie chcesz urodzić Calineczkę?

Tak nazywaliśmy moje dziecko. Wszystko zaczęło się od tego, że Thom zapytał, jakiej jest teraz wielkości, a ja, dzięki wiedzy zaczerpniętej z nowo nabytej książki o ciąży, pokazałam mu na palcu cal.

– Nie.

– A może zostaniesz tu we Froskehuset ze mną? Ciągłe mówisz, że aż cię korci, żeby tu coś unowocześnić, a ja kompletnie nie mam na to czasu. Ostatnio czytałaś mi fragment z książki o ciąży na temat instynktu budowania gniazda. Może wykorzystałabyś go w praktyce i zabrała się do roboty we Froskehuset? W zamian dostałabyś darmowe spanie i jedzenie, które wzięwszy pod uwagę wasz podwójny apetyt, robi się coraz droższe – droczył się ze mną. – No i oczywiście oficjalnie potwierdzoną współwłasność domu?

– Przecież to twój dom! W życiu nie chciałabym ci go odbierać, nawet w połowie.

– To może zainwestowałabyś w niego trochę gotówki, jeśli takową masz, i trochę go zmodernizowała? Uznałbym to za sprawiedliwą wymianę. No widzisz? Nie jestem aż tak hojny, jak ci się wydaje.

– Oczywiście mogłabym poprosić o pieniądze Georga Hoffmana, czyli prawnika taty. Jestem pewna, że uznałby to za dobrą inwestycję. Na modernizację domu nie potrzeba dużo gotówki, choć z chęcią wyrzuciłabym ten okropny stary piec i zastąpiła go jakimś nowym, no i może resztę domu przydałoby się wyposażyć w ogrzewanie podłogowe. Aha... trzeba też wymienić bojler, unowocześnić hydraulikę w łazienkach, bo już mnie wkurza, kiedy się kąpię, że ciepła woda ledwie ciurka, no i...

– Widzisz? – Thom roześmiał się. – Sądzę, że na porządny remont potrzeba co najmniej miliona koron. Dom wart jest około czterech milionów, więc jeszcze trochę ci dopłacę za zaprojektowanie wnętrza. I trzeba się umówić, że gdyby któreś z nas musiało go w przyszłości sprzedać, drugie będzie miało prawo pierwokupu. Najważniejsze jednak jest to, żebyście ty i dziecko wiedzieli, że macie własny dom.

– Do tej pory bez problemu radziłam sobie bez domu.

– Do tej pory nie miałaś dziecka, Ally. Gdy byłem chłopcem, matka wciąż przypominała mi, że nie mieszkamy we własnym domu, więc koniecznie chcę, by moja siostrzenica lub siostrzeniec nie mieli takiego zmartwienia. Może do czasu, aż w twoim życiu pojawi się jakiś facet, przydam się dziecku jako substytut ojca. Ale jestem pewny, że w końcu kogoś sobie znajdziesz.

– Gdybym tu została...

– To co wtedy?

– Musiałabym nauczyć się norweskiego. A to nie jest możliwe.

– Możecie uczyć się razem z dzieckiem – odparł z uśmiechem.

– A co jeśli ja albo ty, albo oboje kogoś sobie znajdziemy?

– Już mówiłem. Możemy sprzedać dom lub jedno wykupi część należącą do drugiego. Poza tym, nie zapominaj, że mamy tu cztery sypialnie. I tak nie pozwolę ci na związek z facetem, który mi się nie spodoba, więc jeśli wszystko będzie dobrze, niby dlaczego nie moglibyśmy zamieszkać tu razem, w komunie? Ale, moim zdaniem, nie ma co za bardzo martwić się tym, co może się zdarzyć. Czy nie jest to jedno z twoich ulubionych powiedzeń?

– Kiedyś było, ale... teraz muszę zaplanować przyszłość.

– Jasne. Macierzyństwo już cię zmienia.

Wieczorem, kiedy kładłam się spać, pomyślałam, że Thom ma rację. Nie myślałam już tylko o sobie, ale i o tym, co będzie najlepsze dla mojego maleństwa. Niewątpliwie jestem tu szczęśliwa i czuję się bezpieczna i spokojna w kraju, który coraz bardziej kocham. Skoro zostałam pozbawiona swego prawdziwego dziedzictwa, wydało mi się ważne, by mogło w nim wzrastać moje dziecko. Razem na pewno nam się uda.

Następnego dnia rano powiedziałam Thomowi, że miał cudowny pomysł i bardzo chciałabym tu urodzić i wychowywać dziecko.

– Może nawet udałoby mi się sprowadzić tu jacht Theo. Nawet jeśli sama nigdy nie zdobędę się na to, by wejść na pokład, może ty chciałbyś pożeglować latem po norweskich fiordach z siostrzenicą lub siostrzeńcem?

– Świetny pomysł – przyznał. – A nie rozważasz tego, by wrócić kiedyś do żeglowania? Jeśli już nie dla siebie, to dla dziecka.

– Kiedyś może i tak, ale na razie nie – odburknęłam. – Martwię się tylko, co będę robić, kiedy już urodzę dziecko i urządzę dom. – Położyłam na talerzu jego ulubione naleśniki, które usmażyłam na śniadanie.

- Widzisz? Znow to robisz, Ally. Za daleko wybiegasz w przyszłość.
 - Zamknij się. Masz przed sobą kobietę, która całe życie pracowała, codziennie stawiała czoło wyzwaniom.
 - A przeprowadzka do innego kraju i urodzenie dziecka nie wystarczy?
 - Na razie tak. Ale chciałabym robić coś jeszcze.
 - Pewnie coś dla ciebie mam – rzucił Thom.
 - Co?
 - W orkiestrze zawsze znajdzie się miejsce dla tak utalentowanej flecistki jak ty. Chciałbym ci nawet zaproponować coś konkretnego.
 - No, mów – ponagliłam go.
 - Wiesz, że przygotowujemy koncert z okazji stulecia Griega, czyli ten, na którym miał być zagrany *Koncert heroiczny*.... ale teraz nic już pewnie z tego nie będzie. W pierwszej części zagramy suity do *Peer Gynta*. Pomyślałem, że byłoby pewną kontynuacją tradycji, gdyby początek *Poranka* zagrała potomkini Halvorsenów. Wspominałem już o tym Davidowi Stewartowi i on uważa to za świetny pomysł. Co ty na to?
 - Już z nim rozmawiałeś?
 - Jasne. Nie musiałem się nad tym długo zastanawiać, no i...
 - ...nawet jeśli jestem do niczego, pozwolą mi wystąpić przez wzgląd na nazwisko – skończyłam za niego.
 - Jesteś nieznośna! Przecież słyszałem, jak grałaś z Willemem w teatrze Logen. Pamiętasz? Chcę tylko powiedzieć, że nie wiadomo, dokąd to cię może zaprowadzić. Więc jeśli postanowisz tu na stałe zapuścić korzenie, naprawdę na razie nie martwiłbym się o pracę.
 - Popatrzyłam na niego spod zmrużonych powiek.
 - Już to wszystko obmyśliłeś, co?
 - No tak. Ty zrobiłabyś na moim miejscu tak samo.
- *

Dokładnie co do dnia trzy tygodnie po tym, jak zawiozłam Felixowi nuty, ze strachem zapukałam do jego drzwi. Przez jakiś czas nie było odpowiedzi, więc podejrzewałam, że choć jest już prawie południe, Felix nadal odsypia kaca.

Kiedy wreszcie dotarł do drzwi, miał zaspane oczy. Był w T-shircie i bokserkach. Serce we mnie zamarło.

- Cześć, Ally. Wejdz.
- Dzięki.

W salonie śmierdziało zwietrzałym alkoholem i papierosami. Byłam coraz bardziej spięta, zwłaszcza że na stoliku do kawy zobaczyłam butelki po whisky. Były ustawione w trójkąty jak kręgle.

- Przepraszam za bałagan – powiedział, zabierając z kanapy wytarty koc

i poduszkę. – Przez ostatnie tygodnie spałem tam, gdzie padłem.

– Ojej.

– Napijesz się?

– Nie, dziękuję. Wiesz, po co przyszłam, prawda?

– Mniej więcej – odparł, przeczesując dłonią rzednące włosy. – Chodzi o coś w związku z koncertem?

– No tak. Właśnie. I co? – Drżałam z niecierpliwości, żeby się dowiedzieć, co udało mu się zrobić.

– Tak, tak... Ale gdzie ja to położyłem?

W salonie leżały porozkładane sterty papieru nutowego, a tu i ówdzie walały się zgniecione w kulki nuty, które widziałam już, kiedy byłam tu poprzednim razem. Teraz osiadł na nich kurz i pajęczyny. Ze ściśniętym sercem przyglądałam się, jak Felix szuka po półkach z książkami, po przeładowanych szufladach i za kanapą, na której siedziałam.

– Wiem, że położyłem je gdzieś, żeby mi nie zginęły... – mruknął, schylając się, by zajrzeć pod fortepian. – Aha! – oznajmił triumfalnie, otwierając wspaniały fortepian Blüthnera i podpierając wieko drewnianym kołkiem. – Jest. – Sięgnął do środka i wyjął ogromny plik nut. Przyniósł je do mnie i rzucił mi na kolana; pod ich ciężarem aż ugięła się kanapa w miejscu, gdzie siedziałam. – Zrobione.

Zobaczyłam, że na wierzchu, w schludnym, przezroczystym plastikowym folderze leży zapis oryginalnej muzyki na fortepian. Następnie ułożone były nuty na flet, potem na altówkę i na kotły, tak jak mi to opisywał. Plik po pliku przewracałam nieskazitelnie czysto, pięknie zapisane nuty. Gdy doszłam do sekcji dętej, nie pamiętałam już, na ile instrumentów rozpisał koncert. Podniosłam na niego wzrok i popatrzyłam z bezgranicznym, niekłamanym zdumieniem. Twarz rozświetlał mu uśmiech niewiniątka.

– Gdybyś знаła mnie trochę dłużej, moja nowo odnaleziona, ukochana córko, wiedziałabyś, że jeśli chodzi o muzykę, zawsze staję na wysokości zadania. Zwłaszcza w przypadku czegoś tak ważnego jak ten utwór.

– Ale... – Mój wzrok powędrował w stronę stojących przede mną na stoliku butelek po whisky.

– Przecież już ci mówiłem: znacznie lepiej pracuje mi się po pijaku. Smutne to, ale prawdziwe. W każdym razie robota jest gotowa, możesz to wszystko dać mojemu ukochanemu synowi; niech wyda werdykt. Moim zdaniem, razem z ojcem stworzyliśmy genialny utwór.

– Nie mam kwalifikacji, żeby decydować o jego jakości, ale praca, jaką wykonałeś w tak krótkim czasie, zakrawa na cud.

– Pracowałem dzień i noc, kochana, dzień i noc. No to idź już.

– Serio?

– Tak, chcę wrócić do łóżka. Od naszego ostatniego spotkania prawie nie

spalem.

– Dobrze – zgodziłam się i wstałam, przyciskając do piersi ogromną stertę papieru.

– Daj mi znać, jak poznasz werdykt.

– Oczywiście.

– Aha, i przekaż ode mnie Thomowi, że jedyne miejsce, którego nie jestem pewny, to czwarty takt w drugiej części, gdzie rożki wchodzi razem z obojem. Może jest tam tego trochę za dużo. Do widzenia, Ally.

Po tych słowach mocno zamknął za mną drzwi.

*

– Co to jest? – zapytał Thom, kiedy przyszedł po południu z próby i zauważył, że na stoliku w salonie leżą równiutko porozkładane sterty nut.

– Skończona instrumentacja *Koncertu heroicznego* – rzuciłam niby od niechcienia. – Zrobić ci kawy?

– Tak, poproszę – odpowiedział i jeszcze raz z niedowierzaniem spojrzał na stolik.

Spokojnie poszłam do kuchni, nalałam mu kawy, a kiedy wróciłam, Thom przeglądał nuty tak samo jak ja wcześniej.

– Jak to? Kiedy? A przede wszystkim, kto to zrobił?

– Felix. Przez ostatnie trzy tygodnie.

– Żartujesz!

– Skąd! – Na widok jego zdziwionej miny miałam ochotę w poczuciu triumfu wykonać zwycięski taniec wojenny.

– Oczywiście. – Odchrząknął i dalej mówił głosem o oktawę niższym: – nie wiem, jak to wygląda pod względem jakościowym, ale...

Przyglądałam się, jak nuci partię oboju, a potem altówki i kotłów. Roześmiał się.

– Genialne. Bardzo mi się podoba.

– Jesteś na mnie zły?

– Potem ci powiem. – Popatrzył na mnie, a w jego oczach zobaczyłam euforię i głęboki szacunek. – Na pierwszy rzut oka Felix zrobił coś niewiarygodnego. Do diabła z kawą, dzwonię do Davida Stewarta, żeby złapać go, zanim wyjdzie. Zaraz mu to zawiozę. Jestem pewny, że będzie równie zdumiony jak my.

Z wielką radością pomagałam Thomowi zebrać nuty i pomachałam mu na szczęście.

– Pip – szepnęłam sprzed drzwi wejściowych, patrząc na gwiazdy. – Twoja bohaterka nareszcie doczeka się premiery.

*

Mijały kolejne jesienne dni. Plany wykonania koncertu w natchnionej instrumentacji Felixa nabierały rozpędu. Ja tymczasem zajęta byłam swoimi sprawami. Skontaktowałam się z Georgiem Hoffmanem i wyjaśniłam mu sytuację. Zgodził się, że zapewnienie dachu nad głową sobie i dziecku oraz wyremontowanie domu, który częściowo do mnie należy, jest rozsądnym pomysłem. Dorzuciłam swoje skromne oszczędności do kwoty, którą zapisał mi Theo, po czym zabrałam się do remontu Froskehuset. W głowie miałam wizję pięknego skandynawskiego ustronia z podłogami i ścianami ze zrekułtywowanej sosny, meblami młodych norweskich projektantów i najnowocześniejszymi rozwiązaniami w dziedzinie technik energooszczędnych.

Wciąż niepokoiła mnie myśl, że oboje z Thomem powinniśmy być w porządku wobec Felixa, więc kiedy będziemy zmieniać akt własności domu, żeby uwzględnić w nim mnie, powinniśmy oddać mu co najmniej jedną trzecią Froskehuset. Gdy jednak zwróciłam się z tą sprawą do Felixa, szeroko się do mnie uśmiechnął.

– Nie, dziękuję. Miło, że mi to proponujesz, ale dobrze mi tu, w mojej chatce. Zresztą oboje świetnie wiemy, na co wydałbym pieniądze.

Poza tym w ubiegłym tygodniu wydawnictwo Edition Peters, czyli to, które za czasów Griega nazywało się C.F. Peters i wydawało w Lipsku jego nuty, już kontaktowało się z nami w sprawie *Koncertu heroicznego*. W nowym roku zaplanowano jego nagranie w wykonaniu Orkiestry Filharmonii w Bergen. Jako spadkobierca praw autorskich po ojcu, a także autor instrumentacji, Felix miał szanse zarobić mnóstwo pieniędzy, gdyby koncert okazał się takim sukcesem, jak uważał Andrew Litton.

Uśmierzywszy wyrzuty sumienia, poczułam, jak wypełniają mnie optymizm i energia. Nie wiem, czy był to instynkt budowania gniazda, czy nie, ale z zapalem rozmawiałam z miejscowymi fachowcami i sklepikarzami, konsultowałam się z urzędami i oglądałam niezliczone czasopisma i strony internetowe. Przyszło mi do głowy, że moje siostry miałyby niezły ubaw, gdyby mnie teraz widziały. Ally, która interesuje się projektowaniem wnętrz! To niezwykle, w jakim stopniu naszym zachowaniem rządzą hormony.

Przeglądając katalog z próbkami tkanin obiciowych, uświadomiłam sobie, że podczas pobytu w Bergen nie dość często dzwoniłam do mamy. A także do Celi. Skoro minął już najbardziej niebezpieczny trymestr ciąży, obie powinny się o niej dowiedzieć.

Najpierw zadzwoniłam do Genewy.

– Halo.

– To ja, Ally.

– *Chérie!* Cudownie, że dzwonisz.

Uśmiechnęłam się z ulgą, że tak ciepło mnie wita, a w jej głosie nie słyszę wyrzutów za brak kontaktu.

– Co u ciebie? – zapytała.

– Trudno na to odpowiedzieć w kilku słowach. – Roześmiałam się z pewnym smutkiem, po czym opowiedziałam jej o Thomie i Felixie, do których doprowadziły mnie wskazówki Pa Salta. Słuchała uważnie, przerywając mi od czasu do czasu okrzykami zdziwienia i zachwytu. – Mam nadzieję, że teraz rozumiesz, dlaczego postanowiłam zatrzymać się w Bergen na dłużej – dodałam. – Ale nie wiesz o jeszcze jednej drobnej komplikacji. Jestem w ciąży. Urodzę dziecko Theo.

Z drugiej strony nastąpiła chwila ciszy, a potem usłyszałam pełne zachwytu westchnienie.

– To wspaniała wiadomość, Ally! Po tym wszystkim, co przeżyłaś! Na kiedy masz termin?

– Na czternastego marca. – Nie chciałam jej mówić, że dziecko prawdopodobnie zostało poczęte albo w dzień śmierci taty albo tuż przed. Byłoby to może dla niej zbyt dużym szokiem.

– Nie wyobrażam sobie lepszej wiadomości, *chérie*. Ty się cieszysz, prawda?

– Bardzo – zapewniłam ją.

– Twoje siostry będą zachwycone. Zostaną ciociami, a do Atlantis znowu będzie przyjeżdżać dziecko. Czy one już wiedzą?

– Nie. Najpierw chciałam powiedzieć tobie. Przez ostatnie tygodnie byłam w kontakcie z Mają, Star i Tiggy, ale nie udało mi się złapać Elektry. Nie odpowiada na SMS-y i maile, a kiedy zadzwoniłam do jej agenta w Los Angeles i zostawiłam wiadomość, nie oddzwoniła. Czy wszystko u niej w porządku?

– Pewnie jest po prostu bardzo zajęta; wiesz, jaki ma napięty harmonogram.

– Miałam wrażenie, że mama odpowiedziała mi po króciutkim wahaniu. – Ale na ile się orientuję, wszystko u niej dobrze.

– Mam nadzieję. Dzwoniłam też do Londynu do Star i chciałam rozmawiać z CeCe, ale Star odpowiedziała mi tylko, że jej nie ma. Od tamtej pory żadna z nich się nie odezwała.

– Rozumiem – brzmiała neutralna odpowiedź mamy.

– Wiesz, co się u nich dzieje?

– Niestety, nie. Ale chyba nie masz o co się martwić.

– Dasz mi znać, jeśli się czegoś dowiesz?

– Oczywiście, *chérie*. A teraz opowiedz mi, co chcesz robić, kiedy małeństwo już się urodzi.

*

Zaprosiłam mamę i wszystkie siostry, które uda jej się zgarnąć, na

grudniowy koncert z okazji stulecia śmierci Griega i zakończyłam rozmowę. Następnie wybrałam numer Celi. Podobnie jak mama, bardzo się ucieszyła, że dzwonię.

Już wcześniej postanowiłam, że o dziecku powiem jej osobiście, bo wiedziałam, że będzie to dla niej wielkim przeżyciem. Została nam też jeszcze sprawa prochów Theo.

– Celio, niestety, nie mogę teraz długo rozmawiać, ale czy mogłabym do ciebie wkrótce przylecieć na kilka dni?

– Nie musisz o to pytać – odparła. – Zawsze jesteś tu mile widziana. Z wielką radością się z tobą zobaczę.

– Może mogłybyśmy pojechać do Lymington, żeby... – Na chwilę zaniemówiłam.

– Tak, już czas – dopowiedziała cicho. – Zrobimy to razem, tak jak sobie życzył.

*

Dwa dni później wylądowałam na Heathrow. Celia czekała na mnie w hali przylotów. Kiedy wyruszyliśmy z lotniska jej starym mini, spojrzała na mnie zza kierownicy.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że pojedziemy prosto do Lymington, a nie do Chelsea. Nie wiem, czy ci kiedyś o tym wspominałam, ale nadal mam tam domek. Jest niewielki, ale mieszkaliśmy tam z Theo podczas szkolnych wakacji, żeby razem żeglować. Poczulałam, że będzie dobrze, jeśli dziś w niej przenocujemy.

Uścisnęłam dłoń, którą mocno trzymała kierownicę.

– Znakomicie to wymyśliłaś.

I rzeczywiście, wszystko było tak, jak trzeba. Małeńki domek o fasadzie w kształcie łuku znajdował się w samym sercu georgiańskiego centrum Lymington. Otoczony był brukowanymi uliczkami i ślicznymi pastelowymi budynkami. Rzuciłyśmy bagaże w wąskim korytarzu przy wejściu i poszłam za Celią do przytulnego saloniku z belkami na suficie. Usiadłyśmy i Celia ujęła moje dłonie.

– Zanim pokażę ci twój pokój, chcę, żebyś coś wiedziała. Mamy tu tylko dwie sypialnie. Jedna jest moja, a w drugiej... spał Theo. No i oczywiście jest pełna... wspomnień.

– Nie szkodzi, Celio – zapewniłam ją, jak zwykle poruszona tym, że tak się liczy z moimi uczuciami.

– W takim razie może zanieś swoje rzeczy na górę? Ja napalę w piecu i zacznę szykować kolację. Przywiozłam ze sobą trochę jedzenia, więc mogę szybko coś upieścić. Chyba że wolisz zjeść w miasteczku?

– Z chęcią zostanę tutaj, dziękuję. Zaraz zejdem, żeby ci pomóc.

– Pierwsze drzwi na lewo, zaraz za schodami! – zawołała za mną.

Wzięłam plecak i weszłam po schodach na górę. Zobaczyłam tam niskie drzwi z białym jak wydrukowanym napisem z szablonu: KAJUTA THEO. Pchnęłam je i ujrzałam wąskie łóżko pod otwieranym pionowo oknem. Na poduszkach leżał mocno wytarty miś koloru toffi ubrany w miniaturowy sweter rybacki. Nierówne ściany oklejone były zdjęciami jachtów, a nad malowaną komodą wisiało staromodne koło ratunkowe w biało-czerwone paski. W oczach stanęły mi łzy, zauważyłam bowiem podobieństwo do mojego dzieciennego pokoju w Atlantis.

– Bratnia dusza – szepnęłam, bo nagle wokół siebie poczułam kwintesencję Theo.

Usiadłam na łóżku i przytuliłam do piersi misia. Na jego futerko padały łzy. Poczułam głęboki smutek, że Theo nigdy nie zobaczy swojego dziecka.

Wieczorem miło gawędziłyśmy z Celią przy zapiekance z kurczaka. Na kominku w salonie trzaskał ogień, a my siedziałyśmy sobie wygodnie na wyblakłej miękkiej kanapie.

– Co za przytulne miejsce! – zachwyciłam się. – Rozumiem, dlaczego tak je kochasz.

– Miałam szczęście odziedziczyć je po rodzicach, którzy też lubili żeglować. Było to idealne miejsce na wakacje dla Theo, kiedy dorastał. Peter nie polubił żeglarstwa, a zresztą i tak zawsze wyjeżdżał w interesach za granicę, więc ja i Theo spędziłyśmy tu mnóstwo czasu.

– Skoro mowa o Peterze, to odzywał się do ciebie ostatnio? – spytałam delikatnie.

– O dziwo, tak. Mogę nawet powiedzieć, że w ciągu ostatnich kilku tygodni bardzo się zakumplowaliśmy. Regularnie do mnie dzwoni, a ja zaproponowałam nawet, żeby spędził ze mną w Chelsea Boże Narodzenie. Tak się składa, że oboje jesteśmy samotni, więc... – Na delikatnych kościach policzkowych Celi pojawił się lekki rumieniec. – Może to zabrzmieć banalnie, ale śmierć Theo jakby zmyła gorycz, która zaległa między nami.

– Nie ma w tym nic banalnego. Wiem, że bardzo cię zranił, ale mam wrażenie, że zrozumiał swoje błędy.

– Nie ma ludzi idealnych. Ja też dojrzałam i zrozumiałam, co mi nie wyszło. Jedno jest pewne: kiedy urodziłam Theo, na kilka lat stał się on dla mnie całym światem. Odepchnęłam Petera, a jak już pewnie się zorientowałaś, nie za bardzo sobie radzi, kiedy się go ignoruje.

– Wyobrażam to sobie. Cieszę się, że przynajmniej ze sobą rozmawiacie.

– Powiedziałam mu nawet, że jutro o wschodzie słońca rozsypiemy prochy Theo, ale od tamtej pory się nie odzywał. To dla niego typowe, nigdy nie był dobry w rozmowach o tym, co naprawdę ważne. Ale dosyć już gadania o mnie. Opowiedz mi o Norwegii. W samochodzie wspomniałaś, że poszłaś za wskazówkami, które

zostawił ci ojciec. Jeśli masz na to siłę, chętnie usłyszałabym, co z tego wynikło.

Przez następną godzinę opowiadałam jej ze szczegółami o mojej wyprawie w poszukiwaniu korzeni. Tak jak w rozmowie z mamą, opuściłam tylko to, że ja i Thom prawdopodobnie jesteśmy potomkami Griega. Zgadzałam się z bratem, że taką rewelację najlepiej zachować dla siebie. Bez solidnych dowodów nic nie znaczyła; była więc nieistotna.

– Jestem pod wrażeniem – rzuciła Celia, gdy skończyłam i obie odstawiliśmy tace po kolacji. – Odnalazłeś brata bliźniaka i jeszcze ojca. To nadzwyczajne. Jak się z tym czujesz?

– Cudownie. Thom jest taki... podobny do mnie – odparłam z uśmiechem. – Mam nadzieję, że nie odbierzesz tego za brak delikatności z mojej strony, ale choć straciłam ojca, którym był dla mnie Pa Salt, i pokrewną duszę, czyli Theo, to znalazłam mężczyznę, z którym wiążą mnie relacje całkiem innego typu.

– Naprawdę cieszę się razem z tobą – zapewniła mnie Celia. – Przez parę ostatnich tygodni odbyłaś wprost niewiarygodną podróż.

– Szczerze mówiąc, nie dobiegła jeszcze końca. Mam ci jeszcze coś do powiedzenia. – Spojrzałam jej w oczy, zauważyłam zawarte w nich pytanie, po czym wzięłam głęboki oddech i wyrzuciłam to z siebie: – Będziesz babcią.

Zaciekawienie w jej oczach na chwilę ustąpiło miejsca niezrozumieniu moich słów. Dopiero po chwili dotarło do niej ich znaczenie. Uśmiechnęła się i z całej siły mnie do siebie przytuliła.

– Nie mam odwagi w to uwierzyć. Jesteś pewna?

– Jak najbardziej. Lekarz w Bergen potwierdził ciążę. Tydzień temu byłam na pierwszym badaniu USG. – Wstałam z kanapy po torebkę i chwilę w niej grzebałam, zanim znalazłam to, o co mi chodziło. Wyjęłam czarno-białe, ziarniste zdjęcie i podałam je Celii. – Wiem, że nie wygląda to nadzwyczajnie, ale to twój wnuk albo wnuczka.

Wzięła zdjęcie skanu i dokładnie mu się przyjrzała. Wodziła palcem po zarysach maleńkiego życia, które we mnie rośnie.

– Ally... – Kiedy wreszcie się odezwała, co chwilę traciła głos z powodu emocji. – Nigdy... nie widziałam nic piękniejszego.

Potem na zmianę śmiałyśmy się i płakałyśmy i jeszcze mnóstwo razy mocno się ściskałyśmy. Siedziałyśmy tak na kanapie lekko oszołomione.

– Teraz mogę przynajmniej podejść do naszego jutrzejszego... zadania z odrobiną nadziei w sercu – powiedziała Celia. – Nie ma wyjścia; musimy i o tym porozmawiać. W marinie mam przycumowaną żaglówkę. Wydaje mi się, że powinniśmy wypłynąć o świcie i... oddać go na wieczny odpoczynek morzu.

– Tak mi p...przykro – wyjąkałam – ale nie mogę tego zrobić. Po śmierci Theo przysięgam, że już nigdy nie wypłynę na morze. Mam nadzieję, że to zrozumiesz.

– Rozumiem, kochanie, ale zastanów się jeszcze. Sama mówiłaś, że nie możemy tak po prostu zablokować przeszłości. Moim zdaniem, wiesz już, że Theo byłby nieszczęśliwy, gdyby wiedział, że z jego powodu zrezygnowałaś z żeglarstwa.

W tej chwili zrozumiałam, że choćby było to dla mnie nie wiem jak trudne, muszę wrócić na wodę, bo jestem to winna i Theo, i naszemu dziecku.

– Masz rację, Celio – odezwałam się w końcu. – Zrobimy tak, jak mówisz.

*

Następnego ranka jeszcze przed wschodem słońca obudził mnie budzik w komórce. Przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem, aż poczułam przy policzku coś kłującego. Włączyłam lampkę koło łóżka i zobaczyłam, że na poduszce leży koło mnie miś. Przytuliłam go i schowałam nos w jego szorstkim futerku, jakbym chciała wchłonąć kwintesencję charakteru mojego ukochanego. Wstałam, szybko włożyłam legginsy i gruby sweter i zesłam na dół. Celia już na mnie czekała. Z wymownym milczeniem popatrzyłam na nieskazitelnie błękitną urnę, którą trzymała.

Po wyjściu z domku ruszyliśmy w kierunku mariny. Całkiem puste ulice Lymington spowijał mleczny półmrok zwiastujący świt. Kiedy weszliśmy na pomost, do którego przycumowana była żaglówka Celi, jedynymi ludźmi w okolicy byli dwaj rybacy na pobliskim kutrze; reperowali sieci przed czekającym ich połowem.

– Wiesz co? Theo byłby zachwycony dzisiejszym porankiem. Odwieczny rytm przyływów i odpływów i morze, takie samo jak u zarania wszechczasów.

– Tak, bardzo by mu się tu teraz podobało.

Obróciłyśmy się na dźwięk znajomego głosu i zobaczyłyśmy, że w naszą stronę idzie Peter. Przyglądałam się oszołomionej Celi. Po chwili zauważyłam, jak jej twarz rozświecła się na widok rozpostartych ku niej ramion Petera, jak podchodzi do niego i mocno się przytulają. Stałam z boku, pozwalając, aby chwilę pobyli sami. Potem Peter podszedł także do mnie i też mnie uściskał.

– No dobrze – powiedział załamującym się głosem. – Musimy to zrobić.

Kiedy Celia wchodziła na pokład, szepnęła mi do ucha:

– Mam nadzieję, że w tak podniosłej chwili nie skompromituję się, jeśli zwrócę całe śniadanie. Na wodzie jestem do niczego, Ally.

– W tej chwili ja też – mruknęłam. – Chodź – podałam mu rękę – razem nam się uda.

Weszliśmy na pokład. Podtrzymałam Petera i posadziłam go, próbując sama na powrót odnaleźć się na wodzie.

– Jesteś gotowa, Ally?

– Tak – zapewniłam Celię, podniosłam żagle i odrzuciłam liny.

Gdy wpływaliśmy do cieśniny Solent, pierwsze złotoróżowe promienie słońca sięgały wybrzeża, połyskując na leniwych falach. Celia sterowała, a ja chodziłam po pokładzie, ustawiając żagle. Orzeźwiająca bryza pchała żaglówkę po wodzie i delikatnie odgarniała mi włosy z twarzy. Choć bałam się powrotu na morze, czułam w sobie dziwny spokój. Przez głowę przebiegały mi myśli o Theo, ale po raz pierwszy od czasu, kiedy mnie opuścił, w równym stopniu napełniały mnie radością co smutkiem.

Dotarliśmy do pięknego miejsca kilkaset metrów od brzegu, z którego rozciągał się wspaniały widok na port w Lymington, i zrefowaliśmy żagle. Celia schyliła się i po kilku sekundach podniosła się, trzymając w rękach błękitną urnę. Podeszliśmy do Petera, który siedział przy rufie z pozieleniałą twarzą, i pomogliśmy mu stanąć między nami.

– Ty ją weź, Peter – powiedziała Celia. Właśnie na dobre w pełnej chwale wzeszło słońce.

– Gotowe? – spytał.

Kiwnęłam głową. Wszyscy troje połączyliśmy dłonie wokół urny. Wyglądała niepozornie, a zawierało się w niej tyle marzeń, nadziei i wspomnień. Peter podniósł wieko i wysypał zawartość na wiatr. Obserwowaliśmy, jak mgiełka prochów opada, by połączyć się ze spienioną wodą w dole. Mocno zacisnęłam oczy, z których opadła jedna samotna łza.

– Żegnaj, kochany – szepnęłam, a dłoń instynktownie przesunęła mi się na wypukłość brzucha. – I wiedz, że nasza miłość nadal żyje.

7 grudnia 2007

Obudziłam się jak zwykle wcześniej, czując delikatne trzepotanie w brzuchu. Spojrzałam na godzinę. Było tuż po piątej. Miałam nadzieję, że dziecko nie ustaliło sobie takiej pory budzenia się w moim łonie. Zaspianym wzrokiem wyjrzałam za zasłonę przez pokrytą grubym szronem szybę. Na dworze nadal było ciemno. Poszłam do łazienki, a potem wróciłam do łóżka, mając nadzieję, że jeszcze zasnę. Czekał mnie trudny dzień. Na dzisiejszy koncert w Grieghallen zarezerwowano wszystkie tysiąc pięćset miejsc. Wśród widzów znajdą się moi przyjaciele i rodzina, bo po południu przylecą na koncert do Bergen Star i mama. Na myśl o tym, że się z nimi zobaczę, poczułam szczęście.

Dziwnym zbiegiem okoliczności moja ciąża i tak bardzo oczekiwane dziecko łączyły wielu ludzi. Kiedy za trzy miesiące przyjdzie na świat, to ja będę jego matką i opiekunką, ale stanie się łącznikiem między do tej pory nieznanymi sobie ludźmi.

Po pierwsze, połączy mnie z przeszłością, będzie bowiem tworzyło następne pokolenie mojej dopiero co odnalezionej rodziny: kolejne ogniwo wiążące mnie z Felixem, moim ojcem, i Thomem, bratem bliźniakiem. Będzie miało pięć ciotek, bo nie wątpię, że wszystkie moje siostry będą je uwielbiały. Elektra, która w końcu w odpowiedzi na maila odpisała i gratulowała mi, już przysłała FedExem pudełko przeraźliwie drogich ubranek niemowlęcych od najmodniejszych projektantów. Od większości sióstr dostałam wzruszające maile, także od mamy; ta na pewno nie może się doczekać, kiedy weźmie w ramiona noworodka, który ożywi jej bezcenne wspomnienia o tym, jak opiekowała się nami. No i była jeszcze rodzina ze strony Theo: Celia i Peter, których poznałam niedawno. Oni także pojawią się na dzisiejszym koncercie. Wiedziałam, że będą bardzo cenną częścią przyszłości mojego dziecka.

– Odwieczny cykl życia – mruknęłam do siebie z wdzięcznością, że pośród straszliwych strat zostałam pobłogosławiona nowym życiem, nową nadzieją. Mówiłam Tiggy o moim maleństwie, porównując go do pięknej róży, która przez jakiś czas kwitnie, a potem na tym samym krzaku rozwijają się inne pąki, a ze starej róży powoli opadają płatki. Ja także poznałam cud natury. I choć kilka miesięcy temu straciłam dwie najważniejsze dla mnie osoby, otrzymałam błogosławieństwo życia, które się rozwijało.

Dzisiaj po koncercie ludzie z różnych wątków historii mojego życia po raz pierwszy spotkają się na kolacji.

Co przypomniało mi o Felixie...

Dzisiejszy program był mało skomplikowany. Na początek zaplanowano

suitę *Peer Gynt*. Jako praprawnuczka Jensa Halvorsena miałam zagrać na flecie kultowe takty rozpoczynające dzieło Griega, tak jak on grał je sto trzydzieści jeden lat temu podczas prapremiery. Sam na sam z Thomem dzieliliśmy się refleksją, że być może tak naprawdę zagra je praprawnuczka samego kompozytora, ale tak czy inaczej, najważniejsze, że włożę w to całe serce. Tuż obok mnie będzie grał Thom na pierwszych skrzypcach, drugim instrumencie Jensa. W ten sposób historia Halvorsenów zatoczy pełne koło.

Norweskie media wiele pisały o powiązaniach naszej rodziny z Griegiem. Zainteresowanie wzmagał fakt, że w drugiej części programu przewidziano premierę niedawno odnalezionego koncertu na fortepian Jensa Halvorsena Juniora z genialną instrumentacją jego syna, Felixa, który zasiądzie przy fortepianie.

Andrew Litton, wielce szanowany dyrygent Orkiestry Filharmonii w Bergen przyjął z radością odkrycie zaginionego utworu i był pod wielkim wrażeniem natchnionej instrumentacji Felixa, nie mówiąc już o rekordowym tempie, w jakim ten ją opracował. Niemniej jednak David Stewart stanowczo sprzeciwił się prośbie Thoma, by pozwolić ojcu zagrać na premierze koncertu.

Po tej rozmowie Thom wrócił do domu i pokręcił głową.

– Powiedział, że zna Felixa z dawnych czasów, a premiera tego utworu i sama uroczystość są zbyt ważne, by mógł ryzykować. Niestety, muszę się z nim zgodzić, Ally. W twoim pomysłu, aby muzycznie połączyć pięć pokoleń Halvorsenów (tu wskazał na mój brzuch), Felix jest najsłabszym ogniwem. A jeśli na dzień przed koncertem wpadnie w ciąg i po prostu nie przyjdzie na występ? Wiesz równie dobrze jak ja, że sukces tego koncertu leży w rękach pianisty. Gdyby miał gdzieś z tyłu walić w talerze, to co innego, ale siedząc przy fortepianie, byłby w centrum zainteresowania. Dyrekcja filharmonii nie może się narażać na kompromitację, jaką byłaby nieobecność naszego kochanego tatusia. Już ci mówiłem, że przed laty wyrzucono go, ponieważ nie można było na nim polegać.

Rozumiałam to wszystko. Ale nie miałam zamiaru rezygnować z walki o Felixa.

Pojechałam więc do niego, by zobaczyć się z nim w jego „norze”, jak nazwaliśmy chatkę, w której mieszkał, i zapytałam go, czy jeśli będę o niego walczyła, przysięgnie mi na życie swego przyszłego wnuka, że przyjdzie na wszystkie próby i na występ.

Spojrzał na mnie zapuchniętymi, zapitymi oczami i wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że tak. Nie żebym potrzebował jakichś prób. Po paru butelkach whisky jestem w stanie to zagrać nawet przez sen.

– Przecież wiesz, że nie o to chodzi – zaprotestowałam. – Ale jeśli tak do tego podchodzisz, to... – Odwróciłam się do niego plecami i ruszyłam do drzwi wyjściowych.

– Dobra, dobra.

- Co „dobra”? – zapytałam.
- Obiecuję, że będę grzeczny.
- Naprawdę?
- Tak.
- Ponieważ ja tak ci kazałam?
- Nie. Przysięgam, że to zrobię, ponieważ jest to koncert mojego ojca i chcę, żeby był ze mnie dumny. A poza tym wiem, że nikt nie zagra tego lepiej niż ja.

Po tej rozmowie sama poszłam do Davida Stewarta, a kiedy znowu odmówił zgody na grę Felixa, ze wstydem przyznaję, że uciekłam się do drobnego szantażu.

– W końcu on jest synem Pipa, a więc ma prawa autorskie do wykonania koncertu – powiedziałam z opuszczonym wzrokiem, żeby się nie zarumienić. – Tata nie jest pewny, czy zgodzi się na wykonanie utworu. Obawia się, że jeśli nie dostanie zgody, by go zagrać tak, jak chciałby jego ojciec, może lepiej w ogóle nie włączać tego utworu do programu.

Rzykowałam, ale wiedziałam, że orkiestrze bardzo zależy na wykonaniu światowej premiery najciekawszego od czasów Griega norweskiego utworu. Dzięki Bogu instynkt mnie nie zawiódł. David w końcu się ugiął i zgodził się na Felixa.

– Ale Willem też będzie ćwiczył z orkiestrą. Dzięki temu nawet gdyby twój ojciec sprawił nam zawód, cały wieczór nie okaże się katastrofą. Przed koncertem nie będę ogłaszał, kto zasiądzie przy fortepianie. Zgoda?

– Zgoda – powiedziałam i podaliśmy sobie ręce. Wyszłam z podniesioną głową, w myślach gratulując sobie przebiegłej zagrywki.

Felix dotrzymał słowa i przez cały tydzień punktualnie przychodził na próby. Wiedzieliśmy jednak, że nie ma gwarancji, czy stawi się, kiedy będzie to naprawdę ważne. Niestety, orkiestra nie miała z nim najlepszych doświadczeń.

Nie ogłoszono oficjalnie, że Felix wystąpi, a Thom powiedział mi nawet o swoim odkryciu, że wydrukowano dwa rodzaje programów – jedno z nazwiskiem Felixa, a drugi – Willema.

Miałam lekkie poczucie winy, że tak się stało. Willem na pewno nie był zadowolony, że – mówiąc językiem muzycznym – gra drugie skrzypce względem starzejącego się, nieodpowiedzialnego pijaka. I to tylko dlatego, że tamten nosi nazwisko Halvorsen. Na szczęście Willem grał w pierwszej części *Koncert fortepianowy a-moll* Griega, co było dla niego pewnie pocieszeniem.

Któregoś wieczoru w zeszłym tygodniu poszłam posłuchać występu Thoma z orkiestrą. Willem grał *Pierwszy koncert fortepianowy* Liszta. Podziwiając jego zwinne, szczupłe palce na klawiaturze, jego rozdęte nozdrza i błyszczące opadające na czoło czarne włosy, poczułam w brzuchu znane mi motyle, co nie miało najmniejszego związku z umoszczonym tam dzidziusiem. Pomyślałam, że moja instynktowna reakcja fizyczna na Willema może oznaczać, że choć na razie wydaje się to niemożliwe, jest szansa, że kiedyś wyliżę się po stracie Theo. I nie powinnam

czuć się z tego powodu winna. W końcu mam dopiero trzydzieści lat i przede mną całe życie. I jestem pewna, że Theo nie chciałby, abym żyła jak zakonnica.

Dziwnym zbiegiem okoliczności Thom i Willem bardzo się zaprzyjaźnili. Początkowo połączyła ich praca, ale z czasem rozwinęła się między nimi także osobista zażyłość. Thom zaprosił Willema w przyszłym tygodniu. Nie zdecydowałam jeszcze, czy wolę wtedy być w domu, czy nie.

Wreszcie pogodziłam się z faktem, że dziś rano już nie zasnę, i włączyłam laptop, żeby sprawdzić maile. Zobaczyłam, że przyszło coś od Mai, więc otworzyłam wiadomość.

Kochana Ally. Piszę, by Ci powiedzieć, że myślami jestem z Tobą. Chciałabym być na koncercie, ale z Brazylii do Norwegii jest strasznie daleko. Mieszkamy teraz w górach, na hacjendzie, ponieważ nawet dla mnie w Rio zrobiło się za gorąco. Nie jestem w stanie opowiedzieć Ci, jak tu pięknie. Dom wymaga gruntownego remontu, ale myślimy o tym, by przekształcić go na ośrodek dla dzieciaków z faweli, aby mogły tu przyjeżdżać i swobodnie biegać wśród precudnej przyrody. Ale dosyć o mnie. Mam nadzieję, że i Ty, i dziecko czujecie się dobrze. Nie mogę się doczekać, kiedy poznam swoją siostrzenicę lub siostrzeńca. Jestem z Ciebie bardzo dumna, siostrzyczko.

Całusy

Maja

Przeczytałam wiadomość z uśmiechem. Ucieszyłam się, że Maja jest szczęśliwa. Potem wzięłam prysznic i ubrałam się w spodnie od dresu. Należały do moich nielicznych ciuchów, które nadal pasowały mimo powiększającego się brzucha. Postanowiłam nie marnować pieniędzy na ubrania ciążowe, więc przeważnie chodziłam w obszernych swetrach Thoma. Na dzisiejszy występ kupiłam rozciągliwą czarną suknię. Thom stwierdził, że ładnie w niej wyglądam, ale podejrzewałam, że po prostu chciał być miły.

Zeszłam po schodach do prowizorycznej kuchni, którą na czas trwania remontu przenieśliśmy do salonu. Składała się z kredensu, na którym stał czajnik i mikrofalówka. Prawdziwa kuchnia była na razie ze wszystkiego ogołocona, ale przynajmniej zakończono w niej już wszystkie główne prace. Mieliśmy nowy bojler, a ekipa remontowa właśnie miała zakładać ogrzewanie podłogowe. Wszystko to trwało dwa razy dłużej, niż się spodziewałam, i zaczynałam panikować, że budowlni nie zdążą skończyć przed pojawieniem się dziecka. Poganiałam ich, wiedzona instynktem budowania gniazda, co oczywiście doprowadzało ich do furii.

– Cześć – powiedział Thom, który wszedł za mną. Włosy stały mu dęba, jak

zwykle rano, kiedy podniósł się z łóżka. – Dziś nasz wielki dzień. Jak się czujesz?

– Denerwuję się, jestem podekscytowana i zastanawiam się...

– ...czy przyjdzie Felix – dokończyliśmy chórem.

– Zrobić ci kawy? – zaproponowałam, kiedy zagotowała się woda.

– Dzięki. O której przyjeżdżają twoi? – zapytał i w roztargnieniu podszedł do nowych szklanych drzwi na taras, które sięgały od podłogi do sufitu, dzięki czemu mieliśmy przepiękny widok na jodły i rozciągający się w dole fiord.

– O różnych porach. Powiedziałam mamie i Star, żeby przed koncertem przyszły przywitać się z nami przy wejściu dla artystów. – Na myśl o tym, co nas dzisiaj czeka, już ścisnęło mnie w brzuchu z nerwów. – To głupie, ale znacznie bardziej denerwuję się tym, że na sali będzie kilku naszych przyjaciół i członków rodziny, niż recenzjami krytyków.

– To naturalne. Twoje solo jest przynajmniej na początku i szybko będziesz je miała z głowy. Potem będziemy się już tylko martwić o Felixa, aż do końca *Koncertu heroicznego*.

– Nigdy nie grałam przed tak dużą widownią – poskarżyłam się. – A już na pewno nie taką, która zapłaciła za bilety.

– Dasz sobie radę – pocieszył mnie, chociaż kiedy podawałam mu kawę, zauważyłam, że też się denerwuje.

Dla nas obojga był to niezwykły dzień. Czuliśmy, że we dwójkę przyczyniliśmy się do powstania nowego utworu muzycznego, który właśnie miał być przedstawiony światu. Dziś wieczorem będziemy jego dumnymi rodzicami.

– Zadzwoisz do Felixa, żeby mu przypomnieć o koncercie? – spytał Thom.

– Nie. – Już postanowiłam, że tego nie zrobię. – Musi to zrobić sam, bez niczyjej pomocy.

– Tak... – Westchnął ciężko. – Masz rację. Idę pod prysznic. Wystarczy ci dwadzieścia minut, żeby przyszykować się do wyjścia?

– Jasne.

– Mój Boże. Mam nadzieję, że on przyjdzie.

W tym momencie zrozumiałam, że choć Thom tak temu zaprzeczał, dzisiejszy występ Felixa miał dla niego jeszcze większe znaczenie niż dla mnie.

– Przyjdzie – uspokoilaam go. – Na pewno.

Kiedy dwie godziny później zajmowałam przed próbą swoje miejsce w fosie orkiestrowej i zobaczyłam pusty stół pianisty, nie byłam już tego taka pewna. Piętnaście po dziesiątej, kiedy Andrew Litton powiedział, że nie możemy już dłużej czekać i musimy zacząć, w rozpalonych dłoniach trzymałam telefon komórkowy.

Nie, nie zadzwonię.

Wezwano Willema, aby zajął miejsce Felixa przy fortepianie. Thom rzucił mi zrozczone spojrzenie, a Andrew Litton podniósł batutę.

– Jak mogłeś? Ty draniu! – przeklełam pod nosem i w tym momencie

zobaczyłam, że przez widownię biegnie blady i zdyszany Felix.

– Wątpię, żeby ktokolwiek mi uwierzył – mówił, wchodząc po schodach – ale w połowie drogi z góry zepsuł mi się motorower i musiałem resztę drogi przebyć autostopem. Przyprowadziłem miłą panią, która zabrała mnie z pobocza, żeby wam to potwierdziła. Hanne! – zawołał. – Czy mówię prawdę?

Sto jeden par oczu podążyło za wyciągniętym palcem Felixa skierowanym na tył widowni, gdzie stała wyraźnie zawstydzona i zdenerwowana kobieta w średnim wieku.

– Powiedz im, Hanne.

– Tak, zepsuł mu się motorower, więc go podwiozłam.

– Dziękuję. W kasie będzie na ciebie czekał bilet na dzisiejszy koncert. – Felix zwrócił się do orkiestry i złożył teatralny ukłon. – Przepraszam, że tyle na mnie czekaliście, ale czasem życie toczy się inaczej, niżbyśmy chcieli.

Po próbie zobaczyłam, że Felix stoi oparty przy wejściu dla artystów i pali papierosa, więc do niego podeszłam.

– Cześć, Ally. Przepraszam. Dla odmiany spóźniłem się z powodu niezależnego ode mnie.

– Chcesz się czegoś napić?

– Nie, kochanie. Dzisiaj zachowuję się wzorowo. Pamiętasz?

– Tak. To nadzwyczajne, prawda? Dziś na scenie uczcimy cztery, a może nawet pięć pokoleń Halvorsenów.

– Albo raczej Griegów – powiedział, wzruszając ramionami.

– Wiesz o tym?

– Oczywiście! Anna powiedziała o tym Horstowi na łożu śmierci i wskazała mu, gdzie są listy. A potem on wyjawiał to mnie tuż przed moim wyjazdem na studia do Paryża. Przeczytałem wszystkie te listy. Są niezłe, co?

Stałam oszołomiona, że taką rewelację wyznał mi ot tak.

– Nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby komuś coś powiedzieć? Wykorzystać tę informację?

– Niektóre tajemnice powinny pozostać w ukryciu, nie uważasz? Zresztą kto jak kto, ale ty na pewno wiesz, że nie jest ważne to, skąd wzięły się nasze geny, ale to, na kogo wyrastamy. Powodzenia na koncercie! – Pomachał mi dłonią i zniknął za drzwiami na scenę.

O szóstej trzydziści Star napisała mi w SMS-ie, że obie z mamą już dotarły. Zabrałam Thoma z pokoju muzyków i poszliśmy z nimi się spotkać. Okropnie się denerwowałam tym, że za chwilę przedstawię siostrze brata bliźniaka.

– Mamo! – Kiedy ją zobaczyłam, przyspieszyłam kroku. Jak zawsze była ubrana z niewymuszoną elegancją; miała na sobie żakiet bouclé od Chanel i granatową spódnicę.

– Tak się cieszę, że cię widzę, Ally, *cherié*. – Mocno mnie przytuliła.

Poczułam znany zapach jej perfum, które zawsze dawały mi poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji.

– Cześć, Star. Cudownie, że jesteś. – Objęłam ją, a następnie zwróciłam się do brata, który patrzył na nią z otwartymi z podziwu ustami.

– A to Thom, mój nowy brat.

Star podniosła na niego wzrok i nieśmiało się uśmiechnęła.

– Cześć, Thom.

Szturchnęłam go, żeby coś odpowiedział.

– Cześć... Bardzo się cieszę, że cię poznałem, Star. A także, panią, ma... Marino.

Spojrzałam na niego nieco krzywo, bo zachowywał się co najmniej dziwnie. Przeważnie witał się z ludźmi bardzo wylewnie, więc byłam na niego trochę zła, że tak zdawkowo potraktował moją rodzinę.

– Nam też jest bardzo miło, Thom – odparła Marina. – I dziękuję, że zaopiekował się pan moją Ally.

– Nawzajem się sobą opiekujemy, prawda, siostrzyczko? – powiedział, nie odrywając oczu od Star.

W tej chwili wezwano przez głośniki orkiestrę, by stawiała się na scenie.

– Niestety, musimy już iść – rzuciłam. – Do zobaczenia po koncercie, w foyer... Boże, ale się denerwuję... – Westchnęłam i pocałowałam je obie.

– Świetnie ci pójdzie, *chérie*. Na pewno – pocieszyła mnie mama.

– Dziękuję. – Pomachałam im i wróciliśmy z Thomem na scenę. – Odebrało ci mowę? – zapytałam go.

– Ale ta twoja siostra jest piękna – wykrztusił tylko, kiedy szykowaliśmy się do wysłuchania przemowy Andrew Littona, która miała nas podnieść na duchu.

*

– Martwię się – szepnęłam do Thoma, kiedy dokładnie o siódmej dwadzieścia siedem wchodziliśmy wężykiem na scenę, a z audytorium słychać było gromkie oklaski. – Nadal sprawia wrażenie trzeźwego. A mówił mi, że znacznie lepiej gra po alkoholu.

Thom zaśmiał się na widok mojej szczerze zmartwionej miny.

– Naprawdę mi go żal – powiedział. – Żeby nie wiem co, nie wytrzyma w trzeźwości! Pamiętaj, że na swój występ musi czekać przez całą pierwszą część, a w dodatku ma jeszcze przerwę, więc na pewno jakoś sobie poradzi. Ale przestań się o niego martwić i ciesz się tą wspaniałą chwilą w historii rodu Halvorsenów, a może Griegów! Kocham cię, siostrzyczko – dodał z szerokim uśmiechem, kiedy rozstawaliśmy się, by zająć swoje miejsca.

Usiadłam wśród muzyków grających na instrumentach dętych drewnianych, wiedząc, że za chwilę wstanę, by zagrać pierwsze cztery takty *Poranka*.

Pomyślałam, że Felix miał rację: nie ma znaczenia, kto mnie spłodził. Najważniejsze, że otrzymałam dar, i to ode mnie zależy, czy zrobię z niego i z siebie możliwie najlepszy użytek.

Światła przygasły i zapanowała cisza. Myślałam o wszystkich tych, którzy mnie kochają, a teraz siedzą na widowni i życzą mi powodzenia.

Pomyślałam też o Pa Salcie, który największą siłę kazał mi odnaleźć w największej słabości. I o tym, jak Theo nauczył mnie kochać. Żadnego z nich tu nie ma, ale wiedziałam, że jeśli spoglądają na mnie z gwiazd, są ze mnie dumni.

A potem uśmiechnęłam się na myśl o nowym życiu, które we mnie rośnie, chociaż jeszcze go nie znam.

Przyłożyłam flet do ust i zagrałam dla nich wszystkich.

Star

7 grudnia 2007

Koncert heroiczny



Światła na widowni przygasły. Przyglądałam się, jak moja siostra wstaje z miejsca. Wyraźnie widziałam zarys nowego życia pod jej czarną suknią. Ally na chwilę przymknęła oczy, jakby się modliła. Kiedy w końcu uniosła flet do ust, poczułam, że ktoś wziął mnie za rękę i lekko ściska mi dłoń. To mama; wiedziałam, że czuje to samo co ja.

Piękna, dobrze znana mi melodia, która stanowiła ważną część dzieciństwa wszystkich sześciu sióstr w Atlantis, wypełniła salę. Poczułam, że wraz z muzyką odpływa ze mnie część napięcia z ostatnich tygodni. Słuchając, zdawałam sobie sprawę, że Ally gra dla wszystkich tych, których kochała, ale ich straciła. Rozumiałam także, że tak jak po długiej, ciemnej nocy wschodzi słońce, w jej życiu pojawiło się nowe światło. Dołączyła się do niej orkiestra, a piękna muzyka osiągnęła *crescendo*, w którym składała hołd nastaniu nowego dnia. Także i mnie napełniła nadzieją.

Niestety, przy moim odrodzeniu ucierpieli inni, a tego nie udało mi się jeszcze zracjonalizować. Ostatnio rozumiałam tylko, że istnieje wiele różnych rodzajów miłości.

W czasie przerwy poszliśmy z mamą do baru. Dołączyli do nas Peter i Celia Falys-Kings, którzy przedstawili nam się jako rodzice Theo. Razem wypiliśmy po kieliszku szampana. Przyglądałam się, jak Peter opiekuńczo trzyma dłoń na talii Celi, i pomyślałam, że wyglądają jak młoda zakochana para.

– *Santé* – powiedziała mama, stukając się ze mną kieliszkiem. – Co za wspaniały wieczór!

– Tak – odparłam.

– Ally zagrała przepięknie. Szkoda, że reszta dziewcząt nie mogła tu być. I oczywiście tata.

Zauważyłam, że przy tych słowach jej czoło zmarszczyło się, jakby czymś się martwiła. Zastanawiałam się, jakie skrywa tajemnice. I jak bardzo ją obciążają. Tak jak ukrywanie moich tajemnic obciąża mnie.

– CeCe nie mogła przyjechać? – zapytała ostrożnie.

– Nie.

– Widziałaś się z nią ostatnio?

– Niezbyt często bywam teraz w naszym mieszkaniu, mamo.

Już więcej mnie nie dopytywała. Wiedziała, kiedy przestać.

Ktoś lekko dotknął mojego ramienia, a ja aż podskoczyłam. Zawsze byłam bardzo wrażliwa na dotyk. Peter przerwał ciszę, która mnie nie przeszkadzała – jestem przyzwyczajona do milczenia.

– To pani jest słynną mamą, która opiekowała się Ally w dzieciństwie? – zwrócił się do Mariny.

– Tak – odpowiedziała.
– Znakomicie się pani spisała.
– To jej zasługa, a nie moja – skromnie zauważyła mama. – Jestem dumna ze wszystkich moich dziewcząt.

– A ty jesteś jedną z sióstr Ally? – Peter zwrócił na mnie swój świdrujący wzrok.

– Tak.

– Jak masz na imię?

– Star.

– Która z kolei jesteś?

– Trzecia.

– To ciekawe... – Jeszcze raz na mnie spojrział. – Ja też jestem trzeci. Nigdy nikt mnie nie słuchał i nie zwracał na mnie uwagi. Zgadza się?

Nie odpowiedziałam.

– W głowie pewnie aż buzuje ci od myśli. Bo tak było ze mną – ciągnął.

Nawet gdyby miał rację, nie powiedziałabym mu o tym, więc w milczeniu wzruszyłam ramionami.

– Ally jest niezwykłą osobą. Oboje wiele się od niej nauczyliśmy – odezwała się Celia, z uśmiechem zmieniając temat.

Czułam, że moje milczenie bierze za znak, że nie potrafię dogadać się z Peterem, ale tak nie było. To inni mieli trudności z tym, że milczę, nie ja.

– To prawda – zgodził się z Celią Peter. – A teraz będziemy dziadkami. Twoja siostra bardzo hojnie nas obdarowuje, Star – dodał. – Tym razem będę spędzał z małżeństwem mnóstwo czasu. Życie jest cholernie krótkie, prawda?

Rozległ się dzwonek oznajmiający, że za dwie minuty skończy się przerwa, więc wszyscy wokół nas dopili drinki. Wróciliśmy na miejsca w sali koncertowej. Ally już wcześniej opisała mi w mailach swoje norweskie odkrycia. Obserwowałam, jak Felix Halvorsen wchodzi na scenę, i stwierdziłam, że nie jest do niego podobna. Zauważyłam też, że idąc w stronę fortepianu, nieco się zatacza, zupełnie jakby był pijany. Miałam nadzieję, że się mylę. Z maili, które przysłała mi Ally, wiedziałam, jak ten wieczór wiele znaczy dla niej i jej niedawno odnalezionego brata. Od pierwszego wejrzenia bardzo go polubiłam.

Felix na chwilę zawiesił palce nad klawiszami i poczułam, jak każdy na sali wstrzymuje oddech. Napięcie opadło dopiero wtedy, kiedy jego palce dotknęły klawiszy i po raz pierwszy w historii rozbrzmiały takty rozpoczynające *Koncert heroiczny*. Z tego, co napisano w programie, utwór po raz pierwszy wykonywano publicznie ponad sześćdziesiąt osiem lat po tym, jak został skomponowany. Przez następne pół godziny delectowaliśmy się niezwykle piękną muzyką. Kompozytora i wykonawcę połączyła idealna alchemia – między ojcem i synem – i powstało nadzwyczajne dzieło sztuki.

Przepiękna muzyka porwała moje serce, ukazując mi skrawek przyszłości. Muzyka to miłość w poszukiwaniu głosu, przypomniła mi się myśl Tolstoja. Muszę odnaleźć swój głos. Oraz odwagę, żeby nim przemówić.

Rozbrzmiały zasłużone, gromkie oklaski na stojąco. Ludzie na widowni tupali i wznosili okrzyki zachwyty. Felix raz za razem się kłaniał, po czym zwrócił się do orkiestry i przywołał do siebie syna i córkę. Potem uciszył audytorium i zadedykował swoje wykonanie zmarłemu ojcu i swoim dzieciom.

Gest ten był dla mnie żywym dowodem, że można iść do przodu. I dokonywać zmian, które – nawet jeśli z trudem – inni w końcu zaakceptują.

Zgromadzeni na widowni ludzie zaczęli wychodzić, a wtedy mama dotknęła mojego ramienia i coś powiedziała.

Kiwnęłam głową, ale nic nie zrozumiałam i mruknęłam, że zobaczymy się w foyer. Zostałam na widowni i po prostu sobie siedziałam. Sama. I rozmyślałam. Cały czas miałam jednak świadomość, że ludzie przeciskają się obok mnie do wyjścia. I nagle kątem oka zobaczyłam znajomą postać.

Serce zaczęło mi walić jak młotem, a ciało samo poderwało mi się do biegu. Pędziłam przez pustą salę w stronę tłumu kłębiącego się przy tylnych wyjściach. Rozpaczliwie pragnęłam, żeby jeszcze raz, choć przez chwilę, zobaczyć ten charakterystyczny profil.

Przepchnęłam się przez foyer i nogi zaniósły mnie na mroźne grudniowe powietrze. Stałam na ulicy z nadzieją, że jeszcze choć raz się pojawi, żebym mogła być pewna, ale postać na dobre zniknęła.

Podziękowania

Przy zbieraniu materiałów do *Siostry burzy* korzystałam z pomocy wielu życzliwych osób.

Dzięki staraniom przyjaciół z mojego fantastycznego norweskiego wydawnictwa Cappelen Damm spotkałam się ze wszystkimi, z którymi musiałam porozmawiać. Tak więc moje pierwsze (i najważniejsze) dziękuję otrzymują Knut Gørvell, Jorid Mathiassen, Pip Hallen i Marianne Nielsen.

W Oslo pomogli mi: Erik Edvardsen z Muzeum Ibsena, Lars Roede z Muzeum Oslo, Else Rosenqvist i Kari-Anne Pedersen z Norks Folkemuseum. Ponadto: Bjørg Larsen Rygh z Cappelen Damm (jego opracowanie na temat kanalizacji i urządzeń hydraulicznych Christianii w roku 1876 znacznie wykroczyło poza moje oczekiwania!) oraz Hilde Stoklasa z firmy Oslo Cruise Network. Szczególnie dziękuję pracownikom Grand Hotelu w Oslo, którzy karmili mnie i poili o różnych porach dnia i nocy, kiedy pisałam pierwszą wersję książki.

W Bergen: John Rullestad przedstawił mnie Erlingowi Dahlowi, byłemu dyrektorowi Muzeum Edwarda Griega w Troidhaugen, a także obecnemu dyrektorowi, Sigurdowi Sandmo. Jestem im wszystkim bardzo wdzięczna. Na podziękowania zasługują także Henning Målsnes z Orkiestry Filharmonii w Bergen i Mette Omvik – za arcyciekawe informacje na temat teatru Den Nationale Scene w Bergen. Słynny kompozytor norweski, Knut Vaage, wyjaśnił mi wiele specjalistycznych zagadnień związanych z komponowaniem i instrumentacją utworów. Dziękuję także pracownikom hotelu Havnekontoret w Bergen, którzy świetnie zaopiekowali się mną, kiedy u nich mieszkałam.

W Lipsku: Wiele pomogła mi Barbara Wiermann z Uniwersytetu Muzycznego i Teatru imienia Felixa Mendelssohna Bartholdy’ego i moja wspaiała przyjaciółka Caroline Schatke z Edition Peters w Lipsku. Jej ojciec Horst skontaktował nas ze sobą w okolicznościach, które były zarówno nadzwyczaj wzruszające, jak i niespodziewane.

Z natury nie bardzo interesuję się żeglarstwem, więc we wszystkich sprawach związanych z tym tematem korzystałam z ogromnej pomocy Davida Beverly’ego. W Grecji pomogli mi Jovana Nikic i Kostas Gkekas z firmy Sail in Greek Waters. Chciałabym też podziękować za wsparcie, jakiego udzielili mi pracownicy zarówno Royal London Yacht Club, jak i Royal Ocean Racing Club w Cowes. Lisa i Manfred Rietzler zabrali mnie na całodniową wycieczkę swoim sunseekerem, aby mi pokazać możliwości tej łodzi.

Chciałabym ponadto podziękować mojej fantastycznej asystentce Olivii Riley i mojej niezwykle pracowitej drużynie redakcyjno-badawczej, czyli: Susan Moss i Elli Micheler. Musiały pracować w bardzo elastycznych godzinach, bo nie dość, że opracowujemy *Siedem siostr*, to zmieniamy i przeredagujemy książki,

które napisałam wcześniej.

Dziękuję trzydziestu wydawnictwom z całego świata, które wydają moje książki. Na szczególne wyróżnienie zasługują Catherine Richards i Jeremy Trevathan z Pan Macmillan UK, a także Claudia Negele i Georg Reuchlein z Random House Germany, Annalisa Lottini i Donatella Minuto z Giunti Editore we Włoszech oraz Peter Borland i Judith Curr z wydawnictwa Atria w Stanach Zjednoczonych. Wszyscy bardzo mi pomogli i wspierali mnie w pracy nad uporaniem się z ogromnym, lecz arcyciekawym wyzwaniem, jakim jest napisanie serii siedmiu powieści.

Jestem też ogromnie wdzięczna mojej niewiarygodnej rodzinie, która z wielką cierpliwością znosi to, że jestem bezustannie przywiązana do pióra i maszynopisu. Bez Stephena (który poza tym, że jest moim mężem, pełni także rolę agenta), Harry'ego, Belli, Leonory i Kita moja podróż pisarska byłaby niewiele warta. Moja matka Janet, siostra Georgia i Jacquelyn Heslop też ogromnie przyczyniają się do mojego sukcesu. Szczególne podziękowania należą się „Flo”, mojej towarzyszce w pisaniu, którą w lutym, niestety, straciliśmy. Nadal ogromnie za nią tęsknię. Poza tym chciałabym skierować podziękowania do wszystkich moich wspaniałych brazylijskich przyjaciół z Casa de Dom Inácio w Abidiânii. Są to między innymi: Rita Kalagate i João de Deus.

Na koniec chciałabym podziękować WAM, moim Czytelnikom, za miłość i wsparcie okazywane mi podczas moich podróży po wszystkich zakątkach świata. Dają mi one okazję, by wysłuchać waszych opowieści, które mnie inspirują i napawają pokorą. Dzięki nim rozumiem, że nic, co mogłabym kiedykolwiek napisać, nie może konkurować z tajemniczą, niezwykłą i nieskończenie zawiłą przygodą, jaką jest życie.

Lucinda Riley

Czerwiec 2015

Bibliografia

Siostra burzy to fikcja osadzona w realiach historycznych i mitologicznych. Oto źródła, którymi posłużyłam się, by zdobyć informacje na temat czasu akcji i szczegółów życia bohaterów:

Munya Andrews, *The Seven Sisters of the Pleiades*, Spinifex Press, 2004, North Melbourne, Victoria.

Finn Benestad (red.), *Edvard Grieg: Letters to Colleagues and Friends* (tłum. William H. Halverson), Peer Gynt Press, 2000, Columbus, Ohio.

Finn Benestad (red.) i William H. Halverson (red. i tłum.), *Edvard Grieg: Diaries. Articles, Speeches*, Peer Gynt Press, 2001, Columbus, Ohio.

Erling Dahl Jr., *My Grieg: A Personal Introduction to Edvard Grieg's Life and Music*, Vigmostad & Bjoerke, 2007, Bergen.

Robert Ferguson, *Henrik Ibsen: A New Biography*, Faber & Faber, 2010, Londyn.

M.C. Gillington, *A Day with Edvard Grieg*, Hodder & Stoughton, 1886, Londyn.

Robert Graves, *The Greek Myths*, Penguin, 2011, Londyn.

Robert Graves, *The White Goddess*, Farrar, Straus and Giroux, 2013, Nowy Jork.

Henrik Ibsen, *Peer Gynt*, Penguin Classics, 1970, Harmondsworth.

David Monrad-Johansen, *Edvard Grieg* (tłum. Madge Robertson), Princeton University Press, 1938, Nowy Jork.

Muzeum Żydowskie w Oslo, *What Happened in Norway? Shoah and the Norwegian Jews*, 2013.

Rudolf Rasmussen, *Rulle: De andre. Minner og meninger om livet på scene og podium*, Classica Antikvariat, 1936, Oslo.

Od autorki

Do napisania tego cyklu powieści zainspirowały mnie greckie mity o konstelacji Siedem Sióstr, nazywanej również Plejadami. To duże przedsięwzięcie: siedem książek, każda z sześciu opowiada o jednej z dziewcząt adoptowanych przez Pa Salta w różnych częściach świata i przywiezionych do jego bajkowego zamku Atlantis na prywatnym półwyspie Jeziora Genewskiego.

Wielu Czytelników przysłało mi pytania na temat tego cyklu, a także propozycje rozwiązania zagadek z pierwszej części. Postanowiłam więc każdą książkę zaopatrzyć w aneks z pytaniami i odpowiedziami.

Dla mnie ten cykl jest jedną bardzo długą opowieścią, którą podzieliłam na siedem części. Niemniej jednak każda książka stanowi też odrębną całość, a historie niezwykłych sióstr można czytać w dowolnej kolejności, ponieważ akcja wszystkich zaczyna się w tym samym momencie. Są ze sobą połączone ukrytym wątkiem niczym delikatną nitką. Siódma część uzupełnia pozostałe.

Zgłębianie wiedzy na temat czasów i miejsc, w których rozgrywa się akcja powieści, a także podkładu mitycznego fabuły, było dla mnie dużym wyzwaniem. Mam nadzieję, że zawarte poniżej pytania i odpowiedzi przybliżą Czytelnikom tło cyklu i moją opowieść o niezwykłej Ally. Starłam się zapanować nad kompozycją książki i przekazać niezafałszowane fakty historyczne tak, żeby wszystko tworzyło nierozzerwalną całość. W trakcie pisania *Siostry burzy* jak zwykle podążałam jednak głównie za swoimi bohaterami. Sama często wzruszam się przy tym i dziwię. Mam nadzieję, że podobne przeżycia staną się również udziałem Czytelników.

Na stronie internetowej www.thesevensistersseries.com znajdziecie więcej informacji na temat mitologii i astronomii związanej z gwiazdozbiorem Siedem Sióstr. Są tam także informacje na temat Griega i jego arcydzieła – suit *Peer Gynt* – oraz Konserwatorium Lipskiego, Regat Fastnet i jednej z najstarszych orkiestr na świecie, Filharmonii w Bergen.

Na koniec pragnę podziękować Wam za czas, jaki poświęciliście na przeczytanie historii Ally. Wiem, że jest długa – ale kończę swoje powieści dopiero wtedy, gdy tworzone przeze mnie postacie mówią mi, że to na razie wszystko.

Pytania i odpowiedzi

1. Dlaczego na tło *Siostry burzy* wybrałaś Norwegię i muzykę Griega do *Peer Gynta*?

Miałam zaledwie pięć lat, kiedy mój ojciec wrócił z podróży do Norwegii i przywiózł ze sobą płytę gramofonową z suitą *Peer Gynt* Griega. Tak jak w przypadku córek Pa Salta, muzyka ta stała się nieodłączną częścią mojego dzieciństwa. Pamiętam też, jak ojciec zachwycił się pięknem Norwegii, a zwłaszcza jej wspaniałymi fiordami. Powiedział, że jeśli kiedykolwiek w życiu nadarzy mi się okazja, koniecznie muszę zobaczyć je na własne oczy. Dziwnym zbiegiem okoliczności tuż po śmierci ojca Norwegia jako pierwszy kraj zaprosiła mnie na promocję książki. Pamiętam, że siedziałam w samolocie z oczami pełnymi łez i leciałam do kraju, który, jak mawiał ojciec, znajduje się na samym czubku świata. Podobnie jak Ally, poczułam, że podążam za radami zmarłego ojca. Od tamtej pory odwiedziłam Norwegię wiele razy. Podobnie jak kiedyś ojciec, zakochałam się w tym kraju. Tak więc nie miałam specjalnych wątpliwości co do miejsca akcji drugiej książki w cyklu *Siedem sióstr*.

2. Z jakimi wyzwaniem musiałaś się zmierzyć, pisząc drugą część z serii siedmiu powieści? Czym różniły się one od tych, wobec których stanęłaś, kiedy powstawał pierwszy tom, *Siedem sióstr*?

Dopiero kiedy zabrałam się do pracy nad historią Ally, zrozumiałam, jak wielkie podjęłam wyzwanie, zabierając się do pisania tak rozległej, skomplikowanej serii. Poza przedstawieniem współczesnych wydarzeń z życia Mai i Ally musiałam zdobyć ogromną wiedzę, by móc rozwinąć wątek historyczny każdej książki, a ponadto dokładnie dopasować wydarzenia i czas akcji do wszystkiego, co działo się w opowieści o poprzedniej siostrze. Trzeba było na przykład dokładnie sprawdzić miejsce i brzmienie słów każdej rozmowy Ally z którąś z sióstr.

A w dodatku musiałam strzec tajemnicy ukrytej pod główną akcją książek... a także odniesień do mitologii greckiej i anagramów, które także stanowią tło serii. Przypomina to nieco układanie kostki Rubika – jeden rząd pasuje, ale wtedy psuje się porządek drugiego. Cykl *Siedem sióstr* wymaga ode mnie wysiłku nie tylko twórczego, ale także intelektualnego. Ponadto chcę, aby każda książka mogła być czytana jako oddzielna całość, więc za każdym razem muszę w ciekawy sposób wyjaśnić sprawę adopcji dziewcząt przez Pa Salta, tak aby nie było to nużące dla osób, które przeczytały historię poprzedniej siostry.

3. Jak rozwiązałaś kwestię kwerendy historycznej na temat wydarzeń z przeszłości i postaci słynnych Norwegów, które przedstawiasz w *Siostrze burzy*?

Siostra burzy oparta jest na faktach z historii Norwegii i z życia wybitnych twórców kultury, takich jak Edward Grieg i Henrik Ibsen, ale mój opis ich

osobowości to raczej dzieło wyobraźni niż fakty. Opowieść o współczesnych im postaciach fikcyjnych, którymi w tym przypadku są Anna i Jens, wplotłam w wydarzenia, które naprawdę miały miejsce.

Dzięki przyjaciółom z mojego norweskiego wydawnictwa Cappelen Damm poznałam osoby, z którymi chciałam porozmawiać. Fikcyjna podróż Ally w poszukiwaniu korzeni jest w dużej mierze oparta na mojej podróży po Norwegii, podczas której badałam historię powstania *Peer Gynta* i życie Griega. Część osób, które przy tej okazji poznałam, występuje w książce w swoich prawdziwych rolach. Bardzo dziękuję, że mogłam posłużyć się ich imionami i nazwiskami.

Moim pierwszym rozmówcą był Erik Edvardsen z Muzeum Ibsena. To on opowiedział mi, że Ibsen poprosił Griega, by napisał ilustrację muzyczną do jego dramatu. Pokazał mi też zdjęcia z czasów powstawania *Peer Gynta*. Potem opowiedział mi o tajemniczej, anonimowej śpiewaczce, która podkładała głos Sowejdze. Do tej pory nie wiadomo, kim była. Dało mi to inspirację do napisania historii przodków Ally. Życie Norwegów w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku zilustrował mi Lars Roede z Muzeum Oslo.

Dwa razy pojechałam do Bergen, gdzie zwiedziłam Muzeum Trolldhaugen – niegdyś dom Griega. Pozwolono mi nawet usiąść przy fortepianie kompozytora. Jak zawsze, kiedy opisuję postacie historyczne, bardzo się staram robić to jak najwierniej, zwłaszcza jeśli chodzi o kogoś tak ważnego dla Norwegii jak Edward Grieg. W Bergen miałam ogromną przyjemność być oprowadzaną po Muzeum Trolldhaugen przez Erlinga Dhala, czołowego znawcę życia i twórczości tego kompozytora i laureata Nagrody Griega. Przeczytałam wszystko, co mogłam, o Griegu i jego współczesnych. Dokładnie obejrzałam dokumentację premiery *Peer Gynta*. Na szczęście Grieg pisał obszernie pamiętniki i zostawił po sobie bogatą korespondencję. Nie ma nic lepszego niż czytanie słów słynnych postaci historycznych. Zawsze muszę jednak pamiętać, że przede wszystkim jestem powieściopisarką, a nie historykiem. W filharmonii bergeńskiej poznałam także Henninga Målsnesa, który wyjaśnił mi, jak na co dzień funkcjonuje orkiestra, a także opowiedział jej wojenne dzieje. Słynny norweski kompozytor Knut Vaage przedstawił mi proces komponowania w perspektywie historycznej.

4. Czy po napisaniu drugiej części serii zmieniłaś swój ogólny plan, czy nadal masz jasny obraz zakończenia?

Od początku miałam zaplanowany koniec. Mam w głowie wszystkie tajemnice, które w końcu wyjdą na jaw. Ukryty sekretny wątek przewija się przez serię jak niewidzialna nić. Muszę pilnować, żeby subtelnie i konsekwentnie przetykać go przez wszystkie książki. Tylko mój mąż zna treść ostatniego tomu, choć niedawno powiedział mi, że już zapomniał, o co w niej chodzi...!

5. Poznajemy nie tylko Norwegię. Odbywamy także podróż do muzycznego Lipska. Czy i tam pojechałaś zbierać materiały?

Tak. To piękne miasto, które jest w trakcie odbudowy i wkrótce osiągnie swą pierwotną świetność. Niemcy należą do moich ulubionych krajów. Często podróżuję tam na spotkania z Czytelnikami. Oczywiście w Lipsku studiował sam Grieg, a wydawnictwo muzyczne publikujące jego dzieła, które w tamtych czasach prowadził jego bliski przyjaciel, Max Abrahams, nadal tam funkcjonuje. Kiedy piszę, często zdarzają mi się niespodziewane przeżycia. Skontaktowała się ze mną moja stara przyjaciółka, Caroline Schatke, z informacją, że właśnie przeprowadziła się z Cambridge, aby podjąć pracę w Lipsku w firmie o nazwie Edition Peters. Napisała mi mail z informacją, że siedzi w budynku, który właśnie opisywałam. Kiedy Grieg ponad sto lat temu komponował swoje utwory, firma ta wydawała jego dzieła.

6. W książce tej, podobnie jak w kilku swoich poprzednich powieściach, opisujesz koszmary drugiej wojny światowej. Dlaczego jest to w twoich powieściach tak ważny temat?

Druga wojna światowa wybuchła niecałe osiemdziesiąt lat temu. Większość żyjących teraz osób ma krewnych, którzy zostali przez nią w jakiś sposób dotknięci. To straszna wyrwa w naszej historii, więc ma wpływ na każdą powieść, która dzieje się między rokiem 1938 a 1945. Zbadałam historię Lipska i los jego żydowskich mieszkańców. Według mnie, punktem zwrotnym, z którego dla miasta nie było już powrotu do normalności, było zniszczenie pomnika Felixa Mendelssohna. Poznanie wydarzeń, które w tamtym okresie miały miejsce w Norwegii, także otworzyło mi oczy na wiele spraw. Nie jest to bowiem kraj, o którym w kontekście wojny uczyliśmy się w szkole na lekcjach historii.

7. Czy zawsze interesowałaś się muzyką klasyczną? Jak ukształtowało to twoje opisy w powieści?

Od trzeciego do szesnastego roku życia uczyłam się w szkole baletowej, więc dorastałam, cały czas mając wokół siebie muzykę klasyczną. Suita Griega *Peer Gynt* należała do moich ulubionych utworów. Zarówno *Poranek*, jak i *W grocie Króla Gór* to słynne utwory. Każdy, kto je usłyszy, potrafi je rozpoznać. Zakorzeniły się w kulturze popularnej, ponieważ wykorzystuje się je, czasami nadmiernie, w programach telewizyjnych, filmach, reklamach, a nawet w parkach rozrywki.

8. Jakie masz najlepsze wspomnienia z Norwegii? Czy odkryłaś tam coś, co zmieniło twój pierwotny plan książki?

Uwielbiałam podróże do Trondheim, a zwłaszcza widok fiordów i ośnieżonych szczytów gór z samolotu. Mam nadzieję, że kiedyś znajdę czas, by wybrać się tam na wycieczkę stateczkiem *Hurtigruten*. Ale najważniejsi byli niezwykle ciepli i gościnni ludzie, których tam poznałam. Zawsze z przyjemnością wracam do Norwegii.

9. Jak postać Ally odpowiada jej mitycznej odpowiedniczce? Co w niej

zmodernizowałaś?

W mitologii greckiej Alkione, czyli druga siostra, znana była jako „przywódczyni”. Jej gwiazda należy do najjaśniejszych w konstelacji. Wierzono, że w dni alkionowe, kiedy lęgną się zimorodki, świat przepełnia radość, pomyślność i spokój, gdyż mityczna odpowiedniczka Ally pilnuje, aby Morze Śródziemne było spokojne i bezpieczne dla marynarzy. Dostosowując Ally do współczesnych odbiorców, zrobiłam z niej odważną, silną kobietę, która wie, czego chce, i ma naturalne zdolności przywódcze. Kocha morze i osiąga sukcesy jako żeglarka, ale zakochuje się w Theo Falys-Kingsie, którego nazwisko i imię stanowi anagram mitycznego kochanka Alkione, króla Tesalii. Naszyjnik z amuletem nazar („złym okiem”), kupiony dla niej przez Theo, symbolizuje jej opiekuńczą moc jako obrończyni żeglarzy. Dopiero kiedy siłą zmuszona jest opuścić ukochanego, dochodzi do takiej samej tragedii jak w greckim micie.

10. W drugim tomie znajdujemy nieco więcej informacji na temat tajemniczego Pa Salta. Czy trudno ci utrzymać tajemnicę, kim on jest? Co sądzisz o domysłach swoich miłośników na ten temat?

Lubię czytać najróżniejsze teorie wymyślone przez Czytelników i zdarza mi się po cichutku z nich śmiać. Ogromnie mnie cieszy, że Czytelnicy dali się zauroczyć serii i rozważają na ten temat w mediach społecznościowych. Oczywiście prawdę znam tylko ja (i mój mąż, o ile ją pamięta). Utrzymanie tajemnicy nie jest dla mnie trudne i ogromnie mnie bawi.

11. Na końcu *Siostry burzy* poznajemy punkt widzenia Star, czyli trzeciej siostry. Czy możesz nam zdradzić, dokąd ona się wybierze?

Star jest fascynującą, enigmatyczną postacią. Z radością zgłębiam jej sposób widzenia świata. Nadal piszę jej historię, a jest ona osadzona w Anglii. Badanie historii mojego własnego kraju i jego różnorodnych krajobrazów stanowi dla mnie odmianę. Oznacza także, że mogę pisać w domu, bo zawsze staram się przez jakiś czas mieszkać w kraju, który opisuję. Historia Star poprowadzi nas na dzikie tereny Kumbrii, w naturalne piękno Krainy Jezior, aż po szalone ekscesy życia towarzyskiego edwardiańskiego Londynu.

